

ADELE PARKS

Mów do mnie

Z języka angielskiego przełożyła Magdalena Procter

*Dla
Boba Shevlina, Wilberta Dasa i Massima Bianchiego (i wcale nie
dedykuję wam tej książki, by pochwalić się, że w gronie moich
najbliższych przyjaciół są Amerykanie, Włosi
oraz Holendrzy)*

Zakochałam się w Robercie dwa razy.

Po raz pierwszy dwanaście lat przed naszym spotkaniem, podczas rodzinnych wakacji w Padwie, w północnych Włoszech. Miałam wówczas lat czternaście i byłam ponurą, wiecznie zadumaną romantyczką. Po raz drugi - dwanaście lat później, w pubie w południowo-zachodnim Londynie.

On oglądał mecz, ja nalewałam piwo. Byłam już wówczas znacznie bardziej towarzyska i beztrocka, ale wciąż niepoprawnie romantyczna.

Przed Padwą wakacje z rodzicami (tylko na takie jeździłam) ograniczały się wyłącznie do Wysp Brytyjskich. Dorastałam więc święcie przekonana, że zagranicznych wczasów doświadczają wszyscy, tylko nie ja.

Moi rodzice mieli dość konserwatywne poglądy i uważali, na co wydają pieniądze. Można to jednak łatwo wytłumaczyć i w pewnym sensie usprawiedliwić tym, że gdy bocian zostawił mnie na wycieracze ich domu, oboje byli już w dość dojrzałym wieku - mama miała czterdzieści cztery lata, a ojciec czterdzieści dziewięć. Dziś pewnie nikt nie uznałby ich za rodziców wiekowych, ale w tamtych czasach tak właśnie ich postrzegano. Niektóre koleżanki mojej mamy zdążyły już zostać babkami. Poza tym przed podrzuceniem mnie bocian odwiedził ich już dwukrotnie, dziewiętnaście i siedemnaście lat wcześniej. Ojciec zawsze żartował, że ptak przypisany naszej rodzinie musiał mieć poważne problemy ze *zmysłem* orientacji i chyba nie bardzo mu się spieszyło, bo spóźnił się o jakieś piętnaście

lat. Tato utrzymywał, że on i mama zawsze chcieli mieć trójkę dzieci, szczególnie córeczkę, co było miłe z jego strony, choć niezbyt wiarygodne.

Moje opóźnione przybycie nikogo w rodzinie nie ucieszyło nadmiernie. Moi bracia, Max i Thomas, musieli być nieco zażenowani niezaprzeczalnym dowodem, że ich rodzice wciąż uprawiają seks. Nic więc dziwnego, że chętnie jak najszybciej uciekli na studia, żeby trzymać się z dala od całej sprawy. Moi rodzice natomiast musieli uważać, że czas brudnych pieluch i nieprzespanych nocy mają już dawno za sobą, przynajmniej do momentu pojawienia się wnuków. Ojciec właśnie został współnikiem w macierzystej kancelarii rachunkowej, tamtego roku pełnił też funkcję przewodniczącego klubu golfowego. Obydwa zajęcia wymagały dużo czasu i uwagi. Mama miała swoje kółko brydżowe, a do tego pojawiłam się jeszcze ja.

Ale mimo wszystko całkiem nieźle sobie radzili. Rosłam zdrowo, a mamę bawiło ubieranie mnie w eleganckie sukienki - wychowując Maxa i Thomasa, nie miała rzecz jasna takiej możliwości.

Jeśli jednak wierzyć rodzinnym opowieściom, wcale nie byłam promiennym słoneczkiem, raczej burzą. Burzą kłopotów. Mało spałam, wybrzydzałam przy jedzeniu, a podczas żąbkowania zamieniłam się w straszną złośnicę. Nie było łatwo. Dorastałam w przekonaniu, że wszyscy potajemnie odczuwają żal. Uważałam, że poglądy moich rodziców są przestarzałe i że w porównaniu z rodzicami moich znajomych strasznie się mnie czepiają. Ojciec grał na oboju i nazywał facetów „chłopami”. Często poprawiał moich znajomych, gdy mówili „wziąć” zamiast „wziąć”. To mama jednak stanowiła główne źródło mojego wstydu, pewnie dlatego, że częściej widywała moje koleżanki i kolegów z klasy.

Nie dorównywała urodą innym matkom, które gromadziły się przed wejściem do szkoły. Jej ubrania, buty oraz całkowity brak pojęcia o tym, kim jest Paul Young, sprawiały, że różni-

ca pokoleń wydawała się nie do pokonania. Spoglądając na to wszystko z perspektywy czasu, zdaję sobie sprawę, że była troskliwą i opiekuńczą matką, czego oczywiście nie doceniałam jako dziecko. Często zapraszała moich kolegów i koleżanki na obiad, ale nigdy nie podawała paluszków rybnych ani deseru Angel Delight jak inne mamy. Przygotowywała natomiast duszone mięso z jarzynami i z uporem serwowała kapustę oraz brukselkę. Nie miała pojęcia, co lubią dzieci. Poza tym koniecznie chciała odbierać mnie co dzień ze szkoły, nawet gdy byłam już w gimnazjum. Czasem, jeśli wiedziałam, że ujdzie mi to na sucho, udawałam, że jest moją stukniętą babcią (stuknięta babcia jest o niebo lepsza od wścibskiej matki), a wtedy wraz z innymi dziećmi naśmiewałam się z jej praktycznych butów i peleryny, dopóki nie zbliżyła się na tyle, by nas usłyszeć.

Zawsze wstydziłam się rodziców. Fakt ten wprawiał mnie w dodatkowe zażenowanie, co z kolei potęgowało moją złość na nich jako pierwotne źródło mojego wstydu. Nie byli surowi, tylko po prostu nie tacy, jak chciałam. Choć moje kieszonkowe było nieznacznie mniejsze od tego, które otrzymywali moi koledzy z klasy, mogłam (przynajmniej teoretycznie) wydawać je według własnego uznania. Jednak ilekroć wybierałam „Bravo” i garść słodczy zamiast pouczającej powieści, ich widoczne rozczarowanie odbierało mi całą przyjemność tego rzekomego przywileju. Ciuchy też stanowiły problem. Na pierwszą parę dżinsów pozwolono mi, gdy miałam lat dwanaście, na pierwszy tusz do rzęs, gdy miałam piętnaście (choć w tajemnicy przed rodzicami nakładałam go w szkolnej toalecie znacznie wcześniej), na przekłucie uszu, gdy byłam siedemnastolatką. Oczywiście patrząc na moje pretensje z perspektywy osoby starszej i mądrzejszej (choć wcale nie takiej starej — zaledwie trzydziestodwuletniej), mogę śmiało przyznać, że moi rodzice nie byli zbrodniarzami wojennymi, ale jako nastolatka tak właśnie o nich myślałam.

Największe rozgoryczenie wywoływały we mnie wakacje. Inni rodzice zabierali swoje dzieci na Costa del coś tam albo

(szczyt wypasu) do Disneylandu, tego największego, w USA. Moje koleżanki próbowały słodkich likierów i kupowały pluszaki wypchane słodyczami oraz słoiki z kolorowym piaskiem. Opalały się do woli, często więc wracały z poparzonymi ramionami, mając jednak w zanadru barwne opowieści o flirtach z przystojnymi chłopcami rekompensujących cierpienie.

Moich rodziców natomiast bardziej interesowały zabytkowe budynki będące pod ochroną National Trust niż zatłoczone plaże. Najchętniej wsiadali w samochód z doczepioną przyczepą kempingową i jechali na południowe wybrzeże, najlepiej w pobliże jakiegoś zamku oraz cichej herbaciarni, w której można było dostać lekkie ciasto biszkoptowe. Tak właśnie, w ich przekonaniu, wyglądały najciekawsze wakacje. Musiałam więc znosić długie deszczowe tygodnie, obserwując ich zmagania z mapą turystyczną w celu znalezienia ścieżki prowadzącej do kolejnych nieciekawych ruin jakiegoś zamku.

Kiedy miałam lat czternaście, rodzice obchodzili trzydziestą piątą rocznicę ślubu. Moi bracia, piastujący już wówczas dobre posady (Max pracował jako dziennikarz, Thomas był lekarzem), uznali tę okazję za odpowiedni pretekst, by zafundować rodzicom ich pierwsze zagraniczne wakacje. Ojciec wcześniej był już w Niemczech, pełniąc służbę wojskową, ale najdalsze miejsce, do którego dotarła moja matka, stanowiła wyspa Wight, położona zaledwie osiem kilometrów od południowego wybrzeża Wielkiej Brytanii (podobno są tam przepiękne miejsca do obserwacji ptaków).

Rodzice podeszli do tego pomysłu z rezerwą. Max spędził długie godziny, opowiadając im o ciekawych historycznych i archeologicznych zakątkach, zaś Thomas rozwiewał ich wątpliwości dotyczące picia wody z kranu czy też dużej ilości komarów. Powoli rodzice zaczęli dopuszczać możliwość wyjazdu, a później nawet cieszyć się na myśl o nim! Ja oczywiście miałam pojechać z nimi, nigdy nie pozwalali mi zostać w domu pod opieką braci, a co dopiero samej. Natychmiast ogarnęła mnie niepojęta radość.

Zacząłam roznosić gazety i opiekować się dziećmi sąsiadów, żeby zaoszczędzić na nowe ciuchy i pokazać się w modnych szortach oraz bikini. Nie posiadałam się ze szczęścia, że wreszcie będę miała paszport. Czytałam przewodniki, oglądałam mapy. Moje podekscytowanie sięgnęło zenitu, gdy ojciec zabrał mnie do banku, żeby wymienić pieniądze. Przyglądałam się tym nieznanym mi banknotom i nie mogłam powstrzymać chęci ich powąchania. Pachnące pieprzem i miękkie w dotyku, miały w sobie coś obiecującego i tajemniczego. Oczywiście znacznie mniej interesowały mnie kościoły i galerie sztuki, na które cieszyli się moi rodzice, moim celem była piękna opalenizna, lody oraz nawiązanie kontaktu wzrokowego z włoskimi chłopcami. Nie obiecywałam sobie zbyt wiele — nie przypuszczałam, że zamienię słowo z kimś poza hotelową recepcjonistką — lecz mimo to emocjonowałam się na myśl o czekającej mnie przygodzie.

Jakimś cudem nasze wakacje zdołały przejść moje najśmielsze oczekiwania. Zachwycało mnie wszystko co nowe, inne, obce. Sklepy wolnocłowe na lotnisku wydawały mi się niebywale eleganckie; wręcz pożerałam wzrokiem wielkie batony czekolady Toblerone, których jeszcze wtedy nie dało się kupić w każdym angielskim supermarkecie. Cieszyły mnie nawet papierowe ręczniki, które stewardesa rozdawała podczas lotu wraz z darmową (darmową!) colą. Kiedy po wylądowaniu otworzyły się drzwi samolotu i promienie słońca otuliły mnie niczym kokon, zakochałam się.

Nie zakochałam się w facecie, który pilnował, żeby wszyscy pasażerowie bezpiecznie znaleźli się w autobusie przewożącym ich do terminalu, nic z tych rzeczy (choć nie powiem, był niczego sobie). Zakochałam się we Włoszech. Kiedy gorące promienie słońca po raz pierwszy musnęły moje kościste ramiona, miałam ochotę śpiewać, bo nagle poczułam, że znalazłam swoje miejsce na ziemi.

W Anglii żyłam w schludnym, funkcjonalnym, dostatnim domu, w którym nie brakowało zdrowego jedzenia, lekcji muzyki i gier edukacyjnych. Było w nim wszystko, czego potrzebowaliśmy, ale nic, czego sama pragnęłam. Były wykładziny dywanowe, kuchenka mikrofalowa, termofory, srebrne sztucce (należące do mojej praprababci i przekazywane z pokolenia na pokolenie), ale nie mieliśmy telewizora w salonie (jedyne nasz odbiornik był schowany w pokoju dla gości i wyciągano go tylko na specjalne okazje). W naszym domu było też pianino, a nawet firanki (po co, na miłość boską, firanki?) - typowe insygnia brytyjskiej klasy średniej, nudne i bezbarwne.

W Padwie poczułam się zupełnie inną osobą — ciepłą, barwną, żywiołową. Wcześniej niewiele rzeczy potrafiło wzbudzić we mnie entuzjizm. Ze względu na brak telewizora nie miałam bliższego pojęcia o Duran Duran, ale by nie odstawać od koleżanek, udawałam, że podkochuję się w perkusiście, choć nie rozpoznałabym go nawet w grupie tajlandzkich transseksualistów. Nie wyróżniałam się w sporcie ani w żadnym innym przedmiocie. Nie należałam do dzieci znajdujących ukojenie

w książkach. Moje niezbyt liczne koleżanki były równie mdłe i nijakie. Właściwie trzymałyśmy się razem głównie dlatego, że nikt inny nie chciał się z nami przyjaźnić. Nigdy nie miałam chłopaka, nigdy się nawet nie całowałam. Lecz teraz byłam we Włoszech.

W kraju ciepła. W kraju, który pachniał słodką mocną kawą. W kraju przepelnionym wrzawą i chaosem. W kraju, w którym ludzie gawędzą wesoło, żywo przy tym gestykulując. Zachwycały mnie olbrzymie ilości kwiatów, świąt, a także wstążeczki przypinane do drzwi, by obwieścić narodziny dziecka. Miałam wrażenie, że Włosi potrafią wycisnąć z życia każdą kroplę. Najbardziej jednak — bardziej niż piszczące z podniecenia dzieci goniące za gołębiami — podobało mi się to, że każdy chłopiec, a nawet każdy mężczyzna spoglądał na mnie tak, że czułam się interesująca i atrakcyjna, czułam, że żyję. W Anglii moje kręcone włosy i jasną, pokrytą piegami cerę uważano za niemodne. Włochom zdawało się jednak nie przeszkadzać, że nie mam na głowie eleganckiego ciemnego „boba”; wręcz przeciwnie.

Z każdym wypitym espresso rosło moje zauroczenie tym krajem. Rodzice przez całe dziesięć dni przemierzali wąskie uliczki Padwy, czując obecność Giotto, Petrarcki czy Dantego, ja zaś dreptałam u ich boku, zwracając uwagę wyłącznie na Giovannich, Davidów i Paulów, którzy rzucali za mną powłóczyście spojrzenia. Podczas gdy mama z tatą dyskutowali o uśmiechach, którymi artyści obdarowali Maryję czy Jezusa, ja delectowałam się znacznie śmielszymi uśmiechami, które rzucali w moją stronę kelnerzy i chłopcy przesiadujący pod sklepami z pamiątkami. Byłam zbyt nieśmiała, by odezwać się do kogokolwiek, spędzałam więc długie godziny, pijąc colę, jedząc lody i rozglądając się wokół.

Przyglądałam się dziewczętom chichoczącym z wyrafinowaniem, o którym moje koleżanki ze szkoły, nawet te znacznie starsze, mogły jedynie pomarzyć. Na czym polegał ich urok?

Czy był zasługą ich wysokich obcasów lub obciskających talie pasków? Chudych nadgarstków czy długich pomalowanych tuszem rzęs? Nie miałam pojęcia. Wiedziałam jedynie, że chcę być jedną z nich. Chciałam dołączyć do licznej głośnej rodziny idącej na słynną passeggiatę o piątej po południu; nie mogłam uwierzyć, że nawet zwykły spacer można zmienić w prawdziwą uroczystość. Chciałam kupować ciasta zapakowane w przyozdobione kolorowymi wstążkami tekturowe pudełeczka i obdarowywać nimi znajomych w niedzielny poranek. Chciałam mieszkać w miejscu pełnym dobrego stylu, w miejscu przesiąkniętym starożytną historią. Chciałam jeść to co oni i być równie towarzyska. Rozkoszować się ich obyciem kulturowym i obywatelską dumą. Chciałam mieszkać we Włoszech i być Włoszką. Wiedziałam, co muszę zrobić. Muszę poślubić Włocha.

Wróciłam do Anglii z torbą pełną numerów czasopisma „Oggi”, włoskiego odpowiednika brytyjskiego „Hello!”. Zarzekałam się, że będę sama uczyć się włoskiego, przeglądając zakupione magazyny, przynajmniej dopóki nie znajdę sobie korepetytora. Wraz z moją opalenizną zniknęła jednak ochota do samodzielnej nauki. Oczywiście pielęgnowałam swoją fascynację wszystkim co włoskie — szczególnie jeśli chodziło o jedzenie, kawę, czy styl bycia i ubierania się, ale nie robiłam nic, by zgłębić choćby podstawy języka. Pisma „Oggi” szybko wylądowały pod łóżkiem, gdzie spędziły ładnych parę lat, pokryte grubą warstwą kurzu.

Zamierzałam studiować italianistykę, ale trójka z francuskiego na maturze nie przekonała osób zajmujących się rekrutacją, że mam odpowiednie zdolności językowe. Kiedy komisja egzaminacyjna zapytała, dlaczego wybrałam właśnie ten kierunek, próbowałam jak najlepiej wytłumaczyć swoje pobudki, ale „chęć poślubienia Włocha” okazała się niewystarczającą motywacją. Zaczęłam więc rozważać możliwość zamieszkania we Włoszech i podjęcia pracy w szkole językowej. Słyszałam kiedyś o specjalnym kursie, który przygotowuje do uczenia

języka angielskiego właściwie bez używania ojczystej mowy uczniów, nazywają to „metodą całkowitego zanurzenia”, ale szybko odkryłam, że cena takiego kursu znacznie przewyższa moje możliwości finansowe. Zdecydowałam więc, że najlepszym rozwiązaniem będzie znalezienie pracy na jakiś czas i zaoszczędzenie niezbędnej sumy. Rodziców zdruzgotała wieść, że planuję przeprowadzkę do Londynu. Ojciec bał się, że stanę w miejscu. Wielokrotnie podkreślał, że moi bracia zawsze byli zdeterminowani i mieli silną motywację, przez co nigdy nie dostarczali jemu ani mamie zmartwień. Ja też byłam zdeterminowana, też miałam silną motywację, ale tacie nie dało się tego wytłumaczyć. Wiedziałam, że podobnie jak członkowie komisji egzaminacyjnej, nie uzna mojego zamiaru poślubienia Włocha za odpowiedni plan kariery. Na szczęście w tym samym czasie za sprawą Maxa i jego żony Sophie moi rodzice po raz kolejny zostali dziadkami. W dodatku Thomas ożenił się ze straszliwą pediatrą, Eileen MacKinnan, która w równym stopniu imponowała moim rodzicom, jak i rządziła nimi. Mieli więc dość innych spraw na głowie.

Zaraz po przyjeździe do Londynu udałam się do dzielnicy Covent Garden, wiedząc, że znajduje się tam wystarczająco dużo włoskich restauracji i barów, bym mogła udawać, że jestem w kraju z trójkolorową flagą. Uznałam, że będę się musiała tym zadowolić, dopóki nie zaoszczędzę na tyle pieniędzy, by zamieszkać w wymarzonym miejscu. Szybko znalazłam pracę kelnerki i barmanki, jakimś sposobem nie zdołałam jednak odłożyć kwoty niezbędnej do rozpoczęcia kursu TEFL. I tak upłynął jeden rok, potem kolejny, a potem następny, nawet nie wiem kiedy. Oczywiście ojciec przy każdej okazji powtarzał: „A nie mówiłem?”. Ja zaś, ilekroć myślałam o kursie, dochodziłam do wniosku, że nie ma po co się spieszyć. Przecież we Włoszech zawsze będą osoby pragnące uczyć się angielskiego. Do szczęścia nie potrzebowałam wiele — wystarczyło, że mogłam sobie pozwolić na modne buty i torebki oraz na opłacenie malutkiej

kawalerki w Earls Court, wynajmowanej razem z Alison, dziewczyną, którą poznałam, będąc kelnerką.

Pomimo dość monotonnej pracy i małego, zaniedbanego mieszkania bardzo miło wspominam te pierwsze lata spędzone w Londynie. Może i zapomniałam trochę o kursie, ale pozostałam wierna planom poślubienia Włocha. Szybko odkryłam, że jest ich w Londynie na tyle dużo, że wcale nie muszę przewracać swojego życia do góry nogami i wyjeżdżać sama za granicę. Spotykałam się więc z kolejnymi Giancarłami, Maksimami i Angelami. Nigdy nie zawodzili moich oczekiwań. Karmili mnie komplementami i makaronem, byli troskliwi i uprzejmi, a ja świetnie się z nimi bawiłam. Prędzej czy później wszyscy jednak albo wracali do Włoch, albo też namiętność wypalała się już po kilku tygodniach. Nie martwiło mnie to zbyt, bo choć zakochiwałam się w każdym z nich w mgnieniu oka, równie szybko potrafiłam się odkochać. Nigdy nie rozpaczałam dłużej niż tydzień. Alison uważała, że jestem płytką, ale ja wolałam myśleć, że jestem po prostu dobrze przystosowana do życia. Widziałam wiele dziewczyn płaczących noc w noc w poduszkę przez jakiegoś faceta — cóż za absurd! Ja zamierzałam cieszyć się młodością. Przecież świat nie kończy się na jakimś Luigim!

Alison radziła, żebym zaczęła umawiać się z mężczyznami, którzy planują zostać w kraju na dłużej, ale kompletnie nie rozumiała istoty sprawy. Moje dziwactwo urosło do takich rozmiarów, że nie potrafiłam już spotykać się z mężczyznami narodowości innej niż włoska. Nie potrafiłam i nie chciałam. Kilka razy spróbowałam i zawsze kończyło się tak samo. Anglicy nie umieli patrzeć na kobietę w taki sposób i z taką intensywnością. Kiedy chcieli powiedzieć jakiś komplement, nie potrafili wydusić z siebie słowa. W porównaniu z Włochami brakowało im klasy. Dobrze skrojone koszule czy workowate podkoszulki z nadrukami ulubionych drużyn piłkarskich? Recytowanie poezji czy powtarzanie starych skeczy Monty Pythona? Picie szampana z mojego bucika czy piwa z kufla? Gdzie tu miejsce na dylemat?

I tak osiem lat mojego życia wypełniły liczne gwałtowne, choć krótkotrwałe romanse. Może rzeczywiście byłam płytka, a może zachowywałam się jak większość kobiet w moim wieku. Nie wiem. Miałam swój typ i tyle.

A potem w moim barze i życiu pojawił się Roberto.

Przyglądałam mu się, gdy wpatrywał się w ekran telewizora, oglądając mecz piłki nożnej. Od razu wiedziałam, że jest Włochem — miał lśniące buty i różową koszulę, którą nosił z elegancją i pewnością siebie całkowicie obcą Anglikom. Do tego miał w sobie niesamowitą energię i zmysłowość, które odbijały się rykoszetem od ścian, raz po raz uderzając we mnie z niezwykłą siłą. Obserwowałam, jak kibicował swojej drużynie, wznosząc okrzyki radości po każdym dobrym podaniu, chowając głowę w ramionach, kiedy puszczała gola, ściskając swego kolegę, gdy wyrównali. Przyglądałam mu się kompletnie zahipnotyzowana.

Gorący i rozgorączkowany nieznajomy musiał wyczuć, że na niego zerkam. Obrócił się i przyłapał mnie na rozbieraniu go wzrokiem. Zastanawiałam się, czy się zorientował, że moje myśli wybiegły już daleko poza nasze pierwsze cielesne doznania — do ołtarza, a potem prosto na porodówkę. Pod spojrzeniem jego głębokich ciemnych oczu stałam się zupełnie bezbronna; straciłam umiejętność udawania obojętnej. Walczyłam z chęcią dotknięcia jego cudownie opalonej skóry. Chciałam błdzić rękoma po umięśnionym, wysportowanym ciele. Nie był szczególnie wysoki, ale każdy jego ruch epatował siłą i stanowczością. Jego obecność dawała mi poczucie bezpieczeństwa, jednocześnie wprawiając w stan ekscytacji.

W pewnym momencie przerwał oglądanie meczu i ruszył w stronę baru, w moją stronę. Alison pewnie uznałaby go za zbyt pewnego siebie, ale mnie to nie przeszkadzało. Pochylił się w taki sposób, że zapach jego cytrusowej wody kolońskiej lekko zawrócił mi w głowie.

— Dla mnie piwo. Ty też, jeśli jesteś wolna - powiedział niezbyt poprawnie. Patrzył mi głęboko w oczy, a ja, pomimo szczerych

chęci, nie potrafiłam odwrócić wzroku. Jeszcze raz, co on powiedział? Chce mi postawić piwo? A może miał na myśli, że weźmie mnie na randkę? Albo... weźmie mnie? Czy jest na tyle bezczelny, by bez ogródek proponować mi seks? Miałam nadzieję, że tak.

- A ze mną co zrobisz? — zapytałam, szybko decydując, że musi mu chodzić o coś więcej niż postawienie mi piwa.

- Zabiorę cię gdzieś. Do restauracji. Do kina. Na nieodkryte wyżyny ekstazy.

Że też miał czelność powiedzieć coś takiego, a potem czekać pewien siebie na moją odpowiedź! Powinłam czuć się urażona i zbulwersowana. Albo przynajmniej udawać, że tak się czuję. Ja jednak zaproponowałam, że dam mu swój numer telefonu.

- Nie będę brać twojego numeru — rzucił zuchwale.

- Nie? - Speszyłam się. Czy naprawdę źle to wszystko odczytałam? Nie dosłyszałam, co dokładnie powiedział? Czy ta niesamowita chemia między nami zaistniała wyłącznie w mojej głowie? Czy Amor tylko mnie trafił śmiertelnością strzałą?

- Będę czekać tutaj, aż skończysz zmianę.

- Ale to jeszcze pięć godzin — zaprotestowałam łagodnie i uśmiechnęłam się szeroko, wcale nie próbując ukryć rozbawienia.

- Mam całą wieczność. Wiem, że warto na ciebie czekać. Jeśli dasz mi numer, będę dzwonić, a ty możesz już poznać inny mężczyzna. Nie będę ryzykować. Raczej będę czekać. Nie mogę tego przegapić. Czuję, że to coś bardzo ważnego.

Nie pierwszy raz słyszałam tego typu słowa — Włosi często wygłaszają płomienne tyrady, ale właśnie to w nich lubię. Taką chemię czułam jednak po raz pierwszy. Obecność Roberta sprawiła, że zaschło mi w gardle. Miałam wrażenie, że zdetonował ładunek wybuchowy, który się we mnie znajdował, olbrzymią bombę fascynacji i euforii. Przeszywał mnie ogień radości i podniecenia; nagła fala pożądania rozsadzała wnętrzności i przyprawiała o zawroty głowy, powodując dreszcze, które przechodziły przez każdy nerw mojego ciała.

Bar szybko opustoszał. Nie obchodziło mnie, czy są w nim klienci, których trzeba obsłużyć. Byłam tylko ja i Roberto, wszystko inne wydawało się nieciekawe i nieistotne.

Przez następne pięć godzin nie odstępowaliśmy się na krok. Na zmianę rozmawialiśmy, śmialiśmy się i wpatrywali w siebie w milczeniu. Opowiedział mi o swojej miłości do szybkich samochodów i piłki nożnej. Przedstawił kilku swoich kolegów, ale nie zapamiętałam nawet ich imion, całą uwagę skupiałam na nim, wszystko inne nie miało najmniejszego znaczenia. Powiedział, że choć przeprowadził się do Anglii zaledwie tydzień temu, był już na rozmowie o pracę w agencji reklamowej w Soho.

- A twoja rodzina? - zapytałam.

- Moja rodzina zajmuje się winem - wyjaśnił krótko, po czym upił łyk piwa, najwyraźniej uciekając od tematu.

- Macie winnicę, fantastycznie! - Szybko wyobraziłam sobie skąpane słońcem rzędy winorośli, jeden obok drugiego niczym żołnierze.

- Wcale nie, nic takiego. - Wzruszył ramionami.

Nie mogłam pojąć, jak można mówić, że posiadanie winnicy to „nic takiego”. Przecież to najbardziej romantyczne zajęcie na świecie! Stwierdziłam, że na pewno nie chce się przechwalać. Zastanawiałam się, czy wciąż ugniatają winogrona stopami. Raczej nie, na pewno zabraniają tego europejskie przepisy prawne. Ale może wciąż używają tradycyjnych metod przy produkcji wina na święta? Włosi uwielbiają święta. Nie żebym chciała poczuć winogrona pod swoimi stopami. Aż takiej integracji z naturą nie potrzebuję. A tym bardziej nie chciałabym wiedzieć, że były pod czyimiś stopami! Fuj! Wystarczający powód, by zostać abstynentem.

Roberto westchnął.

- Właściwie przyjechałem tu po kłótni z rodziną. Muszę się uwolnić. Zarobić karierę. — Podobała mi się jego niezależność. - Czasem rodzina cię dusi. Muszę od nich odpoczywać. Rozumiesz? - dodał szybko, nie musiałam więc pytać o naturę

jego rodzinnych problemów. Skinęłam głową, uśmiechając się szczerze. Oczywiście, że rozumiałam. Doskonale rozumiałam wszystko, co mówił. — Myślę, że rozumiesz bardzo dobrze — powiedział smutnym, pełnym szczerości głosem. Szczerości, która przyćmiła wszystkie wcześniejsze wydarzenia.

Pobraliśmy się pół roku później. Byłam niesamowicie szczęśliwa. Rodzice uważali co prawda, że za bardzo się spieszymy, ale szybko przypomniałam im, że przecież sami zaręczyli się po zaledwie trzech miesiącach znajomości. Mama spojrzała na mnie lekko zmieszana i powiedziała, że „w jej czasach” było zupełnie inaczej, a poza tym wzięli ślub dopiero dwa lata później. Osobiście sądziłam, że mama miała czas do stracenia albo wątpliwości, które trzeba było rozwiązać. Ja nie miałam ani czasu do stracenia, ani wątpliwości, nie widziałam więc powodu, by przedłużać okres narzeczeństwa. Alison rzuciła aluzję, że może to wcale nie jest miłość, tylko pożądanie, na co zareagowałam śmiechem, lekceważąc jej cyniczną insynuację. Po cichu współczułam Alison, że nigdy nie miała okazji doświadczyć takiego porywu uczuć. Jediną osobą, która potrafiła dostrzec pozytywny aspekt mojego rychłego zamążpójścia, był ojciec — na wieść o naszych zaręczynach wyraził nadzieję, że może dzięki temu zaczną się wreszcie rozglądać za „prawdziwą” pracą. Nigdy nie przepuścił okazji, by mi przypomnieć, że w jego mniemaniu praca za barem nie jest zajęciem imponującym.

Ojciec miał rację, myślałam o prawdziwej pracy, a miało nią być wydanie na świat grupki bambinich, najlepiej jednego po drugim. Nie chciałam, żeby moje dzieci miały podstarzałą matkę, jak ja. Pragnęłam też, by dorastały razem - różnica wieku pomiędzy mną a moimi braćmi była tak duża, że często czułam się właściwie jak jedynaczka. Miałam nadzieję, że mój dom szybko wypełnią dziecięce głosy, że będzie tętnił życiem.

Oczywiście nie powiedziałam rodzicom o swoich planach, nie miałam ochoty słuchać, jak głośno zastanawiają się, czy Roberto na swoim niezbyt wysokim stanowisku w agencji reklamowej zdoła zarobić na utrzymanie rodziny. Ponieważ wszyscy zdawali się szukać dziury w całym, nie chciałam dolewać oliwy do ognia. Zawsze denerwował mnie brak romantyzmu u moich bliskich, dlatego właśnie Roberto wydawał mi się idealnym partnerem. Oboje byliśmy romantyczni i impulsywni. Nasze dusze odnalazły się i zrozumiały.

Moim zdaniem wszystko było jasne. Zakochaliśmy się w sobie głęboko, szaleńczo i bez pamięci. On, jak każdy Włoch, uwielbiał moje kręcone blond włosy i piegi. Nie potrafił oderwać ode mnie wzroku ani rąk, a uwaga, którą poświęcał mojemu ciału, zdawała się mieć na nie widoczny wpływ. Moje piersi sprawiały wrażenie pełniejszych i bardziej wrażliwych - wystarczyło, że Roberto wszedł do pokoju, a moje sutki natychmiast stawały na baczność, niczym początkujący żołnierze na widok oficera. Moja talia wyglądała na węższą, a brzuch na bardziej płaski. Wciąż byłam pobudzona. Poza tym Roberto zawsze zachwycał się sposobem, w jaki wymawiałam słowa *mobile* i *potato*, podobało mu się, że potrafię wytłumaczyć mu angielski humor, a także uwielbiał to, że jestem osobą pogodną i zawsze się uśmiecham. Nie przeszkadzało mu, że nie mam skończonych studiów ani imponującej pracy. Moją fascynację wszystkim co włoskie uważał za uroczą, schlebiała mu. Twierdził, że jestem świetnym materiałem na matkę. Wszystko mu się we mnie podobało, nic nie powodowało irytacji. Wspaniale było czuć tak pełną akceptację.

Ja także go uwielbiałam. Stanowił ucieleśnienie tego, o czym przez lata marzyłam. Kochałam brzmienie jego głosu (lekko zachrypnięty, pełen ciepła i szczerości, ale wciąż bardzo męski). Ubóstwiałam jego oczy, które nie widziały świata poza mną; podziwiałam jego ramiona i plecy, silne i idealnie proporcjonalne do talii. Jego stopy były zadbane, kości policzkowe od-

powiednio zarysowane, a ubrania nieskazitelnie czyste. Włosy lśniły tak kusząco, że ilekroć znaleźliśmy się w tym samym pomieszczeniu, musiałam powstrzymać się przed zatopieniem w nich swoich dłoni. Był spełnieniem wszystkich moich fantazji. Łatwo się go kochało.

Pobraliśmy się w Anglii, choć, szczerze mówiąc, nie o tym marzyłam. Chciałam wyjść za mąż we Włoszech. Oczami wyobraźni widziałam siebie kroczącą piazzą w śnieżnobiałej powłóczystej sukni i butach na wysokim obcasie. Prowadziliśmy gości na wystawne weselne śniadanie w eleganckiej trattorii, Roberto trzymał mnie za rękę, a ja uśmiechałam się promiennie. Ludzie wokół wiwatowali i klaskali, życząc nam wszystkiego najlepszego i obsypując nasze głowy ryżem. Przez wiele godzin jedliśmy wykwintne potrawy, popijając dobre wino, a potem tańczyliśmy na ulicy — pomimo późnej godziny wieczór wciąż był ciepły. Roberto zwrócił mi jednak uwagę, że nie jestem katoliczką i musielibyśmy uczestniczyć w naukach przedmałżeńskich oraz spełnić wiele innych wymagań, zanim uzyskalibyśmy pozwolenie na ślub kościelny. Nie bardzo mogliśmy wziąć kilkumiesięczne urlopy w pracy tylko po to, by zająć się przygotowaniem. Poza tym w dalszym ciągu nie mówiłam po włosku (wciąż zamierzałam rozpocząć naukę, ale brakowało mi czasu), a msza musiałaby się odbyć po włosku albo nawet po łacinie.

Decyzję o ślubie w Anglii ostatecznie przesądził jednak stan zdrowia ojca - tata od dawna chorował na serce, a teraz zaczęły go lękać ataki arytmii. Nie były na tyle silne, by uniemożliwić mu podróż, ale jakoś nie widziałam swojego siedemdziesięcioletniego ojca tańczącego na ulicy i próbującego porozumieć się po włosku z rodziną mojego męża. Stwierdziłam więc (a raczej Roberto mnie przekonał), że spokojny ślub w kościele anglikańskim w rodzinnej miejscowości moich rodziców będzie najlepszym rozwiązaniem. Wiedziałam, że Roberto zachował się jak na zięcia przystało, stawiając zdrowie ojca na pierwszym

miejscu, nie mogłam więc upierać się przy swoim. Pocieszałam się, że przecież możemy zorganizować we Włoszech chrzciny naszych dzieci i wtedy przejść piazłą.

Zaskoczyło mnie, jak niewielu krewnych mojego męża przyjechało na wesele. Jego ojciec zmarł, kiedy Roberto miał czternaście lat, ale matka wciąż mieszkała we Włoszech ze swoim ojcem oraz siostrą Roberta, Paoliną. Podobno kłótnia, która skłoniła mego małżonka do porzucenia rodzinnego interesu i rozpoczęcia kariery w Anglii, była na tyle poważna, że urazy nie poszły w niepamięć przez minione pół roku. Po naszych zaręczynach Roberto wielokrotnie rozmawiał z matką przez telefon. Nawet bez znajomości włoskiego rozumiałam, że mój przyszły mąż błagał ją, by przyjechała na nasz ślub. Na próżno.

Zarzuciłam mu ręce na szyję, próbując go pocieszyć.

- Może powinniśmy poczekać ze ślubem, aż wyjaśnicie wszystkie sprawy? - zaproponowałam, ale zaraz pomyślałam, że chyba umarłabym z żalu, gdybyśmy musieli przełożyć nasze wesele choćby o minutę.

- Bez sensu - odparł. Nie kontynuował, a ja nie drążyłam tematu.

Wciąż jednak oczekiwałam przybycia całego zastępu ciotek, wujków, kuzynów, kuzynek oraz rodziców chrzestnych. Przecież Włosi są tacy rodinni! Nikt z krewnych Roberta się jednak nie zjawił. Tłumaczyli się zbyt późnym zawiadomieniem, ale podejrzewałam, że jego kłótnia z matką musiała wstrząsnąć całą rodziną. Udawałam, że wierzę w ich wyjaśnienia, gdyż nie chciałam zmuszać Roberta do kolejnej konfrontacji. Choć przez ostatnie sześć miesięcy spędziłam niezliczone godziny, rozmawiając chyba na każdy z możliwych tematów, nigdy nie znalazłam właściwej chwili, by zapytać, w jaki sposób rodzina go „dusi” i dlaczego musi od niej odpocząć. Roberto zakładał, że doskonale wiem, o co mu chodzi. Ja zaś nie pytałam o szczegóły, by żył w błogim przekonaniu, że tak doskonale się rozumiemy. Postanowiłam nie rozdrapywać ran, przecież prędzej czy

później i tak wszystko wyjdzie w praniu. Po co niepotrzebnie zaprzętać sobie tym głowę? Na szczęście czworo czy pięcioro przyjaciół Roberta przyjechało na nasz ślub, większość z nich przywiozła ze sobą żony i gromadkę dzieci, tak że część kościoła, w której powinni zasiadać goście pana młodego, nie wyglądała ostatecznie najgorzej.

Niektóre panny młode mówią, że dzień ślubu nie sprostął ich oczekiwaniom. Może po prostu oczekują zbyt wiele i za bardzo się wszystkim stresują. Nie ja - mój dzień był niezwykły. Delektowałam się każdą chwilą, od świtu po zmierzch i znowu do świtu. Miałam lśniące włosy, piękną powłóczystą suknię i przystojnego męża. Kwiaty pachniały, znajomi byli zachwyceni, a krewni trzeźwi. Było idealnie. Kiedy wyszliśmy z kościoła, wzięłam głęboki oddech. Przysięgam, że poczułam zapach otwierających się przede mną możliwości, może dlatego, że powietrze w środkowej Anglii jest *czystsze niż w Londynie*.

— No. I żyli długo i szczęśliwie - wyszeptałam do siebie.

Kiedy zamykam oczy i myślę o wymarzonej „i żyli długo i szczęśliwie”, od razu pojawia się w nim tuzin pyzatyh bambinich. Nam jednak nie udało się począć małości z gęstymi czarnymi loczkami i aksamitnymi oczami. Ani żadnego innego.

Byłabym dobrą matką. Jestem tego pewna. Kocham dzieci, wszystkie. Nigdy nie widziałam malucha, który nie byłby w stu procentach uroczy. Uwielbiam je, nawet jeśli śmierdzą, są hałaśliwe albo brzydkie. Właściwie uważam, że nie ma brzydkich dzieci (choć według Alison wszystkie są paskudne) — są tylko takie, które jeszcze się nie przemieniły w piękne łabędzie. Uwielbiam też niemowlęta. Niektóre kobiety lubią niemowlaki, ale nie lubią dzieci. Albo odwrotnie. Ale nie ja. Mnie podobają się, gdy stawiają pierwsze kroki i gdy biegają bez tchu. Gdy sepleniąc, wypowiadają pierwsze słowa i gdy bezustannie powtarzają hasła z jakichś okropnych kreskówek. Lubię też nastolatków. Po prostu chcę mieć rodzinę. Głośną, bałaganiarską, absorbującą, dużą rodzinę. Zawsze tego chciałam. Przecież popołudniowa *passegata* ze wspomnianą głośną, bałaganiarską, absorbującą, dużą rodziną stanowiła część mojego wymarzonego włoskiego życia.

Roberto natomiast jest idealnym kandydatem na ojca. Też lubi dzieci - jak wszyscy Włosi. W dodatku jest dobry, cierpliwy i zabawny - wszystkie pociechy naszych znajomych go uwielbiają.

Od lat staramy się o dziecko, w sumie można powiedzieć, że od zawsze, od momentu pierwszego zbliżenia, co oczywiście

można by uznać za odrobinę nieodpowiedzialne, ale nie w głowie nam wtedy była odpowiedzialność. Opanowało nas niemal zwierzęce pożądanie, które spowodowało, że zaledwie sześć godzin po tym, jak po raz pierwszy zmierzaliśmy się wzrokiem, byliśmy już w łóżku i nie wychodziliśmy z niego praktycznie do momentu, w którym włożyłam suknię ślubną. Ale nie było z tego dzieci.

Każdy zna kogoś, kto nie może zająć w ciąży. To plaga naszych czasów, ale powszechność tego zjawiska wcale nie czyni go mniej bolesnym; moim zdaniem nawet pogarsza sprawę. Współczucie przychodzi znacznie trudniej. Ludzie myślą, że problemy z poczęciem (bardzo ostrożnie używam słowa „bezpłodność”) są niczym alergie pokarmowe. Oczywiście współczują takim parom, ale jednocześnie podchodzą do tego problemu nieco sceptycznie. No bo przecież jakiś czas temu, za mojego dzieciństwa, nie było czegoś takiego jak alergie pokarmowe. Czy to więc możliwe, że są one wymysłem naszych czasów? Podobnie jak bezdzietność.

Przeczytałam chyba każdy artykuł napisany na ten temat. Dowiedziałam się, że spadek liczby kobiet zachodzących w ciążę jest spowodowany tym, że coraz więcej z nich używa środków antykoncepcyjnych (jak już jednak wspominałam, nie w moim przypadku), stawia karierę ponad rodzinę (jaką karierę?) albo też zbyt późno decyduje się na dziecko, gdyż cały czas spędza u fryzjera, kosmetyczki lub na innych rozrywkach (nieprawda, nieprawda!). Wyciągnęłam z tego wszystkiego tylko jeden wniosek - powinnam czytać inne gazety. Przydałoby się coś mniej mizoginicznego. W innych artykułach pisali, że winę może ponosić brudna woda w Tamizie, obniżając liczbę plemników w spermie, ale Roberto zawsze pije wodę mineralną. Albo że powodem jest praca — spędzanie ośmiu godzin przed komputerem może powodować negatywne skutki, komputer może wydzielać coś paskudnego, co wpływa na męskość mojego małżonka. Ale facet pracujący przy biurku obok Roberta

ma czwórkę dzieci, w tym bliźniaki. Inna możliwość to konserwanty i barwniki dodawane do dań gotowych (zła żona, leniwa żona) albo stresujący tryb życia, ale przecież nie jesteśmy zestresowani, a przynajmniej nie byliśmy.

Albo po prostu pech.

Okazało się, że po prostu pech.

Zrobiliśmy wszystkie badania. Po dwóch latach starań rozpoczęliśmy serię testów, które miały wyjaśnić, dlaczego nie mamy potomstwa. Biedny Roberto — żadne z nas nie cieszyło się na tę myśl, ale wydaje mi się, że mężczyźni znacznie gorzej znoszą interwencję medyczną. Nie twierdę, że znajdowałam przyjemność w sikaniu do pojemników, oddawaniu krwi i przeróżnych próbek płynów ustrojowych, ale przynajmniej miałam za sobą lata uwłaczających godności badań cytologicznych, które w jakiś sposób przygotowały mnie na to doświadczenie. Najgorszą natomiast rzeczą, której do tej pory doświadczył Roberto w gabinecie lekarskim, było badanie odruchu kolanowego, czyli stuknięcie młotkiem w kolano.

Nie będę opisywać szczegółów tego, przez co musieliśmy przejść. Jak już mówiłam, każdy zna kogoś, kto musiał znieść te katusze. Wszyscy więc wiedzą, że to krępujące, bolesne (zarówno fizycznie, jak i psychicznie), wykańczające badanie, do tego - przynajmniej w naszym przypadku - bezproduktywne. Okazało się, że wszystko z nami w porządku. Na początku strasznie się ucieszyłam. Jeśli wszystko jest w porządku, to przecież dobrze. Lekarz poradził, żebyśmy zrobili sobie wakacje i zajęli się uprawianiem seksu. Oczywiście jego zalecenia bardzo przypadły nam do gustu. Ale po kolejnym roku intensywnej, acz bezskutecznej kopulacji dotarło do mnie, że ta diagnoza, z pozoru idealna, była w gruncie rzeczy tragiczna. Jeśli wszystko jest w porządku, jak można nam pomóc? A przecież potrzebowaliśmy pomocy.

Wróciliśmy do kliniki, prosząc o przeprowadzenie dodatkowych badań. Chcieliśmy wiedzieć, jakie mamy szanse i jakie

możliwości. Po długich konsultacjach z wieloma specjalistami postawiono wreszcie diagnozę: „niewyjaśniona niepłodność”. W innych warunkach takie wytłumaczenie mogłoby być nawet zabawne.

— Ale co to tak naprawdę oznacza? - zapytał Roberto. Nawet nie próbował ukryć irytacji. Delikatnie ścisnęłam jego rękę. Chciałam, żeby był uprzejmy. Chciałam, żeby lekarz widział, że zasługujemy na to, aby mieć dziecko. Bałam się, że okazywanie frustracji może nam zaszkodzić.

Lekarz westchnął.

— Niewyjaśniona, ot co. Przecież to się rozumie samo przez się — odparł i wzruszył przepraszająco ramionami. — Nie znaleźliśmy nic, co mogłoby mieć wpływ na wasze problemy z poczęciem. U małżonki występuje owulacja, jajowody nie są uszkodzone, nie ma objawów endometriozy. Liczba plemników w pańskiej spermie pozostaje w normie. Wszystko w porządku. Są państwo zdrowym młodym małżeństwem - dodał i poprawił okulary, spoglądając na nas niepewnie. -Trzydzieści procent przypadków niepłodności pozostaje niewyjaśniona.

- Przecież to absurd! — krzyknął Roberto. - Na pewno można coś jeszcze zrobić, coś sprawdzić.

Lekarz wzruszył ramionami. Wyglądał na równie wykończonego jak my. Chciałam, by dodał nam otuchy i zachęcił do wysiłku, jak trener swoich graczy, ale odniosłam wrażenie, że wiedział o naszym spadku do niższej ligi płodności i nie mógł zrobić nic, by temu zapobiec. Westchnął.

- Możemy sprawdzić, czy płyny pochwowe małżonki nie blokują drogi pańskim plemnikom. W takich przypadkach często właśnie o to chodzi.

Jeżeli zamierzał rozwinąć temat i wytłumaczyć nam, na czym polegałyby badania oraz czy możliwe byłoby podjęcie leczenia, gdyby ta hipoteza okazała się prawdziwa, nie zdążył. Roberto zerwał się z krzesła jak oparzony, chwycił mnie za rękę i pociągnął do wyjścia.

Kiedy wyszliśmy z kliniki, przeniknął nas chłód. Jesienny wiatr przeszywał moje ciało, a ja patrzyłam na liście i śmieci, które unosił tuż ponad ziemią. W mojej głowie wciąż brzmiały słowa lekarza, znacznie bardziej realistyczne niż śmiech pyzatego malucha. Roberto przeklinał po włosku. Nagle kopnął leżącą na ulicy zgniecioną puszkę, a potem wymierzył kopniaka ścianie. Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy może nie chce kopnąć mnie albo przynajmniej moich ohydnych, blokujących drogę płynów.

- *Va fanculo*, głupi lekarzu - powtarzał bezustannie. — On nic nie wie. Nic a nic. - Roberto wreszcie odważył się na mnie spojrzeć. Przestał przeklinać, przyciągnął moją twarz do swojej i pocałował mnie. Połykał bluźniercze i wulgarne słowa, całując mnie namiętnie. Zatrzymał taksówkę, wcisnął mnie do środka, po czym podał nasz adres. Nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę, dopóki nie poczułam łez spływających po zaciśniętych w pięści dłoniach opartych na kolanach. Chyba próbowałam kontrolować ich ruchy, bojąc się, że gdybym je rozluźniła, mogłabym wyrządzić sobie krzywdę. Co ze mnie za żona? Po co żyję? Roberto znów zaczął mamrotać przekleństwa, a jego wściekłość nie słabła przez całą drogę do domu. Musieliśmy wyglądać okropnie, bo kierowca nawet nie próbował wymienić z nami uprzejmości, a przecież mało co jest w stanie odwieść taksówkarzy od rozpoczęcia pogawędki z pasażerami.

Jeszcze do końca nie weszliśmy do domu, a Roberto już zaczął rozpinąć spodnie i podnosić moją spódnicę. Gwałtownym szarpnięciem zerwał ze mnie majtki i wszedł we mnie niemalże natychmiast. Zrobiliśmy to na schodach; wziął mnie szybko i mocno, z całych sił. Pot spływał mu po plecach na pośladki. Oplotłam go ramionami i nogami i przycisnęłam mocno do siebie, starając się ignorować otarcia, które stopniowo pojawiały się na skórze łokci i ramion. Galopował tak, jakby kogoś gonił. Może po prostu chciał wejść głębiej i być bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Niewątpliwie wyobrażał sobie, że walczy z moimi za-

bójkowymi płynami. To nie było podniecenie i chęć seksualnego spełnienia, tylko desperacja. Przypominało mi trochę Alicję goniącą Białego Królika. „Jestem spóźniony! Jestem spóźniony!”. Słyszałam, jak Roberto szepcze imiona świętych. Często to robił, żeby opóźnić orgazm, a mnie wydawało się to równie urocze jak zabawne. Podobało mi się, że musi stosować techniki przedłużania przyjemności, znaczyło to, że jestem atrakcyjna i pociągająca. Kiedy jednak wsłuchałam się w jego słowa, zdałam sobie sprawę, że tym razem nie próbuje opóźnić momentu rozkoszy, myśląc o rzeczach świętych. Modlił się.

-Tym razem, proszę, Boże - wyszeptał. Popatrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Jego twarz tonęła w moich łzach. Scałowywał je z moich policzków. — Tym razem, proszę, Boże. Potrzebujemy tego dziecka.

Po chwili szczytował, a potem opadł na mnie bez sił. Jego ciężkie, bezwładne ciało, desperacko pragnące począć nowe życie, leżało bez ruchu. Kiedy zebrał wystarczająco energii, wstał, szybkim ruchem ściągając skarpetki i spodnie, które znajdowały się w okolicach kostek, po czym wziął mnie na ręce niczym świeżo poślubioną pannę młodą i zaniósł do łóżka.

Spędziliśmy tam całe popołudnie, tym razem kochając się powoli i namiętnie. Całował i pieścił moją skórę, tak jakby chciał z niej zmyć obrzydliwe słowa lekarza. Dotykając mnie i głaszcząc, starał się złagodzić żal, który przeszywał nasze niechętnie do współpracy ciała oraz odsunąć ponurą myśl o bezdzietnej przyszłości. Jego dotyk przynosił stopniowe ukojenie i — kiedy pozwoliłam, by moja nienawiść do samej siebie osłabła — wprowadzał mnie w stan podniecenia.

Umiejętnie przechodził z jednej pozycji w drugą, sprawiając, że czułam się kruchą, delikatną kobietą (choć tak naprawdę jestem raczej krzepkiej postury). Sprawiał wrażenie silnego, ja zaś ulegle poddawałam się jego pieszczotom. Wiedział, że potrzebuję poczuć się jak kobieta, sam zaś potrzebował udowodnić, że jest prawdziwym mężczyzną. Ciągające się miesiącami

badania mocno nadszarpnęły nasze poczucie wartości, a ostatnie słowa lekarza zadały potężny cios naszej seksualności.

Roberto powoli ściągał ze mnie resztki ubrania, później pozbył się swoich. Całował każdy centymetr mojego ciała. Od początku był bardzo uważnym, cierpliwym kochankiem, ale tego dnia nasza miłość osiągnęła zupełnie nowy wymiar. Obejmował i pieścił moje piersi tak, jakby robił to po raz pierwszy. Delikatnie jeździł opuszkami palców wzdłuż mojego kręgosłupa aż do pośladków. Potrafił przewidzieć, w które miejsce powinny przesunąć się jego dłonie i z jaką siłą powinny mnie dotykać. Cichutko pojękując, błędził dłońmi po moim ciele powoli, bez pośpiechu, jakbyśmy mieli dla siebie całą wieczność. Opuszki jego palców delikatnie drażniły moją skórę, dając mi nieopisaną rozkosz. Sprawiał, że czułam się chciana i potrzebna. Ekscytująca i podekscytowana. Fala rozkoszy zalała moje ciało, potem następna. Każdy orgazm był życzeniem, modlitwą, nadzieją na poczęcie. Chcieliśmy wierzyć, że jeśli będziemy się kochać wystarczająco długo, głęboko i intensywnie, zaprzeczymy słowom lekarza i zapoczątkujemy nowe życie. To był najlepszy seks w naszym życiu, nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś takiego. Ani nigdy później. Był taki czysty, ważny, był czymś znacznie więcej niż przyjemnością, miał swój cel. Czułam się zmysłowa, pochłonięta, szczęśliwa.

Ale nasza miłość nie przyniosła owoców.

Przestaliśmy o tym rozmawiać. Kiedy po długim, pełnym nadziei oczekiwaniu dostałam okres, Roberto nic nie powiedział. W milczeniu patrzył, jak wrzucam do wózka z zakupami pudełko tampaksów. Bo cóż właściwie mógłby powiedzieć?

Bezdzienna trzydziestotrzylatka to może nie byłaby jakaś wielka tragedia, gdybym nie miała męża. Wtedy ludzie zaspokajaliby swoją ciekawość pytaniem, czy poznałam „kogoś wyjątkowego”. Po upływie sześciu miesięcy zaczęliby pytać: „Wybraliście już datę ślubu?”. Rozmowy o związkach zawsze rozwijają się według stałego schematu. Wszyscy go znają. Następny etap to dyskusje na temat wyboru sukni i podróży poślubnej. Potem zaczynają się pytania: „Myślicie o powiększeniu rodziny w najbliższym czasie?”. Ale Roberto i ja jesteśmy małżeństwem od sześciu lat, jest więc oczywiste, że jeśli planujemy powiększenie rodziny „w najbliższym czasie”, to jakoś nam to nie wychodzi. Sytuacja jest niezręczna — ludzie nie wiedzą już, o co mnie pytać, moja niepłodność powoduje krępujące milczenie.

W ciągu ostatnich trzech lat zdołałam ograniczyć uzalanie się nad sobą do sporadycznych wybuchów płaczu w obecności Alison. Kiedy za dużo wypiję albo kolejna znajoma zajdzie w ciążę, trochę pomarudzę, czasem popłaczę, ale zazwyczaj udaje mi się stłumić żal pomieszany z krwiożerczą zazdrością i ślepą wściekłością, i z uśmiechem na twarzy idę na *baby shower**. Uważam to za nie lada osiągnięcie.

Przyjęcie dla przyszłej mamy i nienarodzonego jeszcze dziecka organizowane w krajach anglosaskich (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Wciąż staram się o dziecko. To znaczy my się staramy. Ale już nie pozwalamy sobie na snucie marzeń o roześmianej rodzinie, a przynajmniej nie na głos. Nie rozmawiamy już o tym, że powinniśmy się przeprowadzić do większego mieszkania albo domku z ogródkiem, nie komentujemy zachowania dzieci znajomych i nie zastanawiamy się, co zrobimy inaczej, kiedy będziemy mieć własne. Nie ustalamy, jak będziemy obchodzić święta Bożego Narodzenia, ani nie puszczamy wodzy fantazji, wyobrażając sobie, jak nasze dzieci i ich koledzy będą się zachwycać kucharskimi umiejętnościami Roberta.

Każdego ranka wciąż mierzę temperaturę, w tajemnicy przed mężem. Poza tym regularnie robię testy ciążowe. I czekam na wyniki. Jeśli przed tym wszystkim nie czułam się chora, teraz bardzo łatwo mi sobie wmówić, że pewnie dzieje się ze mną coś strasznego. Pilnuję, abyśmy uprawiali seks wtedy, gdy (według książek) istnieje największe prawdopodobieństwo poczęcia, choć wiem, że Roberto nie pochwala takiego podejścia. Dlatego wiedząc, że najbardziej płodny czas występuje u mnie od ósmego do jedenastego dnia po okresie, staram się, byśmy kochali się wtedy codziennie. Jednocześnie próbuję dorzucić do tego szybki numerek przynajmniej raz w tygodniu, żeby Roberto nie zauważył powtarzającego się schematu.

Mój mąż wciąż uważa, że nasze życie erotyczne powinno być spontaniczne, że powinniśmy kochać się wtedy, kiedy mamy na to ochotę. Twierdzi, że tak jest bardziej naturalnie, a i tak będzie, co ma być. Zdecydowanie bardziej niż ja ufa temu Panu na górze. Ja tam wolę naukowców. Albo ziołarzy. Albo dietetyków. No dobra, czasem też zamienię słówko z Panem na górze. Spróbuję wszystkiego, co mogłoby pomóc. Plusy są takie, że przynajmniej wciąż prowadzimy aktywne życie seksualne, co z pewnością podoba się mojemu mężowi. Inne pary z podobnym stażem małżeńskim zwykle kochają się nie częściej niż raz w tygodniu. Zazwyczaj jednak mają dwójkę dzieci, które nie pozwalają im się wyspać i wymagają ciągłej uwagi.

Szczęściarze.

Za każdym razem gdy dostaję okres, staję się nie do zniesienia. Wiele kobiet zachowuje się wówczas irracjonalnie, są rozdrażnione, mają pryszcze i tłustą cerę. Ja również, ale dodatkowo czuję się gruba, niezdarna, zapominalska - naprawdę! - i kompletnie zrozpaczona. Każdy okres to niepoczęte dziecko, każde krwawienie zdaje się przybliżać wizję samotnej starości. Nigdy specjalnie nie podobało mi się, że co miesiąc krwawię niczym zarżnięte prosię. Nie pamiętam pierwszego okresu, mama nie zabrała mnie wtedy do sklepu, żeby kupić podpaski i buty na obcasie, a jeśli nawet coś takiego miało miejsce, kompletnie już o tym zapomniałam. Nie potraktowałam tego jak święto, ale przyjełam z pokorą, tłumacząc sobie, że takie jest życie. Zaakceptowałam tę uciążliwą niedogodność i dyskomfort, który się z nią wiązał, tylko dlatego, że uznałam je za zło konieczne, dzięki któremu będę miała to, czego pragnęłam najbardziej w życiu. Teraz jednak denerwował mnie podział mojej garderoby - połowę stanowiły ubrania przeznaczone na „grube dni”. Wydawał się wyjątkowo irytujący i bezsensowny.

Dzieci trzymają nas na uwięzi. Ja fruвам. Unoszę się w powietrzu ponad dachami domów niczym balon na sznurku. Potrzebuję dziecka, które będzie trzymało mój sznurek. Każdy kto kiedykolwiek widział wznoszący się ku niebu balon, wie, że w każdej chwili może pęknąć. Balony potrzebują, by ktoś je trzymał.

Chciałabym się pogodzić z brakiem potomstwa. W końcu nie jesteśmy przecież tacy starzy, znaczna część naszych znajomych nie zaczęła jeszcze nawet myśleć o założeniu rodziny. Zimą spędzają weekendy w przytulnych chatkach w górach, latem nurkują w egzotycznych krajach. Wielu z nich przesiaduje w głośnych pubach, pijąc do upadłego. Ale to zupełnie co innego. To jest ich świadomy wybór. Wierzą, że jeśli tylko zechcą się rozmnażać, wystarczy przestać pić, łyknąć trochę kwasu foliowego i cynku, a potem się bzyknąć. I wiecie co? Zazwy-

czaj okazuje się, że to prawda. Wygląda na to, że wszyscy moi znajomi są płodni niczym ziemie pokryte dużą ilością jakiegoś super użyźniacza.

My nie mamy wyboru. Przesiadujemy w głośnych pubach, ponieważ nie chcemy siedzieć w domu, wsłuchując się w pustkę, którą przecież już od dawna powinny wypełniać dziecięce głosy. Wiem, że powinnam podjąć studia albo zrobić jakiś kurs, a potem skupić się na robieniu kariery. Albo przynajmniej zarzucić plecak i ruszyć z Robertem na podbój Australii. Ale nie chcę. Chcę zarzucić nosidełko i iść na spacer do Kensington Gardens wraz z innymi młodymi, atrakcyjnymi mamuškami.

Niektóre moje koleżanki, które mają dzieci, próbują mnie przekonać, że to wcale nie jest taka sielanka. Narzekają na utratę niezależności i nieprzespane noce, ale później niszczą cały swój wysiłek jednym nieopatrzonym spojrzeniem. Widzę, jak zerkają na swoje dzieci, i od razu wiem, że je ubóstwiają. Wielbią. Kochają być matkami i nie zamieniłyby macierzyństwa na żadne skarby świata. Obserwuję pary pchające wózki. Mam świadomość tego, że wiele z nich nie potrafi się odnaleźć w nowej roli i często dochodzi między nimi do kłótni. Są niewyspani i zrzędlivi. Ale marzę, żeby pokłócić się o to, czyja kolej na zmianę pieluchy.

Alison nie podziela mojego pragnienia bycia matką. Rzuciła pracę kelnerki w wieku dwudziestu dwóch lat i teraz ma świetną, dobrze płatną, inspirującą, odpowiedzialną posadę — doradza brytyjskich rolnikom, jak wprowadzać na rynek i reklamować ekologiczną żywność. Jest kierownikiem działu PR albo coś takiego w... kurczę, nie pamiętam. Nie w Soil Association*, ale coś w tym stylu. W każdym razie to co robi, jest ważne; dzięki niej świat zmienia się na lepsze. Tyle wiem na pewno. Dziennikarze z gazety „The Guardian” często proszą ją o komentarze

* Jedna z najbardziej znanych brytyjskich organizacji promujących ekologiczne produkty.

w różnych sprawach. Mój brat Max zawsze był pod wrażeniem, że przyjaźnię się z kimś na tak wysokim stanowisku, choć jednocześnie nie krył, że nie do końca rozumie, jak to właściwie możliwe. Nie sądził, że mogę mieć poważnych znajomych, co najwyżej poważne zadłużenie na koncie. Nie mógł się powstrzymać i w końcu zapytał mnie, o czym tak właściwie rozmawiamy. Odpowiedziałam, że głównie o szminkach i jej dziewczynach. Oczywiście nie jest to do końca prawdą. To znaczy rozmawiamy o szminkach, Alison zaś jest lesbijką, ale mamy też inne tematy. Po prostu chciałam się odgryźć za to, że traktuje mnie protekcyjnie. Ponieważ nie mam dziecka, moja rodzina traktuje mnie, jakbym sama nim była.

Kiedyś zapytałam Alison, co jej zdaniem spowodowało, że nie chce mieć dzieci - jej orientacja seksualna czy kariera.

— Myślę, że praca. No i brak partnerki. Nie chciałabym przechodzić przez to wszystko sama, we dwoje to co innego. Ale może to moja orientacja sprawia, że nie mam ochoty podporządkować własnych potrzeb innym, opiekować się jakąś istotą albo kilkoma istotami i wejść w układ, który od zarania dziejów niszczy kreatywność kobiet i ich niezależność.

Jak można w ten sposób mówić o życiu rodzinnym?

Każda z nas pozostaje przy swoim zdaniu, zarówno w tej kwestii, jak i w wielu innych. Czasem myślę, że może Max ma rację, i zastanawiam się, jakim cudem udało nam się przetrwać w przyjaźni tyle lat. Przecież jesteśmy zupełnie różne. Alison uważa, że życie rodzinne jest szatańskim wynalazkiem, dom rodzinny zaś - współczesnym piekłem. A przynajmniej tak właśnie by myślała, gdyby dopuszczała możliwość istnienia życia po śmierci i nie uważała go za kompletną bzdurę, przesąd, złudzenie czy też przejaw tchórzostwa. Ja wierzę, że może istnieć życie na innych planetach, a Jezus był w porządku. Nigdy nie przechodzę pod drabiną. Brakuje mi odwagi, by wyzbyć się przesądów i powstrzymać od spekulacji. Nigdy nie chciałabym pracować w wielkiej korporacji, nawet w takiej, która

cieszy się doskonałą tenomą (choć muszę przyznać, że Alison nosi przepiękne kostiumy). Ona głosuje na Partię Pracy, ja często zmieniam zdanie albo w ogóle zapominam pójść do urn. Ona potrafi wskazać na mapie niemalże każde miasto na świecie i dodatkowo podać najważniejsze wydarzenia historyczne, które się w nim rozegrały. Moja znajomość geografii ogranicza się do wiedzy na temat tego, który kraj wystawia jaką piosenkę na Konkurs Eurowizji. Ale kochamy się.

Myślę, że Alison bardzo docenia to, że się nie przestraszyłam, kiedy się ujawniła w wieku dwudziestu trzech lat. W przeciwieństwie do innych jej znajomych, nie ignorowałam jej telefonów, nie rzucałam kawałów o pedałach ani nie próbowałam jej przekonać, że po prostu nie spotkała jeszcze odpowiedniego mężczyzny. Nie krzyknęłam też (jak jej matka), że przecież jest za ładna na lesbijkę. Alison rzeczywiście jest bardzo atrakcyjna, ale wydaje mi się, że to właśnie kobiety potrafią docenić jej prawdziwe piękno. Nigdy nie przeszkadzała mi orientacja seksualna mojej najlepszej przyjaciółki, choć są osoby, którym to nie odpowiada. Nieliczne dziewczyny, z którymi się spotykała (zazwyczaj po każdej następowała dłuższa przerwa), zawsze odnosiły się do mnie podejrzliwie, gdyż ważniejsza była dla niej nasza przyjaźń niż nowy związek. Alison nie jest osobą, która znika z radaru przyjaźni, po czym pojawia się na nim ponownie za kilka miesięcy zawstydzona, potrzebująca przyjacielskiego ramienia i dużej ilości chusteczek.

Alison i ja przeczyamy stereotypom. Moja przyjaciółka, choć lesbijka, nie jest rozwiązła (co moi byli partnerzy, z Robertem włącznie, przyjmowali z rozczarowaniem - zawsze skrycie marzyli, że kiedyś choć na chwilę zapomnę, że jestem heteroseksualna, dzięki czemu uda im się nakręcić jakieś pikantne sceny). W zasadzie Alison rzadko z kimś sypia. Ja z kolei, odkąd skończyłam osiemnaście lat, nie wytrzymałam w celibacie dłużej niż kilka tygodni. Ale też nie uważam się za rozwiązłą,

zawsze byłam zagorzałą monogamistką. Mówiąc krótko, ja jestem romantyczką, a Alison jest wybredna - tak to chyba można najprościej ująć.

Czas odgrywa tu ważną rolę. To, że znamy się od jedenastu lat, znaczy bardzo wiele. Żadna z nas nie ma rodziny w Londynie. Ja i Roberto jesteśmy jej przybraną rodziną, ona jest naszą. Pomagamy sobie w trudnych chwilach, cieszymy się ze swoich sukcesów. To ona zna mnie najlepiej na świecie, choć pewnie Roberto oburzyłby się, słysząc te słowa. To do niej dzwonię, kiedy dostaję okres.

- Hej - mówię cicho. Nie przedstawiam się, przecież mój numer wyświetla się na ekranie jej komórki, a poza tym oczywiście znamy swoje głosy.

Przez chwilę milczę. Słyszę, jak palce Alison wystukują coś na klawiaturze komputera. Pewnie sprawdza swój elektroniczny kalendarz.

- Dostałaś okres - odpowiada ze współczuciem. Potakuję, ale nie wypowiadam ani słowa w obawie przed

niekontrolowanym wybuchem płaczu. Przez ostatnie dwa miesiące zmuszałam się do picia wywaru z *agnus castus* (czyli niepokalanka pospolitego; trochę to dziwna nazwa jak na zioło, które ma pomóc w zajściu w ciążę). Smakowało ohydnie, pachniało jeszcze gorzej, Roberto zagroził więc, że się ze mną rozwiedzie, jeśli dalej będę parzyć to świństwo w kuchni. Alison wie o wszystkich specyfikach, których próbuję, i zawsze mnie wspiera. Czasem tylko zapomni się i rzuci spojrzenie, które podaje w wątpliwość moje zdrowie psychiczne, ale zazwyczaj udaje jej się reagować optymistycznie.

-1 co, nowe ziółka nie pomogły? - pyta retorycznie. Doceniam, że stara się być na bieżąco z wszelkimi terapiami i lekarstwami, których próbuję. Załatwia mi też zniżki na ekologiczne warzywa. - Czy *agnus castus* to ten, co pomaga w zaburzeniach gospodarki hormonalnej? - pyta. Chyba robi sobie notatki.

- Tak — mamroczę.

- Ale przecież ty nie masz zaburzeń gospodarki hormonalnej. Przecież lekarz powiedział, że pod tym względem wszystko jest w porządku.

- No ale mógł się mylić - odburkuję. - Przecież coś musi być nie w porządku. Spróbuję wszystkiego.

Siedzę w kawiarence internetowej i przeglądam stronę „Naturalne sposoby na poprawę płodności”. Kiedy parę miesięcy temu po raz pierwszy na nią trafiłam, byłam szalenie podekscytowana. Znam większość miejsc w Internecie, które poruszają mój problem, i wypróbowałam już wszystkie opublikowane tam porady. Ten portal był jednak nowy, dawał więc promyk nadziei. Na stronie głównej przywitała mnie sympatyczna lekarka w białym kitlu, uśmiechając się z fotografii. Miała zaokrąglone kształty, co podświadomie sugerowało, że wydała już na świat wiele dzieci. Siedziała w wysokogórskim lesie i roztaczała aureę spokoju i pewności. Uwierzyłam w nią.

—Tu piszą, że niepokalanek zwiększa też płodność - mówię rozzalona. Wiem, że wokół mnie są ludzie, ale to żaden problem, płakałam już w znacznie bardziej zatłoczonych miejscach.

- Na stronie ktoś tam twierdzi, że może zwiększać. To zupełnie co innego. - Wiem, co próbuje zrobić Alison. Próbuje zrzucić winę na witrynę internetową za to, że niepotrzebnie zrobiła mi nadzieję, żebym nie czuła się jak idiotka, której nic nie wychodzi. — Czy potwierdzają to jakiegokolwiek statystyki?

- Przeprowadzono badania na czterdziestu ośmiu kobietach cierpiących na niepłodność, piły niepokalanek codziennie przez trzy miesiące, siedem z nich zaszło w ciążę, a u dwudziestu pięciu unormował się poziom progesteronu.

- Rozumiem. - Tym razem nie mówi, że te wyniki nie są wiarygodne ze względu na niewystarczającą liczbę badanych. Nie zwraca uwagi, że czterdzieści jeden kobiet nie zaszło w ciążę. Nie przypomina mi, że nie znamy historii choroby ani innych danych dotyczących niepłodności badanych. Nie nazywa mnie tonącą, która chwyta się brzytwy. Nie musi.

- Masz ochotę na kawę? — pyta.

- A masz czas?

- Znajdę.

Umawiamy się w kawiarni niedaleko miejsca, w którym pracuje Alison. Kiedy odkładam telefon, biorę ze stołu torebkę i Oyster Card i przez chwilę myślę, że Alison to ma się dobrze. Jest tak ważna, że sama decyduje, kiedy pracuje, a kiedy robi sobie przerwę, by spotkać się z zapłakaną przyjaciółką. Po prostu mówi asystentce, żeby odbierała telefony. Ale po chwili dochodzę do wniosku, że ja też jestem swoim szefem, przynajmniej do wieczornej zmiany. I w ogóle nie muszę odbierać telefonów. Chyba jednak mam lepiej.

Biuro Alison znajduje się niedaleko High Street Kensington, głównej handlowej ulicy w zachodnim Londynie. Przy dobrych wiatrach to dwadzieścia pięć minut autobusem z naszego mieszkania w Chiswick, jeśli jednak są korki, dojazd może zająć nawet godzinę. Na szczęście, choć za tydzień Boże Narodzenie, nie pada śnieg ani deszcz, a władze miasta wprowadziły na ten okres dodatkowe autobusy, specjalnie dla osób wybierających się na świąteczne zakupy. Kiedy przychodzę do kawiarni, Alison już tam jest. Na stole stoją dwie kawy cappuccino i dwa ciastka - marchewkowe dla niej, czekoladowe dla mnie. Wie, że kiedy dostaję okres, potrzebuję czekolady.

- Przykro mi — mówi i popycha lepkie ciasto w moją stronę. Talerz sunie po rozlanej przez poprzednich klientów kawie.

Dziękuję jej i próbuję zignorować dosyć sporą liczbę mam i dzieci, które kręcą się po kawiarni. Grupki kobiet w moim wieku, a może i młodsze, obnoszą się ze swoją płodnością, pewnie żeby zrobić mi na złość. Nie mogę wybuchnąć płaczem - nie chcę wprawiać Alison w zakłopotanie. Zaciskam zęby i mrugam, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. Odruchowo podliczam, że w wokół znajduje się troje małych dzieci, jedno śpiące w wózku niemowlę, jedno maleństwo przyssane do nabrzmiałej piersi matki i kobieta w ciąży. Daję jej trzydziesty drugi tydzień, wygląda kwitnąco. Alison podąża za moim wzrokiem. Wzdryga się mimowolnie. Nigdy tego nie zrozumie.

- Może powinniśmy pójść gdzieś indziej - proponuje.

- Nie ma sensu, wszędzie jest tak samo — odpowiadam i wzdycham ciężko. - Wszędzie roi się od mam z dziećmi. Poza tym nie chodzi tylko o kobiety z brzuszkiem i maluchami. Zazdroszczę każdej kobiecie, która kiedykolwiek wydała na świat potomstwo. Zazdroszczę paniom w średnim wieku, które chwalą się szkolnymi osiągnięciami swoich pociech, i babciom, które przechodzą przez ulicę ze swoimi wnukami za rękę. Matki są wszędzie, nie sposób przed nimi uciec.

Nie widzę powodu, żeby kontynuować temat. „Nie płacz. Tylko się nie rozklejaj”, powtarzam sobie w myślach.

- Znam miejsca, w których rzadko pojawiają się matki z dziećmi. - Alison uśmiecha się łagodnie. Ma na myśli zatłoczone puby, w których ktoś wylewa na ciebie piwo, próbując dopchać się do stolika.

- Chciałabym być taka jak ty - mówię, wkładając kawałek ciasta do ust. Część ląduje na moich kolanach, ale zupełnie mnie to nie rusza. Czekolada rozpływa się powoli w moich ustach, szybko pochłaniam resztę. Próbuję osłodzić swoje życie.

- To znaczy, że chciałabyś mieć fantazje seksualne o Kylie Minogue?

Przez ułamek sekundy rozważam taką możliwość, Kylie świetnie się ubiera i zasługuje na tego typu uznanie.

- Niekoniecznie. Ale zazdroszczę ci spokoju. Nie masz pojęcia, jak to jest tak bardzo czegoś pragnąć. Strasznie boli.

Alison rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. Wiem, że nawet jej cierpliwość ma swoje granice. W sumie zakładanie, że nie rozumie, czym jest prawdziwe pragnienie, było trochę bezczelne. Na pewno pożałowała kiedyś jakiejś kobiety, na pewno zależało jej, by dostać jakąś pracę. Chodziło mi o to, że nigdy nie chciała jednej i tej samej rzeczy przez sześć lat, bez przerwy.

- Niektóre kobiety pragną mieć płaskie umięśnione brzuchy albo szczuplejsze uda, ja chcę mieć duży brzuch i nabrzmiałe ciekące piersi. — Próbuję obrócić swoje słowa w żart. Alison

nic nie mówi, więc kontynuuję, bawiąc się paskiem od torebki. - Czuję, jakby omijało mnie coś ważnego.

- Ale czy można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało?

- Oj można, można. Ze też musiałam dostać okres przed samymi świętami! — wzdycham.

- Ale przecież przed wami kolejny miesiąc, może tym razem się uda. Nowy rok, nowy początek. Nikt nie lubi stycznia, to okropny miesiąc. Czas spłacania długów i odchudzania. Możecie spędzać całe dnie w łóżku, robiąc dzieci.

Wcale mnie to nie pociesza. Alison delikatnie ściska moją dłoń.

- Kath, ta ode mnie z pracy, poroniła.

Mówi to, żeby mnie pocieszyć albo przynajmniej przypomnieć, że nie jestem jedyna. Chce, żebym pamiętała, że takich jak ja są setki, nie — tysiące. Nie wie, że upadłam już tak nisko, że zazdrozczę nawet kobietom, które poroniły. Przecież ro chore! Ale myślę sobie, że one przynajmniej wiedzą, że mogą zajść w ciążę. Wiem, jestem nieludzka, sięgnęłam dna. Powinnam współczuć Kath, choć widziałam ją raz w życiu, powinnam współczuć wszystkim kobietom w podobnej sytuacji. Powinnam rozumieć ich ból, ale jestem tak zdesperowana, że nie stać mnie na przyzwoitość.

- Przykro mi - wyduszam z trudem. Ale znowu kieruję rozmowę na siebie. - Czuję, że wszystkich zawiodłam.

- Kogo, Roberta?

- Jego na pewno — wzdrygam się.

Roberto. Jest jedna rzecz, o której nie powiedziałam nawet Alison. Choć bez przerwy rozmyślam o dzieciach, rozważam różne metody poczęcia, od in vitro po seks na pogańskim cmentarzu podczas pełni księżyca; choć wyobrażam sobie poród, karmienie i ubieranie dziecka, wymyślam imiona, a nawet potrafię wyjść oczami wyobraźni na tyle daleko, by zobaczyć pokój w akademiku mojej córki i pierwszy samochód syna, to jeśli

chodzi o Roberta, mam pustkę w głowie. Nie potrafię myśleć o nim i naszym dziecku, a raczej jego braku. Nie zastanawiam się, czego go pozbawiam. To zbyt upokarzające. Lekarz powiedział, że moje płyny blokują drogę jego plemnikom. Kiedy myślę o jego dzielnych, walecznych plemnikach zmagających się z moimi morderczymi płynami, nie mogę złapać tchu. Próbuję szybko odepchnąć ten obraz, ale jest już za późno - łza wymyka się spod mojej powieki i spływa na talerz pełen okruszków. Jestem niczym przeciekający statek.

— Nie możesz tak dalej żyć — mówi Alison lekko rozdrażniona. - Nie możesz spędzić kolejnych piętnastu lat, żyjąc od okresu do okresu, a czas pomiędzy nimi wypełniać testami ciążowymi i płakaniem w poduszkę. Musisz coś z tym zrobić, coś zmienić.

Wiem. Pociągam nosem i kiwam potakująco głową. Nic nie mówię, boję się, że jeśli powiem choć słowo, wybuchnę niepohamowanym płaczem. Wiem, że Alison ma rację. Ale czasem trudniej i boleśniej zdawać sobie z czegoś sprawę, niż nie mieć o tym pojęcia.

- Zwolnili mnie - mówi Roberto, wchodząc do mieszkania.

Stoję przy drzwiach gotowa do wyjścia. Jestem już spóźniona piętnaście minut. Miałam być dziś wcześniej w pracy i pomóc trochę kucharzom przed rozpoczęciem zmiany. Szef kuchni (dosyć górnołotny tytuł dla chłopca na posyłki) odszedł wczoraj po awanturze pełnej przekleństw i wymachiwania nożami. Trzy firmy zamówiły u nas przyjęcia świąteczne. Mamy strasznie dużo do przygotowania, będzie gorąco. Polegają na mnie, nie mogę się spóźnić.

Opadam na krzesło.

-Co?

- Zwolnili mnie. Wylali. Odrzucili. Jak to się mówi po angielsku?

- Wyrzucili.

- No tak. Powiedzieli, że jestem cenionym pracownikiem, że im przykro itepe, itede. Dali odprawę i pokazali drzwi. Rozwiązanie umowy w trybie natychmiastowym.

- I to tydzień przed świętami!

- Świetny prezent, no nie?

- Ale dlaczego?

- Zwolnili więcej osób, nie tylko mnie. Mark, Ella, Drew też polecili. Do tego cała masa ludzi z produkcji i jedna osoba z księgowości. Straciliśmy trzech ważnych klientów w ciągu dziesięciu dni.

Roberto pracuje (a mówiąc bardziej precyzyjnie: pracował) w tenomowanej agencji reklamowej. Budynek cały ze

szkła, modnie ubrani pracownicy i telewizory plazmowe w recepcji. Byłam zbyt onieśmielona, żeby go tam odwiedzać, a co dopiero utrzymywać kontakty towarzyskie z jego znajomymi z pracy, muszę więc przyznać, że nie za bardzo się orientuję, jak to wszystko wygląda. Wiem, że Roberto pracuje (pracował!) w dziale kontaktów z klientami. Wiem też, że nie wymyśla reklam, nie pisze do nich scenariuszy ani ich nie filmuje. Musi więc robić coś innego. Nazywa to budowaniem lojalności, to znaczy agencja płaci mu za to, żeby dbał o zadowolenie klientów i zachęcał ich do wydawania pieniędzy. Odejście trzech ważnych przedsiębiorstw w tak krótkim czasie musiało poważnie nadszarpnąć dochody firmy i zakwestionować wymierność rezultatów pracy działu, w którym pracował mój mąż.

Nie mówię tego na głos, to by było niesolidarne. Zamiast tego podchodzę do Roberta i obejmuję go. Pozwala się przytulić, jednak po chwili odsuwa mnie na bok i rusza w kierunku lodówki.

- Muszę się napić.

Praca mojego męża nie jest zajęciem, które moi rodzice uznaliby za „poważne”. Z zarobkami też nie jest najlepiej. A przynajmniej nie było do zeszłego miesiąca, kiedy to Roberto dostał awans. Ze specjalisty do spraw kluczowych klientów (marna wypłata, darmowa kawa) awansował na stanowisko kierownika do spraw kluczowych klientów (trochę lepszą wypłatą, darmowy lunch). Zaledwie trzy tygodnie temu wrócił do domu z butelką szampana i premią w kieszeni. Przeklinam nieprzewidywalność tej branży. Mark, Ella i Drew pracowali na tych samych stanowiskach co Roberto. Pewnie zdecydowano, że kosztują firmę za dużo pieniędzy.

- No cóż, to jeszcze nie koniec świata — próbuję go pocieszyć. Koniec świata to kolejny okres, nic innego mnie specjalnie nie rusza. Roberto podaje mi kieliszek wina. Przyjmuję go, przecież nie mogę iść do pracy - mąż potrzebuje mojego wsparcia.

Roberto rzuca w moją stronę dziwne spojrzenie.

- Masz rację, Elizabeth, to nie koniec świata, ale jestem bardzo zawiedziony. - Zaciska mocno usta, widzę pulsującą żyłę na jego szyi. Wygląda, jakby właśnie połknął żabę.

- Wiesz, w sumie nawet nie mieliśmy czasu, żeby się przyzwycząić do większej wypłaty. Jakoś to będzie, przecież do tej pory dawaliśmy sobie radę. Byłoby gorzej, gdybym była w ciąży albo gdybyśmy mieli dzieci, którym trzeba by opłacić chesne.

- Ale przecież musimy się jakoś wyżyć. I mam dosyć „dawania rady”.

- Musimy z czegoś wyżyć — poprawiam go odruchowo, po czym przychodzi mi do głowy myśl, że być może chodziło mu właśnie o to, że musimy się wyżyć. Ale to ja zazwyczaj się wyżywam, kiedy dostaję okres, nie Roberto.

- Chciałbym mieć samochód i dobry sprzęt stereo. I coś większego niż nasze dwa pokoje.

Kompletnie mnie zaskoczył. Nagle zdaję sobie sprawę, że kiedy przestaliśmy rozmawiać o dzieciach, zaczęliśmy również stronić od omawiania innych ważnych tematów.

- Chcesz się przeprowadzić?

- Tak. Strasznie mnie wkurza, że siedząc na kiblu, mogę dotknąć wszystkich czterech ścian toalety.

Niesamowite, co ci faceci wyrabiają w ubikacji. Ale z drugiej strony, ja właśnie tam się zazwyczaj modłę. Każdy robi, co lubi.

- Nie rozmawiałem wcześniej o przeprowadzce, bo nie mieliśmy pieniędzy, ale odkąd dostałem awans, zacząłem rozważać taką możliwość.

Roberto otwiera torbę na laptopa. Nie ma w niej komputera, pewnie musiał go oddać. Wyciąga stos kartek ze zdjęciami i opisami nieruchomości, niektóre wydrukowane z Internetu, inne z pewnością pochodzące od pośrednika. Zabawne, że spędził długie godziny, przeglądając strony internetowe, by zrealizować swoje marzenia - jak ja. Ale każde z nas szukało czegoś zupełnie innego.

Podnoszę pierwszy z brzegu arkusz. Mały domek szeregowy, bardzo typowy dla dzielnicy Chiswick. Ma piękne niebieskie drzwi i białe okiennice. Niestety, drzwi otwierają się prosto na ulicę, nie wyobrażam więc sobie, że mogłabym wychowywać dzieci w takim miejscu. Mówię o tym mojemu mężowi, a on spogląda na mnie, jakby oczekiwał większego zaangażowania.

- To i tak nie ma znaczenia, bo nie stać nas na ten dom. Ani na żaden inny w Londynie. - Roberto ciska wszystkie materiały do kosza. W ciszy patrzę na huśtającą się klapę pojemnika na śmieci.

- Znajdziesz sobie nową pracę.

- Nie jako kierownik.

- To jako specjalista.

- Mam trzydzieści cztery lata, Elizabeth. Ty zarabiasz groszki. Z takiej wypłaty nie mogę być żywicielem.

- Zarabiać grosze i być żywicielem rodziny - poprawiam. - Sam żywiciel to organizm, w którym rozwija się pasożyt.

Nie jestem pewna, czy usłyszał, co powiedziałam, wypada z pokoju jak burza, trzaskając drzwiami.

28 grudnia

- Przeprowadzasz się do Włoch?

W jednym pytaniu Alison wyczuwam zdumienie, radość, a zarazem niepokój. Możliwe, że to rekordowa liczba uczuć zawarta w tak krótkim zdaniu. Przez chwilę zastanawiam się, czy istnieją wpisy w Księdze Rekordów Guinnessa dotyczące tej kwestii. Ale jak to zmierzyć? Wydaje mi się, że miałabym dużą szansę na wygraną, szczególnie kiedy mam napięcie przedmiesiączkowe. Fajnie by było coś wygrać.

- Kiedy? — pyta Alison.

- W połowie stycznia.

- Tak szybko?! Ale gdzie dokładnie?

- Do Veganze, miasteczka, z którego pochodzi Roberto. Zamieszkamy z Rafaellą, jego matką, przynajmniej na początku. Będziemy razem prowadzić ich rodzinny interes.

Alison wybałusza szeroko oczy.

- Żartujesz! - wykrzykuje. Z zaskoczenia omal nie przewraca stojącego na stole drinka.

- Nie - odpowiadam, starając się, by mój głos był spokojny i opanowany. Wiem dokładnie, co za chwilę powie moja przyjaciółka.

- Ale przecież Roberto nienawidzi swojej matki. Jak wy to sobie wyobrażacie?

Dobra jestem. Powinam była się z kimś założyć. Oczywiście potrafiłam przewidzieć reakcję Alison głównie dlatego, że kiedy Roberto po raz pierwszy wspomniał, że moglibyśmy przenieść się do Włoch i zamieszkać z jego rodziną, zareago-

wałam dokładnie tak samo. Próbuję sobie przypomnieć jego argumentację, by powtórzyć ją Alison.

- Nienawiść to zdecydowanie zbyt mocne słowo. Strasznie się pokłócili, kiedy Roberto zdecydował się na wyjazd do Anglii. Ale przecież w każdej rodzinie są jakieś nieporozumienia. Z tego co wiem, Rafaella poczuła się porzucona, ale skoro Roberto wraca, nie ma powodów, by żywić urazę.

- Powrót syna marnotrawnego. I co, ostatnie sześć lat tak po prostu pójdzie w niepamięć? — pyta Alison z niedowierzaniem.

- Chyba tak - potwierdzam ostrożnie.

Prawdę mówiąc, sama w to wątpię, ale bardzo chcę wierzyć, że wszystko się uda. Życie we Włoszech, nareszcie! Przez ostatni tydzień Roberto przeprowadził ze swą matką wiele rozmów telefonicznych, a każdą pełną emocji. Były łzy, krzyki, wyrzuty, przeprosiny, a na końcu śmiech. Roberto zapewnia, że Rafaella jest gotowa przyjąć swego marnotrawnego syna i poznać synową. Na pewno wszystko będzie dobrze. Wspaniale.

- Przecież wiesz, że zawsze chciałam mieszkać we Włoszech - mówię lekko rozmarzonym głosem.

- Wiem, przecież właśnie dlatego wysłaś za Roberta — odpowiada z rozbijającą szczerością. Szczerością typową dla najlepszej przyjaciółki, która wie o tobie wszystko, od zawsze i na zawsze.

- To nie był jedyny powód. W twoich ustach brzmi to tak, jakbym poślubiła pierwszego lepszego Włocha - odburkuję urażona.

- Wiesz, że nie to miałam na myśli. Przecież wszyscy widzieli, że nie możecie się od siebie odkleić, to było oczywiste. Wasza wzajemna fascynacja była natychmiastowa. Chcę tylko powiedzieć, że marzenia o życiu we Włoszech mogą być zupełnie inne niż samo życie w tym kraju, do tego w domu matki Roberta. To naprawdę poważna decyzja. Tylko raz byłaś we Włoszech, i to jako nastolatka.

- Najlepsze wakacje w moim życiu — zauważam, szczerząc zęby.

Siedzimy przez chwilę w ciszy, sącząc drinki. Obydwie zdajemy sobie sprawę, że przeprowadzka do Włoch to nie lada wyzwanie. Ja jednak staram się ignorować potencjalne problemy, Alison natomiast za wszelką cenę chce spojrzeć prawdzie w oczy. W przeciwieństwie do mnie, zawsze chciałaby znać fakty, plany, szczegóły. Musi być przygotowana na każdą ewentualność, niczym harcerka. Ja wolę myśleć o życiu jak o jednej wielkiej przygodzie, pełnej niespodzianek i nieprzewidzianych sytuacji. Mam nadzieję, że Alison zmieni temat i powie, co dostała pod choinkę.

— Czym zajmuje się rodzina Roberta? — pyta.

— Winem.

— Poważnie? — Alison nie kryje zainteresowania. — Dziwne. Roberto nigdy o tym nie wspominał. Przecież on nawet nie bardzo pije wino, a jedyne na co zwraca uwagę przy wyborze butelki, to cena. Ale mnie zaskoczyłaś! Brzmi zachęcająco...

- No nie?

Mam nadzieję, że nie zaczniesz mnie wypytywać o szczegóły. Mówiąc szczerze, jestem średnio zorientowana w temacie. Tylko raz rozmawialiśmy na temat rodzinnego interesu, wtedy w barze, kiedy się poznaliśmy, i powiedział wówczas, że jego rodzina zajmuje się winem. Roberto zaproponował, żebyśmy przenieśli się do Włoch, bo tam przynajmniej będzie miał pracę. Wspomniał, że mogłabym pomagać w barze, zakładam więc, że na terenie winnicy znajduje się lokal, w którym można spróbować miejscowych wyrobów. To musi być takie trochę staroświeckie, choć pełne uroku miejsce. Już nawet skompletowałam odpowiednią garderobę.

Podnoszę wzrok i patrzę na Alison. Na jej twarzy maluje się niepokój.

- Myślałam, że się ucieszysz — mówię lekko rozczarowana. — Przecież sama przekonywałaś mnie, że powinnam coś zmienić

w swoim życiu. Roberto i ja popadliśmy w rutynę. Kiedy stracił pracę, zaczęliśmy rozmawiać i okazało się, że nie jest zadowolony z naszego życia w Londynie. Włochy to świetne rozwiązanie.

— Cieszę się, że zaczęliście poruszać tego typu tematy w końcu. - Czeka na mój komentarz, ale ignoruję ostatnią część zdania.

- Cieszę się, że zobaczę Paolinę. - Zmieniam temat. - Myślę, że się zaprzyjaźnimy.

Paolina to siostra mojego męża, odwiedziła nas kilka razy. Jest bardzo taktowna i uprzejma, a także pełna wdzięku. Niestety, jak na mój gust trochę za bardzo interesowała się zwiedzaniem. Chciała zobaczyć każde muzeum i każdą galerię w Londynie! Nie miałam nic przeciw kilkugodzinnemu włóczeniu się po sklepach, ale później postanowiłam przedstawić ją rodzicom. Jej zamiłowanie do oglądania przygnębiających starych kościołów i chęć słuchania śmiertelnie nudnych recitali sprawiły, że mama i tata z przyjemnością wzięli ją pod swoje skrzydła. Opowiadali później, jak wielkie zrobiła na nich wrażenie. Pomyślałam sobie, że pewnie właśnie taką córkę chcieli mieć.

Paolina jest piękną kobietą. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś równie drobnej budowy. Jest tak delikatna i wątła, że gdy stoję obok niej, choć jestem dosyć przeciętna, wyglądam jak słoń. Mam więc dwa wyjścia - jeść mniej albo stać w innej części pokoju. Wybrałam to drugie. Roberto powiedział, że Paolina je wszystko, na co ma ochotę. Gdyby to była prawda, pewnie bym ją znienawidziła; na szczęście szybko odkryłam, że jest zupełnie inaczej. Roberto jest kochającym, ale mało spostrzegawczym bratem. Jeśli Paolina rzeczywiście ma wilczy apetyt, udaje jej się go skutecznie poskromić. Ogranicza się do porcji w sam raz dla Calineczki. Poważnie, potrafi przez dziesięć czy piętnaście minut jeść jedną oliwkę. Drażnią mnie naturalnie szczupłe kobiety. Głodzenie się, żeby osiągnąć wymarzoną sylwetkę, to nie dla mnie, ale choć samą ideę takiego stylu życia uważam za absurdalną, to jeśli szczupła kobieta cierpi, by mieć

nienaganną figurę, w pewnym sensie darzę ją szacunkiem. Dla mnie to znak, że jest choć trochę sprawiedliwości na tym świecie. Jeśli Paolina byłaby naturalnie szczupła, wątpię, czy nasza znajomość miałaby jakąkolwiek przyszłość. A tak dogadujemy się całkiem nieźle. Z „całkiem nieźle” zaś już przecież niedaleko do przyjaźni. W końcu jesteśmy siostrami — no, prawie. Myślę, że szybko staniemy się nierozłączne.

Mam nadzieję, że równie dobrze ułożą się moje relacje z Rafaellą. W końcu to nie ja się z nią pokłóciłam. Nigdy z nią nawet nie rozmawiałam. Nie może mnie nie lubić. Roberto nie sądził, że wzajemne pretensje będą wisieć w powietrzu przez tak długi czas. Kiedy się pobieraliśmy, zapewniał, że przyjdzie na świat dzieci na pewno załagodzi sprawę. W końcu takie maleństwa zbliżają ludzi do siebie. No więc oczywiście sprawa nigdy nie została załagodzona. Ale nie zrażam się. Zamierzam oczarować swoją teściową. Poza tym jestem pewna, że w ciągu roku obdarzę ją pierwszym wnukiem, a wtedy wszyscy będą szczęśliwi.

Nowa wiara w to, że nasze starania w końcu przyniosą owoce, pojawiała się po przeczytaniu kolejnego artykułu na mojej ulubionej stronie internetowej (tej z puszystą panią w białym kitlu siedzącą w lesie). Piszą, że naturalne metody walki z niepłodnością były i są niezwykle skuteczne. Dzieje się tak dlatego, że niepłodność jest zjawiskiem o złożonej etiologii, to znaczy istnieje wiele elementów, które się na nią składają.

W artykule napisano, że badanie przeprowadzone przez Uniwersytet Surrey pokazało, że u par mających problemy z płodnością, które dokonały zmian w stylu życia, odpowiednio się odżywiały i zażywały suplementy diety, szanse na poczęcie wzrosły do 80%! W porównaniu ze sztucznym zapłodnieniem, które daje zaledwie 20%, są to bardzo budujące statystyki. Na pewno warto spróbować.

Ba! Czemuż sama na to nie wpadłam? Dbamy o właściwe odżywianie, biorę odpowiednie suplementy (chyba wszystkie możliwe), ale zapomnieliśmy o najważniejszym — zmianie

stylu życia! Każdy wie, że słońce dobrze wpływa na rozwój roślin. A na rozwój dzieci? Natychmiast po przeczytaniu artykułu miałam pewność, że przeprowadzka do Włoch jest właśnie tym, czego potrzebujemy. W Londynie jest stanowczo za mało słońca. Nawet przez ostatnich kilka lat, kiedy to globalne ocieplenie spowodowało wzrost temperatury w lecie, moja skóra nie nabrała jasnobrązowych kolorów.

Teoretycznie mamy „ogródek” na tyłach domu — dosyć typowy dla londyńskich mieszkań. Ale chyba nawet najbardziej zuchwały pośrednik handlu nieruchomości nie odważyłby się nazwać tego ogrodem. Kiedy się opalam, znajduję się jakieś trzydzieści centymetrów od naszej anteny satelitarnej i mniej więcej metr od anteny sąsiadów. Tuż obok mnie stoi słup wysokiego napięcia. Nie ma trawy, co najwyżej kilka zeschniętych roślin w popękanych doniczkach. Jedyнным zielonym elementem jest pleśń na koszu na śmieci. Opalanie się w takim miejscu to żadna przyjemność.

Wiele artykułów na temat niepłodności (przynajmniej tych trochę starszych) sugeruje, że dużo świeżego powietrza - co najmniej sześć godzin dziennie - może w jakiś sposób pomóc. Dlatego staram się jak najwięcej czasu spędzać na dworze. Kiedy nie pada, jemy posiłki w naszym pseudoogrodku. Powodem jest nie tylko moja chęć spędzania czasu na powietrzu, ale także brak miejsca na stół w mieszkaniu. A ponieważ mój mąż jest Włochem, nie będzie przecież jadł obiadu przed telewizorem, trzymając talerz na kolanach. Mamy natomiast mały, choć niesamowicie ciężki, drewniany stół ogrodowy i cztery wysłużone krzesła. Cały zestaw kupiliśmy swego czasu w dość ekskluzywnym sklepie Habitat, wydając na niego połowę miesięcznej pensji. Teraz jednak po każdym posiłku musimy wyciągać drzazgi z różnych części ciała. Podobno powinniśmy byli co parę tygodni nacierać blat impregnatami do drewna. Musimy się go pozbyć, jest do niczego. Może to i dobrze, że nie mamy dziecka — pewnie umarłoby z braku regularnego lakierowania i ochrony przed deszczem w zimie.

W Londynie jest wiele pięknych parków. Niestety w słoneczne dni zazwyczaj przypominają one gigantycznych rozmiarów mrowiska, gdyż zdecydowana większość siedmiomilionowej społeczności miasta ma podobne do naszych (o ile nie gorsze) warunki mieszkaniowe. Jednak obecne tam mrówki nie pracują w pocie czoła, by osiągnąć wspólny cel, raczej gotowe są walczyć na śmierć i życie o każdy centymetr zieleni, na którym można by przysiąść.

Wniosek jest taki, że Londyn to nic innego jak brak przestrzeni, słońca i świeżego powietrza. A jeśli doda się do tego niskie zarobki, zbyt długi czas pracy i zajmujące wieki dojazdy, nie ma się co dziwić, że nie udało mi się zająć w ciąży. Oczywiście staram się zignorować myśl, że przecież na każdym kroku spotykam kobiety w stanie błogosławionym, co dowodzi, że niedogodności związane z życiem w stolicy niekoniecznie powodują problemy z płodnością.

- Nie będziesz tęsknić za waszym mieszkaniem? - pyta Alison.

- Nie sprzedajemy go, chcemy wynająć.

Nie, nie będę tęsknić. Mieszkamy tam od sześciu lat - siedemdziesiąt dwie niewykorzystane szanse na zajście w ciążę. To miejsce przesiąknięte jest pretensjami o to, co mogliśmy — powinniśmy- mieć. Poza tym pobliski sklep całodobowy znajduje się tuż obok sklepiku GapKids z odzieżą dla dzieci i niemowląt. Kiedy więc o dwunastej w nocy, zrozpaczona brakiem potomstwa, potrzebuję tabliczki czekolady albo odrobiny alkoholu, ruszam w stronę sklepu, po czym muszę przejść obok wystawy, z której spoglądają na mnie maleńkie manekiny ubrane w urocze kolorowe T-shirty i małe skarpetki. To jak droga przez mękę. Często rozważam napisanie do władz miasta petycji z prośbą o rozwiązanie z nimi umowy najmu. Jako argument podałabym, że obecność tego sklepu zaburza moją równowagę emocjonalną. Czy nie mogliby go przenieść na drugi koniec ulicy, przynajmniej do czasu, kiedy zajdę w ciążę?

- Więc jesteś pewna swojej decyzji? Nie będziesz tęsknić za Londynem? Za jego ekskluzywnymi restauracjami, nocnym życiem, butikami? — draży Alison.

— Będę tęsknić za tobą, nie za tłoczonym Londynem i jego rozrywkami. Ja już tu nie pasuję.

Są jednak osoby, które nie pasują tu jeszcze bardziej niż ja — matki z dziećmi w wózkach. Często widzę, jak próbują pokonać kolejne schody i przedostać się do metra. Słyszę ludzi mlaskających z dezaprobatą, gdy w eleganckiej restauracji wyciągają pierś, by nakarmić zgłodniałe dziecko. Zamiast cieszyć się, że maluch przesrał płakać, oburzają się na widok najbardziej naturalnej rzeczy na świecie. Londyn to kosmopolityczne, wielonarodowościowe miasto, tolerancyjne wobec przedstawicieli każdej religii, rasy czy orientacji seksualnej, jednak kompletnie bezduszne dla matek. Może moje ciało wyczuwa ten brak wyrozumiałości dla macierzyństwa.

Biorę głęboki oddech i uśmiecham się szeroko. To już nie mój problem. Wszyscy wiedzą, że Włosi uwielbiają dzieci. Otwartej przestrzeni, słońca i świeżego powietrza będę miała w nadmiarze. Pewnie znajdę w ciąży jeszcze przed zakończeniem odprawy paszportowej.

15 stycznia

Veganze od wielu wieków jest ośrodkiem uprawy winogron, znajdującym się w prowincji Vicenza, w Veneto. Co to dokładnie znaczy — nie wiem. Wioska w prowincji Vicenza, w regionie Veneto - chyba o to chodzi. Nie bardzo rozumiem podział geograficzny Włoch. W dodatku liczne regiony, prowincje i miasta mają bardzo podobne nazwy i zazwyczaj przypadkiem znajdują się tuż obok siebie. Ostatnimi czasy wielokrotnie jednak powtarzałam zdanie: „Veganze od wielu wieków jest ośrodkiem uprawy winogron, znajdującym się w prowincji Vicenza, w Veneto”, chcąc przynajmniej sprawiać wrażenie, że znam się na rzeczy.

Przed wyjazdem miałam strasznie dużo na głowie - pakowanie, porządkowanie mojego „majątku” i wyrzucanie niepotrzebnych przedmiotów, sprzątanie, wynajęcie mieszkania, wyszukiwanie i kupowanie nowych, bardziej odpowiednich ubrań, a także planowanie i przygotowywanie ogromnego przyjęcia pożegnawego. Na szczęście udało mi znaleźć też trochę czasu, by poczytać o Veganze.

Nie chciałam, by krewni mojego męża uznali mnie za ignorantkę.

Kupiłam kilka strasznie grubych przewodników po Włoszech. Z rozczarowaniem jednak odkryłam, że tylko jeden z nich wspomina o Veganze, co sugeruje, że rodzinne miasteczko mojego męża musi być bardzo małe. Nie ma tam butików żadnych znanych projektantów ani nawet sklepów fabrycznych. Ale nie ma też galerii i muzeów, co jest mi bardzo na rękę. Przynajmniej nie będę musiała udawać zainteresowania tego typu rzeczami.

Według przewodnika, od wieków najlepsze wina z całego regionu trafiają na rynek w Veganze, skąd wysyłane są do innych części kraju. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku okoliczne winnice zostały prawie doszczętnie zniszczone przez filokserę (nie do końca wiem, co to jest, ale brzmi okropnie, znacznie poważniej niż przeziębienie). Podobno to właśnie Veganze było pierwszym miasteczkiem zaatakowanym przez plagę filoksery. Mam nadzieję, że cokolwiek to było, atakowało wyłącznie winogrona, w żadnym zaś stopniu nie przyczynia się do niepłodności u ludzi. Obiecuję sobie sprawdzić, co to jest ta cała filoksera, jak tylko będę miała dostęp do Internetu. Przecież muszą mieć kawiatenkę internetową w Veganze.

Czytam dalej. Piszą, że wraz z posadzeniem nowych krzewów plantatorzy zdecydowali się na wprowadzenie nowych gatunków wina - Pinot Bianco, Pinot Nero, Cabernet Franc i Cabernet Sauvignon. Pomysł ten okazał się sukcesem, co przyniosło im ogromną satysfakcję. Wyobrażam sobie ich radość, suto okraszoną winem, i uśmiecham się do siebie.

— A jakie my właściwie mamy wino? - pytam Roberta. — Pinot Bianco, Pinot Nero, Cabernet Franc czy Cabernet Sauvignon?

Roberto ma w uszach słuchawki od iPod'a i jest całkowicie zaabsorbowany słowami jakiegoś kawałka zespołu Arctic Monkeys. Teksty piosenek zawsze stanowiły dla niego zagadkę. Przez lata był święcie przekonany, że Oasis śpiewają o byciu przykutym do *minor* i *roller blades*, zamiast do *mirror* i *razor blades** VJ piosence *Whats the Story Morning Glory*. Uważałam to za słodkie i nigdy nie miałam serca go poprawić. Kiedy jednak źle odpowiedział na pytanie podczas quizu w pubie, strasznie się na mnie wściekł. Oboje mieliśmy takie urwanie głowy, przygotowując się do tego krótkiego lotu (choć mimo wszystko jest to najdłuższa podróż w moim życiu), że nie było za bardzo czasu, by przedys-

* *Roller blades* - rolki; *razor blades* - żyletki.

kutować szczegóły dotyczące naszego życia w Veganze. Zanim wylądujemy, warto byłoby dowiedzieć się kilku rzeczy.

Roberto przyjmuje szklaneczkę wody od stewardesy, po czym zdejmuje słuchawki. Powtarzam pytanie, tym razem nie patrząc w przewodnik - udało mi się zapamiętać nazwy win.

- Wszystkie.

- Poważnie? Boże, nasz interes musi być olbrzymi! — Lubię mówić „nasz”, bo choć z prawnego punktu widzenia nie mam w nim żadnych udziałów, to jednak jestem członkiem rodziny, a skoro jest to interes rodzinny, mam prawo tak się o nim wyrażać.

- Wcale nie, malutki - odpowiada Roberto.

No to kompletnie się pogubiłam. Jakim cudem malutka winnica produkuje cztery różne rodzaje wina? Może nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, ale czy każde z nich nie wymaga innej odmiany winogron, która to z kolei potrzebuje innego podłoża? Czy to nie tak, że na każdym rodzaju gleby — kredowej, torfowej czy... jakiejś tam błotnej — dojrzewają inne winogrona?

- To jakie my właściwie uprawiamy winogrona? ; Tym razem to Roberto wydaje się zdezorientowany.

- Winogrona? Nie uprawiamy żadnych winogron.

- To jak, kupujemy? W takim razie nie rozumiem, jak to wszystko działa. Żeby wyprodukować te wszystkie wina, potrzebujemy przecież olbrzymiej ilości winogron. Czy nie?

- Że co? - Roberto wpatruje się we mnie z konsternacją. Zazwyczaj patrzy na mnie w ten sposób, kiedy próbuję mu wytłumaczyć, o co chodzi w *EastEnders*. Albo raczej jaki jest sens oglądania tego typu rzeczy. Uważa, że lepiej by było, gdybym poświęciła pół godziny cztery razy w tygodniu prawdziwym ludziom zamiast serialowym bohaterom.

- No dobra, w takim razie wyjaśnij mi wszystko od początku. Nie mam pojęcia, jak działa winnica ani jak produkuje się wino.

- Winnica? Przecież nie mamy winnicy. - Roberto spogląda na mnie kompletnie zaskoczony.

- Czyli tylko ją prowadzimy? - pytam niepewnie, choć wydaje mi się, że znam już odpowiedź na to pytanie.

-Nie.

- Ale przecież mówiłeś, że twoja rodzina zajmuje się winem.

- Tak, sprzedajemy je w barze. Mamy własny bar, który prowadzi mamma.

Opieram głowę o fotel, próbując przyswoić nowe informacje. Bar. Bar! Pracowałam w wielu barach w Londynie. To ciężka, paskudna, mało satysfakcjonująca praca. Myślałam, że mam to już za sobą.

- Kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś, że twoja rodzina zajmuje się winem.

- Bo się zajmuje.

- Przyjęłam wtedy, że macie winnicę. Nie wyprowadziłeś mnie z błędu.

- Możliwe, pewnie chciałem ci zaimponować. - Roberto pochyla się, by pocałować czubek mojego nosa. Uśmiecha się tak szeroko, jakbym była najzabawniejszym stworzeniem na ziemi. Nie jest mi do śmiechu, czuję się jak skończona idiotka.

- Ale ja kupiłam sobie białą lnianą sukienkę, taką jakie mają Cyganki - mówię z żalem. Nie wspominam, że wydałam na nią fortunę. — Nie nadaje się do pracy w barze.

- Do pracy w winnicy też nie - odpowiada łagodnie. — Przecież mówiłem, że będziesz pracować w barze. Zgodziłaś się.

No tak, racja. Jestem na siebie wściekła. Powinna być dowiedzieć się więcej o rodzinnym interesie. Kiedy była u nas Paolina, słyszałam, jak rozmawiali o klientach, dostawcach, czynszu. Myślałam, że chodziło o bogatych Amerykanów kupujących całe skrzynki europejskiego wina, a nie o spragnionych turystów, którzy duszkiem wypijają piwo. Poza tym Roberto

zwykle rozmawia ze swoją siostrą po włosku, nawet w mojej obecności, i nie zawsze udaje mi się za nimi nadążyć.

Roberto widzi, że jestem załamana.

- Nie smuć się, będziesz świetna. Masz bardzo duże doświadczenie w branży, które strasznie nam się przyda. Będziemy pracować razem. To nie lada wyzwanie. Ciężka praca, ale i świetna zabawa.

Roberto całuje mnie czule, po czym kręci głową, tłumiąc śmiech.

I co w tym śmiesznego?

Włochy pachną dokładnie tak, jak to sobie zapamiętałam: wybornie. Nawet na lotnisku unosi się aromat mocnej, przesłodzonej kawy. Piękne smukłe kobiety przemykają obok mnie, roztaczając woń najnowszych perfum znanych projektantów. Pachną też ich świeżo umyte włosy, pachnie ich skóra, pachną świeżo wyprane ubrania. Zapach młodych mężczyzn jest równie kuszący, obracam się za nim, dwa razy prawie potykając się o czyjeś walizki.

Kilku starszych mężczyzn jest jednak przesiąkniętych ostrym, zatechłym, wyciskającym łzy z oczu potem. O tym jakoś zapomniałam.

Jestem równie zaskoczona olbrzymią chmurą dymu papierosowego, przez którą muszę się przedrzeć — nie miałam z nim do czynienia, odkąd w Wielkiej Brytanii wprowadzono zakaz palenia w miejscach publicznych. Nie interesuję się zbytnio polityką, ale petycję w sprawie wprowadzenia tego zakazu podpisałam. Chcę, by podobało mi się tu wszystko, ale ten dym strasznie mnie wkurza. Drażni moje gardło, choć próbuję z tym walczyć, pijąc wodę.

Roberto wypożyczył samochód. Planujemy jak najszybciej kupić własny, choć szczerze mówiąc, trochę obawiam się jazdy po prawej stronie drogi. Po drodze do Veganze mój strach przeradza się w przerażenie. Nie chodzi tylko o inną stronę ulicy, zupełnie zapomniałam, jak szybko i agresywnie jeżdżą Włosi. Każdy samochód jest wgnieciony lub porysowany, to chyba swego rodzaju odznaka honorowa. Mam nadzieję, że uniknie-

my takiej dekoracji. Poza tym drogi są dziurawe jak szwajcarski ser, na pewno za chwilę złapiemy gumę. Z drugiej strony podziwiam Włochów, którzy mają na głowie rzeczy ważniejsze i przyjemniejsze niż naprawianie dróg. Czasem myślę, że w Wielkiej Brytanii tylko tym się zajmujemy. Z ulgą zauważam, że pewne rzeczy w tym kraju uległy zmianie. Dziś każdy motocyklista czy kierowca skutera nosi kask. Bardzo rozsądnie. Pamiętam, że kiedy byłam tu jako nastolatka, nikt kasków nie zakładał, nie chcąc ryzykować zepsucia fryzury, dlatego często przy drodze widoczne były wieńce i kwiaty, a także krzyże i niewielkie kapliczki.

Próbuję odgonić ponure myśli i skupić się na malowniczych widokach, które roztaczają się wokół.

- Piękne krajobrazy, prawda? - pyta Roberto z promiennym uśmiechem na twarzy. Dawno już nie widziałam u niego tak szczerej i nieskrywanej radości, przytakuję więc z entuzjazmem. Jest znacznie chłodniej, niż przewidywałam. Zaczynam żałować, że pozbyłam się wszystkich zimowych ubrań, upierając się, że wystarczy mi jedynie lekka kurtka przeciwdeszczowa. Po cichu marzę, by opatulić się grubym płaszczem, który zostawiłam Alison. Oczywiście nie mówię o tym Robertowi, bo kiedy rozdawałam ciepłe ciuchy znajomym i organizacjom charytatywnym, mówił, że zwariowałam. Powtarzał, że północna część Włoch jest równie zimna jak Wielka Brytania, ale myślałam, że coś mu się pomieszało albo że sobie ze mnie żartuje. Przecież wszyscy wiedzą, że we Włoszech jest gorąco! No dobra, może nie przez cały rok, w końcu to nie Afryka, ale oczekiwałam, że będzie przynajmniej kilka stopni więcej niż w Londku. Wszystkie moje wspomnienia dotyczące Włoch skąpane są promieniami słońca.

Tymczasem góry za oknem pokryte są śniegiem, a pola zalane wodą. Na szczęście blade zimowe słońce otula je swoimi promieniami, jeśli nie ogrzewając, to przynajmniej dając im piękną, różową poświatę. Patrząc, jak zachodzi, powoli znikając

za górskimi szczytami i zalewając pola bursztynowymi promieniami. I tak od tysięcy lat. Nie wiem czemu, ale we Włoszech cały ten proces wydaje się starszy, co jest niedorzeczne, zdaję sobie bowiem sprawę, że słońce zachodzi nad Wielką Brytanią od równie dawna co nad Włochami. Jest jednak w tutejszym powietrzu coś ponadczasowego i dostojnego.

Dojeżdżamy do Veganze około siódmej. Jest strasznie ciemno, ale latarnie i reflektory naszego samochodu oświetlają ulice, na które spoglądam, myśląc, że od teraz jest to „moje” miasto. Roberto z podekscytowaniem pokazuje mi przez szybę samochodu ciekawe miejsca, opatrzając każde komentarzem.

- Centralnym punktem Veganze są dwie ulice tworzące literę T, a nie typowy rynek, jednak wszyscy i tak mówią na to *piazza*.

Chcę wyglądać na równie podekscytowaną, jednak większość budynków sprawia wrażenie raczej praktycznych niż pięknych. Z ulgą dostrzegam jeden wyjątek.

- Imponująca budowla — mówię, wskazując na okazały kościół w kolorze piaskowym z olbrzymią wieżą.

- Ta wieża ma ponad sto metrów i ponad sto lat — odpowiada Roberto dumnie.

Kiwam głową w milczeniu, próbując zapamiętać nowe informacje. Oczami wyobraźni widzę już moich rodziców, których oprowadzam po okolicy, kiedy przyjeżdżają mnie odwiedzić. Chciałabym im zaimponować wiedzą na temat miasteczka.

Ulice są wybrukowane i choć teoretycznie zamknięte dla ruchu kołowego, widzę przejeżdżające samochody, które parkują pod samymi kawiarniami, zaraz obok popijających kawę ludzi. Bardzo mi się to nie podoba, gdyż w pewien sposób odejmuje miejscu uroku, jednak nie wyglądam na to, by inni mieli coś przeciw. Sklepy właśnie są zamykane. Właściciele pobrzękują pękami kluczy, podczas gdy klienci wychodzą, energicznie machając na pożegnanie, i udają się do ciepłych domów. Szybko podliczam - jest apteka, sklep sprzedający plastiki chyba pod każdą możli-

wą postacią (zabawki, leżaki, wiadra, mopy), sklep z koszulami, piekarnia, fryzjer. Hmm, miałam nadzieję, że będzie ich troszkę więcej. Są też trzy banki i co najmniej pięć barów.

— Który bar jest nasz? - pytam.

— Nie jest przy rynku. -Aha.

— Przejeżdżaliśmy obok. Ale nie martw się, wkrótce go zobaczysz.

Dziwne, że mi go nie pokazał. Może jest kompletną ruiną? Szybko odganiając tę myśl i koncentrując uwagę na licznych budynkach z zamkniętymi okiennicami. Mam nadzieję, że to sklepy.

— Jakoś tu pusto - zauważam.

— Przecież jest masakrycznie zimno. Poza tym już dawno po passeggiacie, a jednocześnie za wcześnie dla nastolatków — wyjaśnia Roberto.

Wyobrażam ich sobie, głośnych i niesfornych, ale nieszkodliwych, opierających się o swoje motorowery. Tymczasem na ulicy przed jednym z barów dostrzegam dwóch krzepkich mężczyzn, którzy gawędzą wesoło, a także młodą rodzinę. Matka (w zaawansowanej ciąży) pcha pusty wózek spacerowy, podczas gdy jej mąż pilnuje małego brzdąca z zapalem goniącego gołębie. Okolica jest prawie zupełnie pusta, ale oczywiście jedyna kobieta w zasięgu wzroku jest w ciąży. Wzdrygam się.

— Mówiłem, że będzie ci zimno — przypomina Roberto. Nie chcę słyszeć kolejnego „A nie mówiłem?”, więc wyjaśniam prawdziwą przyczynę dreszczy.

— Patrzyłam na tę rodzinę.

Roberto podąża wzrokiem za moim palcem.

— Elizabeth... — mówi znużonym głosem.

— Co? Nie jestem smutna. To może dobrze wróżyć, no nie?

Roberto nie odpowiada, zatrzymuje natomiast samochód i mówi:

- Jesteśmy na miejscu. To dom mamy — wskazuje palcem na przeciętny, niczym niewyróżniający się budynek. Nie jest w kolorze terakoty ani też ciepłej żółci, jak większość położonych nieopodal domów. Jest ciemnoszary. Nie wygląda na szczególnie zadbany, ale też nie jest jakoś wyjątkowo zniszczony. Nie widzę roślin ani kwiatów zdobiących parapety czy balkon, nie dostrzegam też jednak odchodzącej farby. Duże prostokątne okiennice są zamknięte na głucho i z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu przypominają mi małe dziecko z zaciśniętymi ustami, odmawiające jedzenia. Obok drzwi znajduje się nowy dzwonek i domofon; cóż, wyobrażałam sobie raczej mosiężną kołatkę. Kiedy Roberto wyciąga palec, by zadzwonić do drzwi, te otwierają się szeroko.

— *Mio figlio, mio figlio!**

*Mój syn, mój syn!

Tak sobie myślę, że właściwie jeszcze nigdy nie byłam wewnątrz włoskiego domu. Ale wiem dokładnie, jak powinien wyglądać. Wyobrażam sobie wysokie sufity, marmurowe podłogi, dobrze przemyślany rozkład mebli, dużą ciepłą kuchnię, gdzie na kuchence gotuje się właśnie makaron, a na stole stoi olbrzymia miska z owocami. Po części mam rację, jednak pewne elementy domu Rafaelli zaskakują mnie. Sufity są wysokie, a podłoga w przedpokoju jest z marmuru, jednak cały efekt psują zakurzone, zupełnie niepasujące do reszty dywany oraz paskudna brązowa tapeta w kwiaty, która odłazi od ścian tuż przy listwach przypodłogowych. Pośród radosnej wrzawy, uścisków i całusów przechodzimy do salonu. Na pierwszy rzut oka wygląda na bardzo malutki, ale po chwili zdaję sobie sprawę, że sam pokój jest całkiem okazałych rozmiarów, tyle że wypełniono go po brzegi ciemnymi ciężkimi meblami, które tworzą wrażenie ciasnoty. Prawdę powiedziawszy, pomieszczenie jest tak zagracone, że z trudem się w nim mieścimy. Stoję troszkę z tyłu, czekając, aż Rafaella, Paolina i dziadek przywitają się najpierw z Robertem.

W rogu pokoju znajduje się ogromny stół i osiem krzeseł, ale widać, że nie jest zbyt często używany. Stoi tuż przy ścianie, przez co trzy miejsca są niedostępne. Wykonany jest z drewna mahoniowego, które, idealnie wypolerowane, przypomina tafię pokrytego lodem jeziora. Bałabym się położyć zastawę czy sztućce na jego błyszczącej powierzchni, żeby niczego nie porysować. W pokoju są również dwa ciężkie skórzane fotele oraz

mała dwuosobowa kanapa, której haftowane obicie jest bardzo cienkie i wygląda mało kusząco. Widać, że robótki ręczne wciąż są tu popularne - oprócz haftowanych poduszek, serwet i obrusów, cały pokój upstrzony jest również zrobionymi na szydełku podkładkami pod talerze i szklanki, a na oparciach foteli i krzeseł wiszą szydełkowe serwetki. Wygląda to trochę jak wysypka przy ospie wietrznej.

Stojący nieopodal olbrzymi kredens ugina się pod ciężarem przepięknej ceramiki. Szybko liczę, że jest to zestaw na co najmniej dwanaście osób. Należą do niego talerze płytkie i głębokie, a także osobne do dań z makaronu, do tego małe talerzyki, półmiski, pucharki oraz filiżanki do herbaty i do kawy espresso ze spodkami. Uśmiecham się, wyobrażając sobie długie godziny spędzane z teściową w kuchni na przygotowaniu przepysznych potraw dla znajomych i rodziny, później serwowane w ślicznych, ręcznie malowanych naczyniach. Roberto wielokrotnie wspominał, że jego mamma jest wyśmienitą kucharką. Ja nie bardzo potrafię gotować, ale chciałabym się nauczyć. Ciekawe, czy ma jakieś ściśle strzeżone rodzinne przepisy, które mi przekaże, i czy trudno się nauczyć szydełkowania. Obrazy i zdjęcia zajmują praktycznie każdy centymetr ściany. Te pierwsze to zazwyczaj mało efektowne szkice ptaków i ryb, ale chętnie przyjrzałabym się lepiej starym sepiowym fotografiom. Jestem pewna, że będzie jeszcze na to mnóstwo czasu. Rafaella wreszcie wypuszcza Roberta ze swych ramion, to chyba dobry moment, by wkroczyć do gry. Mój mąż też to zauważa.

— Mamo, to moja żona, Elizabeth - mówi po włosku. Jego głos brzmi pewnie, rozpira go duma.

Robię krok do przodu, by uściskać teściową.

- *Piacere** — odpowiada dość obojętnym tonem.

Z rozczarowaniem stwierdzam, że w wyrazie twarzy mojej teściowej nie ma nic, co mogłoby sugerować, że rzeczywiście

* Miło mi.

jest jej miło. Obejmuję ją i choć nie próbuje się wyswobodzić z mojego uścisku, wyczuwam, że każdy centymetr jej ciała stawia niemy opór. Szybko wycofuję się, zażenowana swoją śmiałością. Ale ze mnie idiotka! Marzyłam, że natychmiast zdobędę serca całej rodziny, zbyt wiele oczekiwałam. Ma prawo czuć się niezręcznie, nasze spotkanie odbywa się stanowczo za późno. Nie powinnam robić niczego na siłę.

Rafaella cofa się o krok i zaczyna mówić po włosku. Widzę, że proponuje Robertowi coś do jedzenia — wskazuje palcem na stolik na kółkach, który znajduje się pomiędzy wygodnymi fotelami a starą dwuosobową kanapą. Jest suto zastawiony owocami, serami, oliwkami i innymi smakowicie wyglądającymi włoskimi przystawkami, których nazw nie znam. Jestem głodna jak wilk; podczas gdy Roberto kręci odmownie głową, ja wpatruję się wymownie w focaccię, mając nadzieję, że w końcu i mnie ktoś zaproponuje poczęstunek. Ale nie — moja teściowa poprzestaje na Robercie.

Bardzo chcę zrobić dobre wrażenie na swojej nowej włoskiej rodzinie. Uznaję więc, że to odpowiedni moment na wyrecytowanie zwrotów, których nauczyłam się na pamięć przed wyjazdem. Pytam Rafaellę o zdrowie i mówię, że bardzo miło ją wreszcie poznać. Patrzy na mnie zdezorientowana.

- *Che? Che? Parla italiano, Parla italiano**. — Wzrusza ramionami, po czym łapie się za głowę i wywraca oczami, raz po raz spoglądając to na Roberta, to na Paolinę lub dziadka, który usadowił się w wygodnym skórzanym fotelu.

Powtarzam te same słowa, tym razem zwracając się do staruszka. Jestem pewna, że wszystko dobrze wymawiam. Na miłość boską, to tylko powitanie; przecież nie mogłam pomieszać tak prostych rzeczy. Starszy pan patrzy na mnie, eksponując swój bezzębny uśmiech, ale nie wygląda, jakby cokolwiek rozumiał. Nie jestem pewna, czy to moja zasługa czy też wina

* Co? Co? Mów po włosku. Mów po włosku.

jego wieku. Po raz trzeci usiłuję powiedzieć Rafaelli, że dobrze wygląda. Ponownie wzrusza ramionami i wywraca oczami. Roberto i otępiały dziadek uśmiechają się do niej, wyraźnie nie dostrzegając mojego zażenowania. Czuję się, jakby ktoś wylał mi na głowę kubek zimnej wody.

Tym razem rozumiem, o co tak naprawdę chodzi mojej teściowej. Tu nie ma żadnej bariery językowej. Chce mnie obrazić, jednocześnie udając przed innymi, że to tylko żart. Może i ma to być dowcip, ale jak dla mnie jest mało śmieszny. Szybko dochodzę do wniosku, że Rafaella jest osobą, z którą trzeba się liczyć, i że pewnie będę musiała sobie zapracować na jej aprobatę.

Paolina chyba też rozumie, co się dzieje, bo postanawia przyjść mi z pomocą, tłumacząc moje słowa i odpowiedzi swojej matki.

-*Mamma, lei sei „Buonasera. Comesta?Piacere”*. Elizabeth, mamma mówi: „Co? Co? Mów po włosku, mów po włosku”.

Ma dobre chęci, ale jej starania tylko potęgują moje zakłopotanie.

— Przecież mówię po włosku — oburzam się. Roberto uśmiecha się i potakuje, przegryzając oliwkę, jakby wszelkie napięcia i niesnaski umykały jego uwagi.

Rafaella rozsiada się w drugim wygodnym fotelu i popycha Roberta i Paolinę na dwuosobową sofę. Wałęsam się chwilę po pokoju, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Podłoga wygląda na zakurzoną, a stołek zajmują wyciągnięte nogi mojej teściowej, odsuwam więc ciężkie krzesło stojące przy stole i siadam. Z jakichś powodów, które nie do końca potrafię wytłumaczyć - może dlatego, że Rafaella udawała, że nie rozumie moich wypowiedzianych po włosku słów, a może ponieważ nie zaproponowała mi nic do jedzenia - nie mam odwagi postawić krzesła obok nich i włączyć się do rozmowy, przesuwam je tylko nieznacznie, tak by móc na nim przycupnąć. Roberto spogląda na mnie, z ruchu jego warg odczytuję pytanie:

— Wszystko okej?

Nie chcę robić scen, kiwam więc potakująco głową, szczerząc szeroko zęby niczym Osioł ze *Shreka*. Odwzajemnia mój uśmiech, wierząc w moje zapewnienia.

Już wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Rafaella przebaczyła swemu synowi sześćoletnie milczenie. Przyjęła go z otwartymi ramionami. Jednak wciąż jest rozżalona i wściekła, uczucia te kumulowały się w niej przecież przez wiele lar i nie zniknęły ot tak, w ułamku sekundy. Potrzebuje osoby, na którą będzie mogła przenieść swoją złość i pretensje. I właśnie ją znalazła. Mnie.

Przez cały wieczór czuję się niezręcznie; próbuję nadażyć za rozmową, ale zupełnie mi się to nie udaje. Próba zrozumienia dyskusji w obcym języku przypomina trochę sytuację, kiedy jest się jedyną trzeźwą osobą na przyjęciu, a wszyscy inni są kompletnie zalani. Albo jeszcze gorzej - bycie jedyną nietrzeźwą w gronie abstynentów. Rozpoznaję niektóre słowa - na przykład „moja rodzina”, Rafaella powtarza to co chwilę z coraz większym entuzjazmem, wprost proporcjonalnym do ilości wypitej grappy - ale cała reszta pozostaje dla mnie zagadką. Szybko zauważam, że moja teściowa potrafi mówić tylko na dwa sposoby: głośno lub bardzo głośno. Jej długie, wygłaszane do Roberta monologi, którym towarzyszy żywa gestykulacja, przerywają uściski i całusy. Mój mąż przyjmuje jej gadatliwość i czułe gesty z lekkim zażenowaniem i rozbijającą nieśmiałością. Szkoda tylko, że nie rozumiem, co mówi, i że żadna, nawet najmniejsza część jej ciepłych słów nie jest skierowana w moją stronę. No ale przecież nie mogę oczekiwać cudów. Cieszę się, że przynajmniej Roberto dobrze się z nią dogaduje.

Po mniej więcej godzinie Paolina przynosi mi talerz z jedzeniem i siada koło mnie, by porozmawiać.

- Mamma bardzo się cieszy z przyjazdu Roberta - zaczyna.

-Widzę.

- Z twojego oczywiście też — dodaje, choć żadna z nas w to nie wierzy. Ale miło mi, że Paolina udaje, że jestem ważnym członkiem rodziny. — Na pewno wkrótce będziecie miały okazję spędzić ze sobą trochę więcej czasu — kontynuuje przepraszającym tonem.

-Jasne, musi być bardzo podekscytowana, widząc syna po tylu latach. Z pewnością wkrótce się zaprzyjaźnimy, potrzebujemy tylko trochę więcej czasu - odpowiadam wesoło, mając nadzieję, że uda mi się przekonać i ją, i siebie.

Paolina przytakuje energicznie.

- Rozmawiają o interesach. Nasz bar jest w tarapatach - dodaje pośpiesznie.

— O kurczę. — Przeżuwasz właśnie najsmaczniejszy ser, jaki kiedykolwiek jadłam, inaczej pewnie byłabym znacznie bardziej zaniepokojona.

— Nie zarabiamy na nim zbyt wiele. Mamma jest za stara, by prowadzić bar, który przyciągnie młodych ludzi. Ale jestem pewna, że ty ze swoim doświadczeniem w branży i Roberto ze swymi sztuczkami marketingowymi przywrócicie mu dawną świetność.

— Mam nadzieję. Ta *bruschetta* jest przepyszna. Sama ją zrobiłaś? - pytam.

-Nie.

-Twoja mamma?

- Nie, jest kupiona. *vi* -Aha.

Paolina poklepuje mnie po ręce i mówi:

- Nie martw się za bardzo o bar. Jestem pewna, że wam się uda.

Przytakuję.

— Na pewno — odpowiadam z przekonującym uśmiechem.

Przez chwilę milczy, po czym podnosi się z krzesła, żeby mnie przytulić.

- Cieszę się, że jesteś tak pozytywnie nastawiona. — Odsuwa się i przez chwilę wydaje mi się, że na jej twarzy maluje się zmartwienie, ale szybko dodaje: - Jestem zmęczona. Pójdę już do łóżka. Pewnie nie zobaczymy się rano, wychodzę do pracy bardzo wcześnie.

- A gdzie pracujesz?

- W Padwie.

- O, znam Padwę. To pierwsze miasto we Włoszech, w którym byłam.

- Poważnie? - Paolina uśmiecha się promiennie. - A gdzie jeszcze byłaś?

- Yyy... w sumie to nigdzie.

- Aha. - Moja odpowiedź ucina rozmowę.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, po czym przychodzi mi do głowy pytanie:

- Daleko jest stąd do Padwy?

- Jakieś pięćdziesiąt pięć kilometrów. Ale jeżdżę samochodem. To jakieś czterdzieści minut, o ile nie ma korków. Pracuję do późna, więc wybacz, ale powinnam iść już spać. Dobranoc i powodzenia jutro!

No, wcale nie jest zmartwiona, tylko zmęczona. Nie ma się czym przejmować.

O północy Roberto podchodzi do mnie i uśmiecha się lekko znużony.

- Mamma opowiadała mi o barze i o tym, co trzeba w nim zrobić.

- Wiem, Paolina coś wspominała.

Chcę sprawiać wrażenie zainteresowanej, ale zmęczenie dość mocno daje mi się we znaki i marzę, by położyć się do łóżka. Nie chcę więc przedłużać rozmowy, pytając o szczegóły. Przecież mogę to zrobić jutro. *Domanidomani*— to odwieczna włoska zasada, którą bardzo cenię. Roberto pyta, czy pomogę mu przynieść walizki z samochodu. Rafaella obserwuje nasze zmagania z bagażami, po czym całuje Roberta w oba policzki i obraca się w stronę schodów.

- *Ciao* - rzucam za nią niepewnie.

- *Buona notte* — odpowiada oficjalnym tonem.

- Chyba nie zrobiłam najlepszego wrażenia — mówię szeptem. Wyginam usta w podkówkę, więc Roberto przyciąga mnie do siebie i obejmuje.

- Byłaś bardzo taktowna. Dzięki, że pozwoliłaś nam porozmawiać i nadrobić zaległości, to bardzo miłe z twojej strony. Mamma pewnie też tak myśli.

- Raczej uważa, że jestem nudna i nie mam nic do powiedzenia.

- Niemożliwe. Kiedy cię lepiej pozna, pokocha cię prawie tak mocno jak ja - uśmiecha się ciepło, a tym samym trochę rozprasza moje obawy. Przyciska mnie do siebie, jednak jego niedźwiedzi uścisk nie trwa zbyt długo. Po chwili odsuwa się

i mówi: - Niestety Mamma nie miała czasu przygotować dla nas pokoju. Musimy więc spać osobno: ja na kanapie w pokoju dziadka, a ty na materacu u Paoliny.

— O nie! — jęczę. Tak bardzo chcę, by trzymał mnie tej nocy w ramionach. Wiem, że powinnam być w siódmym niebie, przecież wreszcie jestem we Włoszech, ale czuję się troszkę zdenerwowana i zagubiona. Spanie w jego objęciach na pewno poprawiłoby mi nastrój.

— Wiem, też mi się to nie podoba.

— Ale nie bardzo rozumiem, nie ma wolnego pokoju, w którym moglibyśmy spać razem?

— Jest, ale mamma nie miała czasu, żeby go przygotować. Jest strasznie zagracony i trzeba go porządnie wysprzątać.

— Ale przecież wiedziała o naszym przyjeździe od paru tygodni.

— Miała dużo innych rzeczy na głowie, na przykład gotowanie.

Nie mam sumienia powiedzieć mu, że podane przez nią smakołyki były kupione. Poza tym na nic się to nie zda, może jedynie wywołać kłótnię, a na to jestem już zbyt zmęczona. Jedyne czego teraz potrzebuję, to łóżko. Albo przynajmniej materac na podłodze w pokoju Paoliny.

Moja powściągliwość zostaje nagrodzona - Roberto całuje mnie na pocieszenie, długo i namiętnie. Nie wiem, jak zdołam zasnąć bez jego ciepłego ciała. W domu jest tak zimno, że można zamarznąć, jeśli się nie siedzi tuż obok kominka.

— Jutro spróbujemy coś na to poradzić. Albo najszybciej, jak to tylko będzie możliwe - obiecuje Roberto i całuje mnie w czubek głowy. - A teraz zmykaj na górę i wyśpij się porządnie — dodaje, a po chwili na jego twarzy pojawia się uśmiech. -Tylko pomyśl, Elizabeth, jesteśmy we Włoszech, kraju twoich marzeń. Wyobrażasz sobie?

Jakoś ciężko mi w to uwierzyć. Ale faktycznie, jesteśmy we Włoszech.

16 stycznia

Kiedy budzę się rano, potrzebuję chwili, by przypomnieć sobie, gdzie właściwie jestem. Łóżko Paoliny jest puste; pewnie już wyszła do pracy. Mam nadzieję, że nie wróci zbyt późno; lubię, gdy jest w pobliżu, bo jest jedyną osobą (oprócz Roberta), która zamieniła ze mną więcej niż dwa słowa. Przeciągam się i pocieram dłonie i nogi, żeby je rozgrzać i rozmasować przykurczone mięśnie - ostatnia noc z pewnością nie należała do najwygodniejszych.

Po chwili słyszę ciche pukanie do drzwi.

— Roberto! — Wyskakuję z łóżka jak oparzona, a moja twarz rozpromienia się na jego widok. Przyciągam go do siebie, wkładając ręce pod jego sweter i delikatnie przesuwając palcami po plecach; nie przeszkadza mi, że jest już ubrany.

- Spanie osobno i zakradanie się do swoich pokoi wcześniej rano, niczym para nastolatków, jest strasznie podniecające

— mówię, chichocząc.

Pociągam go w stronę łóżka, tak by położył się na mnie. Zaczynamy się całować, a jego ręka delikatnie głaszcze moje udo. Jednak po chwili Roberto odsuwa się ode mnie i pociąga nosem, wachając prześcieradło.

— Nie na łóżku Paoliny. Czuję jej zapach. To nie w porządku.

— OK. W takim razie może materac?

Przetaczamy się z łóżka na materac, jego usta odszukują moje, jednak po kilku minutach Roberto niechętnie przerywa pocałunek.

— Niestety nie mamy za bardzo czasu. Jest masa rzeczy do zrobienia. Musisz się ubrać, mamma już przygotowała śniadanie, nie możemy pozwolić, by na nas czekała.

Tym samym to ja będę musiała poczekać.

Po wyjściu z pokoju ukradkiem zaglądam w różne zakamarki domu. Nie wygląda zbyt efektownie. Łazienka ma już swoje lata i od dawna nie widziała Mr Muscle'a ani żadnych innych środków czyszczących. I pomyśleć, że to Włosi jako pierwsi wprowadzili bieżącą wodę, łaźnie parowe oraz wczesne modele toalet. Ta natomiast wygląda, jakby nie była odświeżana, odkąd Cezar posadził na tronie swój monarszy tyłek. Oczywiście niektórzy z moich znajomych też mają brudne ubikacje, ale przecież to Włochy, zupełnie się tego nie spodziewałam. Podłoga skrzypi niemiłosiernie prawie przy każdym kroku. Dom wydaje się dosyć duży, ale drzwi do większości pokoi są zamknięte i nie mam odwagi do nich zajrzeć. Okna wydają się nieszczelne, przez co w całym budynku panują przeciągi. Przypominam sobie, jak bardzo nienawidzę wykładzin podłogowych, centralnego ogrzewania i wykrochmalonych firanek, które od zawsze zdobiły dom moich rodziców. Czyż nie marzyłam, by włoski dom miał swój urok i charakter? Chyba jednak nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele kurzu i brudu temu towarzyszy. Choć w sumie to i tak nie ma znaczenia, przecież nie zabawimy tu zbyt długo. Wyprowadzimy się, gdy tylko znajdziemy coś odpowiedniego. I wtedy będę mogła mieć wysoką sufitę i marmurowe podłogi, a jednocześnie elegantszą pościel.

Na śniadanie schodzę ostatnia. Rafaella i Roberto siedzą w jadalni, w której znajduje się mahoniowy stół, tak samo wielki jak ten w salonie. Na szczęście przykryty jest obrusem, nie muszę się więc martwić, że go porysuję. Szczerze mówiąc, nigdy specjalnie nie przepadałam za obrusami, zazwyczaj szklanki gdzieś się w nie zaplączą i coś się wyleje.

Rafaella kładzie przede mną talerz z olbrzymią ilością tłustego mięsa. Przypomina mi to trochę karmienie owczarka niemieckiego mojego wujka.

— Bardzo przepraszam, ale jestem wegetarianką. W ostateczności mogę zjeść rybę, ale nie mięso.

Patrzę na Roberta błagalnym wzrokiem, czekając, aż przetłumaczy moje słowa. Skończył już jeść, siedzi więc, bębniąc palcami o stół i czekając na mnie. Po chwili mówi coś do matki po włosku, mam nadzieję, że uwzględnił moje „bardzo przepraszam”. Naprawdę jest mi przykro.

Rafaella patrzy na mnie z przerażeniem, jakbym się właśnie przyznała, że nasikałam do urny z prochami jej babci ciotecznej. Odpowiada, po czym podchodzi i szczypie mnie w policzek, jakbym była małą dziewczynką. Roberto tłumaczy jej słowa, uśmiechając się:

— Mamma mówi, że wczoraj wieczorem wyglądałaś blado i że się o ciebie martwi. Myśli, że masz anemię.

— Podziękuj jej za troskę i powiedz, że nie ma się czym martwić. Biorę suplement żelaza, tak że nie ma problemu. Wegetarianizm jest bardzo zdrowy, jeśli ktoś wie, co robi.

Roberto cierpliwie tłumaczy moje słowa. Rafaella wymachuje żywo rękami i patrzy na mnie, kręcąc ponuro głową.

— Co powiedziała?

— Mówi, że we Włoszech nie ma czegoś takiego jak wegetarianizm - tłumaczy.

— Nie tknęłam mięsa, odkąd skończyłam dziewiętnaście lat. Nie zjem tego, nawet by podlizać się twojej matce.

Roberto wzrusza ramionami.

— W porządku.

Rozglądam się po stole i dostrzegam chleb i trochę miodu. Przysuwam go bliżej siebie, jednocześnie odsuwając talerz ze zdechłą krową i świnią. Jem w milczeniu.

Poranek jest szary i zimny, ale cieszę się, gdy wychodzimy wreszcie z domu i idziemy do baru. Może to drobnostka, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że moje stosunki z Rafaellą są napięte. Nie wiem, co zrobiłam źle, muszę to jednak szyb-

ko naprawić. Przez chwilę zastanawiam się nad tym, po czym pytam Roberta:

- Myślisz, że twoja mama jest na mnie zła, że nie chciałam jeść mięsa?

Mój mąż stawia znaczenie większe kroki od mnie, prawie biegnę, próbując za nim nadążyć, dlatego moje wysapane pytanie brzmi trochę rozpaczliwie. Szkoda, chciałam, by wyglądało raczej na rzucone mimochodem i oddawało co najwyżej nutkę zaniepokojenia.

- Nie martw się, to żaden problem. Wprawdzie ludzie we Włoszech wiedzą, co to wegetarianizm, ale nie jest on zbyt często spotykany, szczególnie przez osoby z pokolenia mojej matki. Na pewno jednak jutro przyrządzi ci jajecznicę albo omlet. Jej omlety są przepyszne — mówi, po czym przyciąga mnie do siebie.

Uspokojona jego słowami zmieniam temat.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć bar.

-Ja też. Ale...

-Ale co?

- Nie, nic.

- No mów.

- Trochę się martwię tym, co powiedziała Paolina.

- Na pewno przesadza — próbuję dodać mu otuchy. Niestety, okazuje się, że Paolina wcale nie przesadzała. Jestem bardzo rozczarowana. Mniejsza o to, że to bar, a nie winnica. Jest znacznie gorzej, niż myślałam. Jak już napomknęła moja bratowa, nie jest to miejsce spotkań pięknych, młodych ludzi ubranych w modne ciuchy i siedzących na stylowych stołkach. Ale nie jest to też tradycyjny, pełen sielskiego uroku lokal, w którym swój czas spędzają całe wielopokoleniowe rodziny. To po prostu stara, brudna i zaniedbana knajpa; w środku wisi zatechłe powietrze. Przyciąga klientów równie skutecznie jak pięćdziesięcioletnia prostytutka.

Kiedy wchodzimy do środka, wita nas cisza i bezruch. Roberto wydaje się nieco przygarbiony, widzę, że bierze głęboki

wdech. W środku jest pusto, tylko kilkoro starych znajomych Rafaelli siedzi przy barze. Delikatnie ściskam jego rękę, by dodać mu otuchy. Chyba pomaga, bo jakoś udaje mu się zrobić dobrą minę do złej gry i powitać starszków radosnym uśmiechem. Każdemu z nich podaje dłoń, ucinając sobie z nimi pogawędkę. Po chwili przedstawia mnie.

— *Bella, bella* — mówią z pełnym uznania uśmiechem. Zawsze strasznie podobało mi się to, że Włosi nigdy nie przestają flirtować, nawet gdy są już dziadkami. Roberto stawia im kolejkę na koszt firmy, po czym wciąż się uśmiechając, mówi do mnie:

- Przedstawienie czas zacząć. Mamma mówiła, że księgi rachunkowe są na zapleczu.

26 stycznia

Ponieważ bar jest w finansowym dołku, Roberto musi poświęcić całą swoją energię i uwagę, by ten dołek zasypać. Przez dziesięć dni analizuje z pomocą Paoliny księgi, ja tymczasem zajmuję się sprzątaniami - pozbywam się wszystkich rupieci z pokoju dla gości i szoruję podłogi. Może nie jest to wymarzone zajęcie, ale przynajmniej czuję, że robię coś pożytecznego. Mam nadzieję, że po paru tygodniach takiego urwania głowy zrobi się trochę spokojniej i będziemy mogli przeprowadzić inwentaryzację, porozmawiać o planach na przyszłość, pozwiedzać okolicę, uprawiać seks, a może i poszukać własnego kąta. Na wszystko przyjdzie wkrótce czas, nie ma co się spieszyć. Nie jest łatwo, ale muszę przyznać, że fajnie pracować przy boku Roberta, rozkręcając rodzinny interes. Wyobrażam już sobie, jak opowiadam o tym naszym wnukom.

— Wasz dziadek zawsze miał głowę do liczb i mnóstwo ciekawych pomysłów. Ja zaś pomagałam, ile się dało, i choć mój wkład nie był widoczny na pierwszy rzut oka, nasze okna budziły podziw całego miasta, bo nigdy nie było na nich ani jednej smugi - mówię. Widzę, jak przewracają znudzone oczami, nie pierwszy raz słyszą tę historię. Moje dni upływają na tego typu fantazjach i właśnie dzięki nim nie patrzę co chwilę na zegarek.

Roberto znajduje mnie sprzątającą poddasze.

— Hej, *bambina*, przyniosłem ci gorącej czekolady.

— Dzięki, strasznie zmarzłam — odpowiadam, po czym podnoszę się z kolan, wrzucam drucianą szczotkę do wiadra i ściągam gumowe rękawice.

- Do twarzy ci w tych rękawiczkach - żartuje Roberto.

- To prezent od Paoliny. Znalazłam je dziś rano na łóżku.

- To miło z jej strony.

- No, popatrz na moje dłonie. - Przyglądam im się uważnie przez chwilę, są szorstkie i popękane, bo co chwilę zanurzam je w wodzie zmieszanej z jakimiś detergentami; moja bratowa musiała to zauważyć.

- Dobrze się dogadujecie z Paoliną. — Nie jestem pewna, czy to pytanie czy stwierdzenie.

- Tak, szkoda tylko, że tak rzadko bywa w domu. Nie miałyśmy okazji spędzić ze sobą zbyt wiele czasu, chociaż dzielimy pokój. Bardzo dużo pracuje.

Roberto spogląda na mnie z lekkim niedowierzaniem.

- No co? - pytam.

- Myślisz, że pracuje do późna?

- Tak mi powiedziała.

- A mnie się wydaje, że się z kimś spotyka.

- Naprawdę? — Otwieram szeroko oczy, zaciekawiona jego słowami. Uwielbiam romanse. Oczywiście Roberto, ponieważ jest facetem, nie przejawia większego zainteresowania życiem miłosnym innych ludzi, więc nie kontynuuje tematu. Ja zaś nie próbuję wyciągnąć od niego więcej informacji, postanawiam skierować rozmowę na temat naszego życia miłosnego. — Mam nadzieję, że uda mi się skończyć do wieczora i będziemy mogli przenieść tu materac. A w weekend kupimy jakieś łóżko.

Poddasze nie przypomina już paskudnej czarnej dziury w dachu. Pozbywszy się starych mebli i pudeł, odkryłam przepiękny pokój z pokrytymi drewnem podłogami i oknami połaciowymi. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu będziemy spać razem. Bardzo mi brakuje jego ciepła w nocy.

- Wiesz, kochanie, właściwie to nie będziemy tu mieszkać.

- Nie? - Moje oczy rozszerzają się, a serce bije mocniej. Czyżby Roberto znalazł już dla nas jakieś lokum?

— Nie. Zajmiemy pokój mamy, a ona przeniesie się tutaj.

- Aha - próbuję ukryć rozczarowanie. Plecy mnie bolą od szorowania podłóg na kolanach, próbuję je trochę rozmasować, jednocześnie zastanawiając się, co powiedzieć.

- Mamma uważa, że jej duża sypialnia będzie dla nas bardziej odpowiednia. Powiedziała, że od czterech pokoleń pan domu śpi w tym łóżku, to swego rodzaju tradycja rodziny Risso.

Strasznie to higieniczne, nie powiem.

— To naprawdę miło z jej strony, ale to przecież bez sensu, żeby przenosiła wszystkie swoje rzeczy — argumentuję ostrożnie.

- Też jej to mówiłem i zgodziła się ze mną. Dlatego zostawi rzeczy w naszym pokoju. ,

- A co z naszymi ubraniami?

— jakoś damy radę.

- A nie będzie jej brakowało balkonu? — To chyba moja ostatnia deska ratunku. Włożyłam całą energię i serce w doprowadzenie tego pokoju do porządku i trochę się do niego przywiązałam. Wymyśliłam już, gdzie postawimy nasze olbrzymie łóżko z białym bawełnianym baldachimem, i wyobraziłam sobie, jak kochamy się w nim z Robertem.

— Nigdy nie wychodzi na balkon, nie można na niego wychodzić. Mamma mówi, że jest zbyt stary. Jest niczym śmiertelna klatka.

- Chyba śmiertelna pułapka - poprawiam go. - W takim razie, jeśli nie możemy używać balkonu ani nie mamy miejsca na swoje rzeczy, to nie rozumiem, jakie są zalety mieszkania w tym pokoju? Poddasze jest znacznie lepsze.

Roberto obrusza się.

— Ty od razu o zaletach. Mamma chce zrobić dla nas coś miłego. Zależy jej, żebyśmy kontynuowali rodzinną tradycję. Musisz to zrozumieć.

— Oczywiście, że rozumiem. — Mam wyrzuty sumienia, czuję się jak niewdzięcznica. — To bardzo miło z jej strony, że

chce nam odstąpić swoją sypialnię, ale naprawdę wolałabym mieszkać tutaj i być jak najdalej od twojej rodziny.

- Słucham? Masz coś przeciw mojej rodzinie? - odpowiada Roberto urażony. Moje poczucie winy przeradza się w przygnębienie; wiem, że go zraniłam.

- Nie, oczywiście, że nie - mówię szybko, głaszcząc jego ramię. - Po prostu chciałam powiedzieć, że należy się nam odrobina prywatności.

- Po co?

- No wiesz, potrzebujemy jej, żeby móc się zająć na przykład robieniem dzieci - oświadczam z uśmiechem. Widzę, że oczy Roberta wypełnia niepokój. Ilekroć wspominam o dzieciach, robi się spięty. Myśli, że za dużo o tym myślę. Ja zaś myślę, że on myśli o tym stanowczo za mało. Jednocześnie oboje myślimy, że lepiej zignorować tę różnicę w myśleniu.

- Będziemy musieli się kochać jak najciszej - stwierdza Roberto. — Możemy to teraz przećwiczyć — dodaje z szelmowskim uśmiechem, po czym kładzie rękę na mojej piersi, kciukiem delikatnie drażniąc sutek. Szybko analizuję sprawę. Zostało mi zaledwie kilka dni do najbardziej płodnego okresu w miesiącu. Istnieje teoria, że seks zaraz przed tym momentem osłabia spermę, w związku z czym najlepszy moment przestaje być najlepszy. Nie mogę ryzykować. Odsuwam jego dłoń.

- Strasznie bym chciała, ale jest jeszcze tyle do zrobienia. Przecież muszę przygotować pokój dla twojej mamy.

Roberto wygląda na rozczarowanego, ale bierze głęboki oddech i mówi:

- Masz rację. Ja też mam mnóstwo roboty.

Podczas gdy ja kontynuuję sprzątanie, szorowanie i segregowanie rzeczy, Roberto biega po domu niczym Marcowy Zając. Dzwoni do starych znajomych i sąsiadów, chcąc pozyskać klientów, rozbudzając ich ciekawość. Ludzie przychodzą do baru, żeby zobaczyć mnie — jestem niczym tandetna cyrkowa atrakcja — każdy jest ciekaw, jak wygląda Angielka, którą poślu-

bił Roberto. Stali klienci (tych kilku starszych panów, których spotkaliśmy w barze pierwszego dnia po przyjeździe) są dla mnie bardzo uprzejmi i mili, choć chciałabym, żeby nasze rozmowy nie ograniczały się do potraw, których powinnam spróbować. Kobiety podziwiają moje włosy i cerę i choć nie szczędzą mi komplementów, nie mogę się doczekać, kiedy będziemy plotkować i zwierzać się sobie nawzajem. Mężczyźni uśmiechają się do Roberta i mówią, że świetnie trafił.

Niestety, miłą atmosferę zazwyczaj burzy to samo pytanie - ile mamy bambinich. Podobnie jak nasi angielscy znajomi, nie wiedzą, co powiedzieć, gdy dowiadują się, że żadnych. Wygląda na to, że niektóre rzeczy się nie zmieniają bez względu na miejsce zamieszkania. Na przykład uczucie rozczarowania. Jestem jednak pewna, że to wkrótce zniknie. Już wyobrażam sobie, jak bardzo wszyscy będą podekscytowani, gdy wreszcie oświadczę, że jestem w ciąży.

Z radością zauważam, że wielu klientów nie poprzestaje na jednej wizycie w naszym barze, i to nie ze względu na mnie, tylko na Roberta. Okazuje się, że mój mąż jest świetnym gospodarzem - towarzyskim, stanowczym, z poczuciem humoru. Przyglądanie się mu, gdy wita i zabawia gości, to czysta przyjemność. Jestem z niego bardzo dumna. Kiedy widzę, ile serca wkłada w to przedsięwzięcie, znacznie łatwiej mi zanurzać ręce w kolejnej misce wody z domieszką środka do czyszczenia.

Powodowana wyrzutami sumienia, że odrzuciłam jego zaloty, a także dumą z jego pracy, proponuję:

- Słuchaj, mam świetny pomysł. Co powiesz na to, żebyśmy zrobili sobie wolne dziś wieczorem i poszli do *ristorante*? Twoja mamma strasznie się ostatnio przez nas nagotowała, dalibyśmy jej trochę odpocząć.

- Miło, że o tym pomyślałaś. Mamma rzadko gdzieś wychodzi. Pomysł kolacji w *ristorante* na pewno bardzo jej się spodoba.

Cholera, miałam na myśli kolację we dwoje, a Rafaella odpoczęłaby od gotowania dla nas. Wcale nie chcę, by szła z nami, wolę mieć Roberta choć przez chwilę tylko dla siebie. Ale cóż, moja wina, powinnam była jakoś jaśniej to sformułować. Jeśli teraz powiem, że nie chcę jej z nami, mojemu mężowi na pewno będzie przykro.

- Powinniśmy też zabrać dziadka - proponuje Roberto. — Przecież nie zostawimy go samego w domu.

-Jasne - odpowiadam z udawanym entuzjazmem. — I Paolinę. Ja stawiam.

Paolina mówi, że jej strasznie przykro, ale nie może do nas dołączyć. Jutro rozpoczyna się bardzo ważna rozprawa, w związku z czym jej szef chce, by została dziś dłużej w biurze i jeszcze raz dokładnie przejrzała wszystkie papiery. Wygląda na zawiedzioną. Jestem załamana - miałam nadzieję, że trochę ożywi towarzystwo. Z drugiej jednak strony Rafaella i dziadek przyjmują zaproszenie z dużo większym entuzjazmem, niż się spodziewałam, co chyba jest dobrym znakiem. Chcę wierzyć, że ja i moja teściowa mamy szansę zapomnieć o tym, co wydarzyło się do tej pory, i zbliżyć się do siebie.

Rafaella proponuje *ristorante* w Marostica, oczywiście zgadzam się bez wahania. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, jestem trochę zaskoczona — lokal wybrany przez moją teściową jest znacznie bardziej elegancki i dużo droższy, niż przewidywałam. Ale przecież to nasza pierwsza rodzinna kolacja poza domem, nie powinnam więc żałować na nią pieniędzy. Poza tym śnieżnobiałe serwetki i srebrne sztucce naprawdę robią wrażenie.

Kelner wskazuje nam stolik, ale po chwili przesiadamy się, ponieważ Rafaella uważa, że dziadkowi dokucza przeciąg. Kolejne miejsce też jej się nie podoba, tym razem dlatego, że znajduje się pod głośnikiem. Twierdzi, że przez to ma mniejsze szanse na zrozumienie, co mówię, choć rozlegająca się wokół stonowana muzyka wcale nie jest głośna. Znów się przesiadamy. Tym razem zostaję posadzona naprzeciw toalet. Strasznie tego nie cierpię, ale nie wyobrażam sobie kolejnej zmiany, kelnerzy pewnie napluliby nam do zupy.

Kiedy mija wreszcie szok wywołany cenami oraz szykow-nością restauracji, postanawiam poddać się chwili i delektować nowym doświadczeniem. Muszę przyznać, że jest tu przepięknie. Kelnerzy są uprzejmi i wciąż się uśmiechają; wygląda na to, że nasza zabawa w komórki do wynajęcia wcale nie nadszarpnęła ich cierpliwości. Proponują nam aperitify na koszt firmy, do których przynoszą również niewielkie przekąski. Kiedy składamy zamówienie, doradza nam dwóch kelnerów, odpowiadając na każde, nawet najbardziej drobiazgowo pytanie i spełniając wszelkie prośby i życzenia. Jedzenie traktują tu bardzo poważnie.

Rafaella pyta, jak świeże jest mięso, którego zamówienie rozważa, szef kuchni przychodzi więc z ociekającym krwią kawałkiem bodajże cieleciny. Gdyby nie to, że umieram z głodu, chyba zupełnie straciłabym apetyt (a to nie zdarza się często), ale Rafaella jest usatysfakcjonowana. Wybieramy talerz przekąsek dla wszystkich, a jako danie główne zamawiam *pomido-rifarciti di magro* (bezmięsne nadziewane pomidory) oraz sałatkę na bazie zielonej sałaty. Ślinka mi cieknie na samą myśl o soczystych włoskich pomidorach. Przystawki są wyśmienite, choć muszę przyznać, że trochę się brzydzę jeść z tego samego talerza co dziadek i teściowa.

Staruszek niewiele mówi, a podczas jedzenia nie odzywa się wcale. Wydaje się bardzo leciwy i wątpy, choć z moich obliczeń wynika, że ma osiemdziesiąt cztery lata, zaledwie o kilka więcej od mojego ojca. Siedzi przy stole przykryty ogromną serwetą, tak dużą, że wygląda, jakby leżał w łóżku owinięty prześcieradłem. Docenia dobre jedzenie i poświęca mu całą swoją uwagę, jednak wydawane przez niego odgłosy gryzienia, przeżuwania i połykania są melodią nie dla moich uszu. Z każdym siorbnięciem czy beknięciem przewraca mi się wszystko w żołądku. Moja teściowa cieszy się jednak na każdy jego kęs, jakby był małym dzieckiem. Rafaelli bardzo smakuje jedzenie, tak bardzo, że co chwilę oblizuje palce, po czym dotyka nimi wszystkiego, nawet tego, czego wcale nie zamierza jeść. Roberto nie wydaje się

zawstydzony ich manierami. Próbuję pamiętać, że to przecież moja rodzina, ale nie mogę przestać myśleć o zarazkach.

Kiedy Roberto wychodzi do toalety, Rafaella wzywa kelnera i mówi coś do niego szybko po włosku, ten zaś kiwa potakująco głową, po czym skreśla coś w swoim notatniku i zapisuje coś innego. Zastanawiam się, co zamówiła i ile to będzie kosztować. Nie jestem skąpa, ale jeszcze nie omówiliśmy kwestii moich zarobków w barze, więc wszystko, co tu wydaję, pochodzi z moich angielskich oszczędności.

Kiedy przynoszą nasze potrawy, ku mojemu zaskoczeniu dostaję *polio alla cacciatore*.

- Pomylili zamówienia - zwracam się do Roberta, po czym przywołuję kelnera i mówię:

- *Mi dispiace*, ale ja zamówiłam *pomidori farciti di magro*. - Mężczyzna rozkłada ręce, po czym składa je niczym do modlitwy i energicznie potrząsa nimi w górę i w dół. Wygląda, jakby mnie o coś błagał. Po chwili tłumaczy coś Robertowi.

- Mamma zamówiła dla ciebie *polio alla cacciatore*. Nie chciała, żebyś była głodna, myślała, że pomidory będą za małe.

- Ale przecież to jest z kurczakiem. **W** Roberto wygląda na zaskoczonego.

- Faktycznie. Przepraszam, Elizabeth - mówi, trzymając widelec tuż nad talerzem; oczywiście chciałby już zacząć jeść, ale uważa, że w tej sytuacji byłoby to nieodpowiednie. Czuję, jakbym niepotrzebnie sprawiała problemy, ale przecież to nie moja wina, tylko Rafaelli. To ona zmieniła moje zamówienie.

Moja teściowa mówi coś po włosku, a Roberto tłumaczy jej słowa:

- Mamma bardzo przeprasza, nie wiedziała, że kurczaka też uważasz za mięso. — Rafaella wygląda na przerażoną, bije się w pierś i huśta na krześle to w przód, to w tył.

Roberto chwytą jej dłoń i mocno ściska.

- Nie przejmuj się mamó, nic się nie stało.

Uśmiecha się do niego i przez moment sprawia wrażenie uroczej starszej pani. Po chwili jednak spogląda na mnie i cała jej łagodność znika. Wygląda na rozdrażnioną, kiedy popycha w moją stronę pałeczki chlebowe.

- *Finire di mangiare* — mówi niezbyt przyjaznym tonem. Jedzcie. — Możesz zjeść danie Roberta.

- Ale przecież to bażant — odpowiadam.

- Bażant to też dla ciebie mięso? Nie rozumiem tego całego wegetarianizmu - szepcze po włosku rozzłoszczona.

Spoglądam na Roberta, mając nadzieję, że dostrzeżę wyraz jej twarzy i ton głosu, ale on okrywa właśnie dziadka serwetą. Niczego nie zauważył.

Staram się nie tracić cierpliwości. Możliwe, że Rafaella rzeczywiście się pomyliła, zamawiając mi potrawę z mięsem, choć osobiście w to nie wierzę. Sądzę, że tak naprawdę bardzo dobrze wie, co robi. Odkąd przyjechaliśmy, udaje, że nie rozumie, kiedy mówię po włosku, choćbym nie wiem jak się starała. Najwyraźniej nie rozumie nawet słowa „nie”, dzięki czemu może nałożyć mi na talerz więcej jedzenia, kiedy mówię: „*Basta, grazie*”. Jeśli jednak jestem głodna albo coś naprawdę mi smakuje, moją prośbę o dokładkę puszcza mimo uszu. Udaje, że zrozumiała, że nie przepadam za winem, więc nigdy podczas kolacji mi go nie proponuje. To jasne — moja teściowa prowadzi ze mną wojnę i wybrała sobie bardzo mądrą broń: jedzenie. Ponieważ umieram z głodu, staję się apatyczna i powoli tracę panowanie nad sobą, i to dokładnie w momencie, gdy najbardziej potrzebuję energii i cierpliwości.

Roberto ponownie zamawia moje pomidory, po czym mówi kelnerowi, że to całe nieporozumienie wynikło z naszej winy, więc oczywiście zapłacimy za obydwa dania. Moje jedzenie pojawia się, kiedy wszyscy już dawno skończyli, więc spożywam posiłek pośpiesznie, w niezręcznej ciszy.

Rafaella zamawia deser i kawę, a także drugą butelkę wina oraz likier. Kiedy kelner przynosi rachunek, głośno wychwala hojność Roberta.

— Nie, mam, powinnaś podziękować Elizabeth. To ona nas tu zaprosiła, to prezent od niej.

Rafaella spogląda w moją stronę i uśmiecha się, choć znacznie mniej szeroko niż przed chwilą.

— Musisz mieć dużo pieniędzy w banku w Londynie. Pewnie miałaś dobrą pracę — komentuje.

— Nie dobra praca. Dwa praca. Barmanka i kelnerka - odpowiadam łamanym włoskim.

Rafaella śmieje się i szepcze coś szybko po włosku, oczywiście nie mam pojęcia co. Roberto kręci głową i patrzy na nią pobłaźliwie, ale nie wygląda na zdenerwowanego. Mówi, że nie powinna się ze mną droczyć, jeśli dobrze rozumiem.

— Co ona powiedziała? — pytam.

— Mamma nie może uwierzyć, że pracowałaś kiedykolwiek za barem — tłumaczy, wciąż się uśmiechając.

W Londynie byłem uważana za bardzo dobrą barmankę, cenioną i zwinną, mało kto potrafił mi dorównać. Nigdy nie zapisywałem dań dnia ani zamówień. Byłem dumna z tego, że potrafię zapamiętać, kto zamówił którą potrawę, i nawet podczas wieloosobowych przyjęć rzadko zdarzało mi się postawić przed kimś niewłaściwy talerz. Tutaj jednak, muszę przyznać, zachowuję się jak osoba umyślowo niedorozwinięta. Nie znam nazw piw ani likierów. Prawie nie mówię po włosku, a przyspieszony kurs metodą „całkowitego zanurzenia” (czyli bezustanny kontakt z językiem, który mam w pracy) też nie przynosi zbyt imponujących rezultatów. Nie rozumiem, co klienci chcą zamówić, jak więc mam ich zabawiać rozmową i żartować? Dzień, w którym będę mogła to zrobić, wydaje się niesamowicie odległy. Rafaella z pewnością dostrzega każdy, nawet najmniejszy błąd. Moja twarz czerwienieje z wściekłości, ale udaję, że nie rozumiem, o co jej chodzi. Próbuję jednak wrócić do wcześniejszego tematu rozmowy — pieniędzy. Już od jakiegoś czasu chciałem zapytać, ile będę zarabiać, i wydaje mi się, że właśnie znalazłem odpowiedni moment. Nie oczekuję zapłaty za sprzę-

tanie, ale uważam, że moja praca w barze powinna być odpowiednio wynagrodzona.

- Chciałabym zapłacić za dzisiejszą kolację, bo przecież niedługo dostanę pierwszą wypłatę. Pracuję w barze już ponad tydzień. Płacicie tygodniówki czy miesięczną pensję?

Roberto bawi się łyżeczką do kawy.

- No właśnie, rozmawialiśmy z mamą o tym i doszliśmy do wniosku, że płacenie ci byłoby swego rodzaju obelgą.

- Słucham? Chyba nie do końca rozumiem.

- No więc mamma zauważyła, że to jest przecież interes rodzinny i wszyscy pracujemy dla naszego wspólnego dobra. Jeśli będziemy ci za to płacić, będziesz jak reszta pracowników, a przecież jesteś kimś znacznie ważniejszym. — Udaje mi się spojrzeć mu w oczy i widzę, że nie jest tak do końca zadowolony z tej decyzji, ale w takim razie dlaczego ją popiera? Czy bar naprawdę nic przynosi żadnych zysków?

- Ale przecież ty dostajesz pieniądze.

- No właśnie. - Roberto uśmiecha się, choć wcale nie próbowałam wykazać, że ma rację. — A w domu mamy jedzenie. Na co więc potrzebujesz pieniędzy?

- Na różne rzeczy - jąkam się.

- Ale jakie rzeczy?

- Ubrania, kosmetyki, płyty, książki.

- Ale przecież masz mnóstwo ubrań!

Mam nadzieję, że tylko mi się wydawało, ale kiedy wypowiedział te słowa, na jego twarzy dostrzegłam szydery uśmiech, dokładnie taki, z jakim patrzy na mnie Rafaella, tylko trochę słabszy. Na pewno mi się wydawało.

- Nie mamy miejsca nawet na jedną czwartą rzeczy, które ze sobą przywiozłaś, chociaż część z nich oddałaś już do sklepów charytatywnych - dodaje.

Faktycznie, większość moich rzeczy jest wciąż w walizkach, które zagracają pokój Paoliny, zajmując większą część podłogi. Właśnie dlatego Rafaella powinna się pozbyć swoich starych

rzeczy i zrobić trochę miejsca w szafie. Wciąż wiszą tam rzeczy Brunona, zmarłego przed wielu laty ojca Roberta.

—Jeśli zobaczysz coś wyjątkowego, możesz wypłacić pieniądze z naszego angielskiego konta oszczędnościowego. Zamierzam użyć części środków na remont baru, więc to chyba dość uczciwe rozwiązanie.

- A co będzie, gdy nasze zaskórniaki się skończą? Przecież nie odłożyliśmy nie wiadomo jakiej sumy.

- Dam ci coś ze swojej wypłaty.

Uświadamiam sobie, że choć mój mąż w dalszym ciągu mówi spokojnym, uprzejmym tonem, nasza dyskusja przerodziła się w kłótnię. Zdaję sobie z tego sprawę przede wszystkim dlatego, że Rafaella zdaje się być w siódmym niebie. Jej oczy przeskakują to na mnie, to na Roberta, jakby oglądała finał Wimbledonu. Jestem w takim w szoku, że moja teściowa nie ma nic przeciwko temu, bym podwinęła rękawy i dołączyła do pracowników baru, a jednocześnie nie zamierza mi płacić za mój wysiłek, że mam problemy z wyartykułowaniem swoich myśli i wyjaśnieniem, dlaczego uważam, że jej, a raczej ich decyzja jest niewłaściwa. Argumenty Roberta brzmią rozsądnie, ale w dalszym ciągu czuję, że to nie jest w porządku.

- Nie chcę się z tobą o to kłócić - mówię.

- To się nie kłóć - odpowiada, po czym pochyla się i całuje mnie w kącik ust, jakby chciał mnie uciszyć.

30 stycznia

Odkąd przyjechałam do Veganze, Alison dzwoni do mnie co drugi lub trzeci dzień, a ja robię coś strasznego: nie odbieram, tylko czekam, aż włączy się poczta głosowa. Później odsłuchuję jej wiadomości i odpisuję SMS-em. Tak, ignoruję telefony mojej najlepszej przyjaciółki. Dlaczego? Ponieważ wytworzyła się między nami jakaś niewidzialna bariera i po raz pierwszy nie jestem pewna, czy potrafię szczerze z nią porozmawiać. Jak miałabym jej wytłumaczyć, że moja romantyczna, dobrze prosperująca winnica okazała się brudnym, zapyziałym barem, który lada chwila może splajtować? Dziś telefon znów wibruje w mojej kieszeni, wyciągam go i widzę na ekranie jej imię. Po raz kolejny zastanawiam się, czy odebrać, i przychodzi mi do głowy, że mogłabym w sumie unikać jej do końca życia, ale nie potrafię znieść tej myśli. Dwa tygodnie wystarczą. Odbieram.

— No cześć — mówi Alison z wyraźną ulgą, że wreszcie udało jej się mnie złapać. Ja jednak czuję się nieswojo, jestem zdenerwowana i mam wyrzuty sumienia, słysząc jej głos. - Nareszcie! Boże, ile to się trzeba namęczyć, żeby się do ciebie dodzwonić! No to opowiadaj, jak jest? Ciężka praca? Winnica... w ogóle nie potrafię sobie tego wyobrazić! - Ja również. — No to mów od początku. Jak wygląda dzień pracy w takim miejscu? — pyta dociekliwie.

Alison jest zazwyczaj bardzo spokojna i rzadko okazuje emocje. Tym razem w jej głosie słyszę podekscytowanie, które brzmi niemalże histerycznie, wprawiając mnie w nie lada zakłopotanie. Przez chwilę zastanawiam się, czy istnieje jakikolwiek

sposób, by ukryć moją pomyłkę, ale dobrze wiem, że prawda prędzej czy później i tak wyjdzie na jaw. Poza tym jak miałabym jej opowiedzieć o pracy w winnicy? Nawet ja nie mam aż tak bujnej wyobraźni! No i przecież w końcu kiedyś mnie odwiedzi i zobaczy, gdzie pracuję.

- Nie ma żadnej winnicy. Okazało się, że Roberto, mówiąc, że jego rodzina zajmuje się winem, miał na myśli bar. Jego mama posiada małą knajpkę - wypowiadam te słowa najszybciej, jak się da, co jednak wcale nie czyni mojego wyznania mniej bolesnym.

-Co?

- Łatwo można było się pomylić - przekonuję.

- No właśnie nie bardzo. Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałaś? — pyta zdziwiona. — Jak mogłaś się tak pomylić? Boże, czasem naprawdę zachowujesz się jak skończona idiotka.

Po tych słowach Alison wybucha niepohamowanym śmiechem. Nie potrafi ukryć rozbawienia. Nawet nie próbuje. Wiem, że jako moja najlepsza przyjaciółka, nie odpuści mi łatwo i będzie się ze mnie bezlitośnie wyśmiewać do końca swoich dni.

Zachowuję kamienne, pełne godności milczenie; cokolwiek powiem, tylko pogorszy sprawę. Na pewno jej przejdzie, prędzej czy później, może gdy dobię sześćdziesiątki.

Kiedy zauważa, że nie mam zamiaru kontynuować tematu, mówi:

- Yyy... a co poza tym słyszać? Jak ci się podobają Włochy? Jesteś we Włoszech, prawda? Nie odkryłaś nagle, że Roberto właściwie pochodzi z Albanii?

- Ha ha, bardzo śmieszne. Włochy są przepiękne.

- Takie jak oczekiwałaś?

- W sumie tak, tylko jest trochę zimniej.

- Cudownie! Tak, to naprawdę cud, bo twoje oczekiwania były trochę wygórowane.

Rozpływam się w zachwytach nad tymi aspektami Włoch, które przypadły mi do gustu.

- Jedzenie jest przepyszne, a ludzie bardzo towarzyscy. Strasznie podoba mi się, jak Włosi potrafią cieszyć się chwilą i nie przejmować upływem czasu. Kiedy przychodzą do baru, nie patrzą co chwilę na zegarek, kontrolując, kiedy skończy się *happy hour**. Ucinają sobie natomiast pogawędkę z gospodarzem i bez pośpiechu wybierają odpowiedni stół. Później zamawiają coś do picia, a do tego często jakieś przekąski. Dużo lepiej rozumieją pojęcie uprzejmości i kultury osobistej.

- No a jaki jest ten wasz bar? - przerywa Alison moje wywody.

- Na chwilę obecną bardzo zaniedbany, ale planujemy zmienić wystrój i przywrócić mu dawną świetność.

- I w jakim kierunku pójdziecie? Coś rustykalnego?

- Raczej *uber-chic*. Nowoczesność w dobrym stylu.

- A jak interes, kręci się?

-Wiesz, to dla nas duże wyzwanie. Mamy dość sporą konkutencję. W Vegance jest sześć barów, cztery przy rynku i dwa oddalone od niego praktycznie o rzut kamieniem. Jeden z nich należy do nas. Tak że nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek zostali milionerami. Ale praktycznie wszystkie pozostałe knajpki tętnią życiem, choć w Vegance mieszka zaledwie osiem tysięcy ludzi. Nie wiem, jak to możliwe. Przecież Włosi nie piją zbyt dużo, a do tego prawie połowa mieszkańców to osoby niepełnoletnie albo starsze. Mimo wszystko jednak bary nigdy nie świecą pustkami. Po prostu musimy przyciągnąć więcej stałych klientów.

- Słuchasz tej płyty, którą ci kupiłam? -Tak.

W sumie to nie. „Naucz się mówić po włosku w trzy tygodnie, poświęcając na to godzinę dziennie” wciąż leży nieodpakowane w pudełku. Jakoś nigdy nie potrafię wygospodarować tej godziny na naukę języka. Mogłam w zasadzie jej słuchać, kiedy sprzątałam poddasze, ale podczas porządków wolę sku-

* Czas, w którym napoje sprzedawane są po obniżonych cenach.

pić się na innych rzeczach - myślę o bambinich z pulchnymi nóżkami i czarnymi kręconymi włoskami. Czas płynie wówczas znacznie szybciej i dużo przyjemniej.

- A jak ci się układa z teściową?

Biorę głęboki wdech i zastanawiam się, jak daleko mogę się posunąć w zwierzeniach. Wielokrotnie odtwarzałam w myślach wszystko, co się wydarzyło ostatniego wieczora w restauracji. Czy wrogość Rafaelli zaistniała jedynie w mojej wyobraźni? Roberto wrócił do domu absolutnie zachwycony, cieszył się, że wreszcie zjadł prawdziwą kolację ze swoją żoną i rodziną i że wszyscy tak dobrze się dogadywali, a także wychwalał rewelacyjne jedzenie. To prawda, jedzenie było wyśmienite. Ale poza tym miałam wrażenie, że byliśmy na dwóch różnych kolacjach. Sama już nie wiem, co myśleć.

- No wiesz, nie jesteśmy jeszcze serdecznymi przyjaciółkami - przyznaję. - Ale jak sama mówiłaś, miałam dosyć wygórowane oczekiwania. Potrzebujemy więcej czasu, by się lepiej poznać, od naszego przyjazdu zdecydowaną większość uwagi poświęca Robertowi, co oczywiście jest zrozumiałe.

- Podobały jej się prezenty? — pyta Alison.

Moja przyjaciółka towarzyszyła mi podczas większości ekspedycji do sklepów w zachodnim i centralnym Londynie, podczas których miałam wybrać odpowiednie podarunki dla swojej włoskiej rodziny. Nie potrafię jej powiedzieć, że pięknie zapakowane pudełka nie zostały nawet otwarte. Wciąż leżą w salonie, na komodzie z ciemnego drewna. Za każdym razem gdy na nie spoglądam, jest mi przykro, że skrupulatnie wybrane przybory toaletowe, jedwabny szalik, świeczki zapachowe oraz gustowne pudełko czekoladek wciąż czekają na odpakowanie i sprawienie komuś radości. Czasem w nocy wyobrażam sobie, że muszą cierpieć i czuć się samotne i niepotrzebne. Zupełnie jak moje jajniki.

- Mhm - mamroczę i szybko zmieniam temat. - Ale opowiedz mi lepiej o tej randce. To było w tym tygodniu, prawda?

— Właściwie wczoraj wieczorem.

Przed świętami Alison poznała w dyskusyjnym klubie książki jakąś dziewczynę. Po wymienieniu poglądów na temat pisarstwa Ivo Andrića i innych wybitnych intelektualistów przyznały się, że się sobie podobają. Termin randki został ustalony przed paroma tygodniami, ponieważ, podobnie jak Alison, Fiona robi zawrotną karierę i ma bogate życie towarzyskie, trudno więc było im znaleźć dogodny termin. Wiem, że Alison była tą randką skrycie podekscytowana. Rzadko spotyka kogoś, kto potrafi zawładnąć jej wyobraźnią.

Opowiada mi wszystko po kolei, minuta po minucie; wygląda na to, że świetnie się bawiły. W skrócie: poszły do teatru, a potem na curry do indyjskiej restauracji; nie było całowania z języczkiem, ale dziś znowu się spotykają.

— Poważnie? Nie wierzę, łamiesz swoją zasadę. Przecież nigdy nie umawiasz się z dziewczyną zaraz na następny dzień.

— No cóż, nie muszę już marnować czasu na ciebie — mówi z tęsknotą w głosie. - Poza tym nie mam nic lepszego do roboty. - Wydaje mi się, że próbuje ukryć swój entuzjazm.

— Słuchaj, Alison, strasznie cię przepraszam, ale kiedy zadzwoniłaś, malowałam właśnie ścianę. Muszę ją jak najszybciej skończyć, bo za godzinę zaczynam zmianę. — Prawda jest taka, że kiedy Alison wspomniała o marnowaniu czasu, szybko obliczyłam, że właśnie mam płodne dni. Muszę natychmiast znaleźć Roberta. - Baw się dobrze - rzucam na pożegnanie.

— OK. Obiecuję — odpowiada, chichocząc.

Przez chwilę zastanawiam się, czy zanim uwiodę mojego męża, nie warto by przebrać się w coś bardziej kuszącego niż poplamione farbą ubranie, które mam na sobie, ale jakoś nie potrafię znaleźć na to energii. Mój dzisiejszy image to pochłapane emulsją ogrodniczki i brak makijażu, ale przecież podobno dobrze jest wprowadzić od czasu do czasu jakieś urozmaicenia. Roberto siedzi przy barze, ślęczy nad księgami. Znowu. Przygotowuję mu mocne espresso - dokładnie takie, jakie lubi.

Stawiam przed nim filiżankę z kawą, po czym obejmuję go, ocierając się piersiami o jego plecy.

-Jesteś niesamowity. Tak ciężko pracujesz, a nasz bar wygląda coraz lepiej. I nie tylko ja to zauważyłam. Słyszałam komentarze klientów. Ale pozwolę sobie zauważyć, że ja i moja szmata też mamy w tym swój udział. I obydwie mamy brudne myśli.

Roberto albo nie słyszy, albo nie rozumie mojego dowcipu. Pewnie jest zatopiony w swoich myślach i zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że właśnie rzuciłam dwuznaczną aluzję.

- Chciałbym, by bar tętnił życiem, pragnę przywrócić mu świetność i blask, którymi cieszył się za czasów mojego ojca - mówi Roberto.

Uśmiecham się, słysząc tak kwiecisty język w ustach mojego męża. Pewnie to *powrót* do Włoch i do rodzinnego miasteczka sprawił, że Roberto stał się znacznie bardziej sentymentalny i patetyczny. Powroty do domu zawsze dziwnie wpływają na ludzi. Ja na przykład za każdym razem gdy od-

wiedzam rodzinne strony, piję Bailey'a i udaję, że lubię oglądać powtórki sitcomu *Some Mothers Do 'Ave 'Em*. Słowa Roberta brzmią, jakby wypowiadał je bohater jakiejś telenoweli, czytając prosto ze scenariusza. Odkąd przyjechaliśmy do Włoch, czasem czuję się kompletnie oderwana od rzeczywistości. Może ma to coś wspólnego z tym, że nie znam języka. Często wydaje mi się, że gram w jakimś filmie. Nie jestem odtwórczynią głównej roli (choć mój mąż jest głównym bohaterem), raczej statystką.

- Więc jeśli chcemy mieć co włożyć do garnka, musimy jakoś doprowadzić to miejsce do porządku? - pytam z uśmiechem.

- Pieniądze to nie wszystko. Tu chodzi o honor rodziny! Realizacja moich planów będzie wymagała dużo poświęcenia i ciężkiej pracy. - Mam ochotę rozejrzeć się wokół, pewna, że gdzieś musi znajdować się teleprompter, z którego czyta mój mąż. Zamiast tego uśmiecham się pobłażliwie. - Wchodzisz w to? - dodaje ku mojemu zaskoczeniu.

Lubię, kiedy się tak nakręca. Wiem, że praca w agencji reklamowej już od jakiegoś czasu nie przynosiła mu większej satysfakcji. Mnie również zależy na rodzinnym interesie, ale dużo bardziej na samej rodzinie, musimy więc zrobić sobie przerwę, bo mój kalendarzyk przypomina, że właśnie zapaliło się dla nas zielone światło. Całuję go delikatnie. Pochylam się w jego stronę, po czym niezgrabnie podnoszę się na rękach i siadam na barze, przerzucam przez niego nogi i ześlizguję się na stojący obok stół. Chyba nie do końca przemyślałam ten ruch. Przyciskam swoje ciało do jego, czuję, jak twardnieją mi sutki. Mam nadzieję, że on też to wyczuwa.

- Wiem, kochanie, że jesteś zajęty, i wspieram cię całym sercem, ale wydaje mi się, że powinniśmy iść do domu. Oczywiście wrócimy później. W końcu sješta jest częścią włoskiej tradycji. A ty przecież tak bardzo cenisz tradycję.

- Czyżby nadszedł „właściwy” moment?

Wygląda na zmęczonego, ale staram się nie zwracać na to uwagi. Odsuwa się ode mnie i sprawdza dzisiejszą datę na zegarku. Kiwam potakująco głową, a on wzdycha cicho. Mam wyrzuty sumienia, gdyż zdaję sobie sprawę, jak rzadko ulegamy spontanicznym uniesieniom. To już nie jest wzajemne okazywanie sobie miłości ani żądza seksualnego spełnienia. To próby zajścia w ciążę. Może powinnam była pozwolić mu wziąć mnie wtedy na poddaszu.

Roberto posłusznie odkłada długopis i księgi rachunkowe.

- I tak Paolina musi jeszcze raz rzucić na to okiem. Nie umiem się w tym wszystkim połapać. Chodźmy, kochanie. - Idziemy do domu w milczeniu, trzymając się za ręce.

Nasza próba poczęcia nowego życia zajmuje niecałe dziesięć minut. Nie ma sensu niczego przedłużać, bo wiem, że Roberto jest wykończony. Już od dawna przestałam uważać, że mój orgazm jest do czegokolwiek potrzebny. Przecież on nie ma na nic wpływu. Kiedy Roberto kończy, przewracam się na łóżku i kładąc pupę na poduszce, unoszę nogi do góry i opieram je o ścianę.

- Co robisz? — pyta Roberto z zaciekawieniem. - Wyglądasz, jakbyś ćwiczyła jogę.

Uśmiecham się do niego, chcąc pokazać mu, że doceniam jego dzisiejsze starania.

- Po prostu chcę trochę pomóc spermie. Ostatnio o tym czytałam.

Roberto milczy przez chwilę. Na jego twarzy dostrzegam irytację. Powinnam była przewidzieć, że źle to zrozumie. Chyba muszę być bardziej delikatna. A może to on powinien być mniej wrażliwy.

- Uważasz, że produkuję złą spermę? - pyta z wyrzutem.

- Nie - odpowiadam spokojnie.

- To dobrze, bo oboje wiemy, że tak nie jest. Robiliśmy testy. Moja sperma jest okej - mówi z przekorą.

— Podobnie jak moje jajeczka - odgryzam się. Wiem, że jestem wredna, choć wcale nie miałam takiego zamiaru. Ale ja też czuję zmęczenie. Naszorowałam się dzisiaj.

— Tak, faktycznie. - W jego głosie słychać złość. Szybkim ruchem odrzuca kołdrę i wyskakuje z łóżka. Stoi

tyłem do mnie i wpatruje się w sufit. Widzę wściekłość parującą z każdego kawałka jego ciała. Cholera, jak w ogóle do tego doszło? Ucieszyłam się, że zgodził się wyjść z pracy i zrobić co trzeba. Nie chciałam się kłócić. Próbuję go uspokoić.

- Słuchaj, masz świetną spermę. Moje jajeczka też są w porządku. Ale twoje plemniki i moje jajeczka nie pałają do siebie zbyt wielką sympatią. To nie jest nasza wina, tak już jest i tyle. Więc proszę, nie zachowuj się jak urażony włoski ogier.

- Nie oskarżaj mnie, że jestem *macho* — odburkuje.

Fakt, właśnie to zrobiłam, ale wcale nie miałam takiego zamiaru; poza tym nawet nie przypuszczałam, że zauważy. Najczęściej bariera językowa sprawia, że mój mąż nie dostrzega niepotrzebnych złośliwych aluzji, które zdarzają się przecież w każdym związku i wprowadzają zbędne zamieszanie. Siedzimy w pokoju w milczeniu. Chcę zarzucić mu ręce na szyję i rozweselić go, ale muszę trzymać nogi w górze przez co najmniej piętnaście minut. Roberto ubiera się i wychodzi z pokoju. Odczekuję zalecany kwadrans i ruszam za nim. Znajduję go w barze z Rafaellą. Obsługują klientów, więc mój czas na wyjaśnienie sprawy minął. Cholera. Czuję się okropnie. Podwijam rękawy i przygotowuję się psychicznie na długą, pracowitą nockę.

14 lutego

Udaje mi się otworzyć ciężkie okiennice, choć nie bez wysiłku. Wyglądam przez okno. Hura, nie pada! Odkąd przyjechaliśmy do Włoch, pada codziennie, co, muszę przyznać, mocno mnie zaskoczyło. Nie oczekiwałam pluchy. Choć wciąż jest chłodno, niebo ma dziś żywy niebieski kolor i zaprasza do wyjścia na zewnątrz. Biorę głęboki wdech, chcąc nabrać tyle powietrza, ile tylko zmieści się w moich płucach, i chłonąć Włochy całą sobą.

Sięgając po szlafrok, zauważam leżące na stoliku małe opakowanie trzech czekoladek Bacci. Nie jest to może jakiś wykwintny prezent, gdyż można je znaleźć w każdym włoskim supermarkecie czy barze, ale sprawiają, że aż podskakuję z radości. Bacci to po włosku pocałunki. Roberto zostawił je dla mnie, a jestem teraz w takim momencie cyklu, że prezent ten wydaje się tym bardziej odpowiedni.

Tydzień przed okresem obydwójce zachowujemy się co najmniej dziwnie. Nie kłócimy się, ale krążymy wokół siebie ostrożnie, a każde z nas zupełnie inaczej patrzy na sprawę. Ja uwielbiam ten czas, bo przecież wszystko jest możliwe. Może wreszcie będziemy mieli dziecko, może nasze ciała wreszcie zaczęły ze sobą współpracować. Często zauważam objawy ciąży: moje piersi srajają się znacznie bardziej wrażliwe, brzuch lekko się zaokrąglą i odczuwam niesamowite zmęczenie. Lubię się rozkoszować tymi symptomami, wszystkie te uciążliwe niedogodności sprawiają mi masochistyczną przyjemność. Tylko czekam, aż pojawi się kreska na teście ciążowym.

Roberto nie znosi tych dni. Po kilku fałszywych alarmach jest przekonany, że to tylko napięcie przedmiesiączkowe, które-

go objawy są nadzwyczaj podobne do występujących w pierwszych tygodniach ciąży.

Cieszę się, że zdaje sobie sprawę, jak bardzo ważny jest dla nas ten tydzień, może nawet najważniejszy od kilku lat. Jesteśmy we Włoszech już od miesiąca. Czy myśli o tym samym co ja? *May be baby.*

Pędzę do łazienki, biorę szybki prysznic i ubieram się w rekordowym tempie. Nie mam ochoty spędzić pierwszego bezdeszczowego dnia, próbując usunąć brud z różnych zakamarków baru albo pozbywając się pudeł pełnych nadjedzonych przez mole staroci. Nie wiem jeszcze, co będę robić, ale jedno wiem na pewno — biorę dziś wolne.

Kiedy schodzę na dół, widzę, że Rafaella już posprzątała po śniadaniu, a Roberto pewnie poszedł już do baru. Moja teściowa siedzi przy stole, obierając ziemniaki.

- Dzień dobry - mówię po włosku.

- Dobry.

- Przepraszam, że nie zeszłam na śniadanie. Wzrusza ramionami; nie wygląda na zdenerwowaną.

- W lodówce jest talerz. Oczywiście, że jest. Talerz salami.

- Mogłabym wziąć kilka jajek? - pytam.

Kręci przecząco głową i mlaska z niezadowoleniem, niepotrzebnie robiąc dużo hałasu.

- Nie, nie. Jajka na makaron.

W lodówce jest dwanaście jajek, co wydaje mi się wystarczające na jajecznicę i makaron. Oczywiście nic nie mówię, w końcu nie mam pojęcia, ile jajek potrzeba do zrobienia makaronu. Rozglądam się po kuchni i po chwili dostrzegam misę pełną soczystych owoców. Świeże owoce — najzdrowsze śniadanie dla malutkiego zarodka!

- W porządku, zjem owoce. — Kiedy sięgam do miski, ręka Rafaelli pojawia się nagle znikąd i zręcznie wyrywa mi naczynie.

- W moim domu śniadanie jest od siódmej do ósmej - oświadcza.

Jakoś nie chce mi się w to wierzyć, wczoraj wstałam o siódmej, a śniadanie podała dopiero piętnaście po ósmej, a teraz jest właśnie ta godzina. Trzyma kurczowo miskę, przytulając ją do siebie, a ja mam ochotę się roześmiać. Sytuacja jest naprawdę komiczna. Liczę do dziesięciu. Może jestem w ciąży. Może jestem w ciąży.

Myśl o małym dzidziusiu w moim brzuchu daje mi wystarczająco siły, żeby wykrzesać z siebie uśmiech z wyuczoną lekkością, której wcale nie czuję.

- Nie ma problemu, kupię sobie brioszkę na rynku. Mam dziś wolne. - W sumie nie wiem, czemu jej o tym mówię. Pracuję dzień w dzień, odkąd tu przyjechaliśmy, do tego nikt mi za to nie płaci.

Rafaella mówi coś po włosku. Wydaje mi się, że mówi „*Pigra*”.

Nie jestem pewna, co to znaczy, ale *pigra* to chyba po włosku „leniwa”. Oczywiście mogę się mylić, dlatego nie bardzo wiem, jak zareagować. Boże, co powinnam powiedzieć, jeśli rzeczywiście mam rację? Stoję przez chwilę bez ruchu, w milczeniu zastanawiając się, co robić. W końcu decyduję, że nie mam za bardzo co zrobić i wymykam się z kuchni. Żałosne. Choć żołądek mam pusty, czuję się ciężka.

Jeszcze zanim dojdę do końca ulicy, wyciągam komórkę i wybieram numer Alison.

- Hej, co za niespodzianka. Fajnie cię słyszeć, wszystko okej?

Decyduję się wyznać jej całą prawdę, przecież właśnie po to dzwonię - żeby się wygadać.

- No właśnie nie bardzo. Szczerze mówiąc, mój urok osobisty w próbie zjednania sobie teściowej nie bardzo działa. Wiem już, że nawiązanie z nią ciepłych, zażyłych stosunków będzie czymś znacznie trudniejszym niż spacer pod górkę, można to raczej bardziej trafnie porównać do samotnej wyprawy na Mount Everest bez choćby jednego batonika energetyzującego.

Alison śmieje się, wyobrażając sobie opisaną przeze mnie sytuację, po czym z powagą mówi:

- Wiedziałam, że coś przede mną ostatnio ukrywałaś. Gdybyś tylko potrafiła opisać swoją teściową w samych superlatywach, zrobiłabyś to. No dalej, opowiadaj wszystko od początku.

- Z jakichś powodów, których obecnie nie do końca rozumiem, Rafaella postrzega mnie jako wroga i choć walczy ze mną ukradkiem, robi to bezlitośnie, nie dając mi ani chwili wytchnienia.

- Ale dlaczego miałyby cię nie lubić?

- Nie mam pojęcia, ale przecież w kółko się o tym słyszy: o matkach, które są zazdrosne o żony swoich synów.

-No w sumie...

- Może obwinia mnie o to, że tak długo się nie widzieli?
- To byłby absurd, przecież pokłócili się, zanim poznałaś Roberta.
- Tak, ale kochając kogoś, często zachowujemy się absurdalnie. Kto wie, jakie myśli krążą jej po głowie? Wiem tylko, że nasze relacje miały niezbyt dobry początek i że wciąż się pogarszają.

Zbieram się na odwagę i ze szczegółami opowiadam Alison o okrutnie krępującym pierwszym wieczorze w domu Rafaelli. Staram się trochę załagodzić sprawę, mówiąc nieco żartobliwym tonem. Później przechodzę do wydarzeń w restauracji i zmianie zamówienia, by wreszcie dojść do dzisiejszego poranka, kiedy to nie chciała dać mi nic do jedzenia. Mam nadzieję, że Alison będzie się śmiać i powie, żebym się nie martwiła. Chcę, by dodała mi otuchy i zapewniła, że to tylko drobne problemy, których można się było spodziewać. Bo przecież wiem, że nieporozumienia to chleb powszedni w każdej rodzinie. Alison milczy, jest więc jasne, że ona również uważa, że to coś więcej niż drobne problemy.

- Ona mnie chyba nienawidzi - wnioskuję.
- Serio?
- Serio, serio.
- Nie wydaje ci się, że troszkę dramatyzujesz? -Tak myślisz?
- Nie wiem, ciężko ocenić coś tylko na podstawie opowiadań. A co na to Roberto?
- Niczego nie zauważa - wzdycham rozdrażniona.
- Chyba jesteś na niego trochę wkurzona. Czy nie? - Nie. Nie na niego. To nie jego wina, że rodzinny interes to mało dochodowy bar, który pochłania mnóstwo czasu i energii, a nie przepiękna, przynosząca duże zyski winnica. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. To nie jego wina, że jego marka jest jędzą, że jest zimno i że nie znam języka, w związku z czym ciężko mi

nawiązać z kimkolwiek rozmowę, a co dopiero się zaprzyjaźnić. Zdaję sobie sprawę, że on nie ma na to wszystko żadnego wpływu, ale...

- Jesteś przed okresem? - Alison jest jedyną osobą na świecie, która ma odwagę zadać mi to pytanie, choć i tak robi to wyłącznie przez telefon.

- Mam naprawdę wielką nadzieję, że nie.

Ciąża to jedyna rzecz, która może wszystko zmienić i sprawić, że będę wreszcie szczęśliwa. Rafaella z pewnością zmieniłaby wtedy swoje nastawienie, a nawet jeśli nie, byłoby mi wszystko jedno. To tak jakby wokół mnie wytworzyła się nagle niewidzialna osłona, pod którą mogłabym sobie żyć w błogiej radości.

Zastanawiam się, czy moja teściowa pragnie wnuka tak bardzo jak ja dziecka. Może właśnie dlatego mnie nie lubi, że nie udało mi się wydać na świat potomstwa? Nagle rozumiem, czemu nie otworzyła prezentów, które przywiozłam jej z Anglii. Rozumiem jej pogardę. Jest zgryźliwa, bo chciałaby, żeby jej syn miał pełną rodzinę. Ta myśl prawie powala mnie na ziemię; wreszcie doszłam do jakichś rozsądnych i konstruktywnych wniosków. Wszystko będzie dobrze, jeśli zajdę w ciążę.

Jeśli.

- Pociesz mnie jakoś — mówię łamiącym się głosem. Alison milczy przez chwilę, po czym odpowiada:

- Świetnie nam się układa z Fioną. Dziś też się spotykamy, w końcu to wyjątkowy dzień. - Nie mam pojęcia, dlaczego dzisiejszy wieczór miałby być „wyjątkowy”. Urodziny Alison są w listopadzie. Może dziś są urodziny Fiony? W sumie nie bardzo mnie to interesuje, nie wnikam więc w szczegóły. - Strasznie mi przykro, ale będę musiała kończyć, za chwilę idę na depilację bikini.

Kiedy się rozłącza, czuję, jak zalewa mnie fala żalu i rozgoryczenia. Myślałam, że rozmowa z nią poprawi mi humor, a tymczasem uświadamiam sobie, jak bardzo za nią tęsknię. Chciałabym siedzieć teraz w jej mieszkaniu i przyglądać się,

jak maluje paznokcie i wybiera strój na swoją ważną randkę. To z pewnością dużo przyjemniejsze niż moje usilne próby przyjęcia zamówień w barze. Decyduję, że potrzebna mi filiżanka kawy — z pewnością sprawi, że poczuję się lepiej. Albo przynajmniej będzie mi cieplej.

Cóż więcej mogę zrobić?

Kiedy siedzę w kawiarni, sącząc niespiesznie kawę, zauważam, że bardzo wiele osób jeździ tu na rowerach albo motorach, choć samochodów też nie brakuje i obowiązują skomplikowane przepisy dotyczące parkowania- zupełnie jak w Anglii. Veganze jest dosyć starym miasteczkiem, choć jednocześnie zdaje się w pewnym sensie oryginalne. Powtarzam sobie, że nie powinnam czuć się oszukana, ponieważ okazało się zupełnie inne, niż oczekiwałam. Dokładnie w południe dostrzegam miejscowego dziwaka, który wchodzi na rynek, włączając powoli nogami. Zastanawiam się, czemu zjawia się dziś tak późno. Spotykam go codziennie rano w drodze do pracy, niezależnie od pogody. Podchodzi do mnie i prosi o papierosa. Robi to za każdym razem, gdy usiądę tu, by napić się kawy. To, że za każdym razem odpowiadam mu, że nie palę, niczego nie zmienia.

Próbowałam już *„Jo no Jurno”*, *„Io fumo no”*, a także *„No fumo”*, bo tak do końca nie wiem, która forma jest poprawna. Ale jedna z nich na pewno jest, on zaś wciąż zadaje mi to samo pytanie. Po kilku spotkaniach zdałam sobie sprawę, że wcale nie chodzi o barierę językową, facet jest chory. Może cierpi na chorobę Alzheimera albo coś w tym stylu, a może jest taki od urodzenia - nie wiem, nie jestem lekarzem.

Pan Zapominalski na moje oko zbliża się do siedemdziesiątki. Nie wiem, z kim mieszka, ale ktoś na pewno musi się nim opiekować — zawsze jest nienagannie ubrany i czysty. U nas w Anglii dziwacy tak nie wyglądają. Wyobrażam sobie jego matkę, pracowitą i przepełnioną miłością do syna, która choć

jest już po dziewięćdziesiątce, codziennie rano prasuje mu koszulę. Patrę, jak mężczyzna obchodzi rynek dookoła mnóstwo razy, przy każdym okrążeniu zatrzymując się w innym barze. Dziś, ponieważ nie pada, nie wchodzi do środka, tylko zaczepia ludzi siedzących na zewnątrz. Za każdym razem wygląda to tak samo - siada przy stoliku, przez chwilę tkwi w miejscu bez ruchu, po czym wstaje i podchodzi do klientów, poruszając się odwrotnie do ruchu wskazówek zegara i uparcie próbując wyżebrać papierosa. Niektórych gości, jeśli siedzą w barze godzinę albo dłużej, nachodzi nawet cztery czy wręcz sześć razy, zawsze spoglądając na nich, jakby nigdy ich wcześniej nie widział. I może tak właśnie jest.

Obserwuję jego starania pełna fascynacji. Nie znoszę papierosów, parę razy spróbowałam się zaciągnąć i na tym skończyła się moja przygoda z paleniem, ale teraz po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie mam w torebce paczki fajek, którymi mogłabym go poczęstować. Jego powolna tułaczka i ostrożny, choć nieobecny wzrok wzbudzają we mnie głęboki smutek. Co z tego, że nosi uprasowane koszule, skoro wszyscy uważają go za dziwaka? Naprawdę mu współczuję.

Ludzie różnie reagują, gdy do nich podchodzi - jedni są wyraźnie zażenowani, inni nie potrafią ukryć irytacji. Nikt nie jest w stosunku do niego nieprzyjemny ani agresywny, ale też nikt nie okazuje mu sympatii ani współczucia. Młodzi najczęściej czują się niezręcznie i spoglądają na niego nieufnie, starsi miejscowi natomiast są na niego wyraźnie znieczuleni - pewnie Pan Zapominalski od wielu lat zakłóca ich spokój, nie robi już więc to na nich najmniejszego wrażenia. Stanowi część krajobrazu tego miasta, jak pomnik czy fontanna.

Dziś, gdy po raz kolejny prosi mnie o papierosa, znów kręcę odmownie głową. Zastanawiałam się, czyby mu nie kupić paczki, ale nie jestem pewna, czy powinnam zachęcać go do palenia. To przecież okropny nałóg. Jego ramiona opadają nieznacznie; po chwili odchodzi bez pośpiechu. Następnie podnosi z ziemi

niedopałek i zapala go, przysysając się do niego z taką zapalczywością, jakby zależało od tego jego życie. A przecież jest zupełnie odwrotnie. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, żeby ktoś się nad nim zlitował, dlatego też kiedy pyta kolejną osobę, a ja słyszę za sobą męski głos odpowiadający: „Jasne, stary”, nie mogę się powstrzymać i odwracam głowę. Facet wyciąga z kieszeni paczkę fajek i częstuje Pana Zapominalskiego.

Kiedy podpala mu papierosa, zdaję sobie sprawę, że wpatruję się w nich dosyć ostentacyjnie, uśmiecham się więc, by nie uznali mnie za wścibską.

- Dobrze, że wreszcie przestało padać. Piękny mamy dzień, prawda? - zwraca się do mnie Pan z Papierosami.

- Tak, piękny - uśmiecham się. — Ma pan amerykański akcent. Jest pan ze Stanów?

- Zgadza się.

Pan Zapominalski posuwa się powoli przed siebie; wyraz jego twarzy nie zmienia się; traktuje swojego darczyńcę dokładnie tak samo jak wszystkich tych, którzy odmawiają. Patrzę, jak znika za rogiem. Jestem pewna, że za jakieś dziesięć minut znów się pojawi.

- Jest pan tu przejazdem? - Zdaję sobie sprawę, że moje pytanie może się wydać niegrzeczne, ale straciłam umiejętność nawiązywania kontaktów z ludźmi. Nieustanne próby sklecenia jakichś zdań z mojego niezbyt obszernego zasobu słów sprawiły, że znacznie mniej się odzywam, nie jestem już tak wygadana jak kiedyś.

- Nie, mieszkam tu.

- Nigdy tu pana nie widziałam — odpowiadam, znów odnosząc wrażenie, że mój komentarz jest nie na miejscu. No bo kim ja jestem, żeby coś takiego mówić? Wścibską babą, która cały dzień sterczy w oknie, obserwując wszystkich wokół?

Pan z Papierosami nie wygląda jednak na urażonego. Uśmiecha się szeroko i szczerze.

- Uczę angielskiego w szkole językowej w Bassano del Grappa. Zazwyczaj o tej porze jestem w pracy, ale dzieciaki mają właśnie ferie, więc mogę się trochę poobijać.

- Rozumiem. Po prostu mam pamięć do twarzy i rozpoznaję większość osób z okolicy. — Jest przystojny. Gdybym go wcześniej spotkała, na pewno zapadłby mi w pamięć. Chociaż jest blondynem. Udaje mi się nie powiedzieć tego na głos, co świadczy o tym, że na szczęście nie zapomniałam jeszcze zupełnie, jak należy się zachowywać w towarzystwie. Dodaję natomiast:

- Rodzina mojego męża prowadzi bar na rogu via Mazzini, myślałam więc, że znam większość miejscowych. No ale jak widać, tak mi się tylko wydawało.

- Są właścicielami baru U Brunona?

-Tak. - Czuję lekkie zakłopotanie. Wiadomo przecież, że nasza knajpka nie jest szczególnie popularnym miejscem, a ten facet wygląda na jednego z tych, co kręcą się raczej w modnych, zatłoczonych miejscach. Ale czemu właściwie miałabym czuć się zażenowana? Przecież nie jestem nastolatką i wcale mi nie zależy, żeby mu zaimponować. - Pewnie nie jest w pańskim guście. Ale właśnie przeprowadzamy remont, może więc pan później zajść na chwilkę. - Zajść? Co ja w ogóle plotę? Od kiedy takie słowo znajduje się w moim słowniku? Dziwnie brzmi.

- Jasne, chętnie wpadnę. Ostatnio rzadko bywałem w Veganze, moja dziewczyna mieszka w Bassano del Grappa, tak że od świąt spędzałem tam praktycznie każdą chwilę.

Dobrze, że ma dziewczynę. Oboje jesteśmy zajęci i zwinnie wpleliśmy te informacje na dość wczesnym etapie rozmowy. Zawsze gdy rozmawiam z atrakcyjnym mężczyzną i on nie wie, że jestem mężatką, czuję się nieswojo. Ten w ogóle nie jest w moim typie, ale przecież nie ma o tym pojęcia. Wie, że jest przystojny. A problem z tego typu facetami polega na tym, że zazwyczaj są niemiłosiernie próżni; wydaje im się, że są bogami i żadna kobieta im się nie oprze.

Roberto też jest troszeczkę próżny, przyznaję. W końcu jest Włochem. Często rozmawia z jakimiś dziewczynami (na przykład w pracy albo stojąc w kolejce), a potem przychodzi

do mnie i mówi: „Ona jest na mnie strasznie napalona”. Zazwyczaj reaguję wybuchem śmiechu. Prawda jest taka, że może rzeczywiście trochę się jej spodobał, przecież jest słodki, no ale bez przesady! Faceci! Powinni wiedzieć, że jeśli z nimi rozmawiamy, wcale nie oznacza to, że tylko marzymy, by pójść z nimi do łóżka! Myślmy też o innych rzeczach. Na przykład o dzieciach albo o jedzeniu. W każdym razie cieszę się, że ja i ten Amerykanin wyjaśniliśmy sobie, że oboje mamy partnerów, oszczędzi nam to zbędnych nieporozumień. Nie można o coś takiego zapytać wprost, bo jeśli się to zrobi, koleś pomyśli sobie, że chcesz go poderwać, choć możesz mieć zupełnie odwrotne zamiary. Możesz chcieć się upewnić, że nie będzie jakichś głupich plotek i niedopowiedzeń. Wcale nie jestem rozczarowana, że ma dziewczynę, z którą spędza prawie każdą noc. Dlaczego miałabym być?

- No ale niedawno się rozstaliśmy, więc prawdopodobnie będę teraz częściej bywał w Veganze. - I wcale nie cieszą mnie jego słowa.

Ani troszeczkę.

Naprawdę!

Amerykanie nie są w moim typie. W moim typie jest Roberto. Mój mąż. Koniec kropka.

Choć tak naprawdę powinnam raczej powiedzieć: W moim typie jest Roberto, przecinek. Bo przecież każdy wie, że kiedy zmieniamy stan cywilny, nie oznacza to, że nagle tracimy wzrok i przestajemy dostrzegać płęć przeciwną. Ale my z Robertem mamy do tego wszystkiego bardzo zdrowe podejście. Nie udajemy, że nie ma na świecie kusząco atrakcyjnych osób, ale też zdajemy sobie sprawę, że jeśli któreś z nas da się skusić, będzie to oznaczać powolny i bolesny koniec naszego związku. Poważnie, gdyby Roberto mnie zdradził, byłabym w stanie podrzeć jego ciuchy na strzępy i przejść przez cały koszmarny rozwodu, a później w ramach zemsty włożyć pod dywan w jego mieszkaniu nasiona rzeżuchy, żeby w różnych miejscach powyrastały mu roślinki.

Ale wracając do tematu, ten Amerykanin naprawdę nie jest w moim typie. I mówię to śmiertelnie poważnie. Po pierwsze, nie jest Włochem, a po drugie, ma zielone oczy i jasne (prawie blond) włosy. Mnie zawsze podobali się wyłącznie faceci z ciemną czupryną i oczami w kolorze czekolady. Do tego jest wyższy i znacznie potężniejszy niż mężczyźni, na których zazwyczaj zwracam uwagę. To znaczy nie jest gruby, jest po prostu duży. Jego przedramiona mają podobną objętość do moich ud - na pewno chodzi na siłownię, a ja nie znoszę mięśniaków. Faceci są próżni, nawet jeśli wyglądają jak opasłe świnie, a ci, którzy regularnie odwiedzają fitness kluby, pakują w siebie żelazo i zna-

ją dokładną liczbę kalorii w kanapce z bekonem, to skończeni kretyni. Oczywiście to tylko moje zdanie. Włosi natomiast są szczupli i zwinni i bardzo mi to odpowiada.

Amerikanin zapłacił za swoją kawę i wyszedł prawie natychmiast po naszej rozmowie. Zauważyłam, że zostawił na stole papierosa, którego Pan Zapominalski znalazł po kilku minutach.

Dziwne, ale choć uważam, że napakowani mężczyźni to skończeni kretyni, przyłapuję się na tym, że myślę o nim, kiedy czytam książkę (choć jest dobra i naprawdę wciąga) albo gdy jem lunch (choć mój makaron z sosem jest przepyszny). Moje myśli wcale nie są jakieś dziwne czy niestosowne, po prostu dochodzę do wniosku, że fajnie by było mieć kogoś, z kim można pogadać po angielsku. I tyle.

Mój dzień wolny był bardzo przyjemny. Spędziłam go, spacerując po uliczkach Veganze i drzemiąc w swoim pokoju. Nocne zmiany i codzienne wstawanie wcześniej rano mocno dały mi się we znaki i sprawiły, że wciąż chodziłam niewyspana. Nastawiłam sobie budzik, żeby nie przespać kolacji, bo choć nikt o tym głośno nie wspomniał, byłam pewna, że konsekwencje takiego zachowania byłyby straszne.

Wysłałam SMS-a do Roberta z wiadomością, że robię sobie wolne. Nie miał nic przeciwko. Rafaella przyjęła tę wiadomość ze znacznie mniejszym spokojem. Kiedy tylko wchodzę do jadalni, zaczyna marudzić, że cała rodzina musi iść jak najszybciej pomóc w barze, nie ma więc czasu na spokojny posiłek. W sumie nie jest to jakiś wielki problem. Roberto zazwyczaj i tak nie może usiedzieć w miejscu i chce jak najszybciej wrócić do baru, więc długa kolacja z kilkoma daniami to dla niego żadna przyjemność, raczej istne katusze. Zwykle je szybko, w milczeniu, zatopiony w swoich myślach. Albo cały czas mówi o pracy - o problemach, planach, błędach, celach na przyszłość. Szczerze mówiąc, czasem się trochę wyłączam. Oczywiście bardzo mnie te sprawy interesują, ale zdarza mi się odpłynąć myślami do innego świata, w którym nasze dzieci obchodzą właśnie swoje pierwsze

święta. Z nimi Gwiazdka będzie o niebo lepsza! Paolina, o ile w ogóle wraca na kolację, jest równie nieobecna myślami jak ja. Strasznie ciężko musi pracować w tej kancelarii.

Nie mam pojęcia, dlaczego Rafaella nagle panikuje, że barmanki nie poradzą sobie same w ten konkretny wtorkowy wieczór. Mamy trzy osoby zatrudnione na pół etatu, wszystkie to mniej więcej dwudziestokilkuletnie dziewczyny, niesamowicie atrakcyjne, po prostu powalające. Wydają się kompetentne i godne zaufania, odkąd tu jestem. W tygodniu codziennie dają sobie same radę do 21. Nigdy nie widziałam, żeby Roberto przygotowywał grafik, a mimo to jakimś sposobem Laurana, Gina i Alexandra zawsze zjawiają się w barze dokładnie wtedy, kiedy są potrzebne. Każda z nich zdaje się rozumieć rytm, z jakim funkcjonuje bar, znacznie lepiej niż ja.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, jest znacznie tłoczniej niż zwykle.

- Ojej, strasznie dużo ludzi jak na wtorkowy wieczór. Co jest grane? — krzyczę do Roberta, chcąc, by mój głos przebił się przez gwarny tłum.

- Dziś są walentynki, wszędzie jest pełno. To dlatego mamma chciała, żebyśmy wszyscy tu byli. Wie, że Włosi traktują to bardzo poważnie.

Ale wygląda na to, że nie mój Włoch.

Jak mogłam zapomnieć? Wiedziałam, że dziś jest czternasty ze względu na mój cykl, no i przecież wiem, że jest luty. Ale jakoś nie dodałam tych dwóch faktów do siebie. Jak to w ogóle możliwe? Przecież jestem największą romantyczką na świecie! Albo przynajmniej byłam. Ale wszystko się w moim życiu poprzestawiało. Zdarzyło mi się już wcześniej zapomnieć, jaki mamy dzień, kiedy byłam na wakacjach. W sumie mieszkanie tu trochę przypomina wczasy, ale tylko pod względem utraty rachuby czasu, nie słońca i dobrej zabawy.

Natychmiast przychodzą mi do głowy dwie myśli. Numer jeden: Alison ma dziś walentynkową randkę - niemożliwe! Nu-

mer dwa: Ja dziś nie mam walentynkowej randki — niemożliwe. Odkąd poznałam Roberta, każdego roku przygotowywał dla mnie w ten dzień coś specjalnego, a dziś nie usłyszałam od niego ani jednego czułego słowa.

Rozglądam się wokół, szukając samotnego bukietu kwiatów ukrytego gdzieś w kącie i czekającego na mnie, ale nic nie znajduję. Oczywiście widzę mnóstwo wiązanek, ale wszystkie są pilnie strzeżone przez swoich właścicieli. Wygląda na to, że każda obecna tu dziewczyna ma na sobie nową biżuterię albo trzyma pudełko czekoladek wielkości basenu.

Roberto pobiegł już do kuchni, żeby sprawdzić, jak radzą sobie barmanki i czy niczego nie brakuje. Idę za nim.

- Zupełnie zapomniałam, że dziś walentynki! - oświadczam.

- Nie ma sprawy, i tak nie oczekiwałam żadnego prezentu — odpowiada z uśmiechem.

Wytrzeszczam oczy, nie wiedząc, co powiedzieć. Jego słowa sprawiają, że moja wściekłość spowodowana brakiem podarunku od niego wydaje się nie na miejscu.

- Ale w ogóle tego nie ucziliśmy.

i — Nie znalazłaś na poduszce Bacci?

- Myślałam, że były... - urywam zdanie. Małeńkie czekoladki wydawały mi się świetnym prezentem dla naszego dzidziusia, który może już się znajdować w moim brzuchu, ale jako walentynkowy upominek są olbrzymim rozczarowaniem. Przecież sprzedajemy je w barze.

- No i przecież miałaś dziś wolne - dodaje.

- Ale nie świętowaliśmy razem.

- Bo mamy masę pracy - tłumaczy, pokazując ręką w stronę baru.

- Tyle, żeby nie móc nawet powiedzieć sobie paru miłych słów? - pytam wzburzona.

Roberto podchodzi do mnie i chwyta mnie za ręce, po czym unosi je i całuje kostki moich dłoni. Wpatruje się we mnie swoimi wielkimi brązowymi oczami.

- Nic się nie stało. Nie ma się o co denerwować. Mnie wcale nie jest przykro, że zapomniałaś o walentynkach.

- Ale mnie jest - mówię łamiącym się głosem. Próbuję wyrwać rękę z jego uścisku, ale zbyt mocno je trzyma.

- A mnie nie, więc zapomnijmy o sprawie.

Roberto puszcza moje dłonie, po czym pochyla się, żeby podnieść skrzynkę wina, i odchodzi szybkim krokiem w stronę baru. Chowam głowę w dłoniach i próbuję pozbierać myśli. Nie jestem pewna, co mnie bardziej martwi — kiepski podarunek Roberta czy moja pamięć, a raczej jej brak. Przecież jestem niepoprawną romantyczką, jakim cudem tak ważny dzień zdołał umknąć mojej uwadze? Zawsze hucznie obchodziliśmy walentynki. Pamiętam, jak kiedyś dostałam od niego osiem bukietów kwiatów, dostarczanych co godzinę do restauracji, w której pracowałam. Kiedy indziej kupił bilety do Nowego Jorku i jedliśmy ostrygi w restauracji na dachu wieżowca, choć nie do końca było nas na to stać. Każdy, nawet Alison, musiał przyznać, że zalety spotykania się z Włochem stawały się oczywiste w walentynki. W tym roku do-srałam jednak włoski odpowiednik goździków kupionych na stacji benzynowej.

Zastanawiam się, ile czasu minęło od naszego ślubu. Sześć, w sumie prawie siedem lat. I co, to tyle? Koniec z romantyzmem? Czuję napływające do oczu łzy i mam ochotę wyć. Gorączkowo grzebię w torebce, szukając chusteczki.

Nagle czuję, że ktoś dotyka mojego ramienia.

- Cześć, Paolina — witam ją bez entuzjazmu.

- Napijemy się? — pyta.

Nie powinnam, mam przecież pracować. Ale co tam, do diabła z barem, do diabła z Robertem, są walentynki i zasługuję przynajmniej na lampkę wina. Kiwam głową, pociągając przy tym nosem. Paolina ściąga z półki butelkę drogiego wina. Idę za nią w stronę wolnego stolika na środku baru. Wolałabym schować się gdzieś w kącie, ale wszystkie przytulne miejsca są

już zajęte przez zakochane, nieszczędzące sobie czułości pary. Paolina nalewa wina do kieliszków i upija łyk.

- Za Walentynki — mruczy, podnosząc swoją lampkę do góry.

- No - mamroczę pod nosem, unosząc moją. Próbuję ukryć rozczarowanie i złość na jej brata, co nie jest łatwym zadaniem, biorę więc głęboki oddech i pytam:

- Nie masz dziś randki?

- Nie - przyznaje.

Normalnie nie ośmieliłabym się zadać takiego pytania żadnej kobiecie, szczególnie czternastego lutego, ale Paolina jest piękna, mądra, szczupła i świetnie się ubiera, jestem więc pewna, że jeśli z nikim się dziś nie spotyka, to z wyboru. Niewątpliwie uważa, że te całe walentynki to beznadziejny pomysł. Pewnie należy do grona kobiet, które sądzą, że to tylko głupia sztuczka marketingowa, na którą nabierają się naiwni. I mogę się założyć, że w przeciwieństwie do wielu kobiet wygłaszających tego typu opinie, ona naprawdę w to wierzy. Nie potrafię sobie wyobrazić, że moja bratowa mogłaby odczuwać żal, ponieważ ktoś ośmielił się zdegradować ten dzień do trzech małych czekoladek. Chciałabym być tak spokojna i opanowana, chciałabym móc decydować o swoim przeznaczeniu i szczęściu.

Jestem pewna, że gdybyśmy mieli dzieci, kompletnie by mi nie przeszkadzało, że Roberto podarował mi jedynie nędzne czekoladki.

- Tak w ogóle to przepraszam, że tak mało się widzimy, odkąd przyjechałaś. Miałam nadzieję, że spędzimy razem trochę więcej czasu - mówi Paolina, udowadniając, że walentynki w ogóle jej nie obchodzą. - Co tam? Przywykłaś już do nowego miejsca?

- Tak, wszystko w porządku. - Zdaję sobie sprawę, że moje słowa nie brzmią zbyt przekonująco. — Fajnie, że wreszcie przestało padać, inaczej nie bardzo jest tu co robić. Nie ma dużych sklepów, w których można by się ukryć, ani kina, w którym ła-

two zniknąć na godzinę czy dwie. Anglia słynie z deszczu, więc wszyscy są do tego przyzwyczajeni i jest mnóstwo rzeczy, które można robić w zamkniętych pomieszczeniach. Mamy też centralne ogrzewanie. No i teraz już rozumiem, czemu wszędzie są wykładziny dywanowe.

Przerywam, zdając sobie sprawę, że moje słowa brzmią arogancko. Ale przecież wszyscy wiedzą, że w domu Rafaelli jest wiecznie zimno. Marmurowe podłogi, o których kiedyś tak bardzo marzyłam, są po prostu lodowate. W ogóle wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

- Deszcz płynie ulicami, mocząc moje adidas i brudząc stopy. Przywiozłam ze sobą cztery pary kłapek, ale strasznie żałuję, że nie wzięłam zimowych butów — narzekam.

Paolina patrzy na mnie, jakbym się urwała z choinki. Po chwili przestaje udawać, że nasza rozmowa nie dotyczy walentynek, i pyta:

- Czemu jesteś taka przygnębiona, nie podobały ci się kwiaty?

- Nie było kwiatów - odpowiadam naburmuszona. - Dał mi maleńkie opakowanie czekoladek. Trzy małe Bacci. Nawet nie pudełko!

- Ale przecież... - Paolina wygląda na zdezorientowaną - przecież widziałam, jak kupował kwiaty. Olbrzymi bukiet czerwonych róż. Jakieś trzydzieści albo czterdzieści, nie wiem dokładnie. Szczerze mówiąc, byłam zielona z zazdrości.

- Poważnie? - Czuję, jak podekscytowanie przenika każdy nerw mojego ciała. Uśmiecham się do niej promiennie.

- Tak, dziś rano.

- Ale z niego świnia! Udaje, że zapomniał! Oczywiście wcale nie chciałam powiedzieć, że jest świnia.

Trzydzieści albo czterdzieści róż! Chciałam powiedzieć, że jest księciem. Jestem oszołomiona i odczuwam olbrzymią ulgę. Posyłam Paolinie szeroki uśmiech, a ona odpowiada mi tym samym. Ignoruję jej komentarz o „byciu zielonym z zazdrości”,

jestem pewna, że powiedziała tak tylko po to, by mi zrobić przyjemność. Roberto na pewno wręczy mi kwiaty w domu. Może rozłoży je na łóżku - to dopiero byłoby romantyczne. Czekoladki miały mnie tylko zmylić. Szybko opróżniam swój kieliszek i wstaję.

- Powinnam wracać do pracy, też muszę coś pomóc. Trzydzieści albo czterdzieści róż, nie wierzę!

Ruszam w stronę baru, zostawiając Paolinę samą z butelką wina. Na pewno nie ma nic przeciwko. Mogę się założyć, że tylko z grzeczności zaproponowała mi, żebym do niej dołączyła.

Przez cały wieczór pracuję z zapalem, który zaskakuje Roberta. Kiedy przed zamknięciem podlicza utarg, przyciąga mnie do siebie i mocno przytula. Wyobrażam sobie, jak kochamy się na łóżku obsypanym płatkami róż.

- Dzięki, że się nie obraziłaś. Przepraszam, że dostałaś taki niepozorny prezent. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

Dobre. Zaciskam zęby, żeby się nie roześmiać. Mam ochotę go szturchnąć i zmusić do przyznania się do tej całej mistyfikacji. Ale niech mu będzie, skoro ma to być niespodzianka.

— Czekam na ciebie w łóżku, lepiej się pośpiesz — mówię i zalotnie puszczam mu oczko.

Kiedy wchodzę do pokoju, łóżko nie jest pokryte kwiatami. Spoko, w takim razie dostanę po prostu bukiet. To nie tak, że jestem płytka i do pełni szczęścia wystarczy mi wiązanka róż, chodzi o to, że taki prezent pozwoli mi na chwilę zapomnieć o moim rozczarowaniu i strachu. Pełnia szczęścia to kołyska w naszym pokoju. Szybko zdejmuję przesiąknięte dymem papierosowym rzeczy i przetrząsam walizkę, wydobywając z niej najpierw seksowny stanik, a następnie skąpe majtki od kompletu. Przeprowadzam szybkie oględziny nóg - na szczęście nie ma tragedii — po czym rzucam się na łóżko. Pora zrobić kolejny krok w stronę kołyski.

Zaledwie dziesięć minut później słyszę na schodach kroki Roberta. Mówi mamie i siostrze dobranoc, a ja w tym czasie układam się na łóżku, przyjmując kuszącą pozycję - brzuch do pleców, biust do sufitu.

Roberto energicznie otwiera drzwi, po czym wchodzi do pokoju, trzymając butelkę szampana w jednej ręce i dwa kieliszki w drugiej.

- Wszystkiego najlepszego - uśmiecha się. - Lepiej późno niż wcale. Niezły stanik. - Stawia wszystko na podłodze obok łóżka, po czym wdrapuje się na mnie. Po raz pierwszy nie przejmuje się ściąganiem butów i ubrania. Często zdarzało się, że gdy czekałam, aż poskłada każdą rzecz idealnie w kosteczkę, znikła cała magia i podniecenie. Teraz całuje mnie i szepcze, że jeszcze raz przeprasza i że wszystko mi wynagrodzi. Jego pocałunki są czułe i pełne ciepła, ale odpycham go delikatnie i mówię:

- Dobra, żarty żartami, ale daj mi już te róże. Trzeba je wsadzić do wody.

- Jakie róże?

- Te, które kupiłeś dziś rano. Paolina mi powiedziała. Wszystko widziała, więc przestań się już wygłupiać i daj mi je, inaczej zwiędną i wtedy na pewno nie dam ci się bzyknąć - odpowiadam z uśmiechem.

Roberto wygląda na zdezorientowanego, ale po chwili oświadcza:

- A, te. One nie były dla ciebie.

- Jak to nie dla mnie? To niby dla kogo? — Patrzę na niego osłupiała.

- Dla mamy.

- Dla twojej matki?! - Odpycham go z całej siły i wyskakuję z łóżka. Wkładam szlafrok, nie dlatego, że się wstydzę, ale dlatego, że zamierzam go za chwilę zabić i wypadałoby, żebym zrobiła ro ubrana.

- Mamma zawsze jest smutna w walentynki. Jest wdową. Chciałem sprawić jej przyjemność.

- Jest wdową prawie od dwudziestu lat! - przypominam.

- Chciałem tylko zrobić dla niej coś miłego.

Roberto siedzi teraz na brzegu łóżka odwrócony do mnie plecami. Przez chwilę rozważam jego tłumaczenia. Czy bycie

najbardziej troskliwym i kochającym synem na tej planecie rekompensuje bycie beznadziejnym, godnym pożalowania mężem?

- W takim razie dlaczego nie zrobiłeś' czegoś miłego dla mnie? - rzucam oburzona.

- Nie pomyślałem o...

- O mnie - kończę jego wypowiedź ze szczerością, na którą chyba nie było go stać. Czerwieni się. - Kupiłeś czterdzieści róż dla swojej matki, a mnie przyniosłeś trzy tanie czekoladki z baru. Jesteś dziwny — wypływam pełne gniewu słowa. Jednym łykiem wychylam lampkę szampana, którą mi nalał. Jest ciepły. Pewnie sprzedaliśmy wszystkie schłodzone butelki parom, które chciały uczcić tę okazję. Bąbelki wysuszają mi gardło, jakby chciały przypomnieć, że wcale nie planowały znaleźć się w moim pokoju i moich ustach.

- Czy to takie dziwne, że kocham swoją mamę? - pyta.

- Tak. Tak jakby. Nie, w sumie to nie. Nie jest dziwne, że ją kochasz, ale że kupiłeś jej lepszy prezent walentynkowy niż swojej żonie! To jest dziwne!

Chyba krzyczę, ponieważ Roberto patrzy nerwowo w stronę drzwi i próbuje położyć mi palec na ustach, żeby mnie uciszyć. Odpycham go zdenerwowana.

- Mam tego wszystkiego dosyć. Wydaje ci się, że bawimy się w szczęśliwą, kochającą się rodzinę, ale tak nie jest! Twoja matka nie powinna być dla ciebie ważniejsza niż ja! Może to dlatego, że mieszkamy w jej domu. To wszystko jest nienormalne. Powinniśmy się wyprowadzić.

Nagle, po zaledwie kilku minutach płaszczenia się przede mną, jego defensywa zamienia się w atak - już nie próbuje mnie udobruchać, tylko wpada w złość. Chwileczkę, co się dzieje? Czy nie powinien godzinami błagać mnie o przebaczenie?

- Jesteśmy we Włoszech. Tutaj pewne rzeczy robi się inaczej. Kupowanie matce kwiatów nie jest niczym dziwnym. Włosi dbają o swoich rodziców.

Słowa „Włochy” i „Włosi” wypowiada z taką dumą i zapalczywością, jakby był co najmniej cesarzem Imperium Rzymskiego. Mam ochotę mu przypomnieć, że jest to także kraj ze zbyt dużą liczbą emerytów i kompletnie popieprzonym systemem prawnym, ale siedzę cicho. Ma rację, jesteśmy we Włoszech. Może coś mi umknęło i robię z igły widły. Kto wie.

Zdezorientowana wchodzę pod kołdrę i wyłączam lampkę nocną. Roberto wzdycha, po czym kładzie się obok mnie. Próbuje mnie przytulić, ale wyrywam się z jego objęć, moje podniecenie już dawno opadło. Nie obchodzi mnie też szampan, który się zmarnuje.

- Przepraszam, kochanie, jutro kupię ci kwiaty. I pójdziemy na jakąś kolację - szepcze mi do ucha.

- Daj sobie spokój — burczę obrażonym tonem. — Tylko żebym przypadkiem nie znalazła gdzieś kwiatów dla twojej matki na widoku, bo nie ręczę wtedy za swoje czyny. — Oczami wyobraźni widzę, jak wpycham róże do ust Roberta, nie przejmując się kolcami.

- Dobrze, dopilnuję tego - obiecuje.

W środku nocy budzi mnie tak dobrze znana lepkość między nogami. Popłakując, idę do łazienki, myję się, znajduję pudełko tampaksów i wracam do pokoju. Roberto otwiera oczy, siada na brzegu łóżka i włącza lampkę. Nic nie mówi, przez ostatnie siedem lat wszystko zostało już na ten temat powiedziane. Wyciąga w moją stronę otwarte ramiona i choć dalej jestem na niego wkurzona, wtapiam się w nie i cichutko pochlipuję. Moje łzy spływają po jego torsie. Co tam róże. Co tam walentynki. W porównaniu z dzieckiem to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia.

Przez kilka minut siedzimy przytuleni do siebie, milcząc. Jemu brakuje słów, mnie powoli zaczyna już brakować łez.

- Nie miałem pojęcia, że tak wiele sobie obiecywałaś w tym miesiącu — mówi, gładząc moje włosy.

-Hm?

- No wiesz, zauważyłem, że nie wzięłaś ze sobą termometru ani testów owulacyjnych. Myślałem, że...

- Że co? Że dałam sobie spokój? - Odsuwam się od niego, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie, nie, tylko... - Roberto znów nie kończy zdania. Rzadko mamy ostatnio ochotę i energię, by przeprowadzać tego typu rozmowy. Dlatego wiele rzeczy pozostaje niedopowiedzianych.

-To, że nie mam ze sobą termometru, nie znaczy, że przestałam mieć nadzieję. Wciąż prowadzę kalendarzyk. — Właściwie byłam tym tak zajęta, że nie zauważyłam nawet, że czter-

nasty lutego może oznaczać coś więcej niż dzień, w którym dostanę okres lub stanę się najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Czy to normalne? Szybko odpycham tę myśl. — Trzymanie nóg w górze nie pomogło. — Wyciągam chusteczkę i wydmuchuję nos. - Ale musimy być dzielni. Wiem, że to trudne, nie ma co udawać, że tak nie jest, ale nie sprawia mi to już takiego bólu, jaki czułam miesiąc po miesiącu, rok po roku w Anglii. Wiem, że tutaj w końcu nam się uda. — Zaczynam mu ręce na szyję. — Wierzę, ba, jestem pewna, że we Włoszech, kraju Romea i Julii, uda mi się zajść w ciążę bez większego wysiłku i interwencji medycznej.

- Ale to nie jest zbyt logiczne — zauważa cicho.

— Oczywiście, że jest — upieram się. — Prawdziwa miłość zwycięży. Poza tym niedługo zacznie się wiosna i będzie świecić słońce. Czytałam, że to naprawdę pomaga. Jasne, że to nie stanie się od razu, zresztą przeprowadzki są zawsze bardzo stresujące, wszyscy o tym wiedzą. Poza tym ostatnio nie mieliśmy zbyt wiele czasu na seks. Najpierw musieliśmy spać w osobnych pokojach, później doszło do tego dużo pracy w barze - wszystko zdawało się być przeciwko nam. Ale nie ma co patrzeć wstecz, musimy iść przed siebie.

No bo co innego możemy zrobić?

6 marca

Przez ostatnie kilka tygodni pogoda znacznie się poprawiła, jak gdyby wiosna obudziła się nagle do życia. Poranki są teraz jasne i rześkie, a nie ponure i deszczowe. Czasem nawet na chwilę pojawi się słońce. Lśniące promienie otulają brukowane uliczki i połyskują wesoło, obiecując rychłe nadejście upragnionego lata, które zdaje się czaić tuż za rogiem.

Wypracowałam sobie już regularny porządek dnia. Mój dzień jest wypełniony po brzegi, choć niestety nie przez długie posiłki i picie kawy na rynku. Pracuję w barze od dziesiątej rano do trzeciej po południu, a później od siódmej wieczorem do drugiej nad ranem. I tak sześć dni w tygodniu. Siedemdziesiąt dwie godziny pracy to znacznie więcej niż w Londynie i szczerze mówiąc, trochę się obawiam, że może mi to przeszkodzić w odprężeniu się i zajściu w ciążę. Próbowałam porozmawiać o tym z Robertem, ale powiedział tylko, że na razie bar jest realnym wyzwaniem, a ciąża nie. Nie odzywałam się po tym do niego przez dwa dni, choć nie jestem pewna, czy w ogóle to zauważył, jest tak zajęty. Pracuje jeszcze więcej niż ja, twierdząc, że nie potrzebuje odpoczynku, nawet podczas sjesty. Na początku strasznie się cieszyłam, że tradycja popołudniowej drzemki wciąż jest tu kontynuowana. Sądziłam, że będzie to dla nas świetna okazja, by wślizgnąć się do łóżka, jeśli tylko będziemy mieli na to ochotę (i miałam zamiar upewnić się, że ta ochota pojawi się w odpowiednim momencie). Albo że przynajmniej wybierzemy się na przejażdżkę i zwiedzimy trochę okolice. Ale jakoś nie za bardzo nam to wychodzi. Roberto jest tak zapracowany,

że podczas sjeisty spotyka się z dostawcami, ja zaś zwykle czytam jakąś powieść albo poradniki dla przyszłych mam.

Dziś jak zwykle wstajemy za piętnaście siódma, bierzemy prysznic, ubieramy się i przed siódmą trzydzieści siedzimy już przy stole w jadalni. Rafaella jak zawsze stawia na stole talerz z wędliną, który oczywiście ignoruję, sięgając po chleb i miód.

Kiedy wychodzimy z pokoju, szturcham Roberta w żebra i mówię lekko poirytowana:

- Musisz coś z tym zrobić, twoja matka wciąż usiłuje mnie zmusić do jedzenia mięsa.

- Wiem, wiem, porozmawiam z nią. Już od dawna mam zamiar to zrobić, ale wiesz, mam tyle na głowie. Przypominam sobie o tym przy posiłku, ale jak tylko odchodzimy od stołu, znów wylatuje mi to z głowy. Chodź, pójdziemy na piazzę i kupię ci jakąś kawę i brioszkę.

Wsuwam swoją dłoń w jego i spokojnym krokiem idziemy w stronę położonego nieopodal rynku. Po drodze Roberto kupuje gazetę i wita się z mijającymi nas znajomymi. Ja macham tylko nieśmiało w ich kierunku, w odpowiedzi młodzi krzyczą „Ciao”, zaś starsi dotykają z gracją kapelusza, lekko się przy tym kłaniając. Niestety na tym się kończy.

- Musisz spróbować nauczyć się włoskiego — stwierdza Roberto, nie po raz pierwszy zreszłą.

-Wiem.

- Po prostu zbierz się na odwagę i zacznij mówić. I nie przejmuj się, że twoja wymowa nie jest idealna, to nie ma znaczenia.

Dla Rafaelli jakoś miało znaczenie. Na szczęście udaje mi się zatrzymać ten komentarz dla siebie.

- A jak ty się nauczyłeś angielskiego?

- Trochę w szkole, ale większość na miejscu, w Anglii.

- Chodziłeś na jakieś lekcje?

- Nie. Wystarczyło, że uważnie słuchałem. Musisz się skupić, Elizabeth. Musisz zwracać uwagę na to, co mówią ludzie

wokół. Całkowite zanurzenie. Rozumiem, że to nie jest łatwe, szczególnie dla takiej marzycielki jak ty. — Wiem, że jego aluzja nie miała być niemiła.

Zawsze pijemy poranną kawę w innym barze. Roberto traktuje to jako możliwość lepszego poznania konkutencji, podczas gdy dla mnie jest to okazja do obserwowania ludzi (nie potrzeba do tego żadnych umiejętności językowych) lub wymyślania imion dla dzieci (obecnie najbardziej podoba mi się Louisa dla dziewczynki, a dla chłopca wciąż to samo - Matthew). Roberto nie ma zdania na temat imienia Louisa. Nie wiem, czy podoba mu się bardziej czy mniej niż Lottie, które było moim ulubionym przez ostatni rok; nie chce mi powiedzieć, choć pytałam go już o to dwa razy.

Roberto wchodzi do środka, żeby zamówić kawę (espresso dla niego, cappuccino dla mnie), a mój wzrok zatrzymuje się na małej, dobrze mi już znanej grupce gadatliwych osób, które zawsze piją kawę na zewnątrz, nawet w lutym, a teraz niczym foki wygrzewają się w słabym wiosennym słońcu. I wcale nie chodzi im tylko o spędzanie czasu na świeżym powietrzu, są po prostu ciekawi wszystkiego, co się dzieje na rynku w Vegance. Starsi mężczyźni siedzą w przyjemnej ciszy, z zainteresowaniem śledząc poczynania zuchwałych, dziobiących co popadnie gołębi. Starsze kobiety dotrzymują sobie nawzajem towarzystwa i spoglądają na młode pary robiące dokładnie to samo. Właśnie tak w moich wyobrażeniach zachowywali się włoscy emeryci, są uosobieniem gasnącej powoli elegancji. Uwielbiam ich towarzystwo.

Roberto stawia na stoliku filiżankę cappuccino, ale nie siada obok mnie.

— A gdzie twoja kawa? — pytam.

- Niestety nie mogę dziś wypić z tobą kawy. Muszę być zaraz w barze.

— Czemu?

- Trzeba przyjąć zamówienie.

— Myślałam, że przyjąłeś je wczoraj.

— Nie, wczoraj poszedłem wcześniej, żeby porozmawiać z Antonellą. Mówiłaś, że się obja, zamiast sprzątać, i że trzeba z nią uzgodnić pewne rzeczy. Nie pamiętasz?

To prawda, nasza sprzątaczką obja się, jak może. To stara znajoma Rafaelli i w sumie nie wiem, po co ją trzymamy, skoro co najmniej raz w tygodni dzwoni, mówiąc, że jest chora, a nawet jak już się łaskawie zjawi, to i tak jest do niczego. Zaproponowałam, żebyśmy ją zwolnili i zatrudnili na jej *miejsce* kogoś bardziej odpowiedzialnego, kto rzeczywiście robiłby, co do niego należy, ale oczywiście Rafaella nawet nie chce o tym słyszeć, twierdzi, że trzeba być lojalnym wobec starych przyjaciół. Upiera się, że przecież możemy ją zastąpić, kiedy jest chora. Ostatnio doszłam do wniosku, że to może być kolejna forma ataku na mnie. Bo tylko ja zastępuję Antonellę; mam wrażenie, że połowę życia spędzam w gumowych rękawiczkach.

— No tak, faktycznie. — Prawdę mówiąc, zapomniałam. -1 jak poszło?

— W porządku.

Naprawdę próbuję pamiętać o wszystkich sprawach związanych z barem, ale ponieważ Roberto wciąż gdzieś pędzi, niełatwo mi nadążyć.

— Będę o dziesiątej, najpóźniej dziesiątej trzydzięci — mówię na pożegnanie.

Kiwa głową, po czym całuje mnie w czoło i udaje się w stronę U Brunona z zawrotną, śmieszną wręcz prędkością. Oddycham z ulgą. Od kiedy poranki są jasne i przyjemne, a obsługiwanie klientów i sprzątanie przestało być dla mnie nowością, coraz rzadziej przychodzę do baru dokładnie o dziesiątej. Moje poranne cappuccino na rynku czasem przedłuża się do jedenastej, a wczoraj tak strasznie mi się nie chciało tam iść, że w końcu dotarłam na miejsce przed południem. Roberto nie komentuje mojego spóźnienia się. Możliwe, że i tego nie zauważył. Nie potrafię zdecydować, czy powinnam się wkurzyć

czy wręcz przeciwnie — odczuwać ulgę. jasne, fajnie, że nie nalega, bym spędzała w pubie cały swój czas, ale z drugiej strony każda dziewczyna lubi się czuć niezbędną.

Kiedy sączę przepyszne cappuccino z puszystą pianką, szukam wzrokiem Amerykanina, który podarował papierosa Panu Zapominalskiemu. Ostatnio zauważyłam, że często się za nim rozglądam. Dziwne, bo przecież w sumie nie mam mu nic konkretnego do powiedzenia, ba, nie mam z nim nawet nic wspólnego. Jest dla mnie nikim. Ja jestem nikim dla niego. No, w sumie jesteśmy dwojgiem nie-Włochów mieszkających w tym samym miasteczku - coś więc nas jednak łączy. Ale to wszystko. Chociaż często o nim myślę, nie sądzę, by on robił to samo.

I bardzo dobrze, w końcu jestem mężatką.

Ale z drugiej strony fajnie by było porozmawiać z kimś po angielsku.

Zauważyłam, że Pan Zapominalski wciąż zjawia się tu regularnie, jednak po jego papierosowym darczyńcy nie ma ani śladu. Za każdym razem kiedy tu przychodzę, a jego nie ma, czuję lekkie ukłucie rozczarowania, choć przecież wcale się nie umawialiśmy, że się tu kiedyś jeszcze spotkamy, nie ustaliliśmy żadnej konkretnej daty. Nie jest więc tak, że mnie wystawił, nie pojawiając się, ale...

Ale myślałam, że może wpadnie do baru. W końcu wspomniał, że może do nas zajrzy. A ponieważ tak powiedział, zauważyłam, że ilekroć otwierają się drzwi, moje oczy natychmiast wędrują w ich kierunku. Nigdy się jednak nie zjawił. Dopiero gdy podliczamy utarg przed zamknięciem, wzdycham i przyznaję sama przed sobą, jak bardzo bym chciała, żeby przyszedł. Dochodzę do wniosku, że pewnie pogodził się ze swoją dziewczyną i znów spędza cały czas w Bassano del Grappa. To dobrze. Fajnie. Następnym udany, szczęśliwy związek. Lubię tego typu wieści. Alison i Fiona. Amerykanin i jego piękna włoska dziewczyna. Ja i Roberto. Uroczo.

- Dzień dobry. - Spoglądam w górę, a przede mną stoi ON. Przychodzi mi do głowy irracjonalny pomysł, że pewnie czyta w moich myślach; zaskoczenie i zażenowanie sprawiają, że podskakuję jak oparzona kilkadziesiąt centymetrów w górę. - Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć - mówi z szerokim uśmiechem, który sugeruje, że pewnie nieraz zdarzyło mu się już zaskoczyć kobietę. - Mogę się przysiąc?

W ułamku sekundy przychodzi mi do głowy myśl, że może nie powinnam się na to godzić. Może powinnam powiedzieć, że właśnie skończyłam kawę i muszę pędzić, by pomóc mojemu mężowi w przywracaniu rodzinnego interesu do życia. Kiwam natomiast potakująco głową, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

- W drodze do pracy? — pyta. Znow potakuję i mamroczę;

- A pan?

- Też. Zazwyczaj o tej porze jestem już w szkole, ale dziś później zaczynam.

- Roberto, mój mąż, jest już w barze. - Nie wiem, czemu wciąż czuję potrzebę wspomnienia o nim. — A ja lubię tu siedzieć i ciężko mi czasem zmusić się do wyjścia - dodaję, spoglądając z rozrzewnieniem na piazzę.

-Też to uwielbiam. Zawsze podczas sjeisty rozsiadam się gdzieś na piазzy.

- Ale nie w Veganze — zauważam. - Rozglądałam się za panem - słysząc swoje słowa, mam ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Co mnie opętało, żeby się do tego przyznać? Zaciskam mocno usta i przyrzekam sobie w duchu, że nie wydam z siebie ani jednego dźwięku do końca życia.

- Oczywiście w Bassano del Grappa. — Spogląda na mnie z zaciekawieniem, trochę zaczepnie. Jego wzrok sprawia, że czuję się nieswojo, trochę tak, jakbym przebywała w zbyt mocno ogrzewanym pomieszczeniu.

- Ja tam wolę poranki. Po południu jest za cicho - oświadczam.

Chciałabym mu wyjaśnić, dlaczego wolę właśnie tę porę dnia, ruchliwą i tętniącą życiem, nie pokazując po sobie irytacji z powodu napiętego planu dnia mojego męża.

Otwarte okiennice dostarczają wielu wrażeń — ponętna bielizna z falbankami, błyszczące szkło i biżuteria, piękne i pewnie przepyszne ciasta oraz szeroki wybór różnych smaków lodów w każdym niemalże odcieniu tęczy, wszystko to przewija się przed moimi oczami. Szerokie jak namioty sukienki dla starszych kobiet zdobią te same okna sklepowe co skąpe stroje kąpielowe dla nastolatków, pokazując, że Włochy to kraj pełen sprzeczności.

- Poranki są tu chaotyczne, bezładne, pełne życia. Ale o trzeciej, kiedy właściciele zamykają okiennice sklepów, rozbudzona ciekawość pozostaje niezaspokojona, a możliwości, urok i pozytywna energia znikają.

- Czy te okiennice to swego rodzaju metafora pani dotychczasowych doświadczeń we Włoszech? - pyta z zaskakująco dogłębnym zrozumieniem, które przyprawia mnie o dreszcz.

Przez chwilę kręcę się niepewnie na stołku, nie wiedząc, co powiedzieć. Tak, kiedy zamykają się okiennice, zaczynam się zastanawiać, czy te możliwości, urok i pozytywna energia były tylko moim wyobrażeniem, choć tak naprawdę nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki on tego nie powiedział.

- Chyba właśnie przyznałam się do zakupoholizmu — żartuję. — Powinnam już iść, Roberto będzie się zastanawiał, gdzie się podziewam.

Wstaję, przesuwając ciężkie metalowe krzesło po brukowanej ulicy; nieprzyjemny zgrzyt odbija się echem po całej piazzie, ogłaszając wszem wobec mój pośpiech i niezdarność.

- Miło było panią znowu spotkać. Czy...

- Tak, przyjemnie się gawędziło. Do widzenia - przerywam mu i oddalam się pośpiesznie, nie pozwalając mu dokończyć pytania.

Możliwe, że chciał zapytać, czy moim zdaniem espresso jest lepsze od latte albo czy obchodzenie tak wielu świąt kościelnych to dobry zwyczaj, a może czy nie miałabym ochoty kontynuować naszej rozmowy kiedy indziej, na przykład przy drinku. Coś nie pozwoliło mi zostać i przekonać się, szczególnie że jakaś część mnie chciała, żeby chodziło o to ostatnie.

Kiedy leżę skulona w łóżku, dochodzę do wniosku, że muszę się dziś kochać z Robertem, choć wcale nie wynika to z mojego cyklu. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, czemu chcę rozmawiać z jakimś beznadziejnym Amerykaninem? Przecież nie czuję aż tak wielkiej potrzeby pogadania z kimś. A nawet jeśli, powinnam zwrócić się do Roberta, a nie do jakiegoś Amerykańca, który kompletnie nie jest w moim typie.

- I jak dzisiejszy utarg? - pytam, choć w gruncie rzeczy nie bardzo mnie to obchodzi. Wiem jednak, że to ważne dla Roberta, a chcę poprawić mu trochę nastrój. Znowu jest wykończony po kolejnym długim dniu w barze.

— W porządku, jest znacznie lepiej w porównaniu z marcem zeszłego roku.

— Twoja mama będzie zadowolona.

- Wszyscy powinniśmy być zadowoleni. Mamma uważa, że wzrost sprzedaży spowodowała lepsza pogoda. Ja mam nadzieję, że to zmiany, których dokonałem, wywierają wpływ i że tak już będzie zawsze, niezależnie od pory roku. Wiesz, chodzi mi o takie rzeczy jak podesty do tańczenia i system nagłaśniający. A jak ty myślisz?

Średnio mnie to interesuje, szczerze mówiąc. Wiem tylko, że głośna muzyka jeszcze bardziej utrudnia mi zrozumienie klientów, wieczory są więc dla mnie bardzo męczące i frustrujące. Dziś wieczorem podałam jednej osobie ser, choć prosiła o szynkę, a innej jajka, choć zamówiła wino musujące. Myli mi się *pecorino* z *prosciutto*, a *novo* brzmi podobnie do Lambrusco, jeśli się usłyszy tylko ostatnią sylabę.

- Nie jestem pewna - odpowiadam, tłumiąc ziewnięcie. - Ale wiem, że mamy świetny wybór lodów. Próbowałam już każdego z dwudziestu ośmiu smaków. - W zeszłym tygodniu przeczytałam, że jedzenie lodów zwiększa szanse zajścia w ciążę. — I widzę, że nasi klienci też je lubią. Może właśnie dzięki nim nasze zyski rosną.

- To prawda, nasze lody są znane. Zazwyczaj w lecie zatrudniamy dodatkowych ludzi, którzy je sprzedają. Ale mamma wpadła na pomysł, że w tym roku ty możesz się tym zająć.

- Aha - nie przychodzi mi do głowy lepsza odpowiedź. Nie chcę przyznać, że jestem znudzona, mam dosyć i nie lubię być traktowana protekcjonalnie, ale z drugiej strony chcę dziś uprawiać seks, więc dodaję: - Cieszę się, że mogę się na coś przydać.

Staram się o tym pamiętać, ilekroć muszę czyścić toalety albo pracować w niedzielę. No bo przecież zawsze trzeba się skupiać na pozytywnych stronach.

Roberto ostrożnie ściąga ubranie i układa je w koszu na bieliznę z taką delikatnością, z jaką większość mężczyzn obchodzi się z noworodkami.

Trzeba przyznać, że istnieje co najmniej jedna zaleta mieszkania z jego matką — nie muszę już wyciągać jego koszul, spodni, bokserek i tym podobnych z kosza, prać ich, prasować i wkładać do szafy nieskazitelnie czystych, bez choćby jednego zagięcia. Nigdy nie udało mi się nauczyć składać jego koszul dokładnie tak, jak lubi. Kiedyś poprosiłam Alison, żeby ze mną poćwiczyła, ale stwierdziła, że powinnam powiedzieć Robertowi, żeby wsadził sobie te koszule tam, gdzie słońce nie dochodzi, albo przynajmniej żebym kazała mu samemu sobie robić pranie. Nie rozumiała, że ja właściwie lubiłam wyzwanie, jakim było zajmowanie się jego ubraniami i osiągnięcie takiego standardu, który by go zadowalał i dorównywał temu, który osiągnęła jego matka. No, w każdym razie lubiłam to przynajmniej na początku, bo wkrótce okazało się, że nigdy mi się to

nie uda, więc pranie stało się dla mnie koszmarem i musiałam *podążyć* za radą Alison.

Szczerze mówiąc, teraz kiedy zobaczyłam wyprasowane przez Rafaellę rzeczy, muszę przyznać, że w tej kwestii moja teściowa nie ma sobie równych. Koszule Roberta wyglądają jak nowe, jakby zostały przed chwilą kupione w sklepie. Ja sama piorę swoje ubrania i doszłam ostatnio do wniosku, że żadne z nich tak naprawdę nie potrzebuje żelazka.

Roberto wciąga na siebie spodnie od piżamy i wślizguje się do łóżka.

— Czemu nagle zacząłeś nosić piżamę? Przecież noce są coraz cieplejsze. - Odkąd się poznaliśmy, zawsze spaliśmy nago. Dziś ma na sobie białe lniane spodnie, które całkiem nieźle kontrastują z jego opalonym na czekoladowo torsem, ale mimo wszystko nie podoba mi się, że jest między nami jakiś materiał. Tęsknię za ciepłem jego skóry, kiedy się przytulamy w nocy.

— Nie jesteśmy u siebie. — Wyłącza lampkę. - Dobranoc.

Wpatruję się w ciemność, która nagle zapadła. Mija chwila, zanim moje oczy się do niej przyzwyczajają. Kiedy potrafię już dostrzec kontury wielkiego mahoniowego stołu, odpowiadam:

— Ale przecież ubieramy się przed zejściem na śniadanie, a Rafaella śpi na innym piętrze, tak więc prawdopodobieństwo, że zobaczy twoje klejnoty, kiedy pójdziesz w nocy do łazienki, jest niemalże zerowe.

— A jeśli nagle wejdzie do naszego pokoju? Przecież większość jej rzeczy wciąż tu jest. — Jego słowa przyprawiają mnie o dreszcze i zbijają z tropu, nie mogę więc skutecznie kontrargumentować. - A tak w ogóle nie podoba mi się to, że mamma śpi na poddaszu. Poproszę Paolinę, żeby się z nią zamieniła. Nie wydaje mi się, żeby takie chodzenie po schodach jej służyło.

Zastygam z przerażenia na samą myśl o raki ej możliwości. Paolina często wraca późno, ale w dalszym ciągu jestem świadoma tego, że znajduje się zaledwie pół metra od nas i dzieli nas

jedynie ściana. Jeśli Paolina przeniesie się na poddasze, a moja teściowa zamieszka tuż obok, mogę równie dobrze złożyć śluby czystości, bo na miłość boską, nie mam szans na orgazm przy świadomości, że Rafaella może nas słyszeć. Poza tym to ja chcę mieszkać na poddaszu. Dlaczego Rafaella nie może po prostu przenieść się z powrotem do swojego pokoju, dlaczego tak się upiera, żeby wszystkim komplikować życie?

-Jeśli twoja matka będzie mieszkać w pokoju obok, nigdy się już nie będziemy bzykać. Już teraz jest ciężko; świadomość, że Paolina jest tuż za ścianą, jest wystarczająco kłopotliwa.

- Przecież ona nic nie słyszy. Ściany są grube. - Roberto ziewa przeciągle.

- Nie możesz tego wiedzieć na sto procent.

- No dobra, ale nawet jeśli rzeczywiście Paolina słyszy cokolwiek, mamma jest głucha, więc z pewnością nie będzie z tym problemu - mamrocze.

- Twoja matka wcale nie jest głucha, słyszy tylko to, na co ma ochotę. - I jestem pewna, że usłyszałyby akurat nasze miłosne uniesienia, jeśli oczywiście jakiegokolwiek będą kiedyś wreszcie miały miejsce.

- Zachowujesz się irracjonalnie. W Londynie mieliśmy maleńkie mieszkanko, w którym ściany były tak cienkie, że nasi sąsiedzi słyszeli chyba każde skrzypnięcie łóżka. - Znow ziewa znacząco.

- Możliwe, ale tamci ludzie nie byli z nami spokrewnieni. Przez kilka lat mieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu

w Chiswick i rzadko mijałam naszych sąsiadów na schodach, a co dopiero mówić o picciu razem kawy przy śniadaniu. Dochodzę do wniosku, że nie jest to najlepszy moment na omawianie tej kwestii. Roberto jest zmęczony i dlatego przyjmuje obronną pozycję. A skoro Paolina jeszcze nie wróciła, powinniśmy to wykorzystać. Muszę go jakoś przekonać, żeby zrzucił piżamę i wślizgnął się w coś wygodniejszego. Na przykład we mnie.

Obejmuję go powoli. Uwielbiam dotykać jego skóry. Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż wodzenie opuszkami palców po jego ciepłym torsie, no, może poza przesuwaniem rąk troszeczkę na południe. Delikatnie go całuję, wciąż pieszcząc jego ciało.

Oddech Roberta wcale nie staje się szybszy, nie czuję też znajomej twardości w jego spodniach. Śpi. Osuwam się na plecy i wypuszczam powietrze, oddychając ciężko. Próbuję usunąć z mojego ciała rozczarowanie, bo jeśli utrzyma się we mnie do rana, będę jutro marudna przy śniadaniu i możemy się pokłócić. A na to nie mogę sobie pozwolić - na zmarnowanie kolejnego miesiąca.

Leżę na plecach, wpatrując się w ciemność. Jestem niespokojna i nie wiem, czy w ogóle uda mi się zasnąć. Próbuję przypomnieć sobie nowe pomysły Roberta dotyczące baru — mówił coś chyba o żyrandolach i zapraszaniu didżejów w jedną sobotę w miesiącu - ale moje myśli błądzą dalej. Po chwili łapię się na tym, że rozmyślam o Amerykaninie. Zastanawiam się, jaki smak lodów lubi najbardziej. Czy przyszedłby do baru, gdyby grał w nim didżej? Co teraz robi? I z kim? A może już śpi? A jeśli tak, to z kim?

Cholera. Co mnie to obchodzi? Po chwili powtarzam sobie w myślach: Louisa, Matthew, Louisa, Matthew, mając nadzieję, że ta mantra pomoże mi zasnąć.

7 marca

Dziś rano wypomniałam Robertowi, że zasnął wieczorem, i chyba wywołałam tym u niego wyrzuty sumienia, bo postanowił mi to wynagrodzić szybką poranną sesyjką. Może nie było to jakieś super bzykanko, miało w sobie coś z obowiązku, ale co tam, nieważne. To przecież nie ma znaczenia, liczy się rezultat. Rafaella nie skomentowała naszego spóźnienia na śniadanie, a Paolina pomachała do nas tylko, wypijając duszkiem resztę kawy i biegnąc w stronę drzwi.

— Ta dziewczyna wiecznie się spieszy — mówi Rafaella. Prawdę powiedziawszy, przetłumaczyłam jej słowa jako: „Ta dziewczyna to prędkość”, ale chyba nie o to jej chodziło.

Paolina wróciła dopiero dziś nad ranem, słyszałam, jak przyszła; niestety, nawet powtarzane w myślach „Louisa i Matthew” nie pomogły mi zasnąć. Zawsze myślałam, że Włosi są wyluzowani i tylko w Anglii ludzie potrafią siedzieć przykuci do swoich biurków po osiemnaście godzin dziennie.

— Ciężko pracuje — zauważam z uśmiechem.

— *Si* - odpowiada Rafaella, kiwając głową.

Jej „*Si*” wydaje się bardzo wymowne, moim zdaniem chciała przez to powiedzieć: „Tak, ale nie powinna tyle pracować, bo jak znajdzie sobie męża? Właśnie w to powinna włożyć całą swoją energię. Nie to co ty. Ty masz męża, powinnaś więc teraz ciężko pracować, ale zamiast tego jesteś leniwa i zawsze spóźniasz się na śniadanie”. Choć oczywiście istnieje szansa, że sobie to wymyśliłam.

Na ścianie w salonie wisi zdjęcie Rafaelli i Brunona zrobione w dniu ich ślubu. Coraz częściej podczas posiłków łapię

się na tym, że się mu przyglądam. Im dłużej na nie patrzę, tym bardziej wydaje się tajemnicze i zaskakujące.

Powiedziano mi, że fotografia została zrobiona trzydzieści siedem lat temu, a Rafaella i Bruno pobrali się, gdy ona miała dwadzieścia trzy, on zaś dwadzieścia sześć lat. Fakt ten wydaje się niewiarygodny, bo spoglądając na uśmiechającą się parę ze zdjęcia, odnosi się wrażenie, że są znacznie młodsi - wyglądają jak nastolatki. Poza tym dzisiejsza Rafaella ma jakieś sto dziesięć lat, coś się więc nie zgadza w tych liczbach. Roberto powiedział mi kiedyś, że jego rodzice za młodu wygrywali konkursy tańca i byli znani w całym regionie. To wydało mi się równie mało wiarygodne jak istnienie Wróżki Zębuszki, dopóki nie zobaczyłam tego zdjęcia. Rafaellę z fotografii potrafię sobie wyobrazić sunącą po parkiecie w czyichś ramionach.

Wpatrując się w kadr, próbuję zrozumieć, jakim cudem ta przepiękna, urocza dziewczyna zmieniła się w moją teściową.

Widzę też, że Roberto ma w sobie dużo z ojca. Obaj są wysocy i mają szerokie ramiona, podobny błysk w oku i ten sam pewny siebie, swobodny uśmiech. Chciałabym, żeby Bruno wciąż żył, lubię myśleć, że byłby moim przyjacielem i sprzymierzeńcem. A bardzo by mi się ktoś taki przydał.

Patrząc na zdjęcie, można również zauważyć, że podczas gdy Roberto przypomina ojca, Paolina jest podobna do matki (choć na szczęście tylko z wyglądu). Ta fotografia jest dowodem, że moja szwagierka odziedziczyła po swojej matce kształtne ramiona i nogi oraz cienką jak osa talię. Kto by pomyślał? Egzotyczne oczy w kształcie migdałów też ma po Rafaelli. Niegdyś piękne, zagadkowe oczy mojej teściowej wyglądają teraz jak brzydkie owoce czarnej porzeczki, a to za sprawą olbrzymich czarnych worków, które utworzyły się wokół nich. Na początku napawały mnie współczuciem - zakładałam, że skoro jest wdową, wywołały je ból i cierpienie. Jednak po jakimś czasie odkryłam, że powodem jest wino - Rafaella lubi sobie wypić lampkę czy dwie.

Ciekawe, czy mężczyźni, z którymi spotykała się Paolina, wpadali w popłoch na widok jej matki. Słyszałam kiedyś takie powiedzenie, że choć żenisz się z córką, to matka staje się twoją żoną. Roztańczona dziewczyna przemieniła się w zgnuśniąłą babę, która cały poranek siedzi w kuchni, całe popołudnie w salonie, a cały wieczór w barze. No ale w sumie Paolina jeszcze nie przyprowadziła swojego chłopaka, może właśnie boi się, że Rafaella go odstraszy. Osobiście wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

Chciałabym obalić stereotyp i powiedzieć, że moja teściowa jest szczupłą sufrażystką, która ubiera się w kolorowe stroje, ale niestety nie mogę tego zrobić. Osoba kulturalna powiedziałaaby, że jest krągła lub pełna (czytaj: gruba). Pod farruchem w kwiaty zazwyczaj nosi czarną spódnicę i czarny sweter, który co chwilę obciąga, żeby zakrył jej wielki brzuch. Nosi też okropne, zbyt ciemne rajstopy American Tan i szczerze mówiąc, nie wiem, skąd je bierze, myślałam, że już dawno przestali je produkować. Dwudziestokilkuletnia Rafaella miała czarne jak węgiel włosy, które spływały po plecach przepięknymi kaskadami. Teraz przeplatają je siwe pasma, co daje dosyć ostry kontrast. Wygląda, jakby miała na głowie pianino. Jedynie jej buty sugerują, że coś jeszcze zostało z tej uroczej młodej kobiety, która uśmiecha się ze ślubnego zdjęcia. Są zrobione z najwyższej jakości skóry i wypolerowane jak lustra, w związku z czym można pewnie zajrzeć jej pod spódnicę, spoglądając na nie. Ale trzeba chyba być masochistą, żeby chcieć to zrobić.

Kiedy obserwuję ją przy śniadaniu, dochodzę do wniosku, że jest zupełnym przeciwieństwem osoby, do której pasowałoby określenie „muchy nie siada”. Jest leniwa i potrafi siedzieć godzinami bez ruchu, tak więc muchy często na niej przysiadają. W zasadzie jedna właśnie chodzi jej po ramieniu, a druga znika w zagięciu fartucha. Widok ten napawa mnie obrzydzeniem, które nie bardzo udaje mi się ukryć. Rafaella zdaje się w ogóle nie dostrzegać tych paskudnych czarnych stworzeń z włochaty-

mi łapami, choć ja nie potrafię oderwać od nich oczu. Na Boga, przecież jest dopiero marzec, skąd one się tu wzięły?

Roberto wytrąca mnie z rozmyślań, przemykając po pokoju z zawrotną prędkością i zdając się zostawiać za sobą rozproszone drobinki kurzu. Podnoszę wzrok, kiedy jest już jedną nogą za drzwiami.

— Już idziesz? Przecież prawie nic nie zjadłeś.

— Mam umówione spotkanie poza miastem. Muszę jak najwcześniej wyjechać, żeby wrócić na lunch, bo wtedy zawsze jest mnóstwo ludzi.

— Mnóstwo? Faktycznie jest trochę więcej, ale bez przesady — stwierdzam bez ogródek. Po zaledwie kilku sekundach zaczynam żałować swoich słów, bo Roberto spogląda na mnie ze skwaszoną miną.

— Jest ich całkiem sporo — oświadcza z przekonaniem. — Poradzisz sobie beze mnie? Musiałabyś niedługo się zbierać, żeby otworzyć. - Rzuca w moim kierunku klucze, które łapię dosyć niezdarnie w dwie ręce, pomagając sobie dodatkowo prawą pierśią. - To jak, dasz radę?

— Jasne. Rób, co masz do zrobienia. - Dumna z odpowiedzialności, jaka została mi powierzona, zapominam zapytać, co to właściwie za spotkanie i gdzie ma się odbyć.

Pokrywam kromkę chleba warstwą miodu i odgryzam kawałek, zastanawiając się, co na siebie dziś włożyć. Rafaella zaczyna sprzątać po śniadaniu. Wmawiam sobie, że po prostu jej się spieszy i że wcale nie chce, żebym się czuła niezręcznie, jednak sama w to nie wierzę - po pierwsze, nigdy jej się nigdzie nie spieszy, a po drugie, zawsze stara się wprowadzić mnie w zakłopotanie.

Rafaella mruczy coś pod nosem, chyba modlitwę czy coś w tym stylu. Rozpoznaję imiona Ana i Maria, matki i babki Jezusa, ulubienic mojej teściowej. Nie zwracam na nią zbyt wielkiej uwagi. Nasze stosunki nie układają się najlepiej — za każdym razem gdy mnie widzi, wstrzymuje oddech, jakby nie chciała na-

wet wdychać tego samego powietrza co ja. Efekt jest taki, że jej usta wyglądają, jakby ktoś je zeszył zszywaczem. Kiedy jesteśmy same, jasno daje mi do zrozumienia, że uważa mnie za wcielenie diabła - mogę przysiąc, że zaciska mocno dłonie, żeby nie ulec pokusie przeżegnania się w rozpaczliwej próbie odegnania złowieszczych sił, które według niej mieszkają w moim ciele. Jesteśmy jawnymi wrogami, choć walczymy ze sobą podstępnie. Ukrywamy szpony, które aż rwą się, by rozszarpać drugą osobę, żaląc się Robertowi z drobnych domowych nieporozumień wypełniających nasze dni.

Rafaella narzeka, że nie chodzę do kościoła, że nie potrafię zrobić makaronu, że źle składam obrus, kiedy sprzątam po posiłku. Ja zaś skarżę się, że jego matka nigdy nie patrzy mi w oczy, kiedy ze mną rozmawia, poza tym celowo mówi najszybciej, jak tylko potrafi, żebym przypadkiem jej nie zrozumiała. I nie pozwala mi założyć zamka w łazience. Nie potrafi lub nie chce uszanować prawa do prywatności. Misja pokojowa Roberta polega w dużej mierze na ignorowaniu naszych problemów. Błaga Rafaellę o zrozumienie, mnie o cierpliwość, a nas obie — o tolerancję.

Gdyby się nad tym jednak zastanowić, dochodzę do wniosku, że te kłótnie dotyczące prowadzenia domu, jedzenia, pracy czy prywatności wcale nie są prawdziwym źródłem naszej niechęci do siebie. Obawiam się, że sprzeczamy się o znacznie poważniejsze sprawy, choć żadna z nas nie ma odwagi zadać pytań, które ją nurtują. Obydwie chciałybyśmy wiedzieć, do której z nas tak naprawdę należy Roberto. Która bardziej go potrzebuje? Której on potrzebuje bardziej? Która bardziej go kocha? I którą on darzy większym uczuciem? Zazdrość nigdy nie przynosi nic dobrego, tym razem jednak jest tym straszniejsza, że zupełnie się jej nie spodziewałam. Nie przyszło mi nawet do głowy, że moja teściowa mogłaby być o mnie zazdrosna, ale też nie oczekiwałam, że sama będę w stosunku do niej tak małostkowa. Myślałam, że będzie dla mnie pocieszycielką,

przewodnikiem, a w najgorszym wypadku przynajmniej źródłem cennych wskazówek kulinarnych.

—*Ana-Maria e molto sympatico* — mówi nagle Rafaella. O co jej chodzi? Święta Anna i Maria są bardzo miłe? Nie rozumiem. Milknie i odwraca się w moją stronę, obdarzając mnie szerokim, choć nieszczerym uśmiechem. Po chwili zwraca się do mnie zrozumiałym, wyćwiczonym angielskim. — Roberto musi być dzisiaj z Aną-Marią. Ona wdzięczna. - Po czym wzdycha i sprawia wrażenie przygnębionej. Po dramatycznej pauzie dodaje: - Ana-Maria jest bardzo miła. Wszyscy mieliśmy nadzieję na małżeństwo z Aną-Marią.

Tym razem zamiast na poranne cappuccino na piazzy, udaję się prosto do baru. Dziś jestem swoim szefem — mogę więc zrobić sobie kawę na miejscu. Nigdy nie słyszałam o żadnej Anie-Marii.

Przygotowuję sałatkę, poleruję bar i szklanki, po czym rozkładam ekspres do kawy na części, żeby dokładnie go umyć; potem podaję poranne espresso paru klientom, jednak cały czas w mojej głowie krążą te same pytania, które nie pozwalają mi cieszyć się z mojej wydajnej pracy: „Kim jest Ana-Maria?” i „Gdzie jest teraz Roberto?”

O wpół do dwunastej stwierdzam, że nie wytrzymam ani chwili dłużej, wyciągam telefon i wybieram numer Alison.

- Hej, co tam? - pyta.

Słyszając jej głos, rozluźniam się i natychmiast zapominam, że w sumie jestem na nią trochę obrażona. Oczywiście moje pretensje są niedorzeczne — przez pierwsze dwa tygodnie ignorowałam jej telefony, a teraz mam jej za złe, że nie dzwoni do mnie tak często jak kiedyś. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej staje się jasne, że mój żal jest irytująco irracjonalny.

- W porządku — kłamię. Dzwonię do niej, żeby jej powiedzieć o tej całej Anie-Marii, ale nie mam odwagi od razu przejść do sedna sprawy.

- Sorry, że nie zadzwoniłam w zeszłym tygodniu. Co wieczór gdzieś wychodziłyśmy z Fioną. Pamiętałam, ale...

- OK, rozumiem - odpowiadam wspaniałomyślnie. Muszę przyznać, że w przeszłości to ja byłam zawsze osobą, która zaniedbywała swoich przyjaciół, ilekroć na horyzoncie

pojawiał się nowy facet; choć nie robiłam tego celowo. Zawsze jakoś tak wychodziło. Pamiętam, że kiedy poznałam Roberta, przez miesiąc prawie nie wychodziłam z łóżka, zadzwonienie do Alison tym bardziej więc nie przyszło mi do głowy. Powinna zatem doskonale rozumieć jej sytuację i dać jej trochę luzu. Po prostu się tego nie spodziewałam, ot co. Alison nigdy wcześniej nie stawiała miłostek ponad przyjaźń. No cóż, chyba powinnam się cieszyć, że mnie zaniedbuje — przecież każdy choć raz w życiu musi poczuć nagły poryw serca.

Poza tym co tu dużo mówić, nie jestem głupia i doskonale zdawałam sobie sprawę, że mój wyjazd do Włoch nie pozostanie bez wpływu na naszą zażyłość. Kiedy Alison pracowała zaledwie dwadzieścia pięć minut od mojego domu, łatwo było nam spotykać się parę razy w tygodniu, do tego codziennie rozmawiałyśmy przez telefon. Ale choć wiedziałam, że nasze poufale relacje ulegną zmianie, nie spodziewałam się, że zastąpi je tak wielka pustka. Myślałam, że będę prowadzić nowe, fascynujące życie i kiedy zadzwonię do Alison albo do rodziców, będę miała masę ekscytujących rzeczy do opowiedzenia. Nie oszukujmy się — oczekiwałam, że prędko ogłoszę im przyjście na świat małych stopek.

- Jak tam praca? - pytam. Alison zwykle chętnie o tym mówi, a ja czuję potrzebę rozmowy o czymś neutralnym.

- Zrobiłam sobie dziś wolne.

- Zadzwoniłaś, że jesteś chora? — Nie potrafię ukryć zaskoczenia. Alison nigdy, przenigdy czegoś takiego nie zrobiła. Czyżby jej ciałem zawładnęły jakieś obce siły?

- Nie, po prostu pracuję w domu. Fiona ma wolne - dodaje nieśmiało.

- Co tam u niej? - pytam uprzejmie.

Alison opowiada o Fionie przez następne dziesięć minut, wychwalając każdą z jej licznych zalet. Nie, nie miałam pojęcia, że gra na saksofonie; doprawdy niesamowite. Nie, nie widziałam *GoodNight and GoodLuck*, ale skoro to ulubiony film Fiony, na pewno jest świetny. Tylko że ja wolę kolorowe filmy,

nawet *Czarnoksiężnik z Krainy Oz* nie bardzo przypadł mi do gustu, bo wygląda, jakby *realizatorzy* nie mogli się zdecydować, czy zrobić go w kolorze czy nie. Nie, nigdy nie widziałam, żeby ktoś puszczał kaczkę tak, że zawsze kamień odbija się co najmniej pięć razy; to dopiero osiągnięcie.

- A gdzie w ogóle jest Fiona? — pytam.

- Robi zakupy.

- Dla ciebie?

—Tak, bardzo się o mnie troszczy. Ma samochód, a wiesz, jak ja nienawidzę jeździć autobusem z tymi wszystkimi siatkami.

O kurczę, to wszystko brzmi naprawdę fajnie, no i niesamowicie poważnie. A ja nawet nie poznałam i nie zaakceptowałam tej całej Fiony. Nie żebym miała coś przeciw niej, z opowiadań Alison wynika, że jest fantastyczna, po prostu wszystko zdaje się rozwijać błyskawicznie, a mnie tam nie ma i nie mogę brać w tym udziału.

- Myślałam, że miałaś zacząć kupować w Internecie, z dostawą do domu; mówiłaś, że tak jest najbardziej ekologicznie. To było twoje noworoczne postanowienie - zwracam jej uwagę, chyba trochę zbyt zgryźliwie.

- Wiem, wiem, i wciąż zamierzam to robić. Ale nie miałam czasu się tym zająć. Ostatnio nie mam ani minuty, choć tak naprawdę nie wiem, jak to się dzieje, gdzie mi ten czas ucieka. Wczoraj na przykład spędziłyśmy całą noc, słuchając muzyki i rozmawiając. I nagle, zupełnie nie wiem jak, z ósmej wieczorem zrobiła się druga w nocy. Wiesz, jak to jest.

Muszę przyznać, że nie bardzo pamiętam, jak to jest, gdy czas leci niczym migrujący jesienią ptak; taka swobodna i przyjemna intymność między mną a Robertem wydaje się bardzo odległym wspomnieniem. Dziwne, czy nie powinna się raczej zwiększać z biegiem lat? Ale kiedy mój mąż po raz kolejny opowiada o barze, czas wcale nie przelatuje mi przez palce, wręcz przeciwnie - stoi w miejscu.

- No a co u ciebie? - pyta Alison.

Opowiadam jej o swoim poranku i tym, co Rafaella powiedziała o Anie-Marii.

- Jak myślisz, kim ona jest? - Oczekuję, że jakoś mnie uspokoi.
- No zgaduję, że to była dziewczyna.
- Ale Roberto nigdy nawet o niej nie wspomniał.
- Może nie była na tyle ważna.

Szczerze powiedziawszy, nie brzmi to zbyt przekonująco, ona sama chyba w to nie wierzy, ale dla mnie to promyk nadziei, w którego kierunku podążam.

- Masz rację, pewnie dlatego o niej nie mówił.
- Oczywiście nie mogę tego wiedzieć na pewno, będziesz musiała go o to zapytać.

- Uważasz, że powinnam?

- Bez dwóch zdań! - wykrzykuje Alison. - Zmartwiły cię słowa Rafaelli i nie wiesz, co o tym wszystkim myśleć, powinnaś więc jak najszybciej wyjaśnić sprawę.

- Ale nie chcę go denerwować, szczególnie nie w ciągu najbliższych kilku dni.

- Dlaczego szczególnie nie teraz?

- No wiesz, zbliżają się dni płodne. Nie chcę marnować okazji, kłócąc się.

Miałam nadzieję, że to stwierdzenie zabrzmiało rozsądnie i dojrzałe, ale nagle zdaję sobie sprawę, że jeśli Roberto z kimś flirtuje, to ignorowanie tej sytuacji byłoby po prostu żałosne. Przecież nie mogę zająć się facetem, który ma romans, prawda? Oczywiście, że nie, ale to pytanie czysto teoretyczne, bo Roberto z nikim nie ma romansu. Czemu w ogóle przyszło mi do głowy słowo romans? Może z kimś flirtuje i tyle. Nie ma co wyolbrzymiać całej sprawy.

Słyszę, jak Alison bierze głęboki oddech; wyczuwam jej irytację. Po chwili mówi:

- Chyba będziesz musiała zaryzykować. Musisz się dowiedzieć, o co chodzi, a ja ci w tym nie pomogę.

- A myślisz, że istnieje jakieś proste wytłumaczenie? - pytam z nadzieją w głosie.

- Możliwe. Ale nie mnie powinnaś o to pytać, tylko Roberta. Zadzwoń do niego.

Wyłączam się i wracam do sprzątanego baru. Nie powinnam była rozmawiać o tym z Alison, jest zakochana po uszy, a takie osoby zazwyczaj nie potrafią słuchać innych. Byłam głupia, myśląc, że mnie zrozumie i podniesie na duchu.

- Dzień dobry - miałem nadzieję, że panią tu zastanę. Co słyhać?

Cholera. W mojej głowie odzywają się sytne alarmowe po tym, jak uświadamiam sobie, że nic lepszego nie mogło przerwać mojego zamartwiania się niż ten niski, melodyjny głos i wypowiedziane z amerykańskim akcentem słowa. Ale przecież nie ma w tym nic dziwnego; wszystko dlatego, że on mówi po angielsku. Gdyby Amerykanin był Amerykanką, sytne alarmowe w ogóle by się nie odezwały. Przesadzam.

Nie jestem pewna, czy udało mi się przekonać samą siebie.

Podnoszę wzrok i uderza mnie intensywność jego spojrzenia. Kto by pomyślał, że zielone oczy mogą sprawić, że poczuję się tak, jakby przed chwilą ktoś zadał mi cios prosto w brzuch? Czuję przytłaczający wewnętrzny ucisk, który zaczyna się od ud i przesuwa w górę ciała, opanowując mój brzuch i klatkę piersiową, a potem docierając do gardła. Co się ze mną dzieje? Nieraz odczuwałam pociąg seksualny, ale to... To jest coś nowego. Gdyby Amerykanin był Amerykanką, z pewnością nie miałoby miejsca.

Szybko uzmysławiam sobie, że ubrałam się dziś w pośpiechu i nie zdążyłam nawet zamachać przy oczach czarodziejską różdżką maskary. Cholera, mam na sobie stare džinsy, a włosy związałam w niedbały (nie elegancki czy choćby wygodny) kucyk; cholera, może jednak warto czasem prasować bluzki.

Po raz ostatni przecieram bar szmatką, po czym ciskam ją na półkę.

- W sumie to nie najlepiej, szczerze mówiąc - rzucam bezmyślnie.

— Przykro mi.

- Napije się pan kawy?

— Wolałbym colę.

Siadam naprzeciw niego. Lata pracy w charakterze kelnerki i barmanki nauczyły mnie doceniać rozmowy z pełnymi współczucia nieznajomymi.

- Tak się zastanawiałam, od jak dawna pan tu mieszka? — pytam, przesuwając w jego *stronę* szklankę z colą.

— Cztery lata.

- I jak pan sobie radzi? - Ton mojego głosu z pewnością zdradza mój smutek i rozżalenie.

— To znaczy?

- Nigdy nie czuł się pan samotny, wyobcowany, niepotrzebny? Jak się panu udało tu odnaleźć?

Wydaje mi się, że całe moje ciało opada i kurczy się. Nie wiem, czemu w jego obecności mówię rzeczy, o których istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia lub bałam się do nich przyznać nawet sama przed sobą. W tym samym momencie uświadamiam sobie, że brak mi energii, by wciąż siebie przekonywać, jak wielkie mam szczęście, że udało mi się wreszcie zrealizować swoje marzenie o życiu we Włoszech. Oddycham ciężko, obawiając się, że wszystkie moje najgłębiej skrywane lęki i obawy wylały się, tworząc pomiędzy nami olbrzymią kałużę. Chyba zupełnie zapomniałam wszystkie kelnerskie triki na prowadzenie rozmowy z klientami. Cholera, przecież ja nawet nie wiem, jak on ma na imię!

Jakby czytając w moich myślach, mówi:

— Chuck Andrews. Mów mi Chuck. — Wyciąga w moim kierunku swoją olbrzymią łapę. Muszę spoglądać na niego wzrokiem pełnym niedowierzania, bo po chwili dodaje: - Chuck to taki amerykański odpowiednik brytyjskiego Charlesa.

- Nie wiedziałam. W Anglii słowo *chuck* to staroświeckie pieszczotliwe określenie, coś w stylu złotka czy skarbu, używane wyłącznie przez stare, bezzębne babcie z północy.

- No proszę, tego to ja nie wiedziałem — chichocze. Fajnie słyszeć, że ktoś śmieje się z moich słów. Rzadko się to

ostatnio zdarza, choć uważam się za osobę z poczuciem humoru. Nie jestem geniuszem ani boginią; zarówno jeśli chodzi o inteligencję, jak i urodę, raczej się nie wyróżniam, ale bardzo lubię sobie pożartować i dopiero teraz, słysząc tak szczery i serdeczny śmiech, zdaję sobie sprawę, czego mi brakowało przez ostatnie miesiące.

- Cześć, jestem Elizabeth i strasznie tęsknię za domem.

- Najważniejsze, żeby przetrwać kolejny dzień - odpowiada, natychmiast rozpoznając moją aluzję do zwierzeń w klubach AA. - Zauważyłem już wczoraj.

- No, to dzień wcześniej niż ja.

- Właśnie dlatego tu zajrzałem. Pomyślałam, że możesz potrzebować rozmowy. — Pochyliła się nad barem, opierając na nim prawie całą górną część ciała. Powinnam uznać to za nachalne i niegrzeczne, naruszające moją strefę intymną, ale jakoś jego bliskość i zainteresowanie wydają się czysto przyjacielskie i wcale nie wywołują u mnie negatywnych uczuć. - Powiedz mi.

To jego „powiedz mi” jest dosłownym tłumaczeniem włoskiego *di mi*. Znajomi używają tego wyrażenia, chcąc zapytać: „Co tam?”, „Co się dzieje?”. Zawsze podobała mi się prostota i bezpośredniość tej frazy. Kiedyś Roberto często jej używał, ale ostatnio robi to znacznie rzadziej. Chyba nie mam do powiedzenia nic, co mogłoby go zainteresować.

- Uwielbiam Włochy - mówię Chuckowi. - I Włochów. To mój ulubiony naród. Byłam strasznie podekscytowana, że wreszcie tu zamieszkałam, ale rzeczywistość jest zupełnie inna, niż sobie wyobrażałam.

- W jakim sensie?

- Rafaella, moja teściowa, to prawdziwa wiedźma - szepczę i rozglądam się nerwowo wokół, choć jestem pewna, że

siedzi w domu i nie może mnie usłyszeć. Chuck uśmiecha się szeroko i nie podaje moich słów w wątpliwość, za co jestem mu wdzięczna. Z krótkich rozmów na temat Rafaelli ze znajomymi Roberta wynioskowałam, że wszyscy uważają ją za sól ziemi, i to głównie dlatego, że podobno robi najlepsze na świecie *lasagne* i *tiramisu*.

- Myślałam, że zaprzyjaźnię się z moją szwagierką, ale ona zawsze się gdzieś spieszy i rzadko bywa w domu. Nasza najdłuższa rozmowa trwała parę minut. Roberto też jest wiecznie zajęty. Nie chcę go martwić ani mu przeszkadzać, ma wystarczająco dużo rzeczy na głowie.

Nie wspominam o Anie-Marii, choć ani na chwilę nie mogę przestać o niej myśleć. „Kim ona jest, do cholery?” - to pytanie wciąż krąży w mojej głowie niczym piłeczka w pinballu. To, że Chuck ma efektowny uśmiech i podobają mi się jego blond włoski na opalonych przedramionach, nie znaczy jednak, że powinnam mu o tym mówić. I tak czuję się trochę winna, że w ogóle zwierzam mu się ze swoich problemów. Przecież tego zawsze chciałam - mieszkać we Włoszech. Wierzyłam, że właśnie tu będę szczęśliwa. Nie zamierzałam mówić o tym wszystkim Chuckowi, ale on jest taką osobą, która od razu wzbudza zaufanie. Chyba przez te oczy.

- Tęsknię za moją przyjaciółką Alison i za rodziną, co jest o tyle dziwne, że kiedy mieszkałam w Anglii, kontakty z nimi ograniczały się głównie do telefonów w niedzielę wieczorem. Wcale się to zresztą nie zmieniło, dalej dzwonię do nich co tydzień, ale to jakoś nie to samo. Wydaje mi się, że potrafię usłyszeć odległość, która nas dzieli. Myślałam, że od razu się tu zadomowię. Chciałam należeć do dużej, żywej, gadatliwej rodziny, której członkowie nie szczędzą sobie nawzajem czułości i przyjaznych gestów. I miałam rację - Włosi poklepują się po plecach i przytulają prawie cały czas, tyle tylko że ja jestem jakby z boku tego wszystkiego. Oczywiście są grzeczni, ale ściskają moją dłoń i na tym się kończy.

— A czego oczekiwałaś? Ci ludzie znają się wszyscy od dziecka, a ciebie poznali parę dni temu.

Jego argumentacja oczywiście ma sens, choć nie podoba mi się, że nic z tym nie mogę zrobić, niczego zmienić.

— Na pewno z czasem znajdziesz przyjaciół — zapewnia. - Tak jak mówiłaś, Włosi to świetni ludzie. Ale może musisz zacząć coś robić w tym kierunku, nie możesz tylko siedzieć i czekać, aż przyjaciele nagle spadną z drzewa. - Mogłabym uznać go za impertynenta, ale jego słowa wydają się przepełnione troską. - A jak ci idzie nauka włoskiego? - Czerwienie się zażenowana, nie chcąc się przyznać, że nic w tym kierunku nie robię. Chuck od razu wie, o co chodzi. — Musisz się nauczyć języka, bez tego ani rusz. Jesteś we Włoszech, nie możesz oczekiwać, że wszyscy będą mówić po angielsku.

Roberto codziennie powtarza mi dokładnie to samo. Dziwne, ale w ustach Chucka brzmi to zdecydowanie mniej protekcjonalnie i irytująco. Jestem pewna, że nie chce zarzucić mi lenistwa i uporu.

— Znam kogoś, kto mógłby ci pomóc — mówi z uśmiechem, puszczając mi zaczepnie oczko.

Obraz Chucka jako mojego nauczyciela, który natychmiast staje mi przed oczami, wypełnia mnie radością i ciepłem. Widzę, jak siedzimy razem w ogrodzie z butelką wina i miską pełną soczystych oliwek, no i może z książką do nauki włoskiego. Chuck wyciąga długopis i zapisuje coś na kartce, jestem pewna, że to jego numer.

Kiedy spoglądam na świstek, widzę napis „Signor Casto-ro”, pod którym widnieje numer telefonu.

— Aha - mówię.

Na szczęście Chuck nie ma pojęcia, o czym przed chwilą marzyłam, nie wyczuwa więc rozczarowania w moim głosie.

— Słyszałaś może o nim? Jest świetnym nauczycielem, skrupulatnym i wymagającym. Mnie też uczył, a wierz mi, że niełatwo udzielać lekcji komuś, kto sam ich udziela.

Super, surowy belfer, mój ulubiony typ - myślę ponuro. Chuck zaczyna opowiadać o swojej pracy i miejscach, które warto zobaczyć. Pyta, czy byliśmy już z Robertem w Weronie albo Wenecji. Zapewniam go, że planujemy się tam wybrać, ale ostatnio ciężko nam znaleźć czas na cokolwiek. Pracujemy sześć dni w tygodniu, a Rafaella nie chce, żebyśmy oboje brali wolne w ten sam dzień. Chuck odpowiada, że to wielka szkoda i że muszę mu obiecać, że „zaliczę Wenecję” i „zaliczę Weronę” w ciągu najbliższego miesiąca. Zaczynam chichotać, kiedy wyjaśnia, że można „zaliczyć” obydwie te miasta w jeden dzień.

— Wy, Amerykanie, zawsze się gdzieś spieszycie. Pewnie myślicie, że w miesiąc można „zaliczyć” całą Europę. Na pewno warto zostać trochę dłużej w Wenecji; jestem przekonana, że w samej Bazylice Świętego Marka mogłabym spędzić cały dzień — stwierdzam poważnym tonem.

— Oczywiście, im dłużej, tym lepiej - odpowiada z przyjaznym uśmiechem. Jeśli zauważył mój przytyk pod adresem jego rodaków, którzy słyną z podróżowania metodą jak najszybszego „zaliczenia” kolejnych miejsc obowiązkowych, postanowił go zignorować. Jego reakcja wywołuje we mnie wyrzuty sumienia. Chyba chciałam go w ten sposób odepchnąć i choć nie do końca wiem, czemu to zrobiłam, cieszę się, że mi się to tak łatwo nie udało.

— Przepraszam, to nie było zbyt miłe. Ale nie jestem w najlepszym humorze - mamroczę. Chuck wzrusza ramionami, nic sobie z tego nie robiąc, mimo to wydaje mi się, że moja złośliwa uwaga wprowadziła pewną niezręczność, której wytworzenia żałuję, nawet jeśli tylko ją wyczuwam. — Rafaella wspomniała dziś rano o czymś, co wytrąciło mnie z równowagi.

Jest to dosyć niekonwencjonalna próba przywrócenia zgody i bliskości między nami. Choć tak naprawdę nie jestem pewna, czy ta bliskość jest w ogóle na miejscu.

Bar świeci pustkami, poza starszym panem sączącym leniwie wino nie ma w nim nikogo. Ale choć wokół jest mnóstwo

miejsca, czuję, jakby ściany przesuwwały się do siebie, popychając mnie w stronę Chucka. Choć nawet się nie dotykamy, mam wrażenie, jakby nasze ciała idealnie przylegały do siebie, niczym dwie łyżeczki. O co chodzi? Chuck czeka, czy będę chciała rozwinąć temat. Chcę. Ale i nie chcę. Cholera.

- To pewnie nic takiego — kontynuuję z udawaną bez troską. — Podać ci coś jeszcze do picia?

- Niestety, powinienem się zbierać. Za godzinę muszę być w Bassano del Grappa. Ile za colę?

Mam ochotę powiedzieć, że to na koszt firmy, ale niestety nie mam tego typu uprawnień, niechętnie przyjmuję więc od niego pieniądze. Powoli przeliczam monety, które mi podał; nie chcę, żeby wychodził. Mam przeczucie, że jak tylko zniknie z pola widzenia, zacznę się zastanawiać, kiedy go znowu zobaczę.

Cholera, powinnam się zająć czyszczeniem stolików czy coś.

Pięć minut po wyjściu Chucka dzwoni Roberto. Mówi, że będzie trochę później.

— Rozmawiałem już z Lauraną, przyjdzie ci pomóc w porze lunchu.

Lubię Lauranę, świetnie gotuje i pracuje najciężej z całej trójki. Do tej pory nie miałyśmy za bardzo okazji porozmawiać, uśmiechamy się tylko do siebie najszerzej, jak tylko potrafimy, ale czuję, że jest naprawdę sympatyczną osobą, i obiecuję sobie, że dziś po południu spróbuję nawiązać z nią jakiś kontakt. Chuck byłby dumny.

— W porządku, dzięki. Miło, że o tym pomyślałeś.

— Wszystko okej? — pyta Roberto.

— Tak. — Oczywiście, że nie. Kim, do cholery, jest Ana-Maria? To pytanie ciśnie mi się na język, ale nie chcę o tym rozmawiać przez telefon. Zamierzam oczywiście zapytać go, gdzie jest, tylko że zanim mam okazję to zrobić, Roberto mówi „*Ciao*” i rozłącza się.

Po raz kolejny powtarzam sobie, że nie ma się czym martwić. Ana-Maria to pewnie jakaś koleżanka z dzieciństwa, której Roberto nie widział od dwudziestu lat. Rafaella na pewno chce celowo wprowadzić zamęt. Nawet jeśli Roberto jest teraz z nią, jak powiedziała moja teściowa, i nawet jeśli to jego była dziewczyna, jak przypuszcza Alison, wcale nie musi to zwiastować katastrofy. Zapytam go o wszystko przy kolacji, na pewno do tego czasu będzie już w domu. Gdyby ta Ana-Maria odegrała ważną rolę w jego życiu, na pewno bym o niej wiedziała. Prawda? Tak, na pewno.

Świetnie nam się razem pracuje z Lauraną. Próbuje rozmawiać, a nawet trochę plotkować przez całe popołudnie. Uczyła się angielskiego w szkole przez parę lat i coś tam pamięta, choć śmiejemy się, że słownictwo pojawiające się na takich lekcjach nie bardzo przydaje się w prawdziwej rozmowie. No bo jak często wypowiada się zdania typu: „Którędy do weterynarza?” albo: „To jest ołówek”? Czytamy razem włoski odpowiednik brytyjskiego magazynu „Heat”. Pokazujemy palcem na obrazki, mówiąc: „*Bella* albo „*Molto sexy*”, za każdym razem wybuchając niepohamowanym śmiechem. Mamy podobny gust, co oczywiście bardzo mnie cieszy- Laurana, podobnie jak ja, uważa, że Drew Barrymore na pewno byłaby świetną przyjaciółką, a Dr Jack z *Zagubionych* jest zabójczo przystojny. Do tego straszną frajdę sprawia nam zastanawianie się, która trzeciorzędna hollywoodzka gwiazdka zafundowała sobie operację plastyczną, a która nie.

Mamy całkiem sporo klientów, w związku z czym zapominamy zamknąć bar na czas sjesty. Obiecuję Lauranie, że zapłacimy jej za nadgodziny, ale ona zapewnia mnie, że to nie ma znaczenia i że chętnie dotrzyma mi towarzystwa.

- Fajnie mi się z tobą rozmawia — mówi rozpromieniona. Ja również się uśmiecham, mając nadzieję, że Chuck miał rację: wkrótce znajdę sobie prawdziwych włoskich przyjaciół, tak jak zawsze marzyłam, muszę tylko być cierpliwa.

Niestety nie mam zbyt wiele czasu, by delektować się kielkującą przyjaźnią, bo tuż po siódmej nasz bar zalewa fala klientów i nie wiemy, za co się złapać. Dołącza do nas Rafaella, ale ponieważ tak miło spędziłam czas z Lauraną, nie pozwalam, by posępny wyraz twarzy mojej teściowej zepsuł mi humor. Zabieram się natomiast za zmywanie i sprzątanie stolików, pozwalając jej panoszyć się za barem. W którymś momencie zauważam, że zjawiała się też Gina i Alexandra, studentki, które czasem nam pomagają; wnioskuję, że to Rafaella po nie zadzwoniła, gdyż bar jest wyjątkowo zatłoczony.

O dziesiątej przyjeżdża Paolina. Nie obsługuje jednak klientów, tylko nalewa sobie szklaneczkę whisky i opada ciężko na krzesło w kącie. Włoszki rzadko się upijają, to chyba taka niepisana zasada; nigdy nie widziałam Paoliny spożywającej więcej niż lampkę wina do obiadu, no może poza walentynkami, kiedy sama obaliła prawie całą butelkę. Trochę się więc martwię, widząc ją nagle pijącą wysokoprocentowy alkohol. Przypominam sobie radę Chucka, że muszę sama przejąć inicjatywę, jeśli chcę znaleźć przyjaciół, i kiedy Rafaella odwraca się do mnie plecami, szybko nalewam sobie whisky do szklanki i macham energicznie do mojej szwagierki.

- Boże, nigdy nie widziałam tu tylu ludzi - staram się nawiązać rozmowę. Paolina nie odpowiada, próbuję więc czegoś bardziej bezpośredniego. - Mogę się przysiąść? - krzyczę, chcąc, by mój głos przedarł się przez salwy śmiechu i panujący wokół zgiełk. Jednak Paolina, w przeciwieństwie do wszystkich innych osób w barze, wydaje się ponura i milcząca.

- Proszę - odpowiada chłodno.

- Zdrowie - opadam na krzesło tuż obok niej i unoszę do góry szklanekę.

- *Salute* - mówi z takim entuzjazmem, jakby właśnie dowiedziała się o śmierci swojego najukochańszego psa; i stuka swoją whisky o moją.

- Co tam?

Paolina otwiera torebkę i wyciąga z niej małe lusterko i szminkę. Poprawia makijaż, po czym delikatnie szczypie się w policzki, jakby chciała przywrócić im trochę koloru. Następnie przetrząsa torebkę i po chwili wyciąga z niej papierosy oraz zapalniczkę. Zapala, zaciąga się porządnie i dopiero wtedy odpowiada:

-Nic.

Może bym uwierzyła, gdyby jej oczy nie były zaczerwienione od płaczu i gdyby nie obgryzała paznokci, kiedy tylko odłożyła papierosa na brzeg popielniczki. Nie odrywam od niej wzroku, więc po chwili dodaje:

- Miałam ciężki dzień w pracy. Nic takiego. Jutro będzie lepiej.

Zastanawiam się, czy powinnam udać, że jej wierzę, ale dochodzę do wniosku, że przecież praktycznie jest moją siostrą.

- Widzę, że coś jest nie tak.

- Rozstałam się z chłopakiem, skoro już musisz wiedzieć

- mówi, a ton jej głosu jest zarówno oschły, jak i pełen cierpienia.

- Przykro mi. - Waham się, co powiedzieć. - Nawet nie wiedziałam, że kogoś miałaś. To jakaś nowa znajomość? Takie też bolą. Myślisz, że ktoś jest wyjątkowy, a tu...

- Byliśmy razem przez pięć lat.

- Pięć lat? - pytam zaskoczona. - To dlaczego nigdy go nie poznałam?

Ba, nawet nie wiedziałam o jego istnieniu. Jestem rozdarta

- z jednej strony mam ochotę podać w wątpliwość istnienie tego faceta i uznać go za wytwór jej wybujałej wyobraźni, z drugiej jednak ciśnie mi się na myśl, że moja nieświadomość może być dowodem na to, jak niewiele zaufania i bliskości jest pomiędzy mną a osobami, które nazywam rodziną. Kim jest Ana-Maria? Ile jeszcze skrywają sekretów? Dlaczego czuję się, jakbym próbowała wdrapać się na szczyt jadących w dół ruchomych schodów? Niepewna każdego kroku, praktycznie stoję w miejscu, choć wkładam w to całą energię.

- On ma żonę, więc nie mogłam go nikomu przedstawić

- tłumaczy.

- Jesteś jego kochanką? - Nie potrafię ukryć zdumienia. Zastanawiam się, czy potrafi też dostrzec oburzenie w moim głosie.

- Tak. A raczej byłam. - Jednym łykiem wychyla pozostałą zawartość szklanki.

Nie pochwalam romansów. Po pierwsze, zawsze ktoś z tego powodu cierpi. Wystarczy na nią popatrzeć - zapija smutki whisky. Ale mówienie, że takie sytuacje muszą skończyć się łza-

mi, nic by tu nie pomogło, zabrzmiałoby raczej jak mądrość po szkodzie. Po drugie, małżeństwo to małżeństwo. Paolina jest śliczna, inteligentna i zabawna. No może nie w tym momencie. Teraz wygląda okropnie i nie ma za grosz poczucia humoru, ale w normalnych warunkach każdy chciałby ją poderwać. Dlaczego więc nie mogła spotykać się z kimś wolnym? Przełykam ślinę, starając się ukryć oburzenie, i próbuję ustalić fakty.

- Wiedziałaś, że jest żonaty, kiedy zaczęliście się spotykać? -Tak.

- Boże.

- No co? Myślałaś, że londyńczycy mają wyłączność na związki pozamałżeńskie? - Paolina kiwa do Alexandry, żeby przyniosła jej kolejną szklankę whisky. - Wiesz co, w sumie to przynieś lepiej całą butelkę - prosi. Rafaella się wścieknie, jak przyjdzie czas inwentaryzacji, ale to chyba nieodpowiedni moment, żeby zwracać na to Paolinie uwagę. - Myślałaś, że Włosi są zbyt mało wyrafinowani, żeby robić tego typu rzeczy? Sądziłaś, że wszyscy poślubiamy swoje dziecięce miłości i żyjemy długo i szczęśliwie, gotując sos *arrabbiatai*

Jej sarkazm boli, ale ma rację - tak właśnie uważałam, dlatego pozostawiam jej uwagi bez komentarza.

I pomyśleć, że byłam przekonana, że za dużo pracuje i tak bardzo było mi jej szkoda! Teraz jej późne powroty nabierają zupełnie innych, bardziej ponurych barw.

- Przykro mi, ale może to i lepiej. Czy on miał dzieci? —Jedno. - Biorę głęboki oddech, znów nie potrafiąc ukryć

zdziwienia. Paolina spogląda na mnie ze złością. — Elizabeth, w jakim świecie ty żyjesz? Ty chyba zupełnie straciłaś kontakt z rzeczywistością, wytworzyłaś sobie swój własny świat, w którym wszystko jest albo czarne, albo białe, a ludzie zachowują się wyłącznie tak, jak w twoim mniemaniu powinni. Jesteś strasznie naiwna.

- Wcale nie. W Londynie pracowałam jako barmanka i naprawdę widziałam rzeczy, które ledwie możesz sobie wyobrazić.

Ale myślałam, że Włosi są inni, że przywiązują olbrzymią wagę do wartości rodzinnych, i ciężko mi uwierzyć, że mężczyzna, który ma dziecko, mógłby mieć romans przez pięć lat.

- Nawet twoje stereotypy są niedorozwinięte - mówi Paolina, śmiejąc się przy tym gorzko. Jest wyjątkowo arogancka, ale sporo wypła; słyszałam już znacznie gorsze rzeczy od pijanych osób, puszczam więc jej uwagi mimo uszu. - Skąd w ogóle je wzięłaś? Twoje badania dotyczące włoskich stereotypów chyba nie były zbyt wnikliwe. Nie wiedziałaś, że posiadanie kochanki jest tu na porządku dziennym i jest rzeczą społecznie akceptowaną?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - przyznaję smutno. To nie najlepszy temat do rozmyślań.

- No widzisz. A powinnaś o tym wiedzieć.

Nie jestem pewna, czy to jakaś aluzja czy też po prostu Paolina jest tak pijana, że nie ma pojęcia, o czym mówi. No właśnie, o czym ona mówi?

- Twoja mama o nim wie?

- W pewnym sensie. Nigdy nie przedstawiłam jej żadnego faceta. Często zostaję na noc w Padwie. Myśli, że śpię u mojej koleżanki ze studiów, Giuliany; albo przynajmniej udaje, że w to wierzy. Kiedyś z nią mieszkałam, jeszcze za czasów studenckich, kiedy nie miałyśmy za bardzo kasy i spałyśmy razem w jednym pokoju. Ale prawda jest taka, że nie widziałyśmy się od lat. Jest tylko moją przykrywką. Tak więc kiedy spędzam noc poza domem, wcale nie nocuję w malutkim mieszkaniu koleżanki, tylko sącę szampana w luksusowym hotelu, podczas gdy mój kochanek stymuluje mnie oralnie. Ale mojej matki nie interesuje, jak kto osiąga orgazm, a ja to już na pewno najmniej.

Milczę przez chwilę, po czym pytam: ' .

- A Roberto wie?

- Oczywiście.

Biorę głęboki oddech i staram się przyswoić wszystkie informacje, które usłyszałam od Paoliny. Od tak dawna chciałam

stać się częścią tej rodziny, zawsze byłam jakby z boku, lecz teraz, kiedy nagle znalazłam się w samym centrum, wydaje mi się, że nie jestem w stanie unieść ciężaru, który się z tym wiąże. Nie spodziewałam się tajemnic, rozczarowania ani złamanych serc. Ale wiem, że już nie mogę się wycofać.

- Kim jest Ana-Maria? — nie wytrzymuję. Jestem pewna, że to po prostu córka sąsiadki Rafaelli i że obie mamy żartowały kiedyś, że ich dzieci się pobiorą. Roberto tymczasem nie widział jej, odkąd nauczył się wiązać buty. Oczywiście liczę na to, że Paolina potwierdzi moje przypuszczenia.

- Kim jest? - powtarza ostrożnie Paolina. Czy to echo czy próba uniknięcia odpowiedzi? Paolina wpatruje się w szklaneczkę z whisky. Po chwili podnosi wzrok i patrzy mi prosto w oczy. W głębokim spojrzeniu jej brązowych oczu zazwyczaj dostrzegam ciepło i mądrość, dziś jednak są zamglone, wydaje mi się, że jest skrepowana. - Lubię cię, Elizabeth. - Po alkoholu ludzie często deklarują innym miłość lub przyjaźń i zwykle uważam to za uroczę, ale tym razem czuję niepokój. Na horyzoncie widzę jakieś „ale” zbliżające się do mnie wielkimi krokami. Whisky i złamane serce to zabójcza kombinacja i rzadko niesie ze sobą coś dobrego.

- Kim ona jest dla waszej rodziny? - dociekam. Bliskość, którą przed chwilą czułam, znika w mgnieniu

oka, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Paolina odsuwa się, wychyla resztę whisky, po czym mówi:

- Znamy ją od dziecka. Jest przyjaciółką rodziny. Chcesz jeszcze coś do picia? Idę do baru.

Wpatruję się w pustą szklanekę stojącą na stole, ale kręcę przecząco głową. W jednej chwili to miejsce staje się dla mnie za głośne. Spoglądam na Paolinę próbującą przedrzeć się przez cały ten zgiełk, tłum i kłęby dymu i czuję zalewające całe moje ciało zmęczenie, zarówno psychiczne, jak i fizyczne. To był długi dzień. Choć Paolina potwierdziła, że Ana-Maria jest przyjaciółką rodziny, wcale nie dodało mi to otuchy. Nieprzyjemna i nie-

chciana podejrzliwość pomieszana z nutką zazdrości wkrada się do mojego umysłu i ciała, przyprawiając mnie o dreszcze.

Zachowuję się irracjonalnie, jak skończona idiotka. Przecież Paolina właśnie powiedziała dokładnie to, co chciałam usłyszeć.

Jednak w sposobie, w jaki to powiedziała, było coś, co wzbudziło mój niepokój i pozwoliło mi myśleć, że nie mówi mi wszystkiego. Stopy mnie bolą tak, jakbym właśnie ukończyła maraton. Nie żebym kiedykolwiek brała udział w maratonie, moja kondycja pozostawia wiele do życzenia, ale założę się, że uczucie jest podobne. Spoglądam na zegarek i zauważam, że jestem tu od czternastu godzin. Roberto wciąż się nie pokazał. Obydwie te rzeczy sprawiają, że łzy napływają mi do oczu. Wmawiam sobie, że wszystko przez ten dym. Bar będzie otwarty przynajmniej do drugiej w nocy, ale ja na pewno tyle nie wytrzymam.

Mówię Rafaelli, że jestem zmęczona i idę do domu. Nawet ona nie może mnie dziś oskarżyć o lenistwo — od rana sprawuję nad wszystkim pieczę.

Kiedy wślizguję się pod kołdrę, mój telefon sygnalizuje nadejście SMS-a. To od Roberta. Pisze, że właśnie wszedł do baru i zostanie do zamknięcia. Mówi, żebym na niego nie czekała. Nie odpisuję. Zamykam oczy pewna, że za moment zmorzy mnie sen.

Zasypiam, ale nie śpię spokojnie. Śnię, że zgubiłam się w labiryncie ogrodowym w Hampton Court (rzeczywiście przytrafiło mi się to, gdy miałam sześć lat, i od tej pory ten motyw często pojawia się w moich snach). Tym razem przedzieram się przez krzaki, wołając Roberta. Nagle mężczyzna o umięśnionych przedramionach pokrytych jasnymi włoskami podnosi mnie do góry ponad żywopłotem i stawia tuż obok samochodu z lodami, na którym widnieje napis: „Ana-Maria, najlepsze w całych Włoszech”.

8 marca

Budzę się rano z wdzięcznością, że nie muszę już dłużej śnić. Koszmar mojego życia spokojnie mi wystarcza. Przewracam się na drugą stronę łóżka i odczuwam ulgę na widok Roberta. Dobrze, że jeszcze nie wstał, nie chciałabym się z nim minąć, bo znów śpieszy się na jakieś spotkanie. Dziś jest sobota, ale choć w ten dzień mamy zazwyczaj sporo klientów, chciałabym go przekonać, żebyśmy zrobili sobie wolne. Może Paolina mogłaby dziś przejąć sprawy w swoje ręce albo Rafaella wreszcie kiwnęłaby palcem; przecież dawały sobie same radę przed naszym przyjazdem, więc na pewno ten jeden dzień też jakoś przeżyją. Mam zamiar namówić Roberta na wycieczkę do Wenecji. Przecież wszyscy wiedzą, że to najbardziej romantyczne miejsce na ziemi. Jeszcze przed przyjazdem do Włoch wyobrażałam sobie, jak spacerujemy po Pałacu Dożów, placu Świętego Marka i Gallerie dell'Academia. Teraz też to widzę: słońce ogrzewa nasze plecy, słysząc gruchające gołębie oraz muzykę ulicznych grajków i kawiarnianych orkiestr. Będzie cudownie.

Świetne miejsce, żeby zapytać, kim jest Ana-Maria i czemu nigdy o niej nie wspomniał. Drań jeden.

Nie, muszę zmienić nastawienie. Wyciągam pochopne wnioski. Muszę mu pozwolić wszystko wyjaśnić.

Patrzę na leżącego obok Roberta. Niezłe z niego ciacho, zawsze to wiedziałam. No, może przez ostatni rok bardziej niż na podziwianiu jego wyglądu skupiałam się na staraniach o dziecko, ale to nie znaczy, że go nie doceniam. Oczywiście, że nie. Naprawdę. Zastanawiam się, co pomyślałaby o nim kobieta,

która widzi go po raz pierwszy albo co gorsza, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Jestem pewna, że każda babka natychmiast zwróciłaby uwagę na jego oliwkową cerę, płaski brzuch, piękne ciemne oczy i spojrzałaby na niego wzrokiem pełnym uznania. Ta myśl wcale nie podnosi mnie na duchu.

Całuję jego opalone ramię i powstrzymuję się, żeby go nie ugryźć (i nie powoduje mną namiętność, lecz frustracja). Obiecuję sobie, że dobrze to rozegram i nie będę go o nic oskarżać. Wcale nie muszę krzyczeć jak małe zazdrosne dziecko.

Roberto mruga powiekami i leniwie przeciera oczy.

- Która godzina? - pyta, ziewając.

- Prawie dziewięta.

- Cholera, muszę pędzić do baru. — Natychmiast siada na łóżku z szeroko otwartymi oczami, wszelkie oznaki senności znikają.

- Spokojnie. — Próbuję delikatnie popchnąć go z powrotem do pozycji leżącej. - Przecież wróciłeś do domu po trzeciej, musisz odpocząć. W sumie tak sobie myślałam, że moglibyśmy dziś wziąć wolne i pojechać do Wenecji. Strasznie bym chciała w końcu ją zobaczyć.

Mimo moich wysiłków Roberto wstał już z łóżka, ściągnął piżamę i właśnie skacze na jednej nodze, próbując w rekordowym czasie wcisnąć się w dzinsy.

- Nie dzisiaj. Już wczoraj mnie nie było, nie mogę znowu zrobić sobie wolnego.

Ze niby gdzie to jest napisane?

- Paolina mogłaby się zająć barem — zauważam.

- Nie. To ja odpowiadam za bar. Możesz pojechać do Wenecji z Paoliną, jeśli już musisz. - Wciąga przez głowę podkoszulek, po czym dodaje: — I tak niewielki z was pożytek.

Co za niesprawiedliwość! Jestem pewna, że chciał, żebym to usłyszała. Dlaczego ma tak kiepski humor? Czy to nie ja powinnam teraz mieć do niego pretensje? Czyżby miał nieczyste sumienie? Szybko odsuwam tę myśl. Nie, Roberto nie ma

do tego powodów, jestem tego pewna. No, prawie pewna. Ale trzymajmy się faktów.

- Słucham? Wypraszam sobie, wczoraj cały bar był na mojej głowie. Przez czternaście godzin.

- Tak, dzięki, że posiedziałaś w barze, ale z tego co wiem, to nie napracowałaś się za bardzo.

- Jak to nie? Było mnóstwo ludzi, podliczałeś wieczorem utarg, więc wiesz - bronię się zawzięcie.

- Wiem, że było dużo ludzi, ale potrzebowałaś wszystkich dziewczyn do pomocy, wiesz, ile to kosztuje? Nawet biedna mamma musiała stanąć za barem. Ona naprawdę jest za stara, Elizabeth. Nie powinniśmy jej pozwalać na taki wysiłek.

- To nie ja zadzwoniłam po dziewczyny. To ty poprosiłeś Lauranę o przyjście, a Rafaella musiała wezwać Ginę i Alexandrę.

- Uznała, że to konieczne. - Roberto odwraca się i cmoka mnie w czoło. Choć to pojednawczy gest, brakuje w nim jakiegokolwiek głębi czy zrozumienia. Jeżeli miałabym określić ten pocałunek jednym słowem, uznałabym go za protekcyjny. Nigdy wcześniej takiego nie dostałam, ale cóż, przynajmniej nikt nie może powiedzieć, że nie próbujemy nowych rzeczy.

- Wiem, że się starasz, Elizabeth, ale nie mogę tak po prostu zniknąć w sobotę, bez uprzedzenia. Muszę prowadzić nasz interes. - Tak, ale ten interes to bar, a nie międzynarodowy koncern. Na szczęście gryzę się w język i nie mówię tego głośno. — Ale ty możesz sobie zrobić wolne, jeśli chcesz. Moi znajomi wpadną dziś rano do baru, więc nie będę sam. - A po chwili dodaje: — Właściwie to będziesz się tam nudzić, nie ma sensu, żebyś przychodziła.

Nie chce mnie w pubie. Ta myśl uderza we mnie jak rozpędzona ciężarówka. Myślałam, że nie spotykamy się z jego znajomymi, bo nie znam zbyt dobrze włoskiego; ale co jeśli on po prostu nie chce, żebyśmy ich poznała?

- A kto dziś przyjdzie? - pytam przez zaciśnięte zęby.

- Znajomi.
- Poznałam ich? Nie sędzę.
- Kim jest Ana-Maria?

No i stało się. Jej imię krąży teraz między nami, choć przyrzekłam sobie, że zatrzymam je dla siebie, przynajmniej do momentu, kiedy znajdziemy się w bardziej odpowiednim miejscu niż nasz pokój. Wyrzuciłam je z siebie prosto na nasze łóżko, a teraz jarzy się niczym różowy jaskrawy neon. Co ja sobie myślałam? Przecież miałam zachować godność, tłumiąc swoje bezpodstawne podejrzenia i przekonując go, żebyśmy wzięli sobie wolne i pojechali do Wenecji. Mogliśmy pójść do bazyliki Santa Maria Gloriosa dei Frari i zobaczyć Assuntę Tycjana przy ołtarzu głównym. Chuck powiedział, że to chyba największy ukryty skarb Wenecji, jeśli chodzi o zabytki religijne.

A potem mogłabym wykrzyknąć: „Kim jest Ana-Maria?”.

Przez chwilę zastanawiam się, czy rzeczywiście zadałam to pytanie; może tylko mi się wydawało, bo Roberto milczy jak grób. Siedzi na brzegu łóżka, odwrócony do mnie plecami, i zakłada skarpetki. Nie wierzę, że zamierza się ubrać tylko po to, żeby przejść do łazienki i wziąć prysznic. Może mnie nie słyszał. Może nie wypowiedziałam tego na głos. A może po prostu nie chce odpowiedzieć.

- No więc kim ona jest?
- Znajomą.
- Byłą dziewczyną?

- Spotykaliśmy się przez jakiś czas - mówi przygnębiony, wzruszając niechętnie ramionami. Wstaje i podchodzi do stolika. Rejestruję jego spojrzenie i decyduję, że muszę mu się później lepiej przyjrzeć. Niby dlaczego jest przygnębiony? Dlatego, że zadałam to pytanie, czy może żałuje, że się rozstali? Ta myśl jest tak okropna, że z trudem łapię oddech. Roberto siada i patrzy w lustro, udając, że przygląda się swojemu odbiciu, choć tak naprawdę jego oczy przenikają przez nie i spoglądają na mnie

ukradkiem. Czeka na moją reakcję, potwierdzając tym samym, że się jej spodziewa. Ze jest konieczna i uzasadniona?

- Ile dokładnie byliście razem?

- Nie pamiętam, rok, może dwa.

- No to rok czy dwa?

- Trzy i pół.

Trzy i pół roku! A ja nigdy nawet nie słyszałam jej imienia! Musiała go bardzo skrzywdzić. Ta informacja odbija się w mojej głowie głośnym echem, niczym kamień wrzucony do głębokiej studni. Niby wygląda na to, że kamień zniknął, ale woda rozpryskuje się we wszystkich kierunkach.

- To z nią spędziłeś wczorajszy dzień? — pytam. Chcę, żeby nie wyczuł ładunku emocjonalnego zawartego w tym pytaniu, ale zdradza mnie drzenie głosu. Przyklejam do twarzy szeroki, pytający uśmiech. Mam nadzieję, że go przekona.

- Tak, właśnie skończyła studia i przeprowadza się z powrotem do Weganze. Pomagałam jej przewieźć rzeczy.

Włosi studiują znacznie dłużej niż Brytyjczycy. Często zajmuje im to wiele lat, ponieważ równocześnie pracują, żeby zarobić na chesne. Tak więc to, że właśnie skończyła studia, nie oznacza wcale, że jest jeszcze dzieckiem; choć na pewno znaczy to, że jest inteligentna i zdeterminowana.

- Poważnie? A gdzie studiowała? - Ciekawe, czy udało mi się go przekonać, że kieruje mną czysta ciekawość i że wcale nie tonę w morzu niepewności i zazdrości?

-W Weronie.

- Byłeś wczoraj w Weronie? - Tym razem nie udaje mi się zachować obojętności; nawet dziecko potrafiłoby wyczuć moje oburzenie.

- Tak, w sumie dwa razy. Miała tyle rzeczy, że musiałem zrobić dwie rundki.

To ponad cztery godziny jazdy samochodem. Jestem rozzalona.

- Mogłam pojechać z tobą. Tak bardzo chciałabym zobaczyć Weronę - mówię poirytowana. Doskonale o tym wie, nie-

raz błagałam, żeby mnie tam zabrał, ale zawsze jest zbyt zajęty. Wszystko się we mnie gotuje.

- Nie było miejsca w samochodzie.

- I chętnie poznałabym twoją znajomą.

Mówiąc to, próbuję wygrzebać skądś resztki godności, ale nie zostało jej zbyt wiele, chyba jadę na rezerwie. Oczywiście mam na myśli, że muszę ją zobaczyć i ocenić. Poprawić sobie humor, stwierdzając, że brzydko się starzeje, ma kilka kilogramów nadwagi albo łysieje - czy proszę o zbyt wiele? Muszę jak najszybciej zdecydować, czy stanowi zagrożenie.

- Możesz ją dzisiaj poznać. Mówiła, że wpadnie do baru. Rozumiem. Wstaję i podchodzę do Roberta. Obejmuję go

za szyję. To podświadome zachowanie psycholodzy pewnie uznaliby za znaczenie swojego terytorium. Przez chwilę mam ochotę zacisnąć mocno ręce na jego szyi i go udusić, wycisnąć z tego szczura resztki życia. Oczywiście szybko dochodzę do wniosku, że moja złość jest nie na miejscu, a wszelkie reakcje byłyby przedwczesne i stanowczo niewspółmierne do występuku. No bo przecież cóż takiego zrobił Roberto? Nic. Pomógł starej znajomej. Dlaczego miałby tego nie robić? Zawsze był wielkoduszny i właśnie takiego go kocham. To wszystko przez komentarz Rafaelli, to on nadszarpnął moje poczucie własnej wartości.

-Twoja mamma chciała, żebyś poślubił Anę-Marię, prawda? - pytam. Roberto spogląda na mnie, patrząc w lustro.

- Możliwe. Ale to ciebie poślubiłem.

To prawda! To ja zostałam jego żoną i to coś znaczy. Boże, przecież to znaczy bardzo wiele! Po co się tak zadręczam? Dlaczego pozwalam, by ta zmija Rafaella zatruwała swoim jadem nasze małżeństwo? Roberto jest dobrym mężem. Ciężko pracuje. Wkłada całe serce w rozkręcenie rodzinnego interesu. Do tego stopnia, że zapomina o walentynkach.

Wzdrygam się — ta myśl wcale mi nie pomogła. Ciężko mi zdecydować, w co wierzyć. Nie czuję się na siłach, by za-

dawać kolejne pytania dotyczące Any-Marii, muszę najpierw przetrwać to, czego się do tej pory dowiedziałam. Zmieniam więc temat.

- Paolina była wczoraj bardzo smutna. Rozstała się ze swoim chłopakiem. — Roberto nic nie mówi, więc pytam: — Dlaczego mi nie powiedziałaś, że spotyka się z żonatym facetem?

- Rzuciłem aluzję; myślałem, że zrozumiałaś. Nigdy nie przyprowadza tu mężczyzn, często sypia poza domem. Jest ładna, chyba, choć ciężko mi to stwierdzić, bo jest moją siostrą. Gdyby była jakąś twoją koleżanką z Londynu, pewnie byś zgadła.

- Sugerujesz, że traktuję Włochów protekcjonalnie?

- Nie, nic takiego nie powiedziałem. Ale patrzysz na nas przez różowe okulary. I widzisz tylko to, co chcesz.

Mniej więcej to samo usłyszałam wczoraj od Paoliny, czuję się więc bezbronna i dezorientowana.

- Myślisz, że jestem naiwna? — pytam.

- Są gorsze rzeczy na świecie niż bycie naiwnym.

Po tych słowach odwraca się w moją stronę, bierze mnie na ręce i kładzie na łóżku, równocześnie jednym płynnym ruchem zdejmując swój podkoszulek.

- Nic się w sumie nie stanie, jak chwilę się dziś spóźnimy — szepcze mi do ucha.

Paolina mówi, że poradzi sobie sama w barze. Wydaje się jakaś przygaszona i apatyczna, to pewnie połączenie kaca i rozpaczy. Nie czuję się najlepiej, zrzucając wszystko na jej barki i zmuszając ją do pracy w sobotę, ale przecież zapewniła nas, że i tak nie ma nic lepszego do roboty. Poza tym kiedy Roberto (niesiony błogim uczucia seksualnego spełnienia) zgodził się wziąć dziś wolne (nasz pierwszy dzień tylko we dwoje, odkąd tu przyjechaliśmy!), byłam tak szczęśliwa, że bez zastanowienia postanowiłam skorzystać z jej propozycji - skoro to dla niej żaden problem.

- Zostawimy auto na parkingu i popłyniemy taksówką wodną? - pytam Roberta.

Siedzę już w samochodzie, podczas gdy on sprawdza powietrze w oponach, poziom oleju i wody i jakieś tego typu rzeczy. Zawsze uważałam, że jego harcerskie nawyki (bądź przygotowany na każdą ewentualność!) są nieco nudne i gryzą się z moim wyobrażeniem o Włochach jako mężczyznach żywiołowych i spontanicznych; choć muszę przyznać, że nieraz dzięki temu wyciągnął mnie z opresji, zawsze bowiem pamięta o różnych rzeczach, na przykład o tym, żeby mieć odpowiednio dużo drobnych na parking w centralnym Londynie i żeby wsadzić parasolkę do swojej torby z laptopem.

Wpatruję się w przewodnik i już wyobrażam sobie, jak wsiadamy do wielkiej mahoniowej łódki i wolno suniemy po wodzie, promienie słońca otulają nas i sprawiają, że wszystko wokół lśni. Delikatny wiatr rozwiewa moje włosy i...

- Nie, to za dużo kosztuje. Dojedziemy tam i zaparkujemy na parkingu Tronchetto, tylko osiemnaście euro za dzień. Poza tym Ana-Maria ma chorobę morską.

Dopiero po chwili dochodzą do mnie jego słowa.

- Ana-Maria? A co ona ma do tego?

- Mówiłaś, że chciałaś ją poznać, właśnie wróciła do Viganze. Umówiliśmy się w barze, nie mogłem jej wystawić, więc zaproponowałem, by do nas dołączyła. Strasznie się ucieszyła.

Na pewno.

Lekki żar orgazmu, do którego powoli i delikatnie doprowadził mnie dzisiejszego ranka Roberto, wciąż jeszcze tli się między moimi nogami niczym dogorywający węgielek. To prawie niemożliwe, żebym się na niego wściekła. Prawie. Wzdycham i próbuję pogodzić się z tym, że nie spędzimy romantycznego dnia we dwoje. Ale skoro chce nas sobie przedstawić, to na pewno nic między nimi nie ma. Kto wie, może się nawet zaprzyjaźnimy.

- Jej chłopak też z nami pojedzie? - Nie mam zbyt wielkiej nadziei, że takowy istnieje, ale warto spróbować.

- Nie ma nikogo w tej chwili.

- To nieciekawie. Dla niej oczywiście. - I dla mnie. - A ona mówi trochę po angielsku? - pytam. Nie mam ochoty spędzić dnia, męcząc się przy odmianie czasowników i kartkując słownik.

- Tak, doskonale. Jest naprawdę znakomitą lingwistką.

- O, to miło. Studiowała filologię?

- Nie. Sama nauczyła się angielskiego i francuskiego. Takie trochę hobby. Czyta dużo tekstów ekonomicznych i politycznych. Skończyła studia z najwyższym możliwym wyróżnieniem.

Bo się w niej zakocham.

Podjeżdżamy pod jej dom, choć okazuje się, że mieszka zaledwie kilka minut od baru. Roberto idzie po nią, zostawiając mnie samą w samochodzie. Słyszę śmiech całej rodziny i ser-

deczne powitania, kiedy wchodzi od środka (używa tylnych drzwi, które otwiera bez pukania). Znika na co najmniej piętnaście minut, podczas gdy ja czekam niecierpliwie. Wkładam sobie ręce pod tyłek, żeby nie ulec pokusie naciśnięcia klaksonu. Wiem, że Włosi słyną z niepunktualności, i przyzwyczaiałam się, że ilekroć grupa znajomych robi plany na wieczór, potrafią nad tym debatować przez ładnych parę godzin, ale to jest przesada! Zostawianie mnie tu samej jest po prostu bezczelne!

Jestem cierpliwa, jestem cierpliwa, jestem rozsądna, jestem rozsądna — powtarzam sobie. W końcu słyszę trzask zamykanych drzwi, kobiecy głos i śmiech Roberta; po chwili pojawiają się ich sylwetki.

Wygląda oszałamiająco. Ma idealną postawę, która sugeruje, że jest pewna siebie i perfekcyjna pod każdym względem.

Zauważam, że jej nogi są umięśnione, a łydki ładnie zarysowane; zdaje się płynąć nad ziemią, poruszając się w taki sposób, jakby dolna część jej ciała była cieczą. Pewnie jest świetna w łóżku. Jej jedwabiste czarne włosy są starannie spięte w elegancki kucyk, mimo to nie wygląda ani trochę wyniośle; wyobrażam sobie, jak je rozpuszcza, pozwalając, by ich kaskady spłynęły na ramiona, hipnotyzując wszystkich wokół. Jej uśmiech jest szczery, a cera nieskazitelna. Jest uosobieniem piękna i uroku, a tym samym — moim najgorszym koszmarem. Wpatruję się w nią, jakbym sama była w niej zakochana. Chcę opuścić szybę samochodu i błagać ją, żeby została moją przyjaciółką; na szczęście jakimś cudem się powstrzymuję. Gdyby nią została, na pewno by mnie nie skrzywdziła, prawda? Chcę, żeby mnie polubiła, dlatego prawie wypadam z samochodu, nie mogąc się doczekać, aż zostaniemy sobie przedstawione. Jej dłoń jest maleńka i zimna, ale uścisk mocny i pewny. Uśmiecha się i jeśli nienawidzi mnie za to, że poślubiłam jej eks, zupełnie tego po sobie nie pokazuje.

- Najlepiej wejść od strony zachodniej. Szkoda, że nie wyjechaliśmy wcześniej rano, wtedy ominęłoby nas długie stanie w kolejkach. Teraz na pewno będziemy musieli chwilę poczekać, ale naprawdę warto.

Ana-Maria mówi o zwiedzaniu bazyliki Świętego Marka, ale zdążyłam się już przekonać, że dosłownie do wszystkiego podchodzi z podobnym entuzjazmem. Do tego ma ogromną wiedzę chyba na każdy możliwy temat - podczas jazdy samochodem wykazała się znajomością zagadnień z dziedziny rolnictwa, architektury czy geografii. Zastanawiam się, skąd ona bierze energię, żeby się interesować tyloma rzeczami?

- Wewnątrz jest specjalnie wyznaczona trasa zwiedzania. Minie chwila, zanim twoje oczy przyzwyczają się do słabszego światła, ale nie ma co się spieszyć; to naprawdę oszałamiająca budowla — mówi.

Próbuję się uśmiechać i odpowiadać choć odrobinę entuzjastycznie na jej pełne zapału komentarze, ale powoli wyczerpuje się mój zapas „achów” i „ochów”.

Podczas jazdy samochodem zostałam posadzona na tylnym siedzeniu, jak małe dziecko, zaś Ana-Maria usiadła z przodu, ponieważ „doskonale zna się na mapie” - słowa Roberta - oraz żeby mogła oglądać interesujące miejsca, które mi wskaże, bo ma „niezwykłą wiedzę dotyczącą historii regionu” - jej własne słowa. Jest też straszną mądrą - moje słowa.

Ana-Maria i Roberto byli już w Wenecji setki razy (wielokrotnie razem, jak wkrótce wnioskuje). Żadne z nich nie pamię-

ta jednak, jakie emocje wywołało u nich odkrywanie tego miejsca po raz pierwszy. W tej kwestii jestem więc sama. Dla nich Wenecja wydaje się raczej urokliwym tłem, na którym mogą się popisywać swoją wiedzą na temat kultury i historii.

Ana-Maria zwiedzanie traktuje jak rzemiosło i podchodzi do niego z precyzją dr Quinn. Ma swoją własną strategię, która od początku nie przypada mi do gustu. Pośpiesznie przemykamy przez barokowe pośledniejsze uliczki i nie mogę ani na chwilę się zatrzymać, żeby spojrzeć na fasady uroczych kościołów; szybko przechodzimy natomiast przez setki ładnych mostów, po czym docieramy na plac Świętego Marka. To właśnie tu powinniśmy jej zdaniem zacząć. Ja osobiście wołałabym w tym miejscu zakończyć zwiedzanie, a wcześniej spokojnie pospacerować, przechadzać się po tym uroczym mieście wolnym krokiem, nigdzie się nie spiesząc i zaglądając w różne zakamarki. Rozumiem, że Loggia oferują przepiękny widok na piazza, ale nie myślałam, że będę miała ściśle wyznaczony czas, żeby pokonać schody prowadzące od atrium do galerii. Wskazuję palcem na wywieszane pranie falujące na wietrze i mówię, że wygląda jak kolorowe chorągiewki zdobiące brudne uliczki. Ana-Maria czuje się lekko urażona, jej zdaniem właśnie obraziłam Wenecję, uznając ją za zaniedbaną i zniszczoną. Nie rozumiem, że uważam ten widok za uroczy. W odpowiedzi podaje mi dokładne dane dotyczące ilości energii, którą marnują mieszkańcy jednego brytyjskiego domu, używając suszarek, zamiast wywieszać ubrania. Już zapomniałam, ile to dokładnie było, ale na pewno dużo. Zgadzam się z nią i oświadczam, że dbanie o środowisko jest sprawą najwyższej wagi, ale ona już zmieniła temat.

- Od strony placu Świętego Marka do wnętrza kościoła prowadzi pięć wejść, a nad każdym z nich znajduje się pięć różnych portali ozdobionych przepięknymi mozaikami, jednak tylko mozaika Sant Alipio nad skrajnymi drzwiami po lewej stronie pochodzi z trzynastego wieku - mówi.

Tysiące metrów kwadratowych mozaik przedstawiających historie biblijne lśnią w ciemnościach. Oświecają je snopy światła, tworząc wyjątkowy widok, ale jesteśmy już w Wenecji od dwóch godzin, a nikt nawet nie zaproponował przerwy na lody, a co dopiero rozglądnięcia się po sklepach.

Z podziwem przyglądam się kwadrydze z czterema końmi wykonanymi z połączanego brązu. Robię parę zdjęć, ale po chwili czuję się zażenowana, gdy Ana-Maria informuje mnie, że te, które tak bardzo mi się podobają, to tylko repliki, a oryginały znajdują się wewnątrz bazyliki, w muzeum. To jakiś żart? Po cholere komuś dwa takie same posągi? Decyduję, że nie mam siły wchodzić do środka i po raz kolejny podziwiać piękna identycznej rzeźby; oświadczam, że zostanę na zewnątrz, żeby złapać trochę słońca. Pozostawiam Roberta i Anę-Marię samych; wchodzi do środka, żeby zapalić świece i zachwycać się bogato zdobionym ołtarzem ze srebra i złota, pod którym spoczywa ciało świętego Marka.

Liżąc lody (jedna gałka karmelowych i jedna truskawkowych - nie potrafiłam się zdecydować), zdaję sobie sprawę, że przy Anie-Marii na pewno sprawiam wrażenie strasznej ignorantki i pewnie Roberto jest mną rozczarowany. Ale naprawdę nie dałabym rady wydusić z siebie jeszcze jednego pełnego zapachu „ach” i „och”, spoglądając na kolejną otoczoną czcią dwunastowieczną bizantyjską ikonę, albo ostatniego „wow” po zobaczeniu jakiejś fantastycznej fasady. Za bardzo mi to przypomina wakacje z rodzicami.

Kiedy Ana-Maria i Roberto pojawiają się w drzwiach kościoła, ich śmiech rozbrzmiewa wokół, jest donośny i zaraźliwy. Widzę, jak turyści odwracają głowy, by spojrzeć na tę radosną parę, i wyczuwam ich aprobatę. Naprawdę pięknie razem wyglądają. Mają równie ciemną skórę, obydwójce są zgrabni i eleganccy. Ludzie, którzy na nich spoglądają, uważają, że tworzą przepiękną parę - jestem tego pewna. Kiedy sobie to uświadamiam, mam problem z przełknięciem ostatniego kawałka wafła,

wyrzucam go więc do kosza. Jest mi niedobrze. Nie wiem, czy to przez lody, czy też przez widok Roberta z Aną-Marią i myśl, że idealnie do siebie pasują. Kiedy podchodzą bliżej, wpycham się między nich (wcale nie jest to łatwe, gdyż stoją stanowczo zbyt blisko siebie) i obejmuję Roberta. Spogląda na mnie, jakby nie wiedział, kim jestem; po mniej więcej nanosekundzie dostrzegam w jego oczach poczucie winy.

- Chodźmy na lody - proponuje. — To akurat coś, co Elizabeth docenia: włoskie lody.

Choć jestem pewna, że chciał być miły, czuję, że ten komentarz sugeruje, że jestem zbyt głupia, by doceniać inne walory tego kraju. Nieprawda! Albo że jestem tłąstą krową. W sumie to całkiem możliwe, że niedługo się nią stanę, bo nie przyznaję się Robertowi, że właśnie skończyłam jednego rożka i czuję mdłości; kieruję go za to w stronę innego sprzedawcy i proszę

0 kolejne dwie gałki, tym razem decyduję się na czekoladowe

1 kiwi. Ana-Maria zamawia tylko jedną gałkę waniliowych, ale nawet i tego nie daje rady skończyć.

Przechadzamy się nad zatoką Świętego Marka. Powłóczę nogami, żartując, że tutejsze gołębice są stanowczo zbyt pewne siebie. Ana-Maria co chwilę rzuca uwagi typu: „Ta zatoka jest niczym naturalne lustro, tak jakby Bóg chciał, by odbijała cały majestat i splendor kościoła San Giorgio Maggiore, nie sądzisz?”.

Chcę jej powiedzieć, że przecież Bóg zrobił swoją część znacznie wcześniej niż architekci, którzy projektowali kościół, ale gryzę się w język. Próbuję się skupić na lodach, lecz nawet one nie poprawiają mi nastroju. Po prostu jest mi zimno.

- No i co, jaka ona jest? - pyta Alison.

- Idealna. Nie mam pojęcia, czemu się z nią nie ożenił

- przyznaję, wzdychając ciężko.

- Ale przecież mówiłaś, że była zbyt entuzjastyczna.

- Była skupiona i zainteresowana wszystkim wokół. Roberto to lubi. Kiedyś powiedział, że jedyne co mnie interesuje, to zajście w ciążę.

Milczenie Alison sugeruje, że zgadza się z moim mężem, ale jest zbyt lojalna, żeby to powiedzieć głośno. Wie, że miałam ciężki dzień i że potrzebuję kogoś, kto mnie wysłucha.

- Jest piękna, miła, zabawna, wykształcona. Mama Roberta za nią przepada, z wzajemnością zresztą; jej rodzina też go uwielbia.

- Skąd wiesz?

- Poza tym, że kiedy podjechaliśmy pod jej dom, zarówno przyjeżdżając po nią, jak i ją odwożąc, Roberto zniknął w środku na całe wieki i gawędził sobie wesoło z jej rodzicami, a mnie zostawił w samochodzie...

- Żartujesz!

- Nie. Ale poza tym, okazało się, że kuzynka Any-Marii ma restaurację w Wenecji, poszliśmy tam dziś coś zjeść. Jej krewni traktowali Roberta, jakby był podbijającym świat cezarem, powracającym do ojczyzny ze statkami pełnymi złota i konkubinami, zagarnawszy po drodze parę krajów.

Alison chichocze. Cieszę się, że potrafię ją rozśmieszyć, może się nie zorientuje, jak beznadziejne i poniżające było

moje popołudnie. Muszę przyznać, że ucieszyłam się, słysząc, że Ana-Maria zna dobrą restaurację w okolicy. Nikt nawet nie wspomniał o jedzeniu do wpół do trzeciej, tak że dopiero około czwartej przełknęłam pierwszy kęs, a wtedy byłam już gotowa zjeść gdziekolwiek. Pokonując labirynt wąskich uliczek, spoglądałam na turystów tłoczących się w pizzeriach i przepłacających za kiepskiej jakości pizzę z lekko ironicznym uśmiechem na twarzy. Po raz pierwszy czułam się, jakbym nie była jedną z nich - właśnie tak chciałam się poczuć, odkąd przyjechałam do Włoch.

Restauracja prowadzona przez krewnych Any-Marii znajdowała się blisko maleńkiego kanału; balkony tonęły w kwiatkach, a obrusy na stołach były śnieżnobiałe i świeżo wykrochmalone. Przepiękne miejsce. Mój wegetarianizm nie wzbudził żadnej sensacji i został skwitowany skinieniem głowy. Potrawy, które mi przyniesiono, zostały przyrządzone ze stylem i wyobraźnią — zapiekana dynia z cukinią i koprem włoskim, pokryta różnymi rodzajami sera, była przepyszna. Niestety poza pytaniem, czy jedzenie jest „*Bene?*” (wypowiedzianym z wymownym skinieniem głowy), nie zwracano na mnie zbytnej uwagi.

Cóż, nie mogę ich za to winić. Dlaczego miałabym się spodziewać, że będą mówić po angielsku? Ale ciężko było mi oglądać rodzinne albumy, które przynieśli — pełne fotografii Roberta i Any-Marii jako pary niemowląt, dzieci, nastolatków, kochanków.

- To nie mogło być burzliwe rozstanie — dzielę się swoimi obserwacjami z Alison — bo wszyscy dalej świetnie się ze sobą dogadują. - Wiem, że Alison nie pochwała burzliwych rozstań. Nie przepada za robieniem scen i dogryzaniem sobie nawzajem, ale ja wolałabym, żeby nie mogli przebywać w tym samym mieście, a co dopiero siedzieć przy jednym stole.

- To świadczy o tym, że nic między nimi nie ma. Zero romantycznych uczuć — mówi Alison. — Nie masz się o co martwić, są po prostu przyjaciółmi.

- Ale ona jest taka śliczna! - żalę się.

- No ale wiesz, taka doskonałość może być na dłuższą metę męcząca. - Uśmiecham się, wiedząc, że moja przyjaciółka robi, co może, żeby mnie pocieszyć. - To na pewno ma swoją cenę. Jestem przekonana, że spędza długie godziny przed lustrem, układając włosy, regulując brwi czy nakładając makijaż.

- Roberto to lubi.

To prawda, Roberto docenia kobiety, które o siebie dbają. Ja do nich nie należę. Przez lata polegałam głównie na tym, że jestem młoda, młodość oznacza bowiem piękno - nawet jeśli jest się zupełnie przeciętnym. Jakiś rok temu zauważyłam, że moja skóra stała się jakaś taka trochę szorstka i obwisła. Niefajnie. Kac zostawia teraz po sobie znacznie trwalsze ślady w postaci czarnych worków pod oczami. Kurze łapki kiedyś dodawały mi charakteru, teraz z każdym dniem stają się coraz okropniejsze. Nie powinnam była tyle się śmiać w młodości. Co tu dużo mówić, nie bardzo o siebie dbam. Jestem chaotyczna, nie chce mi się nakładać makijażu, golę nogi tylko trzy razy w roku i zwykle nie obcinam włosów tak długo, jak to tylko możliwe (praktycznie do momentu, kiedy przestają wyglądać jak człowiek), bo nigdy nie potrafię się zdecydować, co z nimi zrobić. Ubieram się raczej modnie, kocham mekkę zwaną Zara, ale nie cierpię przyszywać guzików, prasować, a czasem nawet zapominam oderwać metkę, tak więc ciężko nazwać mój wygląd nienagannym.

W zasadzie próby zajścia w ciążę także odbiły się na moim wyglądzie. Trzeba się dobrze czuć, żeby chcieć dobrze wyglądać, a jeśli się dobrze wygląda, to równocześnie ma się lepsze samopoczucie; niestety, to takie trochę błędne koło, do którego nie udało mi się jeszcze dostać. No więc powiedzmy, że powinnam nad sobą popracować.

- Kiedy mnie odwiedzisz? Zarezerwowałaś już bilet? - pytam. Odczuwam nagłą potrzebę moralnego wsparcia.

- Myślałyśmy, żeby wpaść do was pod koniec lipca. Ale jeszcze nie wiadomo, czy Fiona dostanie wolne.

Mój entuzjazm opada. Oczywiście cieszę się, że Fiona i Alison są na tyle pewne swoich uczuć, że robią tak dalekosiężne plany. Wiem, że Alison nie może się doczekać, żeby się pochwalić swoją nową dziewczyną, ale przyjazd mojej przyjaciółki ze swoją kochanką na pewno będzie źródłem problemów. Co sobie pomyśli Rafaella? Poza tym miałam nadzieję, że przez ten czas będę miała Alison tylko dla siebie. Chowam swoje niezadowolenie do kieszeni.

- Tylko nie zostawiajcie tego na ostatnią chwilę — mówię
- bo wykupię wam wszystkie miejsca w samolocie.
- Spoko, damy radę. A co poza tym słyhać?
- Poznałam jednego nauczyciela ze Stanów.
- O, stary zrzędlawy belfer, na pewno się zaprzyjaźnicie.
- Nie mam pojęcia, czemu pomyślała, że Chuck jest stary i zrzędlawy. I nie wiem, czemu nie przyznaję się, że jest młody i do tego niczego sobie.
- Dał mi numer do włoskiego korepetytora. -1 co?
- Zadzwoiłam. W czwartek rano, przed otwarciem baru, mam pierwszą lekcję.
- Super! Jestem z ciebie dumna - mówi, jakby chciała pochwalić opieszalego szczeniaka.

Tak do końca to nie wiem, czemu zadzwoniłam do signora Castoro. Może dlatego, że strasznie mnie drażniło, ilekroć Ana-Maria i Roberto rozmawiali po włosku w drodze powrotnej z Wenecji. Wykończona całodziennym zwiedzaniem, nie miałam siły, by próbować za nimi nadażyć. Nie mam pojęcia, z czego zaśmiewali się do rozpuku. Nie wiem też, co takiego powiedział Roberto, że nagle w oczach Any-Marii pojawiły się łzy. Widziałam, jak odwraca wzrok, żeby nie zauważył. Tak więc uznałam, że dobrze by było móc zrozumieć te ich pogawędki, i choć nie oczekuję, że signor Castoro nauczy mnie w czwartek czegoś poza powitaniami i przedstawieniem się, to od czegoś w końcu trzeba zacząć.

Jest jeszcze jedno. Może w sumie moja chęć nauki włoskiego nie jest aż tak związana z Robertem i Aną-Marią, może po prostu nie chciałam spotkać znowu Chucka i przyznać się, że dalej nie robię nic, żeby zacząć mówić w języku kraju, w którym mieszkam. Jego włoski jest bezbłędny, tak że muszę mu się wydawać leniwa. Oczywiście nie wiem, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczę. I choć nie ma powodu, dla którego miałabym go zobaczyć ani nawet dla którego miałabym chcieć go zobaczyć, gdyby tak się przypadkiem stało, fajnie by było mu powiedzieć, że zaczęłam się uczyć.

I tyle.

13 marca

Idąc do baru po swojej pierwszej lekcji włoskiego, wdycham zaskakująco ciepłe marcowe powietrze, które otula całe miasto, i uśmiecham się do siebie. Jestem pewna, że tym razem jestem w ciąży.

Kładę rękę na brzuchu; w zasadzie nigdy nie można go nazwać płaskim, ale czy jest zaokrąglony? A moje piersi? Czy są bardziej wrażliwe niż zwykle? Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania, ale dowiem się za dzień lub dwa. Przez całą drogę nie przestaję się uśmiechać. Wielokrotnie wyobrażałam sobie dzień, w którym oznajmię Robertowi, że wreszcie będziemy mieli potomstwo. Boże, to będzie najpiękniejsza chwila w naszym życiu!

Kiedy wchodzę do baru, jestem już tak podekscytowana, że mam ochotę otworzyć z impetem drzwi i krzyknąć: „*Whos the Daddy!*”. Na szczęście udaje mi się przed tym powstrzymać.

- Rany, co za uśmiech - mówi Laurana na mój widok. Chichoczę i gorączkowo szukam w głowie jakiejś wiarygodnej wymówki. Przecież nie mogę jej powiedzieć, że coś w powietrzu mówi mi, że w moim brzuchu znajduje się małeńki zarodek.

- Właśnie miałam pierwszą lekcję z signorem Castoro - udaje mi się wybrnąć z sytuacji.

- Widzę, że się podobało. Jesteś podekscytowana.

To prawda, podobało mi się. Zaskoczyłam samą siebie. Okazuje się, że wiem znacznie więcej, niż mi się wydawało. Signor Castoro wyjaśnił, że musiałam się nauczyć trochę języka, będąc żoną Roberta przez tyle lat, nawet niekoniecznie zdając

sobie z tego sprawę. To podobno normalne. Choć oczywiście minie jeszcze trochę czasu, zanim będę mogła zaimponować Rafaelli i zrozumieć wszystko, co mówią klienci.

- Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Robertowi. — Wyciągam z torby książkę do nauki włoskiego, którą pożyczył mi signor Castoro, i nieśmiało pokazuję ją Lauranie. Uśmiecha się do mnie szeroko.
- Gdzie jest Roberto?

- Musiał coś załatwić. Znowu będziemy dziś same. Chyba w zeszły piątek całkiem nieźle sobie poradziłyśmy,

bo w ciągu ostatnich sześciu dni trzy razy pracowałyśmy tylko we dwójkę. Chyba nie udaje mi się ukryć rozczarowania z powodu jego nieobecności, bo Laurana mówi:

- Hej, to na pewno coś ważnego, inaczej byłby tutaj; przecież bar to całe jego życie.

Kiwam głową i uśmiecham się do niej, wiedząc, że próbuje mnie pocieszyć, ale świadomość, że wszyscy wokół widzą, że bar jest dla Roberta najważniejszy na świecie, wcale nie poprawia mi humoru.

- To nie jego wina. Nie wie, że chcę mu o opowiedzieć o swojej pierwszej lekcji. Nie powiedziałam mu, że zaczynam się uczyć włoskiego.

- O, chciałaś mu zrobić niespodziankę! - wykrzykuje Laurana.

- Tak jakby.

Prawda jest taka, że od naszej wycieczki do Wenecji Roberto cały czas spędza w barze. Nie do końca to rozumiem, przecież to nie jest biuro, w którym trzeba nadgonić zaległości, bo się wzięło wolne. Klienci, którzy pojawili się tamtego dnia, zostali już obsłużeni. Jesteśmy trochę jak statki mijające się w nocy, nie miałam więc okazji powiedzieć mu, że zaczynam lekcje. Jestem pewna, że się ucieszy i że będzie ze mnie dumny, ale też pewnie zapyta, kto dał mi numer telefonu signora Castoro, a choć nie mam powodu, by nie mówić mu o Chucku, jakimś sposobem nigdy jeszcze o nim nie wspomniałam.

Laurana odkłada książkę, którą jej pokazałam.

- Brawo! A teraz musisz być dobrą uczennicą i jak najwięcej ćwiczyć. Od dziś rozmawiam do ciebie tylko po włoski.

- O nie, a tak dobrze się dogadywałyśmy! — żartuję. -Ja nie słyszeć. Tylko po włoski - mówi, rozkładając ręce.

Informuje mnie po włosku, że idzie do kuchni przygotować sałatki na lunch. Ja zostaję w barze i próbuję zapamiętać czasowniki „być”, „robić” i „mieć”.

- No, no, jestem pod wrażeniem. - Chuck pojawia się nagle w barze nie wiadomo skąd i natychmiast staje tuż koło mnie. Nie mam nawet szansy przeczesać palcami włosów ani odgarnąć ich za ucho. Wszystkie moje wnętrzości skrecają się i nic nie mogę na to poradzić.

- Czego się uczysz?

- Czasowników.¹

- Signor Castoro powiedział, że byłaś dziś u niego wcześniej rano.

- Sprawdzasz mnie? - pytam z uśmiechem i rumieńcem na twarzy. W sumie nie miałabym nic przeciwko, gdyby rzeczywiście tak było.

- Wpadłem dziś na niego na piazzę, wypiliśmy razem espresso. Wiesz, jak to tutaj jest, wszyscy wszystko wiedzą i żaden sekret nie utrzyma się dłużej niż pięć minut. — Kurczę, muszę jak najszybciej powiedzieć Robertowi o tych lekcjach. - Signor Castoro powiedział, że uczenie ciebie to *gran piacere*.

- Co? Wielkie lubić?

- Tak, wielkie lubić. A dokładniej czysta przyjemność.

- No tak, rzeczywiście. - Jestem trochę zażenowana swoim niezbyt dobrym tłumaczeniem.

- Zobaczysz, ani się obejrzysz, a będziesz biegle mówić. Signor Castoro cię chwalił, podobno świetnie ci dzisiaj poszło.

- Bo jeszcze nie musiał rozszyfrowywać mojego pisma. Wtedy już nie będzie ze mnie taki zadowolony - żartuję.

- Podobała ci się lekcja?

- Muszę przyznać, że tak, nawet bardzo. Signor Castoro jest niesamowicie cierpliwy. Dzięki za jego telefon.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zmuszam się, żeby spojrzeć na Chucka. Przez całą naszą rozmowę udawałam, że bardzo interesuje mnie sufit. Nie wiem czemu, ale czuję się jak mała nieśmiała dziewczynka. Jego wielkie opalone ciało onieśmiela mnie. Zastanawiam się, jakie jest w dotyku. Szybko odpycham tę myśl i próbując zapomnieć, że w ogóle przyszła mi do głowy, zmuszam się, żeby spojrzeć mu prosto oczy. Przecież wcale nie jest aż tak przystojny. Nie może być. Bum! Jego szczery wzrok uderza prosto w moje gardło, brzuch i jeszcze niżej. Cholera! Jest aż tak przystojny. Szybko chwytam ścierkę i zaczynam polerować i tak już lśniący bar. Cholerne hormony. Próbuję się skupić na tym, że on przecież mówi rzeczy typu „musimy się dzielić” i „miłego dnia” — nie żebym kiedykolwiek słyszała, jak wypowiada te słowa, ale Amerykanie tak mówią, no nie? I to niekoniecznie szczerze. To naród fałszywych ludzi. I dlatego nie mogę brać jego słów poważnie.

Ale.

No cóż, wygląda na bardzo szczerą osobę. I od początku tak się zachowuje. Muszę przyznać, że nie dostrzegłam w nim nic, co można by uznać za fałszywe.

- Co porabiałaś, odkąd ostatni raz się widzieliśmy? — pyta. Na szczęście rozgląda się wokół i przestał już mi się przyglądać. Widać moje zachowanie nie tylko mnie wprawilo w zakłopotanie. Jestem niczym królik w świetle reflektorów — stoję, wpatrując się w niego i nie wiedząc, co robić.

Szukam w pamięci jakichś ciekawych wydarzeń z minionego tygodnia.

- Pojechaliśmy do Wenecji.

- Super, i jak, podobało się?

- Tak, Wenecja jest przepiękna - odpowiadam szczerze, choć ostrożnie.

- Żałuję, że mnie tam nie było.

Wiem, że ten komentarz to tylko wyraz jego sympatii dla tego miasta, ale muszę przyznać, że ja też żałuję, że go z nami nie było. Byłoby dwa na dwa. Hej, to jest dobra myśl! Powinnam przedstawić go Anie-Marii.

- Znasz Anę-Marię Provero? - pytam.

- Tak, znam całą rodzinę.

- Jest bardzo ładna, nie sądzisz?

-Trochę zbyt wytworna jak dla mnie - odpowiada, wzruszając ramionami. - Tak między nami, to moim zdaniem należy do tak zwanych kobiet bardzo trudnych w utrzymaniu. No ale dzięki, że o mnie pamiętasz - mówi, puszczając mi żartobliwie oczko.

Jest mi wstyd, że przejrzał moją niezbyt zręczną próbę zabawienia się w swatkę. Dziwne, powinnam się czuć rozczarowana. Przecież dobrze by było, gdyby Ana-Maria znalazła sobie chłopaka i zakochała się. Z doświadczenia wiem, że nowa miłość zawsze dostarcza więcej emocji niż stara. A jednak gdzieś tam głęboko cieszę się, że Chuck nie jest nią zainteresowany.

- No popatrz tylko na siebie, moja droga: zwiedzasz, uczysz się włoskiego; wkrótce nie będziesz pamiętać, co to tęsknota za domem. I tak właśnie trzeba robić. Powinniśmy to uczcić.

- Chcesz się czegoś napić?

- Tak, ale nie teraz, wieczorem. I nie tutaj. Zabiorę cię do fajnego baru w Marostica. Nazywa się Perche No?, co znaczy...

- „Czemu nie”?

- No właśnie. No więc czemu nie? To bar mojego kumpla. Spodobają ci się te klimaty. Oczywiście Roberto też jest zaproszony - dodaje.

- Nie możemy oboje wziąć wolnego. Ktoś musi zostać w barze.

- No to tylko ty.

Waham się przez chwilę. W sumie dziś powinnam mieć wolny wieczór, a średnio mi się uśmiecha spędzić go w domu

z dziadkiem. W Anglii miałam dużo znajomych facetów i Roberto nigdy nie miał nic przeciwko, gdy wychodziłam z nimi bez niego. No bo niby dlaczego miałby mieć? Przecież mi ufa. I tak być powinno. Bo jestem godna zaufania. No.

- Okej - zgadzam się, dochodząc do wniosku, że jak będę się dłużej nad tym zastanawiać, to coś przekombinuję.

- Super. Nie musisz się jakoś specjalnie elegancko ubierać, to bardzo wyluzowane miejsce. Podjadę po ciebie powiedzmy o ósmej. Tylko gdzie, tutaj?

- Lepiej będzie, jak poczekam na ciebie pod wieżą zegarową. Jeśli tu przyjdę, zaciągną mnie od razu do pracy. — Wcale nie kłamię. Jestem pewna, że tak właśnie by się stało. Ale też nie jest to „prawda, cała prawda i tylko prawda”. Nie jestem pewna, czy Rafaelli spodobałaby się moja znajomość z Chuckiem, nawet jeśli jest czysto platoniczna. Nie ma co wprowadzać niepotrzebnego zamieszania, a dla niej o pretekst przecież nietrudno.

-OK.

- No to do zobaczenia.

Jestem strasznie podekscytowana. Znów chwytam za ścierkę. Powinnam przestać o tym myśleć. A może właśnie lepiej będzie, jeśli trochę o tym pomyślę. Wybieram pierwszą opcję i udaję się do kuchni, żeby pomóc Lauranie z sałatkami. Kurczę, chyba naprawdę powinnam się zastanowić nad tym całym moim zauroczeniem. Ale po skończeniu sałatek zajmuję się powtarzaniem czasowników.

Kiedy Chuck punkt ósma zjawia się pod wieżą zegarową, dziękuję Bogu za amerykańską punktualność. Roberto zawsze się spóźnia co najmniej pół godziny, w porywach nawet do dwóch godzin. Nie wiem, czy dałabym radę czekać na Chucka choćby minutę dłużej, niż to konieczne. I nie chodzi o to, że nie mogę wytrzymać, żeby go zobaczyć, umieram z tęsknoty czy coś (choć muszę przyznać, że cały dzień nie mogłam się doczekać dzisiejszego wieczoru), po prostu nie chciałabym, żeby ktoś mnie zobaczył.

Miałam zamiar powiedzieć Robertowi, z kim dziś wychodzę, ale nie było odpowiedniego momentu, znowu się mijaliśmy. Kiedy skończyłam popołudniową zmianę, próbowałam go znaleźć, mając nadzieję, że spędzimy razem sjęstę. Ale choć myślałam, że siedzi nad księgami, nie było go w gabinecie, zadzwoniłam więc do niego na komórkę.

— Gdzie jesteś?

— Mam coś do załatwienia.

— Domyślam się, a co dokładnie?

- Dostawy. Ale po co te wszystkie pytania? — W jego głosie wyczuwam zniecierpliwienie, wyraźnie nie chce, żeby mu przeszkadzano. Mówię mu o moich lekcjach włoskiego z signorem Castoro.

- To cudownie. Castoro to świetny nauczyciel. Pomagał mi w przygotowaniach do egzaminów z literatury, kiedy byłem w szkole średniej.

- Poważnie? Znasz go? - Zastanawiam się, czemu w takim razie sam nie wpadł na to, żeby dać mi jego numer telefo-

nu, cały czas przecież marudził, że powinnam zacząć się uczyć włoskiego.

- Tak, przyjaźnił się z tatą.

Fajnie wiedzieć, że był przyjacielem Brunona. Może nawet jest na fotografii ślubnej - obok ojca Roberta stoi taki uśmiechnięty młodzieniec. Lubię mieć jakiś kontekst i wiedzieć coś na temat pochodzenia ludzi, ich korzeni i przeszłości. Tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest to dla mnie ważne, dopóki nie wyjechałam z Anglii. Kiedyś denerwowałam się, gdy moi rodzice zaczęli rozmowę ze mną w taki sposób: „Znasz pana Jakiegoś tam, miał córkę w wieku Toma”. Kręcę przecząco głową. „Jego żona robiła dla ciebie ubranka na drutach, kiedy byłaś dzieckiem” — kontynuują, ale niewiele to pomaga, wcale nie jestem mądrzejsza. Zazwyczaj kończyło się to czymś mało ciekawym, w stylu: „Widziałam go w sklepie. Pytał, jak się miewasz”.

Nagle dochodzę do wniosku, że czyjeś zainteresowanie moją osobą to właściwie najmiłsza rzecz na świecie. Przypominam sobie o Chucku pytającym o mnie signora Castoro i moja twarz natychmiast się rozjaśnia.

— Wychodzę dziś wieczorem. Nie wiem, czy słyszałeś o barze Perche No? w Marostica.

-Tak, słyszałem. Fajnie, w takim razie rozejrzyj się, czy robią coś, czego my nie robimy. Trzeba trzymać konkutencję na oku. Baw się dobrze - odpowiada, po czym nagle się rozłącza. Wygląda na to, że w czymś mu przeszkodziłam, pewnie w czymś ważnym. Zapomniał zapytać, z kim idę, a ponieważ tego nie zrobił, uznałam, że mogę tę informację zostawić dla siebie.

Dobrze, że Chuck powiedział mi, że nie muszę się ubierać elegancko, inaczej pewnie spędziłabym całe wieki, próbując zdecydować, co na siebie włożyć. A tak przymierzylam tylko dziewięć strojów.

Ostatecznie wybrałam džinsy Diesel i beżowy podkoszulek z odpowiednią liczbą błyszczących elementów. Wiem, że wcale

nie muszę się stroić, ale przecież Włosi zawsze ubierają się z taką klasą i wyczuciem, że buty na obcasie i odrobinę szminki uznają niemalże za obowiązek. Czuję się trochę tak, jakbym była brytyjską reprezentantką na Konkursie Stroju Eurowizji. Wielka Brytania nie ma żadnych szans na wygraną, ale duma narodowa każe nam przynajmniej przystąpić do konkursu.

- Świetnie wyglądasz - mówi Chuck na mój widok. Jego rzucony mimochodem komplement uśmierza trochę ból spowodowany pęcherzem, który zdążył się już pojawić na palcu prawej nogi. Kupiłam te buty zaraz po przyjeździe do Włoch. Mają cienkie paseczki i chodzenie w nich przypomina trochę balansowanie na szczydkach. Może i są cholernie niepraktyczne, ale też oszałamiająco piękne, a że nie kosztowały fortuny, postanowiłam zaszaleć. Choć muszę przyznać, że chyba jednak są trochę za małe. Kurczę, jak inne kobiety to robią? Przecież bycie atrakcyjną wymaga nie lada wysiłku i poświęcenia.

Martwię się, że moje przebieranie się dziewięć razy i decyzja o nałożeniu seksownych, szalenie niewygodnych butów sprawia, że nasze spotkanie przypomina trochę pierwszą randkę, co oczywiście jest nie do pomyślenia, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że od sześciu lat jestem mężatką. Na szczęście uspokajam się, kiedy Chuck zaczyna opowiadać o swojej pracy, samochodzie i o barze, do którego jedziemy. Rozmawiamy swobodnie i zupełnie nie ma tego napięcia, które zazwyczaj (o ile dobrze pamiętam) towarzyszy pierwszym randkom. Poza Robertem (który był strasznym gadułą i przez cały czas albo mówił, albo mnie całował) każde moje pierwsze spotkanie było pełne niezręcznych momentów ciszy i zastanawiania się, czy ten wieczór skończy się w łóżku.

Tak sobie myślę, że Chuck po prostu stara się być miły. Wie, że jestem odrobinę samotna, a ponieważ sam jest imigrantem, rozumie moje problemy i stara się mi pomóc.

Nie wiadomo czemu tylko część mnie ma nadzieję, że tak właśnie jest.

Zawsze byłam wierna. I to tak na sto procent, linia oddzielająca wierność od niewierności jest dla mnie gruba i wyraźna. Nie jestem typem osoby, która pozwala, by kolega z pracy wepchnął jej język do buzi na jakiejś imprezie świątecznej, po czym wmawia sobie, że przecież nic się nie stało, bo były święta. Czasami fantazjuję o nieosiągalnych mężczyznach, tych, którzy spotykają się z gwiazdami i często pojawiają się w plotkarskich magazynach, zawsze jednak są to niewyraźne obrazy, których wcale nie próbuję wyostrzyć, bo nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Roberto jest żywym ucieleśnieniem tego, czego zawsze chciałam w mężczyźnie. Jest wysoki, ma ciemną karnację i włosy, jest przystojny, no i jest Włochem. Wszelkie dokładniej sprecyzowane marzenia są związane z naszym życiem rodzinnym.

Ale.

Ale Chuck ze swoim amerykańskim akcentem i blond grzywą strasznie miesza mi w głowie. Wszystko, co myślę, zdaje się niewłaściwe. Na przykład w pewnym momencie zdaję sobie sprawę, że podziwiam, jak sprawnie zmienia biegi, po czym słyszę swoje własne słowa:

- Niewielu Amerykanów potrafi zmieniać biegi, gdzie się tego nauczyłeś?

Mam ochotę odgryźć sobie język i gdyby to nie podkreśliło tylko mojej głupoty, z pewnością walnęłabym się otwartą dłonią w czoło. Na miłość boską! Każdy facet, którego znam, potrafi zmieniać biegi, i jeszcze nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby kogoś za to komplementować! Jeszcze sobie pomyśli, że jestem jakąś wielbicieleką Ameryki i potrafię wymienić wszystkie stany.

Chuck jest jednak uosobieniem dobrych manier; uśmiecha się i spokojnie wyjaśnia, że musiał się nauczyć zmieniać biegi, kiedy się przeprowadził do Europy. Przyzwyczyił się, ale wciąż nie rozumie, o co chodzi koleśiom, którzy pytają, czy jego samochód „trzyma się drogi”. Podoba mi się jego szczerłość.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, bar jest wypełniony po brzegi. Grupki facetów i dziewczyn siedzą na chodniku, gawędząc wesoło i przekrzykując się nawzajem. Najlepsze jest to, że wcale nie są pijani i żadne z nich pewnie nie będzie - Włosi potrafią dobrze się bawić bez wypicia dwunastu kufli piwa.

Wewnątrz unoszą się kłęby dymu, jest głośno i tłoczno. Rozglądam się wokół, próbując dostrzec coś, co mogłoby przyciągnąć tak liczny tłum, coś, o czym warto by później opowiedzieć Robertowi. Niestety, nic takiego nie rzuca mi się w oczy. Nie ma didżeja, zespołu ani też faceta naśladowującego Elvisa. Jedzenie wygląda przepysznie, ale czy jest jakieś miejsce we Włoszech, gdzie nie serwują znakomitych dań? Nie ma tu nic szczególnego poza ludźmi w doskonałych nastrojach. Ciekawe, czy Roberto, mając w barze Rafaellę siedzącą w kącie i wyglądającą niczym śmierć z kosą albo jej starsza, jeszcze straszniejsza siostra, jest w stanie odtworzyć tę atmosferę.

Chuck zna tu strasznie dużo ludzi, w drodze do baru zatrzymujemy się co najmniej dwa czy trzy razy, żeby się z kimś przywitać. Wszystkim mnie przedstawia i nikt nie komentuje moich piegów i kręconych blond włosów ani nie mówi, jakich potraw powinnam spróbować. Pytają, skąd znam Chucka, jak długo jestem we Włoszech i jak mi się mieszka z teściową. Wygląda to tak, jakby naprawdę chcieli mnie poznać. Mówię Chuckowi, że pójdę po coś do picia. Zamawiam dwie wody mineralne - on prowadzi, a ja zazwyczaj staram się nie pić przez ostatnie dwa tygodnie cyklu. Kiedy wracam, stoi obok starej szafy grającej.

Zastanawiam się, czy powinnam mu powiedzieć, że mój pęcherz staje się nie do zniesienia. Zazwyczaj mówimy sobie z Alison o tego typu rzeczach, a przecież koniecznie chcę, żeby moja relacja z Chuckiem była podobna - czysto platoniczna. Co z tego, że jest przystojniakiem, jesteśmy tylko przyjaciółmi i tak właśnie powinno być.

— Dzięki, że przedstawiłeś mnie swoim znajomym.

Tak sobie myślę, że to naprawdę miłe z jego strony. Zastanawiam się, czemu Roberto nigdy nie spróbował stworzyć okazji, żebym zbliżyła się do jego przyjaciół i lepiej ich poznała.

- Choć mój włoski wciąż jest kiepski, jakoś udało nam się chwilę porozmawiać, i nie chodzi mi o wymianę uprzejmości, tylko o taką w miarę prawdziwą rozmowę. Niezbyt często mi się to zdarza.

- No ale zazwyczaj widzisz ludzi zza baru i pewnie nie masz zbyt wielu okazji, żeby powiedzieć coś poza „proszę, oto pańskie zamówienie”.

- Czasem nawet i tego nie mogę powiedzieć, tak często mieszam zamówienia.

Chuck uśmiecha się szczerze.

- Ale dziewczyny, które dla was pracują, są całkiem fajne, no nie?

Ciekawe, czy któraś mu się podoba. A może wszystkie?

- No, szczególnie Laurana. Chyba się powoli zaprzyjaźniamy, plotkujemy o gwiazdach z seriali i z Hollywood i tego typu rzeczach. Ładna jest, no nie?

- Tak. Prawdziwa piękność. - Chuck nie rozwija tematu, a ja natychmiast żałuję, że zadałam to pytanie. Mała, maleńka iskierka zazdrości zapala się we mnie i zdaję sobie sprawę, że przecież to nie bardzo przyjacielskie z mojej strony. Szybko ją gaszę.

- Nie ma chłopaka. Może się z nią umówisz?

- Jasne - odpowiada, ale na jego twarzy nie widzę śladów podekscytowania perspektywą randki z Lauraną, raczej rozbawienie.

- To znaczy o ile ty też nikogo nie masz.

- No nie mam.

- No widzisz, idealnie - mówię z wymuszonym entuzjazmem.

Chuck znów się uśmiecha.

- Lubisz się bawić w swatkę, co?

- Jak każda szczęśliwa mężatka — odpowiadam trochę zażenowana. - Chcemy, by nasi przyjaciele byli równie szczęśliwi jak my.

- Uznam to za komplement, bo to oznacza, że uważasz mnie za przyjaciela, ale jeśli pozwolisz, nie umówię się na razie z Lauraną.

- Jasne, nie ma problemu. — Chcę, żeby moje słowa zabrzmiały, jakby w ogóle mnie to nie interesowało. Cholera. Dlaczego zawsze muszę wszystko spaprać? Cokolwiek powiem, brzmi głupio i jest nudne albo po prostu dziwne, do tego zachowuję się jak jakaś natrętna baba. Po chwili mój język znów nie współpracuje z mózgiem, bo dodaję:

- Wiesz co, muszę usiąść. Zrobił mi się na nodze pęcherz wielkości jajka.

Znajdujemy przytulny stolik ukryty na tyłach baru. Z pewnością umieszczono go tu, by stworzyć odpowiedni nastrój zakochanym, i przez chwilę czuję się okropnie, mając świadomość, że prawdopodobnie utrudniam rozwój czyjegoś kiełkującego uczucia, ale tak strasznie boli mnie stopa.

- Od naszego pierwszego spotkania nie widziałam, żebyś palił.

- Poprawka: nigdy nie widziałas, żebym palił. Bo nie palę.

- Ale przecież dałeś Panu Zapominalskiemu papierosy.

- Kupuję je dla niego. Myślisz, że nie powinienem?

- Nie. - Myślę, że to bardzo miłe.

- Wiesz, trochę mi go szkoda. Nie wygląda na to, żeby miał w życiu wiele przyjemności. - Zastanawiam się, czy ja też jestem takim godnym pożałowania przypadkiem. Pewnie tak. Przez chwilę żadne z nas nic nie mówi, w końcu Chuck pyta:

- Roberto nie miał nic przeciwko twojemu wyjściu?

Czyli on również uważa, że spotkanie dwóch osób przeciwnej płci w pewnym wieku może zwrócić czyjąś uwagę i zostać uznane za niewłaściwe.

- Nie. Laurana i Gina są dziś w barze, więc nie jestem potrzebna. Kazał mi się rozejrzeć u konkutencji i podpatrzeć, czy jest tu coś, czego u nas nie ma. Tak że może ci się wydawać, że jestem tu tylko dla przyjemności, ale w gruncie rzeczy jestem szpiegiem przemysłowym.

- Ale mam nadzieję, że dobrze się przy tym bawisz.

- Tak. - Uśmiecham się.

- Roberto naprawdę się stara wyprowadzić bar na prostą, prawda? Do waszego przyjazdu wszyscy wiedzieli, że to miejsce ledwo się trzyma. Bardzo ograniczone menu i przestarzały wystrój sprawiały, że jedynymi osobami, które się tam pojawiały, byli starzy znajomi Rafaelli i Brunona.

- Z których większość nie żyje - żartuję.

- Podoba mi się nowy wystrój. Roberto odwalił kawał dobrej roboty - dodaje Chuck.

Przez chwilę zastanawiam się, czy on przypadkiem nie jest gejem. Z jednej strony to by wiele wyjaśniało (dobre maniery, dowcip, zawsze nienaganny wygląd, schludność i chęć spędzania czasu ze mną — w końcu wszyscy moi najlepsi przyjaciele są odmiennej orientacji). Ale z drugiej strony chyba nie bardzo by mi się to podobało. Tylko dlaczego? Przecież jeśli rzeczywiście jest gejem, nikt nie mógłby mieć nic przeciwko naszym spotkaniom, a prawda jest taka, że naprawdę lubię spędzać z nim czas, ponieważ, pomijając jego dobre maniery, dowcip, nienaganny wygląd i schludność, z nikim innym w całych Włoszech nie czuję się tak swobodnie. Szybko porzucam tę myśl, bo coś tu jest nie tak. Czy tą osobą nie powinien być mój mąż? Nagle przypominam sobie, że przecież Chuck niedawno rozstał się z dziewczyną. Za dużo myśli na raz. Po kolei. Chuck nie jest gejem.

Przez chwilę zastanawiam się nad tym, co powiedział o naszym barze. To prawda. Kiedy przyjechaliśmy, U Brunona było bardzo zapuszczone. I choć bardzo próbowałam sobie wmówić, że jest uroczo staromodny, i tak zdawałam sobie sprawę, że jest po prostu stary i brudny. I że wciąż świeci pustkami. I nie że-

bym od razu zwróciła jakąś szczególną uwagę na wystrój. Przez pierwszy tydzień byłam zbyt zajęta - wciąż biegałam ze szmatą, mając nadzieję, że w końcu kiedyś dojrzę ten wystrój pod tumanami kurzu. Poza tym wciąż nie mogłam uwierzyć, że rodzinny interes okazał się tandetnym, zapyziałym pubem, a nie przepiękną winnicą.

Ale teraz, gdy tak sobie o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście trochę się zmieniło od naszego przyjazdu. Choć nic nie zostało przebudowane, Roberto pozbył się okropnych, źle dobranych stołków barowych - pamiętam, że jeden z nich pękł, kiedy po raz pierwszy na nim usiadłam — i wstawił nowe, takie przezrocyste i supermodne. Poza tym wysprzątałam duże pomieszczenie, w którym Rafaella trzymała Bóg wie co, dzięki czemu mamy teraz dwa razy więcej miejsca dla klientów. Roberto wstawił też wygodną skórzaną kanapę i niski kwadratowy stolik, tworząc całkiem przytulny kącik dla par. Ponadto pozbył się brudnych dywanów, poplamionych przez wylane drinki i ubłocone buty, odsłaniając piękne drewniane podłogi. Spędziłyśmy z Lauraną i Paoliną cały długi weekend, szorując je, a potem szlifując papierem ściernym i lakierując. Śledziłam poczynania Roberta i muszę przyznać, że trochę się zaniepokoiłam, gdy całkiem spora część naszych oszczędności została przeznaczona na zakup dużych poduch do siedzenia pokrytych imitacją skóry zebry oraz na kupno bambusów.

- No w sumie racja, całkiem nieźle sobie radzi - przyznaję.

- To musi być świetna sprawa, mieć coś, nad czym się razem pracuje - mówi Chuck.

Przez chwilę wpatruję się w niego, zastanawiając się, co powiedzieć. Mogłabym się po prostu z nim zgodzić i zakończyć temat (choć wiąże się to z potrzebą znalezienia kolejnego), zatajając jednocześnie, że nie wszystko jest takie super idealne, jeśli chodzi o moją włoską rodzinę i jej interes. Mogę też powiedzieć mu prawdę.

- Szczerze mówiąc, średnio mnie interesuje bar. Chciałabym, żeby było inaczej, ale nic na to nie mogę poradzić. — Muszę być z nim szczerą. No bo przecież szczerłość jest podstawą wszystkich związków. To znaczy przyjaźni.

-Aha.

- Cokolwiek byśmy tam zrobili, to zawsze pozostanie bar Rafaelli. Nieważne, ile wstawimy tam kwiatów, jak zmienimy wystrój czy nawet ile godzin będziemy tam harować, on i tak będzie jej. Moja teściowa zrobiła wszystko co tylko możliwe, żeby mi pokazać, że nie jestem tu mile widziana. A poza tym nie przyjechałam do Włoch, żeby pracować za barem, robiłam to w Anglii przez wiele lat i mam tego serdecznie dosyć. Myślałam, że rodzina Roberta ma winnicę.

- Ze co? - pyta Chuck i spogląda na mnie zupełnie zdezorientowany.

Biorę głęboki oddech i opowiadam mu o swojej pomyłce. Jeszcze nie skończyłam mojej poważnej opowieści o jednym wielkim nieporozumieniu, jestem gdzieś tak w trzech czwartych, kiedy Chuck wybucha niepohamowanym, histerycznym wręcz śmiechem, kołysząc się przy tym w przód i w tył.

-To wcale nie jest śmieszne! - obruszasz się.

- Jak to nie? Sama przyznaj, że to naprawdę zabawna historia - zapewnia i nagle przestaje postrzegać to jako coś wstydliviego, jako rozdzierające serce rozczarowanie, i zaczynam patrzeć na to oczami Chucka. Ma rację, to naprawdę całkiem komiczne.

Ja też chichoczę, nawet wtedy, gdy opisuję oziębłość Rafaelli i przyznaję, że Roberto mnie zaniedbuje. Żartuję nawet z tajemnicy, którą owiana była postać Any-Marii. Chuck również się śmieje, ale w bardzo taktowny sposób. Mówi, że każdy w Veganze boi się Rafaelli, i zapewnia mnie, że Roberto ma po prostu dużo pracy, ale z pewnością bardzo mu na mnie zależy. Moje obawy związane z Aną-Marią kwituje machnięciem ręki i komentarzem:

- To dla ciebie żadna konkutencja.

Potem opowiada mi trochę o sobie. Przez ostatnie dwanaście lat podróżował po świecie; był w Rosji, Indiach i większości krajów europejskich. Lubi ryzyko i największą przyjemność sprawiają mu wysokogórskie wspinaczki albo nurkowanie. Marzy o tym, żeby kupić jakąś szkołę językową i być swoim własnym szefem; od czterech lat zawzięcie oszczędza, by zrealizować ten plan. Jest tak seksowną i interesującą osobą, że wydaje mi się kompletnie nieosiągalny, dlatego nawet nie staram się, by uznał mnie za atrakcyjną; to znaczy coś takiego i tak byłoby niewłaściwe w obecnej sytuacji. Nie próbuję go poderwać. Chłonę tylko każdego jego słowo i rozkoszuję się jego pewnością siebie, pewnością dotyczącą życia, mnie, wszystkiego. Nie zastanawiam się, co powinnam powiedzieć. W rezultacie każde moje słowo wydaje się dokładnie tym, co Chuck chce usłyszeć. Szkoda, że nie znałam tej sztuczki jako nastolatka.

- Powiedz mi coś o swojej rodzinie - prosi Chuck.

- A co dokładnie chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

No więc mówię mu wszystko. Opowiadam o tym, jak wstydziłam się rodziców jako dziecko i uważałam za zbyt starych i zbyt poważnych, ale z wiekiem nauczyłam się ich szanować i rozumieć. Zawsze byli przy mnie, dalej są, i choć są staromodni, bardzo się o mnie troszczą.

- Naprawdę się troszczą. Oczywiście jak wszyscy rodzice chcą, żebym była zdrowa i bezpieczna, ale też zawsze pragnęli, żebym wiedziała pewne rzeczy. No wiesz, żebym się znała na architekturze, muzyce, historii. Wtedy tego nie rozumiałam, ale teraz wiem, co chcieli osiągnąć. Chcieli, żebym zrozumiała ogrom bycia człowiekiem. Szkoda, że ich zawiódłam.

- Jak to?

- Max i Thomas, moi bracia, skończyli prestiżowe uniwersytety, uzyskując najwyższe oceny i wyróżnienia, a teraz obaj mają świetną pracę i robią karierę. Max nie jest jakimś tam li-

zusowatym dziennikarzyną z tabloidu, choć szczerze mówiąc, nie miałabym nic przeciwko temu, jest raczej jednym z tych, co poszukują niesprawiedliwości, walczą z nią i sprawiają, że pewne informacje wychodzą na światło dzienne. Jego nazwisko pojawiło się chyba pod artykułami w każdej liczącej się gazecie. Poważnie, lunch z nim to masakra. Rozumiem może trzydzieści procent tego, co mówi. A Thomas, jeśli wierzyć temu, co mówi mama, a zazwyczaj jej słowa są wiarygodne, praktycznie rządzi całą angielską służbą zdrowia. Cokolwiek się o nich powie, robi wrażenie. Nie to co o mnie.

— Ale przecież też wiele osiągnęłaś. -Na przykład?

— Podróżujesz, zwiedzasz świat, twoi rodzice muszą być z ciebie zadowoleni.

— Może by byli, gdybym mogła im coś powiedzieć o sztuce i architekturze renesansu czy też rzeźbiarzach Biduina, ale kiedy do nich dzwonię, zazwyczaj opowiadam o tym, co jadłam na lunch. Mieszkam we Włoszech, ale wciąż nalewam piwo.

— Ale przecież nie każdy musi robić nie wiadomo jaką karierę. Pewnym osobom dojście do tego, co chcą robić w życiu, zajmuje po prostu więcej czasu. Niektórzy nazywają to biernością, ale można też to uznać za... — szuka właściwego słowa i po chwili znajduje - ...sprawdzanie możliwości. Może potraktuj to jako szukanie i odkrywanie.

— Niezły pomysł. Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam. Przez chwilę zastanawiam się, czy się nie przyznać, że tak

naprawdę wcale nie szukam odpowiedniej kariery i że od zawsze wiem, czego chcę od życia. Chciałam poślubić Włocha i urodzić mu gromadkę dzieci. Od lat całe moje życie obraca się i wyłącznie wokół próby zrealizowania tego planu, jednak bez rezultatów. Ale czy on to zrozumie? Zanim podejmuję decyzję, czy mu o tym powiedzieć, Chuck pyta:

— A nie myślałaś o znalezieniu sobie jakiejś pracy poza barem? Trochę niezależności dobrze by ci zrobiło.

- W zasadzie nie. - Ciekawe, czy ma coś konkretnego na myśli. Fajnie by było coś znaleźć, choćby dla samej satysfakcji, jaką dałoby mi poinformowanie Rafaelli o tym, gdzie może sobie wepchnąć bezpłatną harówkę w barze. — No bo co ja mogłabym robić?

- Nie wiem. Może po prostu pracować w innym barze?

- To by nie było zbyt lojalne - mamroczę.

- Może masz rację — odpowiada Chuck, rozumiejąc niuanse mojego życia rodzinnego. - Ale mogłabyś uczyć angielskiego.

Znów zaczynam się śmiać, ale Chuck spogląda na mnie z poważną miną.

- Mówisz serio?

- Serio, serio. Mógłbym popytać i dowiedzieć się, czy jakaś szkoła szuka nauczycieli. Jestem pewien, że znajdzie się w okolicy ktoś, kto zechce zatrudnić piękną angielską różę z brytyjskim akcentem.

Nigdy nie myślałam, że jestem angielską różą, a co dopiero piękną różą. Czerwienię się i wpatruję w niego z głupawym uśmiechem na twarzy. Próbuję jakoś zebrać się w sobie, po czym zauważam:

- Ale przecież nie mówię po włosku.

- Ale nad tym pracujesz. Poza tym wcale nie musisz, mogłabyś uczyć bardziej zaawansowane grupy, do takich mówi się wyłącznie po angielsku.

Wcale nie brzmi to tak idiotycznie. Kiwam głową i mówię Chuckowi, że byłabym wdzięczna, gdyby popytał w moim imieniu. Uśmiecha się. Później rzuca jakiś komentarz, już nie pamiętam na jaki temat, po czym obydwójce zanosimy się śmiechem i rozmawiamy, dopóki nie odwozi mnie o dwunastej pod dom.

Roberto wraca do domu około drugiej i kiedy się rozbiera, wymykam się do łazienki ze znanym mi dobrze uczuciem lepkości między nogami. Jednak tym razem, kiedy wracam do pokoju, żeby wyciągnąć z szafki kolejną paczkę tampaksów, nie przytula mnie. Wzrusza tylko ramionami, po czym szepcze:

- Cóż, może następnym razem.

- Tak, może w przyszłym miesiącu - odpowiadam cicho. Udaje mi się wypowiedzieć te słowa, nie płacząc. I to się właśnie nazywa postęp.

Wracam do łóżka i w ciemności wpatruję się w sufit. Po kilku minutach oddech Roberta uspokaja się. Śpi. Ja zaś nie potrafię ani zasnąć, ani leżeć spokojnie bez ruchu. Wstaję więc, żeby zagrzeć sobie ciepłego mleka.

Kiedy wchodzę do kuchni, przy stole siedzi Paolina otoczona papierosowym dymem.

- Przepraszam - mówi, machając rękami, by rozpędzić dym, co niestety nie przynosi żadnego rezultatu. Ale cóż, liczą się intencje.

- Nie przejmuj się mną — mamroczę.

-Po prostu wiem, że... - przerywa i odwraca wzrok.

- Ze staramy się o dziecko?

- Tak. Myślałam, że dym będzie ci przeszkadzał.

- Nie jestem w ciąży - oświadczam, próbując sprawić wrażenie silnej i rzeczowej, choć tak naprawdę czuję się krucha i jestem przepełniona goryczą. - Właśnie dostałam okres. Przyszłam się napić gorącego mleka.

Paolina macha mi przed oczami napoczętą butelką czerwonego wina.

- Wydaje mi się, że to ci lepiej zrobi. — Rzucam w jej kierunku słaby uśmiech i kiwam głową.

Nalewa mi pełny kieliszek i przesuwa go w moją stronę. Upijam duży łyk. Gdybym wiedziała, że nie jestem w ciąży, napiłabym się dziś wieczorem podczas spotkania z Chuckiem. Byłoby fajnie. Natychmiast odpycham tę myśl. Co ja do cholery mówię? Przecież to, że nie jestem w ciąży, to najgorsza rzecz na świecie; nie powinnam w takim momencie marzyć o czymś równie trywialnym jak zakrapiany alkoholem wieczór w knajpie!

- Co tam w ogóle u ciebie, Paolina? - pytam, by zmienić temat i porzucić wcześniejsze rozważania.

- Nic ciekawego, wiesz, samotność — odpowiada i wzrusza ramionami. - No ale sama jestem sobie winna, no nie? Sama sobie tę samotność sprawiłam. Takim jak ja nie ma co współczuć.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Rzadko spotykam się z taką szczerością ze strony rodziny Risso. Roberto zazwyczaj zawiera najważniejsze informacje w tym, czego nie mówi, zaś Rafaella zamiast tego, co myśli, mówi dokładnie odwrotne rzeczy. Bezpośredniość Paoliny, choć wprawia mnie w zakłopotanie, jest nie lada komplementem.

Szukam w myślach czegoś, co nie byłoby złośliwe, ale jednocześnie przekazywało to, co naprawdę sędzę.

- Wiesz, może to wszystko wyjdzie ci na dobre - mówię, ściskając jej rękę.

Ma filigranowe chłodne dłonie i pięknie wypielęgnowane paznokcie. Przypominam sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy ujrzałam marmurową rzeźbę Wenus w Muzeum Brytyjskim. To była jedna z tych koszmarnych, ponurych wycieczek, na które jako dziecko zabrali mnie rodzice. Powiedzieli, że to część mojego prezentu urodzinowego, a ja zastanawiałam się, czemu po prostu nie mogą mnie wziąć do kina i Pizza Hut. Byłam znu-

dzona na śmierć i czekałam z utęsknieniem na moment, kiedy pozwolą mi pobuszować w sklepiku z pamiątkami, w którym mogłabym przynajmniej kupić sobie jakiś piórnik albo przypinkę w ramach rekompensaty za stracony dzień. I wtedy ją zobaczyłam. Mój wzrok przyciągnęła jej perłowa skóra i delikatne krągłości. Wpatrywałam się w tę rzeźbę stanowiącą ikonę kobiecości i zupełnie nie rozumiałam, o co chodzi. Wydawała mi się stanowczo zbyt przysadzista, nie tak wówczas wyobrażałam sobie wcielenie piękna. Do tego jej nos zdawał się długi i twardy, a piersi zbyt małe, ale miała interesującą pozę. Sprawiała jednocześnie wrażenie silnej i kruchej, co moim zdaniem bardzo dobrze oddawało naturę kobiety. Stałam obok niej znieruchomiała, odczuwając nagłą potrzebę, by poczuć jej gładką skórę pod swoimi palcami. Ten gwałtowny wewnętrzny przymus sprawił mnie w lekkie zażenowanie; nie byłam pewna, której części rzeźby powinnam dotknąć. Pulchnego uda, korpulentnych ramion, a może lekko zaokrąglonego brzucha? W końcu pogłaskałam ją po plecach, mniej więcej na wysokości talii, i nie mogłam pojąć, jak to możliwe, że marmur może być zarówno chłodny, jak i miękki w dotyku. Jednocześnie twardy i delikatny. Dokładnie taka sama była dłoń mojej szwagierki.

- Miejmy nadzieję — odpowiada Paolina z ledwie widocznym uśmiechem. - W końcu niezbadane są wyroki boskie. Czasem nie zdajemy sobie sprawy, czego tak naprawdę chcemy.

- Ja wiem, czego w tej chwili chcę. Lodów - mówię zdecydowanym tonem. - Masz też ochotę?

Paolina kiwa potakująco głową.

- Racja, lody to świetny pomysł.

Dziś jest wtorek, a ja dalej nie widziałam Chucka. Muszę przyznać, że jestem w nie najlepszym nastroju i nie potrafię udawać, że wcale mnie to nie obchodzi. Świetnie się bawiliśmy w czwartkowy wieczór, dlatego myślałam, że szybko się odezwie, przynajmniej żeby powiedzieć „cześć”. No ale z drugiej strony przecież ma tu mnóstwo znajomych, tak że jemu pięć dni na pewno nie ciągnie się w nieskończoność.

W tym tygodniu przepracowałam w barze strasznie dużo godzin. W sumie zrobiłam to głównie po to, żeby Chuck mógł mnie łatwo znaleźć, jeśli tylko zechce. No ale mnie nie znalazł - można więc łatwo wyciągnąć wnioski. Najgorsze jest jednak to, że tak bardzo się tymi wnioskami przejmuję. Żałuję, że nie wymieniliśmy się numerami komórek, wtedy mogłabym mu wysłać SMS-a. Ale nie zaproponował, że da mi swój numer, a ja wstydziłam się tak po prostu dać mu swój. Roberto myśli, że moja nagła chęć pracy na dwie zmiany to nic innego jak nowo odkryte zainteresowanie barem i swego rodzaju prezent na zgodę po ostatnich napięciach związanych z tematem Any-Marii oraz po kolejnym rozczarowaniu. Jest zachwycony. Najdziwniejsze jest to, że w ogóle mnie nie obchodzi, że przestaliśmy się kłócić, cała moja energia jest skupiona na drzwiach wejściowych do baru; mam nadzieję, że w ten sposób uda mi się przywołać Chucka.

Oczywiście chodzi mi i wyłącznie o to, czy udało mu się załatwić mi jakieś godziny w szkole językowej albo chociaż rozmowę o pracę. Nic więcej. Trzymam kciuki.

Dziś rano Roberto miał coś do załatwienia, zostałam więc sama z Giną. Do tego sprzątaczką znów zadzwoniła, że jest chora - normalna. Zaczynam odnosić wrażenie, że jestem wykorzystywana. No więc oczywiście przewrotne koło fortuny jak zwykle jest przeciwko mnie - kiedy wreszcie pojawia się Chuck, jestem w trakcie czyszczenia toalet.

- Ktoś do ciebie - dobiega mnie głos Giny.

Ponieważ wyczekiwałam go praktycznie cały tydzień, przestałam wierzyć, że się pojawi, tak że kiedy wychodzę z toalety w gumowych rękawicach, z wiadrem w jednej ręce i mopem w drugiej, jestem kompletnie zaskoczona widokiem jego dużego torsu i blond czupryny. Wygląda niesamowicie, ja zaś wyglądam przerażająco. Mop i wiadro to nie najlepiej dobrane dodatki.

- O, cześć. - Uśmiecham się pomimo zażenowania. Po prostu cieszę się, że go widzę.

- Chyba przyszedłem nie w porę. Widzę, że jesteś zajęta - mówi.

Ton jego głosu zdaje się znacznie bardziej oficjalny niż w zeszły czwartek i zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wymyśliłam sobie tej poufałości, która jakby się między nami zrodziła. Świeże przyjaźnie mają to do siebie, że trzeba bardzo uważać, a te pomiędzy przedstawicielami płci przeciwnej przypominają pola minowe.

Nasz bar wygląda dziwnie w ciągu dnia, zresztą jak wszystkie inne knajpy, zanim wypełnią je ludzie i nadadzą im znaczenia. Pokryte skórą zebrzy poduchy i niskie sofy salonowe nagle wydają się tandetne, a całe miejsce przypomina trochę tani burdel. Ja natomiast czuję się jak burdelmama (ale taka, co sama u siebie sprząta), zaś Chuck przypomina przerażonego prawiczka. Patrzymy na siebie bez słowa przez kilka długich, ciągnących się w nieskończoność minut. Chuck ewidentnie nie wie, jak się zachować, ja tymczasem czuję się idiotycznie. I do tego te gumowe rękawice! Cząsteczki kurzu tańczą między nami, oświetlone smugami światła wpadającego poprzez wciąż zamknięte okien-

nice. Chuck odwraca na chwilę wzrok, dając mi możliwość sięgnięcia rękawic i odstawienia w kąt mopa oraz wiadra.

- Tak sobie pomyślałem, że to może być odpowiedni moment, żeby zastać cię samą i pogadać o twojej nowej ścieżce kariery - mówi.

Nagle całe zakłopotanie znika, gdyż uzmysławiam sobie, że on naprawdę szczerze wierzy, że potrafiłabym uczyć! Odczuwam natychmiastową, wielką ulgę. Pomysł zmiany zawodu tak bardzo zawładnął moją wyobraźnią, że chyba bym się załamała, gdyby Chuck nie mówił poważnie. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo mi na tym zależy.

- Świetny pomysł. Wcale nie jestem zajęta, właśnie skończyłam czyszczenie toalet. To te okropne dziury w podłodze, które wiecznie śmierdzą. Muszę powiedzieć Robertowi, że czas pomyśleć o zainstalowaniu sedesów. - Uzmysławiam sobie, że plotę głupoty, i gryzę się w język. - Przepraszam, niepotrzebnie ci o tym mówię.

- Co ty, to naprawdę fascynujące - żartuje Chuck. Gina podaje mu colę.

- To na koszt firmy — mówi z uśmiechem.

Jak to możliwe, że ma odwagę oferować komuś coś na koszt firmy? Ja nie mam śmiałości tego zrobić, mimo że jestem żoną menedżera i synową właścicielki (choć to ostatnie to niekoniecznie coś, czym chciałabym się chwalić). Ciekawe, czyjej się spodobał. Nie żeby to była moja sprawa. Ale.

Myję ręce i nalewam sobie lemoniady, po czym siadamy na wygodnej skórzanej kanapie w rogu. Próbuję się pozbyć skojarzenia z burdelmama i prawiczką.

- Zastanawiałam się już, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę - wypalam.

Wygląda na to, że po prostu nie potrafię filtrować swoich myśli w głowie; ilekroć jestem z Chuckiem, wydobywają się z moich ust w niekontrolowany sposób, zanim zdążę się nad nimi zastanowić. Muszę unikać tekstów bohaterki czarno-bia-

tego filmu. Chuck nie powinien wiedzieć, że jest moim jedynym przyjacielem i że jestem od niego zależna.

- No bo wiesz, jak się ostatnio widzieliśmy, trochę marudziłam o Rafaelli i innych rzeczach i później sobie pomyślałam, że musiało to być dla ciebie strasznie nudne.

- Co ty!

- Myślałam, że cię odstraszyłam tym gadaniem. - Nie, po prostu byłem zajęty.

- Aha. - Nagle odczuwam dotkliwy ból w dole brzucha. Czuję się porzucona. Co oczywiście jest idiotyczne - przecież nie jestem jego dziewczyną ani nic takiego. Może już sobie znalazł kogoś nowego? Pewnie tak, przecież jest niesamowicie przystojny. A jeśli rzeczywiście tak jest, to naci z naszej znajomości. Włoszki nigdy nie pozwalają swoim chłopakom na przyjaźń z nieznanymi im kobietami. I kiedy myślę o Robercie i Anie-Marii, muszę przyznać, że to całkiem rozsądna strategia.

- Byłem zajęty sprawdzaniem, czy jest jakaś szansa, że któraś ze szkół przyjmie kogoś bez doświadczenia i kwalifikacji.

- Aha. - A więc był zajęty mną, choć nie był ze mną! Po chwili jednak docierają do mnie jego słowa i czuję ogromne rozczarowanie, zdając sobie sprawę, że zmiana pracy nie jest zbyt prawdopodobna. Jakoś nie wydaje mi się, żeby miał dla mnie dobre wieści.

- I co? — pytam niepewnie.

- No cóż, okazuje się, że nie jest to takie proste. Wszystkie szkoły potwierdziły moje obawy: wygląda na to, że musisz najpierw zrobić kurs TEFL i zdobyć certyfikat.

- A tak, TEFL. Dawno temu rozważałam taką możliwość.

- No więc dlaczego go nie zrobiłaś?

- Nie wiem, jakoś tak wyszło.

Chuck wygląda na zdezorientowanego. Amerykanie są ambitni i zmotywowani. W porównaniu z nimi jestem po prostu leniwcem.

- Można go zrobić korespondencyjnie. - Podaje mi wydrukowane z Internetu informacje o tym, jak i gdzie zrobić kurs.

- Dzięki - mamroczę. Cholera, nie cierpię się uczyć. Poważnie, myślałam, że będę mogła zacząć nauczać natychmiast. I przede wszystkim zniknąć z baru i pola widzenia Rafaelli. Staram się ukryć rozczarowanie. Wiem, że Chuck zrobił, co mógł. Co tu dużo mówić, niewiele da się ze mną zrobić, a on przecież nie jest dobrą wróżką, która pomacha czarodziejską różdżką, żeby zmienić stare szmaty w ekskluzywną suknię.

- Ale mam też dobre wieści. Możliwe, że będziesz mogła zacząć uczyć od zaraz, ale tylko kilka godzin w tygodniu.

- Poważnie? - Mam straszną ochotę go uściskać. Na szczęście udaje mi się przed tym powstrzymać.

-Tak. To znaczy wiesz, to nie będzie tak do końca uczenie, tylko konwersacje. Myślę, że będziesz w tym dobra. — Chuck uśmiecha się do mnie zachęcająco. Chyba trochę się ze mną drażni, ale szczerze mówiąc, nie mam nic przeciwko. — Tak jak przypuszczałem, możesz pomóc uczniom, rozmawiając z nimi wyłącznie po angielsku. Moja szefowa była bardzo zadowolona z tego pomysłu i ucieszyła się, że cię znalazłem. Uważa, że takie zajęcia dla bardziej zaawansowanych uczniów dadzą naszej szkole przewagę nad innymi.

- Twoja szefowa? Będziemy razem pracować? -Tak.

Uśmiecham się szeroko; nie potrafiąc ukryć swojej radości.

-I ktoś będzie mi płacił za rozmawianie z ludźmi? - pytam z niedowierzaniem. Brzmi bosko, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę to, że Rafaella nie płaci mi nawet za ciężką i brudną, pracę fizyczną.

- W sumie tak. No i oczywiście za słuchanie.

- Świetnie.

- No nie? Jak myślisz, co na to powie Roberto? ~ Nie mam pojęcia — przyznaję.

Czuję się trochę zawstydzona, że nie mogę zapewnić tego przemiłego przystojniaka, że mój mąż bez wątpienia ucieszy się z mojej niezależności i będzie mi życzył powodzenia. Ale naprawdę nie mam pojęcia, jak zareaguje Roberto. Parę miesięcy temu, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Londynie, byłabym na sto procent pewna, że ten pomysł przypadnie mu do gustu i będzie zachwycony, że wreszcie zaczęłam się interesować czymś poza robieniem dzieci. Na pewno byłby przeschęśliwy, słysząc, że chcę zdobyć kwalifikacje do uczenia angielskiego; zawsze powtarzał, że marnuję swój czas i intelekt, stojąc za barem i obsługując ludzi. Ale teraz, kiedy ma własną knajpę, jego nastawienie uległo radykalnej zmianie. Nie chce już, żebym się uniezależniła. Muszę przyznać, że to dziwna sytuacja, kiedy nie możesz przewidzieć reakcji najbliższej ci osoby.

Chuck wyczuwa, że mogę mieć z tym jakiś problem, ale widocznie stwierdza (bardzo zresztą rozsądnie i taktownie), że to moja sprawa, i nie zadaje niepotrzebnych pytań; opowiada natomiast więcej o swoim planie polepszenia mojego życia we Włoszech.

-Jeśli się to wszystko dobrze zorganizuje, powinniśmy dać radę upchnąć twoje lekcje w jeden poranek. W ten sposób będę mógł cię podrzucić do szkoły i potem odwieźć, oczywiście jeśli coś takiego by ci odpowiadało.

- Jasne! To strasznie miło z twojej strony. Wow! Chuck uśmiecha się, wyraźnie zadowolony z mojego entuzjazmu.

- Szefowa chciałaby cię jak najszybciej poznać. Im szybciej mogłabyś zacząć, tym lepiej. Niedługo są egzaminy i wszystkie szkoły skupiają się na uzyskaniu jak najlepszych wyników.

- Świetnie. Kiedy mogłabym się z nią spotkać?

—W sumie myślałem, że moglibyśmy tam dzisiaj pojechać. To znaczy teraz. Mam trzy lekcje, tak że musiałabyś później pochodzić sobie po Bassano del Grappa, ale to całkiem ładne miasto. A potem mógłbym cię odwieźć, gdzieś tak po po-

łudniu. - Spogląda na postawionego w kącie mopa i wiadro. - Ale chyba jesteś zajęta.

- Nie, możemy pojechać teraz. Gina da sobie sama radę. Tylko muszę się przebrać. Mógłbyś chwilę poczekać?

- Jasne, ale co z Robertem?

-A co ma być? - pytam, pędząc w kierunku drzwi. - Daj mi dwadzieścia minut.

- Zadurzyłam się po uszy i kompletnie nie potrafię sobie z tym poradzić - mówię do telefonu.

- Że co? O czym ty mówisz? - pyta Alison.

- Chuck. Ten Amerykanin. Chyba tracę dla niego głowę.

- Ten stary nauczyciel?

- Nigdy nie mówiłam, że jest stary. To ty tak powiedziałaś.

- No to jaki jest?

- Ma trzydzieści cztery lata i jest boski. Miły, inteligentny, seksowny.

- Świetnie! - odpowiada Alison. Albo nie chce, albo nie potrafi pojąć powagi sytuacji.

- No właśnie nie bardzo. Mówię poważnie, chyba się w nim zakochuję

- szepczę do telefonu, chociaż stoję na dziedzińcu kościoła, kawał drogi od domu Rafaelli i baru.

- Niemożliwe. Przecież on jest Amerykaninem, a ty lubisz tylko Włochów - zauważa Alison.

Zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście tak jest, ale jakoś głupio to usłyszeć od kogoś.

Opowiadam jej o naszym czwartkowym spotkaniu i o tym, jak świetnie się bawiliśmy. Mówię, że to był przyjemny wieczór, pełen szczerości, wolny od stresów i napięć, zupełne przeciwieństwo wszystkich innych wieczorów, które spędziłam tu od momentu przeprowadzki. Wspominam też, że Chuck pomógł mi znaleźć pracę i podsunął pomysł zrobienia kursu TEFL. Potem dokładnie opisuję dzisiejszą wycieczkę do Bassano del Grappa i rozmowę z szefową. Chuck bardzo mnie wspierał,

podał mi wiele informacji o szkole, żebym mogła zrobić dobre wrażenie.

- I co, dostałaś tę pracę? — przerywa Alison.

- Tak! - piszczę podekscytowana. - Wprawdzie to tylko osiem godzin w tygodniu, zaledwie dwa poranki, ale zawsze coś. Początkowo miałam dostać tylko cztery godziny, ale tak dobrze się dogadywałyśmy, że postanowiła dać mi więcej. Szkoła jest w przepięknym budynku, takim z marmurowymi podłogami i wysokimi sufitami. Pokazali mi moją klasę, jest śliczna i ma balkon. Zaczynam w poniedziałek!

- Strasznie się cieszę. A jak zareagowała na te wieści Baba Jaga i Roberto?

- Jeszcze nie wiedzą. ;, -Jak to?

- No bo to się wszystko tak szybko potoczyło. Chuck wpadł na ten pomysł w czwartek.

- Więc czemu od razu nie porozmawiałaś z Robertem?

- No wiesz, nie powiedziałam mu, że wychodzę z Chuckiem, więc trochę trudno mi było zacząć ten temat. — A teraz to już wydaje mi się kompletnie niemożliwe.

- O kurczę, ty wcale nie żartujesz z tym zadurzeniem! - Alison nie odzywa się przez kilka sekund, pozwalam jej się martwić w moim imieniu. Ja się martwiłam sama cały dzień. - Wiesz co, wydaje mi się, że tu wcale nie chodzi konkretnie o Chucka.

- Tak myślisz?

- Chodzi raczej o to, że jest pierwszą osobą, z którą w ciągu ostatnich dwóch miesięcy przeprowadziłaś jakąś taką głębszą rozmowę. To uczucie to tylko przejaw twojej samotności. Moim zdaniem mogłabyś się obecnie zakochać w gargulcu, gdyby tylko mówił po angielsku.

- Może masz rację. - Bardzo chcę w to wierzyć. Problem w tym, że Chuck wcale nie przypomina gargulca.

Nie mam odwagi przyznać się Alison, że w drodze powrotnej z Bassano del Grappa wypytywałam go o poprzednie związki.

Może nie uwierzyć, że chodziło mi wyłącznie o udowodnienie, że coś z nim jest nie tak. Byłam przekonana, że usłyszę o jego licznych podbojach albo że opowie mi łzawą historyjkę, jak to wiele lat temu stracił serce dla jakiejś kobiety i jeszcze się po tym nie pozbierał. Szukałam czegoś, co pozwoli mi myśleć, że jest nieudacznikiem.

- Dwie albo trzy poważniejsze dziewczyny Z jedną z nich mieszkałem przez dwa lata - powiedział, wruszając ramionami.

Kurczę, nawet niczego nie próbuje ukryć. Jestem sfrustrowana. Jego odpowiedź zabrzmiała tak normalnie, była idealnie wyważona. Nie wyczułam w niej żadnych psychopatycznych tendencji, problemów z zaangażowaniem ani nawet tej staromodnej niechęci do mówienia o sprawach sercowych.

- Zdradziłeś kiedyś kogoś? - drażyłam dalej.

- Nie - odpowiedział stanowczo.

- Nigdy?

- Nigdy. - W jego głosie wyczułam lekką urazę. — A ty?

- Nie. Wierzę, że wierność jest jedną z najważniejszych rzeczy w związku. No bo jeśli nie to, to co?

- Właśnie. - Zdawało mi się, że jest trochę poirytowany. Ale to mogło być tylko moje odczucie, mógł po prostu czuć się lekko skołowany moimi dziwnymi pytaniami.

- Ale założę się, że po rozstaniu od razu zaczynałeś kolejny związek. Nie chce się samemu sobie gotować obiadków, no nie?

- Nie, szczerze wierzę, że po każdym związku potrzeba trochę czasu, żeby przemyśleć pewne sprawy i wyciągnąć wnioski. Albo przynajmniej żeby się trochę nad sobą poużalać czy coś w tym stylu. A ty?

- Brzmi bardzo rozsądnie, ale jeśli mam być szczerą, to nie kończę związków, nie mając następnego faceta na oku.

Kiedy słyszę, co powiedziałam, mam ochotę odgryźć sobie język. Co mnie opętało? Próbowałam wyciągnąć informacje o jego romansach, żeby udowodnić, że to z nim jest coś nie tak, a w rezultacie sama wyszłam na frywolną lafiryndę — mó-

więc mu prawdę o swoim życiu uczuciowym. Kiedy walczyłam z pojawiającym się na mojej twarzy rumieńcem, Chuck spoglądał na mnie podejrzliwie.

— Przeprowadzki nie są łatwe — mówi Alison, przywołując mnie do rzeczywistości. - Zawsze trzeba trochę czasu, żeby się przystosować. No i każdy czasem przeżywa zauroczenia. — Ale nie ja i obydwie o tym wiemy. Odkąd poznałam Roberta, nawet nie spojrzałam na innego mężczyznę. - Poza tym i tak przecież nie zamierzasz pozwolić, by coś się między wami wydarzyło.

Cieszę się, że to nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Alison zna mnie na tyle dobrze, by doskonale wiedzieć, że *jestem* monogamistką i że skok w bok nigdy nawet nie przyszedłby mi do głowy.

I nieważne, że cały czas myślę o Chucku, że uwielbiam jego akcent i oczy i sądzę, że absolutnie wszystko, co mówi, jest właściwe, głębokie i miłe; co z tego, przecież to wcale nie znaczy, że nie możemy być dobrymi przyjaciółmi, no nie? Oczywiście, że możemy. Musimy. Ale czy przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest możliwa? Nagle staję przed pytaniem, na które od wieków poszukuje się odpowiedzi i które dało podstawy do dyskusji przy niejednej kolacji i w niejednym łóżku.

— Ale wiesz co, najbardziej mnie martwi, że powodem twojego zauroczenia tym całym Chuckiem jest samotność. A gdzie jest w tym wszystkim Roberto? - pyta Alison.

— W barze. Albo u dostawcy. Albo w supermarkecie. Albo gdzieś indziej, ale nie ze mną - przyznaję. - Może jest z Aną--Marią. Oczywiście staram się nie dać ponieść zazdrości i jakimś bezpodstawnym podejrzeniom, które nie mają żadnego uzasadnienia w faktach, ale...

— No właśnie, i na tym polega cały problem. Po prostu musicie spędzić ze sobą trochę czasu. Tylko we dwoje — dodaje znacząco. — Najwyższy czas powiedzieć Robertowi, że czujesz się urażona, że nigdy nie wspomniało Anie-Marii, i że martwisz się, że wszystkie twoje oszczędności są przeznaczane na remont baru i...

Przerywam jej. Czuję się trochę jak Pinokio pouczany przez Gadającego Świerszcza.

- Rozumiem, o co chodzi.

- Może moglibyście pojechać gdzieś na weekend?

- Co ty, on nawet nie będzie chciał o tym słyszeć. Całe jego życie kręci się teraz wokół rodzinnego interesu; bar jest dla niego niczym powietrze. Nie weźmie wolnego.

- Nie martw się, wszystko będzie OK. Sporo już razem przeszliście i udało wam się pokonać znacznie większe problemy I to wszystko tylko was wzmocniło.

- No tak, masz rację - mamroczę.

Choć w sumie wcale jej nie ma. To prawda, przeszliśmy wiele. Nasza bezdzietność była okropnym wyzwaniem, ale czy mogę z ręką na sercu powiedzieć, że problemy nas wzmocniły? Nie wydaje mi się. Myślę raczej, że odcisnęły na naszym związku swoje piętno. Znam pary, które wiele wycierpiały i są przez to silniejsze. Naprawdę. Podziwiam je i zazdroszczę im, ale nas to nie dotyczy. Nasz związek doznał uszczerbku, jest niczym otwarta rana. Na pewno bylibyśmy mocniejsi, gdybyśmy mieli gromadkę dzieci deptających nam po piętach. Alison chce tylko pocieszyć nas obie i dlatego karmi mnie tego typu frazesami.

- Spójrz na pozytywne aspekty tej sytuacji: możecie być teraz typową parą i kłócić się o Anę-Marię i Chucka. Dawne miłości i obecne zauroczenia to zupełnie normalne powody do sprzeczek w przeciwieństwie do... - przerywa.

- W przeciwieństwie do braku dziecka - przychodzę z pomocą.

- Przepraszam — mówi cicho.

- Nie no, masz rację - przyznaję. - Kto by pomyślał, że zauroczenie kimś innym niż twój małżonek może się okazać błogosławieństwem — żartuję.

- No, takie nastawienie dużo bardziej mi się podoba. Trzeba się śmiać, no nie?

- Tak, trzeba się śmiać, żeby nie płakać.

Wiem, że nie mam żadnych szans przekonać mojego męża, by wziął wolne i zabrał mnie na kolację. Strasznie bym chciała gdzieś dzisiaj wyjść, bo szczerze wierzę, że rustykalne wnętrza jakiejś trattorii zwiększyłyby szanse na przychylną reakcję Roberta na moją nową, zbliżającą się wielkimi krokami karierę. Poza tym od momentu przeprowadzki do Włoch ani razu nie byliśmy sami w restauracji. W Londynie prowadziliśmy bardzo bogate życie towarzyskie i często sprawdzaliśmy nowe knajpki. Ale tutaj wychodzimy raczej rzadko, a jeśli już, to za każdym razem dołącza do nas Rafaella. Alison ma rację - naprawdę musimy spędzić trochę czasu sami. Jedynym powodem moich nieprzyzwoitych myśli o Chucku jest tęsknota za Robertem. Jestem samotna.

Zastanawiam się, czy uda mi się go namówić, żebyśmy pojechali coś pozwiedzać w niedzielę. Może gdybyśmy mieli cały dzień tylko dla siebie, udałoby się nam wreszcie porozmawiać o paru ważnych sprawach, których jakoś nie potrafimy poruszyć. Chuck zapytał mnie, jakie mamy plany mieszkaniowe, a ja byłam zbyt zażenowana, żeby przyznać, że jeszcze nie przedyskutowaliśmy tej kwestii. Zaczynam myśleć, że mojemu mężowi pasowałoby mieszkanie z Rafaellą do końca życia. Wiem, że takie rzeczy często się zdarzają we Włoszech, ale ja sobie tego nie wyobrażam. Muszę mu też oczywiście powiedzieć o mojej nowej pracy; no i chciałabym ponownie podjąć temat moich zarobków w barze. Kurs TEFL będzie trochę kosztował, a poza tym do moich wydatków doszły koszty lekcji z signorem Ca-

storo, tak że jeśli nie zacznę dostawać jakichś pieniędzy, moje oszczędności wyczerpią się w mgnieniu oka. Jestem pewna, że możemy to wszystko załatwić, jeśli tylko spędzimy razem trochę czasu.

Traf chciał, że kiedy przychodzę do pubu, jest wypełniony po brzegi. Chyba nigdy jeszcze nie widziałam w nim tylu ludzi. Sprzątając stoliki, krzyczę do Roberta stojącego za barem.

- Myślisz, że Laurana albo któraś z dziewczyn dałaby radę otworzyć w niedzielę sama? Moglibyśmy spędzić razem dzień i gdzieś pojechać. Na przykład do Werony. Co ty na to? - pytam. Roberto wzrusza ramionami i spogląda na mnie niepewnie. — Albo gdzieś bliżej. Otwieramy dopiero o szóstej wieczorem, do tej pory spokojnie wrócimy.

- Ale zazwyczaj w niedzielę robię wszystkie te rzeczy, na które w tygodniu nie ma czasu.

- Na przykład? Wygląda na poirytowanego.

- Remonty, księgi rachunkowe, przyjmowanie towaru.

- Boże, ile my mamy tego towaru? Wiecznie przyjmujesz towar.

Nie mogę dłużej stać obok niego i narzekać, bo ktoś chce złożyć zamówienie. Kiedy wracam, Roberto rozmawia przez telefon. Zanim możemy wrócić do tematu, mija kolejne piętnaście minut.

- Naprawdę muszę z tobą pogadać — nalegam. — Mam ci coś do powiedzenia.

- Chodzi przypadkiem o pracę w szkole językowej? - pyta.

Jego słowa kompletnie mnie zaskakują i z wrażenia aż robi mi się gorąco.

- Tak - odpowiadam. Nie chcę sprawiać wrażenia potulnego baranka, który ma wyrzuty sumienia. Przecież ubieganie się o pracę to nic złego. Ale Roberto patrzy na mnie w taki sposób, jakbym zrobiła coś niewłaściwego.

- Wszystko już wiem. - Wyciera ręce w cienki bawełniany ręcznik i odwraca się w moją stronę. Wreszcie zapewniłam sobie jego pełną uwagę, jest to dla mnie na tyle nowe doświadczenie, że nieruchomieję. Mam wrażenie, że topię się pod jego przenikliwym wzrokiem. ' - Skąd?

- Mamma przyszła dziś rano do baru i zastała Ginę samą.

- Mogę to wytłumaczyć.

- Nic się nie stało, Gina to kompetentna osoba. -Właśnie. - Mówiłam to już przy wielu okazjach, a Roberto właśnie się ze mną zgodził, dlaczego więc czuję niepokój?

- Ale mamma martwiła się o ciebie. - Z pewnością. — Myślała, że się rozchorowałam, ale Gina zapewniła ją, że wszystko z tobą w porządku i że pojechałam do szkoły w Bassano del Grappa z tym Amerykaninem.

Czerwienię się, co jest irracjonalne i wcale mi nie pomaga. Wyobrażam sobie tę sytuację. Rafaella przesłuchuje biedną Ginę, wyrywa jej paznokcie, żeby wyciągnąć z niej informacje. Rozglądam się za nią wokół, żeby rzucić jej pełne współczucia spojrzenie, ale wygląda na zajęętą i chyba trochę celowo unika mojego wzroku. To nie jej wina, nie ma się o co martwić, przecież to nie tak, że przez nią znalazłam się w *tarapatach*. No bo niby czemu miałabym w nich być, przecież nie zrobiłam nic złego.

- Mamma zadzwoniła do szkoły, żeby się dowiedzieć, co jest grane.

- Ze co zrobiła? - Czuję, jak ogarnia mnie wściekłość. Nie wierzę własnym uszom. Przecież nie jestem dzieckiem, które trzeba kontrolować! Jak ona śmie w taki sposób wtrącać się w moje życie? - Powiedz, że żartujesz. - Patrzę na niego wyczekująco, ale już wiem, że to wcale nie dowcip.

- Jej koleżanka tam pracuje, w recepcji. Chciała się tylko upewnić, że nic ci nie jest.

- Gówno prawda - wybucham. - Oczywiście, że nic mi nie było. Po prostu jak zawsze chciała trochę namieszać i po-

wtrącać się w nie swoje sprawy. Co ona sobie myślała? Że zostałam porwana?

- Nie wiedziała, co myśleć. - Roberto wzrusza ramionami i bierze do ręki miarki do alkoholu.

Pomarańczowe i przezroczyste płyny mienią się w butelkach. Sama chętnie bym wypila podwójną szklaneczkę czegoś mocniejszego. Spokojnie nalewa kilka drinków i ustawia je na tacy, po czym prosi Ginę, by zniosła je do stolika w rogu. Potem z powrotem spogląda na mnie. Ja zaś tymczasem ledwie łapię oddech, próbując kontrolować napad gniewu, który wdziera się do każdego zakamarka mojego ciała.

- Myślała, że ja i Chuck... - szukam stosownego słowa

— .. że między nami jest coś niewłaściwego i chciała to sprawdzić, dzwoniąc do niego do pracy? - Roberto wpatruje się we mnie. Czekaj, żebym potwierdziła swoją niewinność? — No więc między nami nic nie ma. — Kiedy wypowiadałam te słowa, moja złość powoli opada, a w jej miejsce pojawiają się wyrzuty sumienia. Próbuję spojrzeć na całą sprawę oczami mojej teściowej i troszeczkę ją rozumiem. Sama postawiłam siebie w niekorzystnym świetle. Biorę głęboki oddech i staram się dostrzec humor sytuacji. - Ale gdyby coś było, to biedny Chuck. Wyobraź sobie jego szefową odbierającą telefon od Rafaelli, która chce sprawdzić, czy jej syn jest rogaczem.

Roberto nie korzysta z możliwości obrócenia sytuacji w żart.

- Mamma dobrze zna rękę sekretarkę - mówi natomiast

- tak że wiemy, że Chuck Andrews zabrał cię tylko na rozmowę o pracę.

- Zgadza się. - Nie do końca podobają mi się te implikacje, ale nie potrafię się bronić.

- No i słyszałem, że należą ci się gratulacje.

- Tak. - Uśmiecham się, mając nadzieję, że jego słowa są szczerze. Dlaczego nie potrafię przewidzieć jego reakcji? - To tylko dwa poranki w tygodniu.

_ No i masz lekcje z signorem Castoro. -Tak.

- I z tego co wiem, chcą, żebyś' zdobyła kwalifikacje do uczenia angielskiego.

-Tak, ale to nie potrwa długo. To nie są żadne studia. Tylko kurs, po którym dostanę certyfikat.

- Masz w takim razie zamiar w ogóle pracować w barze?

- Wieczorami. Wtedy jest najwięcej ludzi.

Nagle zdaję sobie sprawę z obecności Rafaelli. Stoi tuż obok mnie niczym brutalny, wszechmocny kat, czekający tylko na znak, by spuścić topór na moją szyję. Jej oczy skaczą to na mnie, to na Roberta. Po chwili wyrzuca z siebie przepelniony złością i żalem potok słów. Wcale nie potrzebuję lekcji z signorem Castoro, żeby zrozumieć, o co mniej więcej chodzi. Roberto przez cały czas trwania jej wybuchu wpatruje się w czubki swoich butów, powtarzając: „*Si, mamma*” znacznie częściej, niż jakikolwiek szanujący się mężczyzna powinien powiedzieć do matki w całym swoim życiu. Czekam, aż burza się przetoczy, żeby Roberto mógł przetłumaczyć jej słowa.

- Mamma mówi, że w ciągu lunchu i tak więcej z ciebie szkody niż pożytku, bo ciągle mieszasz zamówienia. - Tak bardzo chciałabym móc temu zaprzeczyć. — Nie ma nic przeciwko temu, żebyś pracowała w szkole, a w barze pomagała wieczorami. Poza tym w wakacje będziesz miała wolne, a wtedy właśnie mamy najwięcej klientów. Jej zdaniem przydasz się, jak przyjadą turyści. No więc wygląda na to, że możesz przyjąć tę posadę. Tak przynajmniej uważa mamma. - Roberto wzrusza ramionami i uśmiecha się do mnie słabo, jakby był królem, który właśnie mnie ułaskawił, choć oboje wiemy, że zachował się cholernie grubiańsko i nielojalnie.

- Cóż za ulga - odpowiadam sarkastycznie. - Niesamowici się cieszą, że mam błogosławieństwo twojej mamy. - Jeśli Roberto zdołał dostrzec irytację w moim głosie, postanowił ją zignorować. Chwytam za tace i ruszamy w przeciwnych kierunkach, by pozbierać puste szklanki.

O trzeciej nad ranem wciąż nie mogę zmrużyć oka — z jednej strony jestem podekscytowana myślą, że wreszcie rozpocznę pracę poza barem i z dala od Rafaelli, z drugiej zaś czuję się urażona i zła. Te zupełnie sprzeczne emocje miotają mną, nie pozwalając zasnąć. Leżę w łóżku, wpatrując się w sufit. Choć mieszkamy w centrum miasta, za sprawą ciężkich, szczelnie zamkniętych okiennic w pokoju panuje ciemność i cisza. Nie przedzierają się przez nie wynalazki naszych czasów, takie jak światło latami czy reflektory samochodów, przez co czuję się trochę, jakbym przeniosła się w przeszłość o jakieś sto albo nawet i tysiąc lat. Jedyne dźwięki, które mogłyby ukołysać mnie do snu, to sporadyczne miauczenie kota albo oddech mojego męża. Choć nie mogę powiedzieć, że jego regularny oddech przynosi mi jakieś ukojenie. Jego głęboki sen, oznaka spokoju i zadowolenia, strasznie mnie irytuje i wydaje mi się nawet, że jest odpowiedzialny za rwący ból, który odczuwam w dolnej części pleców. Zawsze bolą mnie plecy, kiedy jestem zestresowana. Jak on śmie spać tak mocno i spokojnie, kiedy ja jestem tak zdenerwowana i samotna?

Przychodzi mi do głowy, że właściwie brak sprzeciwu Rafaelli przyniósł mi ogromną ulgę, choć jednocześnie jestem wściekła na siebie, że w ogóle obchodzi mnie jej reakcja. Gdzie moja niezależność?

Kiedy byłam małą dziewczynką i nie potrafiłam spać, bo miałam koszmary o tym, jak gubię się w labiryncie w Harripton Court albo jestem uprowadzana przez porywacza dzieci z filmu *Nasz cudowny samochodzik*, mama kładła się w moim maleńkim łóżku i otulała mnie swoim ciepłem. Mówiła, żebym pomyślała o czymś miłym i starała się odepchnąć nieprzyjemne albo straszne obrazy. Prosta, niezwykle skuteczna metoda, która zawsze działała - zasypiałam, myśląc o czekoladkach Cadbury i różowych minispódniczkach. Chciałabym teraz być w ramionach mamy. Żałosne, prawda? Mam trzydzieści dwa lata, leżę w łóżku obok mojego męża, z którym jestem od sześciu lat,

i marzę o tym, by ktoś tulił mnie, jakbym miała lat pięć. Próbuję *myśleć* o przyjemnych rzeczach. Jeśli pójdę za radą mamy, to będzie prawie tak, jakby była tu ze mną.

Przed moimi oczami pojawia się obraz pięknej szkoły w Bassano del Grappa. Ten czarujący budynek zdawał się pełen spokoju, chociaż jego korytarze wypełniali gadatliwi uczniowie. Zachwyciły mnie wysokie sufity, ściany pomalowane na kolor ciepłej terakoty i słoneczne balkony. Próbuję wyobrazić sobie, jak prowadzę konwersację z bardziej zaawansowanymi uczniami, i nagle ogarnia mnie panika. Czuję się tak, jakby wokół mojej szyi zacisnął dłonie Darth Vader. No bo co, jeśli nie przyjdzie mi do głowy nic, o czym mogłabym z nimi rozmawiać? Co, jeśli okaże się, że jestem beznadziejna i wyląduję z powrotem w barze z Rafaellą? A jeśli nie dostanę się na kurs TEFL albo, co gorsza, przyjmą mnie, ale obleję? Nigdy nie miałam żadnej ważnej pracy. Od czasów skończenia szkoły nie uczyłam się ani nie pisałam żadnych testów. Może po prostu nie nadaję się na nauczycielkę? No bo niby czemu miałabym myśleć, że sobie poradzę? Z tym albo z czymkolwiek innym.

Siadam na łóżku i sięgam po szklankę wody, która stoi przy moim łóżku. Piję wolno, małymi łydkami, starając się uspokoić oddech. Może moje przyjemne myśli były po prostu zbyt ambitne. Budynek jest elegancki i dostojny, ale możliwość zrobienia z siebie idiotki nie jest już tak pokrzepiająca. Powinnam znaleźć coś, co nie niesie ze sobą żadnych złych skojarzeń ani zagrożenia, że mój umysł powędruje w niewłaściwym kierunku.

Roberto?

Nie. Nie ma szans. Nie dam rady wykrzesać z siebie miłych myśli dotyczących mojego męża, nie dziś. Po naszej wymianie zdań w barze przez cały wieczór się ignorowaliśmy. Przyszłam do domu pierwsza, a kiedy Roberto wrócił około godziny później, udawałam, że śpię. Ciężko i znacząco wzdychał, ale ja uparcie trzymałam oczy zamknięte. W tej chwili nie mam mu nic do powiedzenia.

Chuck?

Jego uśmiechnięta twarz natychmiast pojawia się przed moim oczami. Już sam jej widok zdaje się rozmasowywać napięcie w dole kręgosłupa. Odpycham od siebie ten obraz, choć wymaga to niemalże nadludzkiego wysiłku. Sekundę później przypominam sobie zabawne rzeczy, które powiedział, i śmieję się do siebie. Nie! Tak nie można. Chuck nie może być przyjemną rzeczą, o której myślę, by zasnąć. To niestosowne. Jestem mężatką. Poza tym niedługo będziemy razem pracować. Jest całkowicie zakazanym owocem. Ale po chwili widzę już jego rzęsy; choć mają jasny kolor, są niesamowicie długie. Kiedy mruga, czuję jakby lekki podmuch. Poważnie - przechodzi mnie dreszcz, gdy powietrze porusza się lekko między nami, w jakiś sposób łącząc nas ze sobą. Teraz przed moimi oczami staje jego obszerna klatka piersiowa i przedramiona. Zastanawiam się, jak wygląda bez koszuli. Myślę, że jest świetnie zbudowany i ma wyraźnie zarysowane mięśnie. Ciekawe, jak pachnie. To znaczy znam jego wodę kolońską i na pewno byłabym w stanie rozpoznać ten świeży korzenny zapach, ale ciekawe, jak ON pachnie. Wyobrażam sobie, jak przytulam się do niego, a on obejmuje mnie swoim mocnym ramieniem i zanim się orientuję, moja twarz znajduje się tuż przy jego kroczu.

Nie! To jest w stu procentach niedopuszczalne! Jestem zszokowana i zawiedziona, że pozwoliłam sobie na coś takiego. Ciężko oddycham, ale powietrze w naszym pokoju jest zatęchłe. Łzy zaczynają ściekać po moich policzkach. Jestem zmęczona. Płaczę z wyczerpania. Zaciskam oczy, ale Chuck zdaje się przyklejony do spodu moich powiek. Stoi tuż przede mną w całej swojej okazałości; wysoki, silny i miły. Ma przymknięte oczy, tak że jego rzęsy opadają delikatnie na policzki. Jestem zbyt wykończona, by z tym walczyć. Też zamykam oczy. I o dziwo, śpię spokojnie.

20 marca

-Przepraszam.

Wciąż nie do końca przebudzona, nie jestem pewna, czy te słowa właśnie mi się przyśniły czy też sama je wypowiedziałam. Mrużę oczy oślepiona jasnym porannym światłem. Roberto jest już na nogach i otworzył okiennice. Stoi przede mną, trzymając tacę śniadaniową obładowaną różnymi przysmakami. Powtarza swoje słowa.

- Przepraszam, Elizabeth. Ostatnio zachowywałem się jak wykończony kretyn.

Podnoszę się i siadam na łóżku, ale nic nie mówię. Może tylko to sobie wyobrażam — w końcu cała moja noc była pełna bardzo rzeczywistych snów. Tylko że żaden z nich nie dotyczył Roberta. Moje milczenie jest dla niego znakiem, że powinien bardziej się kajać.

- Myślałem tylko o barze. Poświęciłem mu całą swoją uwagę, a ty musiałaś czuć się bardzo samotna. Zdaję sobie z tego sprawę. Dziś nie idę do pracy. Masz rację, powinniśmy spędzić trochę czasu razem. Może gdzieś pojedziemy?

- W czwartek? Przecież to dzień dostaw.

- Tak, w czwartek.

- Do Werony?

- Świetny pomysł. Miasto kochanków. Właśnie tam powinniśmy dziś być.

Kładzie przede mną tacę, po czym podnosi kołdrę i wskakuje z powrotem do łóżka. Smaruje tosty masłem. Zauważam, że są z pszennego pieczywa. Moje ulubione. Na tacy nie ma

żadnego mięsa, dzięki Bogu. Podaje mi jedną kromkę i zaczyna smarować następną. Przyniósł także talerz świeżych owoców oraz herbatę. Bardzo lubię mocną włoską kawę, ale muszę przyznać, że trochę się stęskniłam za poranną filiżanką klasycznego brytyjskiego napoju.

Powoli delektuję się smakiem delikatnie opieczzonego chleba. Moje milczenie sprawia, że Roberto jest pełen troski; sądzi, że mnie zranił. Czasem myślę, że Włosi wolą marudne kobiety, a nie te bezproblemowe, tak jak niektóre kobiety mają słabość do drani. Roberto ostrożnie nalewa gorący napar do filiżanki, po czym wkłada do moich ust winogrona, jakbym była jakąś leniwą cesarzową. Jem i piję to, co mi podaje, ale jakoś nie mogę wydusić z siebie słowa.

I wcale nie dąsam się i nie robię tego, by poświęcił mi jeszcze więcej uwagi, wręcz odwrotnie, dręczą mnie olbrzymie wyrzuty sumienia. W świetle przeprosin Roberta i jego troskliwości moje pikantne sny o Chucku są niczym zdrada. Roberto wpatruje się we mnie swoimi czekoladowymi oczami i boję się, że mnie przejrzy. A jeśli potrafi odczytać każdą świadomą i podświadomą myśl, jaka kiedykolwiek pojawiła się w mojej głowie? To byłoby okropne. Przestaje mnie karmić i delikatnie odgarnia kosmyk włosów z mojej twarzy, zakładając go za ucho. A kiedy szepczę, że moje palce są lepkie od masła, oblizuje każdy po kolei, jak gdyby dawało mu to życiodajną siłę. Uwaga, jaką mi poświęca, jest rozbijająca. Dopiero gdy zjadam trzy tosty oraz większość owoców i wypijam dwie filiżanki herbaty, odkłada tacę. Elegancko unosi ją, używając do tego tylko jednej ręki, po czym odstawia resztki śniadania na podłogę, tuż obok łóżka. Kolejnym szybkim, sprawnym ruchem kładzie się na mnie i zaczyna całować moją szyję i uszy. Uwielbiam to uczucie, gdy leży na mnie i zaciera się granica pomiędzy naszymi ciałami. Tęskniłam za jego ciepłem. Kochamy się cicho i powoli, nie zwracając uwagi na to, czy jest to najbardziej płodny okres w moim cyklu. Wszystko jest takie znajome, każdy gest jest pełen czu-

łości. Doskonale znamy swoje ciała i wiemy, jak sprawić sobie przyjemność bez zbędnego wysiłku. Zatapiam się w spokoju, który mnie ogarnął, z ulgą przyjmując tę nagłą ucieczkę od niepokoju i problemów, które nawarstwiały się przez ostatnie dni. Ponieważ nasz miłosny akt nie wymaga żadnego wysiłku, zastanawiam się, czemu nie robimy tego częściej.

Moje nadzieje w kwestii piękna Werony okazały się całkowicie uzasadnione. Pełno w niej ruin z czasów rzymskich, różowoczerwonych średniowiecznych budynków i romantycznych marzeń o wielkiej miłości. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, prawie podskakuję z radości. Przez całą drogę rozmawialiśmy z Robertem, śmiał się z opowiadanych przeze mnie historii o naszych klientach i słuchał z zainteresowaniem, gdy opowiadałam mu o swojej nowej pracy. Wygląda na to, że mnie wspiera i szczerze się interesuje moim zajęciem. Zreferował mi pokrótce, co planuje zmienić w barze. Chciałby oczyścić trochę teren wokół (obecnie służy on jako wysypisko dla naszych starych mebli, zużytych opon i tego typu śmieci). Ma zamiar stworzyć tam ogródek letni, który w ciągu dnia przyciągnąłby rodziny z dziećmi, w nocy zamieniał się w miejsce imprez. Omówiliśmy też zmiany w menu, które warto by było wprowadzić na okres letni; Roberto zgodził się też ze mną, że stare, brudne toalety musimy koniecznie zastąpić nowoczesnymi stylowymi ubikacjami. Nie zapytałam go jednak, gdzie spędza swoje *sjesty* ani dlaczego rozstał się Aną-Marią

I jak się potem pogodzili. Nie chciałam zepsuć nastroju.

Roberto świetnie zna Weronę i szybko znajduje miejsce parkingowe w miarę blisko głównej piazza. Piazza Bra to duży plac, którego centralnym punktem jest rzymski amfiteatr zwany Ateną. Pełno na niej turystów, którzy rozmawiają, robią zdjęcia i potykają się o gołębie.

- Strasznie tu dużo ludzi - zauważam, kiedy odskakuję, by uniknąć zderzenia z grupą francuskich dzieci w wieku szkol-

nym sprawiających wrażenie, jakby chciały mnie staranować. Po paru miesiącach spędzonych w sennym Veganze zapomniałam już, co to życie w mieście.

-To nic, poczekaj, aż zobaczysz to miejsce w lipcu - odpowiada Roberto. Nagle czuję olbrzymią radość, że w lipcu będę we Włoszech; co za ulga. Ostatnio nie chciałam nawet dopuścić do siebie myśli, że będę musiała spędzić tu kolejny miesiąc, a co dopiero całe życie. Ale teraz, stojąc na tętniącej życiem piazzie, otoczona hałasem, chaosem i zabawą, trzymając mojego męża za rękę, czuję się bezpieczna. Właśnie tak wyobrażałam sobie nasze życie w tym kraju. Byłam raka głupia, myśląc ciągle o Chucku. Przesadziłam. Będziemy kumplami.

- Wejdziemy do Ateny? - proponuję.

Roberto zgadza się, choć na pewno był tam już setki razy. Pełni rolę przewodnika - opowiada, że amfiteatr został zbudowany w pierwszym wieku naszej ery, a w trzynastym stuleciu trzęsienie ziemi zniszczyło większość zewnętrznej arkady, ale o dziwo, znaczna część wewnętrznej pozostała nietknięta. Wspinamy się po stromych trybunach z różowawego marmuru, by po chwili podziwiać niesamowity, przyprawiający o zawrót głowy widok z samej góry. Roberto przez cały czas trzyma mnie za rękę, nawet kiedy robi się ona wilgotna od potu.

- Tu jest przepięknie - sapię, przysiadając na chwilę, by złapać oddech.

- Powinniśmy tu przyjechać, kiedy będą wystawiać jakąś operę - mówi Roberto. Kiwam entuzjastycznie głową, choć dużo bardziej wolałabym jakiś popowy koncert albo nawet festiwal jazzowy. Nie chcę się jednak do tego przyznać, żeby nie zepsuć nastroju; Roberto bardzo się przecież stara.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu zwróceni w tę samą stronę, w którą zwróceni byli Rzymianie, kiedy atakowali i zabijali chrześcijan. Kiedy to sobie uświadamiam, odczuwam lekki niepokój, wstaję więc i spoglądam z góry na miasto. Roberto jest tuż obok mnie.

- Werona to największe miasto lądowe w prowincji Veneto. Historyczne centrum jest otoczone rzeką Adygą - mówi, wskazując palcem na rzekę, na wypadek gdybym była skończoną idiotką i sama się nie zorientowała. Widzę przepiękne kościoły i inne zabytkowe budynki licznie zdobiące bezładne ulice i wiem, że powinniśmy wejść przynajmniej do jednego czy dwóch, Roberto na pewno byłby zadowolony, ale moje oczy przyciągają uliczki przepelnione ludźmi, co na pewno świadczy o możliwości zrobienia zakupów.

- A to tam, to jest targ? - Staram się, by mój głos brzmiał neutralnie, ale uwielbiam sklepy, a szczególnie promocje. Roberto doskonale o tym wie. Uśmiecha się i mówi:

- Możemy iść na zakupy, jeśli masz ochotę.

Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać. Z zawrotną prędkością pokonuję kolejne kondygnacje, by po chwili znaleźć się na jednej z tłocznych, zamkniętych dla ruchu kołowego ulic, gdzie aż się roi od kuszących eleganckich sklepów. Roberto kupuje sobie koszulę, a ja nową torebkę. W sumie wcale jej nie potrzebuję, bo mam już jedną w tym samym kolorze, ale ta ma inny kształt, no i skóra, z której jest zrobiona, niesamowicie pachnie. Nie jest koniecznością, tylko ekstrawagancją, co sprawia mi tym większą przyjemność.

Idziemy w kierunku Piazza delie Erbe i dochodzimy do targu, który zauważyłam ze szczytu Ateny. Są tu stragany z warzywami i owocami, odzieżą, paskami, butami i tandetnymi pamiątkami dla turystów. Właśnie one przyciągają moją uwagę, nie wiem czemu, ale w tego typu sytuacjach jestem kompletnie bezsilna. Wiem, że to dziwne, ale ilekroć jestem na wakacjach, wszelkiego rodzaju kule śnieżne czy pamiątkowe ściereczki do naczyń nagle stają się nieodpartą pokusą. Nie potrafię tego wyjaśnić ani w żaden sposób usprawiedliwić; w normalnych warunkach wybieram stylowe rzeczy i jestem bardzo rozsądna. Ale przez lata nauczyłam się, że skoro nie potrafię kontrolować tej słabostki, najlepiej będzie czerpać Przyjemność z poddania się jej. Kupuję kilka kartek pocztowych,

po czym zauważam widoczne wszędzie czerwone serca — w końcu Werona to miasto kochanków. Jedne są tłoczone z masy papierowej, inne wykonane ze słomy, jeszcze inne z drewna, a w centralnym punkcie straganu, w miejscu, w którym nie dosięgnie ich ręka klientów, wiszą szkarłatne serca zrobione ze szkła. Kołyszą się na czerwonych wstążeczkach przy każdym lekkim podmuchu wiatru, czekając, aż ktoś je wybierze, niczym młode dziewczyny podpierające ściany na szkolnej dyskotece.

- Kupmy jedno. Albo dwa - proponuję.

- Ale co my z nimi zrobimy? - pyta Roberto, który niestety nie podziela mojej pasji do tego typu drobiazgów.

- Mogą zawisnąć na choince.

- Nawet jeszcze nie ma kwietnia, a ty już myślisz o świątecznych dekoracjach? A poza tym we Włoszech raczej nie mamy choinek na święta.

Jestem zaskoczona i rozczarowana. Uwielbiam moją choinkę w Anglii. Bez olbrzymiego drzewa zajmującego połowę salonu święta nie byłyby już takie same. Zawsze ubieram ją starannie i z uwagą; przez lata zbierałam ozdoby, a ulubione przywiozłam nawet tutaj ze sobą. Odpycham nieprzyjemne myśli i obiecuję sobie, że kiedy będą się zbliżać święta, wrócę do tego tematu i namówię Roberta, żebyśmy kupili choinkę.

- W takim razie powiesimy je gdzieś w barze. O, albo nad naszym łóżkiem.

- Mamma nie lubi, jak się przybija gwoździe do ściany.

Nie pozwolę, by jego brak entuzjazmu ostudził mój zapał. Spędzamy razem bardzo miły dzień i chciałabym, żeby tak zostało, więc gryzę się w język. Odwracam się w stronę sprzedawcy, który przysłuchiwał się naszej rozmowie i czekał na odpowiedni moment, by wtrącić swoje trzy grosze.

- Piękne, prawda? Dla młodej damy? — Spogląda na Roberta, uśmiechając się szeroko. Mój mąż kręci głową, ale handlarz wyraźnie nic sobie z tego nie robi, jest zawodowcem i doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jestem zainteresowana.

- *You like?* — pyta po angielsku, tym razem to mnie obdarzając uśmiechem.

- Tak, są piękne - mówię, trzymając w ręku szklane serce, które mi podał.

- To ręczna robota - zapewnia.

Kiwam z uznaniem głową i staram się lekceważyć Roberta, który cmoka z niezadowoleniem.

- Ile kosztują? - pytam.

Sprzedawca podaje mi cenę, która jest znacznie wyższa od tej napisanej kredą na tabliczce przypiętej do straganu. Roberto zwraca mu uwagę, ale handlarz tłumaczy, że to cena serc z papieru lub słomy. Podaje mi jedno z nich, lecz kiedy to robi, wzrusza pogardliwie ramionami, sugerując, że obniżam swoje standardy, decydując się na tańszy produkt. W jaki sposób zdołał sprawić, że czuję się gorsza od innych, choć chcę coś od niego kupić, nie mam pojęcia. Ale jakoś to zrobił.

- Wolę szklane - oświadczam i oddaję mu słomiane serce. Kiwa z aprobatą głową i pakuje wybraną przeze mnie ozdobę. Roberto głośno wzdycha, jednak nie jest to westchnienie pełne niezadowolenia, raczej podszyte rezygnacją. Podaje mężczyźnie niebotyczną kwotę.

- Zobaczysz, że zaraz za rogiem będą dokładnie takie same za jedną trzecią tej ceny - mówi.

- Możliwe — przyznaję. Ale zupełnie mnie to nie obchodzi. Ja chcę te konkretne szklane serce, choć nie potrafię wyjaśnić dlaczego i doskonale zdaję sobie sprawę, że to nie jest zbyt racjonalne. Po prostu kiedy wzięłam je do ręki, wydało mi się idealne. Może dlatego, że nie było zimne jak większość szklanych ozdób. Logicznie rzecz biorąc, to jasne — przecież cały dzień wisiało w słońcu. Ale ja raczej nie słynę z logicznego myślenia.

Kiedy starszy pan podaje mi pięknie zapakowane pudełko, odsłania w uśmiechu swoje bezzębne dziąsła i mówi łamanym angielskim:

- Serce spełniać życzenia. Te serce spełniać życzenia o wielu dzieciach. One przynosi duża rodzina.

Trzęsącymi się rękoma biorę od niego pakunek. Skąd wiedział? No skąd? Roberto szura nogami i wpatruje się w czubki butów. Nagle to co wcześniej zdawało się zbyt drogą zachcianką, okazuje się wyjątkową okazją.

Idąc, unoszę się ponad brukowanymi uliczkami, bez mapy ani planu, po prostu patrząc, jak ich piękno i tajemnice otwierają się przed moimi oczami. Uliczki są kręte, a słońce jasno żarzy się na niebie, w związku z czym na zmianę to spowija nas cień, to otulają promienie słońca. Czuję się niesamowicie. Rozmyślam

0 sercu spełniającym życzenia i od czasu do czasu wkładam rękę do torebki, by dotknąć schowanej w niej paczuszki.

Zatrzymujemy się na lunch na uroczym brukowanym ryneczku. Restauracja, którą wybieramy, jest przyozdobiona kolorowymi freskami, a z umieszczonych w oknach skrzynek na kwiaty zwisają przepiękne rośliny. Niestety, przyciągnięcie uwagi kelnera i zamówienie wybranych potraw zajmuje nam całe wieki, co trochę psuje atmosferę. Ale mając w torebce tak wyjątkową rzecz, nie tracę humoru. Siedzimy w milczeniu, wpatrując się w fontannę na środku placu; woda tryska z trzech dyszy i ścieka po czwartej, w wyniku czego zielone pasmo alg pokrywa podbródek, grubiotki brzuszek i nogę cherubinka. Obserwujemy liczne pary zakochanych, które podchodzą i wrzucają monety do środka, z pewnością życząc sobie, by ich miłość trwała wiecznie.

- Jak myślisz, skąd on wiedział? - pytam Roberta.

- Nie wiedział. Zgadywał - odpowiada, wzruszając ramionami. Nie do końca takiej odpowiedzi oczekiwałam, ale przynajmniej nie udaje, że nie wie, o co mi chodzi. Od kiedy tamten facet wręczył mi zapakowane serce, żadne z nas nie myśli o niczym innym.

- Nieprawda, wiedział — twierdzą uparcie.

- Elizabeth, przecież jesteśmy małżeństwem i mamy już swoje lata, wcale nie trzeba być geniuszem ani jasnowidzem,

żeby zgadnąć, że następnym krokiem powinny być dzieci. Jego słowa nic nie znaczą. A to serce to tylko głupia zabawka.

- Ale powinniśmy je powiesić nad łóżkiem, tak na wszelki wypadek - nalegam.

Roberto mlaska i cmoka z niezadowoleniem i po raz pierwszy tego dnia widzę na jego twarzy irytację. W sumie, skoro już o tym mowa, ostatnio wciąż go irytuję. Dzisiejszy dzień był w tej kwestii wyjątkiem, w jego oczach widziałam coś, co uznałam za zadowolenie, wierzyłam, że to zadowolenie, chciałam wierzyć. Ale ta bliskość, która była między nami od rana, powoli się ulatnia. Boję się, że zupełnie zniknie. Chcę ją uchwycić i mocno trzymać, by nie uciekła. Jesteśmy małżeństwem, powinniśmy być sobie bliscy, powinniśmy być szczęśliwi. Nie możemy tak często się unosić i zachowywać jak obcy ludzie. Słyszę swój szybki, płytki oddech.

- Dlaczego nie chcesz wierzyć, że to prawda? - pytam, próbując zachować spokój.

- Bo ty za bardzo w to wierzysz.

W tym momencie kelner przynosi danie Roberta, więc mój mąż zabiera się za jedzenie. Zanim dostaję zamówioną rybę, Roberto kończy już praktycznie swoje spaghetti. Nie mam mu tego za złe — no bo kto chciałby jeść zimny obiad? Ale znów zjadam lunch w samotności i w pośpiechu - wygląda na to, że powoli staje się to regułą. Nie tak wyobrażałam sobie włoskie posiłki; myślałam, że jedzenie jest tu wspólną celebracją i tylko Brytyjczycy znieważają ten rodzinny rytuał, jedząc zupki z proszku przed telewizorem.

Kiedy usuwam ości z mojej ryby, Roberto opowiada mi o świetnie kwitnącej gospodarce Werony. Ogólnie byłoby to nawet interesujące, gdyby nie załatywało umyślną zmianą tematu i nie wydawało się w związku z tym nieszczerze.

- Musimy wejść do paru barów i obejrzeć wystrój, zorientować się, jakie mają piwo i którzy didżeje grają u nich w weekendy - oświadczam.

— Chcesz porównywać knajpy? Tu, w Weronie?

-Tak- Dzisiaj? -Tak.

— Ale myślałam, że mam dziś wolne.

- No ale przecież to nie praca, picie w barach, no nie? A poza tym wiesz, ja już teraz nie potrafię się tak zupełnie wyłączyć. To mój biznes.

No tak, rzeczywiście, bo z pewnością ten biznes nie jest nasz. Sącę sok pomarańczowy i staram się powstrzymać od komentarza. Roberto bierze mnie za rękę.

-To nauczanie dobrze ci robi, Elizabeth - mówi. - Wreszcie będziesz miała jakąś pasję i może przestaniesz myśleć tylko o dzieciach.

— Ale przecież ty też chcesz mieć dziecko — staram się, by było to raczej stwierdzenie aniżeli pytanie, ale nie jestem pewna, czy mi się to udało. Próbowałam nie dostrzegać niechęci Roberta do rozmów o braku potomstwa, ale nie da się już tego dłużej ignorować.

— Chciałem.

- Jak to chciałeś? - Zdaję sobie sprawę, że krzyczę, kiedy zauważam, że oczy ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach zwracają się w naszą stronę. Wygląda na to, że w mieście kochanków kłótnie są równie pożądane jak zakonnica na wieczorze kawalerskim.

- To znaczy wciąż chcę - szepcze Roberto. Chyba myśli, że jeśli będzie mówił cicho, uda mu się mnie uspokoić; niestety jego próby mają zupełnie odwrotny skutek. Jestem wściekła, że przejmuje się siedzącymi wokół ludźmi, gdyż pokazuje tym samym, jak mało interesują go moje uczucia. Wpatruję się w niego. Mam nadzieję, że jeśli moje oczy pozostaną szeroko otwarte i pełne gniewu, zatamuję łzy, które próbują się wydostać spod moich powiek.

- Po prostu już w to nie wierzę - oświadcza cicho. - Nie wierzę, że to jest nam pisane.

Siedzimy w milczeniu, podczas gdy ja analizuję jego słowa. Stracił nadzieję.

Nie wierzy, że kiedykolwiek będziemy prawdziwą rodziną. Myśl, że jestem w tym wszystkim sama, przyprawia mnie o zimny dreszcz. Łzy, które miałam zamiar powstrzymać przynajmniej do końca lunchu, wdzierają się teraz na moją twarz niczym czołg najeźdźcy wjeżdżający właśnie na podbite tereny. Kapią na kolana, więc zaczynam wycierać je delikatnie chusteczką, którą do tej pory strzepiłam nerwowo w dłoniach. Nie mogę spojrzeć na Roberta. To przez niego płaczę i czułabym się jeszcze bardziej poniżona, gdyby to widział. Ale wiem, że i tak nie zwraca na mnie uwagi, patrzy przed siebie, w kierunku fontanny. Od jak dawna oszukuję się, że chcemy tego samego? Biorę do ręki resztki postrzępionej chusteczki i zgniatam je w kulkę. Zaciskam mocno ręce, tak że paznokcie wbijają mi się w dłonie. Staram się skupić całą uwagę na tym bólu, żeby nie myśleć o okrutnym cierpieniu, które dopada mnie wraz z uświadomieniem sobie, czym stało się moje życie.

Wszystko się totalnie pomieszało.

Mój mąż jest zafascynowany inną kobietą. Ja nie mogę przestać myśleć o innym mężczyźnie. Przeprowadzka do Włoch nie rozwiązała moich problemów, przywiozłam je tu ze sobą, zupełnie jakbym zapakowała je do walizki. Dziecka nie ma. Mój mąż nie wierzy, że kiedykolwiek będzie.

Czy zdołam wstać od tego stołu?

Oczywiście jego wiara w nasze szanse na poczęcie nowego życia nie robi żadnej materialnej różnicy, wciąż możemy uprawiać seks równie regularnie (lub nieregularnie) jak wcześniej, ale czuję, że coś między nami zmieniło się nieodwołalnie. Czuję mocny, pulsujący ucisk w dole brzucha.

Nie wiem, ile mija czasu, dwie minuty? Dwadzieścia? Nadzieja na to, że spełni się moje największe marzenie, jest na wyczerpaniu, ale udaje mi się jakoś wygrzebać odrobinę. Będę miała dziecko. Będę matką. Z jego wiarą czy bez niej, ja muszę

dalej robić swoje. Wybieram jedną fantazję z wachlarza, który stworzyłam przez te wszystkie lata, tę, w której jestem na zakupach z moją nastoletnią córką, i skupiam na niej uwagę, wymyślając kolejne szczegóły. Widzę jej radosny uśmiech i moją udawaną irytację, gdy przymierza kolejną modną minispódniczkę. Przez kilka minut wyobrażam sobie dźwięki, zapachy i obrazy towarzyszące tej sytuacji, w wyniku czego łzy powoli ustają, a oddech się uspokaja. W końcu znajduję w sobie resztki siły, by powiedzieć:

- Chciałabym zobaczyć dom Julii.

Roberto wciąż wpatruje się w fontannę, w ogóle nie zauważył mojej rozpaczy.

- To całe Casa di Giulietta to tylko turystyczna pułapka. A balkon dodali dopiero w 1935 roku. To ty jesteś ekspertem z literatury brytyjskiej, ale nawet ja wiem, że Szekspir był już wtedy dawno pod ziemią — zauważa z uśmiechem.

To, że ma rację, wcale nie sprawia, że jego komentarz wydaje mi się mniej uszczypliwy.

- Chcę sobie wyobrazić Romea stojącego pod jej balkonem - mówię cicho, choć stanowczo. — Muszę uwierzyć w siłę miłości.

- OK — odpowiada, wzruszając ramionami.

24 marca

- Co tam słyhać ciekawego? - pyta Chuck, kiedy wsiałam do samochodu.

- Wszystko po staremu, no wiesz, praca w barze. A, i bylam w Weronie w czwartek.

- Tylko ty i Roberto? -Tak.

- No i jak, podobała ci się miłosna atmosfera, architektura, powiew historii? Wydaje się, że jest w kaźdym kamieniu, no nie? - zauwaža.

-No - uśmiecham się słabo. Zazwyczaj jego entuzjazm jest zaraźliwy, ale jakoś nie potrafię się mu poddać, mając świadomość, że Roberto pogodził się z naszym bezdzietnym stanem.

- Co, za duzo gołębi, kukiełek Pinokia i turystów? — pyta Chuck, próbując odgadnąć powód mojej posepnej miny. - Nie tego się spodziewałaś?

Przez chwilę rozważam możliwość wytłumaczenia mu, dlaczego cały piątek siedziałam w domu, nie zwracając uwagi na piękną pogodę i telefony z baru, żebym przyszła wreszcie na swoją zmianę; dlaczego leżałam w łóżku, wylewając litry łez, aż rozbolala mnie opuchnięta skóra wokół oczu. Próbowałam wyobrazić sobie kolejną scenkę z życia matki, ale jest to coraz trudniejsze. Nawet marząc, nie potrafię się pozbyć uczucia samotności. Chuck by zrozumiał. Bo jeśli nie on, to kto? Nie Alison. Kiedy do niej zadzwoniłam, powiedziała, że przecież w głębi serca od dawna wiedziałam, że Roberto od wielu już lat nie jest szczególnie zainteresowany robieniem dzieci. Może

i miała rację, ale istnieje różnica pomiędzy podświadomą akceptacją jego braku entuzjazmu a przyjęciem do wiadomości, że zupełnie się poddał. Uzmysłowanie sobie, że stracił nadzieję na to, że kiedykolwiek będziemy rodzicami, to dla mnie istny Armagedon. Powinniśmy byli o tym wcześniej porozmawiać. Powinnam była o tym wiedzieć. Tak jak powinnam była wiedzieć, że winnica jest w gruncie rzeczy barem, a Ana-Maria to jego była dziewczyna i że spotykali się przez kilka lat. Co się z nami dzieje? Co się stało?

Jestem pustką. Niczym. Poza staraniem się o dziecko nie mam w życiu żadnego celu. Jeśli nie będziemy rodziną, to kim? Roberto zdaje się uważać, że możemy być szczęśliwą, spełnioną parą, prowadząc własny bar, ale wcale tak nie jest. W zasadzie przez większość czasu jest zupełnie odwrotnie. Kiedy tak naprawdę byłam szczęśliwa we Włoszech? Tego wieczora w „Perche No”? Było całkiem przyjemnie. Ale zaraz potem dostałam okres. No i kolejne rozczarowanie.

Chciałabym powiedzieć o tym wszystkim Chuckowi, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że znów wybuchnę płaczem. Nie mogę ryzykować, nie tuż przed rozpoczęciem *pracy*.

— Nie no, było w porządku. Po prostu jestem trochę zdenerwowana, wiesz, pierwszy dzień. — Moja wymówka jest pozornie wiarygodna, ale z pewnością mało przekonująca. Mam nadzieję, że nie będzie drażył tematu. Żeby temu zapobiec, dodaję: - Wzięłam ze sobą kilka książek i gazet, żeby mieć jakiś punkt zaczepienia do rozmowy, ale nie jestem pewna, czy to odpowiednie materiały. Większość gazet, które znalazłam pod łóżkiem, to magazyny plotkarskie, ale udało mi się też wygrzebać starego podniszczonego „Newsweeka”. Roberto kupił go na lotnisku przed przylotem do Włoch.

Chuck kiwa z aprobatą głową.

- Super, dobry pomysł. I dobre materiały, odpowiednie. Uczniowie lubią tego typu rzeczy. I nie masz się czym denerwować. Zaprowadzę cię do biura sekretarki, da ci listę uczniów.

Dziś masz same prywatne lekcje, jeden na jeden. Zobacysz, pokochają cię. Będiesz świetna. A tak w ogóle to fajna kiecka. Jest yyy... fajna. I yyy... krótka.

Po prostu muszę się uśmiechnąć.

Kiedy podczas przerwy na lunch wychodzę ze szkoły, by wygrzać się trochę na słońcu, wpadam prosto na Chucka.

- No i? — pyta z szerokim uśmiechem.

- Było bosko! Naprawdę świetnie się bawiłam. Nie mogę uwierzyć, że ktoś mi będzie za to płacił! Za rozmawianie z ludźmi! I to z przemiłymi ludźmi! Właśnie, uczę twoją byłą uczennicę, Franceskę Contadino.

- Aha - kiwa głową, ale nie mówi nic więcej.

Francesca jest fantastyczna. Ma zadbane, ślicznie wyrzeźbione ciało i szeroki, szczery uśmiech. Podczas lekcji zaczęłam się zastanawiać, czy Chuck kiedyś się z nią spotykał. Nie żebym miała prawo czuć się niezręcznie, wyobrażając sobie, jak całuje każdy centymetr jej pięknego wysportowanego ciała. Ale.

- Z kim jeszcze miałaś lekcje?

- Z taką kobietą około pięćdziesiątki, która chce pojechać w podróż po Azji. Wyobrażasz sobie? Nieczęsto spotyka się kogoś, kto w tym wieku decyduje się na coś takiego. Uczy się angielskiego i jednocześnie chińskiego. Jest strasznie błyskotliwa. Miałam też dwóch kierowników z fabryki Pirelli. Potrzebują angielskiego do pracy. Obydwaj byli uroczy, wręcz urzekający! No ale większość Włochów w ich wieku taka jest, no nie? - Chuck uśmiecha się od ucha do ucha, nie do końca wiem dlaczego.

-Wszyscy byli przemili - dodaję, żeby sobie przypadkiem nie pomyślał, że zadurzyłam się w jednym z tych biznesmenów. Szkoda, że lepiej mnie nie zna, wiedziałby, że nie zdarzają mi się tego typu rzeczy. A przynajmniej nie zdarzały.

- Podobały im się twoje gazety?

- Tak. Myślę, że następnym razem przyniosę coś innego, Jakiś podręcznik albo nawet krótki filmik i na tym oprę rozmo-

wę. Poproszę rodziców, żeby mi coś przysłali. Wydaje mi się, że różnorodne materiały to ważna rzecz.

— Jesteś świetna, masz wrodzony talent! — mówi Chuck, po czym ściska mnie mocno swoimi olbrzymimi ramionami. Podnosi mnie do góry i trzęsie mną, by po chwili opuścić mnie z powrotem na ziemię.

-Jesteś strasznie... duży - mamroczę.

Brakuje mi tchu, co jest trochę upokarzające. Wygląda na to, że albo mam kiepską kondycję, albo jestem starą, smutną kobietą, która sapie z podniecenia, ilekroć nawiąże choćby najmniejszy kontakt fizyczny z jakimś kawałkiem w miarę przystojnego faceta. Wstyd. Ale chyba właśnie tak jest. Czuję jego ramiona obejmujące moje ciało długo po tym, jak mnie puścił. Może powinnam czuć się z tym źle, ale jest mi całkiem przyjemnie.

Chuck się uśmiecha.

— Masz czas coś zjeść czy chcesz, żebyśmy od razu zawiózł cię do Veganze?

— Nie musisz mnie odwozić. Bez sensu, żebyś przeze mnie jeździł tam i z powrotem. Pojadę autobusem. Uczysz dziś po południu, no nie?

— Tak, ale następną lekcję mam dopiero o czwartej. Czekałem tu na ciebie, żeby usłyszeć, jak ci poszło.

Czekał na mnie. Jego propozycja jest kusząca.

— W sumie muszę być w barze dopiero o szóstej. — Spoglądam na zegarek. — Możemy iść coś zjeść, a później pojadę autobusem do domu.

— Możemy iść coś zjeść, a później odwozę cię do domu. Mamy mnóstwo czasu. - Bierze mnie pod ramię i prowadzi w kierunku ulicy. - Znam miejsce, gdzie serwują świetny makaron.

Ma rację. Naprawdę zna takie miejsce. Zabiera mnie do małej, troszkę zaniedbanej trattorii, na którą na pewno sama nie zwróciłabym uwagi. Ze ścian odchodzi farba, a sztucce są

z różnych kompletów. Siedzimy przy ciężkich drewnianych stolach z papierowymi podkładkami i serwetkami. Właściciel jest jednocześnie kelnerem i jak się okazuje, szefem kuchni. Całkiem jednak nieźle radzi sobie z wykonaniem wszystkich tych zadań, w dodatku robi to z wyjątkową pogodą ducha i werwą. Widać, że strasznie się cieszy z wizyty Chucka, który z pewnością jest tu stałym klientem. Rozmawiają przez dobre dziesięć minut, zanim Chuck decyduje się na zamówienie makaronu penne z sosem pesto.

- Zrozumiałaś coś? — pyta Chuck, kiedy właściciel udaje się do kuchni i zostajemy sami.

-Trochę. Rozmawialiście o składnikach sosów. Poradził ci, żebyś nie zamawiał sosu bolognese, bo nie jest pewien jakości pomidorów kupionych dziś na targu. A poza tym powiedział, że penne z pesto będzie szybciej gotowe.

- Rany, nieźle.

- Rozumiem znacznie więcej, niż potrafię powiedzieć.

- Lekcje na pewno ci pomogą. Dużo zależy od pewności siebie.

- Oczywiście mogłam po prostu zgadnąć, o czym rozmawialiście. Temat jedzenia był wysoce prawdopodobny, Włosi wciąż przecież o tym mówią.

- W sumie masz rację - przyznaje Chuck i przelamuje na pół pałeczkę chlebową. - Masz ochotę się czegoś napić?

- W porze lunchu?

- A co, to nie w porządku?

- Nie, dla mnie okej, ale myślałam, że Amerykanie mało piją, a już na pewno nie o tej porze.

- Wiesz, nie zamierzam obalić od razu całego baniaka, po prostu lubię czasem wypić szklaneczkę czerwonego wina. Będę prowadził dopiero za parę godzin. Ogólnie mówię „nie” jeździe po alkoholu, ale to moja własna zasada, a nie całego narodu. Ameryka to olbrzymi kraj. Kalifornijczycy prawdopodobnie piją trochę mniej niż ludzie w innych stanach, ale

na środkowym zachodzie i w innych miejscach współczynnik występowania alkoholizmu jest dosyć wysoki. Ciężko tutaj generalizować. - Przerzywa i po chwili dodaje: — Widać, że operujesz stereotypami.

- To znaczy?

- No cóż, wciąż powtarzasz rzeczy typu „Nie myślałam, że Amerykanie robią to czy tamto” albo „Włosi są tacy a tacy”. Masz dużo uprzedzeń.

- Nieprawda. Wcale nie mam uprzedzeń.

Chuck wzrusza ramionami. Prosi właściciela o przyniesienie dwóch lampek wina, po czym pyta:

- Znasz jakichś Holendrów?

- Nie - kręcę głową. - Holendrzy to zazwyczaj biznesmeni. Handlowcy, bankierzy i tacy tam. Nie w moim typie.

- A Hiszpanie?

- Uwielbiam Hiszpanów. Są tacy namiętni i porywczy. Kiedyś pracowałam z jedną Hiszpanką, biedaczka wciąż się kłóciła ze swoim chłopakiem.

Chuck wybuchą śmiechem w taki sposób, w jaki śmieją się ludzie, którzy właśnie udowodnili swoje racje.

- Ale to pewnie było związane z jej wiekiem albo jego niewiernością, albo z tym, że wydawała za dużo pieniędzy, albo z milionem innych rzeczy, ale nie możesz uznawać, że narodowość miała tu najwięcej do rzeczy.

- Mogę. A tak w ogóle to zakładanie, że on był niewierny, a ona za dużo wydawała, to też operowanie stereotypami - zauważam.

- Skąd ty to wszystko bierzesz? Niewiarygodne - mówi Chuck i kręci z niedowierzaniem głową.

- Dużo czytam - odpowiadam z dumą.

- Zamiast naprawdę tego doświadczać?

Wpatruję się w niego nieufnie, niepewna, co odpowiedzieć. Zastanawiam się, czy chciał mnie obrazić. Pewnie nie chciał, Amerykanie są przecież znani z nienaganych manier, no i są

znacznie bardziej bezpośredni niż Brytyjczycy. Nagle stół rozmazuje mi się przed oczami, a po moich policzkach spływają łzy.

- Ej, ej, strasznie przepraszam. Tak tylko się z tobą drażniłem, wcale nie chciałem ci sprawić przykrości.

- Wcale nie chodzi o ciebie - wyjąkuję, wciąż pochlipując.

- No więc o co?

Upijam łyk wina i zastanawiam się, ile mogę mu powiedzieć. Dzisiejsze poranne zajęcia oderwały na chwilę moją uwagę od bólu, który zadał mi Roberto, przyznając, że zaakceptował naszą bezdzietność, ale nagła uwaga Chucka poruszyła niewłaściwą strunę i po raz kolejny staje przed pytaniem: czy tak naprawdę zrobiłam w życiu coś poza czekaniem? Czytanie w trakcie oczekiwania wydawało mi się czymś wartościowym. No ale jeśli nie będę miała potomstwa, to co dalej?

- Chcę mieć dziecko.

- Co? Teraz? — Chuck wygląda na zdezorientowanego.

- Teraz, zaraz, zawsze — odpowiadam. — To jedyna rzecz, której tak naprawdę pragnę, ale nic z tego nie wychodzi.

Upijam kolejny, całkiem spory łyk wina, po czym opowiadam mu o wszystkim. Wyjaśniam, że odkąd byłam małą dziewczynką, marzyłam, żeby mieć dużą rodzinę, a kiedy miałam czternaście lat, byłam już pewna, że właśnie tego chcę w życiu. Przez ostatnie osiemnaście lat wyobrażałam sobie, że należę do dużej, głośnej włoskiej rodziny. Opowiadam, jak to zawsze spotykałam się tylko z Włochami, mając nadzieję, że kiedyś spełnią się moje sny; mówię, jaka byłam pewna, że wreszcie mi się udało, kiedy poznałam Roberta i natychmiast się w sobie zakochaliśmy. A później przechodzę do trudnej części, tej, w której bajka zamienia się w koszmar. Opowiadam o niekończących się wizytach i badaniach u różnych lekarzy, specjalistów i konsultantów, o ziółkach, hormonach, rytuałach i comiesięcznych testach ciążowych. Mówię, jak to kiedyś uwielbiałam dzieci moich braci znajomych, ale teraz samo przebywanie w ich pobliżu sprawia

mi ból. I że nienawidzę siebie za to, że nie potrafię być lepszą osobą. Ale nie jestem. Jestem smutna i zgorzkniała.

- Nie znoszę, kiedy ludzie chcą, bym wzięła na ręce ich nowo narodzone dzieci. Wiem, że chcą się zachować przyzwoicie, dając mi jakby nagrodę pocieszenia. Ale to naprawdę trudne. A poza tym jest tyle okropnych matek. Wszyscy o tym wiedzą. Stworzono je, żeby zadać mi ból.

A potem mówię mu o najgorszej rzeczy.

- Roberto się poddał. Powiedział mi o tym w czwartek. Chuck nic nie mówił przez całą moją opowieść. W którymś

momencie zamówił mi tylko jeszcze jeden kieliszek wina. Teraz opiera łokcie na stole i bierze mnie za rękę. Wyglądamy w tej chwili bardziej na parę kochanków niż przyjaciół.

-Ale ty nie straciłaś nadziei. Czy nie to jest najważniejsze? Jesteś wystarczająco silna, by poradzić sobie z tym sama, i to powinno wystarczyć, o ile...

Chuck przerywa. Spoglądam na niego i dostrzegam ledwie widoczny rumieniec na jego twarzy; z pewnością jest zażenowany. Rozumiem, co chciał powiedzieć.

- Tak, wciąż uprawiamy seks — zapewniam.

- Yyy, to dobrze.

- Tak, nie tracę nadziei, bo w sumie nawet nie ma jakiegoś konkretnego problemu - wypowiadam te słowa ze złością i niedowierzaniem, tak jakbym mówiła o tym po raz pierwszy, a nie dziesięcioletni. Ale za każdym razem ponownie uderza mnie ogrom niesprawiedliwości.

- Nie ma? - pyta Chuck z zaskoczeniem.

- Lekarze nic nie stwierdzili. Nazywają to niewyjaśnioną niepłodnością. Najlepsze wytłumaczenie, jakie do tej pory udało im się znaleźć, to że nasze... - Nie do końca wiem, jak skończyć to zdanie ani czy w ogóle powinnam je kończyć. Dla mnie i Roberta seks i robienie dzieci stały się dziedziną nauki, przestały być otoczonym czią, tajemniczym aktem, dlatego potrafimy rozmawiać o najbardziej intymnych sprawach bez zażenowania.

Jednak będąc z Chuckiem, nagle przypominam sobie o tej czci i tajemniczości towarzyszącej sprawom łóżkowym. Jąkam się.

— Powiedzmy po prostu, że wszystko dobrze funkcjonuje i teoretycznie możemy mieć dzieci, ale po prostu nie jesteśmy kompatybilni.

Chuck rozumie, o co mi chodzi.

- Mój znajomy miał podobny problem. Spróbowali sztucznego zapłodnienia i teraz mają dwójkę dzieci. - Mówi to z taką wiarą i nadzieją w głosie, że mam ochotę go pocałować. Od dawna już nikt nie rozmawiał ze mną o tym w taki sposób.

- Roberto nie chce słyszeć o in vitro. Wierzy, że będzie, co ma być, i nie powinniśmy w to ingerować, bo tego typu rzeczy zależą od tego tam, na górze. — Wskazuję palcem na niebo.

- Ale to przecież bezsensowne podejście! I do tego trochę samolubne. Możesz argumentować, że in vitro to taka współczesna wersja cudu.

Mogę i już tego próbowałam. Użyłam dokładnie tych samych słów, ale nic to nie dało. Wzruszam ramionami.

- I tak nie wiadomo, czy cokolwiek by to dało. Szanse nie są zbyt wielkie.

- Może, ale pewnie masz żal do Roberta, że nie chce nawet spróbować.

- No właśnie mam.

Nie wierzę, że to powiedziałam. To nie było zbyt lojalne. Ale co za odkrycie! Jeszcze raz w myślach odtwarzam swoje słowa. Mam żal do Roberta! Po raz pierwszy świadomie uznaję przed sobą, że jestem na niego zła, że nie chce spróbować sztucznego zapłodnienia. Ja spróbowałabym wszystkiego. Zrobiłabym wszystko.

Właściciel pojawia się nagle obok naszego stolika, pokazując znacząco. Chuck prostuje się, pozwalając, by moja dłoń wypadła z jego uścisku.

- *Mi scusi* — mówi kelner, kładąc przed nami dwa olbrzymie talerze makaronu.

Chuck podaje mi chusteczkę, w którą wydmuchuję nos.

— Dzięki, że mnie wysłuchałeś - mówię nieśmiało.

— To ja dziękuję, że mi o tym wszystkim opowiedziałaś. Serce mi pęka, kiedy sobie myślę, przez co przechodzisz. Byłabyś świetną mamą. Jestem tego pewien. I wiesz co? Szczerze wierzę, że kiedyś nią będziesz. Nigdy nie wiadomo, co jest nam pisane - mówi pełen entuzjazmu.

— Naprawdę tak myślisz? - Podnoszę wzrok i spoglądam w jego zielone, pełne nadziei oczy. Czuję, jak zalewa mnie jego ciepło i dobroć.

— Ja jakoś nigdy nie chciałem mieć dzieci. To zupełnie nie dla mnie. Ale naprawdę poruszyły mnie twoje słowa i sposób, w jaki o tym wszystkim mówiłaś.

— Co? - Odsuwam się, czuję się tak, jakby ktoś właśnie wylał na mnie kubek zimnej wody.

— Nie wiem, nigdy nie rozumiałem, dlaczego niektórzy ludzie tak bardzo pragną się rozmnażać, jakoś mi to wszystko umknęło. Ale kiedy słucham ciebie i twoich żarliwych słów, wydaje mi się, że twoje pragnienie rozumiem. Wygląda na to, że naprawdę dużo o tym myślałaś.

— Ale ty tego nie czujesz? — pytam z niedowierzaniem, irracjonalnie rozczarowana. Bo niby czemu miałyoby mnie obchodzić, czy Chuck chce mieć dzieci czy nie?

— Ani trochę. - Zjada trochę makaronu, przeżuując go w zamyśleniu.

— A ja myślałam, że jesteś mężczyzną idealnym — żartuję, ale naprawdę jest mi strasznie przykro, choć nie do końca wiem dlaczego. Co się ze mną dzieje, do cholery?

— Myślałaś, że jestem mężczyzną idealnym?

Chuck przestaje przeżuwać jedzenie i przez kilka sekund wpatrujemy się w siebie w milczeniu. Łatwo wyczuć napięcie, które się między nami wytworzyło. Nie wiem, co powiedzieć. Nie przychodzą mi do głowy żadne słowa, za pomocą których mogłabym obrócić to wszystko w żart.

- Myślę, że powinniśmy zmienić temat — mówię szybko. Chuck kiwa głową.

- No więc opowiedz mi w końcu o dzisiejszym poranku.

Tak też robię. Przez resztę lunchu i całe popołudnie opowiadam mu o lekcjach. Demonstruję, jak udało mi się rozśmieszyć jednego z biznesmenów, udając różne regionalne angielskie akcenty. Muszę przyznać, że całkiem nieźle mi to wychodzi. Chuck nalega, bym pokazała mu wszystkie po kolei, i krzusi się, prawie wypluwając wodę na stół, kiedy parodiuje mieszkańców Newcastle. Przyznaję, że bardzo odpowiada mi mała klasa, którą mi przydzielono; wiązki światła wdzierają się do środka, tworząc wrażenie dosyć sporej przestrzeni. Właśnie tego dziś potrzebowałam.

Całe popołudnie mija w okamgnieniu. Pomimo, a może właśnie z powodu mojego wyznania bardzo swobodnie nam się rozmawia i czuję się niezwykle spokojna u jego boku, a czasem nawet radosna, choć wciąż rozczarowana jego słowami. Spacerujemy sobie bez celu, oglądając miasto. Nawet słońce stara się do nas dołączyć. Chowa się za chmurami, by po kilku minutach znów się pojawić, jakby było dzieckiem robiącym: „A kuku!”. Siedzimy w radosnym milczeniu i spoglądamy na grupkę Włochów trzymających w dłoniach telefony komórkowe i rozmawiających ze sobą wesoło. Są niesamowicie towarzyscy, aż miło się na nich patrzy.

Niezrażona jego wcześniejszymi oskarżeniami o zbytnią generalizację, wzdycham i mówię:

- Musisz przyznać, że Włochów nie da się nie kochać.

- Tak, mam tu wielu przyjaciół. Ludzie są bardzo przyjaźni.

- I tacy eleganccy! — Mój wzrok przykuwa teraz grupka drobniutkich kobiet w modnych kozakach, z dużymi torbami ¹ szerokimi paskami. - Chyba nigdy nie będę w stanie osiągnąć takiego poziomu dobrego gustu, co niestety nie jest zbyt budujące.

- E tam, chodźmy lepiej gdzieś na ciastko. To możemy zrobić w naszym *własnym, oryginalnym stylu*.

Taka bomba kaloryczna raczej nie pomoże mi osiągnąć ich figury, którą tak podziwiam, ale co tam, nie potrafię się powstrzymać. Cukiernia jest oświetlona niczym wystawa świąteczna. Nie mogę się zdecydować na jedno ciastko, kupujemy więc trzy dla nas dwojga. Chuck karmi mnie plastikowym widelczykiem, a ja pozwalam sobie na chwilę czystej przyjemności.

Proszę, by podrzucił mnie prosto do baru, bo właśnie tam umówiłam się z Robertem, żeby uniknąć krytycznego wzroku Rafaelli, kiedy będę mu opowiadać o swoim pierwszym dniu w nowej pracy. Wtedy nie byłam jeszcze pewna, czy wrócę do domu, tryumfując czy też wlokąc się ze zwieszoną ze wstydu głową. Jednak w żadnej z tych sytuacji nie chciałabym być powitana przez moją teściową.

- Kurczę, nie widzę jego samochodu — zauważam, kiedy dojeżdżamy na miejsce.

- Chcesz, żebym cię zawiózł do domu? Może tam właśnie jest — proponuje Chuck.

- Nie, zawsze tutaj parkuje, bo pod domem nigdy nie ma miejsca. Poza tym umówiliśmy się, że się tu spotkamy.

- No to w takim razie coś musiało mu wypaść.

- Jak zwykle - mówię poirytowana.

- Jestem pewien, że chciał cię przywitać po pierwszym dniu w pracy, i zrobiłby to, gdyby tylko mógł. Ale jest już dosyć późno, przepraszam, to moja wina.

Chuck miał dobre chęci, ale jego słowa wprowadziły nas oboje w zakłopotanie. Jego troska i zainteresowanie podkreślają tylko ich brak u Roberta.

Zbieram swoje rzeczy.

- Nie ma problemu, Laurana pewnie jest w środku. Na pewno będzie chciała usłyszeć, jak mi poszło. A więc do zobaczenia w piątek.

—Tak, do zobaczenia, podrzucę cię do szkoły i później odwiozę, tak że się nie martw. A jeśli będziesz miała ochotę się spotkać jakoś na dniach, dzwoń o każdej porze.

Podaje mi kartkę papieru ze swoim numerem na komórkę i do domu. Podoba mi się, jak pisze siódemki. Jego palce przypadkiem muskają moją dłoń, w wyniku czego zalewa mnie fala gorąca. Jestem pewna, że moje policzki są czerwone niczym rozgrzane żelazo.

Kiwam głową, gramolę się z samochodu i macham na pożegnanie. Kiedy patrzę, jak jego samochód znika pośród zachodzących promieni słońca, przychodzi mi do głowy, że w zasadzie nadal nic o nim nie wiem. Czy Chuck to po prostu najmiły człowiek na świecie, prawdziwie życzliwy, pełen współczucia przyjaciel i dżentelmen? Czy też tak naprawdę skrycie marzy o tym, żeby ściągnąć ze mnie ubranie i czeka tylko na odpowiedni moment? Nie wiem. A najgorsze jest to, że nie wiem, czy wolałabym, żeby to pierwsza hipoteza była prawdziwa czy druga.

Roberto przychodzi do baru dopiero przed zamknięciem. Kiedy się pojawia, wygląda na zmieszanego i spogląda w naszą stronę przepaszającym wzrokiem. Mam straszną ochotę zapytać go, gdzie się podziewał, ale nie chcę robić scen przy Lauranie. Mogłaby pomyśleć, że muszę go pilnować, ale mi to nie wychodzi; byłoby to nieco żenujące.

Robi dosyć efektowne wejście.

- Dziewczyny, jak ja się wam odwdzięczę? — pyta. Uśmiecha się lekko zakłopotany, rozkładając szeroko ramiona. Wygląda jak winny, ale skruszony nastolatek stojący przed swoją babcią.

- Wystarczy mała podwyżka — odpowiada natychmiast Laurana. Uśmiecham się do niej szeroko. Podoba mi się jej styl. Szkoda, że sama na to nie wpadłam.

Roberto puszcza jej odpowiedź mimo uszu.

- Możesz już iść do domu — mówi. - Jesteś samochodem czy cię podrzucić?

- No byłoby fajnie, jakbyś mnie podrzucił. Dziś było spokojnie, jak to zwykle w poniedziałki, ale takie wieczory są zazwyczaj najdłuższe. Prawda, Elizabeth?

Kiwam potakująco głową i uśmiecham się do niej.

- Odwieź Lauranę, Roberto. Ja zamknę i spotkamy się w domu.

Kiedy wraca, ja już dawno leżę w łóżku. Roberto cicho uchyla drzwi i ukradkiem wślizguje się do środka. Wstaję i zapalam światło.

- Nie chciałem cię obudzić - oświadcza, rozpinając koszulę.

- Nie spałam.

Obejmuję kolana ramionami i czekam. Nie jestem tak do końca pewna, na co przede wszystkim. Nie mogę się zdecydować, czego oczekuję najpierw - pytania o moją nową pracę czy też wyjaśnienia, gdzie się podziewał przez całe popołudnie i wieczór. On też ewidentnie nie może się zdecydować, co powiedzieć, bo w milczeniu ściąga ubranie, składa je, po czym wkłada pidżamę i wskakuje pod kołdrę.

W końcu mówi:

- Noce są coraz cieplejsze, zauważyłaś? Wkrótce będziemy musieli wstawić tu wentylator. - Następnie przekręca się na drugą stronę łóżka, plecami do mnie.

„Oddychaj głęboko” - powtarzam sobie w myślach. Bez przypominania mogłabym w ogóle zapomnieć, że trzeba to robić, mogłaby mnie udusić niebezpieczna, rozżarzona lawa wściekłości bulgocząca wewnątrz całego mojego ciała.

- Mogłabyś wyłączyć światło? - pyta.

- Nie.

- Ale jest już późno. Powinnaś się przespać. No chyba że coś czytasz?

- Nie. - Słyszę, jak wzdycha. Odwraca się w moją stronę, zaledwie o centymetr, ale nie patrzy na mnie, tylko wpatruje się w sufit.

- Chcesz, żebyśmy uprawiali seks?

- NIE! — krzyczę. Nie potrafię już ani przez sekundę utrzymać furii na wodzy. Tym razem udało mi się przyciągnąć jego uwagę. Siedzi wyprostowany na łóżku.

- Cśśśś, Elizabeth, wszystkich obudzisz. O co chodzi?

- Gdzie się podziewałeś cały dzień?

- Miałem dużo rzeczy do załatwienia, musiałem się spotkać z paroma osobami.

Mam ochotę go zapytać, z kim dokładnie się spotkał. Z Aną-Marią? Z jej rodziną, wspominając stare, dobre czasy i śmiejąc się z postrzępionych fotografii? Albo jeszcze gorzej.

- Laurana mówiła, że bez problemu sobie same poradziłyście i że nie było dużo ludzi. Wiedziałem, że wszystko będzie OK.

- Rzeczywiście, ale nie o to chodzi. Nie wiedziałam, czy z tobą wszystko OK. Nie miałam pojęcia, gdzie jesteś.

- Przecież nie możemy być jak papugi nierozłączki, bo oszalejemy. Nie wiedziałem, że musisz wiedzieć, gdzie jestem o każdej minucie.

- Papużki, nie papugi, i albo o każdej porze, albo w każdej minucie - poprawiam go automatycznie.

Ale słysząc jego słowa, zaczynam myśleć, że może zachowuję się irracjonalnie, w związku z czym tracę wiarę w słuszność swojej złości. Oczywiście, że nie musi mi się spowiadać z każdej minuty, wystarczyłoby, żeby ograniczył się do każdego dnia. Nie mówię tego jednak głośno, bo wydaje mi się to zbyt małostkowe. Czy więc nie chce wiedzieć, jak mi dziś poszło, bo szanuje moją przestrzeń osobistą? Nie mam zamiaru zdradzać mu żadnych szczegółów, dopóki grzecznie nie zapyta, próbuję więc zdusić opowieści, które trzymałam w gotowości przez cały wieczór. Zatrzymam wszystkie śmieszne anegdoty i urocze szczegóły dla siebie. Choć muszę przyznać, że próbując zdusić własne szczęście, oddycham coraz ciężiej.

- Możemy iść wreszcie spać? Nie wiem jak ty, ale ja jestem zmęczony.

- Nie możemy. Niby czemu jesteś taki zmęczony? Co dziś takiego robiłeś?

Nagle w mojej głowie pojawia się obraz splecionych w miłosnym uścisku ciał Any-Marii i Roberta wśród śnieżnobiałej pościeli. Widzę zatrważająco dokładnie jego usta zbliżające się do niej; jego rękę gładzącą jej plecy i przesuwaną się w dół, w stronę jędrnych pośladków. Widzę nawet maleńkie, połyskujące kropelki potu na jego górnej wardze, zdradzające wyczerpanie. Kręcę głową, próbując odgonić te obrzydliwe myśli, ale uparcie trzymają się mojej podświadomości. Cokolwiek po-

wiem, nie wolno mi wymieniać imienia Any-Marii. Pomyśli, że jestem zazdrosna i niepewna naszego małżeństwa, a przecież żaden facet nie chciałby mieć podejrzliwej i irracjonalnie zachowującej się żony. Gryzę się w język i próbuję wymyślić coś, cokolwiek, byle tylko nie powiedzieć jej imienia. Muszę mu ufać. Muszę myśleć spokojnie i logicznie. Nie mogę wyciągać pochopnych wniosków.

- Byłeś dziś z Aną-Marią? - pytam. Cholera, chyba spieprzyłam plan A zakładający niewypowiadanie jej imienia.

- Dlaczego o to pytasz?

- A dlaczego nie odpowiadasz?

- Jesteś niemądra.

- Wcale nie. Byłabym niemądra, gdybym cię zapytała, czy uprawiałeś z nią seks. To właśnie byłoby niemądre. — Zdaję sobie sprawę, że mój głos jest piskliwy i brak mi tchu. Mówię z sarkazmem, jak zwykle, gdy ktoś mnie wytrąci z równowagi. Zawsze uważałam, że sarkazm jest starszą, samotną siostrą humoru. Czasem używam też humoru, by nie mówić mojemu mężowi pewnych rzeczy wprost; niestety, teraz mi się to nie udaje.

- Po prostu interesuję się tym, co robisz. Tak to zazwyczaj jest w związkach. Ty na przykład mogłeś się zainteresować, jak minął mi pierwszy dzień w szkole. Nie pomyślałabym, że jesteś niemądry, tylko ciekawy.

Roberto nie znosi, kiedy stosuję sarkazm, bo czasem ciężko mu dostrzec wszystkie niuanse mojej irytacji, choć dziś chyba rozumie istotę sprawy.

Jęczy i uderza się otwartą dłonią w czoło.

- No tak, szkoła, zapomniałem zapytać.

- Tak, zapomniałeś. - Czekam. Z pewnością zdaje sobie sprawę, że właśnie ma szansę to zrobić. Jego zainteresowanie, nawet na tym etapie, byłoby miłe.

- No przestań już, nie ma o co się kłócić — mamrocze.

- *Au contraire*. Właśnie że jest. Nie mam ochoty dusić tego w sobie. Dlaczego tylko ja mam mieć bezsenność?

Wygląda na zdezorientowanego, francuski sarkazm i zawojowana sugestia w jednym zdaniu to dla niego zbyt wiele. Czasem mnie nie rozumie, kiedy się kłócimy, bo mówię wtedy szybciej i używam bardziej potocznych słów, do tego mój głos staje się cieńszy. Teraz to ja nie rozumiem jego, ale chyba ma to raczej coś wspólnego z jego chromosomem Y niż z jego angielszczyzną. Kiedyś uważałam, że ta jego niemożność nadążenia za mną jest czarująca, a jego zakłopotany wzrok zawsze rozczulał mnie do tego stopnia, że porzucałam kąśliwe uwagi. Cierpliwie mu natomiast tłumaczyłam dziwne zawilosci języka angielskiego i zawsze kończyło się to śmiechem. Kiedyś nie byłam w stanie długo się na niego złościć, kiedy byliśmy w łóżku. Teraz patrzę na jego zagubiony wzrok i myślę, że albo jest głupi, albo mnie zdradza.

- OK, przepraszam, że zapomniałem o twoim pierwszym dniu w pracy. Dobrze ci poszło?

- Tak, świetnie, dziękuję.

- To dobrze. Możemy teraz iść spać? — Ziewa. Jego leniwy wzrok i zamglone oczy strasznie mnie denerwują; dziwne, zawsze myślałam, że są niczym spokojny czekoladowy ocean, w którym mogłabym się zanurzyć, kiedy tylko potrzebowałabym otuchy czy przyjemności. Wygląda na to, że z czasem twarze niektórych osób zaczynają nam brzydnąć.

Wpatruję się w niego, mając nadzieję, że dostrzeże moją frustrację. Chyba jednak nie do końca, bo kładzie się z powrotem na łóżku i odwraca do mnie plecami. Czekam, aż moja wściekłość wypali mu dziury w łopatkach. Jak można być tak nieczułym? Przecież na pewno wie, że oczekuję od niego czegoś więcej. Mam nadzieję, że to wszystko wina bariery językowej, choć tak naprawdę kwestionuję jego szczerość.

-Wiesz, Elizabeth, gdybyś sprawdziła w terminarzu, który trzymamy w barze, wiedziałabyś, gdzie dzisiaj byłem — mówi do ściany.

Nie miałam pojęcia, że coś takiego istnieje, ale przyznaje się do tego byłoby równoznaczne z przejściem do defensy-

wy, a *przecież* to ja jestem w ataku. To on zapomniał zapytać mnie o nową pracę, to on zniknął dzisiaj na cały dzień (Bóg wie gdzie) i to on podkochuje się w swojej byłej dziewczynie. Prawdopodobnie.

- Szkoda tylko, że ciebie bardziej niż bar interesuje twój cykl menstruacyjny, opalenizna czy choćby Chuck Andrews - dodaje, po czym zasypia albo przynamniej udaje, że śpi, a mnie zostaje już tylko defensywa.

25 marca

Są w życiu pewne *rzeczy*, którym nie można zaprzeczyć. Księżna Diana uwielbiała dzieci, czekolada sprzyja pryszczom, ciuchów na wyprzedazach nigdy nie ma w odpowiednim rozmiarze, a ja nigdy nie będę miała romansu. Poważnie. To kompletnie nie dla mnie. Cenię sobie lojalność i często wyobrażam sobie naszą czterdziestą rocznicę ślubu. No i kocham Roberta; on jest naprawdę kochany.

Oczywiście pomijając chwilę obecną, kiedy jestem na niego wściekła. Ostatnio mój mąż jest apodyktyczny, tajemniczy i zimny; co tu dużo mówić — sytuacja nie wygląda najlepiej. No ale związki, prawdziwe związki, mają przecież swoje wzloty i upadki, gorsze i lepsze chwile. Nie można oczekiwać, że wszystko będzie zawsze szło gładko. Jesteśmy dorośli i potrafimy sobie radzić w trudnych sytuacjach. A jak zauważyła Alison, mamy już trochę problemów za sobą, ale nie poddajemy się, walczymy i udaje nam się pokonać przeszkody. I nie ma co się obawiać jakiegoś głupiego, niewytłumaczalnego uczucia do Chucka, które się we mnie rodzi; to byłoby żalosne. Nawet jeśli to uczucie nasila się niczym kwoty zadłużenia na wyciągach z kart kredytowych tuż przed świętami. Uznanie Chucka za zagrożenie świadczyłoby o tym, że nie doceniam swojego małżeństwa. Nigdy nie będę miała romansu; jak już mówiłam, to kompletnie nie w moim stylu ani nie w stylu Chucka. To facet z honorem i szacunkiem do samego siebie i innych i na pewno nigdy nawet nie śmiałyby czegoś takiego zaproponować.

No więc tak sobie myślę, nawet jeśli Roberto zachowuje się jak skończony kretyn, a ja czuję się samotna i zaniedbana, wysyłając Chuckowi SMS-a i proponując, że przyjadę na lunch do Bassano del Grappa, wcale nie ryzykuję, że wplączę się w romans. To tylko przyjacielskie spotkanie. Moje gardło jest suche i ściśnięte, a ręce stają się lepkie i wilgotne od potu, kiedy czekam na jego odpowiedź. Po najdłuższych siedmiu minutach w moim życiu odpisuje: „Super” i dołącza emotikon oznaczający całusa, który sprawia, że kręci mi się w głowie.

Kiedy czekam przed szkołą, rozkoszując się przyjemnymi promieniami słońca, po plecach przechodzi mi zimny dreszcz podekscytowania. Nikomu nie mówiłam, że wybieram się na lunch z Chuckiem. Prawie dziś nie rozmawialiśmy z Robertem, poza paroma zdaniem, które były konieczne, typu „Podaj masło”, a potem jak zwykle miał coś do załatwienia w mieście. Dziś rano pracowałam z Giną; spędziłam mniej więcej godzinę, szukając wspomnianego wczoraj terminarza, ale niczego takiego nie znalazłam. Gina powiedziała, że na pewno gdzieś tu taki wisiał. Poza tym mówiła, że Roberto dzwonił i wspominał, że wybiera kafelki do toalety, zgodnie z moimi zaleceniami. Może to i prawda.

Wyszłam więc z baru o jedenastej, mówiąc, że mam zadanie domowe do zrobienia. A że Gina nie zna mnie zbyt dobrze, nie zdawała sobie sprawy, jak mało wiarygodna jest moja wymówka, i stwierdziła, że podziwia moje zacięcie i chęć do nauki. A ja spędziłam ten czas, spacerując po targu i wybierając jedzenie na piknik, który zdecydowałam się przygotować dla mnie i Chucka. Kupiłam ciabattę, pikantną kaszę kuskus w kolorze słońca, kilka różnych rodzajów sera, czarne i zielone oliwki (w oleju), duże soczyste nektarynki i dwie małe butelki wody mineralnej (zdecydowałam, że jeszcze nie jesteśmy na etapie picia z jednej butelki). Chciałam kupić też wino, ale stwierdziłam, że to nie najlepszy pomysł, bo Chuck uczy dziś po południu i nie w porządku by go było kusić. Rozważałam też zabranie koca, ale to

oznaczałoby poproszenie o zgodę Rafaelli i serię kłopotliwych pytań, więc zrezygnowałam z tego pomysłu; po prostu będziemy musieli znaleźć jakąś ławkę. Jestem niesamowicie podekscytowana niespodzianką, którą dla niego przygotowałam. Pikniki są takie intymne i romantyczne. To znaczy nie żeby ten piknik był romantyczny. Ten piknik jest podziękowaniem za wczorajszy lunch, za pomoc w znalezieniu pracy i za wysłuchanie moich zwierzeń. To przyjacielski piknik, nic więcej. Chciałam tylko powiedzieć, że niektóre pikniki są romantyczne.

Nagle rozlega się dzwonek sygnalizujący koniec porannych zajęć. Wyczekuję nadejścia Chucka z wypiekami na twarzy, patrząc, jak uczniowie wylęgają na ulicę, przedzierając się jeden przez drugiego. Uwielbiam tę energię, która od nich promieniuje, jest odurzająca. Podobnie jak wszyscy uczniowie na świecie, ci tutaj wyglądają na osoby szczerze, pełne entuzjazmu, nadziei i napięcia seksualnego; wyglądają super. Nie pamiętam, kiedy ja ostatnio tak wyglądałam. W końcu dostrzegam Chucka. Mam ochotę podskoczyć z radości, ale tylko macham do niego z drugiej strony ulicy. Uśmiecha się i rusza w moim kierunku, nawet nie sprawdzając, czy nie jadą jakieś samochody.

- Nawet nie spojrzałeś, czy coś jedzie.

- Miło, że się o mnie martwisz - mówi przekornie. Czerwienię się.

- Oczywiście, że się martwię. Gdyby coś ci się stało, musiałabym uczyć twoje klasy, więc dbanie o twoje bezpieczeństwo leży w moim interesie - żartuję.

Decyduję, że lepiej nie dodawać do tego mrugnięcia okiem. Jeśli mamy pozostać przyjaciółmi, a musimy nimi pozostać, wówczas nie powinno być miejsca na flirt i jakieś niuanse. Zachowam czyste sumienie tylko wtedy, gdy będę naprawdę bardzo uważała na to, jak się zachowuję, kiedy z nim jestem. Czasem to co się myśli, nie ma żadnego znaczenia, ważne, co się robi. ^ ja nie zamierzam robić nic. Poza tym kto w ogóle powiedział, że on jest mną w zainteresowany w ten sposób?

Jako zatwardziała monogamistka z przeszłością mogę śmiało powiedzieć, że nie należę do kobiet, które utrzymują, że nie wiedzą (albo naprawdę nie wiedzą), kiedy mężczyzna jest nimi zainteresowany. Ja zawsze wiedziałam. Zazwyczaj chcą, żebyś wiedziała, nie jest to więc zbyt skomplikowane. Poza tym jako zatwardziała monogamistka nigdy nie flirtowałam z facetem, którym nie byłabym zainteresowana. Oczywiście nie jestem święta, jeśli byłam akurat z jakimś Carlem, a nagle pojawiał się Franco, na którego widok moje serce biło mocniej, szybko się na niego przerzucałam, ale nie spotykałam się z obydwojema jednocześnie ani nikogo nie podpuszczałam. No więc o co chodzi z Chuckiem?

- To gdzie idziemy? - pyta. - Umieram z głodu. Miałem dziś jedno zajęcie po drugim, praktycznie bez przerwy, więc nie było nawet czasu na drugie śniadanie.

- Przyniosłam parę rzeczy. Pomyślałam, że zrobimy sobie piknik. - W moim głosie słychać dziecięcą przyjemność. Potrząsam plecakiem pełnym smakołyków.

-Serio?

- Serio, serio.

- Super, uwielbiam pikniki.

- Ja też. - Patrzę na niego i szczerzę zęby jak skończona kretynka. Uśmiecha się do mnie, mrużąc oczy w taki sposób, że mój żołądek (i te części poniżej) wykonuje układ akrobatyczny, który śmiało mógłby wziąć udział w olimpiadzie. Zażenowana i przestraszona, że może odkryje pociąg, który do niego czuję, pytam: - No to gdzie zjemy? - Kręcę głową to w prawo, to w lewo, byle tylko nie napotkać jego wzroku.

Jest seksowny, przystojny i błyskotliwy. Spotkałam już mężczyznę, który miałby te cechy, na miłość boską, przecież dokładnie tych samych przymiotników mogłabym użyć, opisując Roberta. Chuck jest też delikatny, rozsądny i bezpośredni, w związku z czym działa na mnie uspokajająco. I choć wciąż powtarzam sobie, że jest jasnowłosym Amerykaninem, nie zaś

śniadym Włochem, a tym samym zupełnym przeciwieństwem mojego ideału partnera, który mógłby mnie uszczęśliwić, jakimś cudem jedyne chwile szczęścia zdarzają mi się przy nim. Nic już nie wiem.

Chuck proponuje, żebyśmy poszli w stronę historycznego mostu nad rzeką Brentą. Przysiadamy na schodach. Informuje mnie, że został on zaprojektowany przez Antonia Palladio, a mówi to w taki sposób, jakby zakładał, że wiem, o kim mowa. A ja nie mam pojęcia i jest mi trochę wstyd. Kiedy moi rodzice na siłę opowiadali mi o architekturze i historii, nawet nie próbowałam ukryć znużenia; teraz żałuję, że nie słuchałam ich uważniej. Fajnie by było zaimponować Chuckowi. Nie żeby jakoś szczególnie go interesowało, co wiem o Antoniu Palladio - wystarczy mu, że patrząc w górę rzeki, doceniam piękny krajobraz z górami w tle. Cokolwiek robię, zawsze zdaje się to pochwalać. To naprawdę fajne uczucie, gdy ktoś cię docenia.

Starając się nie zagrażać drogi przechodniom, wyciągamy jedzenie, które ze sobą przyniosłam.

- Lubisz gorgonzolę? Kupiłam też inny ser, nazywa się Fonrina Val d'Aosta, niedawno go odkryłam. Jest przepyszny, taki łagodny i odrobinę elastyczny. Ma orzechowy posmak z nutką miodu. Przeczytałam to na opakowaniu.

- Uwielbiam. - Odrywa dość spory kawałek i wkłada go do ust.

Chyba niestety nie do końca przemyślałam ten nasz piknik, przynajmniej nie tak, jak powinnam. Po pierwsze, zapomniałam o serwetkach i nożu. Ale jakoś dajemy sobie radę i z ulgą zauważam, że wcale mu te drobne niedociągnięcia nie przeszkadzają, a jeśli nawet, to jest na tyle dobrze wychowany, by mi o tym nie mówić. Roberto byłby oburzony pomysłem jedzenia sera palcami na schodach przy jakimś moście. Czasem czepia się naprawdę drobnych szczegółów. A ja myślę, że takie wspólne odłamywanie kawałków sera i chleba jest bardzo romantyczne. To znaczy chciałam powiedzieć: przyjacielskie.

- Coś takiego miałaś na myśli czy miałaś *raczej* nadzieję, że znajdziemy jakiś park? - pyta Chuck.

Może to dziwne, ale w sumie nie miałam żadnych oczekiwań. To zupełnie nie w moim stylu. Byłam tak podekscytowana perspektywą zaskoczenia Chucka i zrobienia dla niego czegoś miłego, żeby odwdziżyć się za wszystko, co dla mnie zrobił, że w ogóle się nie zastanawiałam, jak ten nasz piknik będzie wyglądać.

- Tak jest fajnie - mówię z uśmiechem.

- Ja tam bym nawet powiedział, że idealnie.

Jemy w milczeniu. W jakimś sensie chciałabym opisać tę ciszę jako niezręczną, ale szczerze mówiąc, jest ona przyjemną przerwą. Czuję, jakbyśmy znali się znacznie dłużej, niż się rzeczywiście znamy.

W końcu Chuck mówi:

- Może miałabyś ochotę pozwiedzać trochę miasto? No wiesz, w wolnym czasie czy coś. - Sprawia wrażenie znacznie mniej pewnego siebie niż zazwyczaj, prawie onieśmielonego. — Kościół Duomo został zbudowany około roku tysięcznego, a wyremontowano go w tysiąc czterysta siedemnastym. To ciekawe miejsce. Moglibyśmy się tam kiedyś wybrać. - Nie odpowiadam od razu, bo właśnie przeżuвам spory kawałek chleba. Jednak Chuck odbiera moją zwłokę jako powściągliwość, dodaje więc szybko: — Oczywiście nie oczekuję, że specjalnie przyjedziesz do Bassano del Grappa, pomyślałem tylko, że moglibyśmy rozejrzeć się wokół w porze lunchu, po twoich lekcjach. Ale jeśli nie przepadasz za tego typu rzeczami, to nie ma sprawy.

Szybko przełykam resztki jedzenia.

- Nie, to znaczy tak. Chętnie. Lubię tego typu rzeczy - mówię pośpiesznie podekscytowana myślą, że będą z nim mogła spędzić trochę więcej czasu. Ale później zaczynam się nad tym zastanawiać. Nie wiadomo czemu czuję, że przed nim nie muszę nikogo udawać, mogę być w stu procentach sobą, a nawet więcej - muszę być sobą. Coś każe mi powiedzieć: - Wiesz co, tak naprawdę nie przepadam za kościołami.

- Jest jeszcze zamek i muzeum — proponuje. Marszczę nos. r

- Szczerze mówiąc, znam lepsze sposoby na zwiedzanie miasta.

-Aha, no rozumiem, nie ma sprawy. - Spogląda przed siebie, jakby próbował uniknąć mojego wzroku, i widzę, że jest zażenowany, a może nawet i rozczarowany. Ale jest szansa, że źle to odbieram, może po prostu patrzy przed siebie, bo krajobraz jest naprawdę piękny.

- Ale możemy robić inne rzeczy - dodaję szybko. — Jest mnóstwo innych rzeczy. Moglibyśmy na przykład pójść na zakupy - sugeruję z nadzieją w głosie, po czym przypominam sobie, że on przecież jest facetem, pewnie nie znosi chodzenia po sklepach. - Albo się opalać. Albo słuchać muzyki, albo po prostu rozmawiać — kończę patetycznie.

Z twarzy Chucka znika zakłopotanie, zastępuje je szeroki uśmiech.

- Lubię z tobą rozmawiać.

- Ja też. Znaczy z tobą.

Lubię też, gdy milczymy. Ale nie mówię tego głośno, choć mam te słowa na końcu języka. Jestem mężatką. A nawet gdybym nią nie była, Chuck nie jest facetem, który mógłby dać mi szczęście. Przede wszystkim nie chce mieć dzieci. Roberto przynajmniej chciałby je mieć - nawet jeśli nie wierzy, że kiedykolwiek je będzie miał. Nie mam pojęcia, czemu tak lubię spędzać z nim czas. A poza tym - zauważę to po raz kolejny - jestem mężatką. Dokonałam wyboru. Wprawdzie nie układa się teraz między nami najlepiej, ale jesteśmy sobie pisani. Małżeństwo jest ważniejsze niż to, że się komuś z kimś dobrze rozmawia, a nawet dobrze milczy. Takie są zasady i trzeba zaprowadzić w tym wszystkim porządek.

Powietrze między nami jest jednak ciężkie, pełne niedopowiedzeń, nadziei i poczucia winy. To powietrze zdaje sobie sprawę, że w innym czasie, w innym świecie, w innych okolicz-

nościach nie byłoby między nami ani odrobiny powietrza, bo całowalibyśmy się długo, łąpczywie, bez przerwy.

Innych okoliczności jednak nie ma, a powietrze między nami jest. Odsuwam się od Chucka, dosłownie i w przenośni. Zaczynam pakować pozostałości z pikniku i strzepuję okruszki z dzinsów. Musimy pozostać przyjaciółmi. Nie ma miejsca na żadną inną relację. Jakakolwiek inna relacja byłaby niewłaściwa. I niemożliwa. Szukam w myślach czegoś, co mogłoby przerwać to napięcie albo nawet zniechęcić go do mnie. Nic nie ma prawa się między nami wydarzyć. To nie w porządku.

- Nie lubię się włóczyć po starych kościołach, muzeach ani żadnych innych tego typu rzeczach, bo nie dążę do ideału.

- Może to dlatego, że wcale nie musisz. Jesteś dokładnie taka, jaka powinnaś być — odpowiada Chuck. Spogląda na mnie spod swojej blond grzywki i wcale nie wygląda na zniechęconego.

A ja chyba jestem złą osobą, bo mam ochotę skakać z radości i krzyczeć, że miłość jest wokół nas.

25 kwietnia

To niesprawiedliwe, że nie jestem matką - zawsze tak uważałam. To niesprawiedliwe przede wszystkim dlatego, że jestem dobrą osobą. A dobre osoby zasługują na to, by mieć dzieci. Oczywiście każdy lubi o sobie myśleć, że jest dobry, ale ja jestem tego pewna. Nigdy nie przechodzę obojętnie obok osób kwestujących na ulicach, czasem wyciągam portmonetkę, jeszcze zanim się dowiem, na co właściwie zbierają, bo uważam, że jeżeli ktoś poświęca się, stojąc w deszczu na ulicy, to ja powinnam się na ten cel zrzucić, jakkolwiek on jest. Staram się pamiętać o urodzinach, w tym o urodzinach licznych dzieci moich znajomych. Nigdy się nie śmieję z tego, jak ktoś tańczy. Nigdy nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby zaparkować na miejscu dla niepełnosprawnych, a kiedy kupiłam sobie płyty DVD, oddałam całą moją kolekcję kaset wideo do sklepu z rzeczami używanymi, który cały swój dochód przeznaczają na cele charytatywne. Tak, jestem dobrą osobą.

A przynajmniej do niedawna nią byłam.

Jako realistka zdaję sobie sprawę, że nie jestem może nadzwyczajnie dobrą osobą, jak Matka Teresa czy Bob Geldof. Nie jestem nawet tak dobra jak większość moich przyjaciół czy członków rodziny, ale ze stuprocentową pewnością twierdzę, że me jestem osobą złą, dlatego podejmuję nowe wysiłki, by stłumić to głupie, niedorzeczne, kłopotliwe uczucie do Chucka, które się we mnie rodzi. Bo przecież jeśli zamężna kobieta darzy takim głupim, niedorzecznym, kłopotliwym uczuciem mężczyzn?, który wcale nie jest jej mężem, to taka kobieta musi być

złą osobą. Cudzołóstwo jest złe. I wcale nie trzeba być geniuszem, żeby dojść do takich wniosków.

Ale przecież nie mogę wyrzucić go całkowicie ze swojego życia. Po pierwsze, to by było niemożliwe, skoro razem pracujemy i podwozi mnie do szkoły, a później, po zajęciach, do domu. Po drugie, wcale nie muszę od razu podejmować tak radykalnych kroków, przecież nie jestem jakąś samolubną, niegodną zaufania zdzirą. Mogę spędzać z nim czas i pozwolić, by nasza przyjaźń kwitła. I tyle. Jestem pewna, że z czasem okaże się, że to tylko zwykły facet i moje głupie, niewłaściwe uczucie bez wątpienia zniknie. Na pewno. Na sto procent. Może.

A może nie.

Problem w tym, że im więcej czasu z nim spędzam, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że wcale nie jest zwykłym facetem. Jest głęboki. Nieprzewidywalny. Skomplikowany. Prawdziwy. Uświadamiam sobie, że moje zauroczenie Chuckiem nie jest tylko fizyczne, co dodatkowo komplikuje sprawę.

Muszę przyznać, że wypełnia całe moje dni, każdą chwilę w ten czy inny sposób. Widzimy się w każdy poniedziałek i piątek, kiedy przyjeżdża po mnie rano, by zabrać mnie do pracy. Wyczekuję tych dni z taką niecierpliwością, z jaką czterolatek wypatruje świąt. Zawsze zabiera mnie spod wieży zegarowej na piazzę. Uwielbiam te chwile, kiedy czekam na niego podekscytowana i uśmiechnięta. Zastanawiam się, jak będzie ubrany albo co powie na powitanie. Sama myśl o nim, o ile nie zakłóca jej złośliwe uwagi Rafaelli albo niecierpliwe chrząkanie Roberta, powoduje uczucie czystej, niezmaconej radości. Chuck jest niczym pochodnia w ciemnym tunelu. Jest uosobieniem zdrowia i szczęścia i za każdym razem kiedy pojawia się przed moimi oczami, odczuwam ogromną przyjemność. Zazwyczaj kiedy podchodzę do samochodu, szybko z niego wysiada, zabiera moją torbę i całuje mnie w policzek. To takie... przyjemne. I jednocześnie przerażające.

Zawsze mówi mi jakiś komplement, ale nigdy nie jest to nic niestosownego, zazwyczaj coś w stylu: „Ładnie dzisiaj wyglądasz, bardzo profesjonalnie”, albo „Nowa sukienka? Fajna”.

A ja rumienię się i jąkam: „Nie, no co ty, mam ją od lat”, „o oczywiście jest wierutnym kłamstwem. Przygotowanie się rano do wyjścia zajmuje mi teraz znacznie więcej czasu, nie wkładam już na siebie byle czego. Zaczynam rozumieć kobiety, które o sobie dbają. Wprawdzie daleko mi do obsesyjnej dbałości o wygląd, ale zaczęłam golić nogi i nakładać odrobinę różu na policzki. Daje to całkiem niezłe efekty, poza tym mój wysiłek popłaca, bo Chuck dostrzega każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

Nasza podróż samochodem zawsze mija w miłej atmosferze. Chuck ma teraz w zwyczaju przynosić ze sobą owoce, w związku z czym nie muszę już znosić ciężkich mięsnych śniadań Rafaelli, a poza tym gruszki, jabłka, czereśnie oraz mango, którymi mnie częstuje, są świeże, soczyste i przepyszne. Kupuje je na tym samym targu, na który wybrałam się przed naszym piknikiem. Tamtejsze owoce i warzywa smakują wyśmienicie, pochodzą z lokalnych, ekologicznych upraw. Poza tym wspaniale przełamują lody - kiedy widzi się drugą osobę upačkaną ściekającym po podbródki sokiem albo z kawałkiem truskawki pomiędzy zębami, natychmiast znikają resztki onieśmienia.

Chuck uwielbia jedzenie. Jego mama piecze ciasta, ale różni się od innych mam tym, że zrobiła z tego lukratywny biznes - zatrudnia osiem osób i produkuje niesamowite wyroby cukiernicze, które sprzedaje za grube pieniądze zamożnym paniom z San Francisco, a także eleganckim ciastkarniom, kawiarniom i restauracjom. Chuck potrafi godzinami mówić⁰ rzeczach typu kakao w proszku czy laski wanilii. I nawet potrafi nie być przy tym nudny. Jego tata jest już na emeryturze, a wcześniej był rzeźnikiem. Ale wiedząc, że nie przepadam za mięsem, nigdy nie opowiada o jego pracy równie szczegółowo jak o interesie mamy.

- Rzeźnik, piekarz, a twój brat kto - dekarz?*

- Blisko, stolarz. Tylko ja tu nie bardzo pasuję. A jakby kontynuować rymowankę, to nie zostaje mi nic ciekawego - bogacz, biedak, żebrak, złodziej.**

- No, to zaledwie dwadzieścia pięć procent szans, żeby uniknąć życia na zasiłku albo w więzieniu. Nie jestem pewna, czy moi rodzice zaakceptowaliby naszą znajomość - żartuję.

- A moi na pewno bardzo by cię polubili. Mam nadzieję, że kiedyś ich poznasz - odpowiada już bardziej poważnie, a jego komentarz wprawia nas oboje w kłopotliwe milczenie, choć jednocześnie sprawia mi ogromną przyjemność.

Spotykamy się po lekcjach i jemy razem lunch, a potem czasem idziemy na spacer; wyszliśmy też parę razy wieczorem z jego znajomymi. Piszemy do siebie SMS-y pięć albo sześć razy dziennie. Ale nie są to wiadomości pełne podtekstów i flirtu, są zupełnie niewinne, a tym samym wyjątkowo ekscytujące.

Jestem w Barze Adetente. Mają niesamowite lody karmelowe.

Szkoda, że mnie tam nie ma. Jestem w kuchni i szoruję piekarnik!

Ojej. W takim razie kupię litr i wsadzę do zamrażarki, żebyś mogła spróbować przy innej okazji.

..i,.. Dzięki!

* „A butcher, a baker, a candlestick maker” - fragment angielskiej rymowanki „Rub-a-dub-dub”.

** „Rich man, poor man, beggar man, thief” - fragment angielskiej

Widziałaś film „Pane e Tulipan ” ? Myślę, że by ci się spodobał. Jest uroczy i napawa nadzieją.

Nie. A ty widziałeś zachód słońca? Dziś jest wyjątkowo piękny.

Czasami przychodzi do naszego baru, sam lub ze znajomymi. Zawsze cieszę się na jego widok. I chociaż Roberto traktuje go chłodno, a Rafaella niegrzecznie, Chuck zawsze jest uosobieniem dobrych manier i zachowuje się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy, że odwiedzanie mnie może grozić śmiercią z rąk włoskiej mafii albo przynajmniej splunięciem do drinka w wykonaniu Rafaelli (zawsze staram się sama go obsługiwać, żeby zminimalizować to ryzyko; poza tym poradziłam mu, by nigdy nie przyjmował napojów, które nie zostały przy nim nalane). Rafaella ostentacyjnie okazuje mu niechęć, choć nigdy nie zrobił nic, co mogłoby ją w jakikolwiek sposób urazić; wręcz przeciwnie, jest w stosunku do niej wyjątkowo grzeczny i cierpliwy. Zawsze pyta ją po włosku o zdrowie i o bar, stara się nawet zamienić parę słów z jej ojcem, a ona odburkuje cos niechętnie, nie patrząc mu w oczy. Napomknęłam kiedyś, że może tak często do nas zagląda, bo wpadła mu w oko Laurana albo, co lepsze, Paolina, i chyba tylko z tego powodu moja teściowa toleruje jego obecność. Ale pozbyłaby się go, gdyby tylko mogła. I wcale nie dlatego, że jej zdaniem Chuck jest mną zainteresowany, po prostu zauważyła, że w jego obecności uśmiecham się i jestem szczęśliwa.

Chuck lubi książki o kowbojach. Słucha brytyjskich zespołów i jest z tego skrycie dumny; w końcu czemu miałby nie być, Pewnie większość jego znajomych słucha Bruce'a Springsteena.

Twierdzi, że jego ulubiony film to *Moulin Rouge*, ale możliwe, że mnie wkręca. Nie lubi widoku krwi i boi się węży. Jako dziecko miał wypadek i spędził wiele tygodni w szpitalu (wciąż ma

bliznę na łopatce, ale nigdy jej nie widziałam). Jego pierwsza miłość miała na imię Lily-Beth i pocałował ją, gdy miał mniej więcej dwanaście lat. Dziewczynie, którą zaprosił na bal pomaturalny, przyniósł bukiet polnych kwiatów (uważał, że to bardzo oryginalne i osobiste, ale ona uznała to za tanie i stwierdziła, że wolałaby storczyk; pokłócili się i nie odzywali do siebie przez resztę wieczoru). W księdze pamiątkowej jego rocznika napisano o nim, że na pewno będzie podróżować.

- Tak w każdym razie napisano w oficjalnej księdze - dodał.

- A była też nieoficjalna?

- No ba.

- I co w niej napisano?

- Nie mogę powiedzieć.

Spojrzałam na niego, uśmiechając się szeroko.

- No co ty, przecież mnie możesz powiedzieć wszystko.

- Powoli dochodzę do podobnego wniosku, ale boję się, że twoja sympatia do mnie może odrobinę osłabnąć, jeśli zdradzę ci ten sekret — drażni się ze mną. — Ale kiedyś ci powiem, obiecuję. - Przystaję dociekać, bo mu wierzę. Pewnego dnia się dowiem.

To Chuck pocieszał mnie, kiedy dostałam okres. Kiedy Roberto znika na długie godziny, szukam Chucka. Kiedy Rafaella strofuje mnie lub obraża, on pomaga mi się uspokoić i odzyskać pogodę ducha. I choć wiem, że ro niewłaściwe, nie żałuję, że go poznałam. I mam nadzieję, że nigdy nie pożałuję.

Rzuciłam się w wir pracy. Nauka i lekcje w szkole są podstawowymi elementami całego mojego tygodnia, wokół których organizuję resztę zajęć. Wreszcie czuję, że to co robię, ma znaczenie. Muszę przyznać, że praca poza barem, z dala od Rafaelli, a nawet z dala od Roberta, ma swoje zalety. Kolejne dni i tygodnie płyną szybko i nagle okazuje się, że minął już miesiąc.

Kiedy wracamy po lunchu do domu, udaję, że właśnie sobie to uzmysłowiłam, choć tak naprawdę zdawałam sobie z tego

sprawę przez ostatnie dwadzieścia osiem dni. Pierwsza wypłata to naprawdę coś, nawet jeśli wcale nie jest duża.

- Powinniśmy to uczcić - oświadczam, tak jakby ta myśl właśnie teraz przyszła mi do głowy. I nie chodzi wcale o to, że jestem manipulanką, po prostu nie chcę, by myślał, że jestem od niego uzależniona. A przyznanie się, że spędzam większość czasu, rozmyślając, co by tu zrobić, żeby znów się z nim zobaczyć, mogłoby zdradzić, że jestem od niego uzależniona. I że jestem manipulanką.

Cholera.

- A nie będziesz świętować z Robertem? — Spoglądam na niego szeroko otwartymi oczami. Czy on udaje głupka? Znamy się już na tyle, że powinien doskonale zdawać sobie sprawę, że taka opcja nie wchodzi w grę.

- Mało prawdopodobne, dziś jest piątek.

- Jest więc też pewnie mało prawdopodobne, że pozwolą ci wziąć dziś wolne, żebym mógł ugotować dla ciebie kolację, zanim wyjdziemy na podbój barów w Veganze? - pyta.

- Mówisz poważnie? Chcesz dla mnie ugotować kolację?

- Wszyscy moi przyjaciele muszą prędzej czy później spróbować mojego *penne eon gamberi e carciofi*. I rak masz szczęście, że udało ci się tak długo przed tym uchronić.

- Penne z krewetkami i...

- Karczochami. Jesz krewetki? Może być bez, jeśli to problem.

- Nie, w porządku, poza tym nie wiem, czy *penne* z samymi karczochami to dobry pomysł. Lepiej się trzymać sprawdzonego przepisu. Czasem jem ryby i owoce morza, więc nie ma problemu. - Przerywam i przez chwilę rozważam jego propozycję. Po prostu jest miły. Jako przyjaciel. - To świetny pomysł.

Bardzo się staram mówić tonem nonszalanckim. Prawda jest jednak taka, że jeszcze nie byłam u niego w mieszkaniu i nie ma żadnego konkretnego powodu, bym w końcu się tam zjawiała. Mieszka sam, w centrum miasta. I choć często się

spotykamy, jakoś nigdy nie tam. Bardzo dobrze wiem czemu. Ciekawe, czy on też zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli spotkamy się u niego, przekroczymy tę niewidzialną barierę intymności, którą do tej pory udawało nam się ignorować - albo przynajmniej kontrolować.

- Myślisz, że dasz radę?

Jestem pewna, że Roberto i Rafaella będą przeciwni mojej ucieczce od barowych obowiązków w piątkowy wieczór, ale nie oszukujmy się - nie będą za mną tęsknić. Mąż traktuje mnie jak powietrze, a teściowa jak darmową siłę roboczą.

- Nie spodoba im się ten pomysł, ale mam to gdzieś. Zasłużyłam sobie na świętowanie. No to o której to zrobimy?

Moje dwuznaczne pytanie wprowadza krępującą ciszę; przez nanosekundę cały samochód wypełnia napięcie. Po chwili Chuck kaszle zażenowany, a moja twarz oblewa się rumieńcem. Czuję potrzebę sparafrazowania swoich słów.

- O której mam być u ciebie?

- O siódmej.

- Przynieść coś?

- Wystarczy w zupełności, jeśli sama przyjdiesz.

Jesteśmy tylko przyjaciółmi — powtarzam sobie w myślach, zatrzaskując drzwi samochodu. Dobrymi przyjaciółmi. Kogo ja chcę oszukać? Jestem tak podniecona, jakby ktoś rozpałił mi w majtkach pochodnię albo odpalił sztuczne ognie. Prawda jest taka, że pragnę każdego kawałka jego ciała. Niewyobrażalnie, niewłaściwie, niemożliwie pragnę każdego centymetra jego ciała.

Po drodze wpadam na chwilę do baru Adetente, żeby się napić cappuccino i zadzwonić do Alison. Mam nadzieję, że poradzi mi, jak najlepiej wynegocjować dziś wolne.

Telefon odbiera Fiona, co wprawia mnie w lekkie zakłopotanie. Rozmawiamy przez chwilę na wpół oficjalnie, tak jak rozmawiają ze sobą przez telefon dwie osoby, które choć nigdy osobiście nie miały okazji się spotkać, to jednak wiele o sobie słyszały. Mówi, że w zeszły weekend mieli w Londynie piękną pogodę i że zrobiły sobie z Alison piknik w Hyde Parku.

- Będę tęsknić za latem w Londynie - oświadczam.

- Za korkami, zatłoczonymi pociągami i samolotami przelatującymi co chwilę nad głową? - pyta z powątpiewaniem.

-Tak.

- Za walką o kawałek trawy w parku miejskim? -Tak.

- Za obrzydliwą, obwisłą czerwoną od słońca skórą, którą pokazują panie w za ciasnych stanikach?

- Tak - mówię stanowczo.

- No co ty! We Włoszech na pewno jest dużo fajniej. Jestem pewna, że nie dusisz się, wdychając spaliny.

- Spaliny może i nie, za to mam dym papierosowy - ucinam. Wiem, że Fiona stara się być miła, ale z jakiegoś powodu denerwuje mnie jej niedowierzanie, że mogę tęsknić za Londynem.

-Aha. Yyy... Alison bierze teraz prysznic. Powiem jej, żeby do ciebie oddzwoniła, jak wyjdzie, okej?

— Dzięki.

Rozłączam się i od razu czuję lekkie wyrzuty sumienia. Przecież to nie wina tej dziewczyny, że jej życie miłosne kwitnie, podczas gdy moje jest - jak by to powiedzieć - kompletnie pomieszane, przerażające i irytujące. To też nie jej wina, że Alison bierze teraz prysznic (w sumie pośrednio może trochę i jej) i nie może porozmawiać ze mną, gdy tego potrzebuję.

Zamiast cappuccino zamawiam kieliszek wina i rozglądam się wokół. Świeci słońce, już od jakiegoś czasu pogoda jest piękna; ludzie przechadzają się bez pośpiechu, a na ich rumianych twarzach maluje się optymizm. Wreszcie widzę te odcienie Włoch, które zapamiętałam jako nastolatka, a nie te, które przywitały i kompletnie zaskoczyły mnie w styczniu. Widzę utoczę stare budynki z balkonami z kutego żelaza i drewnianymi, pomalowanymi na zielono okiennicami. Ale od razu zauważam też, że okiennice wielu domów pozostają zamknięte i nie mam pojęcia, co się w takich domach dzieje. I pewnie nigdy się nie dowiem. Zauważam też wielu mężczyzn z kwiatami, którzy imponowali mi, gdy byłam nastolatką; teraz jednak dostrzegam również kobiety, które wyglądają na sfrustrowane, a czasem po prostu naiwne. Dlaczego wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi? Zastanawiam się też, czy kwiaty, które niosą mężczyźni, zostały może kupione dla ich kochanek albo mam, nie zaś dla żon.

Ogólnie rzecz biorąc, Włochy wydają się znacznie mniej erotyczne, niż to sobie zapamiętałam. Nie jestem już obiektem tęsknych spojrzeń nastoletnich Romeów, których doświadczałam jako nastolatka. Prawda jest taka, że mężczyźni rzadko zwracają na mnie uwagę, może poza kelnerami, których proszę o rachunek, albo facetami, którzy podrywają wszystko, co się rusza. Kiedy byłam młodsza, musiałam oganiać się od osobników płci brzydkiej. Czuję się przygnębiona tym brakiem namiętności. Starzeję się i ludzie doskonale zdają sobie z tego sprawę.

Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Wcale nie mam zamiaru nikogo podrywać. Mam przecież Roberto. I pewnie właśnie

dlatego, że jestem jego żoną, mężczyźni z Veganze trzymają się ode mnie z daleka. I tak oczywiście powinno być. Nie powinnam pragnąć, by patrzyli na mnie lubieżnie uwodziciele w skórzanych kurtkach. Ale po prostu myślałam, że taka atmosfera przesycona erotyzmem pomoże mi zajść w ciążę. Wiem, że to idiotyczny pomysł, choć z pewnością nie bardziej niż seks w Stonehenge, który kiedyś poważnie rozważałam po przeczytaniu artykułu o tym, że może on mieć zbawienny wpływ na problemy z płodnością.

Na szczęście kelnerzy wciąż zachwycają się dziećmi swoich klientów - przynajmniej ten element jest zgodny z moimi wspomnieniami. Obserwuję rodzinę siedzącą po lewej stronie: dziadkowie, matka, dziecko i niemowlę. Dziewczynka otwiera torebeczki cukru i wysypuje ich zawartość na stół, po czym układa go palcami w słodkie wzorki. Babcia zachwyca się jej kreatywnością, podczas gdy matka zdaje się wahać pomiędzy rozbawieniem a konsternacją. Jestem pewna, że kiedy babcia sama była matką, nie rozpieszczała swojej córki tak, jak teraz rozpieszcza wnuczkę. Pewnie przejmowała się bałaganem. Ale to jest właśnie przywilej dziadków — nie muszą się martwić o nieporządek. Matka delikatnie głaszcze niemowlę po głowie, potem przesuwając dłoń po plecach, by po chwili dotykać palców stóp. Zadowolony maluch gruchocze wesoło, kiedy podnosi go wysoko do góry, a następnie opuszcza i całuje, sprawiając, że oboje zdają się otoczeni błogim szczęściem. Matczyzna miłość przypieczętowana pocałunkiem.

Czuję znajomy ucisk w żołądku.

Czasem wydaje mi się, że kompletnie tracę rozum. Nawet taki triumfalny, które często zdobiją włoskie miasta, przypominają mi o kobietach w ciąży. Jedno pytanie wciąż powraca niczym bumerang - jeśli nie dziecko, to co? Jaki jest sens życia? Jaki jest sens mojego istnienia? Jaki jest sens czegokolwiek? To okropne, złośliwe pytanie krąży w mojej świadomości z niesłabnącą częstotliwością. Od czasu do czasu udaje mi się na chwilę

o nim zapomnieć — kiedy jestem z Chuckiem i rozpira mnie uczucie szczęścia albo ciekawość, albo nawet zakłopotanie. Ale nigdy nie znika zupełnie. Kiedy mam gorsze dni, zastanawiam się, czy moje problemy z poczęciem nie znaczą po prostu, że nie jestem warta tego, by zostać matką. Może to wcale nie przypadek? Może ktoś tam, na górze, wie o czymś, o czym ja nie wiem? Może brakuje mi czegoś i bogowie płodności zdają sobie z tego sprawę, a ja niestety nie?

Wiem, że to szaleństwo. Pochłonięta wątpliwościami i wstrętem do samej siebie, zamawiam kolejny kieliszek. Muszę się napić, może wtedy poprawi się moje zdrowie psychiczne.

Mam ochotę się rozplakać, ale na szczęście ratuje mnie wibrujący na stole telefon.

- Cześć, kochana, dzwoniłaś - mówi Alison. — Czekaj sekundkę. Fi, zrób mi też, dobrze? Tak, i ciastko też. — Po co do mnie dzwoni, jeśli ma zamiar dalej rozmawiać z Fioną? zastanawiam się poirytowana. — Przepraszam. No więc, co tam? Fajnie cię wreszcie słyszeć, nie rozmawialiśmy od...

- Trzech tygodni.

- Liczysz?

- Nie.

Tak. Ale nie mam ochoty się do tego przyznać. Zawsze twierdziłyśmy, że przyjaciele, którzy obrażają się na siebie, bo jeden do drugiego nie zadzwonił, są niestabilni emocjonalnie i niesprawiedliwi. Bo przecież każdy z nich może podnieść słuchawkę i wykręcić numer. Trzeba dwojga, by zacząć przyjaźń, i tak samo trzeba dwojga, by ją zakończyć. Nigdy nie zwracałyśmy uwagi na to, kto do kogo dzwoni. No, przynajmniej do momentu, kiedy Alison przestała do mnie dzwonić.

- Byłyśmy takie zajęte! - chichocze.

Opowiada mi o wszystkich fantastycznych rzeczach, które robiły razem z Fioną. Muszę przyznać, że wygląda na to, że idealnie do siebie pasują. Obydwie lubią jazdę na rowerze, balet i operę, a rzadko się zdarza, że ludzie lubią tego typu rzeczy.

Spędzają dużo czasu w muzeach i galeriach i jestem pewna, że Alison cieszy się, że może oglądać wystawy Davida Hockneya, zamiast włóczyć się ze mną po sklepie Mothercare, oglądając ciuszki dla dzieci i robiąc listę rzeczy, które kiedyś kupię. A poza tym są też sprawy łóżkowe — Fiona daje jej coś, czego ja nie byłam w stanie jej dać, choć kocham ją z całego serca. Zdaję sobie więc sprawę, że muszę oddać jej pozycję najważniejszej osoby w życiu Alison — i muszę to zrobić z godnością.

- Słuchaj, chyba trochę niegrzecznie ucięłam wcześniej rozmowę z Fioną - wyznaję.

- Naprawdę?

Zastanawiam się, czy Fiona już jej o tym wspomniała.

- Mam trochę teraz na głowie. Przepraszaj ją ode mnie i powiesz, że nie chciałam jej urazić?

- Nie przejmuj się, Fiona jest w porządku - zapewnia mnie Alison w zaledwie kilku słowach, jak to ma w zwyczaju. — No więc co takiego masz na głowie?

- Raczej w głowie. Chucka.

- Tego przystojniaka?

- Tak. Jestem przerażona, bo zaczyna mi naprawdę na nim zależeć.

- Kontynuuj. - Jej głos brzmi poważnie, co nie wróży najlepiej. Miałam nadzieję, że uzna moje wyznanie za głupie brednie spowodowane nadmierną ilością słońca.

- Nasza bliskość, zaufanie i zrozumienie przypominają relację między kochankami.

- Ale nie sypiacie ze sobą? -Nie.

- No to znalazłaś sobie nowego najlepszego przyjaciela - stwierdza z entuzjazmem. W jej głosie wyczuwam ulgę. -I tyle.

- Może. Ale czy mężczyzna i kobieta mogą być przyjaciółmi?

- No wiesz, ja wolę kobiety, a jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami.

- No racja. - Chcę w to wierzyć, ale jakoś nie potrafię.

- Wyznał ci miłość na wieki? : -Nie.

- No widzisz, to dobrze.

Naprawdę? „Tak, to dobrze” - mówię sobie w myślach.

- Wszystko jest tak, jak być powinno - mówi pewnym głosem.

- Ale nie powinnam marnować czasu, myśląc o Chucku, powinnam się skupić na robieniu dzieci.

- Właściwie najlepsze w tym wszystkim jest to, że przynajmniej nie myślisz obsesyjnie o zajściu w ciążę. To był pierwszy miesiąc od wielu, wielu lat, kiedy nie zadzwoniłaś do mnie, kiedy dostałaś okres.

Dlaczego wcale nie czuję się lepiej, słysząc jej zapewnienia?

Chuck jednocześnie ekscytuje mnie i uspokaja. Jest prostolinijny i tajemniczy. Nigdy nikogo takiego nie spotkałam. Próbuję wyjaśnić to wszystko Alison w taki sposób, żeby się ze mnie nie naśmiewała.

- Nikt nigdy nie słuchał mnie tak jak on. Mogę mu powiedzieć o wszystkim. Na przykład w zeszłym tygodniu zeszliśmy na temat tego, jaką liczbę byłych kochanków można zaakceptować u partnera, i powiedziałam mu prawdę.

- No i? - Dla szczerzej i bezpośrednio Alison nie jest to oczywiście nic nadzwyczajnego. Może kobiety są bardziej wyrozumiałe w tych sprawach. Mężczyźni rzadko chcą znać prawdę.

- Kiedy Roberto zadał mi to samo pytanie sześć i pół roku temu, powiedziałam, że miałam dwóch.

- Dwóch? — Alison krztusi się.

-Tak. O czternastu mniej niż w rzeczywistości, ale dla niego i tak o dwóch za dużo.

- Ale to chyba mówi więcej o twoim związku z Robertem niż o relacjach z Chuckiem - zauważa Alison. - A jak tam w ogóle wasze życie seksualne?

- Moje życie seksualne ma się w porządku, dzięki — odpowiadam, zdając sobie jednak sprawę z tego, że kłamię, dodaję: — W sumie Roberto wciąż spędza mnóstwo czasu w barze i rzadko go widuję.

- A rozmawialiście o Anie-Marii?

- Nie, to już przeszłość. — Chcę, by mój głos brzmiał beztrosko.

- Naprawdę? - pyta z typową dla siebie dociekliwością. - Masz prawo wiedzieć, o co się pokłócili i kiedy.

-Ale mnie to zupełnie nie interesuje. — Odsuwam od siebie tę myśl, próbując żartować. - Obawiam się, że powinnam raczej martwić się o siebie. Jestem samotną imigrantką z wiecznie zajęтым mężem, obok której pojawia się nagle ekscytujący nieznajomy. Jeśliby wierzyć stereotypom, taka sytuacja musi zakończyć się romanssem.

- Bardzo prawdopodobne. Poza tym ty lubisz stereotypy. - Alison wcale nie żartuje. — Jak dla mnie to ty tęsknisz za Anglią - oświadcza.

- Niemożliwe. Przecież całe życie marzyłam o tym, żeby mieszkać we Włoszech.

- Nikt ci nigdy nie powiedział, że trzeba uważać, czego się pragnie? Ciężko jest później skonfrontować marzenia z rzeczywistością. Znacznie łatwiej żyć w świecie fantazji.

- To takie przygnębiające.

Jestem zła i rozczarowana, z jednej strony dlatego, że zdaję sobie sprawę, że w jej słowach jest ziarnko prawdy, a z drugiej dlatego, że nie docenia wielkości mojego uczucia do Chucka.

- Myślę, że ten cały Chuck jest właśnie częścią twojej tęsknoty. Wydaje ci się, że ci się podoba, bo macie ze sobą wiele wspólnego.

- No co ty! Przecież on jest Amerykaninem, nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego.

Alison wybucha śmiechem.

— Ach, te twoje uprzedzenia i naiwność, uwielbiam je. — Moja irytacja wzrasta. - Czy ty naprawdę nie widzisz, że nie wszystko można zaszufladkować tak, jakbyś chciała? A jeśli tęsknisz za domem, powinnaś zadzwonić do rodziców — mówi, po czym rozłącza się.

Rozmawiam z rodzicami niezmiennie w każdą niedzielę o siódmej wieczorem, więc kiedy mama odbiera telefon ode mnie w piątek po południu, wpada w panikę. Najpierw wydaje się naprawdę przestraszona, a następnie, po wysłuchaniu moich zapewnień, że zarówno ja, jak i Roberto mamy się dobrze, zdaje się na coś czekać. Oczywiście nigdy by nie śmiała czegoś takiego powiedzieć, ale chyba myśli, że dzwonię z ważnymi wieściami. No bo czemu miałabym nagle dzwonić ni stąd, ni zowąd? Często wyobrażałam sobie, co dokładnie powiem, kiedy wreszcie poinformuję ją, że i ja uczynię ją babcią. Będę zachwycona i pełna energii. Nie wspomnę nic o latach oczekiwania. Będziemy szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi. Szkoda, że to nie ten telefon. Szybko udaje mi się wyprowadzić ją z błędu, pytając o sąsiadów i ogród.

Moi rodzice uwielbiają swój ogród, jest olbrzymi i właśnie ze względu na niego lata temu zdecydowali się na kupno domu, który sam w sobie nie jest zbyt imponujący. Ogród natomiast to okazała mieszanka pomysłowej architektury krajobrazu, oryginalnej roślinności i starych drzew. Cała nasza rodzina spędziła w nim wiele godzin, bawiąc się, rozmawiając, sącząc wino, sprzecząc się i rozwiązując problemy świata. Nagle mam olbrzymią ochotę usiąść sobie z nimi w tym ogrodzie z kieliszkiem chardonnay w jednej ręce i książką w drugiej. Jest już prawie maj, więc na pewno kwitną drzewa owocowe, a kwiaty wisterii pną się w górę, okrywając całą ścianę domu.

-Wygląda przepięknie, szkoda, że nie możesz go zobaczyć. Mam tylko nadzieję, że władze miasta nie wprowadzą znowu zakazu używania węży ogrodowych. Twój ojciec właśnie skończył kosić trawę, a teraz ją grabi, choć prosiłam go, by trochę

odpoczął. Ale jutro przyjeżdża Max z rodziną, a wiesz, jaki jest twój tata, wszystko musi wyglądać idealnie, kiedy przyjeżdża któreś z was.

Prawie czuję zapach świeżo skoszonej trawy. Nagle odczuwam dziwny sentyment do koniczyny, i to wcale niekoniecznie tej przynoszącej szczęście, czterolistnej, do zwykłej, z trzema listkami, której w Anglii jest pod dostatkiem.

Choć dzielą nas tysiące kilometrów, mama zdaje się czytać w moich myślach.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Jasne - odpowiadam wesoło i nieszczerze.

- Wiesz, właśnie wczoraj rozmawialiśmy z ojcem o wakacjach. Strasznie byśmy chcieli cię w końcu odwiedzić i zobaczyć twój nowy dom.

- Byłoby super. Powinniście przyjechać, zanim zrobi się gorąco.

- Tak, albo na jesień.

Szczerze wątpię, czy kiedykolwiek się na to zdecydują, wciąż wolą wakacje w Anglii. Ale przecież nikomu nie szkodzi myśleć, że tak się stanie; w sumie to bardzo pokrzepiająca myśl. Jestem pewna, że tata ustawiłby Rafaellę, nie znosi takich despotek.

- Masz jakiś taki smutny głos — mówi mama ostrożnie. Nie lubię przysparzać jej zmartwień, staram się więc przybrać ton pogodny.

-Wcale nie. Dziś mija miesiąc, odkąd zaczęłam nową pracę, i właśnie się zastanawiam, jak to uczuć.

- Roberto szykuje dla ciebie coś specjalnego?

- Możliwe — kłamię. Wystarczy, że nie dzwonię, by powiedzieć jej, że jestem w ciąży, nie mogę jeszcze do tego przyznać, że to nie Roberto szykuje dla mnie coś specjalnego, tylko napakowany Amerykanin, którego darzę niestosownym uczuciem. Czasem chciałabym być kimś zupełnie innym.

-Tak strasznie się z ojcem cieszymy, że zaczęłaś uczyć, Elizabeth. - Nie ma odwagi dodać niczego więcej, żeby mnie nie

urazić albo nie wywierać na mnie jakiejś presji, której i tak się nie poddam. Obydwe wiemy, że trochę późno rozpoczynam karierę. Ale cieszę się, że moi rodzice uważają, że lepiej późno niż wcale. — Dać ci ojca, kochanie?

- Jeśli jest w pobliżu.

- Zaraz go zawołam.

Słyszę, jak idzie przedpokojem, i wyobrażam sobie, jak wchodzi do ogrodu. Moi rodzice mają tylko jeden telefon, który wisi w przedpokoju na ścianie już od co najmniej trzydziestu lat. Mama wybiera numery ołówkiem, choć wcale nie ma długich paznokci, które mogłaby połamać; to chyba jedyna pretensjonalna rzecz, którą robi, ale wcale mnie to nie irytuje — wręcz przeciwnie — wydaje mi się raczej urocze i ujmujące. Nie chcą nawet słyszeć o zainstalowaniu kolejnego telefonu albo o bezprzewodowym aparacie, albo — co gorsza — o komórce. Uśmiecham się do siebie, czując nagłą czułość i sympatię dla ich staromodnych zwyczajów. Niezmiennność rodziców to wspaniała rzecz.

Kiedy przychodzę do domu, Roberto odpoczywa na łóżku w naszym pokoju.

-Wszystko okej? - pytam. Choć ostatnio zaniedbuje mnie i jest wyjątkowo niemiły, to rzadko odpoczywa popołudniami, zwykle naprawdę ciężko pracuje.

- Tak. Tylko musiałem zrobić sobie przerwę od hałasu w barze i od mammy.

Bar staje się coraz bardziej popularny, a ludzie przychodzą już nie tylko wieczorami, za dnia też jest dość tłoczno. Zwykle jest to dla Roberta powód do dumy, widzi wszak, że cała jego ciężka praca przynosi rezultaty. Poza tym nigdy wcześniej nie przyznał, że bezustanny potok słów wypływający z ust Rafaelli i jej cienki, piskliwy głos czasem jednak go denerwują. Ale kiedy patrzę na niego teraz, leżącego w pokoju z przyciemnionym światłem, zakrywającego oczy ręką, wygląda na bardzo zmęczonego.

- Rafaella znów narzekała, że automat z papierosami jest pusty? Mówiłam jej, że dziś będzie dostawa, ale...

- Nie, mamma wcale nie narzekała, że automat jest pusty. Ani na nic innego - przerywa mi poirytowany, pozbawiając mnie tym samym możliwości okazania mu współczucia czy choćby nawiązania nici porozumienia.

Za grosz mu nie wierzę. Rafaella nie byłaby sobą, gdyby wiecznie nie marudziła. I jestem pewna, że jemu też to działa na nerwy, dlaczego więc nie chce się do tego przyznać? Moglibyśmy się z tego pośmiać i zmniejszyć trochę napięcie, które oddala nas od siebie niczym wysoka ściana.

— Powiedzenie żonie, że matka cię wkurza, wcale nie jest niełojalne - zauważam. Roberto wpatruje się we mnie wzrokiem, który przyprawia mnie o zimny dreszcz. Gdyby tylko wzrok mógł zabijać, z pewnością pukałabym właśnie do bram niebios. - To znaczy chciałam tylko powiedzieć...

Głos więźnie mi w gardle. Co właściwie chciałam powiedzieć? I po co? Choć Roberto nie chce słyszeć złego słowa na temat swojej matki, jestem pewna, że niejednokrotnie dyskutował z nią o moich wadach i niedoskonałościach. I nie dam rady obronić się ani zmienić jego podejścia w ciągu kilku minut. Po co więc w ogóle próbować?

Jest jeden minus częstych wizyt Chucka w barze. Przedziwnym zbiegiem okoliczności Ana-Maria zaczęła przychodzić tam równie często. Już od dłuższego czasu podejrzewałam, że Roberto odwiedza ją tu i ówdzie, ale do tej pory mieli tyle przyzwoitości, żeby nie flirtować na moich oczach. Teraz jednak jego była dziewczyna pojawia się w barze niemalże codziennie i choć nie mogę się za bardzo temu sprzeciwić, to muszę przyznać, że średnio mnie to cieszy.

Zawsze jest przemiła dla Rafaelli i dziadka; ilekroć przychodzi do baru, ich twarze rozświetlają się niczym wesołe miasteczko w nocy. Utrzymuje również przyjacielskie stosunki z Paoliną, a dla mnie jest zawsze nienagannie uprzejma. Prawda jest taka, że traktuje rodzinę Roberta dokładnie tak, jak traktuje ich Chuck. A ja nie potrafię zdecydować, czy to dobry czy zły znak. Bo przecież wiem, że nic się nie dzieje pomiędzy mną a Chuckiem, czy nie powinnam więc sądzić, że nie ma nic niestosownego w stosunkach Any-Marii i Roberta? Pewnie są tylko przyjaciółmi. Bardzo dobrymi przyjaciółmi. Przyjaciółmi, którzy są potajemnie sobą zauroczeni? Nie, nie, nie. Nie powinnam mieć takich myśli. Odsuwam je na bok.

Oczywiście spędziłam wiele godzin, analizując relacje pomiędzy moim mężem a jego byłą dziewczyną, prawie tyle samo czasu rozmyślałam o stosunkach, które łączą mnie z Chuckiem.

Trudno nie zauważyć, że kiedy Roberto uśmiecha się do niej, każda część jego ciała zdaje się emanować radością. Zawsze uważnie jej słucha. Rozmawia z nią. Śmieje się z nią. Dokładnie tak jak ja z Chuckiem. I tak jak kiedyś my ze sobą - bardzo dawno temu. Ale nigdy nie usłyszałam ani jednego słowa, nie widziałam żadnego gestu, który zdradziłby, że są kimś więcej niż przyjaciółmi. Nie mogę więc żywić do niej urazy, to by było nie w porządku.

Siadam na brzegu łóżka, po czym ściągam adidas i kładę się na wznak na łóżku obok Roberta. Drapię się po głowie i zastanawiam, co na siebie włożę, jeśli uda mi się wyrwać dziś z baru.

- Kto dziś pracuje? - pytam jakby mimochodem.

- *Wszyscy*. Myślę, że będzie sporo ludzi.

- Aha — drapię się nerwowo po goleni.

- Dlaczego wciąż się swędzisz? — pyta Roberto.

- Drapiesz — poprawiam. Młaska z niezadowoleniem. Zdaję sobie sprawę, że moje poprawianie go będzie się wkrótce musiało skończyć. Nie mam prawa tego robić, bo sama nawet nie znam tych dwóch słów po włosku.

- Coś mnie ugryzło - mówię. Spogląda na mnie z okrutną wręcz niecierpliwością. I choć wiem, że moja noga nie odpadnie, a ugryzienie komara nie zagraża mojemu życiu, to przydałaby się odrobina współczucia z jego strony. To przecież nie moja wina, że zasmakowałam jakiemuś owadowi. — Rzadko mi się to zdarza - mruczę przeproszająco.

- Bo nigdy nie byłaś w miejscu, gdzie komary mogłyby cię pogryźć - zauważa zimno.

Wygląda na to, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Zastanawiam się właśnie, w jaki sposób najlepiej poruszyć temat mojego wolnego wieczoru, kiedy Roberto przewraca się w moją stronę.

Kładzie rękę na mojej lewej piersi i zaczyna ją gnieść, tak jakby ugniatał ciasto.

- Aua, zostaw. - Odpycham go. - Są nabrzmiałe, mam okres. - Kłamię. Nawet nie powinnam go dostać w najbliższym czasie, ale minął już najbardziej płodny moment w moim cyklu, po co się więc wysilać? Nie potrafię wykrzesać z siebie wystarczającej energii. Oddycham powoli, bojąc się, że Roberto odkryje moje kłamstwo. Pamięta, że powiedziałam dokładnie to samo dwa tygodnie temu? Natychmiast się ode mnie odsuwa, wzdychając przy tym ciężko.

— W samą porę - mówi z przekąsem.

Nie kryje swojego niezadowolenia i choć nie mówi tego na głos, sądzi, że to moja wina. Mam wrażenie, że uginam się pod lawiną rozczarowania. Nie wydaje mi się, żeby Roberto był smutny, jest raczej marudny i napalony.

- Cóż, możesz mi zrobić dobrze - dodaje.

Pociąga moją rękę w kierunku swojego krocza, drugą rozpina rozpiorek. Czy ta nagła ochota na seks znaczy, że wcale nie ma romansu z Aną-Marią? Wątpię, żeby mężczyzna, który ma kochankę, dręczył swoją żonę, by „zrobiła mu dobrze”. Powinnam czuć ulgę.

— Przestań — wyrywam rękę i rzucam mu spojrzenie pełne obrzydzenia i wyrzutu. - Jestem zmęczona.

Wprawdzie moja praca w szkole to tylko osiem godzin tygodniowo, ale jeśli się doda do tego dwie na dojazd, kolejne dwie na przygotowanie lekcji i sprawdzenie zadań domowych, następne dwie na lekcje z signorem Castoro plus cztery lub pięć na odrobienie zadań, które mi zadaje, do tego jakieś sześć zmian w barze, a czasem nawet i więcej, wychodzi, że pracuję sześćdziesiąt godzin w tygodniu. Mam więc prawo odczuwać zmęczenie. Często ostatnio używam tej wymówki. W sumie jeśliby się nad tym zastanowić, to noc w noc mówię mu, że jestem zmęczona, po czym zasypiam, nie zastanawiając się, jakie to przyniesie konsekwencje (albo jakich na pewno nie przyniesie).

Poza tym zrobienie tego, o co mnie prosi, nie ma żadnego sensu. I nie chodzi o to, że nie przepadam za tego typu zaba-

wami. - Rozumiem, że niektórzy uważają je za podniecające, ale ja osobiście nie wiem, po co miałabym to robić. Przecież i rak nie będzie z tego dzieci. Nie żeby nasz dotychczasowy seks dał nam potomstwo, ale przynajmniej była w tym jakaś szansa, choćby niewielka.

- To przecież nic nie da.

- Da bardzo wiele. Sprawia mi przyjemność.

- Nie jestem w nastroju.

- Ale ja jestem - upiera się.

Czy on naprawdę myśli, że uda mu się zmusić mnie, żebym „zrobiła mu dobrze”, jak to delikatnie ujął? Czy naprawdę sądzi, że będę poruszać ręką w rytm jego sapania, bo jest to mój małżeński obowiązek? Problem w tym, że gdyby się przyjrzeć dokładniej zjawisku, jakim jest akt seksualny, trudno nie zauważyć, że to idiotyczna sprawa. Ten ruch w górę i w dół, wkładanie i wyciąganie, i lizanie. Nie ma co się temu dokładnie przyglądać, a jednak niepłodne pary nie robią nic innego, tylko badają swoje życie seksualne. A przecież to absurd. Przez chwilę gotuję się ze złości, ale potem obrzydliwa myśl pojawia się w mojej głowie. Jeśli zrobię to, na co on ma ochotę, zwiększę swoje szanse na wolny wieczór.

Z trudem łapię powietrze na samą myśl o tym, że mogłabym się do tego posunąć, i czuję do siebie obrzydzenie. Nigdy nie traktowałam seksu jako karty przetargowej. Niektóre kobiety robią to bezustannie i bynajmniej nie mam tu na myśli okropnych seksualnych dewiantek; mówię o zwykłych, uśmiechniętych, miłych kobietach. Takich, które robią zakupy w sieciówkach, chodzą na basen i pracują - takich jak moje znajome. Kobiety dużo sobie nawzajem mówią, wiem więc, że wiele z nich zgadza się na seks, bo to najszybszy sposób, żeby pójść spać. Albo dlatego, że mąż powiesił w końcu półkę w pokoju dziecięcym, a seks ma być dla niego nagrodą. Albo żeby podziękować mu za to, że o czymś pamiętał. Albo żeby powiedział, że ją kocha. Żeby nie odszedł. Żeby go pocieszyć, bo właśnie

stracił pracę. Żeby mu pogratulować, bo dostał awans. A czasem po prostu dla gotówki.

Powodów, dla których ludzie uprawiają seks, jest całe mnóstwo. Ale nie dla mnie. Do tej pory robiłam to dlatego, że kocham Roberta, albo dlatego, żeby zajść w ciążę. Przepraszam, chciałam powiedzieć: dlatego, że kocham Roberta, i dlatego, żeby zajść w ciążę. A teraz rozważam możliwość seksu, żeby zgodził się na moje spotkanie z innym mężczyzną.

Na samą myśl o tym przechodzą mi ciarki po plecach. Siadam jednak na łóżku i sięgam do na wpół rozpiętego rozporoka.

— No to zobaczymy, jak dobrze zdołam ci zrobić - mówię z ponętym uśmiechem, który na pewno nie należy do mnie. Chyba kiedyś widziałam go u jakiejś *femme fatale* w podrzędnym filmie albo telenoweli.

Punktualnie o ósmej zjawiam się u Chucka. Zamaszyście otwiera drzwi i wita mnie szerokim uśmiechem.

— Cześć, chodź do kuchni, bo jeszcze nie skończyłem.

Drzwi wejściowe prowadzą prosto do salonu i kiedy przez niego przechodzimy, Chuck wskazuje ręką na drzwi w prawym rogu, które muszą prowadzić do kuchni - włączone światło i muzyka oraz wydobywająca się stamtąd para nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Jego mieszkanie, choć niewielkie, mieści wiele rzeczy. Tętni życiem i odpowiada na wiele pytań dotyczących jego osobowości, jednocześnie zdając się zadawać drugie tyle. Gdzieś w kącie dostrzegam rakietę i sportowe obuwie - mogłam się tego spodziewać, wygląda, jakby często uprawiał sport. Na każdej ścianie wisi obraz namalowany przez innego lokalnego artystę; jest też afrykańska maska w kolorze mahoniowym, bambusowy zwój pokryty dalekowschodnią kaligrafią, a także pejzaż namalowany akwarelami i przedstawiający jesienne drzewa z czerwonymi liśćmi - pewnie z Kanady albo Nowej Anglii. Na półkach i maleńkim telewizorze poustawiane są fotografie, z których spoglądają na mnie uśmiechnięte twarze, obce, choć jednocześnie jakby znane; każdy ma tego typu zdjęcia — tylko zmieniają się grupy znajomych. Są też fotki odległych miejsc i Chucka skaczącego ze spadochronem, latającego na lotni, wspinającego się w górach i dokonującego różnych innych wyczynów na miarę agenta 007. Od samego patrzenia na nie czuję się zmęczona. W? za nim w stronę kuchni, próbując nie potknąć się o leżące

wokół przedmioty, po czym chętnie przyjmuję kieliszek wina, który mi podaje.

Patrzę, jak zręcznie układa na talerzu kilka przekąsek — oliwki, prażone migdały, *focaccię* - po czym stawia je na *stole* razem z oliwą i octem balsamicznym. Następnie *zapala* świece. Okno jest uchylone na kilka centymetrów, do domu przedostaje się więc świeże, ciepłe marcowe powietrze, przynosząc ze sobą delikatny zapach bazylii i tymianku, które rosną w doniczkach na parapecie. Niknące powoli za górami słońce sprawia, że niebo ma odcienie bursztynu i purpury, ulice miasta są więc skąpane w blado-pomarańczowych blaskach zmierzchu. I choć wiem, że Włochy to bardzo katolicki kraj, to jednak zawsze w takiej sytuacji przychodzą mi na myśl członkowie ruchu Hare Kriszna w swoich pomarańczowych szatach, wesoło odśpiewujący mantrę i potrząsający tamburynami.

— Strasznie mi się podoba twoje mieszkanie.

— Nie jest zbyt duże, ale spokojnie mi wystarcza. I jest takie...

— Klimatyczne — kończę jego zdanie. Kiwa potakująco głową. — *Jest takie* ciepłe i przyjemne; dokładnie takie, jak powinno. Poczulałam to od progu - mówię.

— Masz dosyć mieszkania z Rafaellą, co? - pyta Chuck. Cieszę się, że nie owija w bawełnę; prawdziwy przyjaciel może pytać o takie rzeczy bez ogródek.

— Dosyć to mało powiedziane, szczerze mówiąc.

Przypominam sobie zimne, surowe pokoje z ciężkimi drewnianymi meblami, zagracającymi dom pełen niepisanych zasad, które można złamać stanowczo zbyt łatwo, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Telefon do rodziców wcale nie sprawił, że mniej tęsknię za Anglią, wręcz przeciwnie - teraz tęsknię jeszcze bardziej. Kiedy z nimi rozmawiałam, byli tacy mili i otwarci. W ich domu też obowiązują pewne zasady, ale są to zasady sensowne i zrozumiałe, na przykład niezostawianie mokrych ręczników na podłodze.

- Wiesz, codziennie, kiedy wstaję rano i schodzę na dół na śniadanie, czuję się jak uczennica, która przychodzi do nowej szkoły w środku semestru.

- A wszystkie dzieci mają już najlepszych przyjaciół...

- Tak, i wiedzą, na których nauczycieli trzeba uważać, a kto daje najwięcej zadania domowego.

- Tobie zaś się wydaje, że już zawsze będziesz z tyłu i nigdy nic się nie zmieni?

- Właśnie.

- Dlaczego czegoś nie wynajmiecie?

- Nie wydaje mi się, żeby Roberto dojrzał do przecięcia pępownicy. Ale dajmy mu czas, w końcu ma dopiero trzydzieści cztery lata - dodaję sarkastycznie.

Chuck wpatruje się w podłogę, wygląda na zasmuconego. Chyba go zawstydziłam. Ja przyglądam się kieliszkowi z winem. A raczej bez wina — szybko poszło. Ale przynajmniej wyjaśnia to, dlaczego byłam tak nietaktowna. Zazwyczaj staram się, by mroczne myśli i uczucia, które czają się w mojej głowie i sercu, nie wydostały się na zewnątrz, ale alkohol sprawia, że kumulują się i gęstnieją, w związku z czym znacznie trudniej je kontrolować. Zwykle, nawet jeśli jestem strasznie wściekła na Roberta, gryzę się w język. I wcale nie powoduje mną wspaniałość ani lojalność. Prawda jest taka, że nie wspominam o swojej ogromnej złości na męża, gdyż boję się, że jeśli otworzę wrota śluzy, cała moja złość i rozczarowanie trysną niczym woda z uszkodzonego hydrantu. Nawet w myślach nie pozwalam sobie za bardzo na analizowanie naszego związku, który staje się coraz bardziej ponury i w którym coraz mniej miejsca na jakąkolwiek rozmowę. Poza tym kiedy jestem z Chuckiem, najczęściej staram się zapomnieć, jak beznadziejne są chwile, kiedy z nim nie jestem. Nie powinnam otwierać śluzy.

- Nie mogę się doczekać, żeby spróbować tego twojego słynnego *penne eon gamberi e carciofi*— mówię, próbując zmienić temat i nastrój.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować. Mnie smakuje. Wieczór wypełnia nam przepyszne jedzenie, niebiańskie zapachy, brzęk kieliszków i wesołe rozmowy. Szczerze mówiąc, krewetki są trochę suche i nie aż tak dobre, jak zapowiadał Chuck, ale zupełnie mi to nie przeszkadza. Jemu natomiast przeszkadza. Zapewnia mnie, że nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się ich przypalić.

— To wszystko twoja wina, strasznie mnie rozpraszasz - narzeka.

Oboje wiemy, że właśnie powiedział mi komplement. Jestem zachwycona, że go rozpraszam. Mam ochotę rozpraszać go do szaleństwa. Co z pewnością nie jest zbyt odpowiednią myślą, ale przecież trochę już wypiliśmy.

On też mnie rozprasza. Za każdym razem gdy jesteśmy razem, wydaje się wyższy. Jego włosy są przydługie i opadają niedbale, czasem muskając podbródek, i muszę przyznać, że zaczęłam im zazdrościć - też chciałabym dotknąć jego podbródka, chciałabym dotykać każdej części jego ciała. Nasz krótki kontakt fizyczny jest jednak zawsze dostosowany do mojego stanu cywilnego i ogranicza się zwykle do uścisku, jeśli nie widzieliśmy się przez jakiś czas, oraz do pocałunków w oba policzki, które zawsze wymieniają ze sobą Włosi, kiedy się żegnamy. Nie dotykamy się częściej niż para staruszków grająca w bule na piazzy. Kiedy już jednak mnie dotyka, za każdym razem wypełnia mnie uczucie zaskoczenia i ekscytacji; a kiedy mnie puszcza, tęsknię za nim. Kiedy się odsuwa, muszę powstrzymać swoje ciało, by z powrotem do niego nie przylgnęło. Staruszkowie grający na piazzy w bule chyba nie żywią podobnych uczuć.

Dziś patrzę, jak przeczesuje ręką włosy, odgarniając je z twarzy, i pragnę, by jego palce dotykały mnie równie szybko, z taką samą determinacją. Wiem, że to okropna myśl i jak zawsze staram się ją ignorować. Przysięgam sobie, że nigdy nie powiem o tym nikomu, nawet Alison, bo jak już się coś głośno powie, to nie można tego potem cofnąć. A poza tym i tak wiem, co po-

wiedziałyby na to Alison; ona uważa, że myślę o Chucku tylko dlatego, że nie jestem w ciąży ani nie jestem... szczęśliwa.

I może ma rację, ale czasem zastanawiam się, czy może nie jest na odwrót. Może jestem nieszczęśliwa z Robertem, bo tracę głowę i serce dla Chucka? Znów wpatruję się w pusty kieliszek (chyba przecieka), to pewnie alkohol powoduje, że stoję przed odwiecznym dylematem: co było najpierw, jajko czy kura? Do dziś znacznie lepiej udawało mi się kontrolować swoje myśli i słowa.

Ale nie ma znaczenia, co sobie myślę; najważniejsze jest to, co robię - przypominam sobie. Nie można być niewiernym w myślach. Cholera, co też mi przyszło do głowy? Niewierna? Kro w ogóle wpadł na taki pomysł?

Ja.

Upijam kolejny łyk i opieram się plecami o drewniane krzesło. Niebo ma teraz kolor granatowoczarny, ale powietrze przedostające się do mieszkania przez uchylone okno wciąż jest ciepłe. Z głośników sączą się łagodne dźwięki pianina i trąbek oraz łatwo rozpoznawalny głos Mii Railey zwanej „Matką Bluesa”. Wcale nie zakochuję się w Chucku. To niemożliwe. On ma długie włosy. A ja nie lubię facetów o cygańskim wyglądzie.

Ale jego naturalne, niewymuszone piękno jest strasznie pociągające. Nie wiem, ile godzin Roberto spędza przed lustrem, naprawdę nie mam pojęcia. Często robi sobie manikiur i wyrywa brwi. Chuck ma szerokie ramiona, wąskie biodra i najbardziej seksowny tyłeczek, jaki kiedykolwiek widziałam. Dziś ma na sobie obcisły podkoszulek i wytarte dżinsy Diesel. Widać, że spędził przed lustrem dokładnie tyle czasu, ile powinien, by nie pomyślano, że jest próżny i że dzisiejsza noc zapowiada się obiecująco. Bo wcale się nie zapowiada. Na pewno. Nie może, bo ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Cieszę się więc, że Chuck nie uważa, że dzisiejsza noc zapowiada się obiecująco ~ tyle tylko chciałam powiedzieć.

- Nie wiedziałam, że jesteś fanem bluesa.

- Bo raczej nie jestem. Ale ty mówiłaś, że jesteś, a że zobaczyłem w sklepie płytę z piosenkami Bessie Smith, Idy Cox i Victorii Spivey - po każdym nazwisku robi krótką przerwę, czekając na moją reakcję — postanowiłem sprawdzić, czym to się je.

- Poważnie? — To nic innego jak kolejny komplement z jego ust. - I co, podoba ci się? - pytam.

- Tak, ale te wszystkie bluesowe piosenkarki były strasznie smutne, co? To raczej nie są wesołe kawałki.

- Stąd nazwa „blues”.*

- No wiem. Ale jak to się stało, że lubisz tego typu muzykę?

- W sumie nie wiem. Miłość do bluesa zaszczepili we mnie rodzice. Słuchałam go, będąc nieszczęśliwą nastolatką — wyjaśniam.

- Fajnie. Wszyscy inni słuchali pewnie Goerge'a Michaela. Musiałaś być najfajniejszą laską w szkole.

- Nie bardzo.

-Jak to nie? Ludzie często wymyślają sobie jakieś nietuzinkowe zainteresowania, żeby zaimponować innym, a ty naprawdę wiedziałaś, kim była Bessie Smith czy Ida Cox.

- Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam. Zawsze uważałam, że jestem po prostu trochę dziwna.

- Dziwne jest tylko to, że nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś niesamowita - i nie przerywając, a tym samym nie pozwalając naszym mózgom przetworzyć tego, co właśnie powiedział, dodaje: - Jeszcze trochę wina?

-Tak.

- Otworzę następną butelkę.

- Dobry pomysł.

Na jego twarzy co chwilę pojawia się uroczy uśmiech. Jest szczery i rozjaśnia całą twarz - oczy, policzki, bruzdy mimiczne. Jest śliczny.

* Z ang. smutek, chandra.

- Cholera, skończyło się, przepraszam. Co powiesz na coś mocniejszego?

Trzy tequile i będzie mnie trzeba zbierać z podłogi.

- Czemu nie? - odpowiadam, choć dobrze wiem, że powinnam unikać wysokoprocentowych alkoholi, mam słabą głowę. Zwykle cały następny dzień rzygam jak kot. Ale nie chcę jeszcze trzeźwieć.

- Mogę ci zadać bardzo osobiste pytanie? - pyta Chuck, nalewając drinki.

„Tak, tak, urodzę ci mnóstwo dzieci!” — oczywiście przemawia przede mną alkohol i dzięki Bogu, przemawia w mojej głowie. - Możesz — odpowiadam ostrożnie.

- Mogłabyś mi wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo chcesz mieć dzieci?

O, tego się nie spodziewałam. Muszę wpatrywać się w niego zdumionym wzrokiem, bo po chwili dodaje:

- Chodziło mi o to, skąd wiesz, że jeśli będziesz miała dziecko, to wszystko będzie OK?

Słyszałam już to pytanie. Alison zadała je kiedyś nieopatrnie, znużona i poirytowana moimi monotematycznymi wywodami; ostatnio Roberto zadał mi je, chcąc podać w wątpliwość moje racje; inni przyjaciele - a nawet znajomi — pytali o to, chcąc nawiązać jakąś rozmowę. Pytali mnie też o to lekarze, neutralnym, spokojnym tonem, na kilka sekund przed poinformowaniem mnie, że raczej i tak nic z tego nie będzie. Wyjaśnienie, skąd się bierze moje pragnienie, moja potrzeba bycia matką, wydaje się niemożliwe. Szczerze mówiąc, praktycznie przestałam podejmować próby wytłumaczenia tego niesłabnącego uczucia, które wypala mnie od środka i kieruje całym moim życiem.

Chuck wcale nie mówi tego złośliwie czy prowokująco, jego głos wydaje się tak szczerzy i ciepły jak nigdy dotąd.

- Czemu chcesz wiedzieć? - pytam niepewnie.

Przez cały wieczór siedzieliśmy po przeciwnych stronach stołu, teraz Chuck podnosi jednak krzesło i przenosi się na moją

stronę. Siada tuż obok mnie. Dostrzegam delikatny połysk jego skóry. Zapalone świece i gotujące się przez jakiś czas potrawy sprawiły, że w kuchni jest gorąco. Ale Chuck wcale nie wygląda na spoconego, jego skóra zdaje się błyszczeć i mienić, wydaje mi się taki trochę... nierealny.

- Chcę zrozumieć. Wy tłumacz mi, proszę - nalega cicho.

Ale czy potrafię?

- To nie jest takie proste - mówię, jękając się.

- Spróbuj. Proszę - naciska. W jego oczach jest coś więcej niż ciekawość, jest w nich współczucie. Ostrożnie bierze mnie za rękę. Spoglądam na swoją dłoń, na której palcu widać obrączkę, i wiem, że powinnam się odsunąć. Nie pozwolić na tego typu bliskość. Ale nie chcę. Od bardzo dawna nikt nie pytał mnie o to w ten sposób. A właściwie czy ktoś kiedykolwiek robił to równie delikatnie i poważnie? Nie sądzę.

- OK. - Biorę głęboki oddech. — Najprościej mówiąc, uwielbiam dzieci. Wszystkie: niemowlęta, przedszkolaki, nastolatki. Kocham w nich wszystko. Urocze kokardki i spinki, które noszą we włosach, pulchniutkie nóżki, piskliwe głosiki, ich szczerłość, ich rozrabianie - dodaję ze smutnym uśmiechem. - I zawsze myślałam, że kiedyś się to w końcu stanie, że stanę się częścią tego świata. Marzyłam o tym, kiedy sama byłam jeszcze dzieckiem. Zawsze biegałam za maluchami sąsiadów, a kiedy nie było ich w pobliżu, bawiłam się lalkami. Między mną a moimi braćmi była dosyć spora różnica wieku, więc często czułam się, jakbym była jedynaczką. Dlatego chcę mieć dużo dzieci i najlepiej jedno po drugim, żeby żadne z nich nie było nigdy samotne. Poza tym mam wszystkie cechy, które powinna mieć matka. Jestem cierpliwa, potrafię uczyć i uwielbiam się przytulać. Mam też duże piersi i szerokie biodra. Po co mi one, jeśli nie urodzę dzieci? - Przez moją twarz przemyka blady uśmiech, ale jakoś wcale nie chce na niej pozostać. Jest wymuszony niczym truskawki w grudniu.

Chuck nie pozwala mi rozładować napięcia żartami. Patrzy na mnie poważnym, skupionym wzrokiem i kiwa w milczeniu głową, czekając na ciąg dalszy.

- Ale najbardziej zależy mi na tym, żeby iść do przodu. Żeby mieć w życiu cel i powody, by żyć.

- I myślisz, że dziecko ci to da?

- Może to brzmi zwyczajnie, a dla niektórych może i żałośnie, ale tak, tak właśnie myślę. I miliony ludzi myślą podobnie. Wiem, że są na świecie osoby, które leczą innych, wspinają się na wysokie góry albo grają na instrumentach muzycznych, i że to właśnie daje im w życiu cel. Podziwiam takie osoby, naprawdę, gratuluję i życzę dalszych sukcesów, ale to nie dla mnie. Chciałabym być jedną z nich. Naprawdę bym chciała - mówię gorzko. Zdaję sobie sprawę, że jestem coraz bardziej pobudzona i że pozwalam, by wszystkie bolesne uczucia, cała złość, wyciekały ze mnie niczym tłuszcz z grillowanego bekonu. Podnoszę szklankę do ust i wypijam całą jej zawartość. — Przez większość czasu czuję się pusta i wyobcowana.

- Przez większość czasu, ale nie cały czas? — pyta Chuck.

- Kiedy uczę, jestem zadowolona z siebie, na pewno mi to pomaga, ale nie potrafię traktować tego jak coś więcej niż doskonalenie umiejętności, które przydadzą mi się, gdy wreszcie zostanę matką. - Chuck wygląda na przygnębionego. - Chciałabym się skupić na robieniu kariery i pozbyć tego pragnienia. Jestem śmieszna, może nawet żalosna w tej swojej bezustannej tęsknocie, ale praca tego nie zmieni, choćbym nie wiadomo jak chciała, żeby było inaczej.

Chuck tymczasem zdążył już nalać mi kolejnego drinka.

- Co pijemy?

- Ostatnia szklaneczka to było ouzo. Jeszcze jedna? Kiwam potakująco głową. Chuck również bierze do ręki szklankę. Zdaję sobie sprawę, że jeśli dalej będę pić, moje słowa przestaną mieć jakikolwiek sens. O ile do tej pory miały. Ale co tam, mam to gdzieś. To przecież nie ma znaczenia. Całe

moje życie nie ma sensu. Bo jaki może być sens, jeśli nie jest nim dziecko?

Nagle uzmysławiam sobie, że płaczę. I choć krople spływające po moich policzkach po chwili przekształcają się w strumienie, nie przestaję mówić. Połykam słowa przez łyżę, chcąc wyrzucić je z siebie jak najszybciej, niczym człowiek wyznający na łożu śmierci swoją tajemnicę. Mówię, że moim zdaniem Rafaella uważa, że to moja wina, i dlatego mnie nienawidzi; Roberto natomiast pewnie żałuje, że ożenił się ze mną, a nie z Aną-Marią - ona pewnie urodziłaby mu całą drużynę piłkarską. Wyjaśniam, że jeśli sama nie będę miała potomstwa i nie udowodnię, że jestem dorosła, w oczach moich rodziców na zawsze pozostanę dzieckiem (czyli zmartwieniem), a bardzo nie lubię ich martwić.

Całej mojej przemowie towarzyszą rzewne łyżę. Chuck delikatnie przyciąga mnie do siebie, a moja głowa opada na jego ramię. Nie przejmuję się, że rozmazana maskara upadła mu koszulkę; nie przeszkadza mu też moje pociąganie nosem i połykane słowa. Delikatnie kołysze mnie, gładząc moje włosy. Nie mówi „Cśś” ani „Spokojnie, już dobrze”.

- W porządku, maleńka, wyrzucić to z siebie. No dalej.

Zauważam, że głaszcze mnie po plecach, a jego dłonie dotykające delikatnie mojej koszulki jednocześnie uspokajają mnie i podniecają. To strasznie dziwne. Zdaję sobie sprawę, że moje usta są bardzo blisko jego warg, i gdybym tylko przesunęła się odrobinę, mogłabym go pocałować. A gdybym nie miała odwagi tego zrobić, to może on by pocałował mnie, a ja mogłabym odwzajemnić jego pocałunek. Mogłabym i zrobiłabym to.

Moglibyśmy uciec i mieć mnóstwo dzieci. Jestem pewna, że moje zabójcze płyny nie popełniłyby dwa razy tej samej zbrodni. Bylibyśmy kompatybilni i moglibyśmy mieć dużą rodzinę. Przy nim na pewno przestałabym się czuć samotna i smutna. W sumie przecież już przestałam. To mógłby być początek czegoś nowego. Nowa nadzieja. Wyobrażenie, jak idealne mogło

by być moje życie, rozdziera moje serce i prawie powala mnie na podłogę.

Ale po chwili przypominam sobie, że Chuck wcale nie chce dzieci. Nigdy nie rozumiał, dlaczego ludzie tak bardzo pragną się rozmnażać. To kompletnie nie dla niego. O Boże. Mój plan B legł w gruzach. Odsuwam się od Chucka i wpatruję w niego wstrząśnięta i pełna smutku. Przecież to jasne, że nie wyjedziemy razem i nie będziemy się bawić w szczęśliwą rodzinę. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że skrycie marzyłam o takim przebiegu wydarzeń. Ale jeśli nie ucieknę z nim, to co mi zostaje? Roberto? Bezdzielnosc? I mieszkanie z Rafaellą?

- Przepraszam - bełkoczę, przepychając się. — Niedobrze mi. Gdzie jest toaleta?

Kiedy budzę się rano, przypominam sobie, że Chuck trzymał moje włosy, gdy wymiotowałam. Ze straszliwego wstydu przykrywam głowę kołdrą. Jeszcze nie jestem gotowa, żeby się zmierzyć z rzeczywistością. Czuję pulsujący ból głowy i choć był on oczywiście do przewidzenia, to wcale mi się nie podoba. Kac zaczął się, kiedy szłam do domu i miałam nadzieję, że uda mi się go przespać albo przynajmniej zwymiotować większość skonsumowanego alkoholu i uniknąć zatrucia; no ale niestety - nie udało się. Najgorsze jest jednak to, że nawet gdyby moja głowa nie pulsowała, wciąż czułabym wewnętrzny ból.

Ostatnia noc była dla mnie objawieniem. Zdałam sobie sprawę, że stanowczo zbyt długo chowałam głowę w piasek. Fakty są następujące. Po pierwsze, zakochuję się w Chucku. Nie mogę się dłużej oszukiwać, że żywię do niego wyłącznie przyjacielskie uczucia. Pragnę go w każdy możliwy sposób. Nie ma co temu zaprzeczać.

Ale nie mogę go mieć.

To jest niedopuszczalna sytuacja i muszę to uczucie zdusić w zarodku. Po drugie, Roberto jest moim mężem. Nie możemy mieć dzieci. Roberto pogodził się z tym faktem; jego dzieckiem jest teraz bar. Ale ja wcale nie zamierzam się z tym godzić. Nie potrafię i nie mogę. Kiedyś mieliśmy w sobie tyle nadziei, przyszłość należała do nas, żyliśmy w pełnym radości oczekiwaniu. Teraz zastanawiam się, co scementuje nasz związek. O czym będziemy rozmawiać, kiedy się zestarzejemy? On zdaje się sądzić, że prowadzenie baru wystarczy. Ale jaki jest

sens mieć dobrze prosperujący rodzinny interes, jeśli nie ma się rodziny? Muszę poruszyć temat innych metod zajścia w ciążę, innych niż trzymanie kciuków i wpuszczanie go między swoje nogi. Jego odmowa dyskusji na temat in vitro jest samolubna, jak kiedyś zauważył Chuck.

A do tego niedojrzała, egoistyczna, arogancka i okrutna. Tego już Chuck nie powiedział, dodałam to od siebie.

Roberto jest moim mężem, ale czy wciąż go kocham? To pytanie huczy w mojej głowie. Szybko je odpędzam. Jest moim mężem. I to jest najważniejsze. Musi być. Musimy wszystko po-naprawiać i zacząć myśleć o przyszłości. O dziecku.

Przewracam się na drugi bok, w stronę Roberta. Wciąż chyba jestem pełna pijackiej odwagi, bo decyduję, że najlepiej zacząć od zaraz. Co tu dużo mówić, nie będę już młodsza, a sztuczne zapłodnienie, choć nie daje żadnych gwarancji, może trwać bardzo długo i musimy jak najszybciej się tym zająć. Daremnie jednak podejmuję tę próbę odwagi - mojego męża nie ma w łóżku. Spoglądam na zegarek. Dopiero siódma, niemożliwe, żeby już wstał. No bo po co ten pośpiech, dziś przecież sobota. Wyciągam się, dotykając jego strony łóżka. Pościel jest gładka i zimna. Przez chwilę nie potrafię zrozumieć, o co chodzi; alkoholowe zamroczenie sprawia, że stwierdzenie oczywistości zajmuje mi kilka chwil. Roberto nie spał dziś obok mnie.

Gdzie on jest? Natychmiast podnoszę się i siadam wyprostowana na łóżku. Od nagłego ruchu kręci mi się w głowie i znów mnie mdli. Wróciłam wczoraj po północy. Nie byłam zaskoczona, nie zastaję go w domu, byłam pewna, że wciąż jest w barze, ale jeśli miał wypadek? Jeśli jest ranny? Wskakuję z łóżka i wkładam szlafrok. Boso zbiegam po schodach do jadalni.

Jak zwykle Rafaella i dziadek siedzą w ciszy, przeżuając śniadanie.

— Widziała pani dziś rano Roberta? — pytam po włosku. Rafaella, choć doskonale zdaje sobie sprawę z mojego pośpiechu i zaniepokojenia, nie odpowiada od razu. Powoli prze-

zuwa tłusty kawałek salami, który zwisa jej z ust, opadając na podbródek. Zazwyczaj mówienie z pełną buzią nie sprawia jej problemu, więc śmiem przypuszczać, że chce mnie w ten sposób rozzłościć. Pod wpływem paniki wywołanej zniknięciem Roberta i olbrzymią ilością alkoholu, którą wlałam w siebie wczorajszego wieczora, mam ochotę wybuchnąć płaczem. Przygryzam wargę i zamykam na chwilę oczy, żeby do tego nie dopuścić.

- Czemu nie jesteś ubrana? - pyta. Otwieram oczy i spoglądamy na siebie. Powietrze między nami jest lodowate. Nagle mój szlafrok zdaje się znikać i czuję się, jakbym była naga. Uświadamiam sobie, że moje włosy sterczą z jednej strony, z drugiej zaś są zupełnie oklapłe. Moją twarz na pewno pokrywa rozmazana maskara - widziałam jej ślady na poduszce. Oddech śmierdzi alkoholem i wymiocinami. Do tego jestem boso. Z pewnością nie przypominam idealnej synowej, wręcz przeciwnie, wyglądam jak jedna wielka porażka, za którą Rafaella od początku mnie uważała.

Decyduję się nie odpowiadać na jej pytanie, mój zasób włoskiego słownictwa nie pozwoli mi dobrze wyjaśnić sytuacji.

- Szukam Roberta - mówię więc tylko.

- Nie ma go.

Biorę głęboki oddech i staram się wykrzesać z siebie resztki cierpliwości.

- A wie pani, gdzie jest? Widziała go pani w nocy? Była pani w barze?

- Oczami wyobraźni widzę go leżącego gdzieś w rowie. Ale dlaczego ona w ogóle się tym nie przejmuje? Jej ukochany syn zniknął.

Rafaella patrzy na mnie uważnie, po czym powoli i wyraźnie, tak, żebym na pewno zrozumiała, mówi:

- Odwiózł Anę-Marię do domu około dziewiątej. Nie widziałam go od tamtej pory. Sama zamknęłam bar.

Myśl o tym, że leży gdzieś w rowie, znika w mgnieniu oka; choć jeśli zrobił to, co myślę, że zrobił, to istnieje duża szansa, że wkrótce i tak tam wyląduje. Po tym, jak go zabiję. Nie pozwalam

Rafaelli dłużej patrzeć na mnie i cieszyć się swoim zwycięstwem, odwracam się na pięcie i biegnę z powrotem do pokoju.

Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, opadam na łóżko. Co robić? Wygląda na to, że mój kac zniknął, kiedy Rafaella poinformowała mnie, gdzie jest Roberto. Chyba jednak wolałabym wciąż go mieć, bo bez nudności i bólu głowy mogę nazwać swoje uczucia po imieniu. Przede wszystkim - strach i panika. Mój mąż spędził noc poza domem. Rafaella jest praktycznie pewna, że jest u Any-Marii. Sięgam po komórkę. Na pewno przysłał mi wiadomość. Wyjaśnił. Na pewno jest tam SMS, w którym informuje mnie, że przespał się u niej na kanapie, i tłumaczy, dlaczego nie wrócił do domu. Sprawy na pewno nie zaszły aż tak daleko. Nie mogły. Może rodzice Any-Marii wyjechali, a ona boi się zostawać sama w domu. Niezbyt prawdopodobna wersja — przecież nie ma dwunastu lat. A może Roberto odwiózł ją do domu i wypili kieliszek czy dwa, i nie chciał prowadzić. Równie mało prawdopodobne - mógł przecież przyjść do domu na piechotę. A może w ogóle nie spał u niej w domu, tylko odwiózł ją i poszedł gdzieś indziej? Ale gdzie? I dlaczego nic mi nie powiedział? Nie dostałam żadnej wiadomości.

Postanawiam, że muszę go jak najszybciej znaleźć i po prostu zapytać. Od paru miesięcy mijamy się i unikamy rozmów na poważne tematy, praktycznie w każdej chwili uważając na to, co mówimy. Wiele razy zastanawiałam się, gdzie się podziewa, ale nie pytałam, bo nie chciałam wiedzieć. Nie interesowałam się? A może właśnie interesowałam się za bardzo?

Wiedziałam, że darzy Anę-Marię uczuciem, ale czy mógłby mnie zdradzić? Takie rzeczy się zdarzają, wiem. Ale Roberto? Naprawdę byłby do tego zdolny? Ja zdołałam się oprzeć Chuckowi. Nie zrobiłam nic, co można by uznać za nieodpowiednie, i nieważne jak bardzo pragnęłam to zrobić, jak bardzo wciąż pragnę. Nie teraz, nie teraz. Nie mogę myśleć o Chucku. Jestem żoną Roberta. Przrzekliśmy sobie miłość po grób, jesteśmy ze sobą kawał czasu i wiele jeszcze przed nami.

Wskakuję pod prysznic, woda spływa mi po włosach, twarzy, ciele. Nie mam czasu na umycie głowy, szybko traktuję mydłem najważniejsze miejsca, odpychając myśli o zatopieniu się w przyjemnej kąpieli z pianą i olejkami, po której nawilżam ciało pachnącym balsamem. Nie ma czasu na takie rzeczy, muszę znaleźć swojego męża. Na szczęście pamiętam o umyciu zębów, na pewno nie czułabym się komfortowo, przesłuchując Roberta i zdając sobie sprawę, że mój oddech cuchnie wymiocinami.

Niepewna tego, co mnie czeka, wybiegam z domu, próbując uniknąć ponownego spotkania z Rafaellą, która na pewno czai się na dole, żeby zobaczyć, co zrobię. Biegnę do baru, przed którym stoi samochód Roberta, ale po moim mężu nie ma ani śladu, drzwi wciąż są zamknięte. Wygląda więc na to, że poszli do domu pieszo. Oczami wyobraźni widzę ich idących wolnym krokiem, trzymających się za ręce i podziwiających niebo w kolorze purpury. Ruszam w kierunku jej domu. Miasto wciąż jeszcze śpi; gdzieniegdzie widać tylko otwierane okiennice, jakby powoli przebudzało się, unosząc jedną powiekę. Mija mnie kilku roznosicieli na rowerach, którzy pozostawiają za sobą tumany kurzu. Ulice wyglądają, jakby powoli rozprostowywały nogi, niczym ludzie, którzy właśnie przebudzili się ze snu. Początkowo biegnę w stronę domu Any-Marii, później mój trucht zamienia się w szybki marsz. Ogólnie rzecz biorąc, nie mam najlepszej kondycji i szybko tracę oddech, nawet gdy czuję się świetnie, a co dopiero dziś, po olbrzymiej ilości alkoholu i zaledwie paru godzinach snu. Poza tym potrzebuję kilku chwil, żeby zebrać myśli.

Zdaję sobie sprawę, że udając się do domu Any-Marii, jestem przekonana, że zastanę w jej łóżku spoconego Roberta. Na pewno będzie to upokarzające i chciałabym mieć złapać oddech, kiedy będę się drzeć na niego wniebogłosy. Dlaczego mi to zrobił? I to w taki sposób? Byłam gotowa...

No właśnie, na co byłam gotowa? Udawać, że nic się nie dzieje? Dalej chować głowę w piasek? Ignorować to, co przecież od dawna było oczywiste?

Tak, właśnie tak. Gdybym musiała. Może i nie udaje mi się zająć w ciąży z Robertem, ale jednego jestem pewna - bez niego będzie to zupełnie niemożliwe.

Dojście do domu Any-Marii zajmuje zwykle około dziesięciu minut. Czuję, że mam w bucie kamień. Na początku odwraca tylko moją uwagę od niewierności Roberta, później zaczyna mnie drażnić, by po chwili stać się nie do zniesienia; nie chcę się jednak zatrzymywać, by go wyciągnąć. Chcę tylko stanąć twarzą w twarz z moim mężem.

I wtedy właśnie Roberto staje niespodziewanie przede mną.

I już niczego nie jestem pewna.

Nie doszłam jeszcze do domu Any-Marii, ale jesteśmy na tyle blisko, bym mogła uznać, że właśnie stamtąd wraca. Stajemy naprzeciw siebie i przez kilka sekund żadne z nas nie wie, co powiedzieć. Nie wygląda na speszzonego ani skruszonego. Raczej na bardzo szczęśliwego. Dawno już go takiego nie widziałam. To jego szczęście sprawia mi ból. Muszę być naprawdę żalosna albo zazdrosna i małostkowa, albo po prostu kompletnie postradałam zmysły, ale nie mogę przeboleć tego, że udało jej się go uszczęśliwić. Chuck nie potrafi uszczęśliwić mnie. Bo nie chce dzieci.

- Gdzie byłeś? — pytam.

- Poza domem. - Roberto nie zatrzymuje się, dalej idzie w kierunku domu. Pociągam go za ramię, ale wyrywa rękę. Wzdryga się — mój dotyk zdaje się go brzydzić.

- Tyle zdążyłam zauważyć. A gdzie konkretnie?

- Nie na ulicy, Elizabeth. - Robi długie kroki i szybko zostawia mnie w tyle. Muszę biec, by za nim nadążyć. Staram się zachować godność, ale mój trucht obok niego nie bardzo na to pozwala, do tego walczę z pokusą wykrzyczenia mu w twarz obelg i wyzwisk, a także z chęcią rzucenia się na niego z pięściami i pazurami i zerwania z niego pięknie wyprasowanej koszuli.

Zaledwie kilka minut później jesteśmy już na piazza. Roberto zatrzymuje się przed jakimś barem i wskazuje ręką na stolik.

- Napijemy się kawy? - Prawdopodobnie ma nadzieję, że nie będę robić scen w miejscu publicznym, a może po prostu nie ma ochoty znów kłócić się w naszym pokoju, gdzie syczymy na siebie po cichu. To dziwne, że w pierwszej lepszej kawiarni mamy więcej prywatności niż w miejscu, które nazywamy domem.

Do momentu złożenia zamówienia żadne z nas nic nie mówi. Obydwoje prosimy o podwójne espresso, Roberto zamawia również sernik cytrynowy z ricotty, z sosem jagodowym. Niedobrze mi się robi na samą myśl o tym, że mój mąż ma zamiar jeść coś tak słodkiego i pysznego w obecnej sytuacji.

- Spałem u Any-Marii — mówi, otwierając torebkę cukru i wsypując ją do kawy. Wygląda na to, że potrzebuje zastrzyku energii. Spoglądam na jego nadgarstki. Są zgrabne, pokryte delikatną oliwkową skórą. Nie zmieniły się. Zawsze uwielbiałam jego nadgarstki i dłonie; teraz spoglądam na nie, zastanawiając się, czy zeszłej nocy dotykały ciała Any-Marii. I czy dotykały jej już wcześniej i ile razy? Mam ochotę wyrwać mu widelczyk do ciasta i dźgać nim jego ręce, ile starczy mi sił.

- Dlaczego?

- Potrzebowała mnie. Nie czuła się najlepiej, zmarła jej ciotka. Cała jej rodzina pojechała na pogrzeb, nie chciała być sama.

- Nie mogła być aż tak zmartwiona, skoro nie pojechała na pogrzeb - zauważam.

Roberto nie reaguje na mój komentarz. Próbuję spojrzeć mu w oczy, ale jego okulary przeciwsłoneczne sprawiają, że widzę tylko swoje odbicie, które wraca do mnie niczym bumerang, po czym zdaje się opadać na ziemię.

- Masz romans? - pytam. Zakładam, że sama zadałam to Pytanie, choć głos wypowiadający te słowa zdaje się odległy i obcy i mógłby równie dobrze należeć do faceta, który zbiera papierosy; widzę, że zaczął już swój codzienny obchód.

- Dobrze się bawiłaś wczoraj u Chucka? - pyta Roberto. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy rzeczywiście wypo-

wiedziała swoje pytanie na głos, ale po chwili uświadamiam sobie, że tak, a Roberto pyta mnie dokładnie o to samo, tylko mniej bezpośrednio. Jest mistrzem unikania trudnych tematów. Zresztą oboje od dawna jesteśmy w tym dobrzy.

- Chuck i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Oczywiście.

- Nie spałam u niego.

- Oczywiście, że nie. To byłby przecież skandal, a skandali należy unikać.

Zawsze byłam na sto procent pewna, że gdyby mój mąż mnie zdradził, zareagowałabym szybko i bez wahania. Powiesiłabym go, wypruła mu wnętrzności, a potem poćwiartowała. Ale teraz, kiedy do takiej sytuacji doszło, siedzę nieruchomo. Czy naprawdę chcę wiedzieć? Oczywiście, że tak. Muszę. Ale. Jeśli rzeczywiście ma romans i przyzna się do tego, nie będziemy mogli już ze sobą żyć. Nie żeby nasze życie było w tej chwili rewelacyjne, ale przecież dziś rano chciałam z nim porozmawiać o in vitro. Wiem, że to okropne, ale wciąż wierzę, że możemy mieć rodzinę, nawet jeśli mój mąż ma przede mną sekrety, nieszczególnie chce ze mną rozmawiać i kompletnie się mną nie interesuje. Ale nie, jeśli jest zakochany w kimś innym. Jeżeli mnie zostawi, małe istotki z czarnymi włoskami i pulchnymi nóżkami nigdy nie przyjdą na świat. Nie mogę na to pozwolić. Nie mam czasu ani energii zaczynać wszystkiego od nowa. Poza tym z kim niby miałabym zacząć? Z Chuckiem? Nie ma szans. Chuck nie chce mieć dzieci. Nigdy nie rozumiał, dlaczego niektórzy ludzie tak bardzo pragną się rozmnażać, jakoś mu to wszystko umknęło. Jego słowa odbijają się w mojej głowie głośnym echem, brzęcząc posępnie. Roberto przynajmniej chce mieć dzieci, a ja jestem jego żoną. Muszę zapomnieć o całej sytuacji. Muszę ratować nasze małżeństwo. No więc czy naprawdę chcę wiedzieć, czy mój mąż ma romans? Czy chcę usunąć ten ostatni strzępek wiary w nas, w to, co mamy? Waham się przez chwilę, zdając sobie sprawę, że zdanie, które za chwilę wypo-

wiem, będzie prawdopodobnie najważniejszym, jakie powiedziałam w całym swoim życiu.

- Chuck i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi i jeśli myślałeś, że jest inaczej, i jeśli cię to zraniło, to przepraszam. I jeżeli zrobiłeś z tego powodu coś niewłaściwego, to również przepraszam.

Roberto wygląda na zdruzgotanego.

- Słuchaj, Elizabeth, chodzi o to, że...

- Cśśś. - Kładę palec na jego ustach. - Nie mów nic, czego będziesz żałował. Zastanów się chwilę.

Siedzimy w milczeniu. Mój kac wrócił i mam wrażenie, że ktoś próbuje wywrócić moje wnętrze na drugą stronę. Widzę i czuję się niewyraźnie. Nic nie ma sensu. Nie potrafię zdecydować, czy moja reakcja na niewierność Roberta to akt dojrzałości czy skończonego kretyństwa. Może jestem w szoku? Myślę o tym, co podtrzymywało mnie na duchu przez ostatnie lata. O tym, co od zawsze było powodem i sensem mojego życia. Chcę mieć dziecko. Potrzebuję Roberta, by je zrobił. Jego fascynacja Aną-Marią na pewno szybko minie. Muszę też znaleźć sposób, by uwierzyć, że moje uczucia do Chucka miną jeszcze szybciej. I nic nie znaczą. Musimy jakoś posklejać nasz związek. Muszę mieć dziecko.

Powtarzam te krótkie zdania w głowie bez przerwy, jakby były modlitwą. Efekt jest niemalże hipnotyczny, powoli uspokajam się. Roberto jest błądy i zmęczony.

- Najlepiej będzie, jeśli zapomnimy o tych głupotach - mówię z uśmiechem, który i tak przecież nie oszuka żadnego z nas.

Zastanawiam się, czy nie pocałować go w czoło. Zrozumiałby, że mu wybaczyłam. Oczywiście nie chciałabym, żeby taka sytuacja się powtórzyła, ale myślę, że możemy sobie z tym poradzić. Ważne jest to, że nie przyznał się do romansu z Aną-Marią; być może wyciągnęłam pochopne wnioski. Jest moim mężem. Moim. I będzie ojcem mojego dziecka.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać o in vitro.

- Elizabeth... - Roberto nie kończy zdania, ale jego głos jest pełen niepokoju i znużenia. Bierze moją rękę w swoje dłonie. - Nie mam zamiaru rozmawiać o in vitro. Zresztą już ten temat omawialiśmy.

- Dawno temu.

- Z mojej strony nic się nie zmieniło.

- A z mojej tak. Wtedy jeszcze wierzyłam, że uda nam się bez tego. Mieliśmy czas. Teraz jestem zdesperowana. Jesteśmy zdesperowani. Potrzebujemy dziecka.

-To jest najgorszy możliwy moment, Elizabeth. I nie chcę o tym nawet słyszeć.

Wstaję, czując, jak uginają się pode mną nogi. Zastanawiam się, czy widzi, że cała się trzęsę. Opieram się rękami o stół, próbując złapać równowagę.

-Jesteś mi to winien, Roberto. Jestem twoją żoną.

Wychodząc, zdaję sobie sprawę, że właściwie nie mam dokąd pójść, co wcale nie poprawia mi nastroju. Odwiedzenie Chucka nie wchodzi w rachubę, muszę najpierw dojść do siebie. Poprzednia noc była całkowicie niewinna - przynajmniej w jego mniemaniu. Nie miał pojęcia, że kiedy spoglądał na mój zasmarkany nos i rozmazany makijaż, ja patrzyłam w jego oczy i marzyłam o tym, *żeby* go pocałować. Nie wiedział też, że kiedy płakałam mu w rękaw zrozpaczona brakiem dzieci, jednocześnie wyobrażałam sobie, że zaciągam go do łóżka, a potem rodzę mu całą gromadkę. Choć jednak od olbrzymiej ilości alkoholu stałam się mało dyskretna i płaczliwa, a następnie trafiłam do toalety, to w jakimś sensie pocieszam się, że przynajmniej nie spróbowałam wepchnąć mu języka do buzi. Ale mimo wszystko, biorąc pod uwagę fakt, że widział mnie zwracającą jego pyszne (choć troszkę przypalone) *penne eon giamberi e carciofi* na kafelki w toalecie, nie mogę zadzwonić do niego i poczęstować go kolejną porcją swojej płaczliwej historii. Tym razem mógłby tego nie znieść.

Nie mogę się też ukryć w szkole; jest dziś zamknięta. Powrót do domu nie wchodzi nawet w grę. Może po prostu powinnam wsiąść w autobus do jakiejś pobliskiej wioski, nieważne jakiej, byle się stąd wyrwać. Ale zdaję sobie sprawę, że będę tam sarna ze swoimi problemami, a naprawdę muszę z kimś pogadać. - Nie mogę zadzwonić do Alison, jestem pewna, że gdyby się dowiedziała, co zrobił Roberto, natychmiast wsiadłaby w samolot i przyleciała tu, żeby obciąć mu jaja. Czy jest więc ktoś,

z kim mogłabym porozmawiać? Stoję na chodniku, delikatnie kopiąc nogą w krawężnik.

- Znalazłaś mojego brata? - Głos Paoliny działa na mnie niczym otrzeźwiający policzek.

-Tak.

Paolina zatrzymała się tuż koło mnie, siedzi wyprostowana w swoim maleńkim, choć całkiem przyjemnym fiacie 500. Pojawia się ni stąd, ni zowąd i zastanawiam się, czy to przypadek czy też może mnie śledziła. Czy widziała i słyszała naszą wymianę zdań? Chybabym umarła, wiedząc, że ktoś był tego świadkiem.

- Masz ochotę na kawę? - pyta.

- Nie bardzo. Właśnie jedną wypiliśmy. Wzdycha głośno, jakby uważała, że jestem tępa. .

- Proponuję ci przejażdżkę.

- Aha, w takim razie OK. Tylko dokąd?

- Gdziekolwiek, byle daleko stąd - mówi. Lepiej bym tego nie ujęła.

Wsiadam do samochodu i przez pierwsze dziesięć minut nie zamieniamy ani słowa. Obydwie zdajemy się zatopione w swoich światach; zaczynam wątpić, że mają one ze sobą cokolwiek wspólnego, i muszę przyznać, że to nie lada ulga. Nagle zdaję sobie sprawę, że Paolina wcale nie chciała wziąć mnie na przejażdżkę, po prostu chciała się stąd wyrwać. Pewnie zobaczyła mnie po drodze i zatrzymała się. Doskonale ją rozumiem; nigdy wcześniej nie była mi tak bliska jak teraz. To dziwne, że wspólne mamy jedynie całkowite pochłonięcie własną osobą. Zastanawiam się, od czego ucieka. To smutne, że ma taką potrzebę, przecież jest u siebie.

Jedziemy tak przez co najmniej piętnaście minut, nie mam pojęcia w jakim kierunku i do jakiego miasteczka. Zatrzymujemy się przed olbrzymim sklepem meblowym, takim zwyczajnym, jaki często można znaleźć przy drogach lokalnych na całym świecie. Pełno w nim stołów, krzeseł, łóżek, kredensów i tego

typu rzeczy, poustawianych bez ładu i składu. Żadne z nich nie jest piękne czy choćby godne uwagi. Można tu raczej dostać niebie, które każdy kupuje, myśląc sobie: „To tylko tak na razie”. A ponieważ są to bardzo funkcjonalne rzeczy, rzadko się psują, w związku z czym nie trzeba ich wymieniać i często zostają w domach znacznie dłużej, niż planowano.

Na parkingu stoją jeszcze dwa inne samochody; z pewnością należą do klientów, którzy potrzebują materaca albo stołu do jadalni, ale nie mają zbyt dużo gotówki. I choć sprzedawane tu meble nie należą do nadmiernie urokliwych, zazdroszczę im. Zazdroszczę rodzinom, które mogą po prostu wykonywać swoje zwykłe domowe obowiązki. Chciałabym, by podejmowane przeze mnie decyzje ograniczały się do wyboru pomiędzy twardym lub miękkim materacem albo między sosnowym a orzechowym stołem. Obydwie rodziny mają po dwoje dzieci, które skaczą radośnie wokół mebli wystawowych, chowając się za kanapami, testując łóżka czy też stając na krzesłach. Uśmiecham się do nich przyjaźnie. Paolina zdaje się w ogóle ich nie dostrzegać, przechodzi przez sklep wprost do pojawiającego się nie wiadomo skąd ogródka, który prowadzi do kawiarni.

- Rany, nigdy bym się nie spodziewała, że jest tu kawiarnia. Taka trochę na uboczu, no nie?

- Znam wiele dyskretnych miejsc - mówi, ukrywając się za ciemnymi okularami.

- No tak, faktycznie. — Nagle czuję się lekko skrepowana, zdając sobie sprawę, że była czyjaś kochanką. Nigdy szczególnie nie przepadałam za kobietami, które sypiają z mężczyznami innych kobiet, ale po wydarzeniach dzisiejszego poranka moja niechęć do nich bardzo przybrała na sile. Ciekawe, ile wie moja szwa-gierka. Na pewno więcej niż ja. Ciekawe, czy jest powiernicą Any-Marii; wygląda na to, że mają ze sobą wiele wspólnego. Choć z drugiej strony. Paolina zawsze była dla mnie miła, może więc niesłusznie ją osądzam?

Siadamy przy stoliku i otwieramy menu. Od rana nic nie jadłam, więc umieram z głodu. Zamawiam kawałek lepkiego ciasta *torta di natale*, a do tego *cafe latte*. Kiedy kelner przynosi zamówienie, Paolina spogląda na delikatne warstwy ciasta, pomiędzy którymi widać dorodne rodzynki i orzechy włoskie.

— Wygląda pysznie. To kalabryjskie ciasto, wiesz?

— Aha - odpowiadam tonem, który wcale nie ukrywa, że średnio mnie to obchodzi. To dziwne, że Włosi nawet w takich momentach traktują jedzenie z należytą uwagą. A może przede wszystkim w takich momentach? Pod wpływem wydarzeń ostatniej doby pytam:

— Przyjeżdżałaś tu ze swoim kochankiem?

— Czasami.

To dosyć dziwne miejsce na tego typu spotkania. Owszem, jest tu sporo łóżek, ale raczej nie można ich użyć. Paolina, jakby czytając w moich myślach, dodaje:

— Przyjeżdżaliśmy tu, żeby porozmawiać przez dziesięć czy piętnaście minut.

Choć nie potrafię znaleźć dla niej współczucia, muszę przyznać, że kiedy wyobrażam ich sobie siedzących w tej kawiarni, nie jest to radosny widok. Zazwyczaj romanse kojarzą mi się z parami, które gorączkowo zdzierają z siebie ubranie, a ich nagie ciała oświetlają kryształowe żyrandole; z parami, które baraszkują w purpurowej pościeli, podając sobie ustami winogrona. Nigdy w moich myślach nie pojawiają się osoby wymykające się z domu na piętnaście minut, żeby porozmawiać w sklepie z meblami.

— Roberto został wczoraj na noc u Any-Marii.

Nie mam pojęcia, czemu jej o tym mówię. Pewnie i tak wiedziała, a nawet jeśli nie, to co miałyby odpowiedzieć? Przecież to jej brat. Poza tym w jej oczach niewierność to nic złego-Ale musiałam komuś o tym powiedzieć.

Kiwa ostrożnie głową, po czym pyta:

— I co ty na to?

- Powiedział, że ją pocieszał, bo zmarła jej ciotka. Nie mam powodów, by mu nie wierzyć.

- To prawda, jej ciotka zmarła - potwierdza Paolina.

Wkładam do ust spory kawałek ciasta. Czuję ulgę, że Roberto mówił prawdę. Jeśli mam zaakceptować zaistniałą sytuację, to byłoby mi na pewno łatwiej, gdyby samej udało mi się uwierzyć w jego niewinność.

- No cóż, na pewno nic między nimi nie ma. Są starymi przyjaciółmi i tyle... - Przerywam, mając nadzieję, że się ze mną zgodzi, ale nie robi tego. - Ludzie pewnie będą gadać, ale co tam, plotki to normalna sprawa - znów przerywam, tym razem czekając na zaprzeczenie, ale i tego nie słyszę. — Bo wiesz, ludzie zawsze zakładają najgorsze, a ja nie mam żadnych podstaw, żeby uważać, że między nimi jest coś niewłaściwego. - Zastanawiam się, skąd się wzięło w moich ustach wyrażenie „coś niewłaściwego”. Jakoś samo się napatoczyło i zdaje się jakieś takie... nierealne. Ale przecież cała moja sytuacja jest nierealna. Siedzę sobie w kawiarni z siostrą mojego męża, rozmawiając o jego niewierności. Jak się prowadzi takie rozmowy?

- Pytałaś go, czy coś się między nimi wydarzyło?

- Przecież zaufanie to podstawa każdego związku. Nie mogę tak po prostu go oskarżać — kłamię, bo potrzebuję, by jak najwięcej ludzi uwierzyło w tę farsę. Jeśli inni kupią moją wersję wydarzeń, może i mnie uda się w nią uwierzyć.

Paolina unosi brew tak wysoko, że udaje mi się to dostrzec pomimo jej ciemnych okularów. Mogłaby je ściągnąć, wtedy miałabym większe szanse, żeby ją wyczuć, a tak nie mam pojęcia, o czym myśli albo co insynuuje.

- Mój były odszedł od żony - informuje mnie po chwili. Cieszę się, że zmieniła temat rozmowy, ale nie mam pojęcia, co jej odpowiedzieć. Oskarżenie jej o rozbicie małżeństwa chyba nie byłoby najwłaściwszą reakcją.

- Kiedy?

- W zeszłym tygodniu, sześć tygodni po naszym rozstaniu. Powiedział, że nie potrafi bez mnie żyć. Przeprowadził się do małego obskurnego mieszkania w Marostica i chce, żebym z nim zamieszkała.

- No to pewnie się cieszysz. Paolina wzdycha głęboko.

- No właśnie nieszczególnie. Prawda jest taka, że kiedy on stwierdził, że nie może bez mnie żyć, ja doszłam do wniosku, że mogę żyć bez niego.

-Ojej.

- Odnowiłam kontakty ze znajomymi, których nie widziałam od lat. Ciężko utrzymać kontakty z ludźmi, gdy ma się romans. Jeśli nie opowiadasz im o swoich miłosnych perypetiach, uważają, że im nie ufasz; kobiety w szczególności oczekują, że będziesz z nimi plotkować na takie tematy. Poza tym ostatnio znacznie lepiej mi szło w biurze, bo wreszcie mogę się skupić, do tego polubiłam pracę w barze, teraz gdy Roberto zmienił go nie do poznania. Nie miałam na to wszystko czasu, kiedy się spotykaliśmy. A teraz on mi mówi, że musimy być razem, bo on tak wiele dla mnie poświęcił. Mam ochotę mu powiedzieć, że jego poświęcenie przyszło za późno.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. — Paolina ściąga wreszcie okulary i masuje grzbiet nosa. Wygląda na lekko otumanioną.

- Ale może teraz właśnie będziecie mogli być normalną parą. Będziesz mogła widywać się z koleżankami i pracować w barze, a jednocześnie spotykać się z nim - sugeruję.

- Nie, to niemożliwe. On chce czegoś więcej. Ciężko mi to wytłumaczyć, ale nasz związek zawsze był bardzo intensywny. Nie potrafię sobie nas wyobrazić jako zwyczajnej pary.

- Może to przyjdzie z czasem.

- Ale ja chyba nie bardzo chcę takiego zwyczajnego związku. Zdałam sobie sprawę, że to co podobało mi się najbardziej, to właśnie ten dramatyzm i kłopotliwość sytu-

acji to podekscytowanie podszyte tragizmem. Wiesz, o co mi chodzi?

- Nie bardzo. - Naprawdę zawsze chciałam, żeby moje życie było proste, bez zbędnych komplikacji. Jestem właśnie taką prostolinijną osobą. Paolina spogląda na mnie z desperacją w oczach, a może i nawet z niesmakiem. Nigdy nie czułam się bardziej nudna i prozaiczna. -1 co zrobisz?

- Obawiam się, że będę musiała do niego wrócić. Mamie będzie przykro, że był już żonaty, ale to przecież zawsze lepiej, niż gdyby wciąż był żonaty. Problem w tym, że zaczęłam się zastanawiać, czy może przypadkiem nie ma na świecie innych mężczyzn, z którymi mogłabym być szczęśliwa.

-To znaczy? — Albo mam naprawdę potwornego kaca, albo to znowu bariera językowa, ale kompletnie za nią nie nadążam. Dokąd zmierza nasza rozmowa?

- Wierzysz w to, że istnieje ten jeden jedyny? - Paolina wpatruje się we mnie w tak intensywny sposób, jakby widziała mnie po raz pierwszy albo jakby w ogóle po raz pierwszy widziała człowieka. Wygląda na zdesperowaną i zagubioną. Moja odpowiedź chyba jest dla niej naprawdę ważna, zdecydowanie zbyt ważna.

Próbuję powiedzieć, że tak. Naprawdę chcę powiedzieć, że tak. Ale nie potrafię. Bo czy wciąż wierzę w istnienie tego jedyne? Jeśli wziąć pod uwagę, ile razy byłam zakochana, wydaje się to niemalże niemożliwe. To taki problem naszych czasów. Ten jest uroczy, ale kompletnie oderwany od rzeczywistości. Tamten gotuje, ale jakoś ciężko się z nim dogadać. Ten jest skąpy, ale wpatruje się we mnie jak w obrazek. Tamten jest niesamowicie przystojny, ale niezbyt inteligentny. Myślałam, że Roberto jest tym jedynym, ale teraz sama już nie wiem. Można się pogubić, jeśli się było zakochaną w więcej niż jednym mężczyźnie, a co dopiero jeśli się jest mężatką zakochaną w kimś innym niż mąż. I do tego zamierza się pozostać w związku małżeńskim. Nie potrafię znaleźć właściwej odpowiedzi, a od myślenia zaczyna mnie boleć głowa.

- A ty? - pytam.

- Wierzyłam. Choć kręciło się wokół mnie wielu naprawdę wartych uwagi mężczyzn, musiałam mieć Gian Carla. Byłam pewna, że to on jest mi pisany. Ale jeśli się myliłam?

-I?

-I niepotrzebnie zniszczyłam jego małżeństwo. Jeśli ktoś inny mógł mnie uczynić równie szczęśliwą? Albo nawet szczęśliwszą?

Obydwie milczymy, zdając sobie sprawę, że to naprawdę okropna myśl. Mogłybyśmy w nieskończoność zastanawiać się nad odpowiedzią na te pytania, ale w jej głowie pojawia się jeszcze straszniejsza możliwość.

- A jeśli nikt nie może tego zrobić?

- Ze co?

- Jeśli nikt nie może sprawić, że będę szczęśliwa? Jeśli to wszystko jest przereklamowane?

- Co miałyby być przereklamowane? Pogubiłam się.

- Miłość. Może ona nie istnieje.

- Oczywiście, że istnieje, przecież dobrze o tym wiesz - mówię entuzjastycznie.

- Boże, Elizabeth, przecież ty dopuszczasz istnienie Świętego Mikołaja i Wielkanocnego Zająca, z pewnością nie można cię uważać za racjonalnie myślącą osobę!

Postanawiam zignorować jej sarkastyczny komentarz, jest wyczerpana nerwowo.

- No więc nie jesteś szczęśliwa, że zostawił żonę.

- Czuję się winna. On tak wiele ode mnie oczekuje.

- Jestem pewna, że wszystko się jakoś rozwiąże i będzie dobrze - mówię, choć dokładnie nie wiem, jak sprawa miałaby się sama rozwiązać, i czuję, że tego typu frazesy są nie na miejscu.

Paolina wzrusza ramionami. Wydaje mi się, że gdzieś w głębi duszy jest kobietą samowystarczalną, co może być całkiem przydatne, jeśli się weźmie pod uwagę charakter jej matki. Nie sądzę, żeby Rafaelli można było powierzyć swoje sekrety i porozmawiać z nią na tematy typu „Co by było gdyby...”. Paolina

musiała się nauczyć być samodzielna. Mam wrażenie, że jestem dla niej po prostu osobą, przed którą może się wygadać i sprawdzić reakcje na swoje przypuszczenia. Nie sądzę, by cokolwiek, co dziś powiedziałam, miało wpływ na jej decyzje.

- No a gdzie byłaś wczoraj, kiedy Roberto pocieszał Anę-Marię? - pyta.

"Wiercę się na krześle, upijam łyk *latte* i zastanawiam się, co odpowiedzieć. Przypominam sobie, że nie zrobiłam nic, czego mogłabym się wstydzić. Byłam u Chucka, ale Roberto o tym wiedział, poza tym wróciłam do domu. Nie zostałam u niego na noc. Nie zrobiłam nic złego, no może poza zalaniem się w trupa i narzekaniem na męża. No, może jeszcze poza marzeniem o pójściu do łóżka z moim gospodarzem. Czerwienię się. Paolina oczywiście zakłada najgorsze.

-Aha. Byłaś ze swoim amerykańskim przyjacielem. - Słowo „przyjaciel” wypowiada w bardzo znaczący sposób.

- Nie jest moim przyjacielem. To znaczy nie w takim sensie, jak myślicie.

- Więc kim jest?

- Jest, jest... jest po prostu kimś, z kim mogę pogadać.

- O pogodzie? - pyta z trochę beczelnym, choć wcale nie krytycznym uśmiechem.

- Czasami.

-1 o czym jeszcze?

- O innych rzeczach. O mieście, w którym się urodził. O naszych doświadczeniach tu, we Włoszech. Jak się targować w sklepach. O mojej niepłodności.

- Rozumiem.

- No więc można w sumie powiedzieć, że jest przyjacielem. Ale nikiem więcej. - Znów się czerwienię.

Paolina musiała to zauważyć.

-To nie moja sprawa. Jestem pewna, że tęsknisz trochę za domem. Fajnie pewnie od czasu do czasu porozmawiać z kimś w ojczystym języku.

- Właśnie. Uwielbiani Włochy. Nie mogłam się doczekać, kiedy tu zamieszkam, ale niestety zauważyłam, że Włochy nie lubią mnie.

- Ale przecież to kraj, Elizabeth. Nie twoja ciotka. Nie może cię wziąć w ramiona. To jest dom, tak jak Anglia. I dokładnie tak jak Anglia ma swoje dobre i złe strony.

Myślę przez chwilę o Anglii i muszę przyznać, że nie znoszę materialistycznej postawy ludzi z zachodu i wiecznej depresji mieszkańców północy. Mamy niewielu hydraulików, dużo deszczu i drogie paliwo. Do tego niedobrze mi się robi, gdy myślę, jak często ludzie dają się ogarnąć zazdrości i lenistwu. Ale jednocześnie widzę ciepły letni dzień i delikatny powiew wiatru, który niesie ze sobą zapach świeżo skoszonej trawy. I tęsknię za nią.

- Dlaczego jesteś rozczarowana Włochami?

Dobre pytanie; zastanawiam się nad odpowiedzią przez kilka chwil. Denerwują mnie niemili kelnerzy i to, że gdy jem z kimś, nasze potrawy często nie są przynoszone równocześnie. Toalety są obskurne. Moja teściowa to wiedźma. W zimie temperatury są znacznie niższe, niż przypuszczałam. Dużo trudniej się zaprzyjaźnić z ludźmi i stać się częścią grupy pięknych, eleganckich i pełnych życia Włochów. Ale z drugiej strony w powietrzu unosi się przenikliwy zapach mocnej, przesłodzonej do granic możliwości kawy i gdybym tylko mogła, z pewnością bym go polizała. Nauka języka okazała się znacznie łatwiejsza, niż się spodziewałam; Paolina i Laurana są niesamowicie interesującymi i szczerymi osobami i chyba nawet mogę je nazwać przyjaciółkami. Jest też dużo słońca i przepyszne jedzenie.

Prawda jest taka, że głównym powodem mojego rozczarowania jest to, że nie udało mi się tutaj zająć w ciążę. Ogrom tego spostrzeżenia przenika całe moje ciało. Zdaję sobie sprawę, że to wcale nie jest wina tego kraju. To nie jest wina, którą można komukolwiek lub czemukolwiek przypisać. Świadomość tego tak bardzo mnie zasmuca, że nie jestem w stanie odpowiedzieć na pytanie Paoliny, wzruszam tylko ramionami.

- We Włoszech też są nieplodne pary, są geje i lesbijki. Mamy rozbite małżeństwa, pełne nadziei kobiety, opornych mężów i wszystkie inne rzeczy, które macie w Anglii. To jest prawdziwy kraj, a nie jakaś utopia - mówi ostrożnie.

- Może po prostu potrzebuję więcej czasu — stwierdzam, wzruszając ramionami.

- Może - odpowiada Paolina, ale te słowa zdają się nie przekonywać ani jej, ani mnie.

Wracamy do Veganze. Kiedy dojeżdżamy do piazza, Paolina wpada na pewien pomysł:

- Rzućmy monetą o to, która z nas będzie dziś pracować w barze.

Rozważam jej propozycję. Mój kac jest nie do zniesienia i pragnę jedynie wślizgnąć się pod kołdrę, ale zdaję sobie sprawę, że szanse na to są niewielkie; na pewno Rafaella i tak nie pozwoliłaby mi na takie lenistwo.

- Mogę pracować. Im więcej zajęć, tym mniej myślenia, więc na pewno dobrze mi to zrobi - proponuję. Natomiast Paolina zdaje się potrzebować jeszcze trochę czasu z dala od domu.

- Dzięki, to miło z twojej strony. Pojadę pochodzić po górach. - Chichocze, zdając sobie sprawę, że to już naprawdę akt desperacji.

Uśmiecham się do niej życzliwie.

- Każdy czasem tego potrzebuje. Trzymaj się.

- Ty też. - Paolina wyciąga rękę w moją stronę, po czym kładzie ją na mojej dłoni, delikatnie ją ściskając.

Wchodząc do baru, nie bardzo wiem, czego się spodziewać. Stwierdzenie, że pukam do bram piekła, chyba nie byłoby wcale przesadą, bo w środku wita mnie sam Belzebub.

- Myślałam, że dziś cię nie ma — mówi.

- No widzisz, nie sądziłaś, że my, obywatele Zjednoczonego Królestwa, jesteśmy aż tak twardzi, co? Co tam publiczne upokorzenie, musisz wymyślić coś lepszego, jeśli chcesz się mnie pozbyć - mamrocze po angielsku.

- *Che cosa!* — pyta. Oczywiście wiedziałam, że mnie nie zrozumie, to jedna z niewielu przyjemności, na którą mogę sobie pozwolić. Odwracam się do niej z szerokim, choć ewidentnie nieszczerym uśmiechem i pytam:

- Co mam robić?

Na jej twarzy maluje się irytacja i okrucieństwo. Była pewna, że zabraknie mi odwagi, by spojrzeć w oczy jej lub komukolwiek innemu. Pewnie miała nadzieję, że właśnie w pośpiechu pakuję walizki, chcąc jak najszybciej wrócić do Anglii. Jakaś część mnie bardzo chciałaby to zrobić. Fajnie by było siedzieć w salonie rodziców, rozmawiając o pogodzie albo o ich ogródku, popijając earl greya. Albo wybrać się do jakiegoś pubu z Alison i jej dziewczyną i sączyć drinki, zapominając o całym tym koszmarze. Ale to byłoby tylko chwilowym lekarstwem, wszystko wróciłoby zaraz po wypiciu zawartości filiżanki czy kieliszka. Wiem, że rodzice szybko przypomniałyby mi, że Roberto jest moim mężem i powinnam trwać u jego boku, próbując naprawić nasz związek. Nie pozwoliliby mi się poddać. Alison też pewnie powiedziała by, że przecież jeszcze kilka miesięcy temu byłam przekonana, że Roberto to najwspanialszy mężczyzna na świecie.

Tymczasem ja naprawdę chciałabym być u boku mojego najwspanialszego mężczyzny, ale on zniknął. I wcale nie chodzi mi o to, że nie ma go teraz w barze. Roberto, którego spotkałam dziś na ulicy, był obcym człowiekiem. Nawet jeśli przebywamy obok siebie, nie jesteśmy razem.

- Gdzie jest Roberto? — pytam.

- Nie wiem. Pewnie z Aną-Marią - odpowiada Rafaella. Niestety, mój włoski poprawił się na tyle, że doskonale rozumiem, co powiedziała. Wzdycham, zdając sobie sprawę, jak źle się dzieje z naszym związkiem. Nawet teściowa nie widzi potrzeby ukrywania przede mną romansu mojego męża. Powinnam powiedzieć jej teraz, że nie może wypowiadać przy mnie imienia Any-Marii. To najlepszy *moment*, żeby wpaść w furję

i zażądać, żeby ona i ten drań jej syn zaczęli mnie traktować z szacunkiem. Ale nie potrafię wydusić z siebie słowa.

- Musisz posprzątać ubikacje. Nie będzie dziś' sprzątaczk.

Podnoszę wiadro, mopa i środki do czyszczenia i godzę się *i* myślą, że znów będę czyścić kible. Co się stało z moim poczuciem własnej wartości?

Kiedy godzinę później zjawia się Roberto, traktuje mnie z grzeczną, choć chłodną obojętnością. Mówi, że toalety wyglądają przyzwoicie i że to miło z mojej strony, że zastępuję Paolinę. Zachowujemy się tak, jakbyśmy dopiero co się poznali i nie bardzo się polubili. Uważamy, żeby się nawzajem nie urazić. Roberto pomaga mi zrozumieć zamówienia klientów, ale szybko zdaję sobie sprawę, że robi to wyłącznie dlatego, żeby goście byli zadowoleni i nie otrzymywali niewłaściwych potraw ani napojów, nie zaś po to, żeby oszczędzić mi krępujących sytuacji i nieporozumień. Unikamy jakiegokolwiek kontaktu fizycznego, takiego jak przypadkowe dotknięcie rąk, kiedy podajemy sobie kieliszki do wina, czy też wpadnięcie na siebie, gdy próbujemy się przecisnąć za barem. Zdaję sobie sprawę, że musimy jakoś ten kontakt fizyczny nawiązać, jeśli chcę mieć z tym mężczyzną dziecko. Ale z każdą nową wiadomością, której nadejście sygnalizuje telefon Roberta, moja nadzieja na naprawienie naszego związku zdaje się zmniejszać. Przy trzecim SMS-ie Roberto wychodzi z baru, żeby zadzwonić. Prawie podskakuje z radości, nie ma nawet na tyle przyzwoitości, żeby zdobyć się na powściągliwość.

- Przyjdzie tu dziś Ana-Maria? - pytam, gdy wraca do środka.

- To bardzo prowokacyjne i głupie pytanie - syczy. Maska obojętności, którą miał na sobie cały poranek, spada, jakby zdmuchnięta jednym lekkim powiewem wiatru.

-Wcale nie, to bardzo proste, zwykłe pytanie. - Udaję grupią.

- Oczywiście, że nie przyjdzie - odburkuje, po czym odwraca się na pięcie i wychodzi do kuchni.

Czy powinnam uznać to za dowód, że jednak ze sobą sypiają? Gdyby ich związek był niewinny, czemu miałyby nie przychodzić do baru? Przecież zawsze to robi. Próbuję poskładać wszystkie elementy układanki w sensowną całość. Najbardziej prawdopodobne wydaje mi się to, że od dawna się pragnęli. Na początku pewnie uważali, że to tylko przyjaźń, ale w miarę jak zaczęli spędzać ze sobą coraz więcej czasu, znów się w sobie zakochali. Zeszłej nocy nie potrafili już się dłużej powstrzymać i poddali się szalejącym namiętnościom. W sumie aż dziwne, że tak długo to trwało. Przypominam sobie Roberta leżącego w naszym pokoju. Uznałam wtedy, że miał dosyć Rafaelli i był zestresowany pracą, ale może w rzeczywistości walczył ze swoimi uczuciami i wyrzutami sumienia? Może mogłam temu zapobiec, gdybym tylko nie skupiła całej swojej uwagi na wynegocjowaniu wolnego wieczoru z Chuckiem?

Wychodzę przed bar i siadam na pierwszym lepszym krześle. Jest metalowe i bardzo niewygodne - jeszcze nie miałam okazji rozłożyć poduszek. Moich wad i niedoskonałości zdaje się coraz więcej. Wpadam w popłoch, dochodząc do wniosku, że muszę być okropną żoną - mój mąż ma romans ze swoją byłą dziewczyną, a ja zapomniałam zadbać o wygodę krzeseł w ogródku. Chyba jestem w szoku, skoro porównuję ze sobą te dwie rzeczy.

Mój mąż spał z inną kobietą.

Nie, nie, to niemożliwe. Nie mógłby tego zrobić. Nie Roberto. Ale czy naprawdę jestem aż tak naiwna, żeby w to uwierzyć? To jasne, że uwielbia spędzać z nią czas i że sporo ich łączy. I nie można wykluczyć, że mają romans, wręcz przeciwnie, wydaje się to bardzo prawdopodobne. Choć jednak w myślach dopuszczam taką możliwość, moje serce wciąż nie wierzy, że to prawda. Mój Roberto. Czy naprawdę to zrobił? Czy potrafili mi to zrobić? Zanim przeprowadziliśmy się do Włoch, nie

miałam cienia wątpliwości, że jest szczęśliwy i że nigdy by mnie nie zdradził, ale...

Ale odkąd tu mieszkamy, chyba żadne z nas nie jest szczególnie szczęśliwe. Moje myśli biegną w innym kierunku. Za dużo ich naraz, powinnam skupić się na jednym.

A może w Londynie też wcale nie byliśmy tacy szczęśliwi? Z tą tylko różnicą, że pogłębiającą się przepaść między nami znacznie łatwiej było ignorować, gdy wokół było tak wiele rzeczy odwracających naszą uwagę. Ja miałam Alison i Internet, w którym znajdowałam kolejne magiczne środki i porady, jak zwiększyć prawdopodobieństwo poczęcia. Miałam też znajomych z pracy i rodzinę. I nadzieję. A Roberto miał pracę i... w sumie to nie wiem, co jeszcze. Myśląc o tym teraz, zdaję sobie sprawę, że poza pracą niewiele było rzeczy, które mój mąż robił beze mnie. Lubił odwiedzać moich braci i rodziców i często wychodził do knajpy z moimi przyjaciółmi. Zawsze powtarzałam, że nie powinien ich uważać za moich przyjaciół, tylko naszych wspólnych, ale czy naprawdę tak ich traktował? Kiedy się poznaliśmy, miał wielu włoskich kolegów, jednak z biegiem lat każdy z nich wrócił do swojej mamy i makaronu domowej roboty. Kiedyś w każdą niedzielę grał z kumplami w piłkę w parku, parę lat temu skończyło się jednak i to. Szczerze mówiąc, nawet tego nie zauważyłam; cieszyłam się, że znów mam go dla siebie w niedzielne poranki — to przecież świetny czas, żeby pójść na zakupy albo do restauracji.

Czy Roberto kiedykolwiek czuł się w Londynie równie samotny jak ja tu, w Vegance? Nigdy nic takiego nie powiedział. Ale przecież o wielu rzeczach sobie nie mówiliśmy.

Pamiętam, jak wrócił do domu tego dnia, kiedy zwolnili go z pracy. Jego torba na laptopa była pełna ofert kupna domów, choć przecież nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o przeprowadzce. Oczywiście musiał porzucić swoje plany, ale gdyby jak się nie stało, to kiedy zamierzał to ze mną skonsultować? Przecież ja też chciałabym mieć w tej sprawie coś do powiedze-

nia. Czy te poszukiwania nowego miejsca zamieszkania były miłą, świadczącą o jego troskliwości niespodzianką czy może desperacką próbą zmiany dynamiki naszego życia rodzinnego? Pamiętam też dzień, kiedy przestaliśmy rozmawiać o dzieciach. Wszedł wtedy we mnie najmocniej, jak tylko potrafił, zdając się angażować każdy miesiąc, każde ścięgnię i nerw w poczęcie nowego życia, ale kiedy to życie nie zostało poczęte, żadne z nas nie poklepało nawet drugiego po ramieniu. Ja zaczęłam przeglądać strony internetowe w poszukiwaniu innych metod, a on... poddał się.

Jest mi niedobrze i czuję, że nie ma to nic wspólnego z męczącym mnie kacem. Wydawało mi się, że byliśmy szczęśliwym małżeństwem, spokojnym okrętem, który dopiero niedawno dopadła burza i który dopłynie do brzegu, jeśli tylko chwycimy za stery, zachowując zimną krew. Wystarczy jedynie przykleić plaster na lekkie otarcie, którym jest Ana-Maria.

Ale jeśli nie tylko o to chodzi, jeśli to wszystko zaczęło się znacznie wcześniej, to plaster chyba nie wystarczy.

Co robić? Co robić? Chcę mieć dziecko. Pragnę go i potrzebuję, marzę o nim, oddałabym wszystko, żeby je mieć. Nie mam czasu, energii ani nerwów, żeby zaczynać wszystko od nowa z kimś innym. Nie mogę sobie pozwolić, żeby nazwać swoje małżeństwo po imieniu - fikcją, cyrkiem, beznadziejną iluzją. Muszę udawać, że jeszcze nie zdałam sobie sprawy z tego co oczywiste. Muszę zgrywać niczego nieświadomą, naiwną kobietę, inaczej cały ten domek z kart rozsypie się w moich dłoniach. Jeżeli nie wplączą mnie w swoje sprawy, jeśli będą dyskretni - może będę mogła z tym żyć, przynajmniej do momentu, kiedy im przejdzie, a przejdzie na pewno, kiedy będziemy mieli dziecko. Co do tego nie mam wątpliwości. Przecież Roberto nie mógłby mnie zdradzać, gdybym była matką jego dziecka, no nie? Oczywiście, że nie. Jestem tego prawie pewna. Wtedy wszystko byłoby zupełnie inaczej, lepiej. Tego jestem już pewna na sto procent. Idę w kierunku baru. Rafaella stoi w drzwiach,

z rękami złożonymi na olbrzymich piersiach (to naprawdę nie lada wyczyn), i wpatruje się we mnie. Odruchowo odwracam się, by uniknąć kontaktu wzrokowego. Obserwuje mnie od samego rana, czekając, aż się złamię. Wiedzma.

Walczę z napływającymi do oczu łzami. Czy mój plan, by zostać tu i znosić wszystko, co zgotuje mi Roberto, jest wykonalny? Jak wielkie upokorzenie mogę znieść? Co jeśli jego uczucie do Any-Marii nie jest tylko zauroczeniem, jeśli to ją teraz kocha, a nie mnie? To wcale nie jest bezpodstawna myśl, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że od przyjazdu do Włoch rzadko okazuje mi jakiegokolwiek uczucia, a co dopiero miłość.

A co z Chuckiem? Do tej pory udawało mi się jakoś funkcjonować w Vegance tylko dzięki jego zainteresowaniu i czułości. Czy dam sobie bez niego radę? Muszę. Nie mogę o nim myśleć. Jestem mężatką i nie powinnam żywić do niego tego typu uczuć.

- Zapłacę dziesięć centów.

- Słucham? - Unoszę wzrok i staję twarzą w twarz z Chuckiem.

- Za twoje myśli. No dobra, niech będzie pens. Tak się chyba u was w Anglii mówi, no nie?

-Tak.

- Może powinienem był zaproponować euro.

- Chuck, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór... Chciałabym cię przeprosić.

Unosi do góry rękę i kręci głową, i wcale nie wygląda protekcjonalnie, sprawia raczej wrażenie szczerze rozbawionego.

-Nie przejmuj się, Elizabeth, każda przyjaźń musi prędzej czy później zostać przypieczętowana przez zwróconą zawartość zatopionego alkoholem żołądka. Tak że uznaję, że czujesz się ze mną swobodnie, i potraktuję to jako komplement. Tylko wiesz, mam nadzieję, że nie wejdzie ci to w krew.

Czerwienię się, jest naprawdę przemiły. Nagle wydaje mi się że nie zdołam dłużej powstrzymać łez; od rana wszyscy

traktują mnie zupełnie odwrotnie. Paradoksalnie, ani złowrogi wzrok Rafaelli i jej złośliwe uwagi, ani obojętność Roberta nie zdołały poruszyć mnie tak, jak troska Chucka.

- Myślałem, że dziś nie pracujesz.

- Bo miałam mieć wolne, ale zastępuję Paolinę. Ma jakieś problemy.

- A kto nie ma.

- Chcesz colę? -Tak, dzięki.

Mówię, żeby został w ogródku. Lubię być na powietrzu, nie przeszkadza mi nawet to, że zapomniałam okularów przeciwsłonecznych, a słońce świeci tak jasno, że trochę mnie oślepia. Przynoszę nam obojgu colę i popycham jedną szklankę w jego stronę; muszę przyznać, że całkiem niezle mi to wychodzi.

- Na koszt firmy - mówię głośno.

Rafaella mlaska z niezadowoleniem i ciężko dysząc, wraca do środka. Chociaż Chuck jak zawsze grzecznie się z nią przywitał, udaje, że go nie zauważa. Jestem mu wdzięczna, że się dziś tu zjawił. Oczywiście zawsze się cieszę na jego widok, przy nim zawsze jestem zrelaksowana i radosna, ale przychodząc tutaj teraz jak by nigdy nic, pokazuje wszystkim wokół, że nie mamy nic do ukrycia. Nie oczekuję, że i dziś zdoła sprawić, że będę zrelaksowana i radosna, ale jeśli tylko dzięki niemu poczuję się warta więcej niż śmieć, który przykleił się do czyjegoś buta, będzie to już jakiś postęp.

- Jakie masz plany na dziś? - pytam.

- No właśnie przyszedłem tu, żeby cię gdzieś zabrać. Myślałem, że dobrze ci zrobi trochę świeżego powietrza. Ale skoro pracujesz, to chyba nic z tego.

- Przepraszam - wzruszam ramionami.

Niczego nie pragnę bardziej, niż spędzić dzisiejszy dzień z Chuckiem, ale zdaję sobie sprawę, że byłby to błąd. Jestem totalnie rozchwiana emocjonalnie. Mąż mnie zdradza praktycznie na moich oczach. Traktuje mnie z pogardą i okazuje cał-

kowity brak szacunku, podczas gdy Chuck jest... co tu dużo mówić, jest boski. Siedzi naprzeciw mnie i okazuje mi sympatię i współczucie. A poza tym jest boski, wspominałam już o tym? Zdaję sobie sprawę, że każdy dzień, który z nim spędziłam, był olbrzymim ryzykiem. Bo zawsze istniała szansa, że w końcu przyznam się przed samą sobą do tego, co przecież od dawna jest oczywiste: zależy mi na Chucku bardziej niż na moim mężu. Zakochuję się w nim. Tak, jest przystojny, to fakt, ale też poświęca mi dużo czasu i uwagi. Jest interesujący, inteligentny, nowy, szczerzy, nieznan, ekscytujący. Ale to Roberto jest moim mężem. To z nim będę miała dzieci. Przechodzimy po prostu trudniejszy okres, i tyle. Ale jestem pewna, że sobie z tym poradzimy. Tylko musimy zacząć spędzać ze sobą więcej czasu i wrócić na właściwą drogę.

W związku z czym najgorszą możliwą rzeczą byłoby teraz spędzanie czasu z Chuckiem.

- Niestety, nie mogę dziś z tobą wyjść. Wiesz, myślę, że nie powinniśmy się więcej widywać. — Zmuszam się, żeby spojrzeć mu w oczy. Cholera, dlaczego za każdym razem mnie zaskakują? Widzę, jak jego twarz posępnieje. Jego oczy, zwykle szerokie i pełne nadziei, nagle ciemnieją; wygląda na zdezorientowanego i zranionego.

- Zrobiłem coś złego? Czy moje *penne eon gamberi e carciofi* było aż tak niejadalne? Mogę ugotować coś innego. Albo mogę w ogóle już nie gotować, będziemy jeść w restauracjach. - Dokładnie jak ja używa humoru jako mechanizmu obronnego.

Uśmiecham się.

- Nie, było pyszne, to znaczy może odrobinę przypalone, ale wiesz, nie o to chodzi.

- Czujesz się zakłopotana, bo widziałem, jak wymiotujesz?

-Nie, to znaczy tak, ale to też nie jest powód. - Chuck rozkłada szeroko ręce w geście, który ma pokazać, że w takim razie nie rozumie i czeka na wyjaśnienia. W sumie należy mu

się wytłumaczenie. Był naprawdę świetnym przyjacielem, najlepszym, jakiego miałam we Włoszech. Nie mogę tego skończyć, nie podając mu żadnej przyczyny.

- Roberto został wczoraj na noc u Any-Marii. t -Aha.

- Wygląda na to, że z moim małżeństwem jest znacznie gorzej, niż mi się wydawało. To znaczy nie mówię, że oni ze sobą sypiają - przerywam, mając nadzieję, że nie powie, że przecież wszyscy w mieście o tym wiedzą - po prostu chciałam powiedzieć, że ja nie powinnam spędzać tyle czasu z tobą, a on z nią. Musimy popracować nad *swoim* związkiem, pobyć trochę razem. Chcę to naprawić, chcę mieć z nim dzieci, chcę...

Chuck przerywa mi; po raz pierwszy nie chce usłyszeć, co mam do powiedzenia.

- Rozumiem. Rozumiem bardzo dobrze, naprawdę. Jesteście małżeństwem i naprawdę nigdy nie chciałem wejść między was - mówi szczerze.

Wpatruję się w niego, próbując zignorować rozczarowanie, które skręca moje wnętrze. Nigdy?

- Naprawdę bardzo cię przepraszam, jeśli tak się stało. Możesz być spokojna, już mnie nie ma.

Po czym wstaje i odchodzi, nie oglądając się za siebie.

19 maja

Niełatwo mi się przyzwyczaić, że Chuck zniknął z mojego życia. Boli. Znam go zaledwie kilka miesięcy, ale i tak odkrywam, że wstawanie rano jest znacznie trudniejsze, kiedy wiem, że go dziś nie spotkam. Do tego uświadamiam sobie, że to o nim najpierw myślę każdego ranka po przebudzeniu. Często też pojawia się w moich snach, które czasem zdają się mieszać z rzeczywistością, sprawiając, że czuję się krucha i zagubiona.

Jeżdżę teraz do pracy autobusem. Jest zatłoczony, a kierowca prowadzi tak, jakby brał udział w Grand Prix, więc nie jest to żadna przyjemność i zawsze przyjeżdżam do szkoły spięta i w nie najlepszym nastroju. Parę razy kupiłam sobie trochę owoców w nadziei, że może tylko tęsknię za przynoszonymi przez Chucka śniadaniem, ale jakoś nie mam ostatnio apetytu. Za każdym razem zapominam o nich i pozwalam, by przejrzały i popękały w mojej torbie. Ich mdły, słodki zapach przypomina mi o nudności, w związku z czym niezmiennie lądują w koszu na śmieci. Zazwyczaj staram się siadać przy oknie i próbuję skupić uwagę na przepięknych krajobrazach. Zachwyca mnie widok zielonych wzgórz pokrytych kwitnącymi krzewami szkarłatnych bugenwilli, które przemykają przed moimi oczami. Czasem zastanawiam się też, co dzieje się w budynkach w kolorze brudnej terakoty lub brzoskwini, zarówno w tych niewielkich, jak i w tych trochę większych, ale muszę przyznać, że znacznie częściej mój wzrok przykuwają mijające nas samochody. Próbuje dostrzec wśród nich auto Chucka. To, że w końcu minie autobus, którym jadę, jest wszak bardzo prawdopodobne - prze-

cięż jedzie w tym samym kierunku. Szczerze mówiąc, co chwilę wydaje mi się, że go widzę, ale po kilku sekundach zawsze zdaję sobie sprawę, że to jednak nie on, tylko podobny samochód, ale kierowca ma ciemniejsze włosy albo jest grubszy, albo niższy, albo jest przystojnym mężczyzną, tylko nie tym przystojnym mężczyzną, którego szukam.

Czasem mignie mi przed oczami gdzieś na szkolnym korytarzu, jego blond czupryny nie sposób przeoczyć, unosi się ponad ciemnymi głowami uczniów, widoczna nawet na najbardziej zatłoczonych schodach. Pewnego razu do niego pomachałam, ale chyba mnie nie zauważył. W każdym razie nie odma-chał. Kiedy jestem w barze, szyja mnie czasem aż boli, bo cały czas wyciągam ją, zerkając w stronę wejścia z nadzieją, że może jednak postanowił zignorować embargo, które nałożyłam na naszą przyjaźń, i zjawić się mimo wszystko. Za każdym razem gdy otwierają się drzwi, moje serce skacze jak oszalałe na samą myśl, że jednak istnieje jakaś znikoma szansa, że to właśnie on. Ale to nigdy nie jest on, a rozczarowanie, które po chwili przychodzi, dławi mnie w gardle.

Czasem łapię się na tym, że przechadzam się koło jego mieszkania, spoglądając, czy ma odsłonięte żaluzje albo uchylone okno i sprawdzając, czy jego samochód stoi przed domem. Zazwyczaj jednak żaluzje są zasłonięte, okno zamknięte, a samochodu nigdzie nie widać. Zadręczam się, rozmyślając, gdzie też się podziewa. A jeśli jest z inną kobietą? Nie, w gruncie rzeczy nie może być z inną kobietą. Może być z jakąś kobietą. Mógłby być z inną kobietą tylko wtedy, gdyby w jego życiu istniała poprzednia kobieta. A nie istnieje. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Upominam się w myślach, że jego nieobecność w domu jest normalna; pewnie znalazł sobie dziewczynę. To dobrze, zabierałam mu stanowczo za dużo czasu, to nie było w porządku. Ale mimo to coś kłuje mnie w sercu.

Od czasu do czasu, kiedy jego okno jest otwarte, chowam się w cień jak jakiś bohater filmu z Bondem. Chybabym umar-

ła, gdyby przyłapał mnie przed swoim domem zaglądającą mu w okna. Co by sobie o mnie pomyślał? Musiałby uznać, że jestem jakimś wyrzutkiem bez przyjaciół, dziwaczką, która go prześladowuje. I miałby rację. Kiedyś miałam wrażenie, że słyszę powolną, smutną melodię którejś piosenki Idy Cox, dochodzącą zza uchylonego w kuchni okna, ale może tylko mi się wydawało.

Muszę przyznać, że Chuck wziął sobie moje słowa do serca, pokazując tym samym, że szanuje moją decyzję. Albo że niewiele dla niego znaczyłam i łatwo mu przyszło zapomnienie o naszej przyjaźni. W każdym razie zostawił mnie w spokoju. Teraz mogę więc spędzać cały wolny czas z Robertem, dokładnie tak jak chciałam.

Tylko że szanse na to są nikłe.

Choć cały mój czas jest teraz do jego dyspozycji, a ja naprawdę bardzo się staram jakoś się z nim porozumieć, wspieram go i interesuję się barem, czuję, że jestem na jednokierunkowej drodze donikąd.

W sobotę, następnego dnia po mojej kolacji z Chuckiem i po pidzama-party Roberta i Any-Marii, choć czułam się niczym dno dawno niesprzątanej klatki papużki falistej, zdecydowałam, że powinniśmy wybrać się gdzieś razem wieczorem - na randkę.

Paolina wróciła do domu po południu. Nie wiem, czy udało jej się podjąć jakieś decyzje, kiedy spoglądała na miasto z tych majestatycznych wzgórz, ale wyglądała zdecydowanie lepiej i chętnie przystała na to, żebyśmy zrobili sobie z Robertem wolne. Mój mąż też nie dał się zbyt długo namawiać. Chciałam przyjąć to za dobrą monetę, ale jakoś nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że po prostu dręczą go wyrzuty sumienia.

Obydwoje ubraliśmy się odświętnie. Ja włożyłam tę długą, lnianą sukienkę, którą kupiłam przed wyjazdem do Włoch, myśląc, że będę w niej ugniatać stopami winogrona. Starannie nałożyłam makijaż, mając nadzieję, że będzie moją tarczą. Chyba powinnam była kupić w Wenecji jedną z tych masek festi-

wałowych, bardzo by mi się przydała - potrzebowałam czegoś, za czym mogłabym się ukryć. Roberto włożył koszulę, której nigdy wcześniej nie widziałam. Zamówiliśmy taksówkę i pojechaliśmy do Valdagno, przez całą drogę nie odzywając się do siebie ani słowem. Nigdy jeszcze nie jechałam nigdzie w tak absolutnej ciszy. Kiedy weszliśmy do przytulnej trattorii, Roberto poprosił kelnera o stół w zacisznym miejscu, co dodało mi trochę otuchy. Choć pod koniec wieczora chyba obydwójce żalowałismy, że nie usiedliśmy obok jakiejś dużej, hałaśliwej grupy — może ich śmiech zdołałby zamaskować niezręczne momenty milczenia.

Zdecydowałam, że nie będę mówić o Anie-Matii. Nie zasługuje na to, żeby o niej rozmawiać. Nie mogę dopuścić, by stała się kimś ważnym. Zamiast tego pytałam Roberta o bar i udawałam ogromne zainteresowanie dochodami, muzyką czy wyborem wystroju. Ponownie zaproponowałam kilka rozwiązań, które mój mąż przyjął z entuzjazmem. Nie robiłam mu wyrzutów ani nie przypominałam, że nie pierwszy raz mówię mu o remoncie toalet i wprowadzeniu *happy hours*; zaproponowałam natomiast, że poszukam w Internecie, gdzie można kupić szklane umywalki.

Nalegałam, żebyśmy oprócz dania głównego zamówili przystawkę, choć żadne z nas tak naprawdę nie miało tego wieczora apetytu. Przegrzebki, suszone pomidory i dorodne błyszczące oliwki zostały lekceważąco dźgnięte widelcem i przewracane na talerzu, ale nie zjedzone. Zamówiliśmy też butelkę drogiego wina i w normalnych warunkach pewnie poprosiłabym o kolejną, ale zdałam sobie sprawę, że nie mogę ryzykować. Bo choć nigdy nie zrobiłam pod wpływem alkoholu niczego szczególnie okropnego (no, może poza wymiotowaniem w toalecie u Chucka, ale im szybciej o tym zapomnę, tym lepiej), nigdy też nie zrobiłam niczego godnego podziwu. Nawet na trzeźwo utrzymanie moich lęków i obaw pod maską pozornego spokoju jest nadludzkim wysiłkiem, alkohol mógłby zniszczyć

moje próby i pozwolić, by mój umysł zdominowała zazdrość, strach i smutek. Zdaję sobie sprawę, że muszę być bardzo, bardzo ostrożna.

Nasza rozmowa jakoś przeskakiwała ode mnie do niego, niczym piłeczka pingpongowa rzadko posyłana poza stół, ale odbijana opieszale, bez większego zaangażowania. Po prostu chciałam, żeby wszystko było jak dawniej. Nie, to nie do końca tak; raczej pragnęłam, by było tak, jak wierzyłam, że mogłoby być. Chciałam, żebyśmy mogli zjeść razem kolację, a potem popędzić do domu i uprawiać szalony seks. Owocny seks. A jeśli to nie jest możliwe, to przynajmniej chciałam wrócić do tematu zapłodnienia in vitro.

Zadrapałam sobie podniebienie paluszką chlebowym. W zasadzie nie wiem, czemu w ogóle go ruszyłam, mając przed sobą tyle pysznego jedzenia, które pozostało praktycznie nietknięte. Zamierzałam być radosna i pełna energii. Miałam zamiar porozmawiać o tym spokojnie, podając mu logiczne argumenty; przedyskutować sprawę rozsądnie i co najważniejsze, skutecznie. Ale mój język nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

W końcu wymamrotałam:

- Muszę zarejestrować się u lekarza.

- Jesteś chora? - zapytał Roberto, przerywając maczanie chleba w sosie śmietanowym.

- Nie, ale myślę, że powinnam mieć tu swojego lekarza i przedstawić mu swój... nasz problem. - Spojrzałam na Roberta znacząco. Nie byłam pewna, czy zignoruje mój komentarz i uda, że nie ma pojęcia, o czym mówię, czy też wpadnie w szal i każe mi obiecać, że nigdy więcej nie będę o tym mówić. Kiedy stał mi się aż tak obcy, że nie potrafię przewidzieć jego reakcji? Zaskoczył mnie, wzruszając ramionami.

- Jeśli chcesz. Zachęcona taką odpowiedzią, dodałam:

- Chcę... muszę z nim porozmawiać o in vitro.

Roberto ostrożnie odłożył chleb, wziął do ręki serwetkę i otarł nią usta. Wpatrywał się we mnie przez chwilę, która zdawała się trwać całymi tygodniami, po czym powiedział:

- Nie chcę o tym słyszeć, Elizabeth. Już ci o tym mówiłem.

Powiedział to trochę w taki sposób, jakby chciał mnie zastraszyć, natychmiast więc w moich myślach pojawili się gangsterzy z mafijnych filmów, którzy grożą swoim ofiarom, że przyczepią im do nogi metalową kulę i wrzucą do rzeki.

Wzięłam głęboki oddech, po czym przypomniałam mu:

- Ale jesteś mi to winien, Roberto. Tym bardziej teraz.

Zarejestrowałam się u lekarza i poszłam na pierwszą wizytę, przynosząc ze sobą wszystkie niezbędne dokumenty oraz wyniki badań. Paolina pomogła mi dodać trochę ludzkich szczegółów do lekarskich druków i notatek, będąc moim tłumaczem.

Doktor natychmiast obiecał przekazać mój przypadek specjalście zajmującemu się leczeniem niepłodności w Bassano del Grappa, u którego mogłabym zasięgnąć porady w sprawie sztucznego zapłodnienia. Był miły i próbował dodać mi otuchy. Gdzieś za miesiąc powinnam mieć wizytę u tego specjalisty.

Chciałam być entuzjastycznie nastawiona i radosna, ale nie potrafiłam. Lekarz uznał więc, że tracę nadzieję; nie miał pojęcia, że po prostu zastanawiam się, jak najlepiej wydobyć spermę od mojego niechętnego męża. Odkąd spał u Any-Marii, nie uprawiamy seksu, co oczywiście nie jest niespodzianką. Cały czas planuję to w końcu zrobić, żeby pokazać, że mu ufam, ale coś mnie powstrzymuje. On także się do tego nie pali; śpimy każde na swoim końcu łóżka, odwróceniu do siebie plecami.

- Macie jeszcze państwo wiele różnych możliwości, nie traćcie więc nadziei - powiedział doktor, uśmiechając się szczerze.

Nie wspomniałam, że mój mąż wcale nie chce spróbować zapłodnienia in vitro; to tylko zepsułoby nastrój.

Nie widuję już Any-Marii; nie przychodzi do baru.

Roberto wciąż czasem znika o różnych porach dnia i nie ma go

godzinami. Regularnie sprawdzam terminarz, który leży teraz zawsze na widoku, obok butelki whisky, szukając zaplanowanych spotkań za każdym razem, gdy dłużej nie ma go w pobliżu. On zaś wyraźnie stara się, by zawsze, gdy jest poza barem, takie spotkania były w terminarzu wpisane. Jestem mu wdzięczna, że przynajmniej próbuje stwarzać pozory swojej niewinności. Czasem podaje obok numery kontaktowe, a czasem nie. Nigdy nie dzwoniłam pod żaden z nich ani na jego komórkę. Nie mogę mu pokazać, że podejrzewam go o romans, bo jeśli się przyzna, to wszystko stracone. A tak po prostu mu przejdzie. Na pewno. Muszę sprawiać wrażenie, że mu ufam. Ale to będzie możliwe tylko wtedy, gdy nie natknę się na żaden oczywisty dowód zdrady.

23 maja

Pewne rzeczy są stałe. Nie miłość - jak widać — ani przyjaźń, ani nawet nie marzenia. Dlatego też chyba powinnam odczuwać swego rodzaju perwersyjne pocieszenie na myśl o tym, że Rafaella wciąż mnie nie znosi, a ostatnio daje mi to odczuć jeszcze boleśniej niż wcześniej. Bo jej nienawiść do mnie jest przynajmniej stała. Na początku miała setki sposobów na pokazanie mi, że nie uważa mnie za członka rodziny; teraz wygląda na to, że ma ich tysiące.

Wcześniej wyciągała brudne rzeczy Roberta z kosza na pranie, zostawiając moje. Woląca mieć do połowy pełną pralkę, niż w jakikolwiek sposób mi pomóc; teraz dodatkowo zdaje się robić pranie zawsze wtedy, gdy jestem akurat w domu i sama chciałabym je zrobić, w związku z czym muszę prać swoje rzeczy w nocy albo korzystać z pobliskiej pralni. Kiedyś zawsze przygotowywała potrawy z mięsem; teraz nawet nie kładzie dla mnie nakrycia na stole. Nigdy nie zapłaciła mi za moją pracę w barze, a ostatnio wciąż prosi Roberta, żebyśmy przeznaczyli więcej oszczędności na remont. Powiedziałam mu, że nie chcę wydawać na to całych naszych pieniędzy. Możemy ich przecież potrzebować na zapłodnienie in vitro. Powiedział, żebym się nie martwiła, ale jakoś mnie to nie uspokoiło, więc wyciągnęłam połowę pozostałej kwoty i wpłaciłam ją na nowe konto, które otworzyłam na swoje nazwisko. Tylko jeszcze nie znalazłam odpowiedniego momentu, żeby mu o tym powiedzieć.

Dziś rano po powrocie ze szkoły powolnym krokiem ruszyłam w stronę domu Rafaelli. Mam naprawdę dużo zadania

domowego na jutrzejszą lekcję z signorem Castoro i nie potrafię zdecydować, gdzie się uczyć. Głupia, odkładałam to aż do dziś, do piątku, dokładnie tak, jak wtedy, gdy byłam uczennicą i zawsze robiłam zadania na ostatnią chwilę. W barze jest ostatnio zbyt głośno i nie bardzo można się skupić; oczywiście cieszę się, że nie przypomina już miasta duchów, ale już nie można się tam ukryć i mieć odrobiny prywatności jak dawniej. Wiem, że jeśli usiądę w jakiejś knajpce na piazzy, moje myśli szybko gdzieś odpłyną, a oczy się zamkną. Słońce świeci już teraz mocno i bez przerwy. Taka pogoda sprzyja oczywiście wielu rzeczom (opalenizna, długie paznokcie, lepsze ciuchy), ale niestety nie jest najlepsza, gdy trzeba pracować. Alternatywą jest więc uczenie się w domu Rafaelli. Nawet gdy temperatura na dworze wzrasta, ten dom i tak przyprawia mnie o zimne dreszcze. Wzdycham, mając nadzieję, że moja teściowa będzie w barze albo na zakupach, targując się z jakimś biednym sprzedawcą o cenę szparagów.

Kiedy dochodzę na miejsce, natychmiast zauważam, że jednak jest w domu (co niezbyt dobrze wróży) i wygląda na zapracowaną (co wróży katastrofę). Z doświadczenia wiem, że zapracowana Rafaella jest jeszcze bardziej zrzędliva i apodyktyczna, do tego sama niewiele robi, za to wręcza każdemu w zasięgu jakichś pięciu kilometrów długą listę zadań do wykonania. Kiedy w zeszłym miesiącu zdecydowała, że zacznie hodować własne warzywa, okazało się, że oznacza to dla mnie cztery dni ciężkiej pracy w ogródku z łopatą. Teraz wygląda na to, że robi porządki. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że ciągnie za sobą kartony i worki wypełnione jakimiś starymi rzeczami.

— *Buon giorno* - witam ją grzecznie, choć nieszczerze. Mówię to tylko dlatego, że nie wiem jak jest po włosku „Idź do diabła!”. Jak zwykle nie odpowiada, ale przynajmniej mnie zauważa. Rzuca mi coś w stylu uśmiechu, złośliwego i szyderczego. Mo] włoski poprawił się na tyle, że mogę już z nią rozmawiać, choć wciąż często udaje, że mnie nie rozumie. Ale nie dziś.

— Co pani robi?

— Pozbywam się śmieci, żeby było więcej miejsca.

— Czasem dobrze jest powyrzucać stare rzeczy, no nie? — zauważam pogodnie. Doskonale wiem, co to za uczucie, sama przecież niedawno wytargałam ze strychu miliony worków pełnych połamanych ramek na zdjęcia i nadjedzonych przez mole obrusów, żeby przygotować dla niej pokój. - Który pokój pani sprząta?

-Twój. -Mój?

— Zauważyłam, że wciąż nie rozpakowałaś swoich rzeczy, co znaczy, że ich nie potrzebujesz. Mój syn ciągle się o nie potyka. No więc zdecydowałam się je wyrzucić.

— Ze co? — wrywam z jej ręki plastikowy worek i zaglądam do niego pośpiesznie, odnajdując w nim moje ulubione bluzki i spódnice. O Boże! Ona wyrzuca moje rzeczy! Podnoszę kolejny worek, w którym widzę moje dżinsy, sukienki i bieliznę. Rafaella odwraca się na pięcie i wchodzi do domu, prawdopodobnie po to, by przynieść resztę mojego dobytku. Kompletnie dezorientowana zaglądam w pośpiechu do kolejnych toreb, rzuconych niedbale obok pojemników na śmieci; jest ich w sumie około sześciu, do tego trzy kartonowe pudła. Szybko stwierdzam, że przyniosła tu około trzech czwartych wszystkiego, co posiadam. Poza ciuchami ta wredna jędza wyrzuciła też moje kosmetyki, płyty kompaktowe, książki, ozdoby świąteczne, a nawet mój dezodorant! Przez kilka minut stoję w szoku obok koszy na śmieci, oszłupiała i oszołomiona, pilnując swojego majątku; jedyne co jestem w stanie zrobić, to kazać sobie oddychać głęboko. Co tu się do cholery dzieje? Czy ja umarłam? Chyba tak, bo wygląda na to, że jestem w piekle, a moje rzeczy porozrzucane wokół koszy na śmieci sprawiają, że czuję się zrównana z ziemią.

Chcę pobiec na górę i zapytać ją, co ona sobie wyobraża. Mam ochotę krzyczeć i wrzeszczeć, a nawet ją uderzyć. Tak, je-

stem aż tak ohydna. Chcę uderzyć starszą kobietę - jestem aż tak wściekła, zgorzkniała i niegodziwa. Ale nie wchodzę do środka, żeby znokautować teściową. Po pierwsze dlatego, że nie chcę zostawić swoich rzeczy, na wypadek gdyby ktoś je zabrał albo gdyby przyjechali akurat śmieciarze; a po drugie, mam świadomość, że do końca życia nie byłabym w stanie spojrzeć moim rodzicom w oczy, gdybym pobiła tę starą krowę.

Udaje mi się uchwycić wszystkie worki naraz, wnoszę je więc do kuchni. Nie ma w niej Rafaelli, wracam więc po pozostawione na dworze pudła. Ostrożnie kładę jedno na drugim. Chwieją się, ale chcę wciągnąć je do środka za jednym razem; wolałabym nie zostawiać ich samych ani na sekundę. W mojej głowie pojawia się wizja Rafaelli podpalającej rzeczy, które wniosłam przed chwilą w domu. Czuję się, jakbym grała w jakimś filmie, jakbym była bezdomnym uchodźcą desperacko trzymającym w ramionach cały swój dobytek i godność. Zdaję sobie sprawę, że w tych filmach bohater zwykle na końcu traci wszystko, co miał. Nie jest to pocieszająca myśl.

Kiedy wreszcie zaciągam wszystkie ciężkie pudła do domu, sapię ze zmęczenia. Roberto często oskarża mnie o czytanie zbyt lekkich książek — no to teraz mogę śmiało powiedzieć, że nie ma w nich nic lekkiego, jeśli się niesie wypełnione nimi pudło przez podwórze.

Rafaella siedzi teraz w kuchni, popijając kawę i jedząc jabłko. Wygląda na zadowoloną z siebie i przepelnioną błogim spokojem.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - pytam podniesionym głosem, darując sobie wszelkie formy grzecznościowe. Ja, w przeciwieństwie do niej, nie jestem spokojna, wszystko się we mnie gotuje.

- Sprzątam pokój mojego syna. Ty tego nie robisz, więc ja muszę.
- Ale wyrzuciłaś moje ubrania do śmieci!
- Bo masz dużo. Dużo za dużo.

- I moje książki, moją szczotkę do włosów i moją... moją... maskarę! - wyrzucam z siebie słowa, chwytając po kolei przedmioty wyciągnięte z worków i ciskając je na kuchenny stół.

Rafaella odgryza kolejny kawałek jabłka; na jej ręce przysiada mucha. Mam ochotę ją trzepnąć, a później wepchnąć Rafaelli to jabłko do gardła. Całe.

- Mój syn jest przyzwyczajony do mieszkania w czystym domu - odpowiada spokojnie. — I rozmawiałam z nim o sprzątaniu.

Czy to możliwe, że ona naprawdę nie rozumie, co zrobiła? Czy naprawdę wierzy, że nie ma nic złego w tym, że wyrzuciła moje rzeczy? Nie. To niemożliwe. Rafaella wypowiedziała mi otwartą wojnę, wojnę nuklearną, mówiąc dokładnie, ze wszystkimi konsekwencjami. To deklaracja nienawiści, którą żywi wobec mojej osoby, jeszcze bardziej dobitna, niż gdyby spakowała moje walizki i kupiła mi bilet do Anglii w jedną stronę.

Decyduję się przejść do ataku. Wpatruję się w nią, choć jej małe, złośliwe, czarne jak porzeczkki oczy są odwrócone w inną stronę; odkraja kawałek jabłka i zjada je prosto z noża. Na jej rękach widoczne są plamy wątrobowe, a pokrywająca je skóra zdaje się zbyt luźna i obwisła. Powinnam współczuć tej starej kobiecie, ale nie potrafię w sobie wykrzesać ani krzty empatii; nienawidzę jej z całego serca.

- Posłuchaj mnie, bo powiem to tylko raz - mówię niskim głosem, w którym na pewno można wyczuć wściekłość. Oddycham głęboko, próbując się opanować i powstrzymać od urwania jej głowy. - Jestem żoną Roberta i nigdzie się nie wybieram. Rozumiesz? Nie zamierzam ci go oddawać. Więc nigdy, przenigdy nie waż się dotykać moich rzeczy. Ani wchodzić do mojego pokoju. — Jestem dumna, że udało mi się skończyć to zdanie, i to bez rozplakania się.

- To mój dom - odpowiada pewnie, tym razem spoglądając mi głęboko w oczy, i choć czekałam na to, nagle odczuwam strach. Nie wygląda na zmieszaną, zawstydzoną czy skruszo-

ną. Jest po prostu bezduszna. Zepsuta do szpiku kości. Jestem przerażona.

Uświadamiam sobie, że mogę z nią przegrać, a ponurość tej myśli drapie swoimi długimi szponami moje serce.

Zanoszę swoje rzeczy do pokoju, biegnę do baru i domagam się, by Roberto poszedł ze mną na lunch. Widzi, że jestem sina z wściekłości, więc natychmiast się zgadza; wie, że sceny w barze nie przysporzą nam klientów.

Przy olbrzymim talerzu lazanii ze szpinakiem i serem ricotta (której nawet nie tknęłam), opowiadam mu tym, co przed chwilą zrobiła jego matka.

- Nie, mamma na pewno nie chciała cię urazić. Chciała tylko pomóc. Może trochę ją poniosło. Może powinnaś była rozpakować swoje walizki. Wiesz, wciąż tak leżały na podłodze i były trochę uciążliwe.

- Jak niby miałam się rozpakować, gdzie? Nie ma miejsca w szafach! - krzyczę oburzona. - Roberto, dobrze wiesz, że twoja matka jest dla mnie wredna. Nienawidzi mnie od momentu, kiedy przekroczyłam próg jej domu, i robi wszystko, żeby uczynić moje życie piekłem! I co najgorsze, całkiem nieźle jej idzie!

Roberto wzdycha, ale na szczęście ma na tyle przyzwoitości, żeby zaprzestać prób obrony Rafaelli.

- Zamontuję zamek w drzwiach do naszego pokoju.

- To nie wystarczy. Jeśli będzie chciała, i tak znajdzie klucz, a jak nie, to wyważy drzwi. — Naprawdę wierzę, że ta kobieta nie ma żadnych zahamowań.

- Nie możesz spróbować jakoś się z nią dogadać?

- Próbowałam. Doskonale o tym wiesz.

- To bardziej się postaraj.

Patrzę na niego piorunującym wzrokiem.

- Musimy znaleźć sobie mieszkanie.

- Nie stać nas na to.

- Stać, mamy oszczędności.

- Ale potrzebujemy ich na remont baru.

- Że niby kro tak powiedział? - Mój głos niemalże piszczy z oburzenia. Wpatruję się w Roberta. Czy on naprawdę niczego nie rozumie? Dlaczego mnie nie słucha? Modlę się do Boga, żeby otworzył oczy. Chcę chwycić go za rękę, ale odsuwa ją i otwiera menu.

- Masz ochotę na ciastko?

Włosi, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, uwielbiają ciasta i zawsze przypomina mi to o dawnych czasach w Wielkiej Brytanii, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie, o czasach przedwojennych. Często widzę rodziny, które około czwartej czy piątej idą odświętnie ubrane do Panificio Pasticceria, żeby skosztować niebiańskich przysmaków. Zauważyłam, że zjedzenie jednego kawałka ciasta zajmuje im czasem nawet i godzinę. Delektują się każdym kęsem i patrzenie na nich to prawdziwa przyjemność. Stanowią całkowite przeciwieństwo łakomych Brytyjczyków, łapczywie pożerających ciastka zakupione w niezbyt wyrafinowanej piekarni Gregg's. Włosi wiedzą, jak cieszyć się jedzeniem, w związku z czym każde popołudnie jest świętem. Strasznie mi się też podoba ich zwyczaj kupowania świeżych ciastek, które rozdają później swoim przyjaciom w niedzielny poranek. Nigdy nie są one zapakowane w tłuste papierowe torebki, tylko w schludne kartonowe pudełeczka przyozdobione kolorowymi wstążeczkami. Ale dziś nie mogę pozwolić, by cos odwróciło moją uwagę. Nawet ciasto.

- Wiesz, najgorsze w tym wszystkim było to, że nie tylko uznała, że ma prawo to zrobić, powiedziała też, że ustaliła to z tobą - mówię.

- Uwierz mi, Elizabeth, nie miałem z tym nic wspólnego. Powiedziała, że posprząta w naszym pokoju, ale nie miałem pojęcia, że wyrzuci twoje rzeczy.

- Oczywiście, że ci wierzę. - Choć trochę przygnębiające jest, że mój mąż musi mnie zapewniać o swojej niewinności w tak dziwacznej sprawie. - I to jej ciągle nazywanie ciebie

swoim synem. „*Mio figlio, mio figlio*”. Cały czas to robi. To takie wkurzające.

— Ale ja przecież jestem jej synem.

— Jesteś też moim mężem, a ja jakoś nie mówię do ciebie „mój mężu”, tylko Roberto.

— No bo to jest ten... językowa rzecz — mówi Roberto, machając lekceważąco ręką. — Jak to się mówi? Bariera językowa.

— Tu raczej chodzi o znaczenie swojego terytorium — odburkuje złowrogo.

— Może — przyznaje - ale prawda jest taka, że jestem jej synem znacznie dłużej niż twoim mężem; może to po prostu taki nawyk. Może za jakieś trzydzieści lat zapomnisz, jak się nazywam, i też będziesz w ten sposób do mnie mówić.

— Nie, nie będę.

Siedzimy w milczeniu. On chyba ma nadzieję, że skończyliśmy rozmowę na ten temat, ja zaś zastanawiam się, jak zacząć inny, dużo trudniejszy. Łapię byka za rogi. Wprawdzie nie jesteśmy w Hiszpanii, ale ta metafora i tale wydaje mi się odpowiednia.

— Dziś rano dostałam list potwierdzający datę wizyty u specjalisty od niepłodności.

— To jakieś brednie, Elizabeth. Już ci mówiłem, że nie chcę o tym słyszeć. Nie pójdę na żadną wizytę. - Roberto uderza pięścią w stół. Filiżanki z espresso podskakują w górę, po czym opadają z brzękiem na spodki. Widelec spada na ziemię.

— Ale dlaczego nie? — krzyczę poirytowana. — Chodzi o to, że to i tak nie daje żadnych gwarancji? Boisz się, że znowu się rozczaruję? Wiem, że jest szansa, że nic z tego nie wyjdzie, ale zawsze warto spróbować. — Roberto milczy. - Powiedz mi, o co chodzi, porozmawiaj ze mną. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz nawet przedyskutować sprawy. Chodzi o to, że to może być zagrożeniem dla mojego zdrowia? Albo dla zdrowia dziecka? — Przesuwa głowę o jakiś centymetr, niekoniecznie w odpowiedzi na moje pytania, wygląda to raczej na podszyty zdenerwowaniem gest lekceważenia i rezygnacji.

Ciepłe promienie słońca muskają mój policzek i udaje im się powstrzymać pełne desperacji łzy, zanim dostrzeże je Roberto. Po chwili przychodzi kelner i zabiera nasze talerze. Spogląda na mnie jakże znajomym, karcącym wzrokiem, pyta, dlaczego prawie nie ruszyłam *lasagne*. Zapewniam go, że była przepyszna, ale więcej nie zmieściłam. Tymczasem gardło mam tak ściśnięte, że nie potrafię nic przełknąć. Proponuje przyniesienie trzech innych dań, ale za każdym razem muszę go rozczarować, uparcie twierdząc, że naprawdę jestem najedzona. W końcu odchodzi, mlaskając z niezadowoleniem i kręcąc głową; wygląda, jakbym właśnie kopnęła jego małego pieska. Czuję się tak, jakbym była jednym wielkim rozczarowaniem. I to nie tylko dla kelnera. Zwykle śmieszy mnie troska, którą obsługa okazuje mi za każdym razem, gdy na talerzu zostaje choć odrobina jedzenia. Kiedyś sam szef kuchni przyszedł zapytać mnie, dlaczego nie skończyłam jego *makaronu fettuccine* z karczochami po sycylijsku. Dziś jednak to zainteresowanie jest dla mnie przytłaczające, prawie wścibskie, i powstrzymuję się, żeby nie wybuchnąć. Siedzimy w ponurej ciszy i zaczynam się zastanawiać, jak długo uda nam się tak wytrzymać.

Po chwili Roberto wstaje i kładzie na stole swój portfel.

— Muszę iść do toalety. Zapłacić rachunek. — Po czym dodaje: - Proszę.

Znam jego portfel jak własną portmonetkę. Kupiłam mu go z okazji naszej ostatniej rocznicy ślubu, która wydaje mi się teraz odległa o jakieś milion lat. Z zewnątrz wygląda na zwykły elegancki portfel, ale wewnątrz narysowana jest kobieta z dużymi piersiami, taka z kreskówki z lat pięćdziesiątych. Ten żartobliwy akcent zawsze wzbudza uśmiech na mojej twarzy. Skóra, z której jest zrobiony, jest miękka i delikatna w dotyku. Szukam banknotów, nie zwracając za bardzo uwagi na resztę jego zawartości, przecież tak dobrze ją znam: karty kredytowe, moje zdjęcie, prezerwatywa.

Prezerwatywa?

Zastygam w bezruchu. Szok, wywołany obecnością tej obcej rzeczy skrywanej w portfelu mojego męża, jest niczym siarczasty policzek; prawie czuję piekący ślad, który zostawił na mojej twarzy. Po co mu prezerwatywa? Głupie pytanie. Nie sądzę, żeby zamierzał napełnić ją wodą i zrzucić z wieży zegarowej. Ale przecież nam nigdy nie były potrzebne zabezpieczenia.

W najokrutniejszym, najbardziej bolesnym momencie swojego życia zdaję sobie sprawę z dwóch rzeczy równocześnie. Po pierwsze, Roberto na pewno sypia z Aną-Marią. Nie ma już żadnego marginesu błędu, nie mogę się dłużej oszukiwać. A po drugie, chce, żebym o tym wiedziała.

Ani przez ułamek sekundy nie zastanawiam się, dokąd pójść. Obawiam się tylko, że nie zastanę go w domu. Dobiegam na miejsce i dobijam się głośno do drzwi. Doskonale znam jego rozkład zajęć, wiem zatem, że skończył pracę o 12.15. No ale istnieje szansa, że nie wrócił od razu do Veganze albo że wyjechał gdzieś na weekend. Modłę się, żeby tak nie było, i zaciskając pięści jeszcze mocniej, łomoczę w ciemne drewno. Właśnie zamierzam pobiec na parking, żeby sprawdzić, czy stoi tam jego samochód, kiedy wychyla głowę przez okno; wygląda, jakby myślał, że pod jego domem grasuje jakiś groźny szaleniec. No ale w sumie ma trochę racji — można przecież powiedzieć, że oszalałam. Wpuszcza mnie do środka; pędzę na górę, przeskakując po dwa schodki naraz. Drzwi do jego mieszkania są otwarte, stoi w nich, czekając na mnie. Jest zdenerwowany i czujny.

- Roberto sypia z Aną-Marią - dyszę. Nie jestem przyzwyczajona do wysiłku fizycznego, więc bieg przez piazzę i wspinaczka po schodach mocno dały mi się we znaki.

- Aha — odzywa się niepewnie. Przyglądam się wyrazowi jego twarzy. Wiedział? A może zgadł?

- Pewnie wszyscy w mieście zdali sobie z tego sprawę znacznie wcześniej niż ja — mówię ostrożnie. — Tyle że ja nie chciałam wiedzieć.

- Przykro mi - odpowiada szczerze.

Wpycham go z powrotem do mieszkania i sama wchodzę, zatraskując za sobą drzwi. Kładę palec na jego ustach. - Niepotrzebnie.

Jego usta są jak ciepłe puchowe poduszeczki pod koniuszkami moich palców. Nie odpycha mnie, muska tylko palcami mój policzek i choć dotyka mnie wyjątkowo delikatnie, czuję się, jakbym była do niego przygwożdżona lub przywiązana. Nagle pewne rzeczy stają się jasne. Od mojej przeprowadzki do Włoch Chuck był moim najlepszym przyjacielem, jedynym przyjacielem, kimś' znacznie więcej niż przyjacielem. Wiem, że nie chce mieć dzieci, ale w tej chwili nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia. Moje małżeństwo to gnijąca padlina. Potrzebuję odrobiny miłości.

Całuję go. Odwzajemnia mój pocałunek. Najpierw powoli i ostrożnie, nie spuszczać ze mnie wzroku, ale po chwili przyspiesza tempo, całuje mnie mocno i długo. Czuję się kompletnie przytłoczona i oszołomiona. Jego pocałunek jest znacznie bardziej dojrzały, niż się spodziewałam. Jest też równie nowy i zaskakujący jak moje pierwsze tego typu doświadczenie, choć jednocześnie tak namiętny i pewny jak w moich marzeniach. Chuck muska wargami moje usta, podbródek i policzki, później przechodzi do powiek, uszu i szyi. Zdaje się to robić w nieskończoność; kompletnie tracimy poczucie czasu. Zatapiam się w jego czułości; cała wściekłość i upokorzenie, którego dziś doświadczyłam, ulatniają się i myślę wyłącznie o jego ustach. Przynajmniej do momentu, kiedy jednym szybkim ruchem ściąga przez głowę podkoszulek; wtedy myślę o jego ciele. Wiedziałam, że ma szerokie ramiona i złocistą skórę, ale nie miałam pojęcia, że jego brzuch jest tak świetnie wyrzeźbiony. I kto by przypuszczał, że odrobina piegów na jego skórze sprawi, że się rozplynie?

Nagle wszystko, co wydarzyło się do tej pory, jest niewyraźne. Zaczynam wierzyć, że inne pocałunki i inni mężczyźni, nawet Roberto, wszystko było jedynie oczekiwaniem na to, co dzieje się teraz; a wszystkie słowa, które z Chuckiem wymieniliśmy, a także te, których nigdy nie udało nam się wypowiedzieć, są nieistotne. Stoimy w milczeniu obnażeni, odsłaniając

przed sobą, jak bardzo potrzebujemy i pragniemy siebie nawzajem. Moje nogi uginają się, kiedy myślę o wadze tego, co się za chwilę między nami wydarzy. Chwieję się, ale nie chcę już czekać ani chwili dłużej. Padamy na ziemię, nie chcąc marnować czasu na dojście do stojącej zaledwie kilka metrów dalej kanapy czy do sypialni.

Podłoga jest trochę zakurzona; niewielki pająk wybiega z cienia, przemyka szybko przez pokój, by po chwili zniknąć z zasięgu mojego wzroku. Promienie słońca wdzierają się do środka przez zasłonięte żaluzją okno; wąski pas światła spływa kaskadą do przedpokoju. Powietrze wypełnia ciepło, ale nie takie przyjemne, tylko duszne i suche. Ale zupełnie mnie to nie obchodzi. W tej chwili nie potrzebuję jedwabnego prześcieradła ani zapalonych świeczek. Słyszę odgłosy dochodzące z ulicy - przejeżdżające samochody, dźwięk klaksonów, śmiech i głośne rozmowy przechodniów; są niczym muzyka dla moich uszu, zdecydowanie bardziej realne niż smutne, kojące bluesowe ballady, które zwykle towarzyszą moim miłosnym uniesieniom.

Zachowujemy się jak rozszalałe zwierzęta trochę przerażone tym, co się dzieje. Wargi Chucka zatapiają się w moich; nasze pocałunki są tak głębokie, że nie potrafię odróżnić, które usra należą do mnie, a które do niego. Unoszę sukienkę i zrywam stringi; on mocuje się przez chwilę z rozporkiem, po czym wchodzi we mnie jednym szybkim ruchem. Nie czuję żadnego bólu ani szoku. Moje ciało przyjmuje go, jakby na niego czekało. Może tak właśnie było. Patrzymy sobie głęboko w oczy. Nie odrywamy od siebie wzroku, ani na moment nie zapominając, co robimy i z kim. To takie nadzwyczajne, ważne, prawdziwe. Chuck stęka i drży, ja jęczę i trzęsę się. Niczym zwierzęta, którymi przecież jesteśmy. Czuję się dopełniona.

Oczywiście nagromadzone między nami podniecenie i napięcie sprawia, że po kilku minutach jest już po wszystkim. Paleni nagłą potrzebą, musieliśmy to zrobić właśnie w taki sposób, szybko i bez wytchnienia. Odczuwam ulgę i taki rodzaj

spełnienia, o którym już dawno zapomniałam, że istnieje i jest możliwy. W naszym seksie nie chodziło o robienie dzieci, nie był spowodowany wściekłością, chęcią zemsty, strachem czy poczuciem obowiązku.

No właśnie — w takim razie o co w nim chodziło?

Chuck chyba myśli dokładnie o tym samym, bo kiedy idzie znaleźć dla nas jakieś chusteczki, z toalety dochodzi mnie jego głos:

- Przepraszam, Elizabeth, ale muszę wiedzieć, tak tylko, gwoli jasności. Zrobiłaś to, bo mnie pragnęłaś, czy z wściekłości na Roberta?

Wstaję i biegnę do niego. Zarzucam mu ręce na szyję i wtulam się w jego ciepłe ciało, nie przejmując się, że na mojej ślicznej letniej sukience pozostanie jego lepkość.

Biorę jego twarz w swoje dłonie, spoglądam mu głęboko w oczy i mówię:

- Kiedy zobaczyłam w portfelu Roberta prezerwatywę, przeżyłam szok, ale też, ku własnemu zaskoczeniu, ogromną ulgę. Pragnęłam cię od wielu miesięcy. Nie jestem zła na Roberta. Jestem mu wdzięczna. Bo wreszcie wszystko zrozumiałam. Roberto wyświadczył mi przysługę, pierwszą od bardzo dawna.

Nie chcę zostać w Veganze ani chwili dłużej, niż to konieczne. Pomysł ukrycia się w mieszkaniu Chucka wydaje się idealny, ale tylko do momentu kiedy zdaję sobie sprawę, że kiedyś w końcu będę musiała stąd wyjść albo, co gorsza, ktoś mnie tu w końcu znajdzie. Chuck mówi, żebym się nie martwiła. Przygotowuje mi gorącą kąpiel z bąbelkami i każe się odprężyć. Jestem pod wrażeniem, że pamiętał. Kiedyś, narzekając na mieszkanie w domu Rafaelli, wspomniałam, że moja teściowa pozwala tylko na prysznic, twierdząc, że kąpiele to marnotrawstwo ciepłej wody. Na co dzień i tak zwykle biorę tylko prysznic, ale co najmniej raz w miesiącu staram się zanurzyć w wannie pełnej gorącej, pachnącej wody; zawsze pomaga mi się to zrelaksować. Kiedy tak sobie leżę pośród wonnej piany, Chuck pakuje torby i wykonuje kilka telefonów.

Choć wcale o tym nie rozmawialiśmy, obydwójce zdajemy sobie sprawę, że nie ma szans na to, żebym poszła do domu Rafaelli zabrać trochę rzeczy. Mimo że pewnie i tak stoją znów koło koszy na śmieci. Ale nie mogę ryzykować awantury, która byłaby nieunikniona. Oczywiście pewnie kiedyś i tak do niej dojdzie, ale jeszcze nie teraz. Jakby czytając w moich myślach, Chuck mówi:

- Kupimy wszystko, czego będziesz potrzebowała.

— Niczego nie potrzebuję. W ogóle mnie to nie obchodzi - odpowiadam stanowczo.

Pewnie powinno mnie to choć trochę obchodzić, zważywszy na fakt, że w ciągu ostatniej godziny całe moje życie

przewróciło się do góry nogami, ale jakoś nie potrafię się tym przejmować. Może to dziwne, ale czuję, jakby wszystko było na swoim miejscu. Na właściwym miejscu. Dokładnie tak, jak powinno. Ale przecież to niemożliwe. Mój mąż ma romans ze swoją pierwszą miłością, ja jestem cudzołożnicą, nie mam się gdzie podziać i nie posiadam nic poza rzeczami, które mam teraz na sobie, przynajmniej na razie. Jak więc wszystko może być na właściwym miejscu? Ale mimo to czuję, że jest. Kiedy siadam w samochodzie tuż obok Chucka, wiem, że mam to, czego mi w tej chwili potrzeba.

Postanawiamy pojechać do Wenecji. Czuję, że będzie to tak naprawdę mój pierwszy raz w tym mieście, bo moja wycieczka z Robertem i Aną-Marią nie należała do nazbyt przyjemnych, a po ostatnich wydarzeniach wydaje się tym większą farsą. Jadąc samochodem, rozmawiamy. Nie o tym, co się właśnie między nami wydarzyło, ani o niczym ważnym czy głębokim; prowadzimy luźną rozmowę, dokładnie tak, jak robiliśmy przez ostatnich kilka miesięcy. O krajobrazach za oknem, o muzyce, która właśnie płynie z radiowych głośników, o naszych rodzinach i o tym, co chcielibyśmy zobaczyć i zrobić w Wenecji. Nie wspominamy o Robertcie i Anie-Marii ani o tym, co właśnie zrobiliśmy. Żadne z nas nie wie, co na ten temat powiedzieć. Szybki seks na jego podłodze zdaje się odchodzić powoli w niepamięć, choć jednocześnie jest wciąż obecny w naszych ciałach. Czuję tę energię między nami, czuję tę pozamaterialną, nieuchwytną więź, którą złączeni są kochankowie. Cieszę się, że poza tym nic się między nami nie zmieniło. Zawsze wierzyłam, że prawdziwi kochankowie są też najlepszymi przyjaciółmi. Problemem w moim związku z Robertem było to, że wciąż ze sobą sypialiśmy, choć przestaliśmy nimi być. Ta smutna rzeczywistość smakuje niczym kwaskowaty płyn do płukania ust, wysuszając i drażniąc moje wargi.

Tym razem Wenecja idealnie spełnia moje wyobrażenia. Nikt mnie nie popędza ani nie pogania. Teraz rozumiem, dla-

czego pisarze od wieków nie potrafią znaleźć właściwych słów, by opisać splendor i niezwykłość tego miasta. Jest jedyne w swoim rodzaju. Nawet pod koniec maja, kiedy temperatura wzrasta i aż roi się tu od turystów, zdumiewa mnie baśniowa atmosfera tego miejsca. To dziwne, że nawet w tak gorący i tłoczny dzień jak dziś wcale nie odczuwam rozczarowania. Wręcz przeciwnie, jestem podekscytowana. Tak wiele rzeczy we Włoszech, jak się okazało znacznie odbiega od moich wyobrażeń, a za każdym razem gdy to odkrywałam, czułam żal. Choć jednak wcale nie spodziewałam się połyskujących plastikowych gondoli ani rzędów tanich, nylonowych piłkarskich koszulek sprzedawanych przez handlarzy na moście Rialto, zupełnie mi to nie przeszkadza. Nie rujną moich romantycznych fantazji, bo nigdy nie marzyłam o tym, że będę kiedyś z Chuckiem w Wenecji. Magia obecna między nami jest tym silniejsza, że pojawiła się nieoczekiwanie. Tak, od dawna go pragnęłam, ale jako mężatce nawet na moment nie przyszło mi do głowy, że kiedykolwiek będę go mieć. Dlatego każda wspólnie spędzona chwila jest rozkoszną niespodzianką.

Roberto pozwolił mi odejść. Albo wyrzucił mnie. Jak kto woli. Nieistotne. Ważny jest efekt. Jestem wolna i mogę wreszcie żyć, zamiast tylko marzyć. To naprawdę niezwykła wolność.

Spędzamy leniwe popołudnie, zaczynając od przechadzki po placu Świętego Marka, który jest sercem miasta. To zaskakujące, ale wciąż nie myślę o Robercie, Anie-Marii, Rafaelli ani o barze. Przez wiele miesięcy przejmowałam się nimi, nie mam już energii, żeby się zadręczać, wspominając krzywdy, które mi ostatnio wyrządzili. Moja głowa nie potrafi jeszcze tego wszystkiego pomieścić. Poddaję się za to urokowi chwili. Podobają mi ^{Się} orkiestry w kawiarniach. Śmieję się, widząc gruchające gołębie przysiadające ludziom na ramionach i wyciągniętych rękach; Podskakuję, gdy przelatują nad naszymi głowami. Choć są już trochę grube, wciąż zbierają resztki pożywienia niczym myszy kościelne, drapiąc pazurami chodnik. Zachwycają mnie kelnerzy zwinnie przemykający między rozstawionymi na świeżym

powietrzu stolikami. Słyszę brzęk talerzy i szkła, radosne głosy ludzi, ich śmiech, gwizdy i okrzyki. Wenecja jest chaotyczna i głośna, ale tętni życiem.

Nawet nie zauważam, kiedy okolica staje się coraz spokojniejsza, powietrze chłodniejsze, a w miejsce piekącego słońca, otulającego uliczki swoimi promieniami i zalewającego miasto pomarańczowym światłem, pojawia się rzeźki, pewny siebie księżyc.

- No to co robimy? - pyta Chuck. Dobre pytanie. Jakoś mam przeczucie, że wcale nie chodzi mu o to, czy idziemy na lody czy na kawę.

- Nie wiem, jeszcze o tym nie myślałam.

Zwiedziliśmy już plac Świętego Marka i przespacerowaliśmy się ustronnymi uliczkami mniej obleganych części miasta, takich jak wschodnia dzielnica, Castello, której urok polega przede wszystkim na tym, że jest zamieszкана i pachnie ciężką pracą. Później udaliśmy się w kierunku południowym i dotarliśmy do dzielnicy Dorsoduro, miejsca spotkań artystycznej bohemy, pełnego skarbów sztuki. A potem poszliśmy na północ, zatrzymując się w Cannaregio i podziwiając nieznanym turystom kościoły, a także delektując się ciszą i spokojem. Podobało mi się przede wszystkim to, że Chuck, podobnie jak ja, lubi rozejrzeć się szybko wokół, kupić kartkę i iść dalej. Moi rodzice natomiast zawsze gasili tę odrobinę entuzjazmu, którą czasem miałam, godzinami włączając się po jednym miejscu, przystając przy każdym posągu Maryi.

Choć większość popołudnia spędziliśmy w dość chłodnych wnętrzach budynków, dopiero teraz, kiedy na niebie jest już księżyc, przechodzą mnie pierwsze dreszcze. Opierając się o stalową barierkę na moście, spoglądam przed siebie zauroczona. Wkładam podany mi przez Chucka zapinany na suwak sweter, który wcześniej kupiliśmy.

Patrzę na zamożnych turystów w średnim wieku siedzących wygodnie w gondolach. To takie oklepane. Na szczęście

oparliśmy się pokusie i nie wydaliśmy stu funtów, bez tego również można podziwiać gwiazdy błyszczące na granatowym niebie. Poza rym, ponieważ nie mam ze sobą nawet torebki, to Chuck płacił dziś za wszystko - od lunchu po pokarm dla gołębi- Najdziwniejszy był moment, kiedy kupił mi sweter, majtki i szczoteczkę do zębów. Czuję, jakbyśmy byli parą co najmniej od sześciu miesięcy, a przecież wylądowaliśmy w łóżku zaledwie sześć godzin temu. Ale o dziwo, choć oczekiwałam, że sytuacja, w której Chuck kupuje dla mnie bieliznę, będzie niezręczna, wcale tak się nie stało. Nasza nagła poufałość wydaje się normalna i właściwa.

- Myślę, że czas na coś do picia - stwierdza Chuck. Znajdujemy cichy bar z ogródkiem i zamawiamy karafkę

czerwonego wina stołowego oraz lody czekoladowe. Ponieważ zjedliśmy dość późny i sycący lunch, żadne z nas nie jest głodne i nie ma ochoty na normalny obiad. Zamówione wino ma intensywny, wyrazisty smak. To dla mnie pierwszy alkoholowy napój tego dnia. Podczas lunchu piliśmy lemoniadę, decydując, raczej podświadomie i bez konsultacji ze sobą, że powinnam zachować jasność umysłu. Teraz, kiedy dzień zbliża się ku końcowi, Chuck idealnie ocenia sytuację, uznając, że muszę się rozluźnić.

- Czy my uciekamy? - pytam.

- Tymczasowo tak — odpowiada. — Myślę, że potrzebujemy trochę czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć.

Od razu wpadam w popłoch. Czy źle zrozumiałam to, co się dziś wydarzyło? Myślałam, że łączy nas nic porozumienia. Myślałam, że on to rozumie. Może po prostu uznał mnie za szybką i łatwą zdobycz. No bo przecież byłam i szybka, i łatwa- Ale miałam nadzieję, że jednak znaczę dla niego więcej. A jeśli on kogoś ma? Przecież od miesiąca ze sobą nie rozmawialiśmy. Istnieje taka możliwość. Powinnam była ustalić fakty, zanim wskoczyłam mu do łóżka. Ale wtedy jakoś mnie to nie

obchodziło. Pamiętam, że zanim nałożyłam embargo na naszą

przyjaźń, chwilami myślałam, że Chuck coś do mnie czuje. Ale nie miałam stuprocentowej pewności, bo byłam z Robertem. O czym ja mówię? Przecież wciąż jestem z Robertem. Nie tak jak kiedyś, ale jednak...

Cholera, to wszystko jest zbyt skomplikowane. Chyba otwierałam tamę i wszystko to, co od rana udawało mi się skutecznie ignorować, zaczyna powoli wyciekać, grożąc powodzią. Biorę głęboki oddech. Muszę zadać kilka trudnych pytań i może nawet stawić czoło niewygodnej prawdzie, ale to jedyne sensowne rozwiązanie. Z Robertem zawsze unikaliśmy trudnych tematów i skończyło się to tak, że nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać, a później już nawet nie widzieliśmy sensu podejmowania prób dogadania się. I nie mogę pozwolić, by to samo stało się z Chuckiem.

Biorę kolejny głęboki oddech.

— Skoro uważasz, że powinniśmy to przemyśleć, to czym tak naprawdę był ten epizod na podłodze w twoim domu?

- Ale nie mówię o nas - mówi Chuck z rozbawieniem, ale i z niedowierzaniem, że myślę w taki sposób. - No chyba że tego chcesz — dodaje, pokazując tym samym, że i on nie czuje się pewnie.

— Nie, nie, wcale nie — wyrzucam z siebie pośpiesznie. — Na pewno nie. Myślałam o tym przez ostatni miesiąc i było strasznie. — Zdaję sobie sprawę, że nie postępuję zgodnie z zasadami udawania obojętnej w początkowych fazach związku, ale to niewłaściwy moment na tego typu gierki.

- Ale skoro już o tym mówimy, to wiesz, nie popieram przechodzenia z jednego związku w drugi — dodaje ostrożnie.

— Ale ja zawsze tak robiłam.

- Wiem — odpowiada niepokojąco. - Mówiłaś mi. - No właśnie, problemem w związku dwojga przyjaciół jest to, że wszystko o sobie wiedzą. — Osobiście uważam, że każdy potrzebuje trochę czasu pomiędzy jednym związkiem a drugim. Żeby się zastanowić nad pewnymi sprawami i wyciągnąć wnioski.

- Tak, ale ty jesteś Amerykaninem — próbuję rozładować napięcie, żartując.

Chuck kładzie palec na moich ustach, chcąc mnie uciszyć, dokładnie tak jak ja wcześniej, w drzwiach do jego domu. Wspomnienie pospiesznego seksu na podłodze przyprawia mnie o przyjemne dreszcze.

- Chciałem tylko powiedzieć, że może nie jest to najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiliśmy w życiu.

Moje serce spada w dół, roztrzaskując się o brukowaną ulicę. Chuck się wycofuje. Ale potem dodaje:

- Tylko że chyba nie mamy innego wyjścia. Szczerze mówiąc, szukałem innego wyjścia od samego początku, odkąd cię poznałem. Nie chciałem skończyć tak jak teraz. Ale stało się i jakoś nie potrafię odczuwać z tego powodu żalu - trzyma w powietrzu rękę, jakby chciał pokazać, że poddaje się biegowi wydarzeń.

Moje serce natychmiast podskakuje z powrotem aż do gardła. Wcale się nie wycofuje! Wręcz przeciwnie, ściąga nogę z hamulca i dodaje gazu! Oniemiała z radości pochylałam się ku niemu i całuję go mocno.

Kiedy znów się kochamy, robimy to zupełnie inaczej. Tym razem oboje wiemy, że to nie jest ostatni raz.

Słońce zniknęło za horyzontem, niebo przybrało kolor węgla, a my wciąż rozmawialiśmy w ciemnościach, otuleni ciepłym powietrzem. Gdy zaś zrobiło się chłodniej, przenieśliśmy się do środka i dalej gawędziliśmy, popijając wino. Olbrzymie drewniane drzwi, rozciągające się od podłogi aż po sufit, były otwarte na oścież, a ja nie mogłam się doczekać, kiedy w podobnej pozycji znajdą się moje nogi.

Opowiedziałam Chuckowi o swoich ambicjach i rozczarowaniach dotyczących uczenia, a ponieważ sporo wypiałam, rozróżnienie pomiędzy tymi dwiema rzeczami stało się niemożliwe. Złały się w jedno, nie mając najmniejszego sensu. Opowiadałam mu o Alison i zastanawialiśmy się, czy z Fioną to już tak naprawdę na poważnie. Chuck mówił o swoich kumplach we Włoszech i o najlepszym przyjacielu ze Stanów. Pytał mnie też o różne dziwne błahostki, takie jak kiedy zdałam egzamin na prawo jazdy albo czy kiedyś byłam na meczu piłki nożnej. Tylko że zamiast *football* mówi *soccer*.

Śmieje się ze mnie i ze mną, a kiedy to robi, cała jego twarz zdaje się eksplodować potężnym rechotem, który uwielbiam. Czasem kwestionuje moje słowa, a czasem się ze mną zgadza. Informuje i popełnia błędy. Jest zdumiewająco autentyczny.

Po lodach i dwóch butelkach wina zapytaliśmy kelnera, czy nie zna przypadkiem jakiegoś miejsca z wolnymi pokojami. - Obawialiśmy się jednak, że o tej porze roku bez rezerwacji

nie uda nam się *znaleźć* niczego przyzwoitego. Kelner wzruszył ramionami i po chwili zastanowienia powiedział, że możemy sprawdzić hotel, który należy do kuzyna jego dziewczyny i znajduje się obok placu Świętego Marka i mostu Rialto. Napisał na kartce adres i życzył nam powodzenia.

- Pewnie nie ma miejsca. Jest bardzo dobry hotel, popularny, ale możecie tylko spróbować. Jeśli nie spróbować, nie zyskiwać - zauważył mądrze.

W najlepszym wypadku oczekiwaliśmy drogiego, tandetnego hoteliku nastawionego na turystów, ale wskazane miejsce okazało się prawdziwą perłą, do tego po całkiem przystępnej cenie. Hotel Al Sole mieści się w piętnastowiecznym budynku w kolorze terakoty przy starożytnym Palazzo Marcello. Weszliśmy do recepcji przekonani, że zostaniemy odprawieni z kwitkiem, ale okazało się, że właśnie przed sekundą ktoś w ostatniej chwili odwołał rezerwację, w związku z czym zwolnił się jeden pokój. Do tego był to jeden z ich najlepszych apartamentów, z zapierającym dech w piersiach widokiem na Kanał Tolentini.

Pewne rzeczy są nam po prostu pisane.

Leżymy na gęsto wyszywanej pościeli, całując się długo, bez przerwy, wciąż od nowa. Nie chcę niczego porównywać, bo to nigdy niczemu nie służy, ale nie pamiętam, kiedy ostatnio całowałam się w ten sposób z Robertem. Już nawet nie dajemy sobie symbolicznych buziaków w policzek. Chuck martwi się, że z zawrotną prędkością przeskakuję z jednego poważnego związku w kolejny, ale im więcej czasu z nim spędzam, tym wyraźniej widzę, że moje małżeństwo od dłuższego już czasu jest martwe. Tylko nie chciałam się nikomu do tego przyznać, a już na pewno nie sobie. Chuck, całując mnie, pieści moje ręce, nogi, ramiona i plecy, a każdy jego dotyk zdaje się zmywać ze mnie resztki samotności. Z każdym muśnięciem jego rąk czuję, jak cała moja złość i rozczarowanie ulatniają się, opuszczając mój umysł. Jego dłonie leczą mnie, pocieszają, a co najlepsze, wprowadzają w stan podniecenia.

Bez skrępowania zrywamy z siebie ubrania i zatracamy się w sobie. Niemalże krzyczę z rozkoszy, kiedy spokojnie i bez pośpiechu całuje mnie, liże i delikatnie przygryza. Jego język powoli błądzi po moim ciele, odkrywając nieznane mi dotąd zakamarki przyjemności, które przy każdej pieszczocie sprawiają, że pojękuję i mruczę. Poświęca dużo uwagi moim nadgarstkom, a także wewnętrznym częściom łokci i kolan. Przygryza moje uda i ssie palce. Nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o dotyku jego skóry, o jego zapachu i smaku; on zaś wydaje się skupiony wyłącznie na tym, by sprawić, żebym wiła się z rozkoszy. Bada moje sutki, brzuch i łono z zainteresowaniem, które graniczy z czcią. Wkrótce nasze nogi, ręce, pościel i doznania przeplatają się i płaczą, lecz mimo to doświadczam nagłego uczucia jasności umysłu i przekonania o słuszności tego, co się dzieje. Podoba mi się bycie z Chuckiem. Jest mi dobrze. Czuję, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno być, mimo że gdy wplątam palce w jego włosy, nie mogę uwierzyć, że są jasne, a nie ciemne.

Kiedy wydaje mi się, że już więcej nie zniosę, że za chwilę eksploduję, jeśli wciąż będzie kontynuował swoją powolną wędrówkę po moim ciele, Chuck zmienia tempo. Zanurza się we mnie, wypełniając całe moje wnętrze i poruszając się gwałtownie. Jęczę, targana mieszaniną bólu i nadziei, kiedy ten inny mężczyzna wchodzi w moje życie.

Osiągam szczyt uniesienia.

Chcę się mu odwdziaczyć. Chcę dać mu taką przyjemność, jaką on dał mnie, choć nie sądzę, by było to możliwe. Popycham go na łóżko, tak by ułożył się wygodnie na plecach, i zbliżam usta do jego krocza. Przy nim czuję się niekwestionowaną boginią seksu. Wzdycha, wije się i jęczy, po czym wstrzymuje oddech, przez jego ciało przechodzi spazm, a z ust wydobywa się głośny jęk, trochę krępujący, jako że z pewnością słyszalny przez sąsiadów z pokoju obok. Przez otwarte okno dochodzą mnie głosy wiwatujących ludzi. Wątpię, by miały jakiś zwią-

zek z naszymi łożkowymi wyczynami, ale i tak się uśmiecham. Wyczerpana i usatysfakcjonowana zsuwam się z jego gorącego ciała i padam tuż obok.

— Szkoda, że nie spotkałam cię wcześniej — szepczę.

— Ciekawe, gdzie ty byś mnie wcisnęła pomiędzy swojego męża a tych czternastu kochanków, o których nie ma pojęcia.

— Gdziekolwiek - mówię ze słodkim uśmiechem zaprawionym odrobiną goryczy. - Wszędzie.

Moje włosy są mokre od potu i przyklejone do szyi, sutki wilgotne od jego pocałunków, a uda od jego rozkoszy. Pachnę nim, a on pachnie mną. Jednak czuję się nieskazitelnie czysta. Seksowna i pożądana. Gorąca i rozgorączkowana. Trzymamy się mocno w objęciach; nasze oddechy powoli się uspokajają, stają się równomierne i zgodne. Jestem sobą.

27 maja

Kochamy się przez cztery dni. Oprócz tego jemy, pijemy i chodzimy na spacer, ale nawet wykonując te jakże prozaiczne czynności, kochamy się.

Czasami robimy to ostro i szybko, czasem powoli i bez pośpiechu. Dni są upalne, po jego plecach i moich pośladkach spływają więc strużki potu, sprawiając, że nasza skóra iskrzy się i lśni. Chuck wydaje się zafascynowany moimi ogromnymi piersiami, które czasem uderzają go w twarz, kiedy jestem na górze. Śmieje się, kiedy go za nie przeproszam.

- Są cudowne, za co ty mnie w ogóle przeproszasz?

- Nigdy nie lubiłam swoich olbrzymich piersi — przyznaję się.

- Ja tam je uwielbiam.

- Wyglądają jeszcze gorzej, kiedy się trochę opalę. — Na samą myśl o moich gigantycznych białych wymionach, które już niedługo będą się odbijać od brązowego brzucha, ogarnia mnie panika. Jestem pewna, że Chuck i tak stwierdzi, że dobrze wyglądam, ale wątpię, żebym zdołała mu uwierzyć. - Zawsze chciałam się opalać topless, bo te białe ślady sprawiają, że moje piersi wyglądają na jeszcze większe.

- No co ty! Za chwilę pewnie jeszcze mi powiesz, że twój biały tyłek też wtedy wygląda ogromnie. Elizabeth, jesteś przepiękna. Powinnaś być dumna ze swojego ciała i o wiele bardziej pewna siebie. A jeśli chcesz opalać się topless, zrób to, bo naprawdę nie masz się czym przejmować.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Zawsze gdy jestem z Chuckiem, moja samoocena wzrasta, ale po wielu miesią-

cach z Robertem i Rafaellą jej poziom jest naprawdę bardzo niski.

-To niemożliwe z tak gigantycznymi zderzakami, za bardzo rzucają się w oczy. Chciałabym po prostu mieć równą opaleniznę, ale faceci mogą to inaczej odbierać, czy mi się to podoba czy nie - Chuck całuje moją lewą pierś i przez chwilę uważam, że może wcale nie jest to aż tak okropna część mojego ciała. - Kobiety, które mają orzeszki zamiast piersi, mogą to robić bez problemu, bo nie wydaje się to podszyte erotyzmem. Zazdroszczę im. Poza tym mężczyźni zawsze uważają, że kobiety z małym biustem są mądrzejsze niż te z wielkimi balonami.

Na te słowa Chuck prawie odgryza mój sutek, wybuchając głośnym śmiechem.

- Jak ty jesteś w stanie żyć w świecie przepelnionym tyloma stereotypami i uprzedzeniami? Duże piersi są wulgarne. Włosi są tajemniczy. Amerykanie są ignorantami. Teściowe są okrutne. To naprawdę nie tak!

- Jak to nie? — mówię lekko naburmuszona. Nie podoba mi się, że kwestionuje moje słowa, ale z drugiej strony, jeśliby się nad tym zastanowić, Alison i moja rodzina też czasem to robią. W zasadzie Alison robi to na okrągło. Może w ten sposób chcą pokazać, że przejmują się tym, co myślę. Zależy im na mnie, więc chcą, żebym zrozumiała pewne rzeczy. Może dyskusje są dobre. W każdym razie na pewno lepsze niż narzucanie swojej opinii innym.

- No więc jak to jest w twoim świecie? - pytam z zaciekawieniem.

- Istnieją nieskończone możliwości - odpowiada z uśmiechem.

Pokrzepiająca myśl.

A później sprawia, że z trudem łapię oddech, staję się bezbronna, zaskoczona, otoczona czcią. Czuję go w każdej szczelinie i każdym konturze mojego bytu. Jego duże, wspaniale wyrzeźbione ciało przejmuje nade mną kontrolę, przynosząc mu

jedną rozkosz, a potem następną i kolejną. Z każdą falą miłosnego uniesienia, która wdziera się pomiędzy moje nogi, przeszłość zamyka się za mną, a przyszłość roztacza nowe horyzonty. Zaczynam się zastanawiać, jak mogłam wcześniej żyć bez tej bezcennej mieszanki namiętności i wsparcia.

- Kiedy po raz pierwszy miałeś ochotę to ze mną zrobić? - pytam zaciekawiona.

- Od początku mi się podobałaś.

- Serio? - Podnoszę się do pozycji siedzącej podekscytowana.

- Serio, serio.

- Nie miałam pojęcia.

- Oczywiście, nie mogłaś mieć. Nie mógłbym dać ci tego odczuć, bo kiedy się poznaliśmy, praktycznie natychmiast dałaś mi do zrozumienia, że nie mam szans.

- No coś ty! Ze niby jak?

- Powiedziałaś, że rodzina twojego męża prowadzi bar U Brunona. Wspominanie o mężu na tak wczesnym etapie rozmowy było bardzo czytelnym sygnałem. I spodobało mi się, bo lubię wierne kobiety. - Zapada niezręczna cisza, jako że obydwójce zdajemy sobie sprawę, że właśnie zdradzam swojego męża. - Ale jeszcze bardziej lubię sprawiać, że piękne kobiety stają się niewierne - dodaje Chuck ze śmiechem, rozładowując napięcie.

Mam ochotę uderzyć go poduszką, ale nie mogę znieść myśli, że taka scena przypominałaby tanią reklamę materacy do łóżek, udaje mi się więc oprzeć pokusie. Chuck całuje mnie delikatnie i powoli przez dłuższą chwilę. Kiedy przestaje, mówi:

- Myślałem, że nasza znajomość zakończy się na tym pierwszym spotkaniu na piazzie, ale później złapałem się na tym, że coraz częściej się tam kręcę, mając nadzieję, że cię spotkam. Wcale nie planowałem cię uwieść, myślałem, że możemy być kumplami. Niczego więcej nie oczekiwałem. To dziwne, ale coś mnie do ciebie ciągnęło. Jednak za każdym razem gdy zjawiałem

się w barze, miałaś na sobie gumowe rękawiczki i czyściłaś jego brudy. Myślałem, że musisz być w nim szaleńczo zakochana.

- A potem?

- A potem, jak się trochę lepiej poznaliśmy, zauważyłem, że jesteś nieszczęśliwa. Chyba dostrzegłem to, zanim ty sama zdałaś sobie z tego sprawę. - Wpatruje się we mnie, obserwując moją reakcję. Wiem, że wypowiada słowa najostrożniej, jak tylko może.

- Wiedziałaś, że Roberto ma romans? Odwraca głowę.

- Słyszałem plotki, ale wiadomo, to mogły być tylko plotki.

- Wierzyłeś w nie?

-To nie ma żadnego znaczenia. Wszystko zależało od ciebie. To ty musiałaś przyjść do mnie. A ja mogłem tylko czekać.

Lubimy budzić się rano i jeść śniadanie na balkonie. Poranne słońce odbija się w wodzie, świecąc niczym miliony diamentów, plejady gwiazd albo gwiazdny pył. Potem idziemy na spacer. W południe woda jest już spokojniejsza i wygląda znacznie bardziej prozaicznie, więc udajemy się do łóżka, by uprawiać swoje własne czary. Wieczorem kanały odbijają światła okolicznych restauracji i łodzi, które przecinają taflę wody, zostawiając za sobą delikatne fale. Przypominają trochę samoloty tworzące na niebie sztuczne chmury. Imitacje fal. Imitacje chmur. Te ludzkie kopie natury czasem wydają mi się wielkie i godne podziwu, a czasem absurdalne i niedorzeczne; zależnie od nastroju. W porównaniu z nimi jesteśmy tak strasznie mali. Chuck podchodzi do mnie, gdy patrzę przez okno, i obejmuje mnie w pasie.

- Mieliśmy szczęście, że dostaliśmy pokój z takim widokiem — zauważa.

- Tak, piękne tło dla załamania nerwowego.

- Masz załamanie nerwowe?

- Nie - przyznaję. Po chwili dodaję: - Ale wydaje mi się, że powinnam mieć. W ten sposób okazałabym choć odrobinę przyzwoitości.

- Do diabła z przyzwoitością. - Upajamy się swoim błogim lenistwem. Kiedy Chuck przeczesuje palcami moje włosy, mówię zamyślona:

- Chciałabym móc mieć jakąś część ciebie na własność, tylko dla siebie. Mogłabym mieć ją przy sobie za każdym razem, gdy nie ma cię w pobliżu, i już nigdy nie byłabym samotna.

Jest tak wielkim facetem, że małeńka cząsteczka nie powinna sprawić mu różnicy.

- A jaką część byś wybrała?

- Końcówkę twojego penisa, to chyba jasne. — Obydwoje wybuchamy śmiechem, ale wiem, że tak naprawdę wybrałabym jego usta, które całują mnie i kwestionują moje słowa.

Czuję zapach seksu, nawet kiedy spacerujemy uliczkami Wenecji albo rozglądamy się po jakimś muzeum; uwielbiam go. Chuck dodaje mi pewności siebie i sprawia, że wszystko wydaje się możliwe. Myślałam, że będę się czuła dziwnie. W końcu po latach spędzonych z jednym mężczyzną seks z innym facetem powinien być czymś nienaturalnym.

Ale nie jest.

Mam wrażenie, że jego silne, umięśnione ciało zostało stworzone po to, by dawać mi rozkosz. Zaczynam wierzyć, że jest mi przeznaczony.

- Przy tobie czuję się jednocześnie mądra i naiwna.

- W jakim sensie?

- Kiedy miałam dwadzieścia siedem lat, uwielbiałam mówić ludziom, że jestem mężatką, chcąc podkreślić, że już się ustatkowałam. Musieli mnie uważać za straszne dziecko. Teraz jestem dzieckiem, które ma Trzydzieści dwa lata. I czuję, że wszystko znowu jest możliwe.

Często zadaję mu różne pytania, odkrywając bardzo ważne fakty, a także drobnostki, które sprawiają, że jest tym, kim jest. Chcę wiedzieć wszystko o Chucku Andrewsie. Interesują mnie wartości, które wyznaje, jego marzenia, rodzina i znajomi. Wciąż się w niego wpatruję, czasem przyłapuje mnie na

tym i uśmiecha się nieśmiało. Zwracam uwagę na każdy, nawet najdrobniejszy szczegół. Na przedziałek we włosach, niewielkie znamię na szyi, nawet na lekko zakrzywione paznokcie. Wiem o nim wszystko. I podoba mi się wszystko, co wiem.

28 maja

- Co napisali o tobie w nieoficjalnej księdze pamiątkowej?

- pytam.

Dziś jest piąty dzień naszej miłosnej uczyty. Ta myśl pojawiła się już kilka razy w mojej głowie, a teraz moment wydaje się odpowiedni na jej wyartykułowanie.

Opieramy się o barierkę jednego z miliona malutkich mostów, wpatrując się w Kanał Tolentini i obserwując popołudniowe słońce wesoło skaczące po wodzie. Niedaleko widać dwie gondole przycumowane do brzegu. Chociaż pomalowane na czarno, wydają się niesamowicie eleganckie. Jedna z nich ma siedzenia w kolorze rubinowym, druga zaś królewsko niebieskim. Obydwie są przyozdobione koronami z innej epoki. Podskakują na wodzie, od czasu do czasu szturchając się, a każde ich delikatne dotknięcie przywodzi mi na myśl parę całujących się ukradkiem kochanków.

- Ten, który będzie uwodził mężatki.

- Żartujesz sobie? — pytam zaniepokojona.

- Obawiam się, że nie.

- Dlaczego tak napisali? Byłeś z tego znany? Już to kiedyś zrobiłeś?

- Spokojnie, uspokój się. Po prostu kochałem się w jednej nauczycielce, i tyle. Tak, była mężatką, ale oczywiście do niczego nigdy między nami nie doszło. Koledzy tak się tylko ze mną droczyli. Nie mogłem ci o tym powiedzieć, kiedy mnie po raz Pierwszy o to zapytałaś, bo źle byś to odebrała. Wyciągnęłabyś Pochopne i bezsensowne wnioski.

- No raczej tak.

Znowu spoglądamy na unoszące się na wodzie gondole, ale czuję między nami dziwne napięcie. Chuck kaszle.

- Ale skoro już jesteśmy przy tym temacie, to muszę ci o czymś powiedzieć. - Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie. Pomimo gorąca i jego bliskości po plecach przechodzi mi zimny dreszcz. - Tylko posłuchaj, nie chcę, żebyś się niepotrzebnie denerwowała i panikowała.

- Przerażasz mnie - mówię z wymuszonym, ledwo widocznym uśmiechem. Chciałabym słyszeć z jego ust wyłącznie słowa pełne miłości, a jakoś nie wydaje mi się, żeby miał w tej chwili zamiar szeptać do mojego ucha czułe słówka.

- Pytałaś, czy już to kiedyś zrobiłem, i domyślam się, że chodziło ci o... — urywa.

- O związek z zamężną kobietą - mówię bez ogródek. Nie chcę zostawiać miejsca na niedopowiedzenia.

Chuck kiwa energicznie głową.

- No więc zaraz na początku, po przyjeździe do Veganze, miałem taki krótki epizod z mężatką.

- Że co? — Wysuwam się spod jego ramienia.

- Wiem, że nie brzmi to zbyt dobrze, ale to nie tak jak myślisz - dodaje szybko, kiedy jego uwolniona ręka opada nagle na barierkę mostu.

- Niezbyt dobrze? To brzmi okropnie! — wykrzykuję, strasząc gołębia, który odlatuje, trzepocąc gwałtownie skrzydłami. Mam ochotę zrobić dokładnie to samo. Chuck chyba wyczuwa moją chęć ucieczki, bo łapie mnie za nadgarstki i trzyma mocno. Przyciąga mnie do siebie i patrzy mi prosto w oczy.

- Słońce, masz prawo się na mnie wkurzać. Masz prawo być przestraszona. Ale proszę, posłuchaj mnie. Naprawdę chcę być z tobą szczerzy. Przyjechałem do Włoch, nikogo tu nie znając. Chyba byłem trochę samotny. A ona była śliczna. - Przeszywa mnie zimny dreszcz, gdy słyszę, jak nazywa inną kobietę „śliczną”. - Na początku w ogóle nie wiedzia-

łem, że jest mężatką, a jak to wreszcie odkryłem, było już za późno.

- Ale przecież mówiłeś, że to był krótki epizod. Jak długo to trwało?
— pytam poirytowana.

Chuck puszcza moje nadgarstki i przeczesuje palcami włosy. Odwraca wzrok i spoglądając w morze, wyznaje:

- W sumie jakieś pół roku.

- Pół roku! - Cała moja wiara w to, jakim jest cudownym i dobrym facetem, znika w mgnieniu oka. Jest zepsutym niszczycielem rodzin! Do tego seryjnym! Wpatruję się w niego z czymś, co musi przypominać obrzydzenie, bo natychmiast podejmuje próby wyjaśnienia swojego karygodnego postępowania.

- Kiedy w końcu się dowiedziałem, że ma męża, upierała się, że jej małżeństwo istnieje tylko na papierze i że jest z nim tylko dla dobra rodziny.

- Miała dzieci! - Mam ochotę go uderzyć. Może reaguję zbyt emocjonalnie i nieadekwatnie do jego występku, ale chyba więcej już nie zniosę. Myślałam, że jest porządny i uczciwy. Moja wiara w nasz związek, jeszcze niedawno tak wielka i niezachwiana, wyraźnie podupada. Potrzebuję tego, by był porządny i uczciwy. Nie dam rady znieść więcej obłudy i dwulicowości - nie po Robercie.

- Nie, nie! - Chuck wygląda na urażonego i lekko spanikowanego. - Coś nie najlepiej mi idą te wyjaśnienia. Mówiąc o rodzinie, miałem na myśli jej rodziców. Jej ojciec był sędzią, a mąż miejscowym politykiem. Twierdziła, że nie mogą sobie pozwolić na skandal związany z rozwodem, choć oboje tego chcieli. Jak dla mnie brzmiało to dosyć wiarygodnie.

Musiał być w niej zakochany. Tylko miłość sprawia, że jesteśmy ślepi i wierzymy w tego typu kłamstwa i truizmy. Chuck jest przystojnym, inteligentnym facetem po trzydziestce - powinnam Ma spodziewać się, że kogoś już kiedyś kochał; gdyby nigdy nikogo wcześniej nie miał, to dopiero byłoby dziwne, ale z jakichś powodów, kiedy słyszę jego słowa, moje serce wypełnia smutek.

- Powiedziała mi, że zawarli z mężem układ. Karmiła mnie stekiem kłamstw. Przez jakiś czas jej wierzyłem i zależało mi na niej. Później przestałem jej wierzyć i przestało mi zależeć, więc to skończyłem.

Spoglądam na niego ostrożnie. Naprawdę chcę mu zaufać, ale moja wiara w ludzką lojalność została ostatnio mocno nadszarpnięta. Nie jestem pewna, czy cokolwiek z niej jeszcze zostało.

- Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? - pytam podejrzliwie.

- Chciałem ci powiedzieć już dawno, ale czułem się jak skończony idiota. Poza tym bałem się, że zupełnie zmienisz o mnie zdanie. Wiem, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś, żeby uratować swoje małżeństwo, choć wcale nie było łatwo. Wiem, że instytucja małżeństwa to dla ciebie coś niezmiernie ważnego. I dla mnie też, cokolwiek sobie teraz o mnie myślisz.

Chcę wierzyć w szczerść jego słów, ale ziarno wątpliwości zostało zasiane. Ciekawe, czy naprawdę szanował złożone przeze mnie śluby czy po prostu bał się po raz drugi wejść do tej samej rzeki. Patrzę na niego, próbując dostrzec tę poświatę, która otaczała go jeszcze dziesięć minut temu. Wtedy wierzyłam, że jest niezwykle i szlachetny. Teraz jest spięty. I wygląda tak ludzko i śmiertelnie.

- Myślałem, że gdy powiem ci o Ornelli, będziesz mną gardzić.

To nią gardzę. I nawet nie chcę znać jej imienia. Zdumiewa mnie siła mojej zazdrości. Roberto romansował z Aną-Marią praktycznie na moich oczach, a mimo to czuję większą niechęć i oburzenie na myśl o tej okropnej Ornelli, ledwie wszak głupim epizodzie w życiu Chucka, niż kiedykolwiek czułam na myśl o kochance mojego męża.

- No ale dlaczego teraz mi o tym mówisz? Czemu nie pozwoliłeś mi żyć w błogiej nieświadomości?

- Po pierwsze, zawsze istnieje ryzyko, że dowiesz się od kogoś innego, przypadkiem. A nie chcę, żebyś uważała mnie za

jakiegoś dziwaka, który uwodzi mężatki. Ale znacznie ważniejsze jest to, żebyśmy nie mieli przed sobą tajemnic. Ani żadnych tematów tabu. Żebyśmy byli ponad to.

Oczywiście ma rację, choć taka szczerłość zwykle wiąże się z ryzykiem kłótni. Chcę żądać od niego gwarancji, zapewnienia, obietnicy, że zawsze będzie stał u mojego boku i nigdy mnie nie skrzywdzi ani nie porzuci, a będzie mnie kochał i troszczył się o mnie. Do końca świata i później też jeszcze trochę. Ale nie mogę tego od niego wymagać. To nie byłoby w porządku. Chuck nie może płacić za błędy popełnione przez Roberta. Zbieram się w sobie. Biorę głęboki oddech i skupiam całą swoją energię na tym, by wykrzesać z siebie resztki godności i zaufania.

— W porządku, to było dawno temu. Dzięki, że mi o tym powiedziałaś. Ale to i tak nie ma znaczenia.

Przytulam głowę do jego torsu, dając sobie chwilę na przetrawienie tego, co zostało powiedziane, i na dojście do siebie. Chuck zamyka mnie w swoich objęciach i gładzi moje włosy.

— Mam nadzieję, że się tym nie martwisz.

- Nie. - No, może troszkę.

- Bo nie ma powodu - mówi pewnie. - Jestem twój. Tu chodzi tylko o ciebie, to nie jest dla mnie jakaś głupia zabawa.

Wracamy do hotelu i kochamy się z intensywnością, której istnienia nie podejrzewałam. Z każdym dotykiem, pieszczotą, pocałunkiem i pchnięciem Chuck próbuje zapewnić mnie, że przeszłość jest już przeszłością. Udaje mi się wypchnąć Ornellę z głowy i poddać jego czułościom i uwadze. Po kilku godzinach zdaję sobie sprawę, że interesują mnie wyłącznie jego pełne, ciepłe usta, delikatne opuszki palców oraz szorstkie, gęste włosy na nogach. Chcę odkryć każdy szczegół jego ciała. I po prostu go schrupać.

Leżymy w przyciemnionym pokoju oświetlonym jedynie bladym blaskiem księżyca, który przedostaje się przez okno do wnętrza. Oczy mnie szczypią, a powieki mi opadają, ale nie chcę jeszcze spać. Zawsze zapadałam w niedźwiedzi sen natychmiast po orgazmie, jak facet. I dopiero teraz zaczęło to stanowić problem - bo chciałabym rozmawiać z Chuckiem przez całą noc.

- Wiesz, to zabawne, że kochankowie, nawet jeśli są na dwóch różnych końcach świata, kiedy patrzą na księżyc, twierdzą, że widzą dokładnie ten sam księżyc i wyczuwają pewien rodzaj bliskości i tę specyficzną więź - mówię, pogrążona w zadumie.

Pewnie powinnam czasem dłużej się zastanowić, zanim podejmę się rozmowy na tematy, które przez wieki spędzały sen z powiek metafizycznym poetom, ale przy Chucku czuję, że mogę mówić o czymkolwiek zechcę, od nowej fryzury Victorii Beckham po księżyc. W sumie sama siebie zaskakuję, nie przypuszczałam, że wiem, kim byli poeci metafizyczni i o czym dyskutowali. Wygląda więc na to, że jakieś resztki wiedzy, które właczali we mnie rodzice, wciąż gdzieś się kryją w zakamarkach mojego umysłu. Mama i tata byliby wniebowzięci, słysząc moje abstrakcyjne myśli. Szczerze mówiąc, pewnie byliby wniebowzięci na wieść, że w ogóle myślę.

- Czemu uważasz, że to zabawne?

- Bo to prawda. To jest ten sam księżyc. Ale słońce w każdym miejscu jest inne. Nikt nigdy nie przyrzeka drugiej osobie dozgonnej miłości na słońce ani nie spogląda na nie, zastanawiają się, czy jej wybranek serca też patrzy na to samo słońce.

Włoskie słońce świeci znacznie intensywniej, niż zapamiętałam, i łapię się na tym, że tęsknię za pozbawionymi wyrazu, słabymi promieniami, które czasem pojawiały się w Anglii. Wtulam twarz w ramię Chucka, chcąc, by nasze ciała i byty stały się jednością.

- Jesteś beznadziejną romantyczką - śmieje się ze mnie.

- Raczej właśnie romantyczką pełną nadziei - odpowiadam poważnie.

- No w sumie tak. — Kaszle znacząco i instynktownie wiem, że nie zamierza zaproponować zamówienia kolejnej butelki szampana. Mam nadzieję, że nie nastąpi teraz kolejne wyznanie z cyklu „W zasadzie spałem z jeszcze jedną mężatką”. Jeszcze nie do końca poradziłam sobie z poprzednim. Zaczyna ostrożnie:

- Elizabeth, menedżer hotelu powiedział mi dziś, że od jutra nasz pokój jest już zarezerwowany.

- To znaczy, że będziemy musieli się przenieść do innego?

— Nie ma innych. Nieruchomieję i choć wiem, że się nie zgodzi, proponuję: - Czyli poszukamy sobie jakiegoś innego hotelu?

Chuck wzdycha, całuje mnie w czoło, i mówi:

- Musimy wracać, Elizabeth. Musimy w końcu się z tym zmierzyć. Ocknęłaś się z szoku, jakim była wiadomość o romansie Roberta z Aną-Marią, odpoczęłaś od terroru Rafaelli. A nawet miałaś trochę czasu, żeby jeszcze dodatkowo skomplikować sobie życie - przerywa, żeby mnie pocałować, po czym dodaje: - Ale teraz przyszedł czas, żeby wrócić i stawić czoło problemom. - Kręcę głową, ale Chuck nalega: — Poza tym przecież musimy wrócić do pracy. Wyjechaliśmy z nienacka, porzucając obowiązki.

Wiem, że ma rację, ale nie potrafię nic odpowiedzieć. Boję się, że wybuchnę płaczem, a zasmarkany nos, rozmazane oczy i tego typu sprawy nie są zbyt atrakcyjne. Zmuszam się do skinienia głową, po czym odwracam się do niego plecami, udając, że śpię. Jestem zła, że niszczy naszą sielankę. Dlaczego wszystko nie może po prostu zostać tak, jak jest? Zadając sobie to pytanie,

doskonale znam odpowiedź. Bo skończyłyby się nam pieniądze, bo umarlibyśmy z wycieńczenia (hej, to dopiero coś, umrzeć od nadmiaru seksu), stracilibyśmy pracę, a Alison i moi rodzice wysłaliby ekipę poszukiwawczą. Oczywiście nie dzwoniłam do nich w tym tygodniu, zostawiłam komórkę w Veganze. Mogłam niby skorzystać z budki, ale nie potrafiłabym znaleźć właściwych słów. Jestem tchórzem i nie chcę się z tym wszystkim zmierzyć.

Nie potrafię sobie wyobrazić momentu, kiedy stanę twarzą w twarz z Robertem. Co ja mu powiem? Co on ma mnie do powiedzenia? To koniec, tego jestem pewna, ale takie rozstanie to naprawdę nie byle co. Byliśmy ze sobą sześć lat, moi rodzice traktują go jak syna. Oczywiście jego matka na pewno wyda z tej okazji przyjęcie, ale i tak nie będzie łatwo. No i co teraz ze mną będzie? Miałabym zostać we Włoszech? Bez męża Włocha to trochę absurdalne. Ale do czego miałabym wracać w Anglii, do maleńkiego mieszkanka, w którym, siedząc na toalecie, można dotknąć wszystkich czterech ścian?

A Chuck? Gdzie jest jego miejsce w tym wszystkim? Jeśli wrócę do Anglii, losy naszego związku staną pod dużym znakiem zapytania. Choć losy naszego związku jakoś w ogóle nie zostały jeszcze omówione.

Odwracam się z powrotem w jego stronę. Wpatruje się we mnie w milczeniu. Właśnie taki jest — mówi, co ma do powiedzenia, a później czeka na moją reakcję. Podoba mi się to, że nie zgrywa macho i nie próbuje wydawać rozkazów. Przychodzi mi do głowy, że przez ostatnie pięć dni pocałował już chyba każdy centymetr mojego ciała; na pewno dotykał mnie w taki sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam i nie wiedziałam, że Jest możliwy. Może jakaś inna kobieta na moim miejscu potrafiłaby powstrzymać swoje żądze i zastanowić nad tym, co robi. Może potrafiłaby trzymać swoje ciało i serce na wodzy, spokojnie omawiając skutki wejścia w związek z drugą osobą. Ale ja niestety nie należę do rozważnych i spokojnych osób. Nigdy taka nie byłam i już pewnie nigdy się tego nie nauczę.

- Ale co z dziećmi?

Ta myśl pojawia się w mojej głowie, powodując skurcz dolnej części brzucha. Dobrze, że leżę, inaczej mogłaby mnie przygnieść i powalić na ziemię. Zdradziłam swoje nienarodzone dzieci. Jak mogłam o nich zapomnieć? Co ze mnie za matka? Bezdzienna, to na pewno. To chyba jakiś rekord, bo od tygodnia nie myślałam o dzieciach. Przez ostatnie sześć lat nie było chyba ani jednego dnia, w którym mój umysł i serce nie byłyby zajęte wyobrażaniem sobie przyszłych pociech. Ale moje pragnienie posiadania rodziny, choć zostało ostatnio przyćmione nieokiełznaną namiętnością, nie zniknęło. Znam siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że w przyszłości muszę mieć dziecko. Ale Chuck nie chce dzieci. Co to on wtedy dokładnie powiedział, kiedy jedliśmy lunch w Bassano del Grappa? „Nigdy nie chciałem mieć dzieci. To zupełnie nie dla mnie”.

Jak więc miałabym pogodzić te dwa przeciwieństwa?

Chuck przesuwając delikatnie palec wskazujący po mojej ręce i chyba w którymś momencie zasypiam, zbyt zmęczona, by dłużej o tym myśleć. Zdaję sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy budzę się, gwałtownie podskakując.

- Coś cię przestraszyło we śnie — szepcze. Całuje moje powieki, a ja się zastanawiam, czy czuwał całą noc, obserwując mnie.

- Sama siebie przestraszyłam - odpowiadam.

- Boisz się samej siebie?

- Jestem przerażona - przerywam. Czerń pokoju jest dla mnie osłoną, której potrzebuję. - Roberto nie był tym jedynym - wyznaję.

- Nie ma „tego jedynego”. Możliwości są niezliczone. -To okropne!

- Wręcz przeciwnie. To niesamowite. - A ja i ty?

- Po prostu inna kombinacja.

W powietrzu czuję jego uśmiech. Możliwe, że ta myśl podnosi go na duchu. Mnie za to kompletnie przytłacza.

29 maja

Pakujemy się, płacimy za pobyt w hotelu i udajemy się w drogę powrotną bez większych emocji, skrępowani i powściągliwi wobec siebie. Można to było przewidzieć, w końcu oboje, każde na swój sposób, jesteśmy przerażeni. Ale dystans, który się między nami wytworzył, jest przygnębiający. Chciałabym, żebyśmy byli ponad to. Więksi, silniejsi, bardziej odporni.

W samochodzie Chuck włącza bluesa, ale wyłączam radio.

- Zbyt smutne - tłumaczę. Kiwa ze zrozumieniem głową.

Kiedy dojeżdżamy do Viganze, proszę go, by podrzucił mnie prosto do baru, bo tam najprawdopodobniej znajdę Roberta.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - pyta.

- Nie, muszę sama się z tym uporać.

- W takim razie odezwę się wieczorem.

- Lepiej będzie, jeśli to ja zadzwonię do ciebie. Będę mogła wybrać odpowiedni moment. A tak, to wiesz, możesz zadzwonić w samym środku... - zawieszam głos. Znow kiwa głową. Obydwoje wiemy, że cała ta sytuacja jest trudna.

- Ale wiesz, gdybyś mnie potrzebowała, gdyby było naprawdę źle... - mówi Chuck.

Kiwam głową. Zamierzam pójść do baru i powiedzieć Robertowi, że to koniec, rzucić parę wyzwisk, powiedzieć mu gorzką prawdę o jego matce, a potem spakować kilka czystych P^ar majtek, jakieś kosmetyki i wyjść. Czuję, jakbym połknę-

ła wiadro piasku. Choć próbuję bagatelizować całą tę sytuację, zdaję sobie sprawę, że nie jest zbyt kolorowo.

Ponieważ przed barem stoi samochód Roberta, nie całujemy się na pożegnanie. Szkoda, bo bardzo bym chciała poczuć ciepło jego ust. Odczuwam wewnętrzną potrzebę, by to zrobić. Pocałunek dałby mi siłę, by spalić za sobą mosty. Ale wolałabym, żeby nikt nas tu na tym nie przyłapał. Już wyobrażam sobie Rafaellę stukającą swoją laską w szybę naszego samochodu. Nie żeby Rafaella chodziła o lasce. Zdarza się to tylko w mojej wyobraźni. Częściej jednak w moich myślach zamiast laski ma ze sobą miotłę. Szybko odsuwam się od Chucka, bojąc się, że ulegnę pragnieniu pocałowania go. Wygląda na urażonego, ale jestem pewna, że rozumie. Znajduję klamkę i szybkim ruchem wyskakuję z samochodu.

- Zadzwoń - zapewniam go.

Stali bywalcy siedzą przed barem, rozmawiając wesoło. Kilkoro z nich dotyka swoich czapeczek na znak powitania. Cieszę się, że żaden nie rzucił we mnie zgniłym owocem i nie wyraził palącej potrzeby wyszcucia na moim ubraniu szkarłatnej litery. To nie lada ulga. Byłam przekonana, że Rafaella wykorzysta moje nieoczekiwane zniknięcie, by pochwalić się całemu miastu, że od początku miała co do mnie rację - jestem niestała w uczuciach i nie nadaję się na żonę dla Roberta. Zauważam też dość liczne grupki młodszych klientów, którzy otuleni porannym słońcem jedzą brioski. Miło widzieć, że interes się kręci. To dziwne, ale bar nie działa już na mnie jak płachta na byka. Chuck i jego... co? Miłość? Nigdy nie rozmawialiśmy o tym wielkim słowie na M. Powiedzmy może po prostu, że jego uczucie i wsparcie sprawiają, że umiem być lepsza.

Wewnątrz panuje półmrok. Przez chwilę stoję w bezruchu, pozwalając moim oczom przywyknąć do ciemności. Widzę cienie siedzących wewnątrz osób, głównie grupek i par przy narożnych stolikach i na kanapach. Za barem jest Laurana i Gina. Laurana niemalże biegnie w moją stronę, by po chwili mocno mnie przytulić.

- Gdzieś ty się podziewała? Martwiliśmy się. — W jej oczach i głosie dostrzegam prawdziwą troskę. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Chyba jednak powinnam była zadzwonić i powiedzieć, że wszystko w porządku.

Uśmiecham się i delikatnie ściskam jej rękę.

- Później wszystko ci wyjaśnię. Jest Roberto? - W kuchni.

Bez zbędnych ceregieli udaję się w stronę kuchni i mojego męża. .

- Cześć.

- Elizabeth, gdzieś ty się u diabła podziewała? W ogóle nie dało się z tobą skontaktować. Nie wzięłaś torebki ani telefonu. W szkole też nie wiedzieli, gdzie jesteś.

Jego oczy płoną ze wzburzenia. Kto inny pewnie uznałby to za troskę, ale ja wiem, że jest cholernym hipokrytą, w związku z czym zupełnie mnie to nie rusza.

- Masz romans z Aną-Marią. Już nie chcę unikać tego tematu.

- Elizabeth, to nie jest najlepszy moment, żeby o tym rozmawiać.

- Oczywiście, żaden moment nie jest dla ciebie odpowiedni. Kochasz ją? — pytam. Roberto zwiesza głowę. — No więc jak planowałeś to rozegrać? Grać na dwa fronty tak długo, jak tylko się da? Czy może specjalnie podłożyłeś prezerwatywę, mając nadzieję, że ją znajdę, bo jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby mi powiedzieć o swoich uczuciach do innej kobiety?

- Elizabeth! - Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, ale dziś jestem odporna na jego wdzięki. Nie dam się dłużej zwodzić. Chcę odpowiedzi. Chcę wyprawić naszemu związkowi uczciwy i godny pochówek.

- Przestań, Roberto, po prostu się przyznaj. Jesteśmy nieplodną parą, która od sześciu lat stara się o dziecko. Prezerwatywy nie są ci potrzebne.

- Nagle zdaję sobie sprawę, jakie to niesprawiedliwe. - A tak w ogóle, jak śmiałeś nie zgadzać się na in

vitro, twierdząc, że wszystko jest w rękach Boga, a jednocześnie zabezpieczać się podczas uprawiania seksu ze swoją kochanką? To chyba nie bardzo po katolicku, nie sądzisz? — Roberto wpatruje się we mnie oczyma, które zdają się krzyczeć „zamknij się”, ale wcale nie zamierzam tego robić. - Chcę wiedzieć, kiedy to się zaczęło. W ten wieczór, gdy zostałeś u niej na noc? Czy wtedy tylko przestałeś się z tym kryć? — Wpatruję się w niego, ale milczy. - Sypiałeś z nią, odkąd się tu przeprowadziliśmy? - Mój głos jest spokojny, ale Roberto zna mnie na tyle, by wiedzieć, że wszystko się we mnie gotuje. W mojej głowie pojawia się niepokojąca myśl. - To jej dałeś kwiaty w walentynki? Te, które widziała Paolina? Te, które podobno były dla twojej matki? - Podnoszę głos, ale nie potrafię ani nie chcę dłużej ukrywać wściekłości.

Nagle zdaję sobie sprawę, że każde słowo wypowiedziane przez nas w ciągu ostatniego miesiąca miało drugie dno. Co jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Musimy porozmawiać bez owijania w bawełnę.

- Elizabeth, usiądź.

- Nie masz prawa mówić mi, co mam robić! - odpowiadam, ignorując stołek, który mi podsuwa. Stojąc, czuję się silniejsza. Siedząc, byłabym w mniej korzystnej sytuacji.

- Muszę ci coś ważnego powiedzieć.

- Nie chcę więcej kłamstw i bredni. Bądź ze mną szczery.

- Czemu zawsze to robisz?

- Co robię?

- Ciężko jest żyć z żoną, która wciąż trzyma cię na muszce gotowa wystrzelić emocjonalne pociski. Wszystko zawsze musi być po twojemu.

- Po prostu chcę znać prawdę.

- Ale zrozum, że to nie pora, by rozmawiać o nas!

- A kiedy według ciebie przyjdzie na to pora? Jakoś nie przyszła przez ostatnie pięć miesięcy. - Roberto kręci głową i wzdycha ciężko. Ewidentnie nie ma ochoty się kłócić, choć ja jestem gotowa do akcji.

- To by było tyle, Roberto. Nie możemy tak dalej żyć. Jesteś zakochany w innej kobiecie, a ja...

- Elizabeth, proszę cię, przestań. Nic więcej nie mów... Myśląc o Chucku, odnajduję w sobie nową wiarę i pewność siebie.

- Muszę to powiedzieć. Zbyt długo unikaliśmy rozmów na ten temat. Nie tylko ty jesteś zakochany w kimś innym. - I choć nie zasługuje na żadne przeprosiny ani współczucie z mojej strony, moje uczucia do Chucka sprawiają, że decyduję się mu je okazać. - Przepraszam, Roberto, ale może dzięki temu będzie ci łatwiej. W moim życiu jest teraz Chuck. - Roberto spogląda na mnie tak, jakbym właśnie nasikała mu do oka. W sumie może i nawet w jakimś sensie to zrobiłam. — Powinniśmy zwrócić sobie wolność - dodaję cicho.

Roberto milczy. Powinam była się tego spodziewać. Powinam była wiedzieć, że konfrontacje nie są w jego stylu. Zdaję sobie sprawę, że proszę katolika o rozwód. Dla niego to pewnie nie do pomyślenia. Ale dla mnie nie do pomyślenia jest życie w kłamstwie.

- Powiedz coś - proszę.

- Twój ojciec nie żyje.

Moje ciało reaguje, zanim jeszcze umysł i serce przyjmują tę informację do wiadomości. Czuję ucisk w żołądku i nie mogę złapać oddechu, a moje oczy wypełniają się łzami.

- Co? - Roberto podtrzymuje mnie za rękę. Prowadzi mnie i delikatnie popycha na stół. Nadaje mi pozycję siedzącą niczym bezwładnej marionetce.

- Dzwonił Max. To się stało w sobotę.

- W sobotę - powtarzam, choć wciąż nie do końca rozumiem, co się dzieje.

- To był zawał, więc nie cierpiał.

- I co, to koniec?

- Dla niego tak.

Zaledwie cztery godziny od chwili, gdy usłyszałam, że mój ojciec odszedł z tego świata i udał się Bóg wie gdzie, siedzę już w samolocie do Anglii. Paolina spakowała moje najpotrzebniejsze rzeczy zaraz po telefonie Maxa. Pięć dni temu. Podobno mój brat kontaktował się z Robertem średnio co kilka godzin; miał spisane wszystkie możliwe loty i czekał tylko, aż się pojawię, by wybrać odpowiedni. Cóż za przytomność umysłu. Jak to możliwe, że w tak wielkim bólu i szoku był w stanie myśleć o znalezieniu lotu dla mnie? Nie mogę się nadziwić, jaki jest praktyczny i opanowany. Dobrze, że to on jest najstarszy. Gdybym to ja była najstarsza i miała młodsze rodzeństwo mieszkające w innym kraju, pewnie w szoku zrobiłabym coś okropnego i niewybaczalnego, na przykład zapomniałabym im powiedzieć, że ich ojciec nie żyje. Nie miałabym pewnie pojęcia, co się w takich sytuacjach robi.

Odkąd się dowiedziałam o śmierci ojca, nie potrafię zebrać myśli. Moja głowa jest pusta; mój umysł nie radzi sobie nawet z najprostszymi pytaniami zadawanymi przez Roberra i Paolinę. Gdzie jest twój paszport? Nie mam pojęcia. Chyba w szufladzie toaletki. A może gdzieś indziej. Chcesz wziąć ze sobą jakąś gazetę do samolotu? Albo coś do picia? Nie wiem. Ale Paolina pobiegła do sklepu, żeby je kupić, tak na wszelki wypadek. Pewnie po prostu chciała się czymś zająć i w jakiś sposób przydać. Na szczęście udało mi się napisać krótką wiadomość dla Chucka i powiedzieć mu to, w co sama jeszcze nie do końca wierzę. Wy tłumaczyłam, że muszę natychmiast

wracać do Anglii i powiedziałam, żeby do mnie zadzwonił dziś wieczorem. Poprosiłam Ginę, żeby mu ją przekazała, bo nie bardzo mogę się wymknąć. A poza tym nawet gdyby udało mi się znaleźć wiarygodną wymówkę, nie sądzę, by nogi zdołały zaprowadzić mnie do jego mieszkania. Każdy coś robi i biega wokół mnie z taką prędkością, że aż kręci mi się w głowie. Jest mi niedobrze. Wszyscy są w ruchu poza moim ojcem. On nie żyje. Tak powiedział Roberto.

Zupełnie nie pamiętam drogi na lotnisko. Wiem, że odwoził mnie Roberto i Paolina i że była to najdłuższa podróż w moim życiu, choć z drugiej strony musiała minąć w okamgnieniu, bo w ogóle nie pamiętam, żebyśmy o czymś rozmawiali. Czuję, że kołnierzyk mojej bluzki jest mokry, początkowo nie wiem dlaczego, ale później zauważam, że po policzkach płyną mi łzy. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Paolina dała mi paczkę chusteczek. Moje ciało jest w stanie głębokiego szoku, mój umysł natomiast - w stanie kompletnego otępienia. Nie żyje. Koniec, kropka. Wciąż powtarzam te słowa, dalej ich nie rozumiejąc. Jak to możliwe? Przecież żył, kiedy ostatnio go widziałam. Absurdalność tej myśli sprawia, że wydaję z siebie dziwny, przenikliwy dźwięk, coś pomiędzy śmiechem szaleńca a rykiem desperacji i niezrozumienia. Na pokładzie samolotu zamawiam brandy - stewardesa mówi, że to pomaga się rozluźnić i otrząsnąć z szoku. Mężczyzna siedzący obok czyta „The Times”. Mój ojciec czyta „The Times”.

Czytał.

Kiedy wysiadam na lotnisku w Birmingham, Max już na mnie czeka. Chyba muszę wyglądać okropnie, bo przytula mnie mocno i nie pyta, gdzie się podziewałam od soboty. No ale co ja powiem, gdy ktoś mnie w końcu o to zapyta? Bo prędzej czy później to pytanie padnie. Jak mogę wyjaśnić i uzasadnić swoją nieobecność?

Do domu docieramy dopiero o szóstej. Jest pełen ludzi, choć wszyscy wiemy, że tak naprawdę jest pusty. Zebrało się kilkoro sąsiadów, kobieta zajmująca się kwiatami w kościele, moi bracia, ich żony i dzieci. Wygląda na to, że wszyscy czekają tylko na mnie.

Przytulam mamę, ale ta nie zatapia się w moich ramionach. Nie trzyma mnie kurczowo, szlochając. Zawsze była silna i opanowana i wygląda na to, że śmierć mojego ojca tego nie zmieniła. Dzięki Bogu. Cieszę się, że wreszcie jakimś cudem przestałam płakać i mogę powitać ją z przynajmniej pozorną godnością.

- Pewnie marzysz o ciepłej herbacie, masz za sobą długą podróż. Jak ci minął lot?

Zaparza dla mnie herbaty i podaje mi ją w gustownej filiżance ze spodeczkiem. Zauważam, że to z jej najlepszego serwisu, który zwykle stoi za szybą kredensu. Próbuje wmusić we mnie kanapkę. W ogóle nie jestem głodna, ale pozwalam jej Przygotować mi przekąskę, bo jeśli chodzi o karmienie i pojenie rodziny, nie można z nią wygrać. Między innymi dlatego tata był taki gruby. Oddycham głęboko, ciesząc się, że nikt nie

czyta w moich myślach. Nie obwiniam mamy. Po prostu stwierdzam fakty - tata był gruby. I jego też za to nie winię. Tak tylko sobie mówię. Porzucam ten tok myślenia. Jest niewłaściwy i zupełnie niepotrzebny.

— Dzieciaki mają teraz ferie, więc musieliśmy je zabrać ze sobą. Nie mieliśmy ich z kim zostawić, bo nie wiedzieliśmy, jak długo to wszystko potrwa — szepcze Sophie, żona Maxa. Nie jestem pewna, czy to przypadkiem nie była aluzja do mojej nieobecności, która przysporzyła ludziom problemów. Pewnie są ciekawi, gdzie się podziewałam.

Sąsiadka komplementuje moją opaleniznę i pyta, czy dobrze mi się mieszka we Włoszech. Kiwam potakująco głową, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym dodać. To nie jest odpowiedni moment, żeby rozplýwać się nad budynkami w kolorze terakoty czy przepysznym jedzeniem. Wkładam do ust kanapkę, żeby wymigać się od rozmowy. Smakuje jak papier ścierny. Herbata jest dla mnie zbyt mocna. Czuję się kompletnie wyobcowana, siedząc tak sobie z filiżanką herbaty i talerzykiem na kolanach. Ktoś pyta, kiedy przyjedzie Roberto. Rozglądam się po pokoju, próbując ustalić, ko zadał to pytanie. I zastanawiam się, kto na nie odpowie. Powinien przyjechać. Ludzie będą się go spodziewać. Ludzie, którzy nie wiedzą, że obydwójce mamy kochanków, a nasze małżeństwo to jedno wielkie szambo. A może rzeczywiście przyjedzie, bo rak nakazuje przyzwoitość. Mój tata by się ucieszył. Głosy wokół stają się niewyraźne i mieszają się ze sobą — nie jestem pewna, czy o przyjazd Roberta pytał Thomas czy pani Finley. Ale wszyscy wpatrują się we mnie, czekając na odpowiedź.

— Nie jestem pewna - wyjąkuje.

— Biedaczka, wyjechała w takim pośpiechu. Pewnie nie mieliście czasu o tym porozmawiać, co, kochanie? - przychodzi mi z pomocą mama. Kiwam głową, doceniając jej wysiłki-Nie wiem, skąd wiedziała, że nie chcę odpowiadać na to pytanie, ale jestem jej za to bardzo wdzięczna.

- Elizabeth była na wycieczce, kiedy jej ojciec odszedł. Nie mogliśmy się z nią skontaktować - dodaje. Aha, a więc tak wytłumaczył moją nieobecność Roberto. To dobrze, bo to nie najlepszy moment, żeby poinformować wszystkich o Chucku. W sumie pewnie Robertowi też było to na rękę. Przyznanie przed teściami i szwagrami, że nie ma pojęcia, gdzie podziwiera się jego żona, na pewno uraziłoby jego dumę. Mama nie patrzy na mnie, kiedy wyjaśnia pani Finley powody mojego pośpiechu; jakoś wyczuwam, że nie do końca wierzy w swoje słowa.

- Naprawdę, na wycieczce? - mówi pani Finley, łapiąc okazję przerwania krępującej ciszy. Jej entuzjazm jest zrozumiały, ale przyprawia mnie o gęsią skórę. - Z kościoła? Stałaś się religijna po przeprowadzce do Włoch? Mają tam przepiękne kościoły, prawda?

- Tak, ale nie, to była raczej taka wycieczka zdrowotna

- mamroczę. Nie podoba mi się to kłamstwo, ale cóż mogę zrobić, skoro już zaczęłam.

- Aha, byłaś w spa? - pyta.

Nagle z moich ust wydobywa się niekontrolowany dźwięk

- coś pomiędzy wołaniem o litość a zażenowaniem. Trzy osoby szybko podbiegają do mnie z chusteczkami, mówiąc, że wciąż jestem w szoku. Zaczynam pochlipywać cicho, myśląc o tacie. Nie żyje.

Po chwili rozpoczyna się dyskusja na temat podziału miejsc do spania. Ktoś nocuje w pobliskim pensjonacie, ktoś inny na materacu w pokoju dla gości. Nie ma tam obecnie łóżka, tylko maszyna do szycia mamy. Zdaję sobie sprawę, że jest mi wszystko jedno. Mogę spać gdziekolwiek. Nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

Jakie były ostatnie słowa, które wypowiedziałam do taty? Rozmawialiśmy o zainstalowaniu w domu Internetu. Pamiętam, że trochę się na niego złościłam, że wciąż nie umie wysyłać i odbierać e-maili, choć tysiące razy mówiłam mu, że to najłatwiejsza metoda kontaktu z drugą osobą. Zapytał mnie, co jest nie

tak z dobrymi, starymi rozmowami przez telefon. Nie mogłam mu powiedzieć, że moje telefony są często monitorowane i że Rafaella uważa, że ma prawo mnie podsłuchiwać.

Pewnie umarł, myśląc, że nie chce mi się z nim rozmawiać.

Słysząc dzwonek do drzwi i wszyscy podskakują, by je otworzyć, ale mama mówi, że ona się tym zajmie, i prosi, byśmy z powrotem usiedli. Wracamy na swoje miejsca niczym posłuszni uczniowie w szkole. Nie wiadomo już, kto powinien się kim opiekować. Przynajmniej do momentu kiedy spoglądam na nią idącą w stronę przedpokoju i zauważam, jaka jest szczupła. Czy w styczniu, kiedy przyjechałam się z nimi pożegnać przed wyjazdem do Włoch, była już tak drobna? Czy też straciła część siebie, kiedy znalazła ojca martwego obok lodówki, i z żalu ubyło jej kilka kilogramów? A może trochę się skurczyła. Bardzo prawdopodobne.

Mama bardzo się postarzała. Mówię o tym cicho Thomasowi, który wzrusza tylko ramionami, po czym odpowiada:

- Przecież ma już siedemdziesiąt sześć lat. - Jego słowa są brutalne. Cóż, prawda czasem taka jest. - Tata miał osiemdziesiąt jeden. To dobry wiek, by odejść.

-Ale miałam nadzieję, że jeszcze trochę pożyje... - mamroczę. — W dzisiejszych czasach ludzie często dożywają dziewięćdziesiątki.

- Niektórzy tak, a inni umierają, mając lat trzydzieści - zauważa. Zdaję sobie sprawę, że widzi i rozumie znacznie więcej, niż ja kiedykolwiek byłam i będę w stanie zobaczyć czy pojąć. W końcu jest lekarzem. Ale jeśli za chwilę powie mi, że tata dobrze przeżył swoje życie, nie ręcę za swoje czyny - jest szansa, że uduszę go gołymi rękami. Wkładam dłonie pod pośladki i powtarzam sobie w myślach, że zabicie mojego brata raczej nikomu nie pomoże.

Jakim cudem nie zauważyłam, że mój ojciec aż tak się zestarzał? Ze zbliża się ku końcowi? Przecież nie trzeba być ge-

nieszem, żeby to dostrzec. Jak mogłam wyjechać do Włoch, zostawiając go i pozwalając mu umrzeć?

Przez cały wieczór przez nasz dom przewijają się ludzie - przychodzą i wychodzą, a ja wciąż siedzę w tym samym miejscu, na kanapie. W końcu dostrzegam, że zostałam tylko ja, mama i mój najstarszy bratanek. Eddie ma czternaście lat, więc praktycznie jest już mężczyzną. Będzie spał tutaj, na kanapie. Cieszę się, że jest obok. O wszystkim potrafi mówić z młodzieńczym entuzjazmem (no, może poza swoim życiem miłosnym) i dlatego miło spędza się z nim czas. Mama zabiera trzymany przeze mnie talerzyk. Nie jestem pewna, czy to ten sam, który wręczyła mi zaraz po przyjeździe do domu, i czy trzymałam go tak w ręce przez tyle godzin czy też dostałam więcej jedzenia.

Z okna widzę różową wieczorną poświatę spowijającą ulicę. I choć spoglądałam w to okno przez wiele lat, dziś wszystko wygląda inaczej. Wszystko się zmieniło.

- Mamy piękne lato w tym roku — mówi mama, zjawiając się z nienacka w pokoju. Zauważam, że ściągnęła buty i nałożyła na nogi pantofle, co oznacza, że nie spodziewa się więcej gości, została tylko rodzina. - W sobotę też świeciło słońce. To był naprawdę piękny dzień, by umrzeć.

Odwracam się w jej stronę i przytulam jej drobniutkie ciało. Już od jakiegoś czasu jestem od niej wyższa, do tego mam na nogach buty, które dodają mi kilka centymetrów, przez co czuję się, jakbym obejmowała dziecko. Kołyszę ją delikatnie, głaszcząc jej plecy, tak jak ona głaskała moje jakiś milion razy przez te wszystkie lata.

— Będzie mi go strasznie brakować — szepcze. Przygryzam wargę, żeby znów się nie rozpłakać.

— Wiem, mam, wiem. Odsuwa się ode mnie i wstaje.

- Ale i tak los podarował nam wiele lat. Mieliśmy dużo szczęścia.

I znów jest ode mnie wyższa.

Okolo jedenastej kładę się do łóżka i sięgam po telefon. Pomimo smutku czuję ulgę, a nawet podekscytowanie na myśl o rozmowie z Chuckiem. Jestem pewna, że jego głos choć odrobinę ukoi mój ból i poprawi nastrój. Już chcę wybierać jego numer, kiedy zauważam wiadomość. Kochany! Otwieram ją szybko, czekając na słowa pocieszenia.

*Dostałem twoją wiadomość. Dam ci spokój.
Przepraszam.*

Wydaje mi się, że za chwilę zwymiotuję. Podnoszę kołdrę i wyskakuję z łóżka tylko po to, by za sekundę do niego wrócić. Wpatruję się w telefon, setki razy czytając odebranego SMS-a. Cóż za bezduszność i okrucieństwo! O co w ogóle chodzi? Da mi spokój? Nie chcę, żeby dawał mi spokój. Chcę, żeby wziął mnie w swoje muskularne ramiona i trzymał mocno. Zdaję sobie sprawę, że pewnie nie jest w stanie przyjechać do mnie za kilka minut na białym rumaku, to zresztą nieodpowiedni moment na poznanie mojej rodziny, ale co miał na myśli, mówiąc, że zostawi mnie w spokoju?

Próbuję do niego zadzwonić, ale numer jest zajęty. Ponownie czytam jego wiadomość, mając nadzieję, że może źle ją zinterpretowałam, ale nie ma co się oszukiwać, wszystko jest jasne. Poprosiłam, żeby do mnie zadzwonił, a on napisał, że nie ma zamiaru tego robić. Ani dziś, ani nigdy.

Ponownie wybieram jego numer. Na pewno wszystko mi wyjaśni. Cholera, dalej zajęte. Ledwie potrafię złapać oddech,

rozpacz dławi mnie w gardle. Przez jakieś dziesięć minut próbuję się do niego dodzwonić, ale wciąż słyszę ten sam sygnał. Każda próba wzmaga moją wściekłość, a w moim ciele kumuluje się coraz większe napięcie. Czy nie słyszy sygnału, że ktoś oczekuje na połączenie? Nie widzi mojego numeru? A może robi to celowo?

Zastanawiam się, czy powinnam mu odpisać. Nie. No bo niby czemu? Przecież to ja potrzebuję teraz wsparcia. To mój ojciec umarł. I moje małżeństwo. No więc czemu nie dzwoni? I co, do cholery, ma znaczyć ten SMS?! Pojawiła się pierwsza przeszkoda i już ucieka. Porzuca mnie. Roberto przynajmniej wytrzymał wiele lat, zanim ostatecznie mnie zostawił. Podejmuję ostatnią próbę. Wciąż zajęte. Z kim on, do cholery, tyle rozmawia? Czemu nie czeka na mój telefon? Tego już za wiele. Moja wściekłość przeradza się w furię.

Ale ze mnie idiotka! Jak mogłam choć przez sekundę wierzyć, że uda mi się przekonać Chucka, by miał ze mną dzieci? Jak mogłam myśleć, że będzie odpowiedzialnym ojcem? Zalewa mnie fala wstydu. Jak to możliwe, że pozwoliłam, by choć na moment stał się dla mnie ważniejszy niż dziecko? Jestem ślepa. To jasne, że nic nie wiem o facetach i kompletnie nie potrafię ocenić ich charakterów. Będąc z Robertem, ignorowałam oczywiste znaki, i to samo robię teraz z Chuckiem. Zaledwie wczoraj powiedział mi, że ma słabość do mężatek. Może dla niego największą atrakcją jest zdobywanie. Pewnie rozmawia właśnie z kolejną ofiarą, na której serdecznym palcu lewej ręki wypatrzył obrączkę.

Ale przecież wydawał się taki szczęty.

Walczę ze wspomnieniami. Próbuję zapomnieć, jak budziłam się w jego objęciach i ostrożnie, zawsze niechętnie wyswobadzałam z jego uścisku. Próbuję nie myśleć, jak jego i moja skóra przylegały do siebie w taki sposób, że wydawało mi się, że wreszcie znalazłam to, czego szukałam. To był naprawdę długi dzień. Utraciłam dwie bardzo bliskie mi osoby.

Tylko wydawał się szczery. Gdyby naprawdę był, rozmawialibyśmy teraz przez telefon, a on starałby się znaleźć najodpowiedniejsze słowa, by mnie pocieszyć. I na pewno udałoby mu się ukoić moje cierpienie. Znacznie trudniej być o tym przekonanym, niż w to wątpić. Bez zastanowienia otwieram okno i wyrzucam przez nie komórkę. Słyszę dźwięk roztrzaskującego się na drodze plastiku i widzę porzrzucone odłamki. Zatrząskuję okno dumna, że udało mi się przewyciężyć pokusę zadzwonienia do niego. Jakkolwiek szczery wydawał mi się w przeszłości, nie mam zamiaru błagać go, żeby wytłumaczył mi powody swojej okrutnej zdrady w tak istotnym i trudnym dla mnie momencie. Wszystko jest jasne.

Cholera, może i jestem żałosna, ale przez nanosekundę żałuję, że nie zapisałam sobie jego numeru.

Przychodzi taka pora, że trzeba się zmierzyć z praktyczną stroną śmierci. Dla mamy zaczęło się to, gdy wróciła do domu po próbie chóru i zastała ojca martwego na podłodze w kuchni.

- Nie było mnie przez jakieś dwie godziny, plus może kwadrans, nie więcej. - Znalazła jego wielkie ciało tuż obok lodówki, której drzwi były otwarte. Na podłodze rozlany był jogurt orzechowy. Nie wiedziała, co robić. Czy powinna zadzwonić po pogotowie? Było jasne, że ojciec nie żyje i że ambulans nic tu nie pomoże. Może więc zawołać lekarza? Zdecydowała, że to najlepsze rozwiązanie, choć było już po dziewiątej wieczorem. Dobrze знаła ich lekarza rodzinnego, doktora Hudsona, miłego mężczyznę po pięćdziesiątce, który leczył ojca przez wiele lat.

- Widzisz, zdawałam sobie sprawę, że nie mogę po prostu położyć się i spać obok niego, choć bardzo tego pragnęłam. Nie mogłam tego tak zostawić i czekać do rana, prawda?

- Oczywiście, że nie - zgadzam się z nią. — Choć obydwie zastanawiamy się, czemu właściwie nie. Przecież nie trzeba się było spieszyć. Tata nie żył. Do rana nic by się nie zmieniło. Ale to jasne, że musiała zadzwonić po lekarza. Bo tak się po prostu robi.

- Nie wiedziałam, czy zetrzeć jogurt z podłogi, żeby nikt się na nim nie poślizgnął. Najpierw pomyślałam, że powinnam to zrobić, bo lubię, jak w domu jest czysto, kiedy przychodzą goście, a szczególnie lekarz. Wiesz o tym dobrze, taka już jestem. Ale później pomyślałam, że w tych wszystkich programach w telewizji zawsze mówią, żeby niczego nie dotykać, prawda?

- Tylko przy morderstwach, babciu - wtrąca Eddie. Słyszał już tę historię jakieś dwadzieścia razy i uznał, że pora nadać jej słowom trochę sensu. Mama spogląda na niego bez urazy, wzrokiem pełnym niewyobrażalnej miłości i uwielbienia, pozwalając mu zwrócić uwagę na to, czego nikt inny nie miałby odwagi powiedzieć głośno.

- I co, posprzątałaś ten jogurt? - pytam po raz kolejny, jak za każdym razem gdy powtarza tę opowieść zjawiającym się w domu znajomym, sąsiadom i innym osobom przychodzącym z kondolencjami.

- Tak, kochanie. Część poplamiała sweter taty, więc wytarłam go delikatnie ściereczką. Nie chciałby, żeby ludzie widzieli go w takim stanie.

Poza podpisaniem aktu zgonu, które w tym przypadku obyło się bez żadnych problemów, trzeba zawsze podjąć wiele decyzji dotyczących pogrzebu. Większość z nich została przedyskutowana w ciągu ostatnich pięciu dni, ale nic nie zostało definitywnie ustalone.

- Czekaliśmy na ciebie, kochanie. Wiedziałam, że będziesz chciała mieć w tej sprawie coś do powiedzenia - mówi mama z przekonaniem, na które nie zasługuję.

Oczekuje się ode mnie opinii na temat kwiatów, modlitw, czytań biblijnych i hymnów. Mgła szoku powoli rzednie i przyjmuję do wiadomości, że ojciec nie żyje. Musi to być prawda, bo choć wciąż o nim rozmawiamy, nie wyszedł ze swojego gabinetu i nie zapytał mnie, czy nie straciłam jeszcze wątku w radiowym serialu *The Archers*, chociaż cały czas na to czekam. Mama jest niewiarygodnie silna, kiedy wokół są znajomi i sąsiedzi, i wciąż się czymś zajmuje - parzy herbatę i ustala ostateczne szczegóły pogrzebu, który odbędzie się w poniedziałek. Kręcę się koło niej niczym jej marna kopia. Proponuję ludziom herbatę, po czym zapominam postawić wodę. Wysypuję ciasteczka na talerz, po czym zostawiam je w kuchni, zamiast podać gościom.

Mama co chwilę odwraca się do mnie i mówi rzeczy w stylu:

-Twój tata wolałby pogrzeb, nie kremację. - Kiwam głową i przypuszczam, że pewnie już to przedyskutowali. - Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie, jeśli kupimy tylko jeden wieniec, od wszystkich. Tacie nie podobałoby się marnowanie pieniędzy na olbrzymie ilości kwiatów, prawda? Lubił oglądać je w ogrodzie, żywe. - Znowu potwierdzam ruchem głowy. - Poprosimy za to gości o datki na cele charytatywne. Tak się dziś robi, prawda? - Znów kiwnięcie. Choć tak naprawdę nie mam pojęcia, co tata myślałby o wieńcach ani nawet którą organizację charytatywną powinniśmy wybrać.

- Na pewno chciałby usłyszeć „Pan jest moim pasterzem”, nie sądzisz? — Przytakuję, choć wcale nie jestem pewna. Może wolałby Duke'a Ellingtona. Ale z jakichś powodów nie potrafię tego zaproponować, choć mama sądziła, że będę miała coś do powiedzenia. Wyczuwam, że czuje się trochę zawiedziona. — Ale to chyba wszyscy wiedzą - dodaje mama. Pewnie tak.

- Twój tata na pewno chciałby porządną stypę. Z krewetkami i dużymi porcjami mięsa. Albo z łososiem. Na pewno nie z samymi kanapkami z jajkiem. - Tego akurat jestem pewna, kiwam więc głową z trochę większym entuzjazmem, ciesząc się, że wreszcie odzyskuję grunt pod nogami.

- Kiedy pójdziesz się z nim pożegnać? — pyta.

Znów tracę grunt. Co takiego? Do tej pory wszystkie ustalenia jakoś nie powodowały u mnie większych emocji, ale to pytanie kompletnie zbija mnie z tropu. W ogóle o tym nie myślałam. Kierownik domu pogrzebowego, człowiek o dużych, czystych i delikatnych dłoniach, przyszedł dziś do nas do domu, żeby uzgodnić wszystkie szczegóły. Nie myślałam, że przyjdzie mi odwiedzić to miejsce, no chyba że sama w końcu tam trafię. Mama była już zobaczyć ojca dwa razy; dla niej te kilka dni przed pogrzebem to ostatnie chwile, które może z nim spędzić. Myślę, że chciałyby jak najdłużej żyć w tym stanie niepewności- Gdyby tylko mogła zabalsamować jego zwłoki i odwiedzać go codziennie do końca swoich dni, na pewno by to zrobiła.

Przychodzi mi do głowy, że nadawałaby się na żonę kryminalisty latami przebywającego za kratkami. Ja natomiast odliczam godziny do pogrzebu. Jestem oziębła i otępiała i muszę wreszcie poczuć coś innego niż pustkę. Odkąd wróciłam do domu, nie uroniłam ani jednej łzy. Najpierw chciałam być dorosła i zachowywać się z godnością, w związku z czym przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny walczyłam z napływającymi do oczu słonymi kroplami. A teraz już w ogóle nie przychodzą. Wiem, że to dziwne, ale nie mogę się doczekać momentu, kiedy tata znajdzie się pod ziemią. Muszę wypłakać resztę łez. I mieć to wszystko za sobą.

— Taka rozmowa z nim naprawdę przynosi ulgę i pocieszenie. I wcale tak bardzo nie różni się od tych, które prowadziliśmy, gdy żył. No, może jest odrobinę spokojniejszy i cichszy

- uśmiecha się, próbując żartować.

— O czym z nim rozmawiasz? — pytam.

— O tobie, Maksie, Thomasie, dzieciakach.

— No cóż, jestem pewna, że wszystkiego już się od ciebie dowiedział, nie mam więc za bardzo po co tam iść - odpowiadam cicho.

— Mogę mu powiedzieć tylko to, co wiem, Elizabeth

- mówi, po czym wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, co wprawia mnie w zakłopotanie. — I nic poza tym.

2 czerwca

W kościele zjawiają się wszyscy, nie ma tylko ojca, choć jednocześnie jego obecność nigdy nie była bardziej wyczuwalna.

Jest typowy brytyjski letni dzień - trochę pochmurno i chłodno, ale przynajmniej nie pada.

Kiedy Roberto zadzwonił, że przyleci na pogrzeb, odczułam ogromną ulgę i wdzięczność. Nasza rozmowa była krótka i zwięzła, ale niczego więcej nie oczekiwałam. W świetle ostatniego zachowania Chucka chęć Roberta, by zrobić to, co należy, wydaje mi się niewiarygodna. Chuck ewidentnie dał mi spokój. Dużo spokoju. Nie odzywa się. Zdaję sobie sprawę, że ponieważ zniszczyłam swoją komórkę, żeby się ze mną skontaktować, musiałyby zdobyć numer mamy. I że musiałyby o niego poprosić Roberta lub Paolinę. A to niełatwe zadanie. Zbyt trudne, jak widać. Miotam się między wściekłością, smutkiem i rozpaczą. Nie potrafię do końca zrozumieć, dlaczego Chuck postanowił potraktować mnie z taką obojętnością.

- Dziękuję, Roberto, mama na pewno się ucieszy. Tata też by się ucieszył.

I ja też się cieszę. Nieobecność Roberta z pewnością wzbudziłaby zainteresowanie gości. Padłyby niewygodne pytania, a ja nie jestem jeszcze gotowa, by na nie odpowiedzieć. Wiem, że wszystko między nami skończone, ale nie jestem jeszcze w stanie podzielić się tą informacją z mamą. Przynajmniej nie w tym momencie. Bez wątplenia będzie zła, zawiedziona i smutna. A teraz ma wystarczająco dużo rzeczy na głowie.

- Twój ojciec zawsze był dżentelmenem — stwierdził Roberto. - Chcę oddać mu część.

- Cześć — poprawiłam go. Słyszałam podobne słowa od wielu osób; mój ojciec był szanowaną i lubianą osobą.

- Ale nie będę mógł zostać na noc. Wrócę do Włoch tego samego dnia - dodał mój mąż. I za to jestem mu tym bardziej wdzięczna. Musielibyśmy spać w jednym łóżku albo przynajmniej stwarzać pozory, że tak jest, a tego bym nie zniosła.

Roberto przyjeżdża w samą porę, tak by nie kręcić się cały rano po naszym domu. Pojawia się nagle nie wiadomo skąd, w najodpowiedniejszym momencie, i jedzie do kościoła ze mną i mamą. Max i Thomas jadą innymi samochodami, razem ze swoimi żonami i dziećmi. Uśmiecham się do Roberta z wdzięcznością. Wygląda bardzo elegancko w swoim garniturze od Armani, jest przystojny i opanowany. Potrzebny nam jest mężczyzna, same zdajemy się kruche i wątle. Kiedy idziemy główną nawą kościoła w stronę mahoniowej trumny, w której leży tata, Roberto trzyma mamę pod rękę. To miło z jego strony, ona z pewnością potrzebuje go w tej chwili bardziej niż ja. W czasie mszy raz przez krótki moment ściska znacząco moją rękę, a ja odwzajemniam się tym samym. Zastanawiam się, co czuje, siedząc w kościele, w którym się pobraliśmy. Ja nie czuję nic, co miałoby związek z nami, wszystkie moje myśli skupione są na tacie.

Pogrzeb jest naprawdę udany, jeśli można tak w ogóle powiedzieć o tego typu uroczystości. Msza nie jest zbyt długa, a ponieważ moi rodzice chodzą do kościoła i znają pastora, może on śmiało opowiadać o osiągnięciach i sile charakteru Ernesta Gardinera.

Atmosfera jest pełna powagi, ale nie rozpaczy. Thomas czyta fragment Biblii, ponieważ ustaliliśmy, że tata raczej nie chciałby niczego nowoczesnego, na przykład wiersza. I choć ja sama, szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy nie chciałby usłyszeć Wordswortha czy Blake'a, nie miałam pewności, a co za tym

idzie odwagi, by głośno wypowiedzieć swoje myśli. Żałuję, że lepiej go nie znałam. Kościół jest wypełniony po brzegi, a kiedy spoglądam na rzędy poważnych i posępnych twarzy, udaje mi się niektóre z nich rozpoznać. Dyrektor szkoły, do której chodziłam, kilku kumpli taty, którzy pojawiali się w naszym domu, odkąd pamiętam, Charlie Rotheroe, menedżer centrum ogrodniczego, do którego ojciec często zaglądał, pan Walker z kiosku. Moi rodzice od lat mieszkają w tym samym miejscu, mają więc wokół mnóstwo znajomych i nadzwyczaj aktywne życie towarzyskie.

Po wszystkim w hotelu, w którym odbywa się stypa, zostaje przedstawiona kilkudziesięciu osobom z klubu golfowego oraz kółka filmowego i brydżowego. Ktoś ze straży sąsiedzkiej, organizacji założonej przez ludzi mieszkających w tej samej okolicy, by strzec się nawzajem przed wandalizmem i kradzieżami, mówi mi, jakim mój tata był wspaniałym i pełnym zaangażowania prezesem. Ktoś inny z fundacji „Rainbow” dziękuje mi, że przez dwadzieścia lat co tydzień woził niepełnosprawne dzieci do biblioteki i z powrotem. Kompletnie zapomniałam, że to robił. Nigdy szczególnie się nie chwalił swoją pracą charytatywną. Przyjmuję kondolencje od wielu życzliwych ojcu osób, które nalegają, bym czasem je odwiedziła, są przekonane, że jestem z niego dumna, i przypominają mi, że dobrze przeżył swoje życie. Próbuję skojarzyć twarze z imionami, ale nie bardzo mi to wychodzi. Wypijam trzy szklaneczki sherry, które drapie mnie w gardle. Choć mama zamówiła naprawdę wyśmienity poczęstunek, nie udaje mi się nic przełknąć. Jak większość obecnych, nie płaczę. Wszyscy zgadzają się, że ojciec dobrze wykorzystał swoje życie, a ja nie mam odwagi przyznać się, że wolałabym, żeby jeszcze trochę je powykorzystywał.

Po niezliczonych uściskach dłoni odczuwam nagle nieodpartą chęć ucieczki w jakieś bardziej odosobnione miejsce. Wymykam się do ogrodu; obecna wokół zieleń i kwitnące kwiaty działają na mnie odprężające. Róże w kolorze fuksji i czerwieni

tańczą wokół, kokietując mnie nieśmiało. Ich płatki są wilgotne, ale nie wiem, czy to od deszczu czy przez system zraszający. Pochyliłam się nad jedną z nich i biorę głęboki wdech. Czuję zapach ojca. Albo przynajmniej coś, co mi o nim przypomina. Świetnie znał się na ogrodnictwie i zapach róż niesiony letnim wiatrem zawsze będę kojarzyć z nim. Tak jak zapach mydła Imperial Leather, pasty do butów i rozgrzewającej maści Vick. -Hej.

— *Ciao*, Roberto - odwracam się w jego stronę.

— Jak się czujesz?

— Powiedzmy, że gdybym paliła, właśnie teraz potrzebowałabym przerwy na papierosa.

Kiwa niepewnie głową. Nie jestem pewna, czy rozumie moje zmęczenie tymi wszystkimi kondolencjami.

— Twój ojciec miał wielu przyjaciół.

— Tak, ale nie bardzo ich znam.

— Wszyscy go szanowali. Pewnie jesteś z niego dumna.

— Jestem smutna - mówię ponuro i bez ogródek. Brakuje mi energii, by udawać, że tego typu frazesy dodają mi otuchy.

Roberto przestępuje z nogi na nogę zakłopotany, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Za trzy godziny mam samolot.

— Rozumiem.

— Paolina bardzo mocno cię ściska. No i wszyscy przesyłają kondolencje.

— Dziękuję. - Nie potrafię sobie wyobrazić Rafaelli przekazującej mi kondolencje, ale staram się być miłą i zdystansowana, więc nic na ten temat nie mówię.

Mam ochotę zapytać go o Chucka. Ale czy wypada pytać własnego męża, czy przypadkiem nie rozmawiał z moim kochankiem? Byłym kochankiem. Tęsknię za jego obecnością i spokojem, choć wiem, że to głupie i bezsensowne. Tylko on mógłby choć odrobinę poprawić mi humor. Ale nie ten Chuck, który wysłał mi obojętnego SMS-a, ten drugi. Pomocny i seksowny

Chuck.

Gdzie on się podział? Jak to możliwe, że zniknął tak nagle? Wzdycham ciężko. Muszę znieczulić swoje serce. Ale fakty są takie, że tamtego Chucka już nie ma. To kolejna rzecz, której nie potrafię zrozumieć. Kolejna rzecz, która wydaje się niesprawiedliwa.

— Muszę wracać. Rozumiesz, prawda? Do baru, do mamy. - Jeśli myśli również o Anie-Marii, jest na tyle przyzwoity, by zachować to dla siebie.

— A ja muszę zostać — odpowiadam.

— Wiem, musisz pomóc swojej mamie. - I sobie.

Roberto spogląda na mnie wzrokiem skarconego dziecka. Bierze głęboki oddech i odważnie chwyta byka za rogi.

— Te próby zajścia w ciążę nas zabiły.

— Nie, wcale nie — mamroczę, choć wiem, że może mieć rację.

— Tak, i dobrze o rym wiesz — mówi stanowczo. Podchodzi do mnie i chwyta mnie za rękę. Powinam się odsunąć. Powinam czuć się urażona. Jego zdradziecki dotyk powinien palić moją skórę, ale jest tylko znajomy i uspokajający. Moja jasna, piegowata dłoń spoczywa w jego dużej, ciemnej łapie. Roberto całuje moje palce. Nie są to jednak miłosne pocałunki, to raczej gest pełen smutku, chyba najbardziej przygnębiający, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam, a biorąc pod uwagę, że jestem właśnie na pogrzebie ojca, naprawdę jest to coś.

— Ustalanie, kiedy powinniśmy pójść do łóżka. Ziółka. Testy ciążowe. - Roberto kręci głową. - Nie chcę, by tak wyglądał mój związek.

Czuję zdradziecką łzę wymykającą się spod półprzymkniętej powieki. Nie wycieram jej w nadziei, że pozostanie niezauważona. Proszę ją, by wyparowała i nie przynosiła mi wstydu. Ostatnia rzecz, jakiej w tym momencie pragnę, to litość Roberta. Wystarczy, że sama się nad sobą lituję.

— Poza tym po pewnym czasie zorientowałem się, że nie chcę tego tak bardzo jak ty. *Bambino* nie jest dla mnie najważ-

niejsze na świecie. I wtedy zacząłem myśleć o nas. Często w nocy spałaś niespokojnie i mówiłaś coś przez sen. I jest mi przykro, że nie możesz mieć tego, czego tak bardzo pragniesz. Miałem olbrzymie poczucie winy. Zacząłem się zastanawiać, czy możemy być kiedykolwiek szczęśliwi. Miałem nadzieję, że będziemy. Dlatego właśnie chciałem zacząć wszystko od nowa we Włoszech, ale szybko zrozumiałem, że jeśli nie dam ci dziecka, to nigdy nie będziesz mnie uważała za prawdziwego mężczyznę. Ze ja sam nigdy ci nie wystarczę.

- A Anie-Marii wystarczasz? - Wiem, że jestem małostkowa i że ta uwaga jest podszyta zazdrością, ale jestem oburzona, że Roberto obwinia nasze nienarodzone dzieci o rozpad naszego małżeństwa. Bo chyba to, że od Bóg wie jak dawna posuwa swoją byłą dziewczynę, też odrobinę się do tego rozpadu przyczyniło.

- Z dziećmi czy bez, Ana-Maria kochałaby mnie tak samo. A ty nie potrafisz.

- Po... — Słowo „potrafię” grzęźnie mi w gardle. Rzeczywiście, nie potrafisz. Szkoda. I dla mnie, i dla niego.

Moja dłoń wyslizguje się z jego uścisku. Przychodzi mi to znacznie łatwiej, niż przypuszczałam.

- Zadzwoń do ciebie. Mamy sporo spraw do omówienia.

Oczywiście chodzi mu o załatwienie wszystkich formalności, takich jak sprzedaż mieszkania, rozwód, poinformowanie naszych rodzin, a nie o rozmowę na temat ratowania naszego związku. Żadne z nas nie ma energii ani ochoty, żeby się tego podjąć. Nasze małżeństwo prześlizguje mi się przez palce. Stoję na mokrym piasku i widzę nadchodzący przypływ. Z każdą uderzającą we mnie falą tracę grunt pod nogami i chwieję się. Nie jestem pewna, czy zdołam utrzymać się na nogach. Muszę, bo jeśli upadnę, pochłonie mnie otchłań.

20 czerwca

Alison staje w drzwiach domu moich rodziców, choć wcale jej nie zapraszałam. Jest na mnie zła, ale tym razem nie kwestionuję jej wzburzenia, bo sama jestem na siebie zła; poza tym chyba ma trochę racji.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?!

Przytula mnie mocno, ale nawet przez grubą kurtkę, którą wciąż ma na sobie, wyczuwam pulsującą w jej ciele wściekłość. Przypominam sobie, że tak samo objęła mnie mama, kiedy miałam siedem lat i zniknęłam na trzy godziny, bawiąc się u koleżanki i zapominając jej o tym powiedzieć. Kiedy mnie znalazła, była rozdarta pomiędzy wściekłością a ulgą. Przycisnęła mnie wtedy tak mocno, że na moich dziecięcych ramionach pozostały ślady. Kiedy Alison wypuszcza mnie ze swoich ramion, mam ochotę sprawdzić, czy nie mam siniaków.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś, żeby mi powiedzieć o śmierci ojca?

- Rozwaliłam swój telefon.

- No ale przecież mogłaś zadzwonić z domowego, prawda? Wzruszam ramionami i unikam odpowiedzi, pytając:

- A skąd w ogóle wiesz?

- Od Roberta.

Ostatnio myślałam głównie o ojcu i Chucku, więc imię mojego męża, wypowiedziane głośno w przedpokoju, brzmi obco. Wpatruję się w Alison, zdając sobie sprawę, że przecież wciąż jestem czyjąś żoną; mimo że wkrótce przestanę nią być. Rozstałam się z Robertem, ale nie zrobiłam chyba jakichś wiel-

kich postępów w porządkowaniu swojego życia, bo rozstałam się już od tej pory z kolejnym facetem.

- Martwi się o ciebie.

- Kto? - pytam z nutką nadziei w głosie. Nadziei, której nie powinno przecież być.

- No jak to kto, Roberto. - Alison nie potrafi ukryć irytacji. Oczywiście, że Roberto, niby skąd Alison miałaby wiedzieć, że Chuck się o mnie martwi? Kompletnie bezsensowny pomysł. Nie powinnam była się ludzić nawet przez ułamek sekundy. - A potem zadzwoniłam do twojej mamy, ona też się o ciebie martwi. - Alison mierzy mnie wzrokiem z góry na dół. - No i chyba mają rację, sądząc z twojej kontrowersyjnej kreacji.

Choć zbliża się południe, wciąż jestem w pidżamie, na którą narzuciłam ciemnobrązowy szlafrok mamy. Sam w sobie jest obrzydliwy, a do tego poczęstowałam go trochę przeróżnymi potrawami, które ostatnio spożywałam. Śmiało mogę więc powiedzieć, że nie wygląda najlepiej. Jeszcze nie myłam dziś zębów, nie czesałam się, odkąd ostatni raz myłam włosy, czyli od... nie wiem od kiedy. Jakiegoś tygodnia. Dziesięciu dni.

Po pogrzebie wszyscy wrócili do domu, by z nową chęcią zajmować się praniem i płaceniem rachunków za prąd, bo nic tak nie pomaga nam docenić męczących obowiązków życia codziennego jak pogrzeb. Wszyscy wokół, od moich braci po Charliego Rotheroe, menedżera centrum ogrodniczego, nie mieli wątpliwości, że to ja powinnam dotrzymać mamie towarzystwa w tych najgorszych dniach. Jako jedyna córka, nierobiąca kariery, bezdzietna, jestem idealną kandydatką na pocieszycielkę. Nawet ja potrafię dostrzec logikę w tym założeniu.

Ale zawiodłam na całej linii.

Nie potrafię tak po prostu uznać, że życie toczy się dalej, choć właśnie taka postawa jest potrzebna. No bo czy naprawdę może tak sobie dalej się toczyć? Może dla Maksa i Thomasa tak, mają przecież żony i dzieci, które biegają wesoło po domu, dając im chęć do życia. Ale ja tego nie mam. I mama też nie.

Spoglądam na nią i wciąż myślę, że przecież najlepsze lata życia ma już za sobą. Przeżyła już czasy pełne energii i hałasu, miłości i radości. Jej młodość była niegdyś pełna planów lekcji i zajęć pozaszkolnych, a także małych żądań i oczekiwań swoich dzieci, które musiała spełnić. Pomagała im w zadaniach domowych, słuchała ich drżących głosów nieudolnie składających litery, aż potrafili przeczytać skomplikowane artykuły medyczne albo dzienniki finansowe (a przynajmniej aż Max i Thomas potrafili je przeczytać - jeśli tego samego oczekuje ode mnie, może jeszcze trochę poczekać). Drobna, ładna, pełna nadziei, szła główną nawą kościoła, by wziąć za męża swojego przystojnego narzeczonego, a pięćdziesiąt lat później w smutku kroczyć dokładnie tym samym przejściem, by pożegnać się z jego olbrzymim znajomym ciałem.

Co mogłabym powiedzieć, żeby ją pocieszyć? Najlepsze już za nią, jestem o tym przekonana w stu procentach. Bo tak samo jest ze mną. Dla siebie również nie widzę przyszłości. Po wielu latach planowania, przewidywania, nadziei i tęsknoty zdaję sobie sprawę, że jestem bliższa matce niż moim braciom. To podobieństwo przytłacza mnie i zawstydzia, ale nie mogę oszukiwać ani siebie, ani jej, udając, że przyszłość stoi przed nami otworem.

Nocami wpadam w najgłębszą studnię rozpacz. Wtedy odczuwam już nie tylko przygnębienie i wstyd, że nie potrafię pocieszyć mamy. Zazdroszczę jej. Przynajmniej kiedyś miała rodzinę. Przynajmniej cieszyła się miłością ojca do końca jego dni. Mnie nigdy nie będzie to dane.

Chuck.

W ciągu dnia włóczę się po domu, wyglądając jak zombie. Bez słowa zjadam zupę pomidorową i jajka na miękko, które przygotowuje mama. Kiedy podaje mi jedzenie, które kiedyś robiła dla mnie, gdy miałam zapalenie migdałków, w jej oczach dostrzegam niepokój, a mój wstręt do samej siebie rośnie. Nie dość, że nie potrafię jej pomóc, to jeszcze przysparzam jej zmar-

twień. Zdaję sobie sprawę, że mama starzeje się i właśnie straciła męża, a ja powinnam zabierać ją na wycieczki do ogrodów botanicznych Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego i do pięknych miejsc pod ochroną National Trust, gdzie mogłaby coś nowego zobaczyć albo napić się herbaty i zjeść babeczki. Ale nie potrafię. Chciałabym być lepszą osobą, ale umiem się zdobyć tylko na nastawienie wody na herbatę czy wycieczkę do sklepu i kupno delikcji.

- Natychmiast idź pod prysznic - mówi Alison. - Strasznie śmierdzisz. A potem pójdziemy na spacer i pogadamy.

Muszę przyznać, że po kąpieli czuję się troszkę lepiej. Mama przygotowała dla mnie ciepły mięciutki ręcznik i nową drogą odżywkę do włosów. Bez pośpiechu rozkoszuję się mydłanymi bańkami, które tworzą się i pękają pomiędzy moimi palcami. Strumienie wody masują moje ramiona i plecy. Odwracam się i otwieram usta; woda wlewa się do środka i spływa po podbródku. Potem zamykam oczy, a ona zalewa mi powieki. Przynajmniej pod prysznicem nie widać, kiedy ktoś zaczyna płakać.

Kiedy wreszcie wychodzę, Alison siedzi z mamą przy kuchennym stole. Moje wejście poprzedza chwila wahania; chociaż to ja jestem osobą, na którą czekają, nie jestem pewna, co powiedzieć. Promienie czerwcowego słońca wdzierają się do domu przez uchylone tylne drzwi. Słyszę sprzeczące się dzieci sąsiadów. Ich podniesione, pełne oburzenia głosy przedostają się przez płot i mieszają z trochę bardziej ponurymi, choć równie poważnymi głosami prezenterów z Radia 4, które zawsze rozbrzmiewa w naszej kuchni. W domu unosi się również słodki aromat dojrzałych róż. Wyglądam przez okno. Ogród jest w pełnym rozkwicie; wkrótce płatki kwiatów zaczną dryfować w powietrzu, opadać na ziemię i rozkładać się, uwalniając odurzający, trochę mdły odór. Żałuję, że w tym roku umknęło mi piękno ogrodu rodziców. Zawsze dbają, by wyglądał olśniewająco, niezależnie od pory roku. Na wiosnę krokusy i żonkile tańczą żwawo w kolorowych kręgach; na jesień klony palmowe na znak

buntu przeciw szarym porankom zrzucają swe liście w odcieniach szkarłatu i pomarańczy; zaś w zimie zielone krzewy wyzierają hardo spod cienkiej warstwy szronu lub śniegu. Dla mnie jednak bezkonkurencyjnie najpiękniejszym okresem jest lato, kiedy do życia budzą się hipnotyzujące klomby róż. Uwielbiam ich delikatne, jedwabiste płatki, okalające się nawzajem, tworzące perfekcyjną jedność. Spoglądając teraz na nie, żałuję, że praktycznie przez cały miesiąc siedziałam zamknięta w pokoju, zamiast delektować się świeżym powietrzem i rozkwitającą przyrodą. Myślę o tacie i o tym, że on także nie mógł w tym roku podziwiać swoich ukochanych róż. Co gorsza — nigdy już ich nie zobaczy. Znow ogarnia mnie żal i smutek.

Alison i mama chyba w tej chwili nie bardzo się smucą, gawędzą sobie wesoło i po chwili słyszę mamę wybuchającą gromkim śmiechem. Dopiero wtedy uzmysławiam sobie, jak dawno go nie słyszałam i uznaję, że zamiast rozpaczać, powinnam chyba trochę bardziej się starać, by wypędzić jej z głowy ponure myśli.

- Z czego się śmiejecie? - pytam, siadając między nimi. Alison popycha w moją stronę kubek z herbatą i talerzyk

z ciastkami czekoladowymi. Dopiero po upływie kilku sekund ponownie spoglądam na kubek i uświadamiam sobie, że mama naprawdę musi czuć się swobodnie w obecności Alison. Zwykle wyciąga dla gości filiżanki ze spodkami; kubki mamy w domu głównie przeze mnie - lubię pić z nich poranną herbatę czy kawę. Alison spotkała się z moimi rodzicami kilka razy, kiedy odwiedzali mnie w Londynie, a także zatrzymała się u nich w domu, kiedy wychodziłam za mąż - w końcu była moją świadkową. Ale nigdy jakoś nie zwróciłam uwagi na to, jak dobrze się dogadują z mamą.

- Fiona, dziewczyna Alison, jest naprawdę zabawna - odpowiada mama, po raz kolejny kompletnie mnie zaskakując. Bo choć nigdy nie ukrywałam przed rodzicami, że Alison woli kobiety, nigdy też o tym otwarcie nie mówiłam, tak jak nie wy-

powiedziałam przy nich brzydkiego słowa. W ich obecności zawsze zachowuję się jak dziesięciolatka.

— No to dalej, opowiadaj, też się chętnie pośmieję - mówię z udawanym entuzjazmem. Wiem, że jeśli nie postaram się zachowywać choć trochę przyzwoicie, Alison od razu na mnie wsiądzie.

— Fiona chce mieć dziecko - śmieje się mama. — I zaczęła robić różne rzeczy, żeby przekonać Alison, że to dobry pomysł, na przykład zostawia w różnych miejscach takie delikatne wskazówki. Ostatnio Alison znalazła w łóżku dziecięce skarpetki Gapa, ale ponieważ nie miała szkieł kontaktowych, myślała, że to myszy, i zaczęła uderzać kapciem w te biedne, bezbronne skarpeteczki! — Mama znów chichocze, wyobrażając sobie tę scenę. Ja nie widzę w tym nic śmiesznego. Wpatruję się w Alison z niedowierzaniem.

— Żartujesz, prawda?

— Nie, naprawdę myślałam, że to myszy.

— Ale żartujesz, że Fiona chce mieć z tobą dziecko. Alison wygląda na lekko zakłopotaną.

— Nie, chyba mówi poważnie.

— Ale przecież dopiero co się poznałyście! - unoszę głos poirytowana.

— Elizabeth, nie bądź niegrzeczna — strofuje mnie mama, po czym popycha talerz z ciasteczkami z powrotem w stronę Alison. — Zjesz jeszcze jedno czy może to Fiona będzie teraz jeść za dwoje?

Znów się śmieje, trochę chyba podkrecona tym, jak bardzo frywolna staje się nasza rozmowa. Bo jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że jej zdaniem dwuczęściowe bikini to skandaliczny wynalazek, rozmowę z moją przyjaciółką lesbijką o tym, czy to ona czy jej kochanka będzie nosić dziecko, które poczną (pewnie za pomocą nowoczesnych technologii inseminacyjnych), z pewnością można uznać za frywolną.

— Nie rozmawialiśmy jeszcze o tego typu szczegółach, mamy sporo do omówienia. Na razie musimy sobie to wszyst-

ko przemyśleć. Ale to chyba raczej Fiona będzie dźwigać dodatkowe kilogramy.

Alison spogląda na mnie, szczerząc zęby, jakby oczekiwała gratulacji. Ja patrzę na nią kompletnie zdezorientowana. Alison to kobieta biznesu, skupiona na pracy i karierze. I do tego lesbijka. Ale mimo to prawdopodobnie będzie miała dziecko przede mną. Oczywiście, że tak. Przecież prędzej papież zostanie ojcem niż ja matką! Alison unika mojego wzroku, na pewno wyczuwa moje wzburzenie, które przeszywa talerz z ciasteczkami i tylko czeka, by uderzyć ją prosto między oczy. Nie mam nic przeciwko wychowywaniu dzieci przez homoseksualistów, żeby było jasne. Po prostu myślałam, że Alison jest odporna na wdzięki marudzących i wiecznie obsmarkanych brzdąców. Byłam przekonana, że nawet gdy wszystkie moje koleżanki dorobią się już całych zestawów na styl rosyjskich matrioszek, przynajmniej Alison pozostanie bezdzietna. Kiedy moje przygnębienie sięgało zenitu, pocieszałam się, że w najgorszym z najgorszych wypadków w wieku czterdziestu lat będziemy sobie jadać lunchy i cieszyć się, że nie musimy oglądać tysięcy zdjęć dzieciaków. Nasze torebki będą wolne od saszetek Calpolu, a portfele od plastikowych odłamków zabawek.

Ale wygląda na to, że tak nie będzie.

- No to idziemy — mówi Alison, wstając nagle i szturchając mnie dość mocno w ramię. — Twoja mama ma parę zaległych książek do oddania do biblioteki. Przejdziemy się do miasta i rozprostujemy trochę nogi.

Książki, które odnosimy do biblioteki, bez wątpienia wypożyczył tata. Mama ma wiele zainteresowań, ale łamanie kodów w czasie drugiej wojny światowej i pola golfowe w północno-zachodniej Szkocji z pewnością do nich nie należą. Niechętnie je oddaje. Mam ochotę je zatrzymać, oczami wyobraźni widząc, jak ojciec powoli przegląda półki biblioteki, bez pośpiechu wertując różne publikacje, po czym po długim namyśle dokonuje wreszcie wyboru. Ciekawe, czy zdążył je przeczytać. Czy starczyło mu czasu? Na myśl o tym, jak wielu rzeczy nie pozwala nam zrealizować śmierć, ogarnia mnie złość. Tata nigdy nie popłynął w rejs dookoła świata, nie doczekał igrzysk olimpijskich w Wielkiej Brytanii, nigdy nie trzymał na rękach urodzonego przeze mnie dziecka.

Po zapłaceniu kary za spóźnienie Alison zaciąga mnie do pobliskiej kawiarni i nalega, byśmy zamówiły coś słodkiego.

- No więc? - pyta, gdy dostajemy domowej roboty lemoniadę i ciasto biszkoptowe. Pośpiesznie zatapiam widelczyk w słodkim wyrobie, niestety żal po śmierci ojca wcale nie spowodował u mnie zaniku apetytu.

Te dwa słowa zdają się zawierać kilka różnych pytań. Prawdopodobnie chce wiedzieć, czemu nie powiedziałam jej o śmierci ojca i nie zaprosiłam na pogrzeb. Poza tym, zależnie od tego, co powiedziała jej mama i Roberto, zastanawia się pewnie, gdzie się podziewałam, kiedy ojciec odszedł, a cała rodzina próbowała mnie odnaleźć, by móc go pochować. Możliwe, że chodzi jej też o to, czemu nie sypiam po nocach i prawie nic nie mówię oraz dlaczego nie wykupiłam jeszcze lotu powrotnego do Włoch.

Nie mam siły mydlić jej oczu. Szczegółowo opowiadam jej o moim makabrycznym życiu we Włoszech — o wszystkich złościwościach Rafaelli i oziębłości Roberta zakończonych wyrzuceniem swoich rzeczy z domu przez teściową i znalezieniem prezerwatywy w męzowskim portfelu. Mówię jej o ucieczce z Chuckiem i dzikim, namiętym seksie, który uprawialiśmy przez jakiś tydzień, a także o ostatniej rozmowie z Robertem, w której zdecydowaliśmy o rozstaniu. Nie wspominam nic o SMS-ie od Chucka, w tym momencie byłoby to o jedno upokorzenie za dużo, nawet jak na rozmowę z najlepszą przyjaciółką.

- No i co teraz? — pyta, biorąc głęboki oddech.

- Nie mam pojęcia. Brzydzę się sobą. Wszystko spieprzyłam - wyjękuję. Wstyd, który mnie ogarnia na myśl o tym, jak bardzo skomplikowałam sobie życie, sprawia, że praktycznie cały czas czuję się, jakbym była ciężko chora.

- No wiesz, nie wszystko stało się z twojej winy - zauważa ostrożnie Alison. Wyraźnie akcentuje słowo „wszystko”, przyznając tym samym, że za pewne rzeczy jestem jednak odpowiedzialna.

- Mój tata leżał obok otwartej lodówki oblaną jogurtem orzechowym, a ja byłam umazana spermą - mówię płaczliwym głosem. Mam olbrzymie wyrzuty sumienia. Nie potrafię sobie wybaczyć.

- Może i nie powinnaś była tarzać się po podłodze z tym całym Chuckiem, ale nie rozumiem, jakie to miało znaczenie, jeśli chodzi o śmierć twojego ojca. Przecież nawet gdybyś siedziała w domu z Robertem, gdy zadzwonił Max, byłoby już za późno. Twój tata już nie żył, było po wszystkim - kończy łagodnie.

Choć wiem, że to prawda, nie potrafię wyzbyć się poczucia winy, które pulsuje w moim ciele niczym jadowita trucizna.

- Nie powinnam była wyjeżdżać do Włoch.

- Nonsens. Twój tata był zachwycony tym pomysłem.

- Nie, powinnam była wrócić do domu i spędzić więcej czasu z rodzicami. I właśnie to zamierzam teraz zrobić.

- Hej, hej, poczekaj, kochana. Po pierwsze, nie sądzę, żeby twoja mama miała na to ochotę, szczególnie jeśli będziesz dalej plątać się po domu całymi dniami, wchodząc jej pod nogi. Poważnie, w tej chwili jesteś dla niej tylko kłopotem. Ale nawet gdybyś rzeczywiście jej pomagała, nie chciałaby, żebyś dla niej rezygnowała z własnego życia. Nigdy nie powiedziała, że tego od ciebie oczekuje, prawda?

- No nie, ale...

- Zawsze uderzało mnie, jak bardzo jest niezależna,

- No tak, ale...

- A co z Chuckiem?

Czuję, jak szklanka, którą trzymam w dłoniach, ześlizguje się odrobinę, a moje dłonie stają się wyjątkowo lepkie.

- A co ma być? - pytam dyplomatycznie.

- No wiesz, po tym co mi opisałaś, to mi wygląda na coś poważnego. Chyba podchodzi pod kategorię niezamkniętych spraw, nie sądzisz?

Milczę. Tak, tak, oczywiście. Jak to, no właśnie przecież nie! Absolutnie! Nie mam innego wyjścia, jak opowiedzieć Alison o SMS-ie i następującej po nim ciszy.

- Dziwne zachowanie - stwierdza ostrożnie.

- Dziwne?! Mało powiedziane. Zachował się jak ostatni dupek!

- Ale do tej pory zachowywał się jak księżę z bajki.

- I dlatego jest mi jeszcze trudniej.

- Niektórzy ludzie po prostu nie do końca wiedzą, jak zareagować, gdy ktoś umiera. Może spanikował i nie wiedział, co ci powiedzieć. - Alison mówi coraz ciszej, zdając sobie sprawę, że wymyślone przez nią usprawiedliwienie brzmi mało wiarygodnie.

- Wiesz, możesz pomyśleć, że jest skończonym draniem, ale dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że w sumie to wszystko ułożyło się dla niego bardzo dogodnie.

— To znaczy? — pyta Alison zaciekawiona.

— I tak chciał mnie rzucić. A śmierć taty dała mu możliwość szybkiego odwrotu. Nie był przygotowany na to, żeby mnie wspierać, żeby pojechać za mną i o mnie walczyć, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że nasz związek nie ma żadnych szans na przetrwanie. On nie widział dla nas przyszłości. - Przerywam, biorę głęboki oddech, po czym dodaję: - Widzisz, on nie chce mieć dzieci. A ja tak. I tyle. - Staram się, by mój głos brzmiał rzeczowo i bez zbędnych emocji, kiedy kontynuuję: — Nigdy mnie w tej kwestii nie zwodził, nie mogę więc nawet poczuć się lepiej, oskarżając go o kłamstwo. Powiedział mi, że nie chce mieć dzieci na długo przed tym, jak wskoczyłam mu do łóżka. Mówił też, że nigdy nie zamierzał mnie uwieść i że zostawiłby mnie w spokoju, gdybym sama do niego nie przybiegła.

Tak, powiedział też, że jestem piękna i chyba dobrze się bawił w Wenecji, ale muszę pamiętać o rym, że nigdy ani słowem nie wspomniał o przyszłości. Nigdy nie powiedział, że mnie kocha.

- Naprawdę w to wierzysz? - pyta Alison.

— Tak. Jest klasycznym przykładem związkofoba. Przyznał mi się nawet, że ma słabość do mężatek. Było miło i tyle. Zresztą sama mówiłaś, że jestem samotna i że pewnie zakochałabym się w gargulcu, byleby mówił po angielsku. A teraz, kiedy wróciłam do domu, na pewno zniknie z moich myśli. — Okłamując ją, zaciskam kciuki z nadzieją, że nie pochłonie mnie piekło.

- Mogłam się mylić - odpowiada Alison.

— Nigdy się nie mylisz.

- Nieprawda, myślę się bardzo często. Albo zmieniam zdanie. To normalne - przerywa. - Rozmawiałaś z nim od ram-tej pory?

- Nie. Mówiłam ci, rozwaliłam telefon. — Walczę z rumieńcem, który zalewa moją twarz na myśl o wyrzuceniu komórki przez okno. Chyba trochę mnie poniosło. - Nie może do mnie zadzwonić, a ja nie pamiętam jego numeru, ani do domu, ani

na komórkę. Zresztą kto w dzisiejszych czasach zapamiętuje tego typu rzeczy? Więc nawet gdybym chciała się z nim skontaktować, nie mam jak.

- Aha, czyli chcesz — zauważyła Alison ze zbyt wielką wnikliwością.

- Nie. -Tak. To znaczy przynajmniej czasami. Przede wszystkim w nocy, kiedy leżę sama w łóżku.

- Mogłabyś zadzwonić do szkoły. Ich numer na pewno można gdzieś znaleźć.

O, to jest myśl. Promyk nadziei rozpała moje ciało. Ale w ułamku sekundy zastępuje go zwątpienie. No bo niby po co miałabym to robić?

- Po prostu muszę zacząć o nim myśleć jak o rekreacyjnym seksie. Wiesz, takim, do którego ma się prawo, kiedy twój mąż okazuje się niewiernym gnojkiem.

Alison spogląda na mnie z powątpiewaniem.

Ma rację, nie dowierzając moim słowom. Okłamuję ją i okłamuję siebie. Nasz krótki związek nie był tylko nic nie-znaczącym, powodowanym chęcią zemsty epizodem. Był czymś wyjątkowym. Myślałam, że Chuck również jest wyjątkowy. Ten tydzień w Wenecji był naturalnym zakończeniem miesiącami rozwijającej się przyjaźni i dlatego naprawdę wiele dla mnie znaczył. Przy nim byłam czarująca i zaczarowana. Fascynująca i zafascynowana. Ten tydzień był nie tylko najbardziej romantycznym i bajecznym okresem w moim życiu, był także najbardziej wyrazistym, intensywnym i autentycznym. Namiętność, która mnie ogarnęła, nie podlegała żadnym planom ani ograniczeniom moralnym.

Czasem rządziły nami pierwotne instynkty, a seks służył do zaspokojenia prymitywnych potrzeb, innym razem stawał się magiczny i subtelny niczym siedemnastowieczny romans. Kiedy byliśmy razem, byliśmy tym, kim powinniśmy być. Jestem o rym przekonana. Wyróżnialiśmy się z tłumu, choć Wenecja jest miastem kochanków i można ich tam spotkać na każdym

kroku. Byliśmy zupełnie inni niż wszyscy wokół, odseparowani od reszty świata, choć jednocześnie ważni i istotni dla wszechświata. Po raz pierwszy rozumiałam, dlaczego jestem kobietą. Wszystkie te miesiące mechanicznych prób poczęcia nowego życia sprawiły, że zaczęłam wątpić, że istnieje ku temu jakikolwiek powód. Ale ten jeden krótki (zbyt krótki!) tydzień sprawił, że wszystko rozumiałam. Dojrzałam.

Ale nie mogę myśleć o Chucku. Nie mogę wspominać wspólnie spędzonych chwil i snuć marzeń o przyszłości u jego boku. Dał mi spokój. Dużo spokoju.

Nagle czuję się jak pusty plastikowy kubek niesiony przez ocean. Zagubiony, brzydki i nikomu niepotrzebny. Świat jest taki ponury, kiedy nie ma w nim Chucka. Wzdycham i zbieram się w sobie. Nie ma co o tym myśleć, trzeba iść dalej. Uśmiecham się do Alison i mówię:

-Jeśli twoje pierwsze dziecko będzie dziewczynką, będziesz musiała dać jej na imię Elizabeth.

Alison śmieje się, łatwo dając się ponieść własnemu szczęściu.

21 czerwca

Przez otwarte okno widzę mamę krzątającą się po ogrodzie. Po raz setny tego poranka zerkam w stronę gabinetu ojca. Stoi tam jego komputer. Już dłużej nie potrafię walczyć ze sobą. Nie jestem aż tak silna. Znalezienie numeru telefonu do szkoły w Bassano del Grappa zajmuje mi kilka sekund. Bez namysłu, nie pozostawiając sobie czasu na zmianę zdania, robię to, co miałam ochotę zrobić, odkąd wyrzuciłam przez okno komórkę. Dzwonię, by zapytać o Chucka.

Telefon odbiera sekretarka. Świadomość, że jest znajomą Rafaelli, bardzo utrudnia rozmowę.

- Przepraszam, Elizabet - nie potrafi wymówić dźwięku „th” - ale nauczyciele mają już wakacje. Zaczęły się egzaminy, które są nadzorowane przez osoby spoza szkoły. Nasi nauczyciele bawią się teraz na wakacjach.

- No tak, rzeczywiście. — Walczę z uczuciem rozczarowania. Do moich oczu napływają palące łzy. Za późno. Cholera, zbyt długo czekałam. Ciekawe, jak się bawi Chuck? I z kim? Biorę głęboki oddech. - A są może dla mnie jakieś wiadomości? - pytam.

- Tak. - Moje serce podchodzi aż do gardła. - Od pani dyrektor. - I opada gwałtownie do samej ziemi. — Prosi o twój adres, żeby mogła przesłać ci wszystkie dokumenty i wypłatę.

- Coś jeszcze? Ktoś jeszcze? — pytam, zdając sobie sprawę, że w moim głosie słychać rozpacz. Ale też czuję się rozpaczliwie.

- Nie - odpowiada stanowczo.

Podaję jej swój adres i numer telefonu. Zbieram się na odwagę i pozbywam resztek godności, dodając:

- Może go pani podać innym nauczycielom, gdyby o niego pytali.
- Dobrze.
- No to chyba wszystko, w takim razie do widzenia.
- Do widzenia, Elizabet.

22 lipca

- Internet to świetna sprawa, prawda? - mówi mama.

Uśmiecha się do mnie promiennie, sunąc kursorem po liście ulubionych, gdzie zdążyła już zgromadzić wiele interesujących ją adresów. Nie mogę uwierzyć, że dopiero dziewiąta, a ona już ubrana surfuje po sieci.

- Wiadomo. Zrobić ci śniadanie?

- Już zjadłam, ale chętnie napiję się z tobą herbaty, jeśli nastawiasz wodę.

-OK.

Od wizyty Alison robię wszystko, by być wzorową córką. Nie jest to trudne, gdyż ulga, jaką jest dla niej sam fakt, że nie siedzę już całymi dniami w łóżku, i wdzięczność, że spędzam z nią czas, jest widoczna gołym okiem i niesamowicie poruszająca.

Byłyśmy w kilku miejscach będących pod ochroną National Trust i w przylegających do nich herbaciarniach; chodzimy na spacerówkę wzdłuż pola golfowego aż do rzeki; często też udajemy się do miasta i spędzamy długie godziny w bibliotece. Idziemy zwykle pod rękę, na zmianę rozmawiając lub milcząc. Początkowo każda rozmowa kręci się wokół dwóch rzeczy — taty i najbliższego posiłku. Mama z godną podziwu łatwością przeskakuje od spraw banalnych do tych znacznie trudniejszych.

-Jak myślisz, gotowana szynka? Nie, przecież ty jesteś wegetarianką. Twój tata lubił szynkę. Mamy tu świetnego rzeźnika, pana Parsonsa. Był na pogrzebie, widziałas go?

- Nie znam go, mamo, więc i tak bym go nie poznała.

- Oczywiście, masz rację, zapomniałam. Może w takim razie tarta?

Czasem mam dosyć rozmawiania o racie. Bo choć cały czas o nim myślę, nie wspominam starszego pana dyskutującego o zaletach i wadach lekkiej kolacji w porównaniu z dużym posiłkiem. Nie, w mojej pamięci pojawia się raczej mężczyzna, który zawsze zachowywał spokój i rozsądek, nawet podczas moich licznych młodzieńczych napadów złości. Mężczyzna, który prowadził mnie do ołtarza, szepcząc mi do ucha, że przede wszystkim powinnam się tego dnia dobrze bawić. Mężczyzna, który nie do końca rozumiał działanie Internetu. Właśnie takim go zapamiętałam.

"Właśnie ostatnia rozmowa z ojcem skłoniła mnie do pokazania mamie, jak poruszać się po sieci. Może i moje próby okazania jej miłości są niezbyt wyszukane i trochę spóźnione, ale wewnętrzna potrzeba nadrobienia zaległości w tej kwestii jest nieodparta.

Okazuje się, że mama ma ukryte talenty i jest cichą entuzjastką najnowszych technologii, więc Internet budzi jej zachwyty. Godzinami przegląda strony swoich ulubionych sklepów, choć uparcie twierdzi, że w życiu nie mogłaby kupić ubrań bez ich uprzedniego przymierzenia. Odkrywa, że może nabyć produkty spożywcze drogą internetową, z dostawą do domu; co dwa tygodnie zamawia więc cięższe rzeczy z pobliskiego supermarketu. Do tego postanawia założyć własny blog. Eddie, a także Max i Thomas (choć w mniejszym zakresie), zachęcają ją do pisania, wysyłając jej krótkie, ale regularne wiadomości. Za każdym razem gdy na ekranie komputera wyskakuje ikona z kopertą, mama piszczy z radości i pisze kolejne notatki.

Stawiam przed nią filiżankę herbaty i czytam jej przez ramię:

WCZORAJ NA KOLACJĘ JADŁYŚMY NOWY SER. NAZYWA SIĘ
FONTINA VAL

D'AOSTA. ELIZABETH ODKRYŁA GO WE WŁOSZECH...

Z Chuckiem. Od mojego telefonu do szkoły minął już miesiąc, a on wciąż się nie odezwał. Odsuwam tę myśl i pytam mamę:

- No to co dziś robimy?

- Za chwilę wychodzę, kochanie, umówiłam się z Joan Hawkins. Idziemy na lunch, a po południu gramy większą grupką w brydża.

Przestaję przeżuwać tosta.

- A co ze mną?

- Nie wiem, kochanie. Jakie masz plany?

- Planowałam opiekować się tobą. I dotrzymywać ci towarzystwa.

Mama podnosi kubek i trzyma go w swoich pomarszczonych dłoniach. Wciąż zaskakuje mnie widok pokrywającej je cienkiej skóry i widocznych żył.

- Nie potrzebuję opieki, kochanie. I mam przyjaciół, którzy dotrzymują mi towarzystwa.

Wpatruję się w nią, ale wyraźnie ucieka wzrokiem. Wstaje i podchodzi do okna. Spogląda na pana Hoopera, który mieszka naprzeciw. Właśnie myje samochód. Moi rodzice mieszkają przy spokojnej ślepej uliczce. Większość ich sąsiadów od dwudziestu lub trzydziestu lat zamieszkuje te same domy, dokładnie tak jak oni.

No właśnie, mieszkają czy mieszkali? Jakiego czasu powinnam używać, mówiąc o mamie i tacie? Mama jest teraźniejszością, ale tata przeszłością. Biorę głęboki oddech, ale powietrze wokół jest zatęchłe. Mama chyba myśli dokładnie o tym samym, bo otwiera okno i macha do pana Hoopera, który wita się z nią i oferuje, że umyje i jej samochód. Odpowiada, że to bardzo miło z jego strony, ale nie ma takiej potrzeby, jutro pojedzie na stację i ktoś się tym zajmie.

- Nie powinien robić takich rzeczy w tym wieku - mówi do mnie cicho.

- No więc co mam dziś robić? - pytam ponownie.

- Kochanie — śmieje się mama — to mi coś przypomina. Kiedy byłaś dzieckiem, to była stała śpiewka podczas wakacji. Miałaś mnóstwo zabawek, układanek i przyjaciół, ale nigdy nie wiedziałaś, co ze sobą zrobić.

- Ale przecież to normalne u dzieci - bronię się. Natychmiast przypomina mi się moje marudzenie: „Nuuuuuuudzi mi się”.

- Tak, kochanie, u dzieci — odpowiada i odwraca się z powrotem do komputera.

Wychodzi z domu kilka minut po dziesiątej. Jej nagła samodzielność sprawia, że jestem kompletnie zagubiona. Przede mną długi dzień, a ja nie bardzo wiem, czym go wypełnić. Paniczny strach powoduje ucisk w gardle i w dole brzucha. Przerazenie przyprawia mnie o mdłości. Czy od teraz właśnie tak będzie wyglądał każdy mój dzień? Będę się budzić rano i stawać twarzą w twarz z wielką pusrką? Z nicością zamiast życia? Nie rozumiem, jakim cudem wszystko tak nagle posypało się niczym domek z kart.

Wiem, że większość osób uważała, że moje życie w Londynie nie należało do nadmiernie interesujących. Roberto, moi rodzice, bracia oraz Alison sądzili, że marnuję czas, pracując w knajpie i czekając na dziecko, ale ja nigdy się z nimi nie zgadzałam. Uważałam, że żyję pełnią życia. I myślę, że Chuck miał rację - nie każdy musi robić oszałamiającą karierę. Nie wszyscy tego pragną. Ja pragnęłam dziecka, bardzo, bardzo mocno, i skupiłam na tym całą swoją uwagę. No dobrze, może i we Włoszech nie byłam szczęśliwa, ale wierzyłam, że z każdym dniem zbliżam się do osiągnięcia swojego życiowego celu. A to wystarczało, by wstać rano z łóżka. No i był jeszcze Chuck. Cholera. Nie! Nie wolno mi myśleć o tych błogich chwilach spędzonych w jego ramionach.

Idę na górę do swojego pokoju, żeby pozbierać brudne rzeczy i zrobić pranie. No dobra, trzy minuty. Trzy minuty niczym niezmaconej przyjemności. Trzy minuty myślenia o Chucku. Kładę się na niepościelonym łóżku. Przypominam sobie, jak nasze ciała, prześcieradła, logika i sens przeplatały się i mieszały ze sobą. A kiedy pytałem: „Tak dobrze?” mój umysł się rozjaśniał. Tak, było dobrze, bardzo dobrze. Leżąc na plecach, spoglądałam w dół, na jego blond czuprynę widoczną pomiędzy moimi nogami. Delikatnie poruszała się, gdy jego język wynosił mnie na kompletnie nowe wyżyny rozkoszy. Przypominam sobie jego śmiech, który rozbrzmiewa nagle w całym moim ciele niczym kościelne dzwony. Widzę jego szczerzy uśmiech, a moje podbrzusze wypełnia uczucie ciepła.

Dobra, wystarczy. Naprawdę muszę przestać o nim myśleć.

Wenecja i jej magiczne, bajkowe piękno zdają się oddalone od mojego obecnego świata o jakiś milion lat świetlnych. Leżąc w swoim kwiecistym pokoju pełnym dziecięcych zabawek, nie mogę do końca uwierzyć, że w ogóle tam byłam. To zabawne, ale po tylu latach bycia marzycielką nagle zdaję sobie sprawę, że nie potrafię już dłużej się oszukiwać. Nasza historia to nie bajka rozpoczynająca się słowami „Dawno, dawno temu” i kończąca „I żyli długo i szczęśliwie”. To nie przepiękny romans, tylko pełna goryczy tragedia. To jasne, że Chuck nie czuł tego co ja, a radość, którą nie do końca potrafię opisać, a która sprawiała, że kręciło mi się w głowie, ilekroć był w pobliżu, była tylko jednostronnym uczuciem. Dla niego byłam kolejną górą, którą należy zdobyć, następnym doświadczeniem, które trzeba zaliczyć, jak skok na bungee albo ze spadochronem czy inna tego typu atrakcja zarejestrowana na fotografiach zdobiących jego mieszkanie. No bo jak inaczej można wytłumaczyć jego milczenie? W Anglii, w domu pogrążonej w żalu matki, ciężko mi uwierzyć, że jeszcze niedawno byłam przepełniona nadzieją i radością. Teraz moje serce rozrywa żal i smutek.

Mamy dziś piękny dzień i słońce zdaje się robić wszystko, co tylko w jego mocy, by poprawić mi humor, choć jednocześnie jego promienie uwydatniają kurz zalegający niemalże w każdym kącie mojego pokoju, który w chwili obecnej przypomina chlew. Od śmierci taty jestem ociężała i leniwa, nawet najprostsze czynności zdają się wymagać ogromnego wysiłku. Zbyt wielkiego jak dla mnie. W zasadzie nic by mi się nie stało, gdybym trochę posprzątała. We Włoszech pozwalało mi to choć na chwilę zapomnieć o problemach i samotności. Zanim poznałam Chucka, podłoga w pubie była tak czysta, że można było z niej jeść.

Mama wraca do domu punkt szósta, tak jak przewidywałam. Rodzice zawsze jedzą obiad o tej porze. Przygotowałam sałatkę, jednak tym razem nie jest to tylko sałata z kawałkami pomidora i ogórka; kupiłam rukolę, orzeszki piniowe, ocet balsamiczny, orzechy włoskie, gruszki, ser pleśniowy i chrupiący bochenek chleba. Starannie nakryłam do stołu, przykrywając go obrusem i rozkładając podkładki i serwetki, tak jak lubi mama. Przyniosłam nawet kilka róż z ogrodu i włożyłam je do wazonu. Roztaczają piękną woń.

- O, byłeś w sklepie — zauważa mama, nie potrafiąc ukryć uczucia radości i ulgi. Wydaje mi się, że zostawienie mnie samej w domu było swego rodzaju testem, który właśnie zdałam.

- Tak, kupiłam kilka rzeczy.

- Dostałaś to wszystko w naszym sklepiku za rogiem?

- Nie, pojechałam autobusem do miasta. — Mama uśmiecha się do mnie promiennie. - Skończył nam się środek do czyszczenia mebli - wyjaśniam.

- Posprzątałaś? - Radość i ulga zmieniają się zdumienie.

- Troszeczkę.

W zasadzie harowałam jak wół. Nie zamierzałam aż ryle zrobić. Początkowo chciałam tylko nastawić pranie i pozbyć się gazet zalegających na podłodze w moim pokoju. Ale porządku

tak mnie wciągnęły, że wkrótce wyciągnęłam odkurzacz i gumowe rękawiczki. Dzięki temu udało mi się pokonać uczucie przerażenia na myśl, że zostałam sama. Otworzyłam wszystkie okna, żeby świeże lipcowe powietrze wypełniło cały dom. Nie da się tonąć w rozpacz, gdy ciepły letni wiatr unosi delikatnie twoje włosy. Wiem coś o tym - próbowałam, ale mi się nie udało.

— Masz ochotę na herbatę? — pyta mama.

— Wolałabym kieliszek wina. - Macham jej przed oczami butelką, którą dziś kupiłam.

— Trochę za wcześnie na wino — mówi niepewnie. Zwykle dopiero około siódmej pozwala sobie na gin z tonikiem albo kieliszek chardonnay.

— E tam — kuszę.

— No dobrze, zasłużyłaś sobie — uśmiecha się szelmowsko.

Nakłada na talerz sporą porcję sałatki i wydaje pełne uznania odgłosy. Zachwyca się prostym sosem, który przyrządziłam, i przez chwilę czuję się jak Nigella Lawson. Lubię patrzeć, jak mama zjada przyrządzone przeze mnie potrawy. Opiekowanie się kimś sprawia mi naprawdę dużą frajdę. To pewnie jeden z powodów, dla których zawsze sądziłam, że byłabym dobrą matką. Rzadko gotowałam dla Roberta. Po pierwsze, on robił to znacznie lepiej, więc jeśli już jedliśmy razem w domu, to on zwykle coś przyrządzał. Poza tym często w weekendy wychodziliśmy do restauracji, w tygodniu zaś pracowaliśmy w zupełnie różnych godzinach. On jadł więc lunch w pracy, ja w domu, a w porze kolacji było odwrotnie. Nigdy się tak naprawdę nie zastanawiałam, jak mało czasu spędzaliśmy ze sobą. Bardzo mało. To chyba dlatego osobą, która знаła mnie najlepiej, była Alison, a po przeprowadzce do Włoch - Chuck. Bo to z nimi spędzałam najwięcej czasu. We Włoszech zaś gotowaniem zajmowała się Rafaella. Na samą myśl o niej przechodzi mnie zimny dreszcz.

- Co się stało, kochanie? Przypomniało ci się coś nieprzyjemnego?

- Delikatnie powiedziane - odpowiadam ze smutnym uśmiechem. Na twarzy mamy pojawia się zmartwienie. Do tej pory jadłyśmy w ciszy, lecz teraz, kiedy zachodzi słońce, a dzień robi się chłodniejszy, przez otwarte okno słychać głośne ćwierkanie ptaków, które zdają się przeganiać nawzajem do łóżek. Wsłuchujemy się w ich głosy, lecz myślimy o sobie nawzajem.

- Zadałaś sobie tyle trudu, kochanie. To naprawdę miło z twojej strony — mówi, wbijając widelec w wiosenny pudding.

- Nie zrobiłam go sama, kupiłam w sklepie - przyznaję się.

-To bez znaczenia - uśmiecha się, a ja odwzajemniam się tym samym.

— Martwiłam się o ciebie. Bardzo przeżyłaś śmierć ojca. Znacznie bardziej, niż się tego spodziewałam - mówi, nakładając kolejną łyżkę bitej śmietany.

Spoglądam na talerz pełna wyrzutów sumienia. Znowu robi mi się niedobrze i chyba nie dam rady skończyć olbrzymiej porcji, którą sobie zaserwowałam. Pozwoliłam jej myśleć, że cały mój smutek jest związany ze śmiercią ojca, to chyba nie do końca w porządku. Może powinnam w końcu powiedzieć jej, że rozstałam się z Robertem? Wydaje się taka silna. Znacznie silniejsza, niż przypuszczałam.

Zaczynam ostrożnie:

- Bardzo tęsknię za tatą.

- Wszyscy za nim tęsknimy.

- Mam wrażenie, że zmarnowałam czas, który mogłam z nim spędzić.

- Wiesz, zawsze nam się wydaje, że mieliśmy za mało czasu. Czułam to samo, kiedy odeszli moi rodzice, choć byłam starsza od ciebie. I teraz też to czuję, a przecież z twoim ojcem byliśmy małżeństwem przez pięćdziesiąt trzy lata. Może jestem po prostu łapczywa. — Uśmiecha się z rozrzewnieniem. — W tym mo-

mencie czas wydaje się naszym wrogiem, ale uwierz mi, wkrótce znów stanie się naszym przyjacielem. W końcu zniknie ból i zostaną tylko wspomnienia. Dobre wspomnienia.

Ale skąd ona może mieć pewność, że rak właśnie będzie? I co, jeśli czas zatrze te wspomnienia? Już teraz nie potrafię przywołać w pamięci twarzy taty bez zerknięcia na fotografię. A przecież stanowczo za wcześnie na to, by jego obraz mi się zatarł. A jeśli mam za mało wspomnień, by któreś z nich przetrwało? Strach zaciska swoje lodowate dłonie wokół mojego gardła. A co z Chuckiem, czy mam wystarczająco dużo wspomnień?

- Właśnie tak masz robić jak dziś - mówi mama, poklepując mnie po głowie. - Im więcej zajęć, tym lepiej. Tylko to może pomóc. Powinnaś zacząć myśleć o powrocie do Włoch, do swoich obowiązków.

- Nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że możesz. Ja sobie poradzę. Przecież nie możesz się mną opiekować w nieskończoność. Nie tęsknisz za Włochami? Nie wolałabyś tam teraz być?

Myślę o muskających moją twarz i ramiona promieniach słońca, o zapierających dech w piersiach pomnikach, nieodkrytych uliczkach i dziełach sztuki, o kolorowych i tętniących życiem barach, i rzeczywiście tęsknię za Włochami, nawet bardzo. Ale zaraz przed moimi oczami staje Roberto i Rafaella i truchleję. Później przypominam sobie pogniecioną pościel w hotelu Al Sole w Wenecji i moje serce roztrzaskuje się na drobne kawałki. Milczę.

- A Roberto? Nie tęsknisz za nim? - Mama wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę. Do tej pory rozmawiała ze mną, nie patrząc mi w oczy.

- Rozstaliśmy się, mamó — przyznaję.

Mama zakrywa usta dłonią w sposób, w jaki często robią to czytelnicy powieści Agathy Christie, gdy wreszcie dowiadują się, kto jest sprawcą.

- Tak mi przykro - mówi szczerze.

- Mnie też — odpowiadam z trudem.

-Ale dlaczego?

- Powodów było wiele. Wiele problemów. Ale pewnie po prostu nie kochaliśmy się wystarczająco mocno, by móc wspólnie stawić im czoło. Bo miłość chyba zawsze do tego się sprowadza, prawda?

Chciałabym o wszystkim jej opowiedzieć, ale nie potrafię zaserwować jej całej mojej historii naraz, na jednym talerzu. Może nadejdzie kiedyś odpowiedni moment, by poznała szczegóły, ale na pewno nie teraz, nie przy wiosennym puddingu z bitą śmietaną. Ale jest jedna rzecz, którą muszę powiedzieć. Coś, co mam ochotę głośno wykrzyczeć, odkąd Chuck dał mi dużo spokoju, którego wcale nie chciałam.

-I z kim ja teraz będę miała dziecko?

Z moich oczu tryskają łzy. Szybko przecieram je wierzchem dłoni. Przez wszystkie te lata, kiedy staraliśmy się z Robertem o potomstwo, trudno było mi wierzyć i mieć nadzieję, że kiedyś zostanę matką. Z Chuckiem było mi jeszcze trudniej, poinformował mnie przecież, że dzieci kompletnie go nie interesują. Ale teraz nie mam już nawet złudzeń. Jestem sama.

23 lipca

Budzę się z niesprawiedliwym kacem. Niesprawiedliwym, bo zeszłej nocy wypiałam zaledwie dwa kieliszki wina, niespodziewanie to mama dokończyła butelkę. Ale dziś czuję się, jakbym była wczoraj na całonocnej, suto zakrapianej alkoholem imprezie. Jak Chuck na to mówił? Jakbym obaliła cały baniak. Właśnie tak.

Pomimo mdłości czuję się jednak znacznie lepiej niż przez ostatnich kilka tygodni. Jakby olbrzymi kamień spadł mi z serca, gdy powiedziałam mamie o Robercie.

Zaraz po śniadaniu, kiedy mama krząta się po ogrodzie, dzwonię do baru, by z nim porozmawiać. Uznaję, że to bezpieczniejsza opcja niż próba złapania go w domu. Tam jest większe prawdopodobieństwo, że telefon mogłaby odebrać Rafaella. W zasadzie decyduję, że jeśli to zrobi, natychmiast odłożę słuchawkę - nie mam ochoty rozmawiać z tą wiedźmą. Przychodzi mi do głowy, że jedną z niewątpliwych zalet rozvodu z Robertem będzie fakt, że nigdy więcej nie będę musiała się do niej odzywać. Mam nadzieję, że to Paolina lub Laurana podniesie słuchawkę.

- *Pronto*. - Natychmiast rozpoznaję głos Paoliny. - *Chi ei* - pyta. W jej głosie wyczuwam pośpiech.

- *Ciao*, Paolina. Tu Elizabeth.

- *Di mi*. - Jej głos łagodnieje. - W porządku.

- Bardzo się cieszę. - A ty?

- Jakoś leci. Porządkuję swoje życie.

Nagle ogarnia mnie ciekawość, jak - lub czy - rozwiązała problemy ze swoim kochankiem. Ale chyba nie potrafię tak prosto z mostu ją o to zapytać. Nie chcę być bezczelna ani wścibska, ale chciałabym, by wiedziała, że się o nią martwię.

- Gdzie teraz mieszkasz? - pytam.

- Dalej z mamą. -Aha.

Doskonale rozumie, o co mi chodziło.

- Wrócił do żony - oświadcza spokojnie.

- Poważnie? - Nie potrafię ukryć zaskoczenia. Faceci są jak jo-jo. Paolina milczy, a ja zdaję sobie sprawę, że piłeczka jest teraz po mojej stronie. Jest zbyt dumna, by dodać cokolwiek z własnej inicjatywy, bez moich pytań. - Smutno ci?

- Nie, tego właśnie chciałam. W końcu jestem wolna.

- To dobrze — mówię z wahaniem. - Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

- Nie jestem. Ale będę. - Uśmiecham się do siebie. Typowa dla Włochów odpowiedź. Bezpośrednia, choć jednocześnie enigmatyczna. Praktyczna, choć trącająca o romantyzm. Nagle czuję, jak po wielu miesiącach nieobecności powraca moja sympatia dla tego kraju.

- W sumie wyjechałam na trochę. Zaraz po tobie. Mieszkałam w Padwie u koleżanki. Prawdziwej koleżanki, nie zmyślonej, która byłaby dla mnie przykrywką. Potrzebowałam trochę czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć, z dala od Veganze. Za dużo się tu ostatnio działo. I niekoniecznie chodziło o moją tragedię.

- Wyobrażam sobie.

- To ty byłaś jej główną bohaterką. -Wiem.

Paolina śmieje się cicho.

- A ty, jak tam? - pyta.

- Też jakoś daję radę. Dzwonię, żeby porozmawiać z Robertem.

— Tak myślałam. Ale niestety go nie ma.

— A gdzie jest?

— Nad morzem, na wakacjach.

Nowa fala wściekłości zalewa moje ciało.

— Wziął wolne? — pytam z oburzeniem. -Tak.

— Pewnie pojechał z Aną-Marią. '

— Wiesz, jak jest.

Prawie słyszę, jak wzrusza ramionami. Cóż mogę powiedzieć? I co ona może powiedzieć? Tak, mój mąż jest zakochany w innej kobiecie. Wiem, że sama spędziłam prawie tydzień w Wenecji, praktycznie nie wychodząc z łóżka, które dzieliłam z innym mężczyzną; wiem też, że dzwonię, by porozmawiać o rozwodzie, ale na miłość boską, wakacje? Kiedy byliśmy razem, rzadko udawało mi się go namówić, by wziął choćby wolne popołudnie.

— Twoja mama wyrzuciła moje rzeczy? - pytam.

— Nie. Próbowала, ale Roberto jej nie pozwolił.

— Jakie to wspaniałomyślne.

— No — odpowiada z zakłopotaniem.

Próbuję zachować zdrowy rozsądek, ale jestem kompletnie rozchwiana emocjonalnie. W zasadzie nie ma co się dziwić, biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich miesięcy. W jednej chwili jestem spokojna, ale już po sekundzie wpadam w furję, później w płacz, a potem znów zbieram się w sobie. Przebywanie ze mną jest wyczerpujące. Ale jeszcze bardziej wyczerpujące jest bycie mną. Złość znów depta mi po piętach, próbując mnie dopaść.

— Wciąż jestem na niego wściekła o to, że pozwolił mi dowiedzieć się o jego romansie w taki sposób. Nie miał odwagi powiedzieć mi, że chce to skończyć.

— A wysłuchałabyś go? - pyta spokojnie Paolina.

— Oczywiście! Powiedz mi, czy Włosi zawsze tak robią? Nie przyznają się do samego końca? Kłamią i udają, nawet gdy nie

ma już nic, co byłoby warte kłamstw? Wytlumacz mi, proszę. Powiedz mi coś, co będzie miało jakikolwiek sens.

-To nie Włosi, Elizabeth, tylko Roberto. Dla ciebie liczyło się to, że jest Włochem, a nie to, jakim jest mężczyzną. I dlatego nigdy tak naprawdę go nie znałaś. Mój brat nie jest złym człowiekiem. Jest dobry, tylko popełnił w życiu kilka błędów. Tak jak i ty. — Przerywa, a ja próbuję przetrwać jej słowa. — Żadne z was nie chciało rozmawiać o tym, jak było naprawdę. Woliałaś wierzyć, że wszystko jest tak, jak w twoich wyobrażeniach. Albo że takie będzie.

Ściskam słuchawkę telefonu tak mocno, że kostki moich palców stają się białe. Jak ona śmie? Kto dał jej prawo mówić takie rzeczy? To, że jest siostrą mojego męża, że zna mnie prawie od siedmiu lat i że ją o to zapytałam, wcale nie znaczy, że...

Że chciałam to usłyszeć.

Nagle wybucham niepohamowanym śmiechem. Czyż nie jest to mój odwieczny problem? Moja złość się ulatnia. Nazywanie faktów po imieniu rozluźniło węzeł żalu, który zawiązał się w moim żołądku.

- Co w tym śmiesznego? — pyta Paolina.

- Ja. Ja jestem śmieszna — odpowiadam szczerze. — Słuchaj, Paolina, naprawdę chciałabym dłużej z tobą pogadać, ale dzwonię z telefonu mamy, więc muszę kończyć. Mam taką prośbę, mogłabyś wysłać mi resztę moich rzeczy? Oczywiście oddam ci pieniądze.

- Jasne, nie ma sprawy. Może będziesz do mnie czasem dzwonić, co?

- Czemu nie - odpowiadam bez wahania.

- To świetnie. Naprawdę - mówi szczerze. - Czasem możemy porozmawiać o sensie życia, a innym razem możesz mi po prostu opowiedzieć o tym, co u ciebie.

- W porządku.

- Bo w gruncie rzeczy jesteśmy do siebie podobne, no nie?

- W jakim sensie?

— To znaczy wiesz, ty byłaś żoną, a ja kochanką, ale obydwie zmarnowałyśmy zbyt wiele czasu z niewłaściwym facetem. Żyjąc w świecie marzeń i nie przyjmując do wiadomości, że rzeczywistość jest zupełnie inna. Kocham mojego brata, ale uważam, że dokonaliście właściwego wyboru. Pozdrawiam cię i ściskam mocno.

Zaraz po tych słowach odkłada słuchawkę, a mnie zalewa fala włoskiej miłości, której naprawdę nie można porównać z żadną inną.

31 lipca

Regularnie chodzimy z mamą do biblioteki; obydwie lubimy czytać, ale nasze gusta, tak jak i metody wyboru odpowiednich książek, diametralnie się różnią. Ja od razu udaję się w stronę półek z romansami, spoglądam na okładki i w ciągu jakichś dziesięciu minut potrafię wybrać ze cztery pozycje. Mama za każdym razem przegląda inny dział. W jednym tygodniu buszuje po archeologii, w następnym po naukach przyrodniczych.

W zeszłą środę, po moim telefonie do Paoliny, znów wybrałyśmy się do biblioteki. Po wejściu do środka mama oznajmiła:

- Wiesz co, rozejrzę się szybko po dietetyce, a później będę się kręcić gdzieś po klasyce. — A potem zniknęła na ponad godzinę. Miałam dość czasu, by wybrać lekturę na najbliższe dni i przeczytać wszystkie informacje na tablicy. Tylko część mojej uwagi była poświęcona dobrze znanym i użytecznym ogłoszeniom (lekcje pływania dla dzieci i dorosłych, sprzątaczkę poszukiwane, sprzątaczkę chętną do podjęcia pracy, zagubione koty, kocięta szukające dobrego domu), reszta skupiała się na dziecku śpiącym w wózku spacerowym zaledwie metr ode mnie - słodkim chłopcu ze spoczywającymi na policzkach rzęsami niczym Bambi.

Letni kurs TEFL, zajęcia w lokalnym liceum, wolne miejsca.

To ogłoszenie spowodowało niekontrolowany ścisk w żołądku, przypominając o Chucku wręczającym mi plik wydru-

kowanych z Internetu informacji na ten sam temat. To był naprawdę miły gest. Mam zresztą wiele tego typu wspomnień

- z pewnością nie pomagają mi o nim zapomnieć.

Nie jestem pewna, czemu zapisałam adres strony internetowej. A wieczorem, wpisując go w wyszukiwarkę, powtarzałam sobie w duszy, że to tylko tak sobie i że wcale mnie to nie interesuje. A kiedy wypełniałam zgłoszenie i wysyłałam je do dyrektora administracyjnego, przypominałam sobie, że przecież nie ma sensu robić tego kursu, bo i tak nigdzie nie pojedę. Następnego dnia dostałam odpowiedź i zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną i już miałam ją odwołać, ale pomyślałam, że mogę urozmaicić sobie trochę czas, zamiast czekać, aż mama wybierze swoje książki albo wróci z brydża czy z próby chóru. Przypomniała mi się ta pozytywna energia, która wypełniała całe moje ciało, kiedy wchodziłam do klasy przez tamten krótki miesiąc w Bassano del Gtappa, i postanowiłam, że pójdzie na rozmowę przecież nic mi nie zaszkodzi. Pewnie i tak się nie dostanę.

- Mamo, mamo! Nie uwierzysz, dostałam się! Od razu zaproponowali mi miejsce na kursie!

Mama zarzuca mi ręce na szyję. Przyciąga mnie i mocno przytula. Nie spodziewałam się, że ma aż tyle siły.

- Strasznie się cieszę! Wiedziałam, że cię przyjmą.

- Naprawdę? A ja się w ogóle tego nie spodziewałam.

- Nie żartuj, musieliby być głupcami, żeby cię odrzucić. Jestem pewna, że masz wrodzony talent nauczycielski!

Chuck powiedział dokładnie to samo.

- Naprawdę tak myślisz? - Czuję, że na moich policzkach pojawia się rumieniec. Nie bardzo wiem, jak sobie radzić z komplementami.

- Kiedy zaczynasz?

- Właśnie zwolniło się miejsce na najbliższym kursie, który zaczyna się 4 sierpnia. Wygląda więc na to, że w najbliższy

poniedziałek. - Chichoczę nerwowo, kompletnie przytłoczona nadchodzącą zmianą w moim życiu.

— Kochanie, jestem z ciebie taka dumna!

- Ale wiesz, kurs trwa miesiąc i jest bardzo intensywny, sześć dni w tygodniu. I sporo kosztuje. Pozbędę się wszystkich oszczędności. — Wraz ze zdenerwowaniem w mojej głowie pojawiają się setki powodów, dla których nie powinnam zapisywać się na ten kurs.

- Nie martw się o pieniądze, Elizabeth. Możesz mieszkać ze mną. Pomogę ci, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała - obiecuje mama. - A poza tym to jest rzecz, na którą warto wydać oszczędności; znacznie lepsza niż ubrania.

Nie żebym kupiła sobie cokolwiek, odkąd Mojżesz był małym chłopcem. Od tygodni nie miałam na sobie nic ładnego czy modnego. Ponieważ nie pracuję, nie mogę szastać pieniędzmi. No więc, wstyd to mówić, ale zaczęłam nosić bluzki mamy, a w chłodniejsze dni również jej swetry. Wciąż sobie powtarzam, że to przecież nie ma znaczenia i że nie ma tu nikogo, na kim chciałabym zrobić wrażenie, ale nie można czuć się dobrze, nosząc ubrania należące do siedemdziesięciosześcioletki. Szczególnie jeżeli zostały zakupione w paczce po trzy sztuki (jedna w kolorze musztardowym, druga w beżu, a trzecia oliwkowa). W ogrodzie noszę zwykle jej tenisówki, które, są chyba sprzeciwem wobec dyktatury mody, bo są tak ohydne, że nawet pies ucieka na ich widok. Na początku nie bardzo zwracałam uwagę na to, co na siebie wkładam, zupełnie mnie to nie obchodziło. Wydawało mi się, że w obliczu śmierci taty byłoby to strasznie małostkowe. Ale muszę przyznać, że od rozmowy z Paoliną nie mogę się doczekać paczki z moimi ubraniami.

— Właśnie, skoro mowa o ubraniach, Paolina dzwoniła dziś rano, jak byłaś na rozmowie. Wysłała twoje rzeczy i pytała, czy będziesz dziś po południu w domu, żeby je odebrać.

-Tak, tak, tak! - Wykonuję w kuchni taniec radości. - Nie mogę się doczekać!

Mama uśmiecha się do mnie dobroduszenie i wcale nie obraża się z powodu mojego wybuchu radości spowodowanego zrzuceniem z siebie jej odzieży.

- Wszystko idzie ku lepszemu, prawda?

- Chyba tak. - Nieruchomieję, a z mojej twarzy natychmiast znika uśmiech.

- W porządku, przecież masz prawo być szczęśliwa — mówi mama, poklepując mnie po dłoni. - Twój ojciec nie chciałby, żebyś się smuciła. No to co dziśjemy na lunch, na co masz ochotę?

Kiedy po lunchu sprzątam talerze ze stołu, słyszę dźwięk dzwonka.

- Moja przesyłka! — wykrzykuję i podbiegam do wejścia, otwierając z rozmachem drzwi. - Chuck?

Stoi na wycieraczce w całej swojej blond okazałości. Przecieram oczy niczym bohaterka dziecięcej kreskówki. Nie wierzę. Jestem w takim szoku, że prawie wybucham płaczem. Na szczęście udaje mi się powstrzymać łzy. I tak jestem kompletnie zdezorientowana, płacz tylko pogorszyłby sprawę.

- Co ty tu, do cholery, robisz? — Nie planowałam powiedzieć tego na głos.

- Przywiozłem twoje rzeczy — odpowiada krótko. Mój wzrok wędruje w kierunku przyniesionej przez niego ciężkiej, pękającej w szwach torby. Poznaje ją, należy do mnie. — Paolina przyszła do mnie, podobno prosiłaś ją, żeby przesłała ci rzeczy. Zgodziłem się je dostarczyć. Przyleciałem pierwszym samolotem, w którym były wolne miejsca. Słuchaj, możemy o tym porozmawiać w środku?

Nie jestem w stanie normalnie funkcjonować. Jak powinno się zareagować, jeśli na wycieraczce twojego domu staje nagle twój kochanek, który nie odzywał się przez dwa miesiące? Były kochanek. Były, przypominam sobie. Ten, który lubi spokój. Czy powinnam spojrzeć na niego z pogardą i kopnąć go prosto w jaja? To by była bardzo powściągliwa reakcja. Z jakichś jednak powodów nie potrafię go skrzywdzić.

Po chwili w przedpokoju pojawia się mama.

— Kto to, kochanie? — Nie potrafię wydusić z siebie ani słowa i przedstawić jej Chucka.

— Pani Gardiner, jak mniemam - mówi Chuck, wyciągając rękę w jej stronę.

- Tak. - Mama uśmiecha się do niego promiennie, bez wątpienia oczarowana jego lśniącymi oczami, wzrostem, amerykańskim akcentem i nienagannymi manierami. Jestem pewna, że to wcale nie jest rodzinne i że poleciałyby na to każda kobieta. Widząc go dziś po tak długiej przerwie, muszę przyznać, że wciąż wygląda bosko, nawet jeśli jest niestałym w uczuciach, płytkim, związkofobicznym gnojkiem.

- Chuck Andrews. — Wyraz twarzy mamy pozostaje niezmienny; jego imię nic jej nie mówi. Oczywiście, że nic jej nie mówi, przecież nigdy o nim nie wspominałam. Chuck spogląda na nią i zdaje sobie z tego sprawę. Wydawało mi się czy wyglądał na rozczarowanego? Cóż za egoistyczna świnią! Co on sobie wyobrażał, że przez ostatnie dwa miesiące opowiadałam o nim, szlochając, i że mama bardzo dobrze wie, kim jest? No cóż, w takim razie cieszę się, że udało mi się ograniczyć do płakania w poduszkę, w zaciszu swojego pokoju, i nie dać mu tej satysfakcji!

Problem tylko w tym, że wcale nie wygląda na egoistyczną świnię. W sumie jakoś specjalnie się nie zmienił. Wygląda tak szczerze i seksownie jak w Wenecji, no, może tylko jest trochę mniej oszołomiony szczęściem. Jak to możliwe, że w ogóle się nie zmienił? Czy jego okrucieństwo nie powinno pozostawić jakiegoś śladu, jakiejś zmiany w wyglądzie zewnętrznym? Widocznie jest wilkiem w owczej skórze, bo po chwili odzywa się z tą swoją pewnością siebie, kompletnie niewzruszony:

— Jestem znajomym pani córki. Przywiozłem jej rzeczy i...

— Ależ proszę wejść, panie Andrews.

- Chuck, proszę mi mówić Chuck.

- No więc zapraszam do środka, Chuck. Elizabeth, gdzie twoje maniery? Ten uroczy młody człowiek przytaszczył twoją

ciężką walizkę aż z Włoch, a ty pozwalasz, by tak stał na wycieraczce?
- Spogląda na mnie piorunującym wzrokiem.

Nie mając wyjścia, odsuwam się i pozwalam mamie poprowadzić Chucka do saloniku. Tapeta w przedpokoju wiruje mi przed oczami, mam wrażenie, że za chwilę zemdleję. Mój żołądek wykonuje gimnastyczne akrobacje. Muszę do toalety. Muszę stąd uciec. Co on tu, do cholery, robi? Nie odzywa się przez dwa miesiące, po czym ni stąd, ni zowąd staje przed moim domem. Myślałam, że przyzwyczajam się do tego, że go nie ma, ale chyba nie jestem wystarczająco silna, by znieść jego obecność. Czy nie jest trochę za późno na tłumaczenia? O ile uzbroił się w nie przed przyjazdem. Do tej pory jakoś nie sprawiał wrażenia skruszonego. Cóż za arogancja!

Spoglądam w lustro w przedpokoju i natychmiast żałuję, że włożyłam na siebie tę okropną koszulę. Oczywiście koszulę mamy. Chyba nie mogło być gorzej. No i czemu nie zrobiłam dziś makijażu? Chciałam wyglądać skromnie na rozmowie. Tylko nie dostrzegłam, że wyglądam po prostu paskudnie.

Mama wraca do przedpokoju i wpatruje się we mnie.

— Co się dzieje, kochanie?

Milczę. Bo niby od czego miałabym zacząć? Powinnam była powiedzieć jej o Chucku, mogłaby mnie teraz chronić, a nie zapraszać go do domu i sadzać wygodnie na kanapie. No a tak to kto będzie mnie chronić? Sama nie jestem w stanie sobie z tym poradzić, tyle wiem na pewno. Nie potrafię nawet zrobić kroku w jego stronę.

Staram się opanować nerwy. To, że przyjechał tu dziś z moją walizką, nic jeszcze nie znaczy. Pewnie i tak miał być w okolicy i postanowił wyświadczyć mi przyjacielską przysługę. Pewnie nie jest już mną w ogóle zainteresowany i nawet nie pamięta, że kiedykolwiek byliśmy kimś więcej niż przyjaciółmi. Szkoda, że i ja nie potrafię o tym zapomnieć.

Choć z drugiej strony za nic nie oddałabym tych wspomnień.

Moja głowa chyba za chwilę eksploduje. W sumie dobrze by było, gdyby wybuchła. Jeśli mój mózg przyozdobi tę ohydną tapetę w kwiatki, przynajmniej nie będę musiała więcej o tym wszystkim myśleć.

— Idź do swojego gościa, Elizabeth. Zrobię herbaty. - Mama praktycznie wpycha mnie do salonu.

— Cześć. — Chuck uśmiecha się do mnie niewyraźnie, kiedy chwiejnym krokiem wchodzę do pokoju.

— No cześć - mamroczę.

Stoję, opierając się plecami o drzwi, by w razie czego móc szybko uciec. Chuck siedzi na starej sofie, która ma chyba z milion lat. Rodzice już dawno powinni byli wymienić ją na nową, jest nierówna, a sprężyny sterczą pod dziwnymi kątami niczym połamane kości wystające spod skóry. Często płata figle, pochłaniając niemalże każdego, kto próbuje ostrożnie przysiąść na jej brzegu. Chuck nie przysiadł jednak ostrożnie na brzegu, rozsiadł się wygodnie, jakby się jej poddawał, nie chcąc z nią walczyć. Dobre posunięcie. Wygląda, jakby czuł się całkiem swobodnie. Ze też ma czelność! Cała ta sytuacja sprawia, że jestem zagubiona, szczególnie że sama czuję się tak swobodnie jak ktoś, kto na pierwszą randkę włożył o dwa numery za małą sukienkę. W naszym małym saloniku Chuck wydaje się wielki i silny. Ja zaś czuję się osaczona, maleńka, słaba. Nie mam gdzie się schować, dokąd uciec. Powinniśmy byli usiąść w ogrodzie.

— Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca - mówi, pokaszując. Czuję na sobie jego wzrok, ale nie potrafię spojrzeć mu w oczy.

— Tak, już to wyraziłeś w swoim S M S - ie — ucinam. Oczywiście chcę w ten sposób zwrócić jego uwagę na fakt, że wybrana przez niego forma złożenia kondolencji jest niewłaściwa nawet w odniesieniu do niezbyt dobrych znajomych, a co dopiero w przypadku osób, które coś dla siebie znaczyły. Albo przynajmniej jedna z tych osób myślała, że coś dla siebie znaczą.

Chuck zdaje się dostrzegać złość w moim głosie. Spogląda na mnie zdezorientowany, nic nie mówiąc. Co on sobie wyobraża? Czy jego zdaniem powinnam być zachwycona, że porzucił mnie w momencie, w którym najbardziej go potrzebowałam? Czy tego właśnie oczekiwał? Odgłos tykania starego zegara stojącego nad kominkiem wzmacnia napięcie między nami. Zazwyczaj wydawany przez niego dźwięk uspokaja, dziś jednak przypomina odgłos bębna towarzyszącego więźniowi prowadzonemu na szubienicę. Dochodzę do wniosku, że nie ma co owijać w bawełnę i rozmawiać o niczym. Wolę rzucić kilka pełnych aluzji uwag, może wtedy uda mi się poznać odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

- Dzięki, że dałeś mi spokój, Chuck, bardzo mi się przydał - mówię ironicznie.

— Cieszę się — odpowiada z wyjątkowo irytującym spokojem. Znowu pokasłuje. - No więc co porabiałaś, odkąd wróciliśmy z Wenecji?

Hej, to już jest cios poniżej pasa! Samo słowo Wenecja sprawia, że moja twarz przybiera szkarłatny kolor. Dla mnie wiążą się z nią bardzo żywe obrazy Chucka pojękującego i wijącego się pode mną, na mnie, obok mnie. Ciekawe, czy on reaguje podobnie. Zmuszam się, by oderwać wzrok od swoich stóp, w które uparcie wpatruję się już od kilku minut, i spojrzeć w jego stronę. Siedzi już trochę bliżej stołu, opierające łokcie na kolanach, i wygląda na znacznie mniej odprężonego. Patrzy prosto na mnie, po raz pierwszy tego dnia nasze oczy się spotykają. Jego wzrok przecina mnie niczym sztylet, jestem pewna, że czyta we mnie niczym w otwartej księdze, nie mam więc po co kłamać.

- Byłam pogrążona w żałobie - odpowiadam. Jego głowa opada na dłoń.

— No tak, jasne. Przykro mi i... - Bierze głęboki oddech. - Przykro mi, że sprawy z Robertem nie potoczyły się po twojej myśli.

Że co? Chwileczkę, bo się pogubiłam. Co on ma na myśli, mówiąc, że sprawy z Robertem nie potoczyły się po mojej myśli? Przecież ostatecznie zakończyły się dokładnie tak, jak chciałam. Roberto i ja nie jesteśmy sobie pisani. Myślałam, że to było jasne już w Wenecji. Ale zanim udaje mi się pozbierać myśli na tyle, by cokolwiek odpowiedzieć, Chuck dodaje:

— Wiem, że pewnie zupełnie cię nie interesuje, co ja porabiałem przez ostatnie miesiące, ale i tak ci powiem.

Ton jego głosu jest wyniosły, słysząc w nim oburzenie. Zupełnie mi się nie podoba ta rozmowa! I nie, wcale mnie nie interesuje, co robił! No, może troszeczkę. Albo nawet bardzo. Ale prędzej napiję się wody z toalety, niż się do tego przyznam! Nie rozumiem, czemu jest taki butny i mówi z ironią. Czyż nie powinien być zawstydzony i skruszony? Boże, dlaczego wcześniej nie dostrzegłam, jak bardzo jest zarozumiały i zadufany w sobie?

— Kiedy Gina przekazała mi twoją wiadomość, przeprowadziłem się do Bassano del Grappa i zamieszkałem z Francescą.

— Z Francescą?! - Nie potrafię ukryć oburzenia. - Jeszcze raz, co zrobiłeś?

Cholera, jest jeszcze gorzej, niż myślałam. Martwiłam się kiedyś, że tych dwoje ma się ku sobie, ale nigdy się nie spodziewałam, że rzeczywiście mają romans! Ale z drugiej strony - czemu nie mieliby mieć? Obydwoje są nieprzeciętni - piękni, wykształceni, ekscytujący. Pasują do siebie idealnie. Nienawidzę jej.

— Nie mogłem zostać w Veganze i ryzykować, że gdzieś cię spotkam — mówi. Ryzykować, że mnie spotka w Veganze? Dlaczego miałyby się tam na mnie natknąć? — Dopiero dwa tygodnie temu wróciłem do domu.

Nie mogę się powstrzymać od sarkazmu.

— No tak, kolejny bardzo długi związek - mówię złośliwie.

— Słucham? - pyta zaskoczony. - To nie był żaden związek, jesteśmy przyjaciółmi. — Wpatruje się we mnie z czymś, co

przypomina niedowierzanie, a może nawet oburzenie. — Tylko przyjaciółmi. To nie ja słynę ze skakania z kwiarka na kwiatek, no nie? — pyta z nieukrywaną złością.

— No tak, jasne, to ja. Ale przynajmniej nie mam słabości do mężatek! - odgryzam się.

— No właśnie słyszałem, że w końcu zdecydowałaś się na wystąpienie z ich grona! - ripostuje, podnosząc głos o kilka tonów.

— A tym samym przestałam być dla ciebie interesująca, tak? Wpatrujemy się w siebie, niemalże trzęsąc się z wściekłości.

Jestem tak przepelniona złością i nienawiścią, że przetrwanie tego, co właśnie powiedział, zajmuje mi kilka minut.

— Dlaczego powiedziałaś, że w końcu zdecydowałam się na wystąpienie z ich grona? - pytam.

— Przepraszam, to był chwyt poniżej pasa. - Chuck próbuje odzyskać wcześniejszą swobodę i pewność siebie. Przeczesuje palcami włosy w ten bardzo dobrze mi znany sposób, który przyprawia mnie o skurcz w dole brzucha. Cholera, jaki on jest seksowny. Nawet teraz. Nawet w samym środku wielkiej awantury nie potrafię nie zauważyć, jaki jest boski. - Wiesz co, Elizabeth, mam dosyć tego twojego niezdecydowania. Tego odchodzenia od Roberta i wracania do niego. Myślałem, że wtedy w Wenecji zdecydowałaś się być ze mną. Kiedy więc dostałem twoją wiadomość, byłem... - przerywa i wodzi wzrokiem po pokoju, chcąc dobrać odpowiednie słowo. Po dłuższej chwili, która wydaje się całą wiecznością, wybiera: — ...rozczarowany.

Nagle czuję się, jakbym siedziała na karuzeli. Wszystko wokół porusza się i rozmazuje. Widzę Chucka i słyszę jego słowa, ale kompletnie ich nie rozumiem. Ziemia porusza się pod moimi stopami.

— Jak to, przecież napisałam na kartce, że mój ojciec nie żyje i że byś do mnie zadzwonił - wyduszam z siebie.

Chuck wygląda, jakby ktoś właśnie wymierzył mu siarczysty policzek. Krew odpływa z jego twarzy — mam wrażenie, że

za chwilę spłynie na podłogę, tworząc na dywanie wielką kałużę. Nagle, zaledwie ułamek sekundy po moich słowach, jego policzki odzyskują kolor, a oczy rozpromieniają się, pełne nadziei i podekscytowania.

- Nie dostałem żadnej kartki. Gina przekazała mi tylko wiadomość od ciebie, ustnie. Powiedziała, że zmarł twój ojciec i że jedziesz na kilka dni do domu, ale że nie wolno mi do ciebie dzwonić. Ze nie chcesz mnie więcej widzieć, szczególnie po powrocie do Włoch.

- Ze co? Dlaczego Gina miałaby powiedzieć coś takiego? Oczywiście istnieje wiele powodów, dla których mogłaby

chcieć zniszczyć mój związek z Chuckiem. Może chciała być lojalna w stosunku do Roberta, a może sama miała ochotę na Chucka i stwierdziła, że to dobry sposób, by się mnie pozbyć. Nie mam pojęcia. Jedno wiem na pewno: ludzie czasem robią naprawdę paskudne rzeczy.

- Mówiła, że postanowiłaś naprawić swoje małżeństwo.

- Chuck uśmiecha się do mnie szeroko. - Dlatego napisałem, że dam ci spokój. I dlatego przeprowadziłem się do Franceski.

- Moje nogi się uginają. - Musiałem zaakceptować twój wybór, nawet jeśli uważałem, że popełniasz błąd. To było nie do zniesienia! Tak bardzo chciałem do ciebie zadzwonić! I wiele razy prawie to zrobiłem, ale za każdym razem dochodziłem do wniosku, że nie powinienem, że przecież właśnie zmarł twój tata, a Roberto jest w końcu twoim mężem. A ja nie mam prawa do czegokolwiek cię przekonywać niezależnie od tego, jak bardzo tego pragnę.

- Aż tak bardzo? - pytam, chichocząc, po tym jak wreszcie moje ciało i umysł połączyły ze sobą fakty i zrozumiały ten okrutny spisek. W mojej głowie pojawia się promyk nadziei.

- Myślałaś, że wybrałam Roberta?

- Tak. Kiedy wróciłem z Bassano del Grappa, ani ciebie, ani jego nie było w pobliżu. Myślałem, że gdzieś razem wyjechaliście. A potem przyszła do mnie Paolina i powiedziała, że

Roberto jest z Aną-Marią. - Chuck spogląda na mnie z troską, ale ja uśmiecham się do niego szeroko, mając nadzieję, że rozumie, że kompletnie mnie nie obchodzi, gdzie i z kim jest w tej chwili Roberto. - Nie miałem pojęcia, że jesteś w Anglii.

Mam ochotę pobiec na drugą stronę pokoju i rzucić się w jego ramiona, pozwalając, by nieustający ból spowodowany „porzuceniem”, który towarzyszył mi przez ostatnie miesiące, zniknął na zawsze. Ale w tej samej chwili jego uśmiech znika.

- Ale dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś po tym SMS-ie, skoro nie potrafiłaś go zrozumieć? - pyta.

- Bo myślałam, że jesteś związkofobem. Zaczęłam myśleć o tej kobiecie, z którą miałeś romans przede mną, no i o tym, że nie chcesz mieć dzieci. - Mój głos jest coraz cichszy. Zdaję sobie sprawę, że moje tłumaczenia są wyjątkowo matne.

Chuck wygląda na zdruzgotanego. I zranionego.

- Nie masz o mnie najlepszej opinii.

- Nie, to nie tak - wyjaśniam. - Wyrzuciłam telefon. Nie miałam...

- Czego?

-Twojego numeru. Ale zadzwoniłam do szkoły. Tylko trochę późno. Jąkam się:

- No ale zbyt długo czekałam i zaczęły się już egzaminy. - Zaczynam zdawać sobie sprawę, co on musi sobie myśleć i jak się w tym momencie czuje. Nagle, patrząc na tę sytuację jego oczami, uświadamiam sobie, jaką byłam egoistyczną kretynką. Powinnam była zadzwonić po odebraniu tego SMS-a. Ile bólu i cierpienia mogłam nam oszczędzić! Powinnam była bardziej w nas wierzyć; przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że to, do czego doszło między nami w Wenecji, było prawdziwe. Powinnam była dać mu szansę ogarnąć ten cały bałagan. Dlaczego nie ufałam mu bardziej? Spoglądam na jego wielkie ciało ubrane w obcisłą koszulkę i stare dzinsy; na jego twarz, na której maluje się niedowierzanie pomieszane z oburzeniem, i zdaję

sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie wyglądał bardziej dystyngowanie i obojętnie. Ja, z drugiej strony, wyglądam niechlujnie i czuję się niezręcznie. Nie biegnę więc na drugą stronę pokoju, by rzucić mu się na szyję. Nie potrafię się ruszyć. Czuję się, jakbym była przykuta do podłogi.

Czuję ulgę na widok mamy wchodzącej do pokoju z tacą, na której stoją spodeczki i filiżanki, a także mleko i cukier. Zastanawiam się, co słyszała.

- Jest pan tutaj na wakacjach? - pyta pogodnie Chucka.

Przez chwilę wygląda na kompletnie oszołomionego i wydaje mi się, że nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa, ale na szczęście udaje mu się zebrać siły i odpowiedzieć:

- Powiedzmy, że podróżuję w poszukiwaniu odpowiedzi. Spogląda na mnie znacząco. Jeżeli mama uznała jego słowa

za nieco ekscentryczne, nie daje tego po sobie poznać. Pewnie po prostu uznaje, że nie do końca go zrozumiała, w końcu jest Amerykaninem. Wypytuje go dokładnie, jaką pija herbatę. Zauważam, że nie użyła torebek i przygotowała prawdziwy angielski napar. Patrzę, jak maleńkie sitko wylapuje liście.

Nic nie mówię, podczas gdy Chuckowi udaje się wyjąkać jedynie grzeczne przytaknięcia jako odpowiedź na jej trajkota-nie, tak że rozmowa jest sztywna i w ogóle się nie klei. Mama chyba też to zauważa, bo po kilku minutach oznajmia:

- Przyniosę trochę ciasta, dziś rano upiekłam biszkopt.

— Po czym wstaje i wychodzi do kuchni.

Plecy Chucka opadają na oparcie kanapy. Uderza się w czoło otwartą dłonią.

- Cholera, już rozumiem. Wszystko. Patrzę na ciebie i wreszcie do mnie dociera, o co chodzi. Boże, jaki ja jestem głupi. Już wiem, czemu przyjąłeś moje nagłe odejście z taką łatwością.

- Wstaje i przechadza się po pokoju. Nasz salon jest maleńki, a Chuck ogromny, tak że co kilka kroków musi zmieniać kierunek. Nie nadążam za nim, ani myślami, ani krokiem. — Nikt nigdy mnie tak nie obraził. Myślałaś, że sobie z tym nie poradzę.

- Ale z czym?

- Myślałaś, że sama wychowasz to dziecko? Nie mówiąc mi nawet o jego istnieniu? - Mówi nienaturalnie podniesionym, pełnym oburzenia głosem.

- Jakie dziecko? O czym ty w ogóle mówisz?

- Mam swoje prawa. Chcę być częścią jego życia niezależnie od tego, co wcześniej mówiłem. Nie możesz mnie tak po prostu wykluczyć - krzyczy. — Jestem w tym tak jak i ty!

Mama na pewno słyszy go w kuchni; ba, pan Hooper z pewnością słyszy go w domu po drugiej stronie ulicy. Jestem zbyt zdezorientowana, żeby trzymać swoje nerwy na wodzy, odkrzykuję więc:

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- O moim dziecku, które chcę wychować!

- Ale o jakim dziecku?

- O tym, które nosisz!

Wpatruję się w niego kompletnie osłupiała. To dla mnie zbyt wielka huśtawka emocjonalna! Rzeczywistość wydaje się jedną wielką zagadką.

- Ale ja nie jestem w ciąży — bełkoczę.

-Jak to nie? - upiera się przy swoim, zniżając jednak trochę głos, jakby tracił pewność siebie. Po chwili dodaje: - Nie?

- Nie! - wykrzykuję z oburzeniem.

- Aha. — Wygląda na zmartwionego. Jego twarz wykrzywia się, a zmarszczone brwi przypominają pomięte prześcieradła studentów pod koniec semestru (zawsze przecież są ważniejsze rzeczy niż wymiana pościeli). Ale musiałam to wszystko źle odczytać. No bo niby dlaczego miałby być rozczarowany? Przecież nie chce mieć dzieci. Ani ze mną, ani z nikim innym. Sam tak powiedział.

- Czemu pomyślałaś, że jestem w ciąży? Skąd ten bezsensowny pomysł? Chciałaś mi po prostu powiedzieć, że jestem gruba, tak? - Ostatni zwrot w naszej rozmowie kompletnie zbił mnie z tropu. Ten facet oszalał! Nigdy nie przypuszczałam, że

tak namieszam w jego życiu, aż w głowie mu się poprzewraca! Kłamstwo Giny, nagłe odkrycie prawdy, do tego długa podróż - to ewidentnie było dla niego zbyt wiele, bo zachowuje się całkowicie irracjonalnie.

- No cóż, jesteś trochę... okrąglejsza. Może nawet bardziej niż trochę — mówi przepraszającym tonem.

- Bardzo dziękuję!

- Ale nie tylko o to chodzi, jesteś też jakaś taka... inna. Kwitnąca. I radosna. Pomyślałem więc... no nic, przepraszam, nie wiem, czemu wyciągnąłem taki wniosek. Po prostu biło od ciebie coś takiego... Albo przynajmniej tak mi się wydawało. Nie no, zapomnij o tym, co mówiłem. Możemy zacząć tę rozmowę jeszcze raz, od początku?

- A masz mi coś jeszcze do powiedzenia poza tym, że jestem gruba? - pytam poirytowana.

- Elizabeth, proszę cię. — Wydaje się potwornie zażenowany.

Mama wraca do pokoju z tacą obładowaną łakociami, poza biszkoptem przyniosła też ciasteczka i muffinki. Wiem, że tylko ciasto upiekła sama, resztę kupiła w sklepie, ale nie zamierzam zdradzać jej tajemnicy.

- Wszystko w porządku? — pyta, doskonale zdając sobie sprawę, że jest dokładnie na odwrót.

Chuck znów siada na sofie. W zasadzie opada na nią zmęczony, a może skrępowany. Nie wiem, co myśleć, i nie wiem, co powiedzieć. Niech sobie sami rozmawiają.

Chuck grzecznie rozpoczyna rozmowę, komplementując przyniesione przez mamę słodkości. On naprawdę myślał, że jestem w ciąży. Czy jestem aż tak gruba? Wiem, że przybyło mi kilka kilo. Trochę ostatnio zjadałam smutki, ale jak bardzo trzeba być nietaktownym, żeby mi to w taki sposób wypomnieć! I do tego w takim momencie! Najpierw ja uważałam go za związkofoba, a on mnie za niestałą w uczuciach kokietkę, a kiedy udało nam się to w końcu wyjaśnić, on uznał mnie

za grubasa, ja jego natomiast za obłąkanego szaleńca. Ciekawe, co będzie dalej.

- Wygląda przepysznie, pani Gardiner.

- Dziękuję, mój drogi.

- Moja mama jest cukiernikiem.

- Ojejku, czuję, że będę oceniana.

- Jestem pewien, że pani ciasta są wyśmienite. Elizabeth jest tego żywym dowodem. - Kiedy tylko wypowiada te słowa, na jego twarzy pojawia się nowy rumieniec.

- Czy mógłbyś już przestać robić aluzje do mojej wagi? - wykrzykuję.

- Wcale tego nie robię. Po prostu byłem zaskoczony. Wyciągnąłem pochopne wnioski. Ty zaprzeczyłaś. No i...

- No i kamień spadł ci z serca, prawda? Twój plan na życie nie uwzględnia przecież dziecka - ucinam.

- O co tu chodzi, jakie dziecko? - pyta mama. Ponieważ nie jestem w stanie logicznie myśleć, mówię to, co przychodzi mi do głowy:

- Otóż wyobraź sobie, że Chuck myślał, że będę miała jego dziecko.

- Jak to jego dziecko? - Mama wybałusza oczy. - Niby jak mogłabyś mieć jego dziecko?

- Nie o tym teraz rozmawiamy, mamó - mówię oschle, zdając sobie nagle sprawę (trochę niestety za późno), że właśnie otworzyłam puszkę Pandory. - Chodzi o to, że pan Andrews przyjechał do mnie aż z Włoch tylko po to, żeby mi powiedzieć, że jestem gruba!

Na twarzy mamy dostrzegam troskę.

- Ja też myślałam, że jesteś w ciąży. Ale sądziłam, że z Robertem. Zastanawiałam się, kiedy zamierzasz mi o tym powiedzieć. Sądziłam, że będziesz miała dziecko z mężem, którego już nie kochasz, a ty teraz nagle mówisz mi, że będziesz miała dziecko z mężczyzną, który nie jest twoim mężem? - Mama wygląda na przerażoną.

— Nie będę miała żadnego dziecka, coście się tak uparli! — krzyczę.

- No cóż, w takim razie przepraszam. Ale skarżyłaś się na poranne nudności. Nie mieścisz się w ubrania. No i jesteś kompletnie rozchwiana emocjonalnie...

Spoglądam w dół na spódniczkę, którą mam dziś na sobie. Spięłam ją agrafką, bo nie dałam rady zapiąć guzika. Musiałam zostawić koszulę na wierzchu. Koszulę, która opina moje olbrzymie piersi. Zawsze były duże, ale ostatnio przeszły wszelkie wyobrażenia. Są też bardzo wrażliwe. Odkąd jestem u mamy, nie miałam okresu. Zero okresu. O Boże! Bez słowa wybiegam z pokoju, niemalże przewracając po drodze mamę i tacę ze słodyczami. Chwytam torbę, otwieram frontowe drzwi i biegnę do najbliższej apteki, a tupot moich stóp uderzających o chodnik niesie się w dal.

Biegnę z apteki do domu z testem ciążowym w ręku. Nie poczekałam, aż sprzedawczyni włoży go do reklamówki i wyda mi resztę, robiła to zbyt wolno. Biegnę najszybciej, jak tylko potrafię, moje stopy mocno uderzają o chodnik, a serce niemalże wyskakuje z piersi, bijąc tak szybko, że aż robi mi się niedobrze. Mama ma rację, ostatnio często miewałam nudności. Czy to możliwe? Czy to naprawdę możliwe? Modłę się do każdego, kto może mnie wysłuchać, do każdego, kto może mieć jakiś wpływ na bieg wydarzeń - Boga, taty, pani w białym kitlu ze strony internetowej z poradami dla nieplodnych par. Proszę, proszę, proszę. Błagam.

Mama i Chuck stoją w ogródku przed domem, z niepokojem spoglądając w stronę ulicy i czekając na mój powrót. Mama wygląda na podekscytowaną. Nie potrafię rozgryźć, co czuje Chuck. Myślał, że jestem w ciąży. On pierwszy to zauważył. Jeśli tak rzeczywiście jest. O Boże, proszę, proszę. Nie mam odwagi aż tak bardzo tego pragnąć. Nie śmiem wierzyć, że to prawda. Nigdy wcześniej nie czułam się tak bliska spełnienia mojego odwiecznego marzenia, ale czy poradzę sobie z ewentualnym rozczarowaniem?

Nie zatrzymuję się w ogrodzie, przepychając się przez moich bliskich, jakbym zupełnie ich nie zauważyła. Biegnę prosto na piętro, do łazienki. Chuck depcze mi po piętach, ale zatraskuję mu drzwi przed nosem i zamykam je na klucz.

Wiem, jak się robi takie testy. Robiłam je setki razy. Wydałam na nie serki funtów. Rozdzieram pudełko i biorę do ręki

kawałek plastiku. To jest moja chwila prawdy. Sikam i modlę się jednocześnie, mając nadzieję, że Bóg wybaczy mi niestosowność tej sytuacji.

- Elizabeth, słyszysz mnie? - pyta Chuck. Przysiadam na brzegu wanny i odczekuję najdłuższe 120 sekund w swoim życiu. Nie potrafię zmusić ust do wyartykułowania odpowiedzi. Kiwam tylko potakująco głową, co oczywiście niewiele daje. Ale Chuck kontynuuje mimo wszystko. - Elizabeth, kochanie, chciałem tylko powiedzieć, że ten wynik jest bez znaczenia. Chcę ciebie i chcę mieć dzieci, jeśli ty ich pragniesz. W sumie sam też chcę. A jeżeli wynik będzie negatywny, to też się nie martw, spróbujemy jeszcze raz. Będziemy próbować i próbować. Będzie przyjemnie. - Śmieje się nerwowo. - Będziemy mieć rodzinę, Elizabeth. Obiecuję. Spróbujemy in vitro. A jeśli to nie pomoże, jest jeszcze adopcja. Wiesz, to co mówiłem wcześniej, to nie ma znaczenia, to było przedtem...

Przekręcam klucz w zamku i otwieram drzwi, stając z nim twarzą w twarz.

- Przed czym?

- Przed tym, jak się w tobie zakochałem.

Epilog

Jest idealna. Jest dla mnie wszystkim. Nawet ja, wieczna marzycielka, nie miałam pojęcia, że może być tak cudowna. Sprawia, że chcę śpiewać. Śmiać się. Tańczyć. Żyć. Żyć najlepiej, jak to tylko możliwe. Jest sensem mojego istnienia, jego istotą. Warto było na nią czekać. Nie żałuję ani jednej chwili.

Najbardziej lubię pokrywać ją pocałunkami. Uwielbiam całować jej rumiane policzki, pulchniutki brzuszek, gładkie nóżki. Moje usta zatapiają się w jej delikatnej, aksamitnej skórze i czuję się tak, jakbym zanurzała twarz w słodkiej śmietance. Chłonę jej zapach; jest lepszy niż aromat świeżo upieczonego ciasta czy włoskiej kawy. Jest nawet świeższy i bardziej odurzający niż kwitnące róże w ogrodzie mamy. No, przynajmniej zazwyczaj; czasami roztacza woń wymiocin albo czegoś gorszego.

Nie tylko ja jestem oczarowana Lily; gdziekolwiek pójdziemy, przyciąga tłumy. *Passegiata* trwa teraz trzy razy dłużej, niż kiedy byłam w ciąży, choć wciąż idziemy tą samą trasą, po wybrukowanych uliczkach Bolonii. Teraz ludzie często zatrzymują nas, by zajrzeć do wózka. Wydają z siebie „ochy” i „achy” na widok jej jasnych loczków i zielonych, błyszczących oczu; zauważają, że zrzuca z siebie nawet najcieńszy kocyk, by wygrzewać się w ciepłym popołudniowym słońcu; zachwycają się jej uśmiechem, który, podobnie jak uśmiech jej ojca, rozpromienia całą jej twarz. Od samego początku kokietuje wszystkich wokół. Pewnie jak podrośnie, będzie straszną flirtiarą; już się pogodziłam z faktem, że pewnie spędzę jej młodzińcze lata, martwiąc się o długość noszonych przez nią spódniczek. Wy-

daje z siebie radosne dźwięki i słodkie gruchanie, obdarzając swoim bezzębnym uśmiechem każdego, kto tylko zagłądnie do wózka. Ludzie zawsze wciskają nam do ręki napełnione helem baloniki, kwiatki i maleńkie puchate zabawki. Ludzie, których po raz pierwszy w życiu widzimy na oczy. Co do jednego miałam rację - Włosi naprawdę ubóstwiają dzieci.

- Uwielbiam te ciepłe wieczory, kiedy całe rodziny mogą iść na spacer do centrum - mówię do Chucka, nie po raz pierwszy zresztą.

— No, przynajmniej jest co robić, skoro nie puszczają nic ciekawego w telewizji. — Uśmiecham się do niego. Wiem, że robi wszystko, bym skupiła się na rzeczywistości, nie chce pozwolić mi na przesadne marzycielstwo i nadmierną idealizację. Ostrzega, że to ścieżka prowadząca do rozczarowania. Nie traktuję go w tej kwestii zbyt poważnie, no bo czy jest w naszym życiu coś, co mogłoby mnie rozczarować?

Brukowane uliczki są skąpane w jasnych promieniach słońca. Historyczne serce Bolonii zachowało średniowieczny układ, jest niewielkich rozmiarów, przepięknie wypełnione kościołami, pomnikami i muzeami. Jeszcze wszystkich nie zwiedziłam, odkrywam je powoli, jedno po drugim. Udało mi się zwalczyć przeświadczenie, że jeśli widziało się jeden stary kościół, to tak jakby widziało się je wszystkie. Odkryłam, że im więcej dowiaduję się o tego typu miejscach, tym bardziej stają się interesujące. Poza tym spędzam wiele godzin, spacerując po nastrojowych kruzgankach, które odchodzą od dwóch głównych placów, zaglądając przy tym do gustownych sklepików, czasem po to, by coś kupić, a czasem, by tylko się porozglądać. Dalej jednak najbardziej lubię siedzieć na piazzy, albo na Piazza Maggiore, albo na Piazza del Nettuno, sącząc wyśmienitą mocną kawę. Jest to teraz jeszcze przyjemniejsze ze względu na uwagę, jaką zwraca Lily — nigdy nie siedzę sama, zawsze znajdzie się ktoś, kto ma ochotę ze mną porozmawiać i dowiedzieć się, czy dobrze sypia i czy nie wybrzydza przy jedzeniu.

Nie żebym miała aż tak dużo wolnego czasu. Czas leci. Lily nie ma problemów ze spaniem, trochę gorzej natomiast z jedzeniem. Lubi, gdy karmię ją piersią, ale nie najada się, w związku z czym muszę się rozbierać niemalże co dwadzieścia minut. Oczywiście opieka nad nią jest dla mnie najważniejsza, stanowi też najprzyjemniejszą formę spędzania wolnego czasu, ale lubię również wepchnąć do swojego grafiku parę godzin uczenia. Chuck kupił tu szkołę językową, którą razem prowadzimy. Czasem mam ochotę się uszczypnąć. Nie potrafię uwierzyć, że pomagam w prowadzeniu interesu, który jeśliby spojrzeć na ostatni rok, całkiem nieźle się kręci. Interesu, który jest jednocześnie moją pasją. Kto by pomyślał, he? Oczywiście to Chuck wykonuje lwią część pracy związanej z naszą firmą, ale ja także mam w tym swój udział, szczególnie jeśli chodzi o prace administracyjne i reklamę. A teraz, kiedy ukończyłam wreszcie kurs TEFL, mogę również pomóc w prowadzeniu zajęć. Kiedy Lily przyszła na świat, musiałam zmniejszyć liczbę godzin, ale wciąż daję radę przeprowadzić dziesięć lekcji, głównie w porze lunchu, kiedy mała ucina sobie popołudniową drzemkę. Biorę ją ze sobą na zajęcia; śpi sobie spokojnie w wózku, gdy ja pracuję. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że taki układ nie może trwać wiecznie, ale zachwyca mnie tolerancyjność Włochów i ich łatwość dostosowania się do sytuacji. Moi uczniowie są zachwyceni, ilekroć ją widzą. Ale jak już mówiłam, Lily to mała kokietka, a Włosi uwielbiają dzieci.

Oczywiście nie wszystko idzie jak po maśle. Kiedy Lily pojawiła się na świecie, Chuck i ja dopiero przyzwyczajaliśmy się do siebie i gdy już wypracowaliśmy pewne kompromisy, cały nasz świat przewrócił się do góry nogami. Zwykle nowe rzeczy, których się o sobie dowiadujemy, są źródłem radości; dziewięć na dziesięć odkryć dotyczących Chucka lub macierzyństwa wprawia mnie w zachwyt, ale od czasu do czasu pojawiają się też niemiłe niespodzianki. Nie miałam pojęcia, że Chuck chrapie, drażni mnie, gdy nie opuszcza deski po skorzystaniu z toa-

lety, a także kompletnie osłupiałam, gdy kategorycznie odmówił uczestniczenia w porodzie, tłumacząc, że nie znosi widoku krwi. On z kolei twierdzi, że doprowadzam go do szaleństwa, wciąż zapominając o dokręceniu nakrętek, czy to od butelki z wodą, od jakiegoś kosmetyku czy chociażby od keczupu. Nieraz nakrętki powodowały już różnego rodzaju incydenty, no i oczywiście kłótnie. Uważa również, że powinnam więcej się ruszać i wydaje mi się, że potajemnie sądzi, że mam kiepską kondycję. Ale oboje pracujemy nad tymi drobnymi niedociągnięciami. Ja staram się jakoś włączyć ćwiczenia do mojego dziennego planu zajęć, Chuck zaś obiecał, że pojawi się na sali porodowej podczas narodzin drugiego dziecka, przynajmniej na początku — zawsze może dać nogę, jeśli zrobi się naprawdę gorąco.

Ale te różnice nie mają dla nas najmniejszego znaczenia. Początkowo ludzie martwili się, że narzuciliśmy sobie zbyt szybkie tempo, ale później zauważyliśmy, że osoby, na których najbardziej nam zależy i które znają nas najlepiej, kibicują nam z całego serca. Mama, Alison, Thomas i Paolina praktycznie żądali od nas, byśmy byli razem, twierdząc, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Choć oczywiście niczyja opinia nie mogła wpłynąć na naszą decyzję. Oboje spędziliśmy oddzielnie wystarczająco dużo czasu, by zdać sobie sprawę, że chcemy i musimy być razem.

Jesteśmy rodziną. Silną i prawdziwą. Po trudnym okresie ciąży, dwudziestosiedmiogodzinnym porodzie i licznych nieprzespanych nocach przy małym dzieciątku, szybko, zupełnie naturalnie, rozpoczęła się codzienność. Czasem wydaje mi się, że w ogóle nie mieliśmy czasu na niekończące się miłosne wyznania, serduszka i kwiaty. Chuck zawiesił jednak nad naszym łóżkiem zakupione w Weronie szklane serce, co było naprawdę urocze z jego strony. Ale większość naszych romantycznych gestów jest obecnie zawarta w praktycznych, codziennych czynnościach. Często przygotowuje dla mnie gorącą kąpiel, czasem zapalając do tego świeczki; pozwala mi dłużej pospać, wstając do Lily, kiedy tylko może; kupuje świeże owoce na bazarze i in-

formuje, jak ma się wartość odżywcza gruszki w porównaniu do ananasa czy banana. Ja zaś roznoszę ulotki reklamujące szkołę, kiedy idę na spacer z Lily, i sprawdzam zadania domowe i testy, gdy widzę, że nabierała mu się tego całkiem pokaźna sterta, a wiem, że bardzo chciałby odpocząć i pojeździć trochę na rowerze. Czasami sprzeczamy się o to, czyja kolej na przewinięcie Lily; ale dla mnie to spełnienie największych marzeń.

Żyjemy sobie w ten sposób, zwyczajnie szczęśliwi. I nie chodzi o to, że nie mam już czasu, by marzyć. Raczej nie mam potrzeby. Tu i teraz wystarcza mi w zupełności.

Podziękowania niech przyjmie Mari Evans, moja niezwykła redaktorka, za swój wspaniały wkład, nieustającą zachętę i zdumiewającą empatię. Praca z Tobą jest czystą przyjemnością.

Dziękuję Jonny'emu Gellerowi i Louise Moore - bez Was nie powstałaby ta książka, oraz Clare Pollock - bez Ciebie nikt by o niej nie usłyszał.

Dziękuję wszystkim pracownikom wydawnictw Penguin i Curtis Brown, którzy tak ciężko pracują, pomagając mi. Wszyscy jesteście dla mnie niezmiernie ważni i doceniam wkład każdego z Was.

Dziękuję wszystkim moim czytelnikom. Bez Was moje zapiski nie miałyby sensu.

Dziękuję mojej rodzinie. Cieszę się, że Was mam.

Został jeszcze Jim. Dziękuję ci za cierpliwość. Choć wiem, że to za mało powiedziane